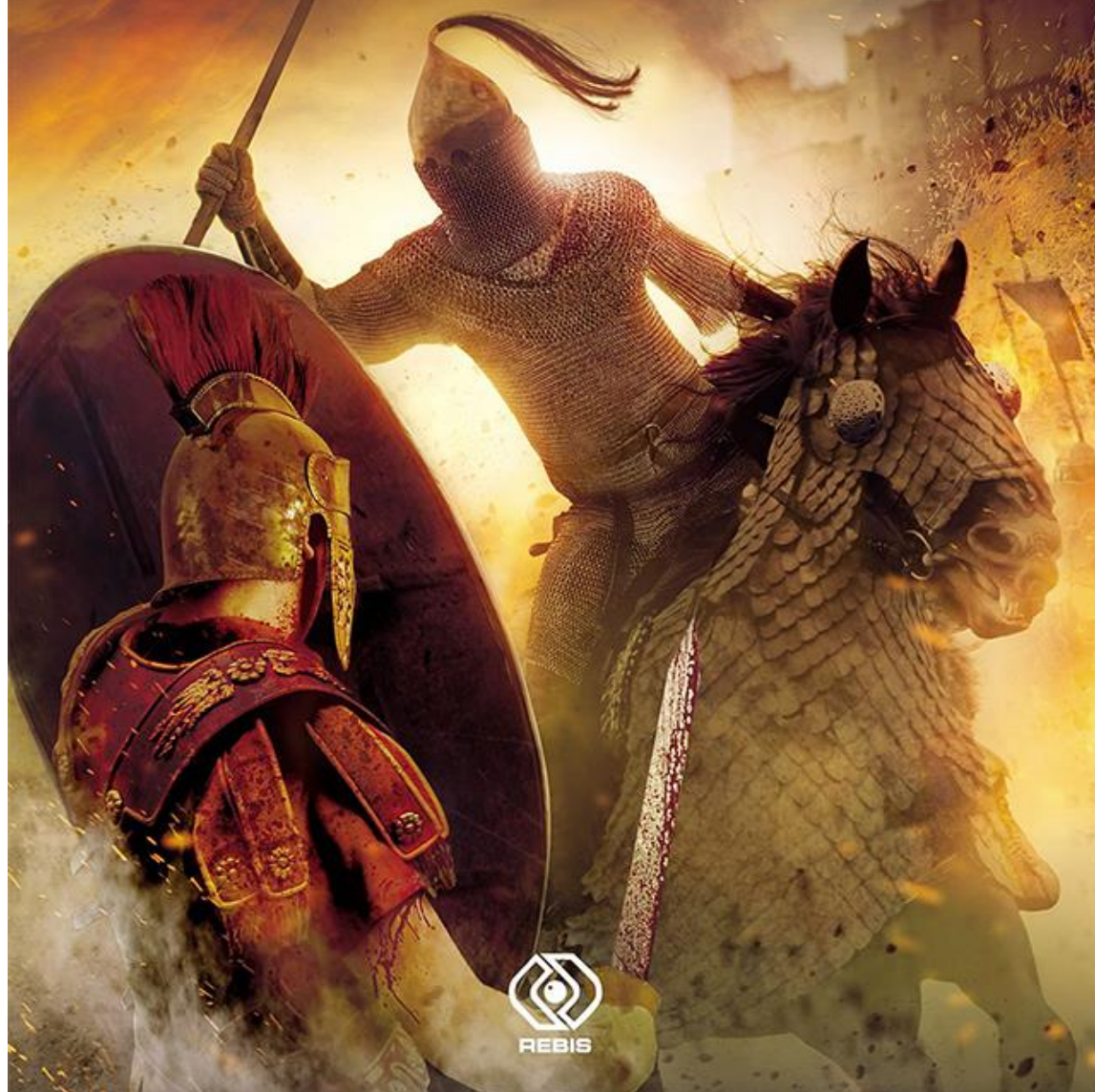


ROBERT FABBRI
WESPAZJAN
ZAGINIONY SYN RZYMU




REBIS

ROBERT FABBRI

WESPAZJAN
ZAGINIONY SYN RZYMU

Przełożył
Konrad Majchrzak



DOM WYDAWNICZY REBIS

W cyklu o Wespazjanie dotychczas ukazały się

Trybun Rzymu

Kat Rzymu

Falszywy bóg Rzymu

Utracony orzeł Rzymu

Władcy Rzymu

Zaginiony syn Rzymu

*Moim teściom, Eddiemu i Christel Müllerom,
szwagierce Liane Olbertz,
jej mężowi Svenowi
oraz ich synowi Fabianowi,
z podziękowaniami za przyjęcie mnie do rodziny*



PROLOG

PONTUS EUXINUS

SIERPIEŃ 51 ROKU

Jasne, srebrzyste światło księżyca, odbijające się od mrocznej jak Styks tafli wody, raziło boleśnie zmęczone oczy Tytusa Flawiusza Sabinusa. Mężczyzna z jękiem wychylił się za burtę triremy zakotwiczonej naprzeciwko ujścia Tyras. Fale z głośnym chlupotem uderzały o kadłub rozkołysanego okrętu. Zgodnie z rytmem falowania morza plama światła na wodzie wydłużała się, to znów rozpadała, tworząc mnogość jednakowych refleksów, by następnie zlać się niemal w lustrzane odbicie lśniącego na niebie księżyca. Tymczasem okręt podnosił się i opadał w rytmie zgodnym z łoskotem fal uderzających o brzegi odległe zaledwie o sto kroków.

Nieustanne wirowanie tego jedyne widzialnego punktu świetlnego nie pomagało jego udręczonym trzewiom. Wstrząsany kolejnymi skurczami chlusnął na pokład mieszaniną żółci i czerwonego wina, która spłynęła po wcześniej już zbrukanych deskach na ostatnią parę sześćdziesięciu wiosł tkwiących po prawej burcie w dwóch rzędach, jeden nad drugim. Jego stękanie złało się ze skrzypieniem naprężonych lin i drewna.

Trierarcha stojący obok dwóch wiosł sterowych na rufie udał, że nie słyszy świstu mimowolnego puszczenia wiatrów przez Sabinusa, nie skomentował też tego, że nieborak wybrał sobie na torsje stronę nawietrzną; jeśli o niego chodziło, namiestnik cesarskich prowincji Mezji, Macedonii i Tracji mógł sobie wymiotować, gdzie mu się żywnie podoba. I rzeczywiście, podczas dwudniowej podróży z Noviodunum, macierzystego portu floty dunajskiej, leżącego jakieś sto mil od delty rzeki, do tego odludnego miejsca na wybrzeżu morza przedstawiciel cesarza wybrał sobie na tę czynność wiele różnych miejsc... i nie wszystkie za burtą.

Oddychając szybko i płytko, Sabinus przeklinał zły los, który sprowadził go na pokład okrętu, gdzie musi tkwić o wiele dłużej niż zawartość jego własnego żołądka; przecież nigdy nie uważał się za żeglarza. Tak czy owak, wraz z otrzymaniem nominacji na namiestnika, trzy lata wcześniej, przyszła odpowiedzialność nie tylko wobec cesarza, ale wobec samego cesarstwa. Jeśli można było polegać na wiadomościach, jakie otrzymał od szpiega przebywającego wśród Getów i Daków, na północ od Dunaju, to imperium – a przynajmniej jego wschodnia część – mogło się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie.

Raport należało uznać za wiarygodny, jako że agent był wierny Tryfenie, dawnej królowej Tracji. Posiadająca obywatelstwo rzymskie prawnuczka Marka Antoniusza była niezachwianie lojalna wobec cesarstwa. Choć mieszkała obecnie w Kyzikos, na wybrzeżu Azji – od czasu abdykacji dokonanej na życzenie Kaliguli – dysponowała aktualną wiedzą o byłych poddanych oraz ich wrogach. Skoro zatem agent Tryfeny złożył raport mówiący o zagrożeniu dla imperium, należało to ostrzeżenie potraktować nader poważnie.

Nim człowiek ten odbył niebezpieczną podróż lądem do Noviodunum, żeby

zdać Sabinusowi sprawozdanie z przybycia poselstwa od Wologazesa, Wielkiego Króla Partii, wiadomość ta miała już cztery dni. Sabinus wziął trzy biremy oraz tę jedyną triremę, jaka stała w porcie, i pożeglował w dół, ku morzu. Stamtąd popłynął na północ, trzymając się z dala od Tyry, kolonii greckiej pod panowaniem Kosona, dackiego króla, który nie darzył Rzymu przyjaźnią.

Niektóre obowiązki miały tak decydujące znaczenie, że nie można ich było zlecać innym. Sabinus wiedział, że gdyby zameldował cesarzowi Klaudiuszowi lub, co gorsza, cesarzowej Agrypinie i jej kochankowi Pallasowi – rzeczywistym władcom Rzymu – że posłał podwładnego, by przechwycił partyjskich wysłanników, a oni mu się wymknęli, i tak zostałby uznany za sprawcę niepowodzenia. Jeśli natomiast jego misja miałaby się nie powieść (prawdę mówiąc, nie brał porażki pod uwagę), nie mógłby obwiniać nikogo poza sobą. Domyślał się, co tam omawiano. Królów Daków, Getów, Sarmatów i Bastarnów zebranych (wedle raportu agenta) w obozie rozbitym na trawiastej równinie pięćdziesiąt mil na zachód od Tyry nie łączyło z Partami nic, poza jedną wspólną cechą: nienawiścią do Rzymu. Gdyby przelała się ona przez północne granice cesarstwa, Partia, najbardziej zawzięty wróg Rzymu na wschodzie, mogłaby albo ruszyć na zachód, by ponownie zająć wybrzeże Syrii i zyskać dostęp do rzymskiego morza, pierwszy raz od przybycia Rzymian na wschód; albo też ruszyć na północ, przez podległe Rzymowi królestwa, Armenię i Pont, by uzyskać dostęp do Morza Czarnego.

W obydwu wypadkach wschodnie prowincje Rzymu były zagrożone.

Tymczasem Sabinus miał teraz okazję dowiedzieć się o planowanym kierunku tego śmiałego posunięcia, a wiedza dotycząca sposobu, czasu i miejsca uderzenia umożliwiała stosowną reakcję. Dlatego tak istotne było i schwywanie, i przesłuchanie tych wysłanników, kiedy wypływali z Tyry, której przyćmione światła widoczne były na południowym brzegu ujścia rzeki.

Znowu wstrząsnęły nim torsje. Wyprostował się, spocony mimo chłodnej bryzy, i patrzył, jak zwał ciemnych chmur stopniowo połyka kołyszący się na wodzie obraz półksiężyca. Srebrzysty brzeżek przez chwilę falował na powierzchni, aż zbladł, zlewając się z ciemniejącym morzem. Podniósł wzrok ku niebu; pierwszy raz, odkąd trzy noce wcześniej rozpoczęli trwające od zmierzchu do świtu czuwanie, chmura całkowicie zasnęła padające z nieba światło. Za dnia popłynęliby tuż za linię horyzontu, poza zasięg wzroku strażników na wieżach Tyry, nie tracąc możliwości przechwycenia jakiegokolwiek statku, jaki wypłynąłby z ujścia i podążał wzdłuż brzegu do tego przyjaznego portu, z którego wcześniej wyruszyli Partowie. Sabinus jednak wątpił, by pożeglowali za dnia, ponieważ agent poinformował go, że przybyli do miasta głęboką nocą, a to był nie lada wyczyn nawet dla najbardziej doświadczonych wilków morskich. Poza tym, mimo przedsięwziętych środków ostrożności, nie łudził się, że ich obecność przeszła

niezauważona, i dlatego podejrzewał, że Partowie poczekają, aż zapadną ciemności, nim wyruszą na morze.

Wciąż uczepony relingu zwrócił się do trierarchy.

– Każ wiosłarzom być w pogotowiu, Ksantosie, i daj sygnał biremom, że mają przygotować się do akcji.

Kapitan przekazał rozkaz niżej, na pokład wiosłarzy. Sabinus spojrział w stronę dziobu; z trudem dojrzał tam sylwetki połowy centurii żołnierzy siedzących wokół zamontowanej na pokładzie karrobalisty. Zgodnie z rozkazem zachowywali całkowitą ciszę. Ręką dał centurionowi znak, że czas wstać i się przygotować. Z dołu dobiegły stłumione odgłosy, kiedy stu dwudziestu wiosłarzy sadowiło się, po jednym przy każdym wiosle w dolnym rzędzie i po dwóch przy każdym w górnym. Starając się rozjaśnić sobie umysł przyćmiony mdłościami, Sabinus zerknął w dół i zobaczył, że ustawione równo wiosła gotowe są już do pierwszego pociągnięcia. W tej samej chwili o deski pokładu zabębniły pierwsze krople deszczu.

Sabinus poprawił czerwony wełniany płaszcz, tak żeby ogrzał mu ramiona; zacisnął czerwoną szarfę opasującą przednią i tylną płytę pancerza z brązu i przesunął pas naramienny, żeby miecz wisiał prosto na prawym biodrze. Włożył hełm i zawiązał pasek pod brodą, podniósł zwykłą, walcowato wygiętą tarczę i ruszył na dziób tak równym krokiem, na jaki tylko było go stać. Stał obok centuriona, pod wznoszącą się nad nimi, przymocowaną do masztu kładką zwaną krukem. Patrząc w mrok, gęstniejący wraz z coraz bardziej rzęsiwym deszczem, czekał.

Na początku było tylko przeczucie. Ulewa nie pozwalała nic dostrzec ani usłyszeć, ale na niecałą godzinę przed świtem Sabinus był już pewien, że nie są sami. Przetarł oczy i wpatrzył się w czarną kurtynę wody, przez którą od czasu do czasu przebijało się jakieś światelko z odległego o ponad milę miasta. Potem jednak do jego świadomości dotarło coś więcej: jakiś dźwięk, bardzo słaby, ale na pewno niezwiązany z ulewą czy skrzypieniem drewna lub naprężonej liny okrętu zmagającego się z potęgą morza. Znów go usłyszał: był długi i niski. Policzył do pięciu i dźwięk się powtórzył; nie miał już wątpliwości – to z ust dziesiątków pracujących miarowo wiosłarzy dobywały się jednocześnie stęknienia.

Odwrócił się do trierarchy, podniósł ramię i dał znak. Po obu końcach okrętu żeglarze chwycili liny i wciągnęli kotwice, a kilka chwil później na przenikliwy dźwięk piszczałki nadzorcy wiosłarze pociągnęli wiosłami i okręt ruszył.

– Każ ludziom załadować balistę, Tracjuszu – rozkazał centurionowi – a żeglarze z bosakami niech czekają w gotowości.

Tracjusz zaszalutował i ruszył do swoich obowiązków. Za każdym kolejnym, powtarzanym w coraz szybszym tempie pociągnięciem wiosła trirema nabierała rozpędu. Zapanował ożywiony ruch. Odciągano skręcone ramiona balisty;

uruchamiano system krążków, by opuścić kładkę zakończoną długim kolcem, który miał się wbić w pokład nieprzyjacielskiego statku. Żołnierze sprawdzali sprzęt, a żeglarze, trzymając w pogotowiu bosaki, zajmowali pozycje przy burtach i na dziobie. Stęknienia wioślarzy przybrały na sile, kiedy potężnymi pociągnięciami wiosła rozpędzali ten ogromny statek; wtórowali im wioślarze z trzech dwurzędowców po bokach i z tyłu trójrzędowca i ta kakofonia dźwięków towarzyszących ludzkiemu wysiłkowi mogła ostrzec Partów. Sabinus wiedział, że nie ma na to rady. Tak wielka liczba ludzi nie mogła wiosłować w kompletnej ciszy. Zależało mu tylko na tym, by dostrzec nieprzyjacielski statek, nim ten zdoła czmychnąć; wpatrywał się w ciemność, zapominając o mdłościach, podczas gdy znajdujący się pod nim taran miesił czarne wody w szarą pianę.

I nagle go zobaczył; ciemniejszy odcień na ciemnym morzu, delikatnie obrysowany światłem kilku latarni portowych. Okrzyki na pokładzie świadczyły o tym, że członkowie załogi również zauważyli ten widmowy obraz. Rozmazana i nieciągła, ale niewątpliwie rzeczywista plama stawała się coraz wyraźniejsza. Trirema mknęła ku swojej ofierze. Sabinus kazał kapitanowi przechwycić ją i staranować, i poczuł, jak okręt zmienia nieco kurs. Uśmiechnął się w duchu, gdy niespodziewanie zobaczył, jak z pojedynczego cienia powstają trzy oddzielne, jeden odsuwa się w lewo, drugi w prawo, a środkowy, odległy już teraz o niecałe pięćdziesiąt kroków, pozostaje na kursie kolizyjnym z triremą. Biremy z obu stron trójrzędowca ruszyły, by przechwycić dwa umykające statki.

– Puścić! – zawołał Tracjusz.

Z gwałtownym trzaskiem oba ramiona balisty skoczyły do przodu, wyrzucając pocisk w rysujący się coraz bliżej cień; głuchy łomot świadczył o uderzeniu w cel, jednak nie nastąpiły po nim żadne krzyki.

– Trzymać się! – ryknął centurion, kiedy odległość między dwoma okrętami dramatycznie się zmniejszyła; jego ludzie przyklękli na jednym kolanie, ściskając mocno tarcze i długie oszczepy, *pila*.

Od rufy dobiegł rozkaz wzmocniony tubą i natychmiast rozległ się zgrzyt wciąganych wiosła, co miało zapobiec poważnym szkodom, gdyby nieprzyjaciel spróbował przeorać im jedną z burt. Sabinus zacisnął dłonie na poręczy i opadł na kolana, kiedy wyłoniły się zarysy triremy takich samych rozmiarów jak jego. I taką samą masą i z takim samym jękiem drewna dwa okręty zwały się prawymi stronami dziobów. Zwolniono kładkę, która opadła z piskiem krążków, miażdżąc reling wrogiej jednostki; jednakże okręty nie znajdowały się równolegle do siebie i długi na stopę kolec zsunął się po boku kadłuba, nie wbiwszy się w pokład. Siłą rozpędu oba okręty wciąż napierały wzajemnie na siebie, ich tarany odbiły się od obłych kadłubów gwałtownie i trójrzędowce obróciły się w przeciwne strony, swoje lewe strony, a załoganci leżeli rozciągnięci na pokładach obu okrętów, nad którymi nikt nie sprawował kontroli.

Wysunawszy głowę ponad nadburcie, Sabinus zobaczył, że jego okręt obraca się w lewo, wokół swojej osi. Kierował się rufą prosto w rufę jednostki partyjskiej, obracającej się powoli, majestatycznie, niepowstrzymanie, w odwrotną stronę, jakby włączała się w jakiś przedziwny morski taniec.

– Tracjuszu, zabierz swoich ludzi na rufę i kiedy się zderzymy, postaraj się przymocować tamtych do nas linami.

Centurion uniósł się z pokładu, przywołując żeglarzy z bosakami i żołnierzy. Sabinus przyglądał się obojętnie ciężącym ku sobie okrętom. Zderzenie nimi zatrzęsło i rozległo się świdrujące w uszach trzeszczenie. Tracjuszem i jego żołnierzami rzuciło na deski pokładu, ale centurion, podnosząc się, wydał okrzyk i natychmiast wszyscy stanęli na nogi. Zza ich okrętu wyłoniła się z mroku trzecia rzymska birema, sunąc z prędkością taranowania. Z każdą chwilą coraz wyraźniej słychać było miarowe stękanie wysilających się wiosłarzy, a jej dziób pruł spienioną wodę, wymierzony prosto w burtę partyjskiego okrętu.

Nie tracąc rozpędu, mniejszy okręt wbił się w kadłub triremy, przeszywając obitym brązem taranem lite drewno stopę pod linią wody, z hukiem, który zagłuszył wszystkie inne. Wdzierając się głęboko w brzuch partyjskiego okrętu, ta główna broń biremy pośród wyrzucanych w powietrze fontann wody rozszarpała mu wnętrzności. Kiedy dziób dwurzędowca dotarł do boku partyjskiej triremy, utknął w miejscu, ale rozkołysał okręt, tak że dziura wybita przez taran powiększała się coraz bardziej.

Zarzucono haki, a Tracjusz ustawił żołnierzy do abordażu. Liny były już umocowane, kiedy z unieruchomionego okrętu poszybowały pierwsze strzały. Trafiały w tarcze żołnierzy i przelatowały z sykiem ponad triemą, ginąc w mroku; tu i ówdzie rozlegał się krzyk i jakiś załogant padał na deski, a pierzasta strzała drgała w wijącym się z bólu ciele. Z nieartykułowanym rykiem Tracjusz wskoczył na poręcz nadburcia i rzucił się na pokład wrogiego okrętu; bez chwili wahania jego żołnierze ruszyli za nim. Nieprzyjaciele uwijali się, starając utworzyć na swoim okręcie linię obrony.

Sabinus podniósł się i wrócił na rufę. Nie spieszył się; ryzykowanie życia czy kalectwa w rutynowym zadaniu oczyszczania wrogiego okrętu nie należało do jego obowiązków, zresztą Tracjusz i jego ludzie działali bardzo sprawnie; sformowali dwa szeregi i uderzyli na obrońców. Porywy wiatru chłostały deszczem rozkołyszany pokład, rozcieńczając krew zbryzgującą deski, podczas gdy żelazo zderzało się z żelazem, dudniło o okryte skórą drewno, tnąc ciała i kości przy akompaniamencie krzyków ofiar.

Za plecami żołnierzy, pod wiosłami sterowymi, leżeli martwi partyjscy sternicy oraz trierarcha, a także kilku łuczników zaskoczonych wdarciem się ludzi Tracjusza na ich okręt. Tuż obok trupów sześciu rzymskich żołnierzy pilnowało zejścia na pokład wiosłowy; długimi włóczniami dźgali przerażonych członków

partyjskiej załogi usiłujących uciec przed zalewającą ich wodą. W ten sposób żołnierze chronili tyły towarzyszy zajętych odpieraniem wschodnich, odzianych w spodnie obrońców, utrzymując żelazną dyscyplinę, jakiej Sabinus oczekiwał od zawodowej rzymskiej piechoty walczącej w zwartym szyku. Mając odciętą drogę w górę, wielu wiosłarzy przeciskało się przez otwory na wiosła, by próbować szczęścia w morzu. Tuż za nimi wciągano wiosła rzymskiej biremy, próbując oderwać się od uszkodzonego i wyraźnie już przechylonego partyjskiego okrętu. Pióra wiosel wzburzyły już i tak zmaconą wodę, topiąc tych, którzy starali się utrzymać na powierzchni. Część z nich wessała pod wodę, innym wiosła roztrzaskały czaszki i zmasakrowały twarze. Przy akompaniamencie przeraźliwego pisku drewna trącego o drewno birema powoli zaczęła się cofać.

Sabinus przeskoczył nad poręczą i wylądował na okaleczonym okręcie; mijając zabitych i rannych, wyciągnął miecz i ruszył w stronę potyczki, która przesunęła się już prawie do głównego masztu. Okręt podskoczył gwałtownie, kiedy biremie udało się wyrwać taran, po czym opadł, przechylając się mocno na rozdarty bok. Rzymianin zachwiał się, ale utrzymał równowagę; kołysanie okrętu spowodowało, że znowu żołądek podszedł mu do gardła. Kątem oka zauważył drobny ruch leżącego po lewej stronie człowieka. Zatrzymał się i wbił mu w gardło czubek miecza, obracając ostrze. Nie mógł ryzykować, by udający konającego nieprzyjaciel zaatakował go od tyłu. Wyciągnął broń, uwalniając powietrze, które z bulgotem wydobyło się przez gęstą ciecz; już ruszał dalej, kiedy raptownie się zatrzymał. Przez mrok wpatrzył się w twarz mężczyzny. Miał brodę, ale był to pełny zarost w stylu greckim, a nie ta bardziej przycięta wersja popularna u Partów. Na nogach mężczyzny zobaczył spodnie, jednak nie okrywała ich długa tunika. Rozejrzał się; wszyscy nieprzyjaciele nosili spodnie, jednak żaden nie miał ani tuniki, ani brody we wschodnim stylu, nie byli też uzbrojeni jak Partowie, w łuskową zbroję, plecione z wikliny tarcze, łuki oraz krótkie oszczepy i miecze, mieli uzbrojenie w stylu greckim, typowym dla północnego wybrzeża Morza Czarnego – owalne tarcze *thureos*, włócznie i krótkie miecze. Sabinus zaklął pod nosem, po czym pobiegł na miejsce, w którym leżał trierarcha; mężczyzna miał brodę barwy miedzi, naturalną, niefarbowaną. Kapitan na pewno nie był Partem.

Ten okręt nie przewoził poselstwa.

Poczuł, jak ogarnia go panika, podbiegł do barierki i rozejrzał się; na lewo jeden z okrętów eskorty został unieruchomiony przez biremę, po prawej nie widział nic. Za jego plecami żołnierze Tracjusza przełamali opór nieprzyjaciela.

– Chcę jeńców! – wrzasnął, widząc, jak centurion mieczem wyrąbuje sobie drogę pośród ustępujących nieprzyjaciół, a jego ludzie zbierają krwawe żniwo po obu stronach. Podbiegł do zwróconych do niego tyłem żołnierzy, przepychał się, wrzeszcząc, by brali jeńców, aż wreszcie dotarł do Tracjusza. – Jeńcy! Muszę mieć chociaż dwóch jeńców.

Centurion odwrócił się do niego i skinął głową. Rozochocony zabijaniem twarz i ramiona miał unurzane we krwi. Zawołał do podwładnych po bokach, a ci rzucili się do przodu za rozgromionym nieprzyjacielem. Sabinus szedł za nimi, pochylając się nad ciałami i sprawdzając, czy w którymś nie zostało dość życia, by mógł uzyskać informację, której rozpaczliwie potrzebował. Łajał się w duchu za to, że pozwolił, aby choroba morska go otumaniła, przez co błędnie założył, że partyjskie poselstwo spróbuje prześlizgnąć się obok jego flotylli. Nie pomyślał o możliwości celowego odwrócenia jego uwagi. Na którym z pozostałych dwóch okrętów płynęli wysłannicy?

I wtedy w jego głowie zaczęły dudnić te słowa: odwrócenie uwagi, odwrócenie uwagi. Poczul w gardle gorycz żółci i tym razem nie wywołało jej kołysanie okrętu. Dał się oszukać; na żadnym z tych okrętów nie było Partów. Pobiegnął na dziób, gdzie rozbrajano ostatnich dwudziestu nieprzyjaciół, i skierował wzrok na północ. Delikatne światło brzasku rozjaśniło grubą warstwę chmur.

– Gdzie chcesz ich przesłuchać, panie?

Tracjusz rzucił jeńca na kolana, szarpnięciem za włosy odchylił mu do tyłu głowę i przyłożył do gardła zakrwawione ostrze miecza.

Sabinus wpatrywał się posępnie w smukłą niewielką liburnę, dobrze widoczną w świtającej jasności. Sunęła pod pełnymi żaglami wspomaganymi wiosłami, mijając ich w odległości jakiejś mili, z szybkością niemożliwą do utrzymania przez triremę czy biremy.

– Już ich nie potrzebuję – odparł. – Skończ z nimi.

Rozpaczliwe, błagalne krzyki wydobyły się z ust jeńców, kiedy zabito pierwszego z nich. Sabinus poczul niesmak, ponieważ kazał ich zabić w przyływie urażonej dumy, bo dał się przechytrzyć.

– Wstrzymaj się, Tracjusz! – zawołał.

Centurion znieruchomiał i obejrzał się z czubkiem miecza przekłuwającym skórę na gardle drugiego z wrzeszczących jeńców.

– Wrzuć ich do wody, mogą spróbować szczęścia z pozostałymi. Potem zabierz ludzi z powrotem na nasz okręt.

Kiedy wykonywano jego rozkaz, Sabinus wrócił na triremę, zastanawiając się, jak ułożyć niełatwy list do Pallasa, będącego ulubionym obecnie wyzwolencem Klaudiusza i rzeczywistym władcą stojącym za tronem śliniącego się, dającego sobą kierować głupca. Nawet brat Sabinusa, Wespazjan, który dzięki wpływom Pallasa miał zostać konsulem dokooptowanym na dwa ostatnie miesiące roku, nie zdołałby uchronić go przed gniewem tych, którzy dzierżyli władzę.

I ich gniew byłby uzasadniony.

Sabinus nie miał złudzeń; zawiódł w sposób katastrofalny i poselstwo znajdowało się teraz w drodze, by złożyć raport Wielkiemu Królowi w jego stolicy, Ktezyfoncie, nad rzeką Tygrys.

Nie było sposobu ukryć winy. Pallas na pewno miał swoich agentów wśród Daków i wieści o poselstwie i porażce Sabinusa dotrą do niego za miesiąc czy dwa. Równie pewne było, że Narcyz i Kallistos, dwaj pozostali wyzwolenicy, koledzy i zarazem rywale Pallasa – przechytrzył ich, czyniąc Agrypinę cesarżową, tym samym obaj znaleźli się na drugim miejscu w chwiejnej ocenie Klaudiusza – również usłyszą o jego porażce. Na pewno wykorzystają to jako broń polityczną w zaciętej walce wewnętrznej nieustannie toczącej się w cesarskim pałacu.

Sabinus przeklinał słabość cesarza, która skutkowałą taką zapalną polityką, i przeklinał też mężczyzn i kobiety, którzy dla własnych korzyści ją wykorzystywali. Najbardziej jednak przeklinał własną słabość: niemiłe sensacje, jakie odczuwał za każdym razem, kiedy wchodził na pokład statku. Dzisiaj zmąciło mu to umysł i popełnił błąd.

To ta głupia słabość doprowadziła do tego, że zawiódł Rzym.

CZEŚĆ I

RZYM

GRUDZIEŃ 51 ROKU

Rozdział pierwszy

Bezustanny przenikliwy krzyk odbijał się echem od ścian i marmurowych kolumn atrium, stanowiąc istną torturę dla uszu.

Tytus Flawiusz Wespazjan zacisnął zęby, zdecydowany nie dać się wzruszyć temu rozpaczliwemu zawodzeniu – przerywane było tylko dla zaczerpnięcia oddechu i natychmiast podejmowane ze zdwojoną energią. Wiedział, że gdyby nie zmusił się do przetrzymania tego żalosnego lamentu, przegrałby walkę na siłę woli, a na to w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić.

Z zawiniątka trzymanego w ramionach jego małżonki dobyła się kolejna donośna skarga, a ruchy wiercącej się istotki były wyraźnie widoczne w blasku ognia z trzaskających i strzelających iskrami polan płonących na palenisku atrium. Wespazjan wzdrygnął się, uniósł głowę i zgiął w łokciu wystawioną przed siebie lewą rękę, a niewolnik zaczął drapować togę na jego umięśnionym, mocnym torsie, czemu przyglądał się bacznie Tytus, jedenastoletni syn Wespazjana.

Zadowolony z ułożenia ciężkiej wełnianej materii i wiedząc, że wrzaski nie ucichną, Wespazjan wsunął stopy w podsunięte przez niewolnika senatorskie pantofle z czerwonej skóry.

– Pięty, Hormusie – odezwał się.

Niewolnik przesunął palcem wzdłuż tylnej krawędzi każdego pantofla, by stopy jego pana wygodnie w nich tkwiły, po czym wstał i wycofał się. Tytus wciąż stał naprzeciwko ojca.

Starając się zachować spokój, podczas gdy krzyk stawał się coraz bardziej świdrujący, konsul przez chwilę w milczeniu przyglądał się synowi.

– Czy cesarz wciąż ma zwyczaj przychodzić, żeby sprawdzić postępy syna?
– zapytał w końcu.

– Prawie codziennie, ojcze. I wtedy zadaje różne pytania nie tylko Brytanikowi, ale również mnie i pozostałym chłopcom.

Wespazjan drgnął jedynie, kiedy rozległ się szczególnie przenikliwy wrzask, i jak gdyby nigdy nic rozmawiał dalej z synem.

– A co się dzieje, kiedy udzielicie niewłaściwej odpowiedzi?

– Po wyjściu Klaudiusza Sosibios spuszcza nam lanie.

Wespazjan nie powiedział synowi, jakie ma zdanie o jego nauczycielu. To właśnie fałszywe oskarżenia, które trzy lata wcześniej na rozkaz Messaliny wysunął Sosibios, zapoczątkowały ciąg wydarzeń zakończonych tym, że Wespazjan, chcąc chronić brata Sabinusa, musiał złożyć fałszywe zeznania przeciwko byłemu konsulowi, Azjatykowi. Jednakże wykorzystując Wespazjana, który na to ochoczo przystał, Azjatyk przygotował zemstę z za grobu i doprowadził do zgładzenia Messaliny. Wespazjan był świadkiem wrzasków i przekleństw tej kobiety, zanim wydała ostatnie tchnienie. Natomiast Sosibios wciąż tkwił

niezagrożony na swoim stanowisku, ponieważ fałszywe zeznania Wespazjana uwiarygodniły przedstawione przez niego sfabrykowane oskarżenia.

– Często wam łoi skórę?

Twarz Tytusa spoważniała. Wespazjan zauważył, jak wiele cech syn po nim odziedziczył. Co prawda szeroki nos chłopca był mniej wydatny, małżowiny uszne nie takie długie, szczęka nie taka ciężka, a gęsta czupryna nie przypominała niepełnego wianuszka włosów na jego własnej głowie, jednak pomimo tych różnic nie można się było pomylić: Tytus był jego synem.

– Tak, ojcze, ale Brytanik mówi, że nauczyciel to robi, bo tak każe jego macocha, cesarzowa.

– Zatem pozbaw Agrypinę tej przyjemności i postaraj się, żeby dzisiaj Sosibios nie miał powodu cię karać.

– Jeśli to zrobi, to już będzie ostatni raz. Brytanik wymyślił, jak można się go pozbyć i za jednym zamachem dokuczyć Neronowi.

Wespazjan zmierzwił włosy syna.

– Nie wdawaj się w żadne waśnie pomiędzy Brytanikiem i jego przyrodnim bratem.

– Zawsze będę wspierał mojego przyjaciela, ojcze.

– Tylko nie rób tego zbyt jawnie – powiedział Wespazjan i ujawszy syna pod brodę, przyjrzał mu się bacznie. – To niebezpieczne, rozumiesz?

Tytus skinął powoli głową.

– Tak, ojcze, rozumiem.

– Dobrze, możesz odejść. Hormusie, odprowadź Tytusa do jego eskorty. Czy ludzie z bractwa Magnusa czekają?

– Tak, panie.

Niewolnik wyprowadził chłopca. Wespazjan odwrócił się do Flawii Domicylli. Była jego małżonką od dwunastu lat. Teraz siedziała nieruchomo wpatrzona w ogień, nie robiąc nic, by uspokoić drące się wniebogłosy niemowlę.

– Jeśli chcesz, żeby moi klienci wzięli cię za mamkę, kiedy wpuszczę ich na poranne *salutio*, moja droga, to radzę, żebyś przystawiła Domicjana do piersi i zaczęła mu śpiewać galijskie kołysanki.

Flawia prychnęła, nie odwracając wzroku od płomieni.

– Przynajmniej wtedy pomyślą, że stać nas na galijską mamkę.

Jej mąż wysunął do przodu głowę i zmarszczył brwi, nie wierząc własnym uszom.

– Co ty opowiadasz, kobieto? Przecież mamy galijską mamkę, tyle że dzisiaj rano nie raczyłaś jej wezwać i wygląda na to, że postanowiłaś zagłodzić dziecko na śmierć. – Dla podkreślenia swoich słów wziął kawałek chleba pozostały ze śniadania, zanurzył w miseczce z oliwą i zaczął go z lubością przeżuwać.

– To nie Galijka! Ona jest z Hiszpanii.

Wespazjan powstrzymał się od okazania irytacji.

– Tak, z Hiszpanii, ale jest Celtyberyjką. Należy do tej samej rasy potężnych członków plemienia, którego kobiety wybierane są na mamki przez najbardziej wytworne panie w Rzymie. Po prostu jej przodkowie, przeprawiwszy się przez Ren, nie zatrzymali się w Galii, tylko ruszyli dalej przez góry, aż do Hiszpanii.

– Pewnie dlatego jej mleko jest takie chude, że kociak by na nim nie przeżył.

– Jej mleko nie różni się od mleka innych celtyckich kobiet.

– Twoja bratanica zdecydowanie woli mamkę z plemienia Allobrogów.

– To już nie moja sprawa, w czym Lucjusz Juniusz Petus ulega swojej małżonce. Natomiast uważam, że doprowadzenie do tego, by dziecko było głodne, dlatego tylko, że jego mamka nie pochodzi z modnego akurat celtyckiego plemienia, świadczy o nieodpowiedzialności matki.

– A ja uważam, że zmuszanie żony, by mieszkała pośród tego dziadostwa na Kwirynale, i jeszcze zabranianie jej kupna koniecznej do dbania o rodzinę liczby niewolników świadczy o niewrażliwości i bezduszości męża i ojca.

Wespazjan uśmiechnął się w duchu, ale ponieważ dotarli do sedna sprawy, zachował niewzruszony wyraz twarzy. Dwa i pół roku wcześniej wykorzystał swoją dobrą pozycję u Pallas, wtedy najpotężniejszej osoby na dworze Klaudiusza, by zabrać Flawię i dzieci z cesarskiego pałacu, gdzie zajmowali komnaty przez większość tych czterech lat, które Wespazjan spędził w Brytanii jako legat II legionu *Augusta*. Rzekomym powodem udzielenia przez cesarza gościny rodzinie legata była chęć, by ich synowie mogli kształcić się razem, a także dostarczenia Messalinie, ówczesnej małżonce Klaudiusza, godnej towarzyszki. Wespazjan znał prawdę i wiedział, że to Korwinus, brat Messaliny, a jego wieloletni wróg, namówił cesarza do złożenia tej propozycji, by sam mógł zostać panem życia i śmierci Flawii i dzieci. Kiedy Messalinę spotkał marny koniec, Pallas dotrzymał słowa i przekonał Klaudiusza, by pozwolił Wespazjanowi zabrać rodzinę do domu przy ulicy Granatów, na Kwirynale, niedaleko domu jego wuja, senatora Gajusza Wespazjusza Pollona.

Flawii bardzo się to nie spodobało.

– Jeśli ochronę mojej rodziny przed zagrożeniami, jakie niesie cesarska polityka, nazywasz niewrażliwością, a bezduszością rozwałę w wydawaniu pieniędzy, która nie pozwala narzucać sobie stylu jakimś modnisiom, to znaczy, moja droga, że doskonale poznałaś mój charakter. Złe jest, że Tytus musi udawać się codziennie do pałacu, by pobierać nauki razem z Brytanikiem, ale taka była cena Klaudiusza za zgodę, bym mógł was stamtąd zabrać. Po uśmierceniu matki chłopca nie chciał pozbawiać go na dodatek towarzysza zabaw. Chyba wspólna edukacja naszego syna i cesarskiego syna powinna zaspokoić twoją próżność, pomimo niebezpieczeństwa grożącego Tytusowi. Chyba jakoś rekompensuje ci to *dziadostwo*? – Zatoczył ręką krąg, wskazując przestronne atrium, w jakim się

znajdowali. Choć musiał przyznać, że daleko mu było do standardów pałacowych – dom wybudowano przed stu pięćdziesięciu laty, za czasów Gajusza Mariusza – braki świetności wystroju, z tą czarno-białą geometryczną mozaiką posadzki i wyblakłymi sielankowymi freskami, mającymi udawać widoki z okien, nadrabiała ekstrawagancja jego małżonki. Pomieszczenie wypełniały meble i ozdoby, które Flawia nabyła w okresie szaleństwa zakupów, kiedy znajdowała się pod wpływem rozrzutnej i rozpustnej Messaliny.

Wespazjan wzdrygał się za każdym razem, kiedy patrzył na przedstawiającą Wenus fontannę pośrodku basenu, niskie stoliki z polerowanego marmuru na połączonych nóżkach, zastawione ozdobnymi przedmiotami ze szkła i srebra, figurki z najlepszego brązu czy rżniętego kryształu, sofy i krzesła, rzeźbione, malowane i obite. W tym wszystkim nie chodziło mu o bezguście – z tym mógł sobie poradzić, choć raniło to jego umiłowanie do charakterystycznej dla wiejskich posiadłości prostoty – tylko o zmarnowane sumy pieniędzy, jakie ten wystrój pochłonał.

– Zapewne to – mówił dalej – że zazdrosne kobiety spierają się między sobą, czy Agrypina zgładzi Tytusa razem z Brytanikiem, kiedy będzie torować swojemu synowi Neronowi drogę do sukcesji po ojczymie, pozwala ci czuć się osobą wyjątkową i przyciągającą uwagę, bo czyż tego właśnie nie powinna chcieć każda szanująca się kobieta?

Flawia tak kurzowo uchwyciła ich dwumiesięcznego synka, że przez moment Wespazjan się obawiał, czy nie może to być ze szkodą dla dziecka. Po chwili uspokoiła się i wstała, ze łzami w oczach przytulając maleństwo do piersi.

– Powinieneś okazać mi trochę szacunku, Wespazjanie, po tym wszystkim, co zrobiłam dla ciebie, dla nas. Jesteś jednym z urzędujących konsulów. Powinnam się prezentować jak małżonka konsula, a nie jakaś zwykła nowobogacka osoba, która dopiero co weszła do warstwy ekwitów...

– I którą bezsprzecznie jesteś, tak jak i ja.

Flawia otworzyła usta, ale się nie odezwała.

– A teraz, moja droga, otworzę drzwi i wpuszczę tu klientów. Powitają mnie nie tylko jako pana tego dziadostwa, ale również jako konsula Rzymu, zdolnego wyświadczyć im nieocenione przysługi, i nieważne dla nich będzie, że pochodzę z sabińskiej rodziny, która może poszczycić się tylko jednym członkiem senatu przede mną i moim bratem, nie zwrócą też najmniejszej uwagi na mój prostacki sabiński akcent. A potem, po zakończeniu prywatnych spraw związanych z patronatem, publicznie już oddam w ręce cesarza do ukarania jednego z największych wrogów Rzymu. Jeśli chcesz, możesz przyjść z naszą córką, by to obejrzeć razem z wszystkimi innymi kobietami i cieszyć się fałszywymi komplementami, jakimi cię będą obdarzać. A może się wstydzisz pokazać wśród nich, ponieważ mąż kupił ci mamkę, która należy do plemienia tak niemodnego, że

jej mleko nie nadaje się do wykarmienia dziecka.

Wespazjan odwrócił się, dając znak odźwiernemu, by wpuścił klientów, i z ulgą usłyszał, że zawodzeniu jego najmłodszego dziecka towarzyszy energiczny stukot pantofli Flawii.

Wespazjan siedział na krześle kurulnym przed impluvium, pośrodku atrium; łagodny plusk wody wypływającej z dzbana na ramieniu Wenus słychać było nieprzerwanie, a coraz silniejsze światło poranka nadawało stalowy odcień jej malowanemu w naturalne barwy, skąpanemu w świetle lamp oliwnych nagiemu tułowiowi. Hormus stał za swoim panem i robił notatki na woskowej tabliczce. Z obu stron Wespazjana stało po sześciu liktorów, którzy mieli towarzyszyć konsulowi wszędzie, gdzie się udawał, niosąc *fascēs*, wiązki różg z wetkniętymi w nie toporami, jako symbol jego znaczącej władzy. Teraz jednak, kiedy już powitał go ostatni i najmniej ważny z mniej więcej dwóch setek jego klientów, Wespazjan korzystał nie z publicznej, lecz osobistej władzy.

– Nie będę cię dzisiaj potrzebował, Balbusie – oświadczył, skinąwszy głową stojącemu przed nim mężczyźnie. – Po odprowadzeniu mnie na Forum możesz wrócić do swoich spraw.

– Będę zaszczycony, konsulu – odparł Balbus, poprawiając zwykłą białą togę obywatela i usuwając się na bok.

– Ilu czeka na prywatną rozmowę, Hormusie? – spytał Wespazjan, rozglądając się po pokoju, gdzie w pełnej szacunku postawie mężczyźni rozmawiali ze sobą szeptem, czekając, aż ich patron opuści dom.

Niewolnik nie musiał niczego sprawdzać na tabliczce.

– Trzech, którym sam kazałeś pozostać, i siedmiu, którzy proszą o posłuchanie.

Wespazjan westchnął; zapowiadał się długi ranek. Ponieważ jednak tego dnia nie było posiedzenia senatu, miał jedną z rzadkich okazji, by zająć się sprawami osobistymi, zanim odwołają go od nich obowiązki publiczne, których zresztą oczekiwał z wielkim zainteresowaniem.

– Jest też człowiek, który nie jest twoim klientem, panie, a mimo to prosi o posłuchanie – dodał Hormus.

– Naprawdę? Jak brzmi jego imię?

– Agarpetos.

Wespazjanowi nic to nie mówiło.

– Jest klientem cesarskiego wyzwolenca Narcyza.

Konsul uniósł brwi.

– Klient Narcyza chce się ze mną zobaczyć? Chodzi o jakąś wiadomość czy będzie próbował się przypocholebić?

– Nie powiedział, panie.

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę, po czym wstał. Obowiązujące

zasady wymagały, by przyjął tego człowieka na końcu, po swoich klientach, zatem wiedział, że nieprędko zaspokoi ciekawość.

Najpierw musiał zająć się interesami.

Niewolnik kroczył za nim, a on szedł powoli i z godnością, jaka przystoi czołowemu dostojnikowi Rzymu, i mijając ludzi liczących na jego względy, udał się do *tablinum*, pomieszczenia oddzielonego kotarą w najdalszej części atrium, i zasiadł za biurkiem.

– Zacznę od tych trzech, których przysług potrzebuję, Hormusie, zgodnie z hierarchią ważności.

– Tego, co zrobił cesarz, kiedy pełnił urząd cenzora, cztery lata temu, nie da się już cofnąć, Leliuszu – powiedział Wespazjan, wysłuchawszy prośby ostatniego petenta, łysogo obywatela w szkarłatnej tunice z materii o eleganckim splocie, widocznej pod zwyczajną białą togą. Na jego szyi błyszczał ciężki złoty łańcuch.

– Ja to rozumiem, *patrone*, jednakże sytuacja uległa zmianie. – Leliusz wyciągnął spod togi zwój i podszedł do biurka. – Oto pokwitowanie od braci Kleliuszów z Forum Romanum. Opiewa na sto tysięcy denarów, czyli dokładnie tyle, ile potrzeba, by wejść do warstwy ekwitów. Klaudiusz miał całkowitą rację, odbierając mi rangę ekwicką cztery lata temu, ponieważ przez niemądre inwestycje mój majątek w nieruchomościach i gotówce skurczył się znacznie poniżej tej granicy. Natomiast obecnie, dzięki twemu bratu, który za twoim wstawiennictwem załatwił mi kontrakt na dostawę ciecierzycy flocie dunajskiej, los się odwrócił i finansowo spełniam już warunki, by wrócić do tej warstwy.

Wespazjan zerknął na pokwitowanie; było prawdziwe.

– Możliwe, że cesarz jeszcze przez kilka najbliższych lat nie zrewiduje listy członków – powiedział.

Leliusz załamał ręce, a w jego głosie pojawił się ton desperacji.

– Mój syn ma teraz siedemnaście lat, jedynie jako ekwita mogę mieć nadzieję na uzyskanie dla niego stanowiska trybuna wojskowego, tak żeby mógł podążyć *cursus honorum*. Za dwa czy trzy lata będzie już na to za późno.

Mimo okazywanej pewności siebie Leliusz był najwyraźniej jednym z wielu mężczyzn w średnim wieku, nad którymi wisi widmo starości, a którzy nie mają żadnych życiowych osiągnięć. Gdyby natomiast umożliwił synowi rozpoczęcie wojskowej i politycznej kariery prowadzącej do członkostwa w senacie, wtedy miałby podstawy twierdzić, że przyniósł zaszczyt swojej rodzinie, znacząco podnosząc jej status. Konsul doskonale rozumiał tę sytuację; to przecież ambicja jego własnych rodziców była siłą napędową, która doprowadziła obu braci do najwyższego stanowiska, jakie mógł osiągnąć obywatel – z wykluczeniem, co oczywiste, możliwości zostania cesarzem; to ostatnie było bowiem przywilejem jednego tylko rodu.

– Czy dobrze rozumiem, że prosisz mnie o dwie przysługi: po pierwsze,

abym użył swoich wpływów w otoczeniu cesarza, by Klaudiusz wpisał cię na listę ekwitów, a po drugie, bym poprosił mojego brata o stanowisko trybuna wojskowego dla twojego syna w jednym z jego dwóch legionów stacjonujących w Mezji? I to po tym, jak już skłoniłem go, by wydał ci lukratywny kontrakt na ciecierzycę.

Mężczyzna skrzywił się i wyjął z zanadru drugi zwój.

– Wiem, że proszę o wiele, patronie, ale też daję wiele w zamian. Wiem, że senatorom nie wolno zajmować się handlem. Nie widzę jednak powodu, dlaczego senator nie miałby czerpać korzyści z handlu prowadzonego przez kogoś innego. Oto dokument prawny, który czyni cię cichym współnikiem w moim interesie, z dziesięcioma procentami od zysku.

Wespazjan wziął zwój, przejrzał i nie odwracając się, podał przez ramię stojącemu za nim Hormusowi.

– Dobrze, Leliuszu, jeśli zmienisz to na dwanaście procent, zobaczę, co się da zrobić.

– Niech Hormus dokona tej zmiany w umowie, patronie.

– Zrobi to z przyjemnością.

Leliusz giął się w ukłonach, dziękując i wyrażając wdzięczność swojemu patronowi, a jednocześnie zacierał dłonie i prosił wszystkich bogów o błogosławieństwa dla konsula, gdy Hormus wyprowadzał go za kotarę.

Wespazjan wypił kilka łyków wina z wodą przed przyjęciem ostatniego już tego poranka suplikanta, wciąż zastanawiając się, co takiego może chcieć klient Narcyza.

– Tyberiusz Klaudiusz Agarpetos – oznajmił Hormus, wprowadzając gładko ogolonego mężczyznę, najwyraźniej zamożnego, sądząc po pierścieniach zdobiących wszystkie palce jego rąk, włącznie z kciukami. Miał oliwkową cerę, typową dla Greków z północy, skórę mocno napiętą na wydatnych kościach policzkowych i spiczasty nos. Pomimo dwóch rzymskich imion i mającego oficjalny charakter spotkania nie raczył włożyć togi.

Wespazjan nie poprosił, by usiadł.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Agarpetosie? – zapytał.

– Chodzi raczej o to, co ja mogę zrobić dla ciebie, konsulu. – Grek mówił tonem wyważonym, a jego ciemne niewzruszone oczy przez cały czas patrzyły nań badawczo.

– Co może zrobić dla mnie wyzwoleniec? Zakładam, że jesteś wyzwoleniec Narcyza, skoro nosisz jego imiona, które wziął od Klaudiusza, kiedy sam został przez niego wyzwolony.

– Zgadza się, konsulu. Narcyz wyzwolił mnie dwa lata temu i od tamtej pory wykonuję dla niego różne delikatne zadania dotyczące zbierania informacji.

– Rozumiem. Szpiegujesz na jego rzecz?

– Nie dosłownie. Zbieram informacje od jego agentów we wschodnich prowincjach i oceniam ich wiarygodność oraz znaczenie, żeby mój patron zajmował się tylko tym, co konieczne.

– Aha, czyli jesteś osobą, która oszczędza mu czas?

– Zgadza się.

– I która posiada wiedzę.

– Tak, konsulu. Oszczędzam czas i posiadam wiedzę.

Wespazjan dobrze wiedział, dokąd to wszystko prowadzi.

– Wiedzę, która może mieć dla mnie wartość?

– Dużą.

– Jaka jest cena?

– Spotkanie. Ty, twój wuj i mój patron.

Wespazjan zmarszczył brwi i przesunął dłonią po niemal łysej czaszce.

– Dlaczego Narcyz sam się do nas nie zwrócił? Może nie jest teraz w łaskach u Klaudiusza, ale wciąż jest cesarskim sekretarzem i jest władny wezwać do siebie konsula czy senatora.

– To prawda, ale jemu zależy na tym, by spotkanie odbyło się potajemnie, z dala od pałacu, poza zasięgiem oczu i uszu cesarzowej i jej kochanka.

– Pallas?

– Jak wiesz, mój patron i Pallas nie są ze sobą w najlepszych stosunkach...

– A jak *ty* wiesz, ja jestem lojalny wobec Pallas i nie chcę uczestniczyć w knutych przeciwko niemu spiskach Narcyza.

– Nawet gdyby Pallas świadomie pozwolił cesarzowej zatrzymać twoją karierę?

– Zatrzymać moją karierę? – rzucił kpiąco Wespazjan. – Czy wygląda na zatrzymaną? Jestem przecież konsulem.

– I na tym koniec. Nie będzie namiestnictwa prowincji, dowództwa wojskowego, niczego, tylko zapadanie się w polityczną nicość. Mój patron prosi, byś się zastanowił, dlaczego zostałeś konsulem jedynie na dwa ostatnie miesiące tego roku.

– Ponieważ moje czterdzieste drugie urodziny były w listopadzie i wcześniej nie spełniałem warunku wieku. Otrzymanie stanowiska współkonsula cesarza było wielkim zaszczytem.

– Nie ulega wątpliwości, że taka miernota jak Kalwencjusz Wetus Karminiusz myślał sobie to samo, kiedy został współkonsulem Klaudiusza na wrzesień i październik. Prawdę mówiąc, sądzę, że on uważał to za jeszcze większy zaszczyt niż ty, ponieważ nie dokonał niczego, by sobie zasłużyć na to stanowisko.

Wespazjan otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale się pohamował. Pozbierał myśli.

Tymczasem wyzwoleniec kontynuował wywód:

– Bo chyba większym zaszczytem byłoby, gdyby zwycięskiego legata Drugiego legionu *Augusta* uczyniono konsulem w styczniu przyszłego roku? Za kilka dni mógłbyś zostać młodszym konsulem na pełne sześć miesięcy, prawdopodobnie z cesarzem jako współkonsulem, a wtedy cały rok zostałby nazwany od waszych imion. Tymczasem tak się nie stało, po całej swojej lojalnej służbie w Brytanii dostałeś nędzny okruszek, dwumiesięczny konsulat, tak jak ten człowiek, który cię poprzedzał, a o którym nikt nie słyszał. A wiesz dlaczego?

Wespazjan nie odpowiedział; zbyt dużo myśli przelatywało mu przez głowę.

– Cesarzowa cię nienawidzi z powodu przyjaźni twojego syna z Brytanikiem, a Pallas jest bezsilny, bo przeciwko takiemu twojemu wrogowi nic nie zdziała. To ona przekonała swojego łatwowiernego małżonka, że będzie dla ciebie szczególnym zaszczytem, kiedy zostaniesz konsulem już pierwszego miesiąca po osiągnięciu wymaganego wieku, i to właśnie ona wstrzyma każdą nominację zaproponowaną dla ciebie po zakończeniu kadencji konsula, pierwszego stycznia, czyli za trzy dni. Jej śmierć to twoja jedyna nadzieja na dalszą karierę, a lojalność wobec Pallasa tej śmierci nie przybliży. Natomiast jeśli chodzi o Narcyza... – Agarpetos zawiesił głos.

Wespazjan wciąż milczał, nie przestając rozmyślać, i z każdą chwilą prawda wypowiedzianych słów stawała się dlań coraz bardziej oczywista. Nie wdał się w dyskusję, bo uświadomił sobie, że w istocie zawsze to wiedział i czuł się urażony, kiedy otrzymał konsulat na ostatnie dwa miesiące roku; w głębi duszy wiedział, że go zlekceważono, a poczucie, że spotkał go zaszczyt, przyćmiewało niezadowolenie. Ale skrywał te myśli głęboko.

– W jaki sposób mi przeszkodzi? – spytał.

– Twój brat właśnie wprost spektakularnie zawiódł Rzym...

– Co masz na myśli?

– To jest ta wiedza, która, jak sądziliśmy, cię zainteresuje. Narcyz to wyjaśni, jeśli się z nim spotkasz. Dość powiedzieć, że błąd popełniony przez Sabinusa posłuży za wystarczający pretekst, by przekreślić wszelkie ambicje kogokolwiek z twojej rodziny. Pallas nie może ci pomóc, pozostaje więc tylko jedna opcja.

Wiadomo było, że Narcyz zawsze trafia w sedno, ponieważ znakomicie opanował sztukę manipulacji. Wespazjan spojrzął na wyzwoleńca. Podjął już decyzję; nietrudno było wybierać pomiędzy popadnięciem w zapomnienie a nielojalnością.

– Dobrze, spotkam się z Narcyzem – powiedział.

Pierwszy raz podczas tej rozmowy Agarpetos zmienił wyraz twarzy. Jego cierpki uśmiech oznaczał, że spodziewał się takiej reakcji.

– Mój patron uznał, że najbezpieczniejszym miejscem spotkania będzie tawerna bractwa rozstajnych dróg Kwirynału Południowego; jak sądzi, klient

twojego wuja, Marek Salwiusz Magnus, wciąż mu przewodzi.

– Zgadza się.

– Doskonale, jego dyskrecji możemy być pewni. Narcyz i ja przybędziemy tam wieczorem o siódmej godzinie dnia, kiedy ludzie będą zajęci oglądaniem dzisiejszych egzekucji.

– Dzień dobry, drogi chłopcze! – zawołał charakterystycznym grzmiącym głosem Gajusz Wespazjan Pollo, człapiąc przez chwilę szybciej, by dostosować się do kroku siostrzeńca, a jego opasy brzuch, wydęte pośladki, obwisłe piersi i podbródki rozkołysały się w różnym rytmie. – Dziękuję za zaproszenie do wzięcia udziału w zaszczytnym zadaniu doprowadzenia więźniów do cesarza – wysapał.

Jego klienci podążali za nim, dołączywszy do Wespazjanowych, tworząc orszak złożony z ponad pięciuset osób towarzyszących obu krewnym w drodze w dół Kwirynału.

Wespazjan pochylił głowę.

– A ja ci dziękuję, wuju – powiedział – za użyczenie mi swoich klientów, by dodać znaczenia mojemu przybyciu na Forum.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To miło mieć znowu dla odmiany kroczących przed sobą liktorów.

– Nie ma jak odmiana – potwierdził ktoś zza pleców Gajusza – a dla mnie i moich chłopców jest szczególnie miła, bo nie musimy torować wam drogi przez tłum. Macie dziś prawdziwych fachowców. Czyż nie są w tym znakomici?

– W rzeczy samej, a na dodatek założę się, że mają z tego więcej satysfakcji, Magnusie – zauważył Gajusz, który zaczął się pocić, mimo że szli dostojnym krokiem i owiewał ich przejmujący zimowy wiatr. – W końcu liktorowi płacą i dlatego łączy interes z przyjemnością.

Na pokieszowanej twarzy Magnusa pojawił się wyraz oburzenia. Był pięściarz popatrzył z ukosa na swojego patrona jedynym ocalałym okiem. Malowana szklana kulka w lewym oczodole tkwiła nieruchomo.

– Chcesz powiedzieć, senatorze, że moich chłopców nie cieszy to zajęcie? Przecież nam za to płacisz, choć, zgoda, nie w taki sposób, jak Kolegium Liktorów opłaca swoich członków. Ty wynagradzasz nas subtelnie i bardziej namacalnie, co oznacza, że nasza robota jest niezwykle satysfakcjonująca, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan roześmiał się i ścisnął ramię przyjaciela. Mimo że Magnus był starszy od niego o dziewiętnaście lat i stał o wiele niżej w hierarchii społecznej, przyjaźnili się od czasu, kiedy Wespazjan jako szesnastoletni młodzieniec pierwszy raz przybył do Rzymu. On i jego wuj najlepiej wiedzieli, jak satysfakcjonująca jest dla Magnusa jego działalność w kryminalnym światku Rzymu.

– Wiem, mój przyjacielu. I cieszy mnie, że mimo upływu lat niezmiennie czerpiesz zadowolenie z pracy.

Magnus przesunął ręką po posiwiałych, ale wciąż gęstych włosach.

– Teraz to już sobie ze mnie kpisz, panie. Może i mam sześćdziesiątkę, ale wciąż jest we mnie ochota do bitki i chędożenia... choć odkąd straciłem oko, nie widzę już tak dobrze i przyznaję, że staje się to niejakim problemem. Nie jestem taki baczny jak kiedyś i niektóre z pobliskich bractw zaczynają to wyczuwać.

– Może przyszedł już czas, żeby się wycofać i odpocząć. Weź przykład ze swojego patrona... już od trzech lat nie wygłosił mowy w senacie.

Gajusz odgarnął z twarzy starannie zakręcony i ufarbowany lok i zaniepokojony spojrzał na siostrzeńca z niepokojem.

– Drogi chłopcze, chyba się temu nie dziwisz. Przecież moją ostatnią mową było odczytanie listy wszystkich senatorów i ekwitów oskarżonych razem z Messaliną o zbrodnie i skazanych na śmierć. Tego rodzaju występ publiczny zwraca na człowieka uwagę wszystkich i wciąż to czuję po trzech latach, mimo że przez cały ten czas nie brałem pod uwagę nawet możliwości posiadania własnej opinii, nie mówiąc już o jej wyrażaniu.

– Cóż, obawiam się, że możesz zostać wyrwany z tego stanu spoczynku, wuju.

Zaniepokojenie na twarzy Gajusza stało się jeszcze bardziej widoczne.

– Niby dlaczego? – zapytał.

– Nie dlaczego, tylko dla kogo, wuju.

– Dla Pallasas?

– Dobrze by było, ale niestety tak nie jest.

– Czy to mądre? – spytał Gajusz, kiedy Wespazjan skończył streszczać mu swoją rozmowę z Agarpetosem. – Jeśli odmówisz spotkania z Narcyzem, wciąż pozostanie szansa, że Pallasowi uda się wpłynąć na Agrypinę. Może przekona ją do zmiany zdania, a przynajmniej spowoduje, by nie była ci tak zdecydowanie przeciwna tylko dlatego, że twój syn jest przypadkowo najlepszym przyjacielem jej pasierba. Natomiast kiedy za plecami Pallasas udasz się do Narcyza, całe zaufanie i wiara w naszą lojalność prysną, a my stracimy najlepszego sojusznika, jakiego nasza rodzina ma w pałacu.

– Ale ten sojusznik jest kochankiem mojej nieprzyjaciółki.

– I niby dlatego Pallas stał się twoim wrogiem, a Narcyz, jako wróg Agrypiny, twoim przyjacielem? Drogi chłopcze, pomyśl tylko: przez sojusz z cesarzową Pallas nie zrobił nic poza ochroną własnej pozycji. Dokonał rozsądnego wyboru, zgadując, że to Neron, a nie Brytanik będzie następcą Klaudiusza, z prostego powodu, że jest trzy lata starszy. Klaudiusz nie pożyje dłużej niż dwa, może jeszcze trzy lata. Czy naprawdę sądzisz, że mały chłopiec mógłby rządzić?

Wespazjan zastanawiał się nad tym pytaniem, kiedy przechodzili pod kolumnadą i znaleźli się na forum Augusta, nad którym górowała pomalowana

jaskrawo świątynia Marsa Zwycięskiego, olśniewająca głęboką czerwienią i mocną złocistą żółcią. Na cokołach wokół forum stały posągi mężczyzn w togach albo strojach wojskowych, pomalowane na równie żywe kolory. Ich oczy – przy których sztuczne oko Magnusa wyglądało jeszcze tandetniej – zdawały się podążać za zajętymi swoimi sprawami ludźmi, zupełnie jakby ci wielcy mężowie wciąż przewodzili temu miastu.

– Nie, wuju, bez regenta nie mógłby – przyznał po namyśle konsul.

– I kto nim byłby w przypadku Brytanika? Jego matka, bogom niech będą dzięki, nie żyje, zostaje zatem jego wuj Korwinus, albo też Burrus, prefekt gwardii pretoriańskiej. Nikt nie aprobeuje żadnej z tych możliwości, wobec czego wszystko przemawia na korzyść Nerona, odkąd dwa tygodnie temu skończył czternaście lat i włożył męską togę. Jeśli Klaudiusz umrze jutro, to mamy już jego następcę.

– Jeśli Neron zostanie cesarzem, Agrypina dopilnuje, bym już nigdy nie sprawował żadnego urzędu.

– W takim razie odciągnij Tytusa od Brytanika i problem będzie rozwiązany.

– Czyżby? Klaudiusz poczułby się dotknięty, a co będzie, jeśli nas zaskoczy i pożyje jeszcze dziesięć lat?

Przeszli na forum Cezara, gdzie w cieniu wspaniałego konnego posągu niegdysiejszego dyktatora obywatele mogli wносить petycje do prefekta miasta i niższych rangą urzędników, Gajusz zastanowił się nad pytaniem siostrzeńca.

– Byłoby to wielce niefortunne – stwierdził w końcu – choć mało prawdopodobne.

– Ale nie niemożliwe. Skoro już zarobiłem na wrogość Agrypiny, to sądzisz, że mądrze byłoby próbować wkupić się w jej łaski, robiąc sobie wroga z Klaudiusza?

– Jeśli tak na to spojrzeć, to nie.

– To czy mamy inną możliwość, niż spotkać się z Narcyzem?

Rozległy się gromkie okrzyki, kiedy na Forum Romanum pojawiło się dwunastu Wespazjanowych liktorów, jako że obwieszczało to przybycie do senatu jednego z konsulów tym tysiącom obywateli, którzy przyszli, by być świadkami najwspanialszego dnia od czasu owacji Aulusa Plaucjusza cztery lata wcześniej. To miał być dzień, kiedy wielki nieprzyjaciel Rzymu, przywódca plemienia, który stał na czele oporu przeciwko jego najnowszemu podbojom, miał zapłacić za swoją zuchwałość i ponieść śmierć w obecności cesarza.

Wpierw jednak, pod nieobecność współkonsula, cesarza, który czekał w obozie pretorianów, za bramą Wiminalską, Wespazjan miał obowiązek złożyć ofiarę i odczytać wróżbę. Bogowie mieli ogłosić, czy dzień jest pomyślny dla zajmowania się sprawami miasta. Wespazjan nie wątpił, że okażą się przychylni.

Krew tryskała w rytmie bijącego serca do miedzianej misy ustawionej pod rozplataną szyją białego byczka. Senator senior zamroczył zwierzę ciosem

zadany drewnianym młotkiem w czoło, na chwilę przed tym, nim Wespazjan, nasunawszy na głowę togę, posłużył się nożem. Przednie nogi i barki byka, po których spływała już krew, zaczęły drżeć. Zwierzę wywiesiło ozór i wypróżniło się z chlupotem, po czym osunęło się na kolana przed gmachem senatu. Pięciuset senatorów mieszkających obecnie w mieście, stojących teraz na schodach Kurii Hostyliusza zgodnie z porządkiem pierwszeństwa, obserwowało z powagą i godnością odprawianie w samym sercu Rzymu prastarego rytuału.

Wespazjan cofnął się, żeby nie dosięgła go ani kropla tryskających nieczystości. Zabrudzenie togi konsula odprawiającego ceremonię to zły omen i wszystko trzeba by było powtórzyć. Senator senior nadzorował usuwanie przez dwóch niewolników publicznych napełnionej krwią misy tuż przed osunięciem się ofiary na ziemię.

Wespazjan wygłosił nad martwym zwierzęciem formułkę, w której apelował do Jowisza Najlepszego Największego o opiekę nad jego miastem. Te same słowa od założenia republiki powtarzali wszyscy jego poprzednicy na tym urzędzie. Czterech kolejnych niewolników przewróciło martwe zwierzę na grzbiet.

Kiedy Wespazjan ostrym nożem otworzył brzuch byczka, poczuł odór parujących wnętrzności. Tłum zamarł w oczekiwaniu. Po kilku starannie i fachowo wykonanych cięciach Wespazjan wyjął wciąż jeszcze ciepłe serce i pokazawszy je senatorom, a potem ekwitom stojącym na przedzie zgromadzonej cizby, włożył je w ogień płonący na ołtarzu Jowisza, usytuowanym przed otwartymi drzwiami Kurii, gdzie zaczęło syczeć i skwierczeć.

Dwóch niewolników stojących z obu stron martwego zwierzęcia odciągnęło jego żebra i konsul zaczął usuwać wątrobę. Była to trudna, wymagająca dużej zręczności czynność, jeśli nie chciało się poplamić sobie przy tym togi. Ponieważ przewodniczył już wielu ceremoniom składania ofiary, wiedział, że najważniejsze są spokój i cierpliwość; działając metodycznie, względnie szybko uporał się z zadaniem i złożył nieuszkodzony organ na stoliku obok ołtarza. Kawalkiem płótna, specjalnie tam umieszczonego, wytarł do czysta wątrobę z krwi i przesunął dłonią po jej powierzchni. Nagle zastygł i serce podskoczyło mu do gardła; ciężko oddychając, skupił wzrok na skazie, niemal purpurowej na czerwonobrazowym tle. Wiedział, że skaza jest zawsze nieregularna i nie tworzy konkretnego kształtu. Znak, który widniał na powierzchni wątroby, utworzony, jak się zdawało, przez dwie żyły znajdujące się tuż pod powierzchnią, miał wyraźny kształt, zupełnie jakby go wypalono żelazem. Podobnie właściciel niewolników piętnuje swoją własność: pojedynczą literą. I właśnie ta litera go zaskoczyła; małe, ale wyraźne „v”, od którego zaczynał się jego przydomek. Co więcej, znak znajdował się niemal dokładnie pośrodku wątroby, z lewej strony cienkiego środkowego płata; w miejscu, które haruspikowie, wróżbici etruscy, uważali za poświęcone Marsowi, jego bóstwu opiekuńczemu.

Wiedząc, że znak widoczny na darowanej przez Rzym Jowiszowi wątrobie, tak jawnie odnoszący się do niego jako mistrza ceremonii składania ofiary, można interpretować na wiele sposobów – z których większość wywołałaby zawiść osób dzierżących władzę – obrócił wątrobę na drugą stronę i przyjrzał się krzepiąco gładkiej powierzchni jej spodniej części. Potem, kryjąc pod kciukiem kłopotliwy znak, podniósł wątrobę, pokazał ją senatorowi seniorowi i oświadczył, że dzień jest pomyślny dla prowadzenia spraw Rzymu. Jednak wciąż miał przed oczyma ów omen.

– Niechże tak będzie! – zawołał senator piskliwym starczym głosem, kiedy Wespazjan umieszczał wątrobę w ogniu płonącym na ołtarzu. – Wyprowadzić więźniów!

Natychmiast zaczął się ruch wokół Tullianum, więzienia u podnóża Kapitolu, obok schodów Gemońskich, w cieniu świątyni Junony stojącej na północnym wierzchołku wzgórza zwanym Arx. Żołnierze kohorty miejskiej usunęli gapiów sprzed drzwi więzienia i centurion zastukał w nie laską.

Tłum ucichł w oczekiwaniu dalszych wydarzeń.

Po dłuższej chwili drzwi się otwarły i z wnętrza wynurzył się rząderek powłóczących nogami, zakutych w kajdany więźniów. W niezmaconej ciszy czekano na tego jedyne go człowieka, którego wszyscy przyszli zobaczyć.

I wreszcie w otwartych drzwiach pojawiła się zwalista postać mężczyzny, który musiał pochylić głowę, by przez nie przejść. Patrzący wstrzymali oddech. Człowiek ten nie był obszarpany i sponiewierany jak poprzedzający go więźniowie. Wprost przeciwnie; miał królewski strój i postawę.

– Bardzo pomysłowe – szepnął Gajusz. – Im bardziej wytwornie się go ubierze, tym wyżej się go wyniesie, dzięki czemu Klaudiusz zrobi wspaniałe wrażenie, kiedy go poniży i upokorzy.

Spiżowy hełm mężczyzny odbijał słabe światło słoneczne. Ręce miał skute, jednak kiedy tłum szyderczo buczał i syczał, dumnie wypiął okrytą ciężką kolczugą pierś. Wespazjan patrzył na człowieka, którego ostatni raz widział pamiętnej nocy pięć lat wcześniej. To on wynurzył się wtedy ze swoją armią z mrocznej północy i omal nie zaskoczył II *Augusta* podczas zajmowania pozycji. Patrzył na człowieka, który o mało nie unicestwił dowodzonego przez niego legionu.

Patrzył na Karatakusa.

Rozdział drugi

Mieszkańcy szydzili z jeńców pędzonych przez Forum Romanum. Obrzucali ich wyzwiskami i ciskali czym popadło. Tymczasem Karatakus udawał, że tego nie zauważa, rozglądał się wokół jak osoba pierwszy raz zwiedzająca najwspanialsze miasto na ziemi. Jednak na jego twarzy nie było onieśmienia, kiedy przyglądał się arkadowej fasadzie Tabularium i majestatycznym kolumnom widocznej wyżej świątyni Jowisza. Rumiana twarz nie wyrażała zachwytu, kiedy mijał świątynie Konkordii i Saturna. Jego szarych oczu nie wypełniał podziw, gdy znalazł się u stóp schodów prowadzących do siedziby senatu. Imponujące wąsy falowały na lekkim wietrze, kiedy wodził wzrokiem po poważnych twarzach pięciuset najbardziej godnych obywateli Rzymu, odzianych w białe togi obramowane szerokim purpurowym pasem, w czerwonym skórzanym obuwiu, w stosownych wojskowych wieńcach na głowach albo w asyście liktorów, w zależności od rangi.

Wespazjan stał na szczycie schodów, w samym środku senatorskiego korowodu, kiedy Karatakusa zatrzymano na dole. Uniósł ramiona, prosząc o ciszę, która nastąpiła, dopiero gdy ludzie się zorientowali, że sprawy nie posuną się dalej, dopóki nie zapanuje spokój.

– Karatakusie z plemina ludu Katuwelaunów – odezwał się konsul, wyraźnie i donośnie, podnosząc głos tak, by rozniósł się szeroko. – Zostałeś pokonany w walce zbrojnej i pojmany przez Rzym. Teraz sprowadzono cię tutaj i senatorowie zabiorą cię przed oblicze cesarza, który wyda wyrok. Czy masz coś do powiedzenia?

Karatakus wyprostował się i spojrzał Wespazjanowi w oczy.

– Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, konsulu rzymski i były legacie Drugiego legionu *Augusta*, któremu miałem zaszczyt przeciwstawić się w bitwie, pozdrawiam cię jako wojownika i wodza i wyrażam podziw dla twoich umiejętności, jakie wykazałeś przy ratowaniu życia swoich żołnierzy tamtej nocy, kiedy wciągnąłem was w zasadzkę. Oddaję ci cześć, konsulu.

Ku zdumieniu Wespazjana i wszystkich obecnych, brytański król wykonał rzymski salut, uderzając pięścią w klatkę piersiową.

– Mam dwie rzeczy do powiedzenia – ciągnął – zanim znajdę się przed obliczem cesarza. Po pierwsze, choć Rzym pokonał mnie w walce zbrojnej, to jednak nie Rzym mnie pojmał. Zdradziła mnie ta czarownica, królowa Brygantów Kartymandua, i jej mąż Wenucjusz, którzy pogwałcili zasady gościnności w sposób, jaki przyniósłby wstyd najbardziej prymitywnym ludom. Po drugie, Klaudiusz nie jest moim cesarzem. Gdyby nim był, nie znajdowałbym się tutaj, tylko na rodzinnej ziemi, gdzie kiedyś szczęśliwie żyłem. Jednakże z przyjemnością poznam człowieka, który pragnie posiadać jeszcze więcej niż to wszystko. – Wymownie zatoczył ręką krąg i zwrócił się do Wespazjana: – Prowadź

zatem, konsulu, bo bardzo jestem ciekaw spotkania z twoim cesarzem.

Dwunastu Wespazjanowych liktorów poprowadziło ich wzdłuż via Sacra, obok Domu Westalek, Regii i wielu innych godnych obejrzenia miejsc. Towarzyszył im jedynie dudniący pomruk tłumu. Nie padały już szyderstwa ani obelgi i nawet skórka z czerstwego chleba nie poleciała w stronę brytyjskiego króla, kroczącego z godnie podniesioną głową za Wespazjanem i innymi ważnymi osobistościami. Karatakus przewyższał o głowę większość z nich i liktorów. Wieści o jego słowach rozeszły się pośród tłumu i przyglądano mu się teraz z szacunkiem. Opuścił Forum, a reszta senatorów za nim, i skręcił w lewo, by ruszyć w górę vicus Patricius, gdzie budynki były już coraz mniej okazałe. W Suburze nędzne kamienice wspierały się o siebie nawzajem, a najbardziej ożywioną gałęzią handlu był nierząd.

Wespazjan jednak nic z tego wszystkiego nie rejestrował; jego myśli były kompletnie oderwane od rzeczywistości.

Od czasu, kiedy jako piętnastoletni chłopiec podsłuchiwał rozmowę rodziców o znakach widzianych podczas uroczystości nadania mu imienia, czuł, że jest pod szczególną opieką Marsa; nikt jednak nie chciał mu powiedzieć, jaka to była przepowiednia, ponieważ matka wymusiła na wszystkich przysięgę, że zachowają tajemnicę. Czy to, co zobaczył dzisiaj, było podobne do tamtych znaków? Litera „W” widoczna w miejscu należnym Marsowi, na wątrobie poświęconej przez niego najważniejszemu bogu Rzymu, Jowiszowi. Jednakże ta układanka miała wiele elementów i kiedy ostrożnie składał ją w całość, powstawał obraz, który już kiedyś pojawił się przed jego oczyma.

Wyrocznia Amfiaraosa w Oropos przechowywała wielowiekową przepowiednię, którą miała przekazać jedynie jemu i Sabinusowi. Astrolog Tyberiusza oznajmił staremu cesarzowi, że pewien senator, który był w Egipcie świadkiem odrodzenia Feniksa, założy kolejną dynastię cesarzy. Wespazjan był świadkiem tego wydarzenia w Siwie i w ogóle się tym nie przejął, dopóki Sabinus mu nie powiedział, że ta oaza była kiedyś częścią królestwa Egiptu. Potem była wyrocznia Amona i niezwykley dar od jego patronki, pani Antonii: miecz jej ojca, Marka Antoniusza, jednego z najznamienitszych Rzymian. I jeszcze nieśmiertelny druid brytyjski Myrddin, który powiedział Wespazjanowi, że widział, jaki los Mars dla niego przeznaczył. Owo przeznaczenie przerażało Myrddina, bo wiedział, że pewnego dnia Wespazjan posiadzie wielką moc i nie wykorzysta jej do powstrzymania choroby zatruwającej już serce Rzymu, która zniszczy dawne i prawdziwe religie. Dwukrotnie Myrddin próbował go zabić przy pomocy swoich powołanych czarodziejskimi sztuczkami do życia bogów, co stanowiło dowód, że bogowie istnieją i dysponują mocą. Wespazjan był pewien, że przeżył tylko dzięki opiece Marsa, i dlatego uznał, że to, co widział tego ranka, powinien traktować poważnie.

Wszystko to kłębiło mu się w głowie, kiedy prowadził procesję na spotkanie z dziedzicem dynastii julijsko-klaudyjskiej, dygoczącym, kuśtykającym, śliniącym się głupcem sterowanym przez własną żonę i wyzwolenców. Był wykształconym historykiem? Możliwe. Pedantycznym znawcą prawa? Bez wątpienia. Jednak czy był mądrym cesarzem, który waży słowa, czy tylko próżnym głupcem, nieceniącym talentów innych, człowiekiem przepełnionym urazą za lata poniżenia, hołubiącym błędne przekonanie, że jest jednym z najdoskonalszych umysłów swojej epoki?

Mało kto się głośniejsz odezwał, kiedy podążali w górę Wiminału. Mijali te lepsze domy rozpusty, również z męskimi prostytutkami, kierując się do bramy Wiminalskiej, za którą czekał zaśliniony głupiec. Wespazjan odsunął swoje sprawy na dalszy plan i zaczął się zastanawiać, jak cesarz potraktuje człowieka tak godnego szacunku jak Karatakus.

A potem pomyślał, jak on by postąpił na miejscu Klaudiusza.

Pretorianie stanęli na baczność. Ziemia zatrzęsła się pod jednoczesnym uderzeniem tysiąca stóp. Za szeregami kohort wrony zerwały się z dachów pretoriańskich koszar i bijąc chaotycznie skrzydłami, przeraźliwym krakaniem protestowały przeciwko przerwaniu im porannej drzemki. Hałas wydawanych rozkazów i łoskot towarzyszący ich wykonywaniu niosły się przez chwilę pomiędzy murami obozu a wysokimi ceglanyymi murami Serwiusza, po czym ucichły raptownie i słychać było tylko łopot sztandarów i delikatny świst wiatru w tysiącach pióropuszy z końskiego włosia. Co jakiś czas rozlegał się żalostny ptasi krzyk. Stojący sztywno żołnierze elitarniej rzymskiej jednostki wbili nieruchome spojrzenie przed siebie, nawet nie mrugając, kiedy senatorowie, z Wespazjanem na czele, przechodzili przez bramę Wiminalską, niosąc cesarzowi dar w postaci pojmanego króla i jego orszaku.

Klaudiusz siedział na jednym z dwóch podiów pomiędzy gwardią pretoriańską a małżonkami i dziećmi znamienitych obywateli Rzymu. Flawia z ośmioletnią Domicyllą zajmowała honorowe miejsce z przodu; duma kobiety ze stanowiska męża była widoczna w pozie, jaką przybrała. Siedziała wyprostowana jak struna i odłożywszy chwilowo na bok zmartwienie mamkami, obracała głowę z jednej strony na drugą, reagując w ten sposób na rzeczywiste czy wyimaginowane komplementy innych pań.

Senatorowie kroczyli powoli, bez pośpiechu, dając każdemu pretorianinowi okazję rzucenia okiem na buntowniczego króla, nim uduszony padnie we własnych odchodach u stóp cesarza. Nawet z daleka widoczny był nerwowy tik Klaudiusza, rzucanie głową i drgania kończyn, podczas gdy procesja zbliżała się do niego.

Wespazjan poczuł niesmak na widok Agrypiny zajmującej drugie podium. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie została wywyższona do poziomu pierwszego obywatela Rzymu. Nawet Liwia, małżonka Augusta, nie starała się o taki zaszczyt

i Kleopatra również go nie dostąpiła, kiedy niemal stulecie wcześniej odwiedziła dyktatora Gajusza Juliusza Cezara, swojego kochanka i ojca jej syna. I oto tutaj potomkini w linii prostej tych dwóch wielkich mężów, teraz już dobrze po czterdziestce, zachowywała się tak, jakby była im równa. Jej wuj i zarazem mąż podrygiwał i ocierał ślinę skrajem togi; wyglądał zupełnie niedorzecznie w laurowym wieńcu i purpurze.

Wokół podwyższeń ustawiono wszystkich tych, którzy czerpali korzyści z bliskich stosunków z cesarzem lub jego małżonką, albo z obojgiem. Pośrodku stał Pallas, z brodą i włosami przyprószonymi już siwizną i jak zwykle nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Tylko raz Wespazjan miał okazję zobaczyć go bez tej maski.

Czternastoletni Neron stojący pomiędzy Pallasem i Agrypiną wyglądał jak młody bóg. Miał delikatną mleczną cerę i gęstwinę loków w złocistorubinowym kolorze przedświt. Lekko odwrócony bokiem, z lewą stopą wysuniętą do przodu, odziany był w senatorską togę, którą senat przyznał mu w głosowaniu razem z rangą prokonsula, kiedy doszedł do pełnoletności. Nie mógł się z nim równać stojący po drugiej stronie Pallasa dziesięcioletni Brytanik, jeszcze w dziecięcej todze z wąskim purpurowym szlaczkiem. Skromna toga i odziedziczone po ojcu proste brązowe włosy, podłużna twarz i głęboko osadzone oczy, wszystko to w sensie fizycznym chowało go w cieniu olśniewającego Księcia Młodzieży, jak tytułowano teraz jego przyrodniego brata.

Zza pleców Brytanika jego siostra, Klaudia Oktawia, oczarowana urokiem przyrodniego brata zerkiała na Nerona z częstotliwością typową dla dorastającej paniarki.

Nauczyciel Nerona, Lucjusz Anneusz Seneka, oraz nauczyciel Brytanika, Sosibios, obaj po pięćdziesiątce i obaj tędzy, trzymali się blisko swoich podopiecznych, pilnując, by ich maniery były nienaganne. Każde bowiem uchybienie pociągnęłyby za sobą niemiłe konsekwencje dla nich samych.

W cieniu nauczycieli kryli się dwaj wyzwoleńcy. Pulchny i brodaty Narcyz, o pełnej twarzy, był obwieszony klejnotami. Szczupły, łysy Kallistos załamywał nerwowo ręce i łypał podejrzliwie, jakby otaczali go sami wrogowie. Obaj wciąż zajmowali dające władzę stanowiska, ale utracili dawny wpływ na cesarza. Zawdzięczali to Pallasowi. Narcyz zauważył spojrzenie Wespazjana i leciutko skinął głową, zaskakując konsula, ponieważ wyzwoleniec nie miał zwyczaju zachowywać się tak niedyskretnie. Konsul zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to oznaka jego desperacji.

Wzrok Wespazjana spoczął na kobiecie, która była jego kochanką już od ponad dwudziestu pięciu lat. Niebieskooka Cenis, piękna jak zawsze, obdarzyła go krótkim uśmiechem, kiedy zatrzymał się pięć kroków od podwyższenia. Wcześniej była sekretarką Narcyza i Pallas przejął jej usługi, kiedy wyszedł zwycięsko ze

zmagają z kolegami wyzwolencami i został rzeczywistym władcą Rzymu. Teraz przed Cenis klęczał niewolnik z pulpitem na plecach, a ona gotowa była zapisywać przemówienia na woskowych tabliczkach. Flawia tolerowała Cenis, którą Wespazjan kochał, ale nie mógł jej poślubić z powodu obowiązującego senatorów zakazu zawierania małżeństw z kobietami wyzwolonymi, a ona przecież urodziła się niewolnicą.

Liktorzy konsula i wszyscy inni urzędnicy przesunęli się w lewo, pozostawiając więźniów otoczonych gromadą senatorów.

Nastąpiła przerwa, kiedy to Klaudiusz mobilizował się, poruszając ustami. Wreszcie, pryskając śliną, wydusił:

– C-c-cóż takiego sprowadził m-m-mi mój lojalny s-s-senat?

Wespazjan postąpił dwa kroki ku cesarzowi.

– Princepsie i współkonsulu, w imieniu całego senatu mamy zaszczyt przekazać dar od Publiusza Ostoriusza Skapuli, namiestnika prowincji Brytania. Mamy tutaj w łańcuchach zbuntowanego króla Katuwelaunów, Karatakusa, i niedobitki jego zwolenników.

Mimo że wszystko to wcześniej przewidziano, Klaudiusz udał zaskoczenie.

– Karatakus? – spytał. – Znam to imię. Co mam z nim uczynić?

– Prosimy o jego osądzenie.

– Za jaką z-z-zbrodnię?

Wespazjan starał się zachować powagę, odgrywając tę farsę.

– Ten człowiek – odparł – odmówił złożenia ci pokłonu po twojej wspaniałej pacyfikacji wyspy.

Wespazjan doskonale wiedział, jak bardzo naciąga fakty. Do podbicia Brytanii było jeszcze daleko, ale tego nikt nie ważył się przyznać publicznie, skoro cesarz odbył już triumf z okazji odniesionego zwycięstwa i łaskawie pozwolił Aulusowi Plaucjuszowi na owację po powrocie do Rzymu. Właśnie dlatego przyprowadzono Karatakusa z Forum tutaj, by egzekucja odbyła się za murami, odwrotnie niż w przypadku triumfu. Sugerowanie, że operacje militarne, z udziałem czterech legionów i równej im liczbie żołnierzy oddziałów pomocniczych, które wciąż trwały w tej najnowszej prowincji, były czymś więcej niż oczyszczeniem terenu z resztek buntowników, pomniejszyłoby zwycięstwo Klaudiusza i podważyło zasadność jego triumfu. Wzmocnienie pozycji cesarza jako tego, którego otacza nimb zdobywcy, było jedynym celem wyzwolenców, kiedy dali rozkaz przeprowadzenia tego nieprzemysłanego przedsięwzięcia.

Przez dłuższą chwilę Klaudiusz udawał, że rozważa problem, pocierając teatralnie wilgotny podbródek, podczas gdy wszyscy obecni ze wszystkich sił starali się ukryć zażenowanie.

– Zasłużył na ś-ś-śmierć – oświadczył wreszcie cesarz. – Burrusie!

Stojący za Cenis nowy prefekt gwardii pretoriańskiej Sekstus Afraniusz

Burrus, wybrany na to stanowisko przez Agrypinę, wysunął się do przodu i wrzasnął:

– Do egzekucji wystąpić!

Sześciu mężczyzn z garotami wyszło z szeregów, a kolejnych dwunastu wyprowadziło jeńców do przodu. Kobiety i niektórzy młodszy chłopcy padli na kolana przed tym ucieleśnieniem cesarstwa wierzącym się na krześle kurulnym i łamaną łaciną błagali o darowanie życia, rwąc włosy z głów i drąc szaty, podczas gdy ich kaci ustawiali się w szeregu za ich plecami.

Wespazjan spojrział na Karatakusa, mając nadzieję, że człowiek, który był tak godnym przeciwnikiem, nie zniży się do poziomu niektórych członków swojej świty. Nie rozczarował się. Król Brytów stał wyprostowany, dumny, gardząc błaganiem o życie. Nie okazał żadnych oznak niedowierzania na widok tak niecesarskiego wyglądu Klaudiusza, a kiedy zauważył spojrzenie władcy Rzymu, schylił leciutko głowę, jakby pozdrawiał kogoś równego sobie.

Klaudiusz zmarszczył brwi i podniósł rękę, nakazując ciszę.

– Z-z-zanim b-b-buntownik umrze, niech wytłumaczy się ze swoich uczynków.

Karatakus podniósł ręce, by wszyscy mogli zobaczyć łańcuchy.

– Gdyby moja powściągliwość w dobrych dla mnie czasach – zaczął – dorównywała mojemu honorowi i szlachtetnemu urodzeniu, znalazłbym się w Rzymie jako wasz przyjaciel, a nie jeńiec. Nie powstydzilibyście się przyjęcia króla pochodzącego od tak znakomitych przodków, pana wielu ludów, i podpisałibyśmy traktat o wzajemnej przyjaźni i pokoju. Tymczasem teraz moje upokorzenie jest dla was równie wspaniałe, jak dla mnie poniżające. Jednakże sam doprowadziłem do tej sytuacji. Miałem ludzi, konie, broń i bogactwo. Czyż można mnie winić za to, że nie chciałem się z tym wszystkim rozstawać? Jeśli wy, Rzymianie, którzy mieszkacie w marmurowych rezydencjach i posiadacie tak wiele, chcecie być panami świata, czy ma z tego wynikać, że my, w naszych chatkach z gliny, którzy posiadamy niewiele w porównaniu z wami, mamy godzić się na niewolę? Jestem tutaj jako wasz jeńiec, ponieważ moja duma nie pozwoliła mi oddać wam wszystkiego, co posiadałem. Jednak powiem ci tyle, cesarzu Rzymian: ani mój upadek, ani twój triumf nie staną się sławne. Będę tylko kolejnym królem zdeptanym przez ciebie. Poniosę karę i odejdę w nicość, a twoje zwycięstwo zostanie wkrótce zapomniane. Jeśli natomiast darujesz mi życie, stanę się na zawsze pomnikiem twojej łaskawości i przyniosę chwałę twojemu imieniu.

Klaudiusz gapił się na brytańskiego króla. Poruszając szczęką, jakby przeżuwał jakąś oporną chrząstkę, ważył w myślach jego słowa.

Podczas gdy on się wahał, Agrypina zerwała się z miejsca i wyciągnęła ramiona ku Karatakusowi.

– Poruszyła mnie twoja wymowność – powiedziała. Po jej policzku spłynęła

łza, jakby dla podkreślenia prawdziwości tego stwierdzenia. Zwróciła się do swojego syna i zapytała: – A co sądzi Neron Klaudiusz Cezar Druzus Germanik, Księżę Młodzieży?

Neron podjął grę matki, westchnął głęboko i zupełnie jakby przeżywał wielkie wzruszenie, zapłakał.

– Sądzę, najdroższa matko, że w tym jednym przypadku mój ojciec okazałby łaskę. Litościwy władca to władca godny uznania i będzie sławiony w pismach i pieśniach. – Spojrzał w stronę Brytanika, a jego nauczyciel, Seneka, nie kryjąc samozadowolenia, kiwał głową z aprobatą. – Jestem pewien, że mój brat zgodzi się ze mną.

Brytanik nie spojrzał w oczy przyrodniemu bratu.

– Władca, który nie ukarze buntowników, zachęca do kolejnych rebelii – oznajmił. Pokiwano głowami w reakcji na taką mądrą uwagę wygłoszoną przez tak młodego człowieka. – Uważam, że *Domicjusz* się myli.

Wokół podwyższeń zapadła cisza i wszystkie oczy skierowały się na cesarza, żeby zobaczyć, czy skarci rodzzonego syna za obrazę tego adoptowanego. Przerażony Sosibios zbladł i z otwartymi ustami wpatrywał się w swojego ucznia. Wespazjan zobaczył, jak jego syn, Tytus, stojący w grupie młodzieńców należących do cesarskiego domu, uśmiecha się bezwiednie, po czym przybiera wstrząśnięty wyraz twarzy, taki, jaki prezentowali jego towarzysze.

Klaudiusz rzucał głową i dygotał pod lodowatym spojrzeniem małżonki. Niczym kochanek w komedii Neron padł melodramatycznie na kolana, zalewając się łzami. Gładko przybrał doskonałą pozę błagalnika, a Seneka współczującym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

– Ojczy, nie pozwól bratu się mnie wyrzekać – powiedział. Odrzucił do tyłu głowę, przesuwając ręką po bujnych płomiennych lokach, po czym przyłożył wierzch drugiej dłoni do czoła i zwrócił się do niebios: – Bogowie mi świadkami, że przestałem być członkiem rodu Domicjuszów, kiedy mnie zaadoptowałeś, ojczy.

Gardło Klaudiusza ścisnęło się, kiedy cesarz usiłował wymówić słowo; w końcu eksplodowało ono z jego ust:

– Brytaniku! – Imię odbiło się echem od murów. – Przepróż!

Jednak jego syn nie stchórzył.

– Prawowity dziedzic purpury nie przeprosza nikogo – oświadczył. – Powinieneś popierać tych, w których żyłach płynie twoja julijsko-klaudyjska krew, przeciwko tym skażonym krwią Domicjuszów. Twierdzą, że Karatakus powinien umrzeć. – Popatrzył gniewnie na rywala, który właśnie koniuszkami palców zbierał łzy i pokazywał je tłumowi.

Klaudiusz wyciągnął pięść, zupełnie jakby osądzał walkę gladiatorów, trzymając kciuk w zaciśniętej dłoni, na podobieństwo miecza w pochwie.

–K-k-karatakus będzie żyć! A także jego świta – zdecydował.

Burrus zwrócił spojrzenie na cesarzową. Agrypina spiorunowała wzrokiem Brytanika, po czym z triumfalnym uśmiechem skinęła głową.

– Głoście wspaniałomyślność cesarza! – rozkazał żołnierzom swoich kohort prefekt pretorianów.

Ryk z dziewięciu tysięcy gardeł wzniósł się ku niebu, raz jeszcze podrywając wrony z dachów. Jeńcy padli na kolana przed podium Klaudiusza i wyciągnęli ręce, by dotknąć jego stóp. Karatakus postąpił do przodu, skłonił się przed cesarzem, potem cesarzową i jej synem, który zdążył już wstać i przyjąć odpowiednią pozę. Z dłonią położoną na sercu kręcił powoli głową, wpatrując się gdzieś w dal, jakby szukał słów, które mogłyby wyrazić wspaniałość cesarskiego aktu łaski.

Karatakus spojrział na Burrusa i wskazał na swoje łańcuchy.

– Mamy tu bardzo sprytnego człowieka – szepnął Gajusz do ucha Wespazjanowi, kiedy przy wtórze ponowionych pochwalnych okrzyków pretorianów wyzwolono Karatakusa z łańcuchów.

– A tam mamy bardzo nieszczęśliwego chłopca i bardzo wystraszonego nauczyciela. – Wespazjan wskazał na Sosibiosa prowadzącego Brytanika z powrotem do grupy młodzików. – Ciekawe, czy ośmieli się ostatni raz spuścić mu lanie, zanim zacznie szukać sobie jakiegoś nowego stanowiska.

Sosibios zerknął przerażony na Agrypinę, a Brytanik z nieukrywaną nienawiścią spojrział na Klaudiusza, podczas gdy senator senior rozpoczął pierwsze z wielu czołobitnych przemówień. Kolejno senatorowie rozplýwali się nad miłosierdziem człowieka, który skazał na śmierć większą liczbę spośród nich oraz ekwitów niż jego poprzednik, Kaligula.

Słońce minęło już najwyższy punkt na niebie, kiedy Klaudiusz, dawno już pochłonawszy wszystkie przekąski, jakie mu przynoszono podczas trwania kolejnych mów, zmęczył się wysłuchiowaniem pochwał na pusty żołądek i wezwał lektykę.

Wespazjan zamknął ceremonię, proponując na następny dzień debatę w senacie nad głosowaniem dotyczącym ustawienia w świątyni Zgody posągu cesarza z brązu – dwa razy większego od naturalnych rozmiarów – w uznaniu jego wielkoduszności oraz umiejętności zaprowadzania zgody pomiędzy wszystkimi ludami.

Bardzo to pochlebiło cesarzowi i zadowolony oddalił się w lektyce, w której pomógł mu zasiąść Karatakus. Najnowszy członek warstwy ekwitów był już dumnym właścicielem willi na Eskwilinie, należącej kiedyś do senatora, który fałszywie oskarżony przez Agrypinę o zdradę został stracony.

– Myślę, że znakomicie sobie poradziłeś, drogi chłopcze – zauważył Gajusz, kiedy patrzyli, jak cesarzowa rzuca ostatnie jadowite spojrzenie w kierunku Brytanika i oddala się z Neronem, który tuż przed zasunięciem zasłonek lektyki

kładzie głowę na jej piersi. – Senat zagłosuje za posągiem Klaudiusza, a on ci za to podziękuje, kiedy za trzy dni przestaniesz być konsulem.

– Może podziękuje, ale mnie nie wynagrodzi, wuju.

– Możliwe, że cię wynagrodzi – rozległ się męski głos tuż za ich plecami. – Miał nawet pewne plany. – Każdy z nich poczuł na ramieniu czyjąś rękę, a obróciwszy się, ujrzeli Pallasa. Grek pochylił głowę. – I może nawet zgodne z twoimi oczekiwaniami – dodał.

– Zgodne z moimi oczekiwaniami byłoby przyznanie mi prowincji, i to nie senatorskiej, tylko cesarskiej, z legionami i szansą wojskowej chwały. Takiej, jaką dostał mój brat.

– Zasługujesz na to, ale niestety...

– Niestety, naraziłem się cesarzowej, bo mój syn przyjaźni się z rywalem jej syna – dokończył za niego Wespazjan.

– Przyznam, że wydaje się to bezsensowne, jeśli tak to się ujmie, jednak chodzi o coś więcej, o wiele więcej. Panowie, proszę ze mną. – Pallas skierował ich z powrotem ku bramie; liktorzy konsula ruszyli za nim, zamiast go poprzedzać, bo nie wiedzieli, dokąd się udaje. – Możemy przyjąć, że ta rozmowa będzie poufna, jak bywa między znającymi się od dawna i darzącymi się zaufaniem przyjaciółmi?

Wespazjan zerknął na wuja z lekkim poczuciem winy.

– Oczywiście, Pallasie – odparł.

– Nie będziesz zatem próbował zaprzeczać, kiedy powiem, że wiem o waszym potajemnym spotkaniu z Narcyzem dziś wieczorem?

Wespazjan napotkał spojrzenie Pallasa i kiwnął głową. Gajusz rzucił coś o przymusie. Wokół nich rozbrzmiewały rogi, centurioni ryknęli, a żołnierze gwardii pretoriańskiej jak jeden mąż tupnęli nogami, trzasnęli bronią i kohorta za kohortą ruszyli w powrotny marsz do obozu, przy wyrażanym głośno podziwie obserwujących ich kobiet.

– Nie winię was za zgodę na spotkanie. Sposób, w jaki to przedstawiono, ograniczył wam pole manewru. Oto wierny syn Rzymu odsunięty przez chowającą do niego urazę kobietę. Zagubiony i pozbawiony przyjaciół, a tu Narcyz przychodzi mu na pomoc, raz jeszcze oferując możliwość awansu. Nie zamierzam wam odradzać tego spotkania. Wręcz przeciwnie. Chcę, byście porozmawiali z Narcyzem i zgodzili się na wszystko, co powie. Bez wątpienia planuje odsunąć mnie na bok i znów zająć pozycję najbardziej wpływowego doradcy Klaudiusza. Chcę wiedzieć, jak się zamierza do tego zabrać, zatem to spotkanie może okazać się niezwykle interesujące.

– Skąd o tym wiesz, Pallasie? Dopiero dziś rano zdecydowałem się z nim spotkać.

– To powinno stanowić odpowiedź na twoje pytanie.

– Ale przecież wysłannik Narcyza, Agarpetos, i mój niewolnik Hormus są

jedynymi ludźmi, którzy o tym wiedzą, nie licząc, naturalnie, mojego wuja i Magnusa.

– Ufasz swojemu niewolnikowi?

– Bezgranicznie. – Wespazjan umilkł na chwilę, po czym wyraził oczywisty wniosek: – A zatem Agarpetos pracuje dla ciebie, Pallasie.

– Nieświadomie. Po prostu każę obserwować jego ruchy i kiedy udaje się do miejsca, które mnie interesuje, na przykład do twojego domu dziś rano, badam rzecz bardziej szczegółowo. Agarpetos jest bardzo przywiązany do młodzieńca, z którym dzieli łożę, i wiele spraw z nim omawia. Na jego nieszczęście ów młody człowiek ma więcej miłości do brzęczącej monety niż szacunku dla prywatności swojego kochanka. Jeden złoty aureus wystarczył, bym się dowiedział o twoim spotkaniu z Narcyzem, a kiedy zauważyłem spojrzenie, jakie między sobą wymieniliście po twoim przybyciu tutaj, wiedziałem, że to nie był wyłudzony pieniądz. A jeśli chodzi o czas i miejsce, mogłem odgadnąć, że nie będzie to pałac, z oczywistych powodów, i dlatego Narcyz postąpiłby mądrze, wykorzystując zaplanowane na dzisiejszy wieczór uroczystości, by niezauważenie prześlizgnąć się przez miasto. Odbędą się, mimo że cesarz ułaskawił Karatakusa. Teraz tą zabawą uczczą łaskawość zwycięskiego Klaudiusza, a nie jego zdolność do unicestwienia wszelkich nieprzyjaciół. Nie mam pewności, dokąd Narcyz będzie podążał pośród tych radosnych wydarzeń – ciągnął Pallas. – W każdym razie na jego miejscu wybrałbym tawernę Magnusa, ponieważ jego lojalność wobec ciebie zapewniłaby Narcyzowi całkowite bezpieczeństwo.

Wespazjan mógł się tylko uśmiechnąć.

– Utrzymanie czegokolwiek w tajemnicy przed tobą najwyraźniej nie ma najmniejszego sensu. Podejrzewam, że wiesz, co zamierzamy omawiać, mimo że ja sam nie mam jeszcze o tym pojęcia?

– Tego nie wiem, ale chcę, byś po spotkaniu opowiedział wszystko Cenis. Będzie na ciebie czekała i przekaże mi informację rano.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Wtedy Agrypina dopnie swego i na pewno wszystko, co osiągnąłeś do tej pory, zostanie zmarnowane, a nadzieje na dalszą karierę zniweczone. Pomóż mi w tej sprawie, wybadaj mojego wroga, a ja przekonam cesarza i cesarzową, że świetnie się nadajesz do wykonania pewnego delikatnego zadania. Będziesz miał okazję zapracować na uznanie. Wierz mi, że to jedyna szansa, by dalej służyć Rzymowi, kiedy już przestaniesz być konsulem. Agrypina jest tak podejrzliwa w stosunku do ciebie, że ta oferta jest jedyną rzeczą, do jakiej mam szansę ją przekonać.

– A cóż ja takiego zrobiłem?

– Chodzi raczej o to, czego nie zrobiłeś. Nie zabiłeś Messaliny.

– Ale przecież Burrus to zrobił.

Wespazjan przypomniał sobie noc w ogrodach Lukullusa, kiedy towarzyszył (wtedy jeszcze) trybunowi Burrusowi, by dokonać egzekucji niewiernej cesarzowej.

– Owszem, ale wcześniej chciałeś jej pozwolić na honorową śmierć samobójczą. Burrus jest bardzo ambitny i jeśli może kogoś pogrążyć, samemu coś na tym zyskując, to na pewno nie przepuści takiej okazji. Wykorzystał tę twoją słabość w ogrodach Lukullusa, sugerując Agrypinie, że okazałeś Messalinie współczucie i być może nawet nie chciałeś jej śmierci. Dla Agrypiny to wystarczający dowód na to, że nie podoba ci się obecna cesarzowa. A ona nie wybacza podobnych opinii, choć próbowałem ją przekonać, że jest inaczej.

Gajusz był oburzony.

– Przecież zaferował Messalinie swój miecz, nie z litości, ale by zobaczyć, jak ona robi to, do czego z zazdrości i złości zmusiła tyle innych osób.

– Burrus nie tak to przedstawia.

– Opłaciło mu się oszkalować mnie przed cesarzową. – Wespazjan pokręcił głową na taką niesprawiedliwość.

– Owszem, natychmiast stał się oczywistym kandydatem na prefekta pretorianów.

– Zgoda, Pallasie, będę szpiegował na twoją rzecz, mimo że nie dajesz mi żadnej konkretnej gwarancji awansu, jedynie obietnicę, że spróbujesz przekonać cesarza i jego małżonkę, by pozwolili mi wykonać jakieś niejasne zadanie.

– To bardzo rozsądna decyzja i nie musisz się martwić, jestem przekonany, że cesarzowa zgodzi się na moją propozycję.

– Niby dlaczego, Pallasie? Skoro tak bardzo mi nie ufa, to jak możesz do tego doprowadzić?

Wyzwoleniec uniósł brew i pozwolił sobie na rzadki u niego półuśmiech.

– Kiedy usłyszysz, co możesz zrobić dla Rzymu, okaże prawdziwy entuzjazm. Na pewno poprze moją propozycję, bo będzie przekonana, że zginiesz, wykonując to zadanie.

Rozdział trzeci

Z twarzą zasłoniętą kapturem płaszcz Wespazjan szedł w milczeniu obok wuja. Czterech członków Magnusowego bractwa rozstajnych dróg ochraniało ich podczas nocnej wędrówki. Był środek nocy i Rzym tętnił życiem. Za dnia miejskie bramy były zamknięte dla wozów i dopiero teraz, po zapadnięciu zmierzchu, dostawcy mogli rozwozić towary, a na dodatek tej nocy ludność ucztowała dzięki hojności cesarza po zwycięstwie nad upartym wrogiem, Karatakusem. Tłumy ludzi, którzy wylegli z domów o tej porze, nie czyniły miasta bezpieczniejszym. Wręcz przeciwnie, ponieważ większość mieszkańców żyła tu z dnia na dzień. Zgraje

rozbójników krążyły po ulicach, zaciągając nieostrożnych czy pijanych w ciemne zaułki, by pozbawić wszystkiego, co mieli przy sobie, nierzadko i życia. Świadkowie takich napaści woleli się oddalić i nie narażać własnego. Jedynie wigilowie, nocna straż pilnująca porządku i gasząca pożary, ratowali napadniętych, często zresztą za cenę zawartości sakiewki ofiary.

Wespazjan czuł się bezpiecznie w towarzystwie czterech członków bractwa z pochodniami, ukrywających pod płaszczami pałki i sztylety, kiedy szli ruchliwą Alta Semita z trzy- lub czteropiętrowymi kamienicami po obu stronach. Niektóre z okien rozjaśniało mdłe światło. Zaułki i alejki odchodzące w bok od bardziej uczęszczanych ulic prowadziły w ponury świat całkowitego bezprawia. Wespazjan odgrodził się od pijackich śpiewów, krzyków ulicznych handlarzy, łoskotu kół o żelaznych obręczach, ryku juczych zwierząt i niezliczonych innych dźwięków, które nie pozwalały zmrużyć oka mieszkańcom kamienic przy najbardziej ruchliwych ulicach Rzymu. Nie obchodziło go, co dzieje się wokół, martwił się tym, co przyniesie mu przyszłość.

– Jeśli Agrypina przewiduje, że zginę – odezwał się w końcu do Gajusza – kiedy będę wykonywał jakieś zadanie, to jak byś wyjaśnił ten znak, jaki znalazłem dziś rano na wątrobie składanego w ofierze zwierzęcia?

– Nie potrafię tego wyjaśnić, a już na pewno bym tego nie rozgłaszał – powiedział Gajusz, wysłuchawszy relacji siostrzeńca.

– Nie jestem głupi! – rzucił Wespazjan ostrzej, niż zamierzał. – Jednak ten znak wskazuje, że Mars związał moją przyszłość z ważnymi sprawami państwa. Nie jestem augurem, ale kiedy połączę ten znak... ukazał mi się w samym sercu Rzymu, gdy jako konsul składałem ofiarę Jowiszowi Najlepszemu Największemu... z przepowiedniami z dnia nadania mi imienia, które były tak delikatnej natury, że matka zmusiła wszystkich, by przysięgli milczeć, to zacznym się zastanawiać, jakie jest owo przeznaczenie, zważywszy, że już doszedłem do konsulatu.

– No cóż, nie było mnie przy tej uroczystości, więc nie mogę tego skomentować.

– Gdybyś był, to i tak złożyłbyś przysięgę, że nie będziesz o tym mówił. Tymczasem mnie zaczynają chodzić po głowie tak niesamowite podejrzenia, że nie zaszkodzi, jeśli je z tobą obgadamy.

– A więc to cię gryzło przez całą kolację. Myślałem, że miałaś kolejną wymianę zdań z Flawią na temat wydatków. Zatem mów.

Wespazjan wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że powód jego rozmyślań podczas tych ostatnich godzin nie sprowokuje drwin.

– Słowa Sabinusa nasunęły mi tę myśl, kiedy Klaudiusz przybył do Brytanii. Cezarz zauważył, że mam miecz Marka Antoniusza. Tylko Pallas i Cenis wiedzieli, że był to dar od Antonii, bo przynieśli mi ten miecz po tym, jak otworzyła sobie nim żyły. Klaudiusz spytał, jak on do mnie trafił, bo w cesarskiej rodzinie było

ogólnie wiadome, że jego matka mogła go przekazać tylko temu, kogo uważała za najlepszego kandydata na cesarza. Skłamałem i powiedziałem, że dostałem miecz od Kaliguli. Pallas mnie ostrzegł, bym nigdy nie wyjawiał prawdy, bo gdyby Klaudiusz ją poznał, moje życie byłoby zagrożone. Sabinus, który był przy tym, spytał, o co chodzi. Zbyłem sprawę śmiechem, mówiąc, że był to zwyczajny podarunek, a poza tym nie płynie we mnie krew Cezarów. Wtedy mnie spytał, jak długo jeszcze może trwać ten ród.

– Takie pytanie pachnie zdradą.

– Ale jest związane z tematem. Jeśli Klaudiusz niedługo umrze, Brytanik zostanie odsunięty, a władzę obejmie Neron, poślubiwszy swoją przyrodną siostrę, która jest również jego kuzynką... prawie w stylu egipskim. Jak długo może przetrwać taki ród? Załóżmy, że skończy się na Neronie. Co wtedy?

– Wtedy pretorianie okrzykną kogoś cesarzem.

– To się dzieje tylko wówczas, gdy jest stosowny kandydat z cesarskiej rodziny. A tymczasem każda prowincja dysponująca legionami będzie chciała wysunąć swojego wodza, bo wszyscy wiedzą, że jeśli pomogą takiemu człowiekowi zdobyć purpurę, to zostaną sownie wynagrodzeni.

– Masz na myśli wojnę domową?

– Oczywiście. I nie ma żadnych reguł co do tego, jaka krew musi płynąć w żyłach człowieka, żeby wygrał wojnę domową. Musi się tylko postarać, by ta krew w tych żyłach została.

Gajusz zwrócił ku Wespazjanowi zakapturzoną twarz, a w jego głosie pojawił się ton konsternacji.

– Ty, drogi chłopcze?

– Czemu nie? Sabinus był obecny przy nadawaniu mi imienia. Widział znaki, ale z powodu przysięgi odmawiał rozmowy na ten temat. Jednak po tym, jak Klaudiusz odebrał mi miecz, powiedział, że może to nie był zwykły podarunek. Antonia zawsze twierdziła, że przekaże ten miecz temu, kogo uzna za najlepszego kandydata na cesarza. I wtedy pomyślałem: Czemu nie? Dlaczego nie ja? Przecież pewnego dnia będzie to osoba z innego rodu; musi tak być, jeśli Rzym ma przetrwać. Tyberiusz, Kaligula, Klaudiusz? Jeśli Neron jest podobny do któregośkolwiek z nich, to wówczas... – Wespazjan zawiesił głos; nie musiał już wyjaśniać, w czym rzecz.

– Według ciebie Sabinus wierzy, że mógłbyś zostać... – Z kolei Gajusz nie dokończył pytania.

– Tego nie twierdzę, mówię tylko, że on mi nasunął tę myśl. I sędzę, że Pallas ma podobne podejrzenia. Wydaje mi się, że Antonia przed śmiercią powiedziała coś jemu i Cenis, kiedy dawała im miecz dla mnie, i kazała złożyć przysięgę, że zachowają to w tajemnicy. Podejrzewam, że Pallas stara się o tak trudne i niebezpieczne zadanie dla mnie, by móc sprawdzić, czy Antonia miała

rację.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli przeżyjesz, to ostatecznie zostaniesz...? – Gajuszowi znów nie udało się wypowiedzieć tego słowa.

– Spodziewam się, że jeśli przeżyję, to Pallas być może ujrzy mnie w innym świetle.

– Nie myślisz poważnie, że mógłbyś zostać...?

– Czemu nie, wuju? Zobacz, jak daleko zaszedłem, odkąd przyprowadzono mnie do twojego domu. Miałem wtedy szesnaście lat i wzniosłe ideały, by służyć Rzymowi dla jego większej chwały. Teraz jestem konsulem, prawda, tylko na dwa miesiące, ale osiągnąłem tę rangę nie dlatego, że taka krew płynie w moich żyłach. Przez sześć lat dowodziłem legionem, z czego cztery w Brytanii, gdzie walczyłem z okrutnymi plemionami. Przelewałem krew, kiedy to było konieczne, a czasami niepotrzebnie. Tutaj, w Rzymie, wiem, jak działa miejska i pałacowa polityka, ponieważ przez lata wbrew swojej woli brodziłem przez to bagno. Stałem się równie bezwzględny jak ci, od których się uczyłem i których zacząłem podziwiać. Znam siłę pieniędzy, lęku i protekcji i wiem, że każdego można kupić mieszanką tych trzech elementów. Rzecz jedynie w tym, by użyć właściwych proporcji. Nadaję się więc idealnie.

Gajuszowi zadrżały policzki.

– Niemożliwe, byś wierzył, że obejmiesz...? – wykrztusił ze strachem.

– Nie, wuju, ale kiedyś mogę wywalczyć sobie do niego drogę. Jeśli zabraknie krwi Cezarów, nastąpi walka o purpurę i kto niby byłby lepszy od kogoś takiego jak ja? A jeśli ma to być ktoś taki jak ja, to *dłaczego nie ja?*

– I rozważasz to wszystko tylko dlatego, że na jakiejś wątrobie znalazł się znak przypominający „v”?

– Nie tylko dlatego. Z tej perspektywy wiele z tych dziwnych rzeczy, jakie mi się przydarzyły, nabiera sensu. Feniks, proroctwo Amfiaraosa, Myrddin, wyrocznia Amona, gdzie usłyszałem, że zjawiłem się zbyt wcześnie, by znać swoje pytanie. Można by tym wytłumaczyć każde z tych dziwacznych zdarzeń.

– Musisz to zachować dla siebie, drogi chłopcze, nie możesz wykrzykiwać, że jesteś potencjalnym... – Gajuszowi wciąż wiązał głos przed wymówieniem tego słowa.

– Och, nie pisnę ani słówka, wuju. I nie ośmielę się twierdzić, że mam rację, dopóki do tego nie dojdzie. Ponieważ jednak wiem, że teraz zaistnieje pewna możliwość, będę się rozglądał za sensowną okazją i nie zrobię niczego pochopnie.

– Na przykład czegoś takiego jak potajemne spotkania w środku nocy ze snującymi intrygi cesarskimi wyzwoleńcami? – zauważył Gajusz, kiedy zbliżyli się do trójkąta utworzonego przez krzyżujące się Alta Semita i vicus Longus, przy którego wierzchołku stała tawerna Magnusa.

Wespazjan uśmiechnął się do wuja.

– To właśnie może być okazja. A poza tym – dodał, otwierając drzwi – to nie jest potajemne spotkanie.

Wespazjan nie zsunął kaptura, wchodząc do zatłoczonego, dusznego pomieszczenia; pomieszane zapachy potu, skwaśniałego wina, tanich pachnidłał dziwek i przypalonej wieprzowiny zaatakowały jego nos, w uszy wdarły się pijackie wrzaski i chrapliwy śmiech, oczy zaczęły łzawić od szczypiącego dymu z węgla drzewnego, płonącego na palenisku za zastawionym amforami blatem w dalszej, szerszej części tawerny. Strój Gajusza wywoływał pewne komentarze – nie wszystkie z nich były przyjazne – kiedy szli za swoją eskortą po klejącej się od wina podłodze, przez tłum wypełniający rozszerzające się w głębi pomieszczenie. Odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami przeszli za skórzaną kotarę i skręcili w prawo, w nieoświetlony korytarz. Na końcu, po lewej stronie, dowodzący eskortą wielki, łysy mężczyzna koło sześćdziesiątki uderzył pięścią wielkości szynki w solidne, obite żelazem odrzwia i otworzył je na jakiś dźwięk z wewnątrz.

– Dobra robota, Sekstusie – pochwalił go Magnus, wstając zza biurka. – Jakież kłopoty?

– Nie, bracie – odparł mężczyzna i usunął się na bok, robiąc miejsce Wespazjanowi i Gajuszowi.

– Świetnie. A teraz zabierz swoich chłopców na zewnątrz i miejcie oko na naszych gości.

Sekstus zawahał się przez moment, po czym wybuchnął głośnym gardłowym śmiechem.

– Oo, to doskonale, Magnusie – zdołał wykrztusić pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu. – Miejcie oko! To mi się naprawdę podoba.

– Tak, tak, tak – rzucił z irytacją Magnus. – To było prawie zabawne, kiedy usłyszeliśmy pierwszy raz, trzy lata temu. – Jedynym okiem zerknął przeproszająco na Wespazjana, podczas gdy to szklane łypało groźnie na Sekstusa, dając mu jeszcze jeden powód do radości. – A teraz wynoś się i rób, co ci kazano.

– Miejcie oko – powtarzał rozchichotany Sekstus, wychodząc ze swoimi towarzyszami – jasna rzecz, Magnusie.

– Rozumiem, że Sekstus ma nowy dowcip – powiedział Wespazjan, siadając na miejscu Magnusa.

Magnus wziął z biurka dzbanek i napełnił winem trzy kubki.

– Za każdym razem wydaje mu się, że słyszy to pierwszy raz.

– Tak samo było wtedy, kiedy podawał jednorękiemu Mariuszowi pomocną dłoń.

– Właśnie tak samo i bawi go to przez ileś godzin.

Gajusz usiadł obok siostrzeńca i wziął kubek z winem.

– Ale, jak zdążyłem się zorientować, to solidny chłopak, na którym można polegać – zauważył.

– Solidny to odpowiednie określenie w wielu znaczeniach, panie – zauważył Magnus, podając kielich Wespazjanowi. – Zna swoje ograniczenia i nie miał pretensji, kiedy po śmierci starego Serwiusza awansowałem na swojego zastępcę Tigrana. – Magnus przeszedł przez pokój, otworzył drzwi po drugiej stronie i wyjrzał w panującą na zewnątrz ciemność. – Brakuje mi starego drania – ciągnął, zamykając i ryglując drzwi. – Choć pod koniec był ślepy, wciąż widział rozwiązania konkretnych problemów. – Magnus zamilkł i chwilę się zastanawiał. – Myślałem nad tym, co mówiłeś dziś rano o wycofaniu się. To może nie być taki zły pomysł. Obiecałem Tigranowi, że wkrótce to zrobię. Może lepiej nie czekać, aż zostanę do tego zmuszony przez inne bractwo, które spróbuje siłą przejąć nasze, czy też Tigran wbije mi nóż między żebra, bo znudzi mu się czekanie.

Wespazjan uniósł brew.

– Zrobiłby to? – zapytał.

– Już o tym myślał, jedynie moja obietnica go powstrzymała. W każdym razie ja sam w taki właśnie sposób lata temu dostałem tę robotę. – Magnus zamknął i zabezpieczył okiennice jedyne okna w pomieszczeniu, tłumiąc dochodzące z ulicy dudnienie wozów i pijackie wrzaski.

– Dwadzieścia sześć lat temu – uściślił Gajusz. – Trudno, bym nie pamiętał, skoro ratując cię przed posłaniem na arenę, wydałem małą fortunę na łapówki i odszkodowanie dla rodziny zabitego.

– Za co nigdy nie przestanę być ci wdzięczny, senatorze.

– Odplaciłeś mi się już wielokrotnie. – Gajusz zachichotał z kubkiem w obu dłoniach. – Nie sądzę, bym mógł liczyć na taki poziom usług, kiedy Tigran będzie rządził bractwem.

– Na pewno będzie cię to kosztowało drożej, jestem jednak przekonany, że dojdziemy w tej sprawie do porozumienia w ramach procesu przekazywania władzy. – Pukanie do drzwi nie pozwoliło mu podać szczegółów. – Aha, wasi goście.

Otworzył i zobaczył potężną postać Sekstusa. Olbrzym odsunął się na bok; ramiona mu drgały, jakby wciąż nie mógł opanować rozbawienia.

Chwilę później, ściągając kaptur, do pokoju wszedł Narcyz, a za nim Agarpetos. Wyzwoleniec obrzucił Magnusa leniwym spojrzeniem bladych oczu.

– Niezwyciężony Magnus z bractwa rozstajnych dróg Kwirynału Południowego – oznajmił melodyjnym tonem, zasiadając naprzeciwko Wespazjana i Gajusza; zapach pomady popłynął przez pokój. – Dziękuję za gościnę. Słyszę, że ostatnio tracisz nieco kontrolę, he?

Magnus się zjeżył.

– Nie na tyle, żeby dało się to zauważyć. – Obdarzył Narcyza gniewnym spojrzeniem jedyne okno, po czym opuścił pokój, precyzyjnie się obok Agarpetosa.

Narczyz udał, że nie zauważył trzaśnięcia drzwi.

– Dobry wieczór, panowie – przywitał się z konsulem i jego wujem.

– Dobry wieczór, cesarski sekretarzu – odparli Wespazjan i Gajusz.

Agarpetos zbliżył się i stanął z prawej strony swojego patrona.

– Ufam, że miałaś bezpieczną drogę – dodał Gajusz najbardziej przypochlebnie, jak potrafił.

– Przyjechałem powozem i drogi były okropne, zapchane darmożjadami i nicponiami upojonymi winem naszego litościwego cesarza. – Grek obejrzał uważnie jeden z wielu pierścieni, jakie zdobiły jego pulchne palce, i przemówił tak, jakby zwracał się do osadzonego w nim rubinu: – Właśnie dlatego wybrałem dzisiejszy wieczór na nasze spotkanie. Przejdźmy zatem od razu do sprawy.

– Zawsze szanowaliśmy twoje zamiłowanie do bezpośredniości – stwierdził Wespazjan, napełniając winem kolejny kubek.

Wargi Narczyza drgnęły w grymasie, który w jego wypadku miał oznaczać uśmiech. Pochylił się i wsparł łokcie na stole, ustawiając dłonie w piramidkę i przyciskając złączone czubki palców do ust nad starannie przyciętą i natłuszczoną czarną brodą; dyndające w jego uszach ciężkie złote koła pobłyskiwały w świetle lampy. Przez dłuższą chwilę przyglądał się na przemian Wespazjanowi i jego wujowi, jakby decydując, do kogo ma się wpierv zwrócić. Z wnętrza tawerny dobiegał rechotliwy śmiech oraz coraz szybsze skandowanie i klaskanie; najwyraźniej rozochocona hałastra pobudzała do dalszego działania jakąś prostytutkę i jej klienta.

Wespazjan przesunął pełen kubek na drugą stronę biurka, wytrzymał spojrzenie wyzwolenca, ze zdumieniem zauważając, jak bardzo pomarszczyła się jego dawniej gładka i pełna twarz. Napięcie nerwowe związane z utratą pozycji pozwalającej wywierać wpływ na cesarza – jeśli nawet zachował sam tytuł i funkcję – na rzecz innego wyzwolenca, Pallasa, najwyraźniej zbierało teraz swoje żniwo; niełatwo się żyło w nieustannej obawie przed egzekucją. Wespazjan nie współczuł mu jednak, kiedy obserwował plamy czarnej farby na bladej skórze poniżej linii włosów i pod brodą. Już od czasów panowania Tyberiusza wisiało nad każdym Rzymianinem z warstwy ekwitów i wyższej zagrożenie arbitralnie sprowadzoną śmiercią; im bliżej centrum władzy się ktoś znajdował, tym było ono większe. Przyznał to sam Pallas, kiedy ten jedyny raz pozwolił sobie uchylić maskę w obecności Wespazjana.

– Obaj doskonale znacie sytuację, w jakiej się znalazłem – zaczął Narczyz, przyzymkając oczy. – Jestem sekretarzem cesarza odpowiedzialnym za audyencje i tym samym za dostęp do Klaudiusza, tymczasem przez ostatnie dwa lata mój wpływ na niego był minimalny. Od czasu, kiedy Pallas i Agrypina zręczną manipulacją doprowadzili do tego, że wydałem rozkaz egzekucji Messaliny, zanim jeszcze Klaudiusz przyzwyczał się do tej myśli, wypadłem z łask patrona.

Owszem, wciąż dużo mi płacą za ułatwienie uzyskania audiencji, ale to nic w porównaniu z tym, co dostaje Pallas za pozwolenie korzystania ze swoich wpływów. Żyję dlatego, że Klaudiusz nie jest pewien, czy może skazać mnie na śmierć, ponieważ tylko ja znam szczegóły jego wszystkich interesów. Można powiedzieć, że żyję, bo cesarz jest zbyt rozkojarzony, żeby dać sobie beze mnie radę. Agrypina przeprowadziła kilka prób pozbycia się mnie, ale byłem ostrożny. Wkrótce jednak nie będzie musiała uciekać się do morderstwa. Myślę, że dla wszystkich jest rzeczą dość oczywistą, co się stanie po śmierci Klaudiusza. – Rozłączył nieco dłonie i trzymał je nadal nieruchomo, najwyraźniej czekając, aż Wespazjan dokończy za niego.

– Neron zostanie cesarzem.

– Tak. Lekceważąc dzisiaj Brytanika, pokazał, jak bardzo oddalił się od członków własnej rodziny. Uczynił nawet zadość prośbie Agrypiny i rozkazał tego wieczoru stracić Sosibiosa, jako osobę odpowiedzialną za starannie przygotowaną impertynencję Brytanika.

Wespazjanem wstrząsnął niespodziewanie drastyczny wynik planowanej zemsty Brytanika i zaczął się zastanawiać, czy chłopiec i jego przyjaciel Tytus mogli się spodziewać takiego rezultatu. Miał nadzieję, że tak. W każdym razie człowieka, którego kłamstwa zmusiły jego samego do dania fałszywego świadectwa, spotkała zasłużona kara.

– Oczywiście on był wyznaczony na swoje stanowisko przez Messalinę i pozostawało kwestią czasu, kiedy Agrypina go dopadnie.

– A ona nie zna litości, jest bezwzględna w walce o dobro Nerona i własną pozycję. Nie mogła doprowadzić do śmierci chłopca, więc musiała się zadowolić nauczycielem. – Narcyz pochylił lekko głowę. – Jakie szczęście, że Tytus nie stał obok Brytanika.

Wespazjan poczuł nagły chłód, a następnie przypływ nadziei.

– Może po śmierci nauczyciela będę miał dogodny pretekst, by znaleźć jakiegoś innego dla Tytusa.

– Niestety nie. Edukację Brytanika i jego towarzyszy powierzono Senecie. Klaudiuszowi udało się narazić syna na jeszcze większe niebezpieczeństwo, przekazując go jednemu człowiekowi, którego Agrypina szanuje, a Neron wręcz słucha. Ponieważ Seneka jest równie bezwzględny w dążeniu do władzy jak tych dwoje, zgodzi się z nimi, że Brytanik stanowi przeszkodę. Niezależnie od tego, co sądzicie o Sosibiosie, przynajmniej stanowił on jakąś ochronę przed ich trojgiem.

Wespazjan natychmiast pojął, w czym rzecz, i zaczął żałować, że tak szybko rozprawiono się z tym obrzydliwym osobnikiem.

– Zatem Klaudiusz skáže własnego syna na śmierć, wyznaczając Nerona na swojego następcę, a ten jadowity wąż zrobi wszystko, co każe mu matka. – Narcyz ponownie złączył opuszki palców i popatrzył znacząco na każdego z mężczyzn po

kolei. – *Wszystko*. Zrobi wszystko, o co ona poprosi, bo ona sama robi *wszystko*, o co on ją poprosi. A mówię wam, panowie, że jego prośby znacznie wykraczają poza to, o co syn powinien prosić własną matkę.

Wespazjan wzdrygnął się, kiedy sobie to wyobraził, ale ponieważ sam widział tamtego popołudnia, jak Neron tuli się do Agrypiny i kładzie głowę na jej piersi, to nie był szczególnie wstrząśnięty. Prawdę mówiąc, po tym, co wyczyniał Tyberiusz i Kaligula, cesarska rodzina nie bardzo miała czym go zaskoczyć. Kaligula pozwalał sobie na wszystko ze swoimi siostrami, a Agrypina była jedną z nich; dlaczego ona sama nie miała się posunąć jeszcze dalej i pozwolić sobie na to samo z własnym synem? Jaki jednak byłby stosunek senatu i ludu rzymskiego do rządów tak nienaturalnej pary? I skoro Neron uważał, że może iść do łóża z własną matką, to czy jest coś, czego by się nie dopuścił?

Dobiegające zza drzwi oklaski i pokrzykiwania osiągały coraz większe natężenie; najwyraźniej zbliżał się koniec udanej zabawy.

Narcyz podniósł lekko głos, na tyle jedynie, by jego słów nie zagłuszał hałas.

– Kiedy tylko jej syn zostanie cesarzem, jednym z pierwszych warunków, do których spełnienia zmusi Nerona w zamian za zgodę na jego niezdrowe żądania, będzie moja śmierć... a to, panowie, jest coś, czego zamierzam uniknąć. – Zamilkł na chwilę, wypił łyk wina. Skrzywił się, czując smak, czy też brak smaku trunku, po czym otarł usta chusteczką. – Co dość ciekawe, wy dwaj macie przed sobą podobny, choć być może mniej groźny dla życia problem. – Lekkim ruchem głowy wskazał swojego wyzwolenca. – Agarpetos natknął się na pewne bardzo interesujące informacje pochodzące od trierarchy statku handlowego, który dopiero co wrócił z królestwa Kolchidy, leżącego na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. Wygląda na to, że poselstwo partyjskie zatrzymało się w Fazis, głównym porcie Kolchidy, pod koniec września, w drodze powrotnej do domu, biegnącej przez królestwa Iberii i Albanii, a potem przez Morze Kaspijskie, czyli bardzo blisko zależnego od nas królestwa Armenii. Cóż, samo w sobie może to nie być ważne – ciągnął. – Partowie często wysyłają poselstwa do plemion i królestw położonych wokół Morza Czarnego i nasi kupcy zawsze o tych faktach meldują, dobrze płacimy za takie informacje. Jednakże uwagę Agarpetosa zwrócił wcześniejszy raport, pochodzący od jednego z ludzi Agrypiny, w którym donosił, że zabił agenta, tak jak mu kazano, tuż po tym, jak tamten poinformował namiestnika Mezji, że partyjskie poselstwo do plemion za Dunajem przybyło do Tyry, położonej tuż na północ od tej prowincji. Dlatego tamten agent nie zdążył przekazać żadnej informacji osobie, która go opłacała. Niestety nie wiemy, kto to był. Wydarzyło się to, jak powiedziałem, we wrześniu, a przypadkiem, pod koniec tego miesiąca, marionetkowy król Armenii został zaatakowany z zewnątrz przez wojska, na których czele stał jego bratanek. Można więc przyjąć, że ma to związek z tamtym poselstwem, i wywnioskować z ich trasy powrotnej, że w drodze nad

Dunaj przejeżdżali przez Iberię. A właśnie Iberia była bazą wypadową najazdu, w którego wyniku obalono króla Armenii. – Narcyz uniósł znacząco brew i odważył się na jeszcze jeden łyk wina, podczas gdy za drzwiami rozległa się potężna owacja.

Wespazjan natychmiast pojął, co wynika z jego słów.

– Możemy zatem wnioskować, że Partowie mogli po drodze doprowadzić do uzurpacji tronu w Armenii, a Sabinusowi nie udało się ich ani zabić, ani nawet pochwyć, mimo że ostrzeżono go o ich obecności – stwierdził.

– Wydaje się, że tak właśnie było. Duża nieostrożność, nie sądzicie? – Narcyz otarł wargi chusteczką; zza drzwi dochodziły już tylko wybuchy gromkiego śmiechu i gwar rozmów. – Gdybyśmy mogli ich przesłuchać, poznalibyśmy cel misji do plemion północnych i co ważniejsze, wiedzielibyśmy, czy Partia rzeczywiście raz jeszcze próbuje zdestabilizować Armenię. Ale cóż, stało się i można jedynie mieć nadzieję, że konsekwencje nie będą zbyt... ekhm... katastrofalne dla Rzymu czy, w rzeczy samej, dla Sabinusa, a być może nawet dla jego rodziny.

– Grozisz nam, Narcyzie?

– Stary przyjacielu – odezwał się Narcyz łagodnym, ale wcale nie przyjacielskim głosem – niczego takiego nie robię... nie muszę tego robić. Agrypina już dopilnowała, by wieści o porażce twojego brata dotarły do Klaudiusza i Pallasa, i przekonała ich, że po takim błędzie twojej rodzinie nie można już ufać. Wczoraj, na życzenie cesarza, osobiście skreśliłem twoje nazwisko z listy osób mających otrzymać nominacje na namiestników w przyszłym roku. Na twoje miejsce do Afryki pojedzie Tytus Statyliusz Taurus.

– Do Afryki? – wyrwało się Gajuszowi. – Cesarz zamierzał nagrodzić Wespazjana Afryką?

– Tak, ale nic z tego. Szkoda, bo to przecież prestiżowa prowincja.

Obwisłe policzki oburzonego Gajusza zatrzęsły się.

– Zabrałeś naszej rodzinie Afrykę? – wybuchnął.

– Uspokój się, senatorze; ja niczego nie zrobiłem. Ja tylko poprawiłem listę zgodnie z poleceniem cesarza, któremu doradzała małżonka. Ona rzeczywiście niezbyt cię lubi, Wespazjanie.

– Dobrze o tym wiem i znam prawdziwą tego przyczynę, ale ciebie jeszcze mniej lubi.

Narcyz rozdzielił dłonie i wykrzyknął z udawaną radością:

– Aha! Wracamy do tematu, który mnie nigdy nie znudzi: do mnie. Owszem, ona chciałaby widzieć mnie trupem. A jaki widzicie najlepszy sposób, by tego uniknąć, a zarazem przysłużyć się wam samym poprzez usunięcie przeszkody stojącej waszej rodzinie na drodze do kariery?

Wespazjan zerknął na wuja i natychmiast się zorientował, że ten nie udzieli

odpowiedzi.

– Zabicie Agrypiny? – zasugerował pytająco.

Narczyz cmoknął i podniósł kubek, by wypić kolejny łyk, ale się rozmyślił.

– Zabić kolejną cesarzową? Nie sędzę, by po czymś takim udało mi się ująć z życiem, nieważne w jakim chaosie znalazłyby się interesy Klaudiusza. Nie, panowie, odpowiedzią jest skompromitowanie Agrypiny przez ukazanie jej taką, jaka jest.

Teraz Wespazjan mógł użyć lekceważącego tonu.

– Obaj z Pallasem próbowaliście tego w wypadku Messaliny, ale Klaudiusz nie zechciał wam uwierzyć.

– To prawda, jednak tym razem nacisk zostanie położony na coś zupełnie innego. Wtedy chcieliśmy przekonać Klaudiusza, że Messalina zakosztowała większości mężczyzn ze sfery ekwitów i senatorów i przeleciała się też przez gwardię pretoriańską, centuria po centurii, co, mimo że tak rzeczywiście było, jest odważnym twierdzeniem i przez to łatwym do odrzucenia na zasadzie niemożliwości. Tym razem muszę spróbować, by Klaudiusz uwierzył, że jego małżonka nie tylko sypia z jego najbardziej zaufanym doradcą, ale jednocześnie przyprawia mu rogi ze swoim synem, którego, namówiony przez nią, zaadoptował.

– Narczyz wychylił się do przodu nad biurkiem, spoglądając prosto w oczy Wespazjanowi. – To wszystko jest dość obrzydliwe, nie sądzisz? Ale przecież nasz boski cesarz wygląda coraz mniej na boga, a coraz bardziej na głupca. Oczywiście my do tego przywykliśmy, ale on sam nie. Myślę, że wstrząs, jakiego dozna, pobudzi jego mściwość i cała trójka tych, którzy go zdradzili, w najlepszym razie spędzi resztę żywota na jakiejś nagiej skale, tak jak imienniczka Agrypiny, jej matka, a także jej dwóch starszych braci. – Jeszcze raz kąciki jego ust drgnęły w czymś, co było cieniem uśmiechu. – Można by rzec, że to rodzinne.

Wespazjan podziwiał logikę tego wyводу.

– Jednym ruchem pozbywasz się obydwu rywali, usuwasz Nerona i przywracasz do sukcesji Brytanika, samemu stając się najwyższym autorytetem dla tego potencjalnego regenta, kiedy przyjdzie na to czas. Co oczywiste, wybierasz kogoś niewiele znaczącego, kto będzie ci wiele zawdzięczał, i znowu zostajesz władcą Rzymu.

– A wtedy ty zostajesz namiestnikiem takiej prowincji, jaką tylko sobie wybierzesz, błąd Sabinusa idzie w niepamięć, a ty, drogi Gajuszu, otrzymujesz ten od dawna już ci należny konsulat.

Wespazjan zachował spokojny wyraz twarzy; korciło go, by coś powiedzieć, ale wiedział, że Grekowi nie wolno ufać. Doskonale pamiętał, jak Narczyz, dla doraźnej korzyści, gotów był złamać obietnicę i ujawnić udział Sabinusa w zabójstwie Kaliguli.

Natomiast Gajusz połknął przynętę. W świetle lampy widać było, jak

rozbłysły mu oczy.

– Czego od nas oczekujesz, drogi Narcyzie? – zapytał senator.

– Jedynymi ludźmi, którym Klaudiusz uwierzy, są Agrypina albo Pallas.

– Tyle że żadne nie przyzna się do czegoś, co ich pograży.

– Naturalnie, że nie, senatorze. – Grek wyraził swoją irytację na tak oczywiste stwierdzenie, zniżając głos.

Wespazjan nastawił uszu; zgiełk zza drzwi nabrał jakiegoś innego brzmienia.

Twarz Gajusza poczerwieniała.

– Przepraszam – powiedział.

Narcyż, przymknąwszy nieco oczy, machnął lekceważąco ręką.

– Ale wyznają wszystko Klaudiuszowi, jeśli alternatywą będzie oskarżenie o zdradę, ewidentną zdradę, za którą bez wątpienia mieliby zostać straceni.

– Zdradę? – spytał Wespazjan, ponownie skupiając uwagę na rozmowie. – A co takiego zrobili?

– Zbieżność wydarzeń w czasie oraz źródło tych raportów ze Wschodu, a potem te najnowsze kłopoty w Armenii kazały mi uznać, że Agrypina doprowadziła do pewnego kryzysu, o czym nawet Pallas nie ma pojęcia. Jeśli instynkt mnie nie myli, wiąże się to z tym partyjskim poselstwem, które twój brat tak nieopatrznie zgubił. Na razie jednak nie mam żadnych dowodów. Natomiast wy dwaj moglibyście mi w tej sprawie pomóc. Jeśli ta zdrada wyjdzie na jaw, na pewno powstanie przekonanie, że Pallas brał w tym udział, i w rezultacie zostanie stracony razem z... – Przerwał mu przeraźliwy kobiecy krzyk i zaniepokojony wyzwoleniec skierował spojrzenie na drzwi.

Wespazjan zerwał się z miejsca; teraz dobiegła ich wrzawa męskich ryków, którym towarzyszył odgłos łamania drewnianych sprzętów. Agarpetos wyciągnął spod płaszcza miecz, uchylił odrobinę drzwi, wyjrzał, po czym szybko się cofnął.

Do środka wpadł Magnus.

– Atakują nas! – wrzasnęła i ruszył pędem przez pokój w stronę drewnianej skrzyni. – Te dranie wykorzystały uliczne zabawy, żeby prześlizgnąć się obok naszych straży. – Otworzył wieko, wyjął miecz i rzucił go Wespazjanowi; kolejne dwa podawał właśnie Gajuszowi i Narcyzowi, kiedy do pomieszczenia wpadł Sekstus. – Zabierz te do tawerny, bracie – powiedział Magnus, zagarniając resztę zawartości skrzyni i wciskając w otwarte ramiona Sekstusa, zachował jednak jeden miecz dla siebie – a potem wycofał się z chłopcami tutaj. Zatrzymamy ich w korytarzu.

– Kto atakuje? – spytał Wespazjan, z brzękiem wyciągając miecz z pochwy.

Magnus wbił czubek klingi pomiędzy dwie deski podłogi.

– Nie mam pojęcia, ale na pewno nie żartują.

Ze stęknieniem nacisnął miecz i deska odskoczyła.

Wespazjan uświadomił sobie powagę sytuacji, kiedy poczuł dochodzący od

strony drzwi zapach dymu.

– Podpalają! – krzyknął Narcyz, wyciągając miecz i z niedowierzaniem spoglądając na jego ostrze.

– Dlatego właśnie musimy się wydostać, korzystając z tylnego wyjścia – rzucił Magnus, wyciągając spod podłogi solidną szkatułę.

Przez krzyki przebił się głośny szczęk żelaza; do tego dołączył narastający skowyt kogoś, kto sobie uświadomił, jak straszliwie go okaleczono.

– Wuju, pomóż Magnusowi z tą szkatułą – rzucił konsul i przepchnąwszy się obok Narcyza i Agarpetosa, wystawił głowę zza drzwi.

Zobaczył, jak dwie dziwki wpadają na korytarz przez skórzaną zasłonę, a za nimi snuje się dym. Dostrzegły go, wrzasnęły, cofnęły się na przeciwległy koniec korytarza i ruszyły schodami w górę. Wespazjan podbiegł do zasłony i ostrożnie ją uchylił. W głębi, gdzie do kuchennego paleniska wiano jakąś łatwopalną ciecz, szalały płomienie; ktoś wił się na ladzie, wycie nieszczęśnika słabło, w miarę jak ciało stawało się coraz bardziej zwęglone. Dziesiątki postaci kłębiły się w świetle płomieni. Ludzie walczyli parami i w grupach, zmagali się w walce wręcz, dźgali z bliska, wrzeszcząc, przeklinając, charcząc. Ciężko okaleczeni tarzali się z bólu po podłodze, pod nogami walczących, co utrudniało utrzymanie równowagi zarówno przyjaciołom, jak i wrogom. Ponad ich głowami, poniżej gęstniejących kłębow dymu, Wespazjan dostrzegł, że drzwi w węższej części pomieszczenia tarasują dwie zwaliste postaci z pałkami. Nikt nie miał prawa tamtędy wyjść.

Sekstus, rycząc niczym rozdrażniony niedźwiedź na łańcuchu, rąbał w zwrócony ku górze miecz niższego odeń mężczyzny, zmuszając go do opuszczania broni, podczas gdy otaczający go pozostali członkowie bractwa powoli ustępowali pod naciskiem przeważających liczebnie sił i przed coraz bardziej rozbuchanymi płomieniami. Pozostała im tylko droga do tyłu.

– Sekstusie! – wrzasnął Wespazjan. – Teraz, bo będzie za późno!

Sekstus ryknął i ciał raz jeszcze, z siłą, która wyrwała miecz z ręki przeciwnika. Z szybkością zaskakującą u mężczyzny takiej postury zmienił płaszczyznę uderzenia z pionowej na poziomą, tnąc odsłonięte gardło mężczyzny. Buchnęła krew, czarna w tych migoczących płomieniach, a Sekstus zamachnął się i trafił wzniesione ramię kolejnego napastnika. Odrąbał je w łokciu i posłał w górę, ponad głowy jego towarzyszy. Obracało się, kreśląc w powietrzu spiralę krwi, a w dłoni wciąż tkwiła połyskująca w świetle pożaru broń.

Wespazjan cofnął się od drzwi, a członkowie bractwa rozstajnych dróg Kwirynału Południowego wykorzystali moment najgwałtowniejszych zmaganiań, by cofnąć się jeszcze o kilka kroków. Kiedy wracał korytarzem, pierwszy z nich wynurzył się zza skórzanej zasłony.

– Idą? – spytał Magnus, gdy Wespazjan wpadł do izby.

– Tak, i to szybko – odparł konsul.

Narcyz spojrział na niego. Pierwszy raz Wespazjan zobaczył prawdziwe uczucie malujące się na jego twarzy; zobaczył strach.

– Jestem cesarskim sekretarzem, nie mogę tu tkwić jak w pułapce. Muszę się stąd wydostać!

– Wszyscy musimy, tyle że nie tamtą drogą.

– Tędy. – Magnus odsunął rygiel przy drzwiach po drugiej stronie pomieszczenia, podczas gdy Gajusz sam zmagął się z ciężką szkatułą. – Jest tam dwoje tylnych drzwi, a prawdę mówiąc, troje.

Narcyz i Agarpetos minęli go pędem i wpadli w ciemność.

Kilku pierwszych członków bractwa pojawiło się w izbie, ciągnąc za sobą gęsty dym. Z korytarza dobiegały odgłosy walki, zacieklej i nieugiętej, bo reszta kamratów Magnusa powoli ustępowała pola. Nad tym zgiełkiem górował dudniący głos Sekstusa.

– Ci, co atakują, nie przyszli tu po dzisiejszy utarg – zauważył Wespazjan, przejmując od Magnusa jeden koniec szkatuły.

Magnus pokręcił głową; jego oczy świeciły groźnie, jedno ślepo.

– Na pewno nie, a to mi każe przypuszczać, że mamy tu do czynienia z przejściem interesu. – Ściskając w garści miecz, ruszył z powrotem ku wyjściu na korytarz. – Najpierw zbierzemy tu wszystkich chłopców, zamkniemy i zaryglujemy drzwi, a potem wszyscy razem spróbujemy się stąd wyrwać. Jeśli to jest posunięcie konkurencyjnego bractwa, to możliwe, że znają te wyjścia. Cofnijcie się, chłopcy. – Odsuwając kilku braci z drogi, ruszył na korytarz, gdzie dym już zgęstniał. – Sekstusie, dawaj ich wszystkich tutaj. – Zwrócił się do człowieka ze Wschodu, ze spiczastą brodą i w spodniach, i do starego Greka z paskudną blizną na lewym policzku, nierówno porośniętym brodą. – Tigranie, zabierz połowę chłopców do południowego wyjścia i poczekaj, aż dam znać, żeby odsunąć rygle. Kasandrosie, zabierz pozostałych do północnego i nie zapomnijcie młotów, tak na wszelki wypadek. Ruszamy wszyscy razem. I niech chłopcy uwolnią senatorów od tej szkatuły, dlaczego oni wykonują fizyczną robotę?

Tigran i Kasandros pokierowali towarzyszami, z których dwóch przejęło szkatułę od Wespazjana i Gajusza, podczas gdy Magnus wciągał kolejnych kamratów z korytarza. Wreszcie został tam tylko zwalisty Sekstus, wymierzający ciosy na lewo i prawo.

– Teraz, Sekstusie!

Sekstus skoczył do tyłu, błyskawicznie wbijając czubek klingi w bark najbliższego napastnika; mężczyzna wpadł pomiędzy swoich towarzyszy, a kiedy Sekstus wycofał miecz, Magnus zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel. Wespazjan podbiegł i chwycił żelazną sztabę, która już po chwili tkwiła w uchwytach.

– Czas ruszać, panie. Dobra robota, Sekstusie, mój chłopcze. – Magnus odwrócił się i ruszył przez izbę, a Sekstus tuż za nim. W tej samej chwili

wzmocnione drzwi zaczęły dygotać pod ciosami. – Wkrótce będą musieli się wycofać z powodu dymu.

Wespazjan podszedł do biurka i zdmuchnął płomień ostatniej lampki, jaka tu jeszcze płonęła. Teraz pomieszczenie oświetlała już tylko blada poświata sącząca się od strony ich drogi ucieczki. Magnus poczekał na niego i zaryglował drzwi, a potem wyslizgnęli się obaj na korytarz dłuższy jeszcze od poprzedniego, jako że budynek rozszerzał się zgodnie z rozchodzącymi się na powierzchni ulicami, Alta Semita i vicus Longus. Wszedł za Magnusem do niewielkiej izdebki. Zza otwartych drzwi po drugiej stronie dobiegały odgłosy walki.

– Niemądre dranie próbowały iść dalej, zanim wszyscy się tam znaleźliśmy – syknął Magnus, kiedy biegli w stronę zgiełku.

Chwilę później wpadli do jakiegoś magazynu, zajmującego całą szerokość budynku; kilkunastu mężczyzn usiłowało zamknąć drzwi wychodzące na vicus Longus. Jakiś umięśniony olbrzym z bliznami na ramionach stał w wąskim przejściu, z jedną nogą na cieple blokującym drzwi, wymachując zakrwawionym mieczem w stronę wszystkich, którzy go atakowali, tak szybko i płynnie, że jego ramię i broń zdawały się rozmazywać w powietrzu.

– Kurewski były gladiator – zaklął Magnus, dołączając do popychających już drzwi. – Wyciągnijcie to ciało!

Podczas gdy Tigran i drugi członek bractwa wymieniali kolejno ciosy z tą walczącą maszyną, Wespazjan schylił się i chwycił trupa za nadgarstek. Ciągnął ze wszystkich sił i powoli ciało zaczęło się przesuwac. Dźwięczący odgłos nad głową spowodował, że instynktownie odskoczył do tyłu; to Tigran zatrzymał cios zadany od góry w jego odkryty kark. Odbił kolejny, a Wespazjan, wstrzymując oddech, ponownie chwycił ramię trupa. Tym razem szarpnął ze skrajną desperacją; ciało się przesunęło, ślizgając się w kałuży krwi, która z niego wypływała. Kiedy przeszkoda zniknęła, ludzie Magnusa powoli docisnęli drzwi, zmuszając byłego gladiatora do odstąpienia, jeśli nie chciał stracić ręki w zwężającej się z każdą chwilą szparze.

– Kto, do kurwy nędzy, kazał otworzyć te drzwi, Tigranie? – warknął Magnus, kiedy wreszcie je zamknięto i założono sztabę.

– To on, bracie! – krzyknął Tigran, wskazując ręką w kąt. – To on i jego wyzwoleniec je otworzyli.

Narczy stał skulony i spoglądał na martwego człowieka u stóp Wespazjana.

– Muszę się stąd wydostać! Nie mogę umierać w takiej dziurze.

– Mogłeś nas wszystkich zabić! – wrzasnął Tigran, rzucając się na Narcyza z wycelowanym w jego gardło ostrzem miecza.

Wyzwoleniec zawył.

Wespazjan chwycił nadgarstek Tigrana i czubek klingi znieruchomił w odległości zaledwie kciuka od trzęsącego się ciała Greka.

– On ma być żywy! – rzucił ostro.

Tigran próbował pchnąć, ale konsul trzymał mocno; w końcu mężczyzna wrzucił ramionami i zrezygnował.

Z oczu Narcyza popłynęły łzy ulgi.

Wespazjan spojrzął na Greka, który wydał tyle wyroków śmierci; z niesmakiem kopnął leżące u jego stóp martwe ciało. Głowa odwróciła się w stronę światła. Agarpetos.

Magnus nie marnował czasu na oskarżenia.

– Tigranie – powiedział – zostań tu z kilkoma chłopcami i miej oko na te drzwi. Reszta idzie ze mną. – Pobiegł na drugą stronę pomieszczenia, ale nie było tam wyjścia na Alta Semita, jedynie małe okno; skręcił więc w lewo i ruszył kolejnym korytarzem.

Wespazjan chwycił rękaw chlipiącego Narcyza i ruszył śladem Magnusa, pociągając Greka za sobą.

Korytarz kończył się ostatnim pomieszczeniem; było tam wyjście na Alta Semita, ale poza tym żadnych innych drzwi. Tłoczyło się tu kilkudziesięciu mężczyzn.

– Pomyślałem, że tutaj będę bezpieczniejszy – powiedział Gajusz, przepchnąwszy się do Wespazjana. – Wiedziałem, że Narcyz źle robi, każąc Agarpetosowi otworzyć te drzwi, zanim my będziemy gotowi.

– A co by było, wuju, gdyby to wyjście też zablokowali?

– Perspektywy nie wyglądałyby najlepiej. Bo nie ma innego wyjścia poza drogą powrotną.

– Muszę się stąd wydostać – zawodził Narcyz.

Tymczasem Magnus nie skierował się ku drzwiom, tylko ku ścianie po przeciwnej stronie.

– Nie będziemy ryzykować oczywistej drogi wyjścia. Kasandrosie, masz młoty?

Pokryty bliznami Grek skinął głową i wskazał kolegę, który dźwigał dwa potężne narzędzia. Jedno podał Kasandrosowi.

– No to do roboty, chłopcy.

Magnus cofnął się, a obaj mężczyźni stanęli przy ścianie, przodem do siebie, i podnieśli młoty. W słabym świetle Wespazjan dostrzegł ledwie widoczny zarys drzwi.

– Trzymamy je na specjalne okazje – poinformował Magnus konsula i senatora. – Nigdy nie musiałem ich używać, więc należy mieć nadzieję, że te dranie nie mają o nich pojęcia.

Pierwsze uderzenie odbiło się we wnętrzu głośnym echem; po drugiej stronie pomieszczenia w szparze pomiędzy podłogą a drzwiami pojawiło się znamienne migotanie ognia.

– Najszybciej, jak możecie, chłopcy – rzucił Magnus, zobaczywszy ciągnących korytarzem Tigrana i jego dwóch kamratów. – Nic nie mów, Tigranie, mogę się domyślić. Po prostu zarygluj tamte drzwi.

Napięcie w pomieszczeniu narastało, kiedy dym zaczął się sączyć pod drzwiami od strony ulicy, a ogień po drugiej stronie się wzmagił. Młoty uderzały szybko, na przemian, w krótkim czasie usuwając grubą warstwę tynku.

Serce Wespazjanowi zamarło, kiedy ujrzał solidną ścianę z cienkich wąskich cegieł; obejrzał się przez ramię i zobaczył jeszcze więcej płomieni.

– W porządku, chłopcy, kilka solidnych uderzeń w samą podstawę powinno wystarczyć – odezwał się Magnus.

Wespazjan obserwował, ani na moment nie zapominając o niebezpieczeństwie za plecami, torującym sobie drogę przez drewniane drzwi. Młoty wybijały przejście przez cegły u dołu ściany. Ku jego zdumieniu po kilku uderzeniach cegły wypadły; nie były połączone zaprawą. Po kilku kolejnych uderzeniach powstała wysoka na stopę szczelina; chwilę potem dwie dolne cegły spadły na podłogę, a za nimi poleciała reszta, wzbijając tumany pyłu.

– Oczyszćcie przejście, chłopcy – rozkazał Magnus.

Kilku mężczyzn zaczęło usuwać cegły. Po niespełna pięćdziesięciu uderzeniach serca można już było wydostać się na zewnątrz. Wespazjan znalazł się w rogu podwórza w kształcie litery delta, cuchnącym gnijącymi śmieciami i odchodami, wciśniętym za ostatnie kamienice przy Alta Semita i vicus Longus; z lewej strony, w wierzchołku utworzonym przez skrzyżowanie, widział płomień wznoszące się ku niebu z tawerny, z prawej zaś tyły kolejnych dwóch kamienic, przedzielonych wąską uliczką.

– Szybko, tamtędy, chłopcy, a potem rozdzielić się i zwolnić, rozproszyć się w zaułkach po tamtej stronie.

Kiedy bractwo Południowego Kwirynału rozproszyło się w milczeniu, Magnus zamienił kilka słów z Tigranem i mężczyznami dźwigającymi szkatułę, po czym spojrzał na Wespazjana i Gajusza.

– Chyba muszę tej nocy skorzystać z gościnności jednego z was – oświadczył.

– I może też przez kilka następnych, przyjacielu – zauważył Gajusz.

– Raczej nie, panie. Jeśli to zorganizował ktoś, kogo o to podejrzewam, to będę trupem, jeśli tu zostanę. Opuszczę Rzym najszybciej jak się da.

– A co ze mną? – spytał Narcyz. W jego głosie słychać już było ton dawnej wyniosłości. – Nie mogę ryzykować szukania swojego powozu. Musicie mnie ochraniać, to miało być bezpieczne miejsce na spotkanie.

Magnus nachmurzył się, słysząc te słowa, po czym poprowadził wszystkich przez podwórze.

Wespazjan patrzył na Greka i zastanawiał się, czy będzie odczuwać

wdzięczność za uratowanie mu życia, czy wprost przeciwnie, niechęć z powodu zdemaskowania jego ukrytego tchórzostwa.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że pomagając mu, nic nie do straci, a być może nawet coś na tym zyska.

– Ty idziesz z nami – powiedział.

Problemem była szybkość przemieszczania się, a raczej jej brak, kiedy Magnus prowadził konsula, senatora i wyzwolénca nieoświetlonymi uliczkami i podwórkami oddzielającymi obskurne domy, zbudowane bez żadnego sensownego planu pomiędzy zbiegającymi się tam dwiema głównymi arteriami Kwirynału. I nie otyłość Gajusza czy zadyszka Narcyza ich spowalniała, ale śmieci, zarówno te w formie stałej, jak i te płynne, śliskie, pokrywające ziemię poznaną już wcześniej różnymi niewidocznymi dziurami. Magnus kłął, prowadząc ich gęsiego. Potykali się, stawiając niepewne kroki, z wyciągniętymi na boki rękoma. Otaczał ich mrok, czasami jedynie ledwie rozproszony słabym światłem płonącej w oknie świecy czy tryskającej iskrami pochodni tkwiącej w uchwycie przy jakimś wejściu. Zewsząd dobiegały krzyki i wrzaski; nie były to odgłosy ucieczki i pogoni, ale hałas wywołany przez mieszkańców tej dzielnicy, kłócących się i walczących ze sobą w środowisku, w którym zadowolenie jest niedościgłym marzeniem.

Wespazjan obejrzał się przez ramię; u wylotu uliczki widać było poświatę z pożaru odległej o dwieście kroków tawerny. Nie zauważył napastników ani Magnusowych współbraci, którzy rozdzielili się na małe grupki i udali w różne strony, wtapiając się w otoczenie. Nie było to szczególnie trudne dla mężczyzn odzianych w szorstkie wełniane tuniki i płaszcze noszone przez miejską biedotę; ich przejście nie wywołałoby większego zainteresowania rozbójników i rzezimieszków niż widok kundli, które szwendały się po zaułkach.

Zdjął płaszcz i podał go idącemu przed nim Narcyzowi.

– Zakryj tym swój strój i schowaj ręce, żeby nie było widać tych pierścieni.

– Chyba jesteśmy bezpieczni z Magnusem. Nikt przecież nie obrabuje nas na jego terenie, w jego towarzystwie?

– Może nie zauważyłeś – Magnus potknął się o jakąś niewidoczną przeszkodę, która mlasnęła mu pod stopami, wydając obrzydliwy odór – ale ktoś właśnie spalił moją kwaterę główną i próbował mnie zabić. Rzekłbym więc, że moja władza na tym terenie sięgnęła w tej chwili dość niskiego poziomu. A poza tym, jeśli banda złodziei w jakimś kręgu światła zauważy błysk twoich pierścieni czy ten elegancki strój, a będzie ich więcej niż nas, nie zwrócą uwagi na to, z kim jesteś, dopóki nie będziemy leżeć na ziemi, krwawiąc obficie z poderżniętych gardeł. Wtedy będzie już za późno na wyjaśnienia, nie uważasz?

Narcyz owinął się szczelnie płaszczem, dysząc ciężko, zmęczony mówieniem podczas szybkiego marszu.

Gajusz naciągnął kaptur na pieczołowicie ułożone loki.

– Jak myślisz, kto to mógł być, Magnusie? – zapytał.

Magnus skrzył w prawo z pewnością człowieka, który dobrze zna drogę.

– Jeśli to było któreś z bractw, to jest ich sporo, ale podejrzewam, że to ludzie Semproniusza z Wiminału Zachodniego. Mamy wspólną granicę, ale też kilka ulic, do których obaj rościmy sobie prawo. Osobiście nie jestem w dobrych stosunkach z Semproniuszem od czasu sporu wszczętego dwadzieścia pięć lat temu, dotyczącego uprawiających nierząd chłopców. Mieliśmy zresztą kilka nieporozumień, a on potrafi chować urazę dłużej niż kobieta.

– Chcesz, żebym coś z nim zrobił? – spytał Wespazjan.

– Och, nie masz szans się do niego dobrać, nawet będąc konsulem.

– Kto go ochrania?

– Jego bractwo kontroluje bramę Wiminalską, i tak więc jest w dobrych stosunkach z gwardią pretoriańską, która korzysta z burdeli przy vicus Patricius. Semproniusz i prefekt Burrus mają świetny układ, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Więc co w tej sytuacji zrobisz?

– Nie zamierzam nic robić, Tigran się tym zajmie. Rozmawiałem z nim i kazałem mu wziąć szkatułę, przejmie wszystkie sprawy. To rozgrywka dla człowieka młodego, do której ja się już nie nadaję, szczególnie po stracie oka. Na razie, dopóki się nie dowie, kto to był i kto za nim stoi, nic nie robi. Jeśli było to któreś z bractw, będzie musiał uderzyć mocno i szybko. Wiele krwi musi popłynąć, żeby na Kwirynale Południowym zapanował porządek.

– Dlaczego mówisz „jeśli”? To przecież musiało być jakieś konkurencyjne bractwo? Tak właśnie powiedziałeś.

– Skłonny byłbyś tak sądzić, prawda, panie? Inaczej będzie, jeśli przyjrzymy się zgraniu wydarzeń w czasie. Może to i przypadek, ale dlaczego wybrali moment ataku właśnie wtedy, kiedy przebywał tam młodszy konsul i cesarski sekretarz?

Rozdział czwarty

On chce, bym pomógł mu zmusić albo Pallasę, albo Agrypinę do wyznania Klaudiuszowi, że ona przyprawiała mu rogi nie tylko z Pallasem, ale także z własnym synem. – Wespazjan przeczesał palcami kruczoczarne włosy Cenis, rozkoszując się płynącą od nich wonią piżma. – Mówi, że według niego to ona jest odpowiedzialna za zdradziecki kryzys, o którym Pallas nie ma pojęcia, ale w który mimo to zostanie wplątany.

Cenis przesunęła dłoń po jego szerokiej piersi, wilgotnej od potu po nadzwyczaj entuzjastycznym akcie miłosnym, i musnęła policzkiem jego ramię.

– O jaką zdradę chodzi? – spytała.

– Właśnie miał mi to powiedzieć, ale zaczął się ten atak. Kiedy udało nam się dotrzeć do domu Gajusza, nie miał ochoty rozwijać tematu i uparł się, by do pałacu eskortowali go prawie wszyscy niewolnicy wuja. Na odchodnym obiecał, że skontaktuje się po zakończeniu przygotowań do tego, co mamy zrobić. Upowiedział nas, że nasze zadanie będzie się wiązać z koniecznością opuszczenia Rzymu na jakiś czas. Nie chciał powiedzieć nic więcej. Przyznał tylko, że sprawa wiąże się z partyjskim poselstwem do plemion zajmujących tereny na północ od Dunaju i ze zbieżnością tego w czasie z obaleniem ostatniego króla Armenii. Twierdzi, że Agrypina wykorzystuje niepowodzenie mojego brata przeciwko mnie i doprowadziła już do cofnięcia mi nominacji na namiestnika Afryki i dlatego moją jedyną szansą na awans jest pomóc mu pozbyć się tej suki, a przy okazji obalić Pallasę. – Wespazjan spoglądał w ciemność panującą w sypialni Cenis, kręcąc z niedowierzaniem głową na myśl o sytuacji, w jaką go uwikłano.

Kolejny raz został wciągnięty w bagno cesarskiej polityki i ugrzązł między dwoma przeciwstawnymi siłami, którym zależało wyłącznie na zachowaniu własnych pozycji. Już dawno nauczył się wyciągać jak najwięcej finansowych korzyści z takiego przymusowego udziału w niecznych intrygach. Łatwiej wtedy było pozbyć się niesmaku wywołanego postępami nieprzystającymi do jego wzniosłych młodzieńczych ideałów dotyczących służby rodzinie i Rzymowi; owe zagubione ideały istniały wyłącznie w jego wyobraźni, kiedy dwadzieścia pięć lat wcześniej, jako naiwny szesnastolatek, wchodził w bramy tego miasta. Z czasem odkrył, że Rzym jest miejscem zupełnie innym niż jego wyidealizowane wyobrażenie; tu rządy sprawowali dwaj bracia, bóg prestiżu i bóg władzy, a dostęp do nich prowadził przez powszechnie czczone bóstwa patronatu i bogactwa. Nic innego się nie liczyło.

Tym razem nie widział możliwości zarobienia na zadaniu, które go czekało, ani też sposobu wyplątania się z kłopotliwej sytuacji bez utraty patronatu, jaki roztaczali nad nim Pallas i, w mniejszym stopniu, Narcyz. Narcyza już zresztą zdradził, wyjawiając Cenis, czego od niego żądał, o czym cesarski sekretarz na

pewno w którymś momencie się dowie. Wiedział, że jeśli Narcyz odzyska jeszcze kiedyś swoje wpływy, to on sam nie ma co liczyć na jego wsparcie w dalszej karierze. Dlatego wydawało mu się, że najlepszym wyjściem będzie okazać lojalność Pallasowi; zdawał sobie jednak sprawę, że Agrypina i tak nie przestanie blokować mu kariery i patronat Pallasa okaże się bezużyteczny. Była jeszcze pewna kwestia, na którą zwrócił mu uwagę Magnus po ucieczce z tawerny: lojalność Pallasa w stosunku do niego. Tylko on wiedział, kiedy i gdzie dojdzie do spotkania z Narcyzem, i bardzo mu zależało na potwierdzeniu tego faktu przez Wespazjana. Czy mógł wydać rozkaz tego ataku, by w wygodny sposób pozbyć się rywala jako przypadkowej ofiary rzekomych porachunków światka przestępczego? Czy życie Wespazjana miało być ceną za taki dogodny koniec? Tą myślą nie ośmielił się podzielić nawet z Cenis, ponieważ czuł, że w takim przypadku musiałyby o tym wiedzieć, a to by oznaczało, że udając miłość, jest tylko szpiegiem w jego łóżu. Takiej myśli nie potrafił znieść. Co bardziej prawdopodobne, nie była świadoma dwulicowości swojego przełożonego i to by ją oburzyło do tego stopnia, że szukałaby zemsty na Pallasie, narażając się na jego gniew, gdyby tylko zaczął podejrzewać, że zwróciła się przeciwko niemu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Wespazjan uznał, że jedynym wyjściem jest wycofanie się z polityki i przez resztę dni zarządzanie posiadłościami wiejskimi, gdzie upływ czasu znaczą pory roku i jak kiedyś powiedział jego brat, każdy rok różni się od poprzedniego jedynie uzyskaną w danym sezonie jakością wina. Nie mógł jednak brać pod uwagę tego najprostszego wariantu; jak bowiem jego synowie mieliby prosperować w Rzymie, gdyby ich ojciec nie miał wystarczających wpływów, by umożliwić im wspinanie się po kolejnych wojskowych i urzędniczych szczeblach *cursus honorum*? Jak niby mieliby dojść do intratnych stanowisk w prowincjach z własnymi legionami, gdyby on tak po prostu zniknął? Co gorsza, on sam nie mógłby dążyć ku urzeczywistnieniu tego losu, który, jak czuł, jest mu pisany, co wcześniej, tego ranka, potwierdziła wątroba zwierzęcia ofiarnego.

Nie, zdecydował, musi jakoś sobą pokierować i postarać się z tego wybrnąć, jeśli nie z korzyścią, to przynajmniej bez zbyt dużych strat.

– Pallas zawsze postara ci się pomóc, jeśli tylko będzie to współgrało z jego własnym interesem – szepnęła Cenis, całując go.

– W tym właśnie problem: dopóki pozostaje, nieważne z jakiego powodu, kochankiem Agrypiny, jego i moje interesy nigdy nie będą zbieżne. Więcej zyskam, jeśli Narcyz obali cesarzową, ale temu działaniu zdążyłem zagrozić rozmową z moją kochanką, która przekaże jej treść Pallasowi.

– Nie muszę tego robić.

– Oczywiście, że musisz. I oczywiście musiałem ci powiedzieć, ponieważ obiecałem Pallasowi, że tak zrobię. Z niecierpliwością oczekuje pełnego pisemnego

sprawozdania jutro z samego rana i spodziewa się, że będę go informował o wszelkich swoich kontaktach z Narcyzem. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie da się go okłamać; nawet jeśli teraz przełknąłby kłamstwo, które by pasowało do znanych mu faktów, to i tak prawda wyjdzie na jaw, kiedy sprawy, co nieuniknione, przybiorą nieprzewidywalny obrót.

Cenis milczała przez chwilę, po czym uniosła głowę.

– Możliwe, że jest sposób, byś grał na obie strony, ale wymaga to cierpliwości.

– Potrafię być cierpliwy.

– Musimy się dowiedzieć, co konkretnie zrobiła Agrypina, i mieć na to dowody, zanim Narcyz je zdobędzie.

– My?

– Oczywiście, że „my”, mój ukochany. Komu innemu możesz to zawierzyć? Powiem Pallasowi wszystko to, co mi powiedziałaś. On będzie chciał wiedzieć, czego się dopuściła Agrypina i w jaki sposób on może być w to zamieszany, a ja mu powiem, zgodnie z prawdą, że Narcyz nie zdążył ci tego powiedzieć, bo akurat nastąpił atak na tawernę. Powiedział tylko, że według niego ma to jakiś związek z tym poselstwem. W tej sytuacji Pallas będzie miał prosty wybór: zażądać od Agrypiny, by mu powiedziała, co zrobiła za jego plecami, a tego będzie się obawiał, bo ona odmówi i wtedy ich stosunki zostaną trwale zniszczone. Albo dowiedzieć się samemu, a potem zdecydować, czy zdemaskować ją przed cesarzem dla ratowania własnej skóry.

Wespazjan zdusił ziewnięcie.

– A to, jeśli mu pomogę, uwolni mnie od niej i utrzyma Pallasa na stanowisku, na którym wciąż będzie dla mnie użyteczny.

– Możesz mu pomóc w osiągnięciu celu. Pallas zorientuje się, że najprościej dowiedzieć się, co ona zrobiła, poprzez ciebie. Uświadomi sobie, że Narcyz nie spotkał się z tobą dlatego, że liczył na twoją pomoc, bo Agrypina uniemożliwia ci karierę. Narcyzowi nie zależy na takich sprawach. Wybrał ciebie, ponieważ ty, i tylko ty, możesz mu pomóc. Narcyz nie spróbuje oskarżyć Agrypiny i Pallasa o zdradę bez dowodów. Wiem, jak działa jego umysł, bo przez sześć lat byłam jego sekretarką. On czuje, że ty i twój wuj jesteście kluczem do znalezienia tego dowodu, inaczej po co chciałby się z tobą spotykać po kryjomu? Dlaczego wybrał akurat ciebie?

Wespazjan ścisnął jej ramię.

– Oczywiście! Jesteś genialna, ukochana! Co takiego jest wspólnym elementem pomiędzy przypuszczalną zdradą Agrypiny a mną i Gajuszem? Sabinus. To, co zrobiła, musi się wiązać z tamtymi wysłannikami, których Sabinus nie zdołał pochwyć. Narcyz podejrzewa, że przypadkowo mój brat wie o czymś, co może okazać się użyteczne.

– Właśnie. A ja zgaduję, że Narcyz chce, byście ty i twój wuj porozmawiali z Sabinusem i dowiedzieli się, co wie. Poprosi, byście obaj udali się w podróż do Mezji.

– Obaj?

– Tak przypuszczam. Wydaje się to dość dziwne, ale niby po co spotykałby się z wami oboma?

– Ale co takiego może zrobić czy powiedzieć Gajusz, czego ja nie mogę?

– Jestem przekonana, że to się wyjaśni. Kiedy będę przedstawiać sprawę Pallasowi, mogę to zrobić w taki sposób, że dojdzie do takiego samego wniosku jak ty przed chwilą. Uzna, że to jego pomysł, i jego pierwszą reakcją będzie namówienie Klaudiusza, by odwołał Sabinusa do Rzymu i tutaj go przesłuchał.

– Wtedy Narcyz wiedziałby już na pewno, że go zdradziłem.

– A Pallas straci wszelką przewagę, jaką jeszcze posiada. Dla niego jest o wiele lepiej, kiedy Narcyz sądzi, że on nic nie wie. Dla Pallasa lepsza jest sytuacja, kiedy Agrypina nie podejrzewa, że jej kochanek ją sprawdza. Dla nas będzie o wiele lepiej, kiedy wy dwaj udacie się do Mezji na prośbę Narcyza, ale z cichym błogosławieństwem Pallasa. Trzeba przekonać Narcyza, że działacie wyłącznie dla niego, i dlatego spowoduję, by Pallas zwolnił mnie ze stanowiska za spiskowanie przeciwko niemu.

Wespazjan aż usiadł, kiedy dotarło do niego pełne znaczenie słów Cenis.

– A jeśli ja odkryję dowód na to, czego dopuściła się Agrypina, to po powrocie mogę go przekazać temu z nich, który ma największą szansę dania mi namiestnictwa prowincji.

– Masz rację, ponieważ każdy z nich będzie wierzył, że pracujesz wyłącznie dla niego, aż do chwili, kiedy przekazesz informację temu drugiemu. A ja będę mogła odzyskać swoje stanowisko u tego, którego wybierzemy, bo w jego oczach będę osobą bez skazy.

– To, moja ukochana, jest zimna, bezwzględna polityka godna samego Pallasa i Narcyza.

Cenis ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała w usta.

– Dziękuję. Musisz jednak pamiętać, że całe dorosłe życie tkwiłam w ich świecie, oddychałam jego powietrzem i lepiej niż ktokolwiek wiem, jak ci dwaj funkcjonują. Jednakże nie im jestem winna lojalność, a tylko tobie, mój ukochany, a kiedy oni ci zagrożą, zawsze pomogę ci się obronić, zawsze zadbam o twoje bezpieczeństwo.

Wespazjan odwzajemnił pocałunek, wkładając w to całe uczucie, a jednocześnie czując narastający wstyd.

– Wybacz, że w ciebie wąpiłem – powiedział.

– Wąpiłeś? Dlaczego?

Opowiedział jej o zastanawiającej synchronizacji ataku na tawernę ze

spotkaniem i o tym, że tylko Pallas wiedział, kiedy on i Narcyz tam będą.

– Sądzisz, że gdybym o tym wiedziała, tobym ci nie powiedziała? Oczywiście, że bym powiedziała. Muszę jednak szczerze przyznać, że Pallas nie miał z tym nic wspólnego. Wiedziałabym o tym.

– W takim razie kto to zorganizował? Może Kallistos, próbując wślizgnąć się z powrotem do kręgu władzy przez wyeliminowanie Narcyza?

– Nie, on zadawała się pozycją sekretarza do spraw sądów... to bardzo lukratywne stanowisko. Wie, że Agrypina ma na niego oko, po pierwsze dlatego, że był człowiekiem Messaliny, a po drugie za to, że nie popierał jej, kiedy chciała zostać cesarzową. Nie zrobiłby nic, co by przyciągnęło jej uwagę.

– Zatem kto?

– To zbieg okoliczności, wojna bractw o terytorium, w którą przypadkowo się wplątaliście. A teraz zapomnij o tym i prześpij się trochę.

Wespazjan pocałował ją raz jeszcze i rozciągnął się na łożu. Jednak sen nie przychodził; nie bardzo wierzył w zbiegi okoliczności.

Wezwanie od Klaudiusza zaskoczyło Wespazjana popołudniową porą, kiedy poprzedzany przez liktorów opuścił siedzibę senatu. Doskonale prezentujący się centurion, który czekał u stóp schodów, uderzył energicznie w okrywający klatkę piersiową wypolerowany pancerz łuskowy. Od gorliwie wykonanego salutu zatrząsł się zdobiący hełm pióropusz. Krótko, po wojskowemu, poprosił o pozwolenie przekazania, że życzeniem cesarza jest, aby Wespazjan towarzyszył mu w drodze powrotnej na Palatyn, bezpośrednio po tym, jak zakończy się proces, któremu przewodniczy na drugim krańcu Forum. Wespazjanowi nie pozostało nic innego, jak skierować się w stronę rozprawy toczonej pod gołym niebem. Po drodze wysłuchiwał próśb natrętów i przeklinał w duchu Klaudiusza za uniemożliwienie mu zanurzenia się w ożywczej kąpieli, która, jak miał nadzieję, spłukałaby zmęczenie po prawie nieprzespanej nocy.

– Nie mam pojęcia, na co oni liczą, przekazując prośby konsulowi, któremu pozostały zaledwie dwa dni na tym stanowisku – zauważył ktoś z boku wielkopańskim tonem, po tym jak Wespazjan pozbył się jakiegoś suplikanta banalnymi obietnicami zajrzenia do jego odwołania dotyczącego prawa do zaskarżenia ojcowskiego testamentu.

– Korbulon! – wykrzyknął Wespazjan, a wyraz jego twarzy złagodniał, kiedy dostrzegł starego znajomego wychodzącego zza rostry. – Nie wiedziałem, że już jesteś w Rzymie.

– Właśnie dzisiaj wróciłem. – Korbulon podszedł bliżej i spoglądając na Wespazjana znad długiego nosa tkwiącego w końskiej twarzy, wyciągnął prawicę. – Jestem tutaj, by złożyć wyrazy szacunku cesarzowi i podziękować mu za przydzielenie mi Azji.

– Ale przecież ty jesteś namiestnikiem Germanii Mniejszej – powiedział

zdumiony Wespazjan.

– Byłem, Wespazjanie, byłem. – Korbulon wyprostował się z miną samozadowolenia i razem podążyli w stronę sądu. – I świetnie się wywiązałem z działań przeciwko Cheruskom i Chaukom, którzy próbowali wykorzystać nasze osłabienie na granicy z Germanią. Zabiłem tysiące tych brodatych barbarzyńców i nauczyłem ich, że wycofanie się trzech legionów znad Renu i jednego znad Dunaju i wysłanie ich na podbój jakiejś spowitej mgłą wyspy nie jest powodem, by przestali płacić daninę Rzymowi. Cesarz jest bardzo ze mnie zadowolony... a przynajmniej zadowoleni są jego wyzwoleńcy. – Korbulon zmarszczył nos z niesmakiem. – Wezwano mnie do Rzymu, żeby mi przyznać *ornamenta triumphalia*.

– W dzisiejszych czasach to niewiele znaczy; Klaudiusz przyznał prawo do noszenia tych insygniów każdemu z setki czy więcej senatorów, którzy towarzyszyli mu do Brytanii. Nawet mój wuj, którego jedyny kontakt ze sprawami wojskowymi sprowadza się do comiesięcznej inspekcji parady w dzień wypłaty żołdu, cieszy się tym przywilejem. Nagroda przestała być prestiżowa.

– No tak, cóż, mój prestiż jest niepodważalny. Dostałem Azję i obietnicę objęcia kolejnego dowództwa, narasta bowiem niepokój o stabilność poddanego nam królestwa Armenii, a zważywszy na moje doświadczenie, właśnie ja najbardziej nadaję się do tego zadania.

– Z pewnością, Korbulonie – zgodził się z nim niezbyt entuzjastycznie Wespazjan.

– Nie wygląda na to, żeby cieszył cię mój sukces. Czyżbyś dostał Bitynię albo coś równie nieciekawego? Nie byłoby w tym nic dziwnego przy twoim pochodzeniu. Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem, że Sabinus dostał Mezję, Macedonię i Trację.

Wespazjan był przyzwyczajony do Korbulonowej próżności i zarozumiałstwa, bo znał go dwadzieścia pięć lat, od czasu, kiedy podczas trackiej rewolty służyli razem jako wojskowi trybuni w IV legionie *Scythica*; nie ułatwiało mu to jednak przełknięcia tych słów.

– Tak – przyznał – to było zaskoczenie, zważywszy, że każdy z nas to *homo novus* i w tamtym czasie nasza rodzina mogła się szcycić tylko jednym konsulem. Jednak bardziej zaskakujące jest to, że teraz, kiedy możemy poszczycić się dwoma, ja nie dostaję prowincji, podczas gdy ty, którego ród jest o wiele starszy od naszego, a mimo to, o ile pamiętam, uzyskał konsulat tylko raz, otrzymujesz drugą prowincję. – Wespazjan ukrył rozbawienie, kiedy mężczyzna chrząknął tylko w reakcji na ten przytyk. – Ale cieszę się razem z tobą, choć przyznaję, że jestem zdumiony twoją wiedzą o kłopotach w Armenii. Nie omawiano tego w senacie.

Patrycjusz ujął Wespazjana za łokieć i pociągnął dalej od liktorów.

– To dlatego, że oficjalnie nie ma tam żadnych problemów i Mitrydates

ciągle zasiada na tronie. Taka jest moja oficjalna wiedza. A nieoficjalnie wiem, że został obalony, choć szczegółów nie znam.

Jeszcze bardziej zadowolony z siebie Korbulon upajał się tym, że posiada głębszą wiedzę.

– Nieoficjalnie, trzy miesiące temu, na początku października, Mitrydatesa pokonał młody pretendent, parweniusz, o wulgarnym imieniu Radamist, syn króla Farasmanesa z sąsiedniej Iberii. Co oczywiste, wyczuwamy tam pieniądze Partów, jako że w Armenii nic się nie dzieje bez ich czy naszej wiedzy.

– A my przecież nie pozbywalibyśmy się własnej marionetki.

– No właśnie, nawet nie... cóż, nie wskażę, kto jest taki głupi. W każdym razie wiadomo mi, że jeśli dyplomacja zawiedzie, konieczna będzie interwencja zbrojna, a moje wojskowe doświadczenie czyni ze mnie oczywistego dowódcę do jej przeprowadzenia.

– A co by się wydarzyło, gdyby dyplomacja zawiodła i, brońcie nas, bogowie, tobie nie udało się siłą legionów przywrócić Mitrydatesa na tron, a Armenia stała się królestwem zależnym od Partów?

Mężczyzna zmarszczył brwi, nie mogąc pojąć czegoś tak zupełnie niemożliwego.

– Ja nie zawiodę – oświadczył wreszcie.

– Tak, tak, oczywiście, ty nie zawiedziesz, Korbulonie. Założmy jednak, tak teoretycznie, że cesarz wyśle kogoś innego, nie człowieka twojego formatu, który zawiedzie, i Armenia znajdzie się z powrotem pod partyjskimi wpływami, pierwszy raz od czasów Tyberiusza. Co wtedy?

– Wtedy cesarz musiałby wysłać mnie, żebym naprawił sytuację. – Głośne beczenie, które wydobyło się z głębi gardła Korbulona, powiadomiło Wespazjana, który znał te objawy, że jego rozmówca usiłuje okazać rozbawienie. Szybko mu to minęło. – Ale, mówiąc poważnie, gdyby do tego doszło, to mielibyśmy bardzo trudną sytuację. Partowie zyskaliby wkrótce dostęp do Morza Czarnego, a ich flota zagrażałaby Bosforowi i miała możliwość wtargnięcia na Nasze Morze. Nie będziemy tego nawet rozważać.

I co więcej, pomyślał Wespazjan, kiedy już przybyli na miejsce, uzyskaliby dostęp do Dunaju i tym samym do serca Europy. Zatrzymał się obok cesarskiej lektyki, czekając na Klaudiusza, i w myślach podziwiał Narcyza za umiejętność konstruowania sensownej opowieści na podstawie kilku zaledwie faktów. Zastanawiał się też, jaki związek mogła mieć Agrypina z Iberią, Armenią i z poselstwem Partów do zadunajskich ludów. Jego rozmyślania przerwał krzyk.

– A jeśli chodzi o ciebie, to jesteś starym głupcem!

Wespazjan spojrział w stronę, skąd dochodził głos, i zobaczył, jak prawnik ciska swoim rylcem i woskowymi tabliczkami.

Klaudiusz zaskowytał i schylił głowę, ledwie unikając skierowanych w niego

pocisków.

– Niech będą przeklęte twoje idiotyczne, okrutne werdykty! – krzyczał prawnik coraz bardziej rozwścieczony. – Jak możesz dopuszczać zeznania kobiety, na dodatek zwykłej prostytutki, obciążające ekwitę?

Wzburzony wskazał oskarżonego, stojącego między barierką a stołem sędziowskim. Pięćdziesięciu prawników, również ekwitów, siedziało za plecami oskarżonego, piorunując wzrokiem swojego cesarza i stojącą przed nim wypacykowaną kobietę, odzianą w męską togę symbolizującą jej profesję.

Wespazjan westchnął i pokręcił głową, spoglądając na Korbulona.

– W ciągu ostatnich dwóch lat znacznie mu się pogorszyło – powiedział. – Jak słyszę, każdego wieczoru upija się do nieprzytomności i jest coraz bardziej nieobliczalny.

Klaudiusz poprawił togę, starając się odzyskać nieco godności, jednak wciąż wyglądał niechlujnie.

– P-p-przeklinajcie mnie, ile chcecie, ale t-t-trzymajcie się ode mnie z daleka! – rzucił.

– Kłopot polega na tym – ciągnął Wespazjan, patrząc, jak cesarz rozwija jakiś prawniczy dokument, przeciera dłonią przekrwione oczy, wbija wzrok w drobne litery – że on ma wielki szacunek dla zwyczajów naszych przodków i dla prawa i wydaje mu się, że powinien organizować sąd tak, jak to było w czasach republiki. Pozwala, żeby mu urągano, wychodzi na kompletnego głupca i nie zamierza karać tych, którzy mu ubliżają. Ale tylko podczas rozpraw – dodał Wespazjan. – Poza sądem każdy, kto z niego zakpi, naraża się na karę główną i uzyskuje tylko jeszcze jedną sposobność, by sobie z niego zażartować, a mianowicie tuż przed egzekucją.

Trzęsącymi się dłońmi Klaudiusz zwinął dokument.

– D-d-dopuszczę jej zeznanie i na jego p-p-podstawie wydam wyrok – oświadczył.

Obrońca walnął pięścią w pulpit.

– Jej zeznanie – wrzasnął – jest mniej wiarygodne niż obywatela najniższego stanu, ty głupcze!

Dziesiątki obserwatorów, głównie zwykłych obywateli otaczających sąd i przysłuchujących się rozprawie, poczuło się urażonych tymi słowami, podważającymi ich uczciwość, i zaczęło pomstować na prawnika. Klaudiusz raz jeszcze zignorował impertynencję, podał dokument urzędnikowi i zaczął grzebać w leżącym przed nim stosie zwojów i tabliczek woskowych.

– Niestety zapomina o swoim sentymencie do republiki – ciągnął Wespazjan – i kiedy uznaje, że tylko jego opinia się liczy, podejmuje jednostronną decyzję, pomijając cały skład sędziowski.

– Uznaję oskarżonego – zaczął Klaudiusz i przerwał, żeby zająrzeć do innego

zwoju – D-d-dydiusza Getulusa za winnego oszustwa, ponieważ zapłacił za usługi tej uczciwej kobiety fałszywą monetą, i radzę ławnikom stwierdzić to samo.

Gawiedź zareagowała potężną owacją. Świadkowie rozprawy, wzięwszy sobie do serca poprzednią uwagę prawnika, teraz byli zachwyceni, że skazany zostaje człowiek o wyższym od nich statusie, nieważne, czy w oparciu o fałszywe dowody, czy nie.

– Zatem jakiemu protektorowi zawdzięczasz tę nową nominację? – zapytał Wespazjan, podczas kiedy sąd głosował.

– Właśnie! – rzucił Korbulon, rozglądając się wokół i upewniając, że nikt ich nie usłyszy. – To właśnie dziwna sprawa i miałem nadzieję, że jako aktualny konsul pomożesz mi to zrozumieć – powiedział zniżonym głosem.

– Wątpię, bo dopiero wczoraj dowiedziałem się o tym, że jest jakiś problem z Armenią.

– No cóż, spróbuj. Cała korespondencja do mnie przychodziła pocztą cesarską. Jednak mimo że nosiła cesarską pieczęć, to żadne pismo nie było podpisane przez Klaudiusza czy choćby przez któregoś z jego wyzwolenców, co byłoby normalne. Przepytywałem wszystkich kurierów, a ci uparcie twierdzili, że pocztę otrzymywali z pałacu, zawsze z rąk jakiegoś niskiego rangą urzędnika.

– W tym akurat nie ma nic niezwykłego.

– Zgoda, jednak nigdy wcześniej nie otrzymywałem rozkazów z cesarską pieczęcią bez podpisu samego cesarza albo któregoś z jego wyzwolenców.

– To dlaczego sądziłeś, że są autentyczne?

– Nie byłem pewien, dopóki nie zjawił się mój następca z nominacją od cesarza.

– Winny! – oświadczył przewodniczący, stosując się do rady Klaudiusza.

– No widzisz – szepnął Wespazjan – wołają już skazać jednego ze swoich, niż postąpić wbrew woli cesarza. Nawet jeśli dowody są podejrzane.

Korbulon popatrzył na dziwkę z obrzydzeniem; uśmiech na jej twarzy wyrażał mściwą radość, kiedy patrzyła na oskarżonego, który krył twarz w dłoniach.

– To hańba, żeby przedkładać jej słowo nad słowo zamożnego człowieka.

Klaudiusz skończył pisać werdykt na stosownym zwoju i zwrócił się do sądu.

– Teraz ogłoszę wyrok – oznajmił. – Ja...

– To fałszerz! – zawołał ktoś z tłumu. – Powinno mu się obciąć ręce.

Klaudiusz rzucił kilkakrotnie głową, kiedy próbował stwierdzić, skąd pochodził ten głos.

– Takie były obyczaje naszych przodków! – przypomniał cesarzowi ktoś inny, zresztą zgodnie z prawdą.

Oskarżony oderwał dłonie od twarzy, przyjrzał im się, a potem

Klaudiuszowi, jakby zdawał się rozważać te nieproszone rady. Trwoga malująca się na jego twarzy przeszła w zgrozę, kiedy Klaudiusz zaczął potakiwać, najwyraźniej przeświadczony, że to kara sprawiedliwa.

– D-D-Dydiuszu Getulusie, skazuję cię na życie bez rąk, byś ich więcej nie wykorzystywał do niecznych uczynków. T-t-trzymajcie go i sprowadźcie kata.

Wybuchła wrzawa, kiedy unieruchomiono nieszczęśnika; widzowie, węsząc krew i ból, wiwatowali na cześć cesarza, chwając jego mądrość, podczas gdy członkowie składu sędziowskiego demonstrowali swoją wściekłość z powodu wymierzania tak barbarzyńskiej kary człowiekowi, którego nie mieli odwagi uniewinnić.

Wespazjan odwrócił się, nie chcąc dłużej oglądać tego spektaklu.

– Sądysz więc, że zrobiono to bez wiedzy cesarza? – zapytał.

– Nie bardzo wiem, co myśleć, i dlatego przybyłem na Forum, żeby mu się zameldować, zanim ktoś inny go poinformuje, że tutaj jestem. Ciekaw jestem jego reakcji.

– Jeszcze bardziej interesujące będzie zobaczyć reakcję ludzi z jego otoczenia. Osobiście uważam, że osoba, która uda największe zaskoczenie na twój widok, to właśnie twój tajemniczy patron. A jeśli moje podejrzenia są słuszne, to byłbym bardzo ostrożny.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy tylko, że nie chciałbyś mieć z *nią* do czynienia.

Korbulon rozważał słowa konsula, kiedy mijał ich muskularny mężczyzna z drewnianym kłocem i toporem, kierując się w stronę sądu. Za nim szło dwóch ludzi z metalowym koszem pełnym rozżarzonych węgli.

– Ale chyba Agrypina nie ośmieliłaby się tak otwarcie wtrącać w sprawy cesarskiej polityki? To co prawda cesarzowa, ale przecież tylko kobieta.

– Być może, ale wczoraj zasiadała obok cesarza na podium tej samej wysokości, a potem spowodowała zmianę cesarskiej polityki, zalecając, aby darowano życie Karatakusowi.

– To oburzające, darować życie buntownikowi! Gdybym robił coś takiego w Germanii, nie otrzymalibyśmy żadnej daniny i żyli w nieustającej obawie przed najezdami z za Renu.

– Mimo niezwykłego przywiązania Klaudiusza do „obyczajów naszych przodków” nie potrafi kontrolować swojej małżonki tak, jak oni mieli w zwyczaju.

Od strony sądu zapanowała teraz cisza, przerywana jedynie błagalnym wołaniem jednego człowieka.

– Nie mam ochoty zawdzięczać swojego stanowiska kobiecie – oświadczył stanowczo Korbulon.

– Zatem albo to, albo cicha emerytura we własnej posiadłości, dopóki ona nie odejdzie. To wybór, przed jakim wszyscy stoimy.

Krzyki raptownie przerwał głuchy odgłos ostrego metalu spadającego na lite drewno, a potem rozległ się przeraźliwy skowyt. Gapie wydali stłumiony okrzyk aprobaty. Kilka chwil później powtórzyli okrzyk, ale tym razem nie zagłuszyli rozpaczliwego zawodzenia człowieka, którego przed chwilą pozbawiono obu dłoni.

Wespazjan starał się odgrodzić od tych żalonych dźwięków, kiedy stał w milczeniu obok zamyślnego Korbulona, podczas gdy sąd powoli się rozchodził, a widzowie rozpierzchli się w poszukiwaniu nowej rozrywki, gawędząc wesoło o tak widowiskowym zakończeniu.

– O! T-t-tutaj jesteś, konsulu – zawołał radośnie Klaudiusz, kuśtykając za swoimi liktorami, którzy torowali mu przejście do lektyki. – Mamy wiele do omówienia.

– Princepsie – odparł Wespazjan, pochylając lekko głowę.

– Princepsie – powtórzył za nim Korbulon.

– K-K-Korbulon? Ciebie też wezwałem?

– Tak, panie.

– Aż z tak daleka, z G-G-Germanii Mniejszej?

– W rzeczy samej, princepsie. Zastąpiłeś mnie tam kimś innym, a w zamian dałeś mi namiestnictwo Azji.

– N-n-naprawdę? Proszę, proszę, co za przypadek. Dołącz do nas. To nawet dobrze, że wysłuchasz, co mam do powiedzenia Wespazjanowi, bo może to i ciebie dotyczyć, skoro udajesz się do Azji. Ostatecznie Azja niemal sąsiaduje z Armenią.

– Widzisz zatem – mówił Klaudiusz, moszcząc się pośród stosów poduszek w lektyce – jak niezwykle istotne dla polityki wschodniej i stosunków z Partią jest, aby Armenia pozostała w strefie naszych wpływów. W razie jej utraty Partowie mieliby wolną drogę do królestwa Pontu i nawet mogliby zająć te ziemie, zagrażając naszym prowincjom, Azji i Syrii.

Zaskoczył zarówno Wespazjana, jak i Korbulona płynną przemową; bez zająknięcia wyjaśnił obecny kryzys w tym regionie, podczas gdy posuwali się via Sacra. Natomiast jego znajomość szczegółów nie była niczym zaskakującym. Obaj doskonale wiedzieli, że ten roztargniony człowiek posiada dużą wiedzę dotyczącą prawa i faktów historycznych, napisał bowiem wiele książek chwalonych za ich poziom naukowy. Ta bezsprzecznie głęboka wiedza Klaudiusza nie przystawała do jego powłoki cielesnej. Cesarz, mało, że się ślinił, podrygiwał i kuśtykał, to jeszcze opowiadał kiepskie dowcipy, rzucał niestosowne uwagi, działał pod wpływem małżonki i swoich wyzwolenców i coraz częściej się upijał. Chociaż Klaudiusz potrafił pojąć każdy problem, to zazwyczaj rozwiązanie podsuwał mu jeden z intrygantów pasożytujących na jego władzy. Ten przypadek nie stanowił wyjątku.

– Zatem Pallas zasugerował, że najlepiej będzie temu przeciwdziałać, kierując poselstwo do Armenii, i ja się z nim zgadzam, podobnie jak cesarzowa. Co więcej, Agrypina uważa, że ty, Wespazjanie, jesteś człowiekiem najbardziej

odpowiednim do wykonania tego zadania. Jako mój współkonsul będziesz cieszył się znacznym autorytetem po upływie kadencji. To powinno zrobić wrażenie na tych małostkowych ludziach Wschodu. Zamierzałem dać ci namiestnictwo Afryki, ale Agrypina kilka dni temu przekonała mnie, że członkowie twojej rodziny niezbyt nadają się na zarządców i że nie powinno się marnować tam twoich talentów. Że należy poczekać, aż trafi się coś bardziej odpowiedniego dla ciebie. Tak się cieszę, że to zrobiła... musiała otrzymać jakąś boską wskazówkę, bo Pallas zasugerował to samo dopiero dziś rano.

– Cóż za szczęśliwy przypadek, princepsie – wycedził Wespazjan. – Co mam osiągnąć tą misją?

– Pallas czeka w pałacu, żeby poinformować cię o szczegółach.

Nie pytając o nic, wprowadzono Wespazjana do pokojów wyzwolenca, na pierwszym piętrze wybudowanej przez Augusta części pałacu. Pallas czekał na niego w oficjalnej sali przyjęć: przestronnej komnacie ozdobionej posągami i freskami o tematyce z greckiej mitologii. Meble były proste, z polerowanego drewna, i uwagę zwracał brak bogatych i miękkich obić. Zachodzące za Circus Maximus i Awentynem słońce zalewało pomieszczenie bladym przyćmionym światłem zimowego wieczoru.

– Sprawy potoczyły się znacznie szybciej, niż się spodziewałem – powiedział Pallas, zaskakując Wespazjana, gdyż wstał na jego widok. – Raport Cenis z dzisiejszego ranka trochę mnie zaniepokoił, ale moment jest jak najbardziej odpowiedni. Narcyz może cię poprosić, byś w drodze do Armenii zatrzymał się w Macedonii i porozmawiał ze swoim bratem. Sądzę, że spotka się z tobą zaraz, jak stąd wyjdiesz. Domyślam się, że za drzwiami czeka posłaniec, żeby cię do niego zaprowadzić. Postarałem się, by wiedział, że jesteś tutaj po instrukcje dotyczące twojej misji na Wschodzie.

Jak równi wyciągnęli do siebie prawice, choć jeden był konsulem Rzymu, a drugi zwykłym wyzwolencem. Wespazjan nie myślał o tym, ponieważ wiedział, że w Pallacie nie ma niczego „zwykłego”.

– Nie wiesz, czego dopuściła się Agrypina? – spytał.

Pallas gestem odprawił zarządcę, który wprowadził konsula.

– Jeśli w ogóle czegoś się dopuściła. Możliwe, że to tylko pobożne życzenia Narcyza albo wyrachowane kłamstwo, mające wzbudzić nieufność między mną i cesarżową.

Wespazjan usiadł na miejscu wskazanym przez Pallasa, obok napełnionego już wcześniej kielicha.

– Jeśli tak jest, to rzeczywiście działa.

– No tak, cóż, analiza Cenis jest prawidłowa. Nie mogę zapytać Agrypiny, bo to źle wpłynęłoby na nasze stosunki, niezależnie od tego, czyby się przyznała, czy zaprzeczyła. Jednakże jeśli Narcyz ma rację, oskarżając ją i łącząc tę sprawę

z poselstwem Partów, to mogę się domyślić, co takiego cesarzowa zrobiła.

– Jej pieniądze wspierają Radamista.

Twarz Pallasa drgnęła, zdradzając zaskoczenie.

– Jak do tego doszedłeś?

Wespazjan upił łyk wina i zamknął oczy, delektując się wyśmienitym smakiem.

– Chodzi o zbieżność w czasie. Poselstwo partyjskie przybyło na samym początku września, zatrzymało się na kilka dni, po czym ruszyło do domu, uniknąwszy po drodze spotkania z Sabinusem. Z tego, co mówi Narcyz, wysłannicy przewinęli się przez port Fazis pod koniec września. W tym samym miesiącu Radamist poprowadził swoją armię z Iberii do Armenii i po bardzo krótkiej kampanii, zanim nastał październik, obalił Mitrydatesa. Narcyz jest pewien, że poselstwo podróżowało z Partii i z powrotem przez Iberię. Co więcej, jeden z agentów Agrypiny zamordował człowieka, który poinformował Sabinusa o tych wysłannikach; Agrypina kazała go zamordować w odpowiednim czasie, tak by Sabinus zdążył się o nich dowiedzieć. Ale skąd wiedziała o poselstwie Partów, żeby podjąć taką decyzję? Jakoś trudno mi uwierzyć w przypadek.

– Tak, podobnie jak mnie. Jeśli Narcyz ma rację i ona jest z tym poselstwem powiązana, to doskonale rozumiem, dlaczego mi się nie zwierzyła. Bardziej jednak niepokoi mnie, dlaczego moi agenci nic o tym nie wiedzieli. Ja sam już od dwóch miesięcy wiem o wydarzeniach w Armenii, jednakże to, że wysłannicy Partów sprowokowali usunięcie Mitrydatesa, to dla mnie coś nowego. Najwyraźniej Agrypina o tym wiedziała, a Narcyz dowiedział się, przejąwszy jej korespondencję. Normalnie, będąc bliżej niej niż on, mam dostęp do całej korespondencji, jaka przychodzi do pałacu, a jednak w tym wypadku tak nie było. Wszystkie pisma dotyczące partyjskiego poselstwa przechwytywali jego ludzie, nie moi. Zupełnie jakby celowo utrzymywano mnie w niewiedzy czy, co jeszcze gorzej, Narcyza celowo oświecano.

– Ale teraz, kiedy już tyle wiesz, jaki twoim zdaniem był cel tego poselstwa?

– Destabilizacja sytuacji wzdłuż Dunaju, by odwrócić naszą uwagę od Armenii.

– I były jakieś niepokojące wydarzenia?

– Nie więcej jak zazwyczaj.

Wespazjan zamyślił się, smakując wino; gdzieś w ogrodzie zaczął gruchać gołąb.

– Co Agrypina może zyskać na obaleniu naszego marionetkowego króla i zastąpieniu go kimś lojalnym wobec Partii?

– Nie sądzę, by mógł być w pełni oddany Partii. Ci obmierzli wschodni królowie są lojalni jedynie wobec siebie samych i swoich rodzin... oczywiście wobec tych członków rodziny, których pozostawiają przy życiu. Radamist jest

wnukiem brata Tryfeny, ona była...

– Królową Tracji, wiem, poznałem ją, kiedy byłem tam z Czwartym legionem *Scythica*.

– Oczywiście. W takim razie wiesz, że zawsze była przyjaciółką Rzymu.

– To w takim razie dlaczego Partowie pomagają Radamistowi strącić z tronu króla i pozwalają mu zająć jego miejsce, skoro jego rodzina jest prorzymska?

– Przy założeniu, że Narcyz ma rację i oni mu pomogli, a Agrypina była jakoś w to wplątana. Tego właśnie masz się dowiedzieć, kiedy będziesz pomagał Mitrydatesowi odzyskać należny mu tron, na którym zresztą go sami posadziliśmy.

– Ja? Mam usunąć uzurpatora? Do tego potrzebna mi będzie cała armia.

– Właśnie tego staramy się uniknąć. Jeśli pošlemy tam armię, znajdziemy się w stanie wojny z Partią. Może zresztą do tego dojść, ale skąd weźmiemy niezbędne legiony?

– Może nie trzeba było najeżdzać tak nieistotnej wyspy jak Brytania i żeby ją utrzymać, wiązać tam cztery legiony.

– Co się stało, to się nie odstanie, a osiągnęliśmy wtedy cel polityczny, dając Klaudiuszowi zwycięstwo i umacniając jego pozycję. – Pallas przerwał i przez chwilę przyglądał się Wespazjanowi. – Przyznam jednak, że reperkusje tego przedsięwzięcia znacznie zredukowały naszą siłę uderzenia. Nie możemy już wycofać więcej legionów znad Renu. Nie możemy zabrać ich znad Dunaju, bo chociaż na razie nic się tam nie dzieje, musimy założyć, że zadaniem poselstwa było zachęcanie północnych plemion, by parli na południe, na tereny Mezji. Te dwa legiony egipskie i jedyny afrykański ochraniają dostawy ziarna z tamtych prowincji i dlatego nie można ich ruszyć, a hiszpańskie są zbyt zajęte utrzymywaniem w ryzach miejscowych. A jeśli pošlemy tam legiony syryjskie, Partowie mogą przetoczyć się przez tę prowincję i dotrzeć do Naszego Morza, bez wątpienia wspomagani przez zdradzieckich Żydów, jeśli udałoby się im zjednoczyć. Chociaż mój brat Feliks, którego cesarz za moją namową mianował prokuratorem Judei, mówi, że oni się nie zmieniają i są tak samo swarliwi jak zawsze.

– Krótko mówiąc, nie możemy pozwolić sobie na wszczynanie wojny.

– W tej chwili nie, potrzebujemy kilku lat na przygotowania.

– Mam zatem intrygą osiągnąć to, czego nie jesteśmy w stanie dokonać siłą, i zażegnać groźną dla Rzymu sytuację, do której, być może, z niewiadomych powodów przyczyniła się sama cesarzowa?

– Tak – potwierdził wyzwolenciec z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Wespazjana ogarnął pusty śmiech.

– To cię będzie kosztować – oświadczył.

– Mógłbyś świetnie na tym wyjść po powrocie.

– Chodzi mi o zapłatę za wyruszenie, a nie za powrót.

– Czego chcesz?

– Ochrony przed Agrypiną, gwarancji uzyskania namiestnictwa prowincji po powrocie, uwolnienia mojego brata od wszelkiej odpowiedzialności za przeoczenie partyjskiego poselstwa i jeszcze prawa powrotu pewnemu mojemu klientowi do warstwy ekwitów, co przyniesie mi finansowe korzyści.

– Mogę zagwarantować wszystko oprócz tego pierwszego... cesarzowa niełatwo zapomina urazy.

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę.

– A moja małżonka i owszem. W takim razie chcę jeszcze najlepszej w tym mieście galijskiej mamki. Tylko dopilnuj, żeby Flawia wiedziała, ile taka kosztuje.

Jeśli Pallas był zaskoczony tym życzeniem, nie dał tego po sobie poznać.

– Doskonale. Wyruszysz za kilka dni, jak tylko skończy ci się kadencja konsula.

– Przecież wciąż mamy zimę, szlaki morskie jeszcze nie są otwarte.

– Dam ci dość złota, byś zbudził jakąś załogę ze snu zimowego. Możesz popłynąć do Epiru, a potem ruszyć via Egnatia do Macedonii. Tam wypytasz swojego brata, jakie posiada informacje, które według Narcyza mogą świadczyć o zdradzie Agrypiny. Zgodnie z tym, co zasugerowała Cenis, zwolniłem ją z pracy dla mnie, rzekomo za nielojalność. Narcyz uzna, że nie zgodziła się powiedzieć mi, o czym rozmawialiście ubiegłej nocy, i stwierdzi, że może ci bezpiecznie zaufać.

– Cenis uważa, że według Narcyza mój wuj jest w jakiś sposób istotny dla tej sprawy.

– Nie bardzo wiem dlaczego, ale tak czy owak, weźmiesz go ze sobą. Po twoim spotkaniu z Sabinusem może wrócić do Rzymu i przekazać mi informacje.

Wespazjan doskonale wiedział, że nie odeśle Gajusza do Rzymu z żadną informacją, dopóki się nie zorientuje, któremu z wyzwolenców powinien ją przekazać.

– Tymczasem ty popłyniesz dalej na wschód na jednym z okrętów Sabinusa, a potem zejdziesz na ląd i na wiosnę będziesz w Armenii.

– Czy Agrypina podejrzewa, że mam podwójną misję?

– Nie, niczego nie podejrzewa. Cieszy się, że wyjeżdżasz. Czy stoi za Radamistem, czy nie, nie przejmuję się, bo uważa, że poniesiesz fiasko.

– Jedno na pewno podejrzewa.

– Co mianowicie?

– Że już nie wrócę.

Pallas popatrzył na niego przenikliwie.

– To już jest w rękach bogów – zawyrokował.

CZEŚĆ II

MACEDONIA I RZYMSKI WSCHÓD

LUTY 52 ROKU

Rozdział piąty

Śnieg gnany ostrym wschodnim wiatrem smagnął twarz Wespazjana. Naciągnął niżej kaptur i zgarbił się, przygotowany na pogorszenie pogody. Podążali via Egnatia; jego wierzchowiec stąpał ciężko obok skrzypiącego wozu, zaprzęzonego w parę koni o szorstkiej sierści. Z trudem poruszały się pod wiatr i okładane były regularnie batem przez siedzącego na koźle Magnusa. Towarzyszący mu Hormus z żalobną miną dzwonił zębami i rozcierał sobie dłonie. Pomimo wełnianych rękawiczek i skarpet palce rąk i nóg zdążyły już Wespazjanowi skostnieć i zaczął zazdrościć wujowi względnej wygody w krytej tylnej części pojazdu. Zastanawiał się, czyby też się nie schronić.

– Zrobiłbym tak na twoim miejscu, panie – odezwał się Magnus, kolejny raz przypominając ostro koniom o ich obowiązku.

– Co niby?

– Skrył się pod osłonę. Od ostatniego kamienia milowego trzy razy zerkałeś tam przez ramię.

Wespazjan spojrział na jedenastu liktorów – należnych człowiekowi z tytułem prokonsula w oficjalnej podróży służbowej – którzy maszerowali równym krokiem przed wozem z wiązkami różeg na ramionach, i pokręcił głową.

– Im jest o wiele gorzej niż mnie, a przecież stanowią naszą jedyną ochronę. Zależy mi, by byli dobrze do mnie nastawieni i gdyby zaszła potrzeba, nie wahali się ryzykować życia. Poza tym do Filippi nie może być dalej jak jakieś cztery czy pięć mil.

– Skoro tak, to powinniśmy na południu zobaczyć rozległe moczary! – zawołał z wnętrza wozu Gajusz.

– W tej chwili ledwo widać końskie zady, panie – poinformował go Magnus, nie do końca zgodnie z prawdą.

Gajusz wystawił głowę przez otwór w skórzanym pokryciu wozu.

– Aha, rozumiem – mruknął. Chociaż gęsty śnieg dopiero co zaczął padać i jeszcze nie pokrył grubą warstwą uprawnych pól po obu stronach biegnącej prosto jak strzełił drogi, widoczność była bardzo ograniczona. – No cóż, możesz mi wierzyć, Wespazjanie, że twój dziadek ze strony ojca i pradziadek ze strony twojej matki byli tu osiemdziesiąt cztery lata temu.

Wespazjan pomyślał chwilę i przypomniał sobie to, co wiedział z historii.

– Racja, tyle że po dwóch przeciwnych stronach pola.

– W rzeczy samej, drogi chłopcze. Mój dziadek służył pod Augustem i Markiem Antoniuszem w Ósmym legionie.

– A mój, Tytus Flawiusz Petro, był, jeśli dobrze pamiętam to, co powiedziała mi babka, centurionem Trzydziestego Szóstego legionu dowodzonego przez Marka Brutusa. Mówiła mi, że służyli tam przeważnie jego starzy pompejańscy

towarzysze broni, którzy poddali się Cezarowi po bitwie pod Farsalos.

– Szkoda, że teraz nie sięgamy dalej wzrokiem. Te dwie armie razem liczyły prawie ćwierć miliona ludzi... cóż to musiał być za widok!

– Przy każdej z tych okazji – przypomniał Wespazjan. – Petro wyszedł cało z pierwszej bitwy, ale jego legion mocno ucierpiał w drugiej bitwie, dwadzieścia dni później, kiedy to pokonano Brutusa. Udało mu się umknąć i wrócił do domu w Kosie, ale znalazł się pośród tych dwóch tysięcy ekwitów, których August zmusił do popełnienia samobójstwa.

– Podczas gdy mojego nagrodzono ziemią jednego z tamtych. – Gajusz zachichotał. – I oto my tu jesteśmy, tyle lat po tamtych wydarzeniach, owoce przeciwnych stron sporu z czasów rozpadu republiki, przemierzamy pole największej bitwy pomiędzy rzymskimi obywatelami, w drodze do wykonania brudnej roboty dla dwóch greckich wyzwolenców, którzy są ostatecznymi beneficjentami tamtej bitwy. Wygląda na to, że w rezultacie tych wszystkich okrzyków o wolności, wznoszonych po obydwu stronach, zapanowała nad nami wszystkimi para byłych niewolników. Ciekawe, czy gdyby August, Marek Antoniusz, Brutus albo Kasjusz mogli to przewidzieć, któryś z nich postąpiłby inaczej? – Strącił płatki śniegu z rumianej twarzy, rozejrzał się szybko wokół, ściągnął ze smutkiem usta i cofnął głowę pod skórzaną osłonę.

– Rzecz jasna, że dla większości z nas jest to bez różnicy – oświadczył z pewnością w głosie Magnus. – Zwyczajnemu legionście było wszystko jedno, czy znalazł się po stronie wygranej, czy przegranej w tamtej bitwie... to znaczy jeśli przeżył. Tylko kilka legionów rozformowano, reszta robiła to, co zawsze. Niezależnie od politycznych zmian, jakie zaszły w Rzymie, większość legionów po prostu wróciła do swoich obozów na granicach, żeby strzec imperium. Jediną zauważalną zmianą były słowa ich przysięgi, ale reszta się nie różni: centurionowie, jadło, dyscyplina, wszystko pozostało takie samo. Zatem cała ta operacja służyła wyłącznie dobru kilku próżnych ludzi, którzy rozumieli honor jako konieczność pokazania, że mają coś do powiedzenia na temat rządzenia imperium. Gdyby tylko zdawali sobie sprawę, że większość ma to gdzieś. Mogli sobie darować te całe armie i stoczyć elegancką potyczkę w wąskim gronie. Kilkuset zabitych i sprawa byłaby rozwiązana, a wszyscy szczęśliwi.

Wespazjan roześmiał się zmarzniętymi wargami.

– Rzeczywiście, byłoby znacznie łatwiej. Tyle że tak się nie stało, a rezultat tamtych zmagania i niezliczonych śmierci został wykorzystany przez dwóch dbających wyłącznie o własny interes wyzwolenców.

– O tak! Ale oni przynajmniej nie rzucili ćwierci miliona ludzi do bratobójczej walki, by móc dorwać się do władzy. W pewnym sensie Pallas i Narcyz mają mniej krwi na rękach niż August. Wy, senatorowie, macie niemal pretensję o to, że ci dwaj doszli do władzy bez porządnej wojny domowej, w której

giną tysiące zwykłych obywateli. W waszych oczach to by usprawiedliwiało ich działania. Ich największą zbrodnią jest, że zdobyli władzę ukradkiem, a nie siłą wywalczyli sobie do niej drogę, jak zwykli to czynić te wszystkie szlachetne rody republiki.

Wespazjan doszedł do wniosku, że nie potrafi odeprzeć tych argumentów, i zamiast dyskutować, zastanowił się, ile jest w nich prawdy. Zgodnie z taką logiką w minionych osiemdziesięciu latach jedynym prawowitym władcą był August, ponieważ wywalczył sobie drogę do władzy.

Do tej pory Wespazjan uważał, że uraza, jaką czuje do Narcyza i Pallasa, wynika głównie ze sposobu, w jaki doszli do władzy i ją utrzymywali; jednak czy ta ich metoda była mniej uprawniona niż metoda Kaliguli? On również, jeśli wierzyć pogłoskom, doszedł do władzy różnymi szachrajstwami. Ale przecież żaden z pradziadów tych wyzwoleńców nie zabił większej liczby żołnierzy swoich wrogów, niż uczynili to jego przodkowie na tej tak odległej od Rzymu równinie.

A zatem miało to jakiś związek z tym, kim byli owi wyzwolenicy, nie z tym, w jaki sposób dotarli do punktu, w którym się znaleźli. To był prawdziwy powód jego narastającej urazy. Był głęboko urażony, kiedy wyszedł od Pallasa i tak jak wyzwoleniec przewidział, Narcyz *kazał* mu się udać do swojego prywatnego pomieszczenia. Czuł urazę, kiedy wyzwoleniec uznał, że wysłanie go do Armenii jest znakomitym pretekstem, by po drodze zobaczyć się z bratem w Macedonii i dostarczyć Narcyzowi informacji, których ten potrzebował do pokonania Pallasa. Kiedy myślał o Pallasie, pamiętał go jako zarządcę w domu Antonii. Wtedy Grek znał swoje miejsce; teraz tworzył cesarską politykę. Był człowiekiem, który znacznie wyrósł ponad swoją pozycję, i Wespazjan wreszcie uświadomił sobie, że prawdziwym powodem urazy, jaką żywił do tych dwóch, jest zazdrość. Zazdrość o to, że ludzie tak nisko urodzeni dotarli tak wysoko. Byli niewolnicy nie mieli prawa posiadać takiej władzy. Jego pochodzenie było niewspółmiernie lepsze, stał o tyle wyżej w hierarchii, a jednak to on wykonywał ich polecenia, robiąc rzeczy, których wolałby nie robić. Zaczęło do niego docierać, że jest zazdrosny o ich władzę, bo chce jej dla siebie, a jeśli miałby ją zdobyć, to musiałby tego dokonać w starodawny sposób: musiałby wyrębać – jak ujął to Magnus – sobie drogę do niej. Potem w myślach pojawił mu się znak w kształcie „w” na wątrobie ofiarnego zwierzęcia i ku własnemu zdumieniu stwierdził, że to go uspokaja.

Kiedy wiatr osłabł, a śnieg niemal przestał padać, wóz pokonał równinę pod Filippi i przed ich oczyma wyrosły mury miasta. Wespazjan porzucił rozważania o władzy na polu bitwy, której następstwa były tak znaczące, i zaczął się zastanawiać, jak też powita go brat po trzech latach rozłąki.

Nim dotarli do bramy, która umożliwiała dostęp do miasta żywych, minęli miasto umarłych. Grobowce stały wzdłuż *via Egnatia* przez ostatnie ćwierć mili; duże i małe, z napisami po łacinie i po grecku, świadcząc o względnej zamożności

i pochodzeniu pochowanych. Jednak mijali nie tylko zmarłych w ich zimnych i posepnych siedzibach; mijali również konających. Na krawędzi życia i śmierci, kilkudziesięciu nagich mężczyzn, dopiero co ukrzyżowanych, wiło się w udreće nad głowami przejeżdżających. Cierpiąc katusze, walczyli o każdy oddech. Ich ciała siniały z zimna, niektórzy nieszczęśnicy łkali, inni mamrotali coś, co brzmiało jak modlitwa, podczas gdy życie uchodziło z nich w bolesnie powolnym tempie.

– Wygląda na to, że Sabinus był bardzo zajęty – zauważył Magnus, zerknąwszy w górę na młodego człowieka, który wpatrywał się z przerażeniem w zakrwawiony gwóźdź przebijający mu prawy nadgarstek. Wokół niego wirowały płatki śniegu.

Hormus wzdrygnął się i opuścił głowę, wbijając wzrok w bruk. Człowiek rozciągnięty na krzyżu leżącym na ziemi zawył z bólu. Jego krzyk wzmagął się z każdym uderzeniem młotka, którym wbijano gwóźdź w podstawę kciuka. Widać było, że zastępca centuriona z oddziałów pomocniczych ma dużą wprawę w krzyżowaniu ludzi. Dwaj jego podwładni trzymali ofiarę, śmiejąc się z jej męki, i żartowali sobie z ostatnich dwóch więźniów czekających w łańcuchach na swoją kolej. Z ich ust unosiła się mgielka, przerażone oczy były pełne łez.

– Widocznie wydarzyło się coś poważnego, skoro musiał ukrzyżować aż tylu – zauważył Wespazjan, licząc krzyże. – Dwudziestu dwóch i jeszcze tych trzech ostatnich. – Egzekucje nie zaskoczyły go: po przybyciu do stolicy Macedonii prefekt Tesalonik powiedział im, że namiestnika wezwano poprzedniego dnia do stłumienia jakichś niepokojów w Filippi. Nie stanowiło to dla nich kłopotu, Filippi leżało bowiem na trasie ich podróży, po obu stronach głównej drogi prowadzącej na wschód. – Sądzę, że mój brat opanował już sytuację... wątpię, żeby ktoś jeszcze chciał dołączyć do tych tutaj. – Rzucił okiem na grupę przemokniętych kobiet, bezsilnie obserwujących egzekucję swoich mężczyzn. Wzdrygały się przy każdym uderzeniu młotka, aż wbito ostatni gwóźdź i krzyki przybrały na sile.

– Cóż, cokolwiek zrobili, to dostali nauczkę – powiedział Magnus, zatrzymując wóz przed zachodnią bramą miasta.

Widok jedenastu liktorów i błysk pieczęci na cesarskim pełnomocnictwie wystarczyły, by pełniący służbę centurion oddziałów pomocniczych wpuścił wóz bez przeszukania i wysłał wiadomość do Sabinusa. Wespazjan zsiadł z wierzchowca i wspomagany przez Hormusa przywdział senatorską togę. Nie zwracając uwagi na miejscową ludność, ruszył majestatycznie przez miasto, kierując się w stronę forum, gdzie stała rezydencja zajęta teraz przez namiestnika. Zebrał się tam tłum gapiów, ciekawych przybysza o tak wysokim statusie. Wespazjan wchodził z wielką godnością po schodach między stojącymi po obu stronach wyprężonymi żołnierzami z oddziałów pomocniczych. Sabinus czekał przed wysokimi, obitymi brązem dwuskrzydłowymi drzwiami, po czym uściśnął go bardzo oficjalnie, czemu towarzyszyły radosne okrzyki patrzących, i poprowadził

do wnętrza.

– Co ty tu robisz? – spytał po chwili, nie okazując szczególnych oznak braterskiego uczucia.

– Mnie też miło cię widzieć, Sabinusie. Przybyliśmy tu z Gajuszem nie tylko, by sprawdzić, jak się miewasz, i przekazać wiadomości o naszej matce oraz twojej córce i wnuczętach, ale również, żeby z tobą porozmawiać.

Sabinus nerwowo zerknął z ukosa na brata.

– Twoja obecność tutaj wiąże się ze sprawą partyjskiego poselstwa?

– Masz na myśli fiasko dotyczące poselstwa? – spytał Wespazjan, napawając się zboląłą miną Sabinusa. – Owszem, ale nie przynoszę ci żadnej oficjalnej reprimendy. Pomimo szkód, jakie twoje niepowodzenie wyrządziło naszej rodzinie, dogadałem się z Pallasem i zostałeś oczyszczony z zarzutów.

– Jak ci się to udało?

– Podziękuj, to ci powiem.

Sabinus ściągnął wargi.

– Dziękuję – powiedział.

– Drobiazg.

– Niestety, wyjaśnienie będzie musiało poczekać do kolacji. Przerwałem rozprawę, kiedy dostałem wiadomość o twoim przybyciu i muszę ją dokończyć.

– Poczekamy zatem. – Wespazjan zarzucił niewyraźną sabińską mowę i przeszedł na specyficzny akcent charakterystyczny dla starej arystokracji. – Przypuszczam, że kolację jadasz o normalnej porze, nawet tak daleko od Rzymu.

Sabinus wreszcie się uśmiechnął. Poklepał młodszego brata po plecach.

– Wiesz co, naprawdę dobrze cię widzieć, gówniarzu.

Namiestnik zasiadł na końcu sali przyjęć. Po obu jego stronach postawiono metalowe kosze z rozżarzoną węglą drzewnym, żeby wspomóc hypokaustum, system centralnego ogrzewania pod podłogą, niewystarczający dla tak przestronnej sali. Wespazjan, jego wuj i Magnus wślizgnęli się przez podwójne drzwi, akurat kiedy Sabinus dawał znak centurionowi, by ponownie sprowadził osobę oskarżoną przed jego oblicze. Dwóch urzędników siedziało przy pulpitych z jednej strony, by notować przebieg posiedzenia. Dwóch żołnierzy wprowadziło kobietę w wieku około pięćdziesięciu lat; stukot ich podbitych ćwiekami butów okrążył niemal pustą salę. Sabinus zdecydował o prowadzeniu rozprawy w zamkniętym pomieszczeniu, a nie na forum, ze względu na niską temperaturę panującą na zewnątrz. Ponieważ oskarżona nie była ani obywatelem Rzymu, ani mężczyzną, nie mogło być odwołania od decyzji namiestnika.

– Na czym to skończyliśmy? – zapytał Sabinus jednego z urzędników.

Mężczyzna zajrzał do leżącej przed nim tabliczki.

– Wdowa, Lidia z Tiatyry, przyznała, że udzieliła gościny agitatorowi, Pawłowi z Tarsu, podczas jego pobytu tutaj, w Filippi, dwa lata temu.

– A, tak.

Sabinus przyglądał się dobrze ubranej i najwyraźniej zamożnej kobiecie stojącej przed nim. Włosy miała skromnie okryte, ręce złożone, oczy spuszczone... wzór szacownej matrony.

– Czy pozwoliłaś, by Paweł głosił swoje zradzieckie nauki pod twoim dachem? – zapytał.

– Mieliliśmy modlitewne spotkania w większość wieczorów – odparła spokojnie kobieta.

– To musi być jedna ze zwolenniczek tego odrażającego drania o pałakowatych nogach, Pawła – wyszeptał Wespazjan do Magnusa.

– A któż to taki, drogi chłopcze? – zainteresował się Gajusz.

– Kaznodzieja krążący po wschodnich prowincjach i wywołujący niepokoje w imieniu tego Żyda, którego w Judei Poncjusz Piłat kazał Sabinusowi ukrzyżować.

Magnus splunął z obrzydzeniem, po czym przypomniał sobie, gdzie się znajduje, podeszwą potarł podłogę.

– Ostatni raz widzieliśmy go w Aleksandrii, gdzie podjudzał Greków i Żydów, jednych przeciw drugim... nie żeby potrzebna im była szczególna zachęta.

Sabinus kontynuował przesłuchanie.

– A czy podczas tych *spotkań* zachęcał swoich zwolenników, aby nie składali ofiar cesarzowi, kiedy odnawiają przysięgę, i kazał im twierdzić, że mają prawo składać ofiarę w *imieniu* cesarza, a nie jemu, jak czynią to Żydzi, mimo że większość jego tutejszych zwolenników to Macedończycy?

Lidia nie podniosła oczu.

– Jest tylko jeden bóg, a Joszua jest jego synem.

Gajusz zmarszczył brwi.

– Jeden bóg? Kto słyszał o takich bzdurach? Co to za Joszua?

– Krewny Josefa, tego żydowskiego kupca, który nam pomógł uratować Sabinusa z Doliny Sulis w Brytanii, o którym ci opowiadaliśmy – wyjaśnił Wespazjan. Ciarki go przeszły, kiedy przypomniał sobie, jak bogini ujawniła się w ciele dziewczynki złożonej w ofierze przez druidów. – Josef czcił Joszua jako nauczyciela, ale ten Paweł przerobił go w jakiegoś boga, i to jedyne, wykluczając przy okazji wszystkich innych, podobnego tamtemu żydowskiemu bogu, jeśli dobrze rozumiem.

Sabinus zerknął na Wespazjana, najwyraźniej zirytowany szeptami dochodzącymi z kąta jego sali sądowej, po czym zwrócił się ponownie do oskarżonej.

– Jesteś Żydówką?

– Jestem Macedonką i zanim spotkałam Pawła, byłam bogobojna.

– Bogobojna? Co to znaczy?

– Nie jesteśmy Żydami, ale czcimy ich boga. Nie przestrzegamy żydowskich zasad dotyczących potraw, a mężczyźni nie poddają się obrzezaniu. Paweł mówi, że jako wyznawcy Joszui możemy czcić ich boga, nie będąc Żydami.

Jej słowa nie zrobiły wrażenia na namiestniku.

– Przesłuchiwałem Jozuę – oznajmił.

– Rozmawiałaś z nim? – spytała Lidia, zapominając o swojej sytuacji.

– Tak, zanim kazałem go stracić.

Lidia otworzyła szeroko oczy.

– Ukrzyżowałaś Chrystusa?

– Nie, ukrzyżowałem mężczyznę o imieniu Jozua, który umarł jak każdy inny człowiek. I wierz mi, on nie przepadał za nie-Żydami. W rzeczy samej nazwał mnie nieżydowskim psem. Zatem jakie bzdury by wam ten Paweł opowiadał, to nie pochodzą one z nauk Joszui. Paweł je wypacza, a czyniąc tak, doprowadził do śmierci wielu ludzi. Czy wiesz, że był dowódcą straży arcykapłana i że to jego wysłano, by zabrał ciało Joszui i w tajemnicy je pogrzebał? Prześladował zwolenników Joszui, a kiedy go spytałem, dlaczego to robi i czego się boi, odpowiedział: „Ponieważ on przyniósłby zmianę”. A przecież teraz robi to, czego się obawiał. Czy rzeczywiście chcesz powierzyć temu człowiekowi swoje życie? Możesz się uratować, mówiąc mi, gdzie jest ten człowiek, który próbował zabić żonę Joszui i jego dzieci.

– To ja w Cyrenie uratowałem żonę i dzieci Joszui przed Pawłem, kiedy tak się starał wymazać wszelkie ślady po rodzinie i naukach Joszui – wyszeptał Wespazjan do wuja, podczas gdy Lidia zastanawiała się nad słowami namiestnika.

Zdezorientowany Gajusz zmarszczył brwi.

– A teraz on upowszechnia te nauki? – zapytał.

– Wygląda na to, że przeszedł całkowitą przemianę, chociaż Aleksander, alabarcha Żydów aleksandryjskich, uważa, że właśnie znalazł sposób, by stać się ważny. – Wespazjan zamknął oczy i zamyślił się. – Pamiętam, jak powiedział, że Paweł znalazł sposób, by przewrócić świat do góry nogami i znaleźć się na jego szczycie.

Lidia podniosła wzrok na Sabinusa.

– Byłam pierwszą osobą, którą Paweł ochrzcił w Europie, tutaj w Filippi, w rzece Gangites, i nie będę tą, która go zdradzi.

– Jednak ciebie zdradził jeden z jego zwolenników, który nie miał ochoty spędzić ostatnich godzin życia na krzyżu.

– Wolę taki los, niż zostać zdrajczynią.

Sabinus milczał chwilę, najwyraźniej nie mając ochoty skazywać kobiety.

– Czym zajmował się twój mąż przed śmiercią?

– Purpurą, nie porfirią, ale tańszym roślinnym barwnikiem, który pochodzi z mojego rodzinnego miasta.

– I teraz ty prowadzisz jego interesy?

– Jako wdowa mam do tego prawo.

– I jesteś gotowa zmarnować cały wysiłek małżonka włożony w rozwój tego interesu, bo jeśli wydam wyrok śmierci, to skonfiskuję też majątek. Twój egoizm każe ci uważać, że Paweł wart jest pracy całego życia twojego nieżyjącego męża?

Odpowiedzią było milczenie Lidii.

Sabinus uderzył pięścią w poręcz krzesła kurulnego.

– Zamknąć ją w celi na kilka dni i niech przemyśli swoją sytuację. I tak go znajdę! – krzyknął, kiedy żołnierze wyprowadzali kobietę. – Nieważne, czy zakończysz życie w męce na krzyżu, czy w wygodzie dzięki dochodom z interesu swojego męża. Znajdę Pawła!

– A już go miałem – warknął, idąc ku wyjściu. – Miałem tego małego aroganckiego drania.

– Co takiego, drogi chłopcze? – dopytywał się Gajusz, z trudem dotrzymując kroku zirytowanemu siostrzeńcowi.

– Trzymałem go tutaj, wuju, w więzieniu. – Uderzył pięścią w drzwi, zanim zaskoczony strażnik zdążył otworzyć je na całą szerokość.

– Tutaj? Dlaczego go nie ukrzyżowałeś? Zasłużył na to.

– Możliwe. Ale to akurat go nie spotka. Jest obywatelem Rzymu. – Wespazjan wyręczył brata.

– Obywatelem? To dlaczego podburza ludzi przeciw Rzymowi i zachęca do nieskładania ofiar cesarzowi?

– Za to go aresztowano? – spytał Magnus, kiedy przemierzali ze stukotem butów zimny, słabo oświetlony korytarz.

Sabinus wreszcie zwolnił.

– Nie, to się stało, zanim jeszcze wiedzieliśmy, że zachęca do takich rzeczy. Twierdził, że wygnał złego ducha z niewolnicy jednego z ważniejszych tutejszych urzędników. Była znaną wieszczką. Mitra jedynie wie, czy dokonał tego, czy nie, w każdym razie rezultat był taki, że ona straciła zdolność przepowiadania przyszłości, a jej właściciel dochód z wróżb. Tak go to rozsierdziło, że kazał wychłostać i uwięzić Pawła i jego towarzysza za samowolne majstrowanie przy jego własności i przekazał tę sprawę mnie. Musiałem zdecydować, co zrobić z tą obrzydliwą małą łajzą. Nie mogłem skazać go na śmierć, bo nie dopuścił się przestępstwa zagrożonego karą śmierci, a jego zwolennicy jeszcze nie mieli okazji odmówić złożenia przysięgi wierności cesarzowi. Ponieważ więc miał prawo po swojej stronie, już miałem go wypuścić, kiedy zdarzyło się trzęsienie ziemi, nieduże, ale wystarczające, by otwarły się bramy więzienia, uwalniając Pawła i jego towarzysza. Oczywiście widziano w tym boską interwencję i dowód na to, że Paweł musi być w szczególnych łaskach u tego boga, który jest tak potężny, że otwiera bramy więzienia. Tymczasem on nawet nie ruszył się z miejsca, tylko

domagał się, bym uznał, że potraktowano go niezgodnie z prawem. Niestety miał rację i musiałem kazać tamtemu urzędnikowi przeprosić go za chłostę. Wtedy dopiero wyszedł, a strażnik więzienny został jego zwolennikiem, razem z kilkudziesięcioma innymi mieszkańcami... niektórzy z nich właśnie dogorywają pod bramami miasta. To było okropne. Potem zniknął bez śladu, choć wiem, że był w Tesalonikach, bo tam też musiałem ukrzyżować kilku z nich. Ciągnie się za nim trop.

Policzki Gajusza zafalowały z oburzenia.

– To dlaczego nim nie podążyłeś?

– Ponieważ trop nie jest ciągły, wciąż się urywa; trzeba czekać, żeby stwierdzić, gdzie znowu pojawia się ta zaraza, i mieć nadzieję, że on jeszcze tam jest. Wydaje się, że kierował się na południe, do Achai. Ostrzegłem tamtejszego namiestnika, Galliona, o takiej możliwości.

– Brata Seneki?

– Tak. Nie dotarli do niego żadne pogłoski. Wygląda na to, że na razie straciliśmy Pawła z oczu.

– Ostatnio jesteś dobry w traceniu z oczu różnych rzeczy – wytknął mu Gajusz.

Sabinus znieruchomiał przed zamkniętymi drzwiami i odwrócił się do wuja.

– Cierpiałem na chorobę morską, nie byłem w stanie logicznie myśleć – rzucił. Wpadł do triklinium, gdzie stół i sofę przygotowano do wieczornego posiłku. – Wysłali trzy okręty dla odwrócenia uwagi, a kiedy je opanowywaliśmy, Partowie minęli nas w małej, szybkiej liburnie. Nie było nadziei na ich schwytanie.

Wespazjan wzruszył lekceważąco ramionami, kiedy do pokoju wszedł zarządca, a za nim Hormus i cztery niewolnice.

– No cóż – powiedział – przyniosło to nam mnóstwo niepotrzebnych kłopotów i dlatego muszę udać się do Armenii.

Zaczął relacjonować przebieg zdarzeń, jakie uruchomiło niepowodzenie brata. Niewolnice zabrały ich togi, zamieniły sandały na miękkie pantofle domowe i umyły im ręce.

– Jaką niby wiedzę mógłbym posiadać, która byłaby dowodem, że stoi za tym Agrypina? – spytał Sabinus, kiedy skończył mówić.

– Możesz wiedzieć coś, co łączy ją z poselstwem Partów. Powiedz, co wiesz o tych ludziach.

Sabinus podrapał się po przerzedzonych włosach i wziął od zarządcy kielich z winem.

– Cóż, agent powiedział, że było ich trzech, wszyscy dla efektu bogato odziani jak królowie. To byli wpływowi ludzie, ich przywódca był kuzynem Wologazesą, Wielkiego Króla Partii. Mieli ze sobą złoto, kadzidło i przyprawy dla każdego króla obecnego na spotkaniu.

– Kto tam był?

– Koson, król Daków, i Spargapeites, władca Agatyrów... to Scytowie, którzy czczą trackich bogów i lubią farbować włosy na niebiesko. Był też Oroles, król Getów, i Wizimar władający Bastarnami. Ci ostatni to lud germański, do tego jeszcze niezliczeni wodzowie mniejszych plemion każdego z ludów.

Wespazjan spojrział na wuja, kiedy wniesiono *gustatio* złożone z sześciu różnych dań.

– Czy któreś z tych imion coś ci mówi? – zapytał.

– Mój drogi chłopcze, wszystkie one brzmią jednakowo barbarzyńsko.

Mina Magnusa, co oczywiste, nie wносиła nic nowego.

– Wywiedziałeś się, o czym rozmawiano, Sabinusie?

Namiestnik pokręcił z żalem głową i nałożył sobie trochę porów i sałatki jajecznej.

– Nie, nie mogłem posłać tam z powrotem agenta, ponieważ twierdził, że musi złożyć sprawozdanie swojemu prawdziwemu zleceniodawcy.

– A my nie wiemy, kto nim jest.

– Ależ wiemy. Jego zleceniodawcą, czy raczej zleceniodawczynią, jest nasza oddana przyjaciółka, była królowa Tryfena.

– Tryfena! Kontaktujesz się z nią?

– Nie bezpośrednio, ale od czasu do czasu ona dzieli się ze mną informacjami. Kazała swoim agentom składać mi raporty, jeśli uznają, że informacja może interesować Rzym. Jest mi bardzo pomocna.

– Jest również kuzynką Agrypiny – wycedził Gajusz ustami pełnymi częściowo przeżutej kielbasy.

– Podejrzewam, że istnieje tu jakiś związek, ale to nie dowodzi, że Agrypina stała za wysłaniem tego poselstwa, a poza tym, dlaczego Tryfena miałaby przyciągać do tego uwagę, gdyby działała w porozumieniu z kuzynką? – zastanawiał się głośno Wespazjan.

– Ponieważ, drogi chłopcze, ona nic nie wie o tym poselstwie. Prawnuczka Marka Antoniusza jest jednocześnie księżniczką Pontu po przodkach z drugiej strony.

– Myślałem, że pochodzi z Tracji.

Gajusz pomachał kawałkiem kielbasy w stronę siostrzeńca.

– Poślubiła trackiego króla, ale w jej żyłach nie płynie tracka krew, tylko grecka. Z tego rodu pochodzą władcy połowy podległych królestw w obrębie cesarstwa i dalej. Jej młodszym bratem jest król Pontu, Polemon, a starszy brat, Zenon, znany był jako król Artakses, trzeci o tym imieniu władca Armenii. – Gajusz zrobił przerwę na kilka chwil, by to ostatnie słowo zawisło w powietrzu i dało wszystkim do myślenia, i by zastanowili się, czy mają tu do czynienia ze zbiegiem okoliczności. – Kiedy zmarł – ciągnął – Partowie próbowali osadzić

własnego króla na tronie Armenii, ale to było dla nas nie do przyjęcia i ostatecznie zgodziliśmy się na Mitrydatesa, brata króla Iberii.

– To dlaczego Tryfena miałaby chcieć zastąpić Mitrydatesa jego bratankiem Radamistem?

– Matka Radamista to córka Artaksesa, brata Tryfeny. Mitrydates nie jest spokrewniony z Tryfeną, natomiast Radamist to wnuk jej brata. Ona pilnuje, by w żyłach władców Armenii płynęła krew jej rodu.

– Po co w takim razie powiadomienie nas o poselstwie, które wywołało to wszystko?

– Ona o nim nie wiedziała. Poselstwo nie wywołało kryzysu, tylko dzięki odpowiedniemu zgraniu w czasie miało sprawić takie wrażenie. Tryfena nie jest nielojalna w stosunku do Rzymu, wręcz wzmacnia naszą pozycję w Armenii przez posadzenie na tronie takiego marionetkowego króla, którego można kontrolować. Radamist będzie lojalny, ponieważ Tryfena tego dopilnuje.

– Zatem Narcyz się myli – potwierdził Sabinus. – Agrypina nie popełniła zdrady.

Na twarz Wespazjana powoli wypełzł uśmiech, kiedy zrozumiał, jaka jest prawda.

– Nie, bracie, on się nie myli, ani trochę. Dojrzał w tym wszystkim pewien schemat. Agent Tryfeny, który przyszedł do ciebie, został zamordowany przez skrytobójcę Agrypiny, zanim dotarł z informacją do swojej pani. Wyzwoleniec Narcyza, Argapetos, przechwycił wiadomość od zabójcy. Co świadczy o dwóch rzeczach: po pierwsze, Agrypina nie chciała, żeby Tryfena dowiedziała się o tym poselstwie, a po drugie, Agrypina musiała o nim wiedzieć. Bo jak inaczej mogłaby rozkazać swoim ludziom, by nie dopuścili, żeby wiadomości dotarły do uszu Tryfeny?

Magnus dopił wino i wyciągnął rękę z kielichem, by mu go ponownie napełniono.

– A dlaczego jej zależało na tym, żeby Tryfena się nie dowiedziała? – zapytał.

Gajusz podążył za logiką Wespazjana.

– Ponieważ, Magnusie, zauważyłaby, że Agrypina ją wykorzystała. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że to pod wpływem sugestii Agrypiny Tryfena poparła uzurpację tronu Armenii przez Radamista, i zgaduję, że wybrano odpowiedni moment, by wyglądało to tak, jakby doprowadziło do tego przejeżdżające przez Iberię poselstwo. Chodziło o to, byśmy winili Partów i wysłali armię, która przywróci tron Mitrydatesowi.

Sabinus wyglądał na zdezorientowanego.

– Przecież powiedziałaś, że Radamist będzie lojalny wobec Rzymu. Dlaczego mielibyśmy się go pozbywać?

– To zmyślny fragment planu cesarzowej: Tryfena niczego nie podejrzewa, chętnie zgadza się na osadzenie krewnego na tronie, ponieważ uważa, że to będzie korzystne dla jej rodziny i dla Rzymu. My jednak widzimy, jak Radamist najeżdża Armenię z Iberii dokładnie wtedy, kiedy poselstwo partyjskie znajduje się na terenie tego królestwa, i zakładamy, że te dwie sprawy łączą się ze sobą i że jest to partyjski spisek. Tymczasem Klaudiusz, za podszeptem Agrypiny, odwołuje dobrze zapowiadającego się rzymskiego wodza Korbulona i przenosi go do prowincji bliskiej Armenii. No, a teraz powiedz nam, co się dzieje potem, Sabinusie.

Siostrzeniec westchnął.

– My żądamy przywrócenia władzy Mitrydatesa, ale jest zapewne za późno, bo jego już zamordowano razem z rodziną. Wtedy negocjujemy z Radamistem, który odmawia rezygnacji z tronu. Partia widzi nowego króla jako zbyt prorzymskiego z powodu pokrewieństwa z Tryfeną i domaga się jego usunięcia, co nas dezorientuje, wobec czego dajemy temu wszystkiemu spokój. To wywoła wojskową reakcję Partii, co z kolei musi spotkać się z przeciwdziałaniem sprawdzonego dowódcy, który przypadkiem przebywa w tym regionie, i zanim się zorientujemy, mamy wojnę z Partami.

Wespazjan rozłożył ręce, by podkreślić prostotę tego planu.

– Właśnie tak, a w tym samym czasie plemiona północne ruszają całym mrowiem przez Dunaj, tak jak ustalono z tym poselstwem, i sytuacja wygląda niewesoło. A kogo obarczy się winą? Cesarza... starego, śliniącego się, pijanego przez większość czasu, nie lubianego przez senat, i nikt się nie zdziwi, kiedy pewnego dnia po prostu padnie trupem. I jeśli stanie się to odpowiednio wcześniej, tylko jedna osoba będzie mogła przejąć po nim sukcesję: Neron. O to właśnie w tym wszystkim chodzi: o pewność, że Klaudiusz zostanie usunięty, zanim Brytanik osiągnie wiek dojrzały i sprawa sukcesji nie będzie już taka jasna. Neron wstępuje na tron, Korbulon odnosi wielkie zwycięstwo, a cesarz, wnuk wielkiego i walecznego Germanika, który także słynął ze zwycięstw na wschodzie, przypisuje sobie zasługi, odbywa triumf w mniej więcej pierwszym roku rządów, co przysparza mu sławy i popularności, umacniając jego pozycję. Genialne.

– Zatem dowody na zdradę Agrypiny ma Tryfena – podsumował Gajusz.

– Tak, musimy z nią porozmawiać.

– Przebywa w Kyzikos, na azjatyckim brzegu Propontydy – poinformował ich Sabinus, obracając głowę w stronę okna wychodzącego na dziedziniec, skąd dochodził stukot podbitych ćwiekami butów. – Załatwię wam statek.

– Wstąpimy do Kyzikos po drodze do Armenii.

– Płynę z wami.

– Niby po co? Przez całą drogę będziesz chorował.

– Muszę porozmawiać z Tryfeną o przełamaniu raz na zawsze oporu przeciwko Rzymowi na terenie Tracji. Ponieważ zagrażają nam plemiona

północne, nie mogę sobie pozwolić na nielojalnych wielmożów na południu. Ona ich zna razem ze wszystkimi słabościami, będzie wiedziała, kogo przekupić, a kogo zastraszyć. Potem zostawicie mnie w Bizancjum. Już czas, żebym odwiedził to miasto i pokazał, czym jest rzymska sprawiedliwość. A wy popłyniecie dalej przez Bosfor na Morze Czarne i wzdłuż północnego wybrzeża Bitynii do Trapezuntu w Poncie. Stamtąd do Armenii jest jakieś dwieście mil górzystym terenem.

Kiedy niewolnik wniósł półmisek nadzianych na szpikulce kawałków pieczonej jagnięciny, Magnus po raz kolejny wyciągnął rękę z pustym kielichem.

– Jedno mi tutaj nie pasuje. Żeby to wszystko się udało, Agrypina musiałaby znać czas przemieszczania się partyjskiego poselstwa. Skąd miałaby to wiedzieć?

– To właśnie jest dowód jej zdrady. Nie mogłaby, gdyby sama tego nie zainspirowała. To właśnie podejrzewał Narcyz, ale nie mógł udowodnić. Ona była w kontakcie z Par... – Wespazjan urwał, ponieważ do sali wpadł centurion z oddziałów pomocniczych, ten sam, który wpuścił go do miasta. Najstarszy rangą liktor prokonsula deptał mu po piętach.

– Co to ma znaczyć? – rzucił podniesionym głosem Sabinus.

– Proszę o wybaczenie, namiestniku – powiedział zdyszany centurion, obrzucając szybkim spojrzeniem obecnych – ale musisz udać się do zachodniej bramy. Zaatakowano nas.

Bracia kroczyli z godnością za centurionem, który najchętniej puściłby się biegiem. Liktorzy Wespazjana nieśli pochodnie, oświetlając im drogę przez spowite teraz śnieżnym całunem miasto.

– Przepraszam was za posiłek, kucharz jest miejscowy – powiedział Sabinus, siląc się na swobodny ton. – Swojego zostawiłem w Tesalonikach, kiedy kilka dni temu ruszyłem tu w pośpiechu, żeby pochwycić tych idiotów, którzy się zbuntowali i odmówili złożenia dorocznej ofiary.

– Kto im daje prawo składania komuś innemu przysięgi lojalności? – oburzał się Gajusz, człapiąc za nimi i pogryzając nadzianą na szpikulce jagnięcinę. Najwyraźniej nie podzielał wątpliwości Sabinusa co do umiejętności miejscowego kucharza; za nim Hormus niósł kolejne szpikulce z mięsem.

Namiestnik westchnął.

– Paweł przekonał ich, że najwyższą władzą nie jest cesarz – czy jego małżonka albo wyzwoleńcy, lecz ten Jozua i jego ojciec, który był żydowskim bogiem, ale teraz staje się bogiem wszystkich. W każdym razie rozstrzygnąłem kwestię, dając im prosty wybór: albo przestrzeganie prawa, albo wykluczenie na zawsze ze społeczeństwa.

– I ci, którzy podjęli niewłaściwą decyzję, gniazdują teraz pod miejską bramą, jeśli wiesz, co mam na myśli? – zauważył Magnus, owijając się ciasniej płaszczem.

Gajusz odebrał od Hormusa kolejny szpikulce z mięsem.

– Tak – mówił Sabinus – mniej więcej połowa z nich dokonała takiego wyboru. Zupełnie tego nie pojmuję... może podoba im się sposób umierania ich ukochanego Joszui. – Namiestnik wzdrygnął się. – Był twardym człowiekiem, nie znam nikogo innego o tak silnej woli. Miało się wrażenie, że potrafi przewrócić człowieka jednym spojrzeniem przenikliwych oczu. Co dziwne, nie czułem do niego niechęci. Musiałem kazać przyspieszyć jego zgon, żeby ciało zdjęto z krzyża przed szabasem, jak Żydzi nazywają swoje święto przypadające co siedem dni. Nie pozwoliłem łamać mu nóg, tylko kazałem przebić go włócznią. Nie wiem dlaczego, ale po prostu nie chciałem, by cierpiał. Potem pozwoliłem jego matce, żonie i Josefowi zabrać ciało, mimo że arcykapłan posłał po nich swoich ludzi, głównie zresztą dlatego, że chciał zirytować Pawła.

– W ten sposób uczyniłeś Josefa swoim dłużnikiem – zauważył Wespazjan, kiedy zbliżali się do zamkniętej zachodniej bramy – a bez niego zginąłbyś z rąk druidów.

Sabinus chuchał w zmarznięte dłonie i je rozcierał.

– To prawda. Ale teraz żałuję, że nie oddałem ciała kapłanom, którzy pochowaliby je gdzieś w tajemnicy. Wtedy uniknęlibyśmy tych wszystkich bzdur o zmartwychwstaniu Joszui po trzech dniach, jak uczynił mój Pan Mitra, co ma świadczyć o tym, że śmierć można pokonać.

– Wspaniała wiadomość, gdyby można było w nią wierzyć.

Sabinus dał znak, żeby otwarto bramę.

– Z tego, co widziałem – powiedział – jest to wspaniała wiadomość dla tych biedaków, którzy nie posiadają niczego na tym świecie.

– Mamy obiecanę, że na tamym otrzymamy wszystko.

Otwarto bramę, ale Wespazjan, Sabinus, Gajusz czy Magnus nie ruszyli się z miejsca; wpatrywali się oniemiałi w tego, kto uczynił tę uwagę. Hormus spuścił oczy, jego bladą twarz oblał rumieniec.

– Jesteś jednym z nich, Hormusie? – spytał Wespazjan, dochodząc do siebie.

– Ja tylko o nich wiem, panie. Przybywa ich wśród niewolników w domach Kwirynału, ale nie dołączyłem do tej sekty.

– A co o niej wiesz?

Hormus przycisnął do piersi szpikulce z jagnięciną, jakby w nich szukał ochrony.

– Tylko że Bóg kocha nas wszystkich, nawet kogoś tak nieważnego jak ja, a droga do Niego prowadzi przez postępowanie zgodne z naukami Jego syna, Joszui, Chrystusa, który za nas umarł.

– To mój Pan Mitra jest drogą do Boga – rzucił Sabinus, odwrócił się i ruszył przez bramę. – Idziemy za jego światłem, a podczas Wieczery Pańskiej oczyszczamy się krwią byka i spożywamy jego mięso.

– Oni się oczyszczają krwią Joszui, Baranka Bożego, i karmią Jego ciałem.

– To obrzydliwe – powiedział Gajusz, marszcząc nos.

Wespazjan kręcił głową, przechodząc za bratem przez bramę.

– Nie należy tego rozumieć dosłownie, skoro on umarł dziewiętnaście lat temu, tylko symbolicznie. Widzieliśmy z Magnusem, jak to się odbywa.

– Naprawdę? – zdziwił się jego przyjaciel.

– Tak, kiedy byliśmy w domu Josefa na wzgórzu w Brytanii. Napełnił kielich winem, pamiętasz? Powiedział, że ten kielich należał do Joszui. – Wespazjan podniósł wzrok na stojące w szeregu krzyże z przybitymi skazańcami. – Potem podzielił bochenek chleba i kazał nam jeść i pić. Wydawało mi się to wtedy dziwne, ale przypomniałem sobie, jak w Aleksandrii usłyszałem, że Paweł twierdził, jakoby zamieniał chleb i wino w ciało i krew Joszui. Josef zrobił to samo.

– No cóż, raczej mu to nie wyszło, co? Bo ja jadłem chleb i piłem wino.

– Wiem, osuszyłeś kielich. Rzecz w tym, że chodzi o symbol.

– Co się tu wydarzyło, centurionie? – spytał Sabinus, zatrzymując się przy leżącym na ziemi pustym krzyżu. Niedaleko leżały dwa ciała. Dał znak jednemu z liktorów, żeby podszedł bliżej z pochodnią.

Centurion przełknął ślinę.

– Dokładnie nie wiem, panie. Jak zwykle o zachodzie słońca kazałem zamknąć bramę i zostawiłem na zewnątrz dwóch chłopców, żeby mieli oko na te krzyże.

– Tylko dwóch?

Centurion się wzdrygnął.

– Cóż, zważywszy na tę pogodę i w ogóle, nie myślałem...

– Rzeczywiście nie myślałeś. – Sabinus schylił się i przyjrzał ciałom dwóch martwych żołnierzy. – Obydwu podcięto gardła, więc zaskoczono ich od tyłu i zapewne uczynili to ci, którzy opuścili ten krzyż. – Dotknął jednej z ran. – Krew zasycha, zatem są martwi od mniej więcej półgodziny. Kiedy ich znaleźliście, centurionie?

– Kiedy wyszła na zewnątrz ich zmiana. Natychmiast udałem się do ciebie, panie, żeby osobiście o tym zameldować.

– Jakby to miało usprawiedliwić twoje zaniedbanie, żeby tak wystawiać zaledwie dwuosobowy patrol w nocy za bramą. – Sabinus pokręcił głową z niedowierzaniem, patrząc na pusty krzyż; gwoździe wyrwano, ale miejsca po nich znaczyła błyszcząca w świetle pochodni krew. – Kogo zdjęli?

– Tego młodego, nie znam jego imienia.

Namiestnik wziął od liktora pochodnię i przeszedł wzdłuż szeregu krzyży, muskając płomieniem tors każdego skazańca; kilku jęknęło, jednak życie w nich ledwo się tliło, oddechy były wysilone i płytkie.

– Cóż, on i tak nie przeżyje tej nocy, a nawet gdyby, to jako strzęp człowieka. – Opuścił wzrok na pusty krzyż. – Ten czeka na lokatora, centurionie.

– Ee, tak, namiestniku.

– Przeprowadź tę kobietę, Lidię, i każ ją do niego przybić.

– Że co, teraz?

– Tak, teraz. Nie pozwolę, by ludzie przeszkadzali mi w wymierzaniu rzymskiej sprawiedliwości, i pokażę im, co się dzieje, kiedy próbują to robić. – Wcisnął liktorowi pochodnię i obrócił się na pięcie. – Co oni sobie wyobrażają? Ty jesteś tutaj ekspertem, Hormusie, powiedz mi, w co tak naprawdę wierzą.

– Wierzą, że za pośrednictwem Joszui w następnym życiu cisi zyskają moc.

– Kim, do kurwy nędzy, są cisi? – spytał Magnus, biorąc od Hormusa szpikulec z jagnięciną. – Nigdy o nich nie słyszałem. Co oni mają z tym wspólnego?

Wespazjan zastanawiał się chwilę.

– Myślę, że w kontekście religii Pawła cisi to chyba wszyscy w cesarstwie, którzy nie są urzędnikami, kupcami i nie służą w armii. Relatywnie bardzo niewielu innych ludzi posiada jakiś wart uwagi majątek, zatem kierowanie obietnicy otrzymania czegoś więcej do cichych, czyli tych, którzy chcą mieć więcej, jest pomysłowe.

– Przeklęci cisi!

Gajusz wycelował w Sabinusa szpikulec z resztką jagnięciny.

– Ja w tym widzę tylko – oświadczył – bardzo niebezpieczny nowy ruch. Jeśli pozwolicie owym cichym uwierzyć, że będzie im o wiele lepiej w następnym życiu, i przestaną się przejmować swoim losem w tym życiu, wtedy zapanuje chaos, drodzy chłopcy. – Machnął szpikulcem w kierunku ukrzyżowanych. – Popatrz na tych idiotów, którymi musiałeś się wczoraj zająć. Możemy powiedzieć, że przybili się do krzyża sami, jeśli weźmiemy pod uwagę twoje słowa. Zgoda, to nie może być miły sposób umierania, nie to, co leżeć w wannie z otwartą żyłą, ale jeśli oni uważają, że przenoszą się na tamten świat, gdzie nie zamierzają już dłużej być cisi, to wkrótce będziemy mieli całą armię motłochu, który nie boi się śmierci, i jak wtedy utrzymać go w karbach, i kto będzie pracował? To byłoby jak drugi bunt niewolników. Mało kogo nie przechodzą ciarki na myśl o Spartakusie. Jeśli to potrwa dłużej, to imiona Paweł i Jozua będą dźwięczeć równie paskudnie jak jego.

– Co byś radził, wuju? – spytał Sabinus, kierując się z powrotem ku bramie.

– Zabić ich wszystkich, wysłać do tego ich nie-cichego świata, zanim to wszystko zacznie się rozrastać. Nie więzić ich ani nie wysyłać do kopalń, bo swoją gadką zarażą tylko innych, niczego niepodważających cichych ludzi. Jednak przede wszystkim musicie odnaleźć i uśmiercić tego Pawła i skończyć z tym obrzydlistwem, jakie rozpowszechnia.

Rozdział szósty

Wespazjan patrzył z podziwem na położone po azjatyckiej stronie mury obronne Abydos, odległe zaledwie o pół mili od prawej burty okrętu. Trirema posuwała się na wiosłach, walcząc z prądem Hellespontu i przeciwnym wiatrem. Miasto wyrosłe w miejscu, w którym łączy się Europa z Azją, miało ongiś strategiczne znaczenie, teraz jednak je straciło, ponieważ Pax Romana unieważnił konieczność obrony przed najazdem z jednego kontynentu na drugi. Spoglądając na oba brzegi tego szerokiego na pół mili kanału, próbował wyobrazić sobie mosty, jakich używali Aleksander, Dariusz i Kserkses do przerzucania swoich armii na drugą stronę. Przypomniawszy sobie most przecinający Zatokę Neapolitańską, zbudowany przez niegdysiejszego przyjaciela, Kaligulę; tamten był trzy razy dłuższy od tego, którym można byłoby spiąć brzegi Hellespontu. Arogancki młody cesarz przejechał po nim w pancerzu Aleksandra, próbując przyćmić historycznych olbrzymów. Tymczasem most okazał się pomnikiem szaleństwa Kaliguli, a nie dowodem jego wojskowej sprawności i męstwa. Wespazjan uśmiechnął się, przypomniawszy sobie własne myśli, kiedy pierwszy raz zobaczył Faros w Aleksandrii: jeśli chcesz, by cię zapamiętano, wybuduj coś użytecznego dla ludzi. Błąd Kaliguli polegał na zbudowaniu czegoś, co nikomu nie było potrzebne... nawet jemu samemu.

– Wyglądasz na zadowolonego – powiedział Sabinus, dołączając do niego przy nadburciu. Był blady; jak zawsze pierwsze dwa dni rejsu z najbliższego portu do Filippi spędził na udowadnianiu, jakim jest kiepskim żeglarzem.

– Myślałem o Kaliguli.

– To raczej żaden powód do uśmiechu. Sam staram się unikać podobnych myśli. Bo widzę wtedy twarz Klementyny, kiedy ciągnie ją za sobą, a potem na łożu śmierci w naszym domu, obdartą ze skóry przez tego złowrogiego boga.

Wespazjanem wstrząsnął dreszcz. Milczał przez dłuższą chwilę, przypominając sobie konfrontację z Heylelem, przywołanym przez druidów w ogrodzie willi Sabinusa na Awentynie; bratową spotkała z jego rąk straszna śmierć.

– Rzeczywiście, przepraszam.

– Nie musisz, teraz już do tego przywykłem. I czerpię pociechę z tego, że mój syn jest trybunem w Piątym *Macedonica*. Bo to oznacza, że mogę go widywać trzy, cztery razy w roku.

– Co mi przypomina, że musisz wziąć na trybuna wojskowego syna jednego z moich klientów.

– Czyjego?

– Leliusza.

– Dostawcy ciecierzycy?

– Właśnie tego. Załatwiłem z Pallasem, że cesarz przywróci go do ekwitów w ramach układu, na podstawie którego zgodziłem się tu wybrać.

– A co ja z tego będę miał?

– Nazwijmy to zapłatą za uwolnienie cię od zarzutów za przepuszczenie Partów.

Sabinus oparł się ciężko na barierce i oddychał głęboko, żeby uspokoić przewracające się w nim wnętrzności.

– Nigdy mi to nie będzie zapomniane, co?

– Zatem zgoda?

– Owszem. Natychmiast po powrocie do Tesalonik napiszę do Leliusza, oferując jego synowi stanowisko trybuna.

– Jestem pewien, że wdzięczność będzie wyrażona w ciecierzycy.

– Nieważne w czym, byle ją wyrażono. – Sabinus skrzywił się i przegrał walkę z torsjami.

Wespazjan poklepał brata po plecach.

– Mam tylko nadzieję, że to, co Tryfena ci powie o trackich wielmożach, warte jest tych dolegliwości.

– Będzie warte – odparł Sabinus wysokim tonem, kiedy żołądek ponownie podszedł mu do gardła. – Kiedy powiadomimy ją o sytuacji, będzie jej bardzo zależało, by nas przekonać o swojej lojalności wobec Rzymu, tak byśmy mogli za nią świadczyć, jeśli Agrypina zostanie zdemaskowana. To musi być warte imion kilku potencjalnych zdrajców i sugestii, jak się z nimi rozprawić.

Przybycie prokonsula i propretora wywołało następnego dnia gorączkowy ruch w niedawno zmodernizowanym porcie Kyzikos. Dwóch urzędników celnych, którzy czekali na nabrzeżu przed opuszczeniem trapu, popatrzyło po sobie z niepokojem, widząc senatorów w togach otoczonych przez tylu liktorów. Kiedy usłyszeli imiona znakomitych gości, stwierdzili, że żadna papierkowa robota nie jest potrzebna, a z ich umysłów błyskawicznie wyparowały myśli o przeszukaniu okrętu czy nałożeniu wyśrubowanych opłat portowych, i zaczęli się prześcigać we wkupywaniu w łaski prześwietnych Rzymian. Powiadomiono o ich przybyciu Tryfenę i wszystkie inne ważne osoby w mieście, podano jadło i napoje na czas zorganizowania stosownego transportu, a każde zdanie urzędników, którzy uważali, że nigdy dość przymilania się ludziom o wysokim statusie, ociekało pochlebstwem i służalczością.

Wkrótce podstawiono dwa odpowiednie powozy i pomocne ręce wielu chętnych wyciągnęły się ku braciom i ich wujowi. Magnus i Hormus bez trudu dali sobie radę, stając na niezbyt oddalonym od ziemi stopniu pojazdu. Potem ci sami dwaj urzędnicy nalegali na osobiste poprowadzenie liktorów przez miasto, leżące na południowym wybrzeżu wyspy znajdującej się na Propontydzie. Wyspę łączyła ze stałym lądem długa na jedną trzecią mili grobla. Z wyrazami szczerzej

wdzięczności za to, że mogli okazać się użyteczni, i z płynącymi z głębi serca prośbami, by urząd celny w Kyzikos ich ekscelencje przedstawiały w korzystnym świetle, gdyby znalazły kiedyś do tego okazję w wysokich sferach, w jakich bez wątpienia się obracają, dwaj urzędnicy dowieźli bezcennych podopiecznych do imponującej rezydencji Tryfeny. Przyglądali się, jak ta wielka pani przyjmuje Wespazjana, Sabinusa i Gajusza, w ogóle zaś nie zauważali wysiadających z drugiego pojazdu Magnusa i Hormusa. Stracili więc okazję otrzymania sakiewki ze srebrem, którą Wespazjan polecił Hormusowi im dać, gdyby sobie na tę nagrodę zasłużyli. W pełnej zgodzie, że zrobili co mogli, by wkupić się w łaski tak ważnych osób, oddalili się przekonani, że ukazali urząd celny w Kyzikos w jak najlepszym świetle. Nie mieli pojęcia, że w obecności trzech przedstawicieli rzymskiej elity nie dopełnili obowiązku i nie pobrali opłaty należnej prowincji Azja.

Minęło ponad dwadzieścia lat od ostatniego spotkania Wespazjana z Tryfeną i musiał przyznać, że kobieta ładnie się starzała, tak jak dojrzewa dobre wino, a nie jak mleko. Rówieśnica Magnusa i Gajusza miała teraz nieco ponad sześćdziesiąt lat i o wiele lepiej od nich zniosła upływ czasu. Wespazjan domyślał się, że jej kruczoczarne, lśniące włosy były ufarbowane, ale mimo to wyglądały naturalnie w porównaniu z fryzowanymi lokami jego wuja. Policzki Gajusza pokrywała jaskrawa barwiczka, a proszek antymonowy mocno czernił jego powieki, natomiast twarz Tryfeny zaledwie muśnięto środkami upiększającymi.

Patrzyła na Wespazjana uśmiechniętymi ciemnymi oczyma, kiedy ścisnął palce wyciągniętej ku niemu prawej dłoni. Jej starannie utkana zielononiebieska stola dyskretnie podkreślała krągłość bioder i piersi... Wespazjan nie potrafił odgadnąć, czy użyto jakichś niewidocznych sposobów, by przeciwdziałać upływowi czasu i osiągnąć taki efekt.

– Witaj, prokonsulu i wysłanniku do mojego krewnego Radamista, prawowitego króla Armenii.

– Jesteś dobrze poinformowana, Tryfeno.

Pochyliła głowę, unosząc odrobinę brwi, w odpowiedzi na użycie przez Wespazjana poufalej formy: ostatnim razem, kiedy się spotkali, była królową, a on zaledwie trybunem wojskowym; teraz on był prokonsulem, a ona osobą prywatną.

– Moi agenci dostarczają mi aktualnych informacji – powiedziała.

– Czy rzeczywiście? – Z pytającym wyrazem twarzy minął ją i wszedł do atrium, gdzie zgromadzili się najznamienitsi obywatele miasta, a niewolnicy czekali z poczęstunkiem na tacach.

Pół godziny później Wespazjan stał na tarasie, z którego widać było miasto pełne jaskrawo pomalowanych budynków publicznych i bielonych domów mieszkalnych w greckim stylu. Popijając sok z granatów z niebieskiej szklanej czary ozdobionej płaskorzeźbą Bachusa – czy, co tutaj bardziej prawdopodobne, Dionizosa – rozkoszował się smakiem napoju i z dłonią opartą na balustradzie

spoglądał ze zdumieniem na ogromny amfiteatr, który górował nad całą okolicą, mimo że znajdował się poza murami miasta.

– Niektórzy uważają, że powinien się znaleźć na liście cudów świata – powiedziała cicho Tryfena. – Jest szeroki na ponad sto pięćdziesiąt kroków, a jego ściany są wyższe niż waszego Circus Maximus.

– Imponujący.

– Nawet więcej, to budowla genialna. Zbudowana na rzece, którą można zamknąć tamą, tak że woda zaleje arenę i wtedy urządzi się bitwy morskie.

Wespazjan był autentycznie pod wrażeniem, ale tego nie okazywał.

– Klaudiusz zamierza pokazać walkę okrętów na jeziorze Fucinus, zanim zostanie osuszone.

– Ależ, mój drogi Wespazjanie, to tylko pojedynczy pokaz i daleko od Rzymu. Tutaj ludzie, którzy chcą się zabawić, nie muszą w tym celu jechać dwa dni w jedną stronę. Podsunęłam mojej kuzynce Agrypinie pomysł, by Neron, kiedy obejmie sukcesję po ojcu, zbudował w centrum Rzymu amfiteatr, którego arenę można zalewać wodą, taki wielki jak ten albo jeszcze większy. To byłoby przedsięwzięcie godne wielkiego cesarza, który ma zostać zapamiętany.

– To mógłby być wieczny pomnik – zgodził się Wespazjan. – Któż chciałby zniszczyć miejsce publicznej rozrywki?

Tryfena wzięła sok owocowy od przechodzącego niewolnika i rzuciła od niechcienia:

– Ale ty uważasz, że Agrypina ma inne plany dotyczące jej syna?

Wespazjan zastanawiał się, przesuwając dłonią po gładkiej balustradzie z białego marmuru.

– Rzeczywiście ci twoi agenci informują cię o wszystkim na bieżąco – przyznał.

– Owszem, informują, a ty jednocześnie masz rację i się mylisz. Masz rację, że Agrypina chce, by jej syn jak najszybciej wstąpił na tron. Mylisz się jednak, sądząc, że to ona stała za tym partyjskim poselstwem i że chciała to ukryć przede mną.

– Masz dobrych agentów, Tryfeno, a także szybkich. Musieli jechać co koń wyskoczy, by cię o tym poinformować przed naszym przybyciem. Powiedziałem to zaledwie trzy dni temu. I to całkiem cicho, na prywatnym obiedzie.

Była królowa nie zamierzała przeproszać.

– Często, żeby przeżyć, trzeba usłyszeć to właściwe, cicho wypowiedziane słowo. – Spojrzała w stronę Sabinusa, pogrążonego w rozmowie z jakimś miejscowym notabłem, którego imię Wespazjan zapomniał natychmiast po tym, jak go przedstawiono. – Mężczyzna, z którym Sabinus rozmawia, podaje mu imiona przywódców plemiennych mojego byłego królestwa, których uważam za nieszczęśliwie zachwyconych zaanektowaniem przed sześciu laty Tracji przez

Rzym. Widzisz, Wespazjanie, jak bardzo mi zależy na okazaniu Rzymowi lojalności?

– Zatem przyłożyłaś rękę do usunięcia Mitrydatesa i zastąpienia go wnukiem swojego brata? W przeciwnym razie nie podkreślałabyś swojej lojalności, zanim w ogóle ją zakwestionowano.

– Ależ owszem, zakwestionowano ją, po cichu i w prywatnych okolicznościach. Nie tylko przyłożyłam rękę do tego przewrotu. Zrobiłam znacznie więcej, spowodowałam, by mój szwagier zasugerował to mojemu ciotecznemu wnukowi i dostarczył mu armię. Łatwo mi to przyszło: dałam mu do zrozumienia, że Radamist zamierza go zabić i przejąć tron, co akurat było prawdą.

Wespazjan pokręcił głową z dezaprobatą.

– Właśnie tak funkcjonuje wschodnia polityka? – zapytał.

– Jest mniej więcej taka sama jak rzymska, prokonsulu: władza i pozycja. Jedyna istotna różnica jest taka, że my mamy o wiele mniej zwalczających się rodów, co oznacza, że znacznie częściej zdarza się ojcobójstwo, bratobójstwo, a nawet dzieciobójstwo.

– Urocze. – Spojrzenie Wespazjana powędrowało ku ciemnobrązowemu łądowi stałemu, gdzie widział poszarpane występy skalne i rosnące w kępach drzewa, których bezlistne gałęzie obsiadły ptaki. Słońce było blade, trwała zima. Kozy szarpały szorstką trawę, pilnowane przez chłopców owiniętych burkami ze skór ich podopiecznych. Tu i tam dym wznoszący się cienką spiralą ku niebu znaczył miejsce nędznej sadyby, gdzie starsi bracia i ojcowie chłopców rąbali drewno, naprawiali narzędzia, dachy czy ogrodzenia, podczas gdy ich siostry i matki krzątały się, sprzątając, gotując i łątając odzież. Wszyscy starali się przetrwać zimę. Wespazjan domyślał się, że tak to wyglądało od stuleci: prosty człowiek zawsze ledwo wiązał koniec z końcem. – Przypuszczam jednak, że zawsze tak było w przypadku królewskich rodów Wschodu, podobnie jak z tymi wieśniakami tam.

– Nie pochwalasz tego?

– A kimże ja jestem, by osądzać? – Kiedy ponownie spojrzął w tamtą stronę, ptaki zerwały się nagle z drzew i pofrunęły nad morze. – Wiejska biedota ma taki sam wybór wszędzie wewnątrz imperium i poza nim: tkwij tam, gdzie jesteś i obrabiaj ziemię albo zaciągnij się do armii i walcz dla tych potężnych. Podczas gdy w potężnych rodach jest odwrotnie: walcz, by zachować pozycję, bo w przeciwnym razie zostaniesz częścią tej wiejskiej biedoty. Jeśli oznacza to zabicie twojego ojca, syna, wuja czy kogo tam jeszcze, to trudno. Jednak w Rzymie próbujemy działać inaczej.

– Czy rzeczywiście?

Drżenie nóg rozproszyło uwagę Wespazjana. Rozmowy na tarasie umilkły i zaskoczeni ludzie zaczęli się rozglądać wokół. Drganie narastało, a towarzyszył

mu jakiś głęboki, daleki pomruk i bliższy już brzęk kielichów i stukot talerzy na wibrujących stołach; powierzchnię soku, który miał w kielichu, pokryły koncentryczne kręgi, z narastającą prędkością rozchodzące się na zewnątrz.

Tryfena uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

– To tylko lekki wstrząs, nie ma się czego obawiać. Ciągłe je tutaj mamy. Ludzie wierzą, że powodem jest bliskość wejścia do podziemnego świata. Powinam była odczytać znaki; bogowie zawsze ostrzegają ptaki. Złożę ofiarę Hadesowi i Persefonie, być może to przywróci harmonię pomiędzy nimi, zanim bogini wróci do tego świata i przyniesie wiosnę i lato.

Morze zdawało się dygotać, fale załamywały się nieregularnie; na lądzie kozy biegały bezładnymi grupkami, co chwilę zmieniając kierunek, podczas gdy ich mali pasterze chowali się pod drzewami i sterczącymi głazami przed straszliwym gniewem bogów, jaki trzęsienie ziemi mogło zapowiadać.

Wkrótce jednak powrócił spokój; na tarasie ludzie podjęli przerwane rozmowy, z wymuszoną nonszalancją charakterystyczną dla osób pragnących zamaskować lęk.

Tryfena westchnęła głęboko, zupełnie jakby przez jakiś czas wstrzymywała oddech; rzuciła spojrzenie na zarządcę, który był teraz wyraźnie bledszy.

– Każ zaprowadzić parę najczarniejszych byków do kapłanów bóstw świata podziemnego. Mają je złożyć w ofierze Hadesowi i Persefonie w imieniu mieszkańców Kyzikos. I niech wszyscy wiedzą, że to na mój koszt.

Zarządca ukłonił się i odszedł.

– Okazywanie pobożności przynosi podwójną korzyść, jeśli dzieje się publicznie, nie sądzisz? – zauważyła Tryfena.

– Jednocześnie zyskuje się przychyłność bogów i popularność wśród ludzi. – Wespazjan poczuł ulgę, widząc, że powierzchnia soku z granatów się wygładziła.

– Chociaż już nie jestem królową, mieszkańcy wciąż u mnie szukają przywództwa i mecenatu. Wszystkie nowe budowle, które tu widzisz, wzniesiono za pieniądze z mojej szkatuły. Dzięki temu mam wpływy, tak samo, jak byłoby w Rzymie. Tutaj nie jest inaczej.

– My nie zabijamy członków bliskiej rodziny.

– Czyli uważasz prabratanków Tyberiusza czy kuzyna Kaliguli albo jego prawują za ich bliską rodzinę?

Wespazjan zmilczał.

– Zgadzasz się z moim twierdzeniem, że to Neron odziedziczy tron?

Wespazjan zorientował się, dokąd Tryfena zmierza.

– Tak, i na pewno zabije Brytanika. Jednakże Brytanik to tylko brat przyrodni.

– Rzeczywiście; jednak choć Neron wyda rozkaz użycia sztyletu czy trucizny, to Brytanik faktycznie zostanie zgładzony przez własnego ojca. Klaudiusz

popęłnił dzieciobójstwo w chwili, kiedy zaadoptował Nerona. Nie udawaj więc, że w Rzymie postępujecie inaczej niż my tutaj na Wschodzie. Agrypina zabije Klaudiusza, swojego stryja i małżonka w jednej osobie, tak jak Kaligula zgładził Tyberiusza, a Radamist Mitrydatesa.

– Zatem Mitrydates nie żyje?

– Uduszony... i jego dwaj synowie też.

– Uduszeni?

– Tak, Radamist przysiągł, że nigdy nie zrobi mu krzywdy ostrzem czy trucizną. Cokolwiek by o nim mówić, to nie jest on człowiekiem, który łamie przysięgi, zatem kazał Mitrydatesa udusić pod stosem ubrań, a potem udusić jego synów za jawne oplakiwanie ojca. Jestem pewna, że cię to nie zaskakuje.

– Nie, rzeczywiście nie. To jedyna logiczna rzecz, jaką Radamist mógł zrobić.

– Jak powiedziałaś cicho i poufnie ubiegłej nocy.

Wespazjan nie potrafił powstrzymać półuśmiechu.

– Nie jesteś tak dobrze poinformowana, jak sądzisz. To powiedział Sabinus, ja się tylko z nim zgodziłem.

– Powinnam kazać udusić swojego agenta za tę pomyłkę – rzuciła lekkim tonem Tryfena.

– To może powiesz, kto to taki?

– To byłoby głupie.

– Tak jak zabicie użytecznego, wciąż aktywnego agenta.

Wespazjan zauważył, że Tryfena nie zaprzeczyła, i natychmiast zmienił temat.

– Zatem przybyłem na próżno. Nie mogę przywrócić na tron nieżyjącego, a przecież, jeśli nie usunę Radamista, Partia spróbuje zrobić to siłą i będzie to prosta droga prowadząca do wojny.

– To prawdziwy problem, prokonsulu.

– Do którego powstania się przyczyniłaś – odparł Wespazjan, patrząc na nią znacząco. – Myślę, że już najwyższy czas, byś udowodniła swoją lojalność wobec Rzymu. Przekonaj Radamista do rezygnacji z tronu.

– Będziecie musieli go zabić, bo sam tronu nie odda.

Ta sugestia nie zaskoczyła Wespazjana.

– A pomożesz mi to zrobić?

– Co bym na tym zyskała?

– Odzyskałabyś zaufanie Rzymu.

Tryfena wskazała Sabinusa pogrążonego w rozmowie wciąż z tym samym notablem.

– Dopiero co sprzedałam kilkunastu moich byłych ziomków, by je odzyskać. Cóż tak naprawdę zyskałabym, pomagając ci zabić wnuka mojego brata. Jak sam

do tego doszedłeś, Klaudiusz wkrótce umrze; moja krewna Agrypina dopilnuje tego dla dobra Rzymu, zanim cesarz całkowicie pozbawi naszą rodzinę władzy na rzecz swoich wyzwolenców. Jego miejsce zajmie nasz złoty chłopiec, Neron, a moja rzymska rodzina ponownie przejmie kontrolę. Zatem zachowam przychyłność Rzymu i przychyłność mojego brata w Poncie, szwagra w Iberii i wnuka brata w Armenii... Jestem otoczona przyjaciółmi. – Znów wskazała Sabinusa, który miał teraz rozentuzjasmowaną minę. – Co więcej, namiestnik Tracji jest do mnie dobrze nastawiony, a nowym namiestnikiem Azji, jak wiesz, jest mój wieloletni przyjaciel Korbulon. Zatem pytam ponownie: co bym zyskała?

– Więc rzeczywiście chcesz wojny z Partią?

– Oczywiście, prokonsulu. Jak już odgadłeś... cicho i poufnie, ale opierając się na wielu błędnych przesłankach... właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Może już nie jestem królową, Wespazjanie, ale krew królewskich rodów Wschodu i cesarzy Zachodu wciąż płynie w moich żyłach. Nie pozwolę, by któryś z tych rodów stoczył się do poziomu wiejskiej biedoty, jak przenikliwie zauważyłeś.

Wespazjan miał wrażenie, że opadają zasłony, i zobaczył Tryfenę taką, jaka naprawdę jest: drugą Antonią. Z tym, że ta obecna nie walczyła o utrzymanie się przy władzy jednej rodziny, tylko dwóch.

– To ty za tym stoisz, nie Agrypina. Wiedziałaś o tym partyjskim poselstwie i wybrałaś Radamistowi taki moment na najazd Armenii, by wyglądało na to, że Partowie go zainspirowali. Chciałaś, by przysłano poselstwo rzymskie, które sprowokuje Partię. Znasz Korbulona, spowodowałaś, że go odwołano znad Renu i dano mu Azję. Chciałaś tu mieć najlepszego rzymskiego wodza, bo nie możesz sobie pozwolić na to, żeby Rzym przegrał wojnę, która mogłaby zabezpieczyć twoje obie rodziny. Jeśli Rzym pobije Partię w Armenii, zyskasz jeszcze więcej od Agrypiny.

Tryfena cmoknęła z dezaprobatą.

– Zawsze wiązałam z tobą wielkie nadzieje, Wespazjanie. Jesteś blisko, ale przeoczyłaś jeden istotny szczegół. Wiedziałam, że masz bystry umysł, i Antonia wspomniała kilkakrotnie w listach, jakie wrażenie robi na niej twój rozwój intelektualny... Najwyraźniej była zbyt łaskawa. Jednak doszedłeś do tego, kto był moim agentem, kiedy nieostrożnie niemal przyznałam, że wciąż jest z tobą. Zmieniłeś szybko temat, bym się tego nie domyśliła. Wiesz kto?

– Z dedukcji wynika, że jest to jeden z liktorów, bo jak inaczej moje słowa mogłyby podróżować równie szybko jak ja? Nie potrzebował pozwolenia starszego liktora, by zniknąć na pół godziny i uprzedzić cię o naszym przybyciu, zanim się tu pojawiłaś. Dlatego musi to być sam starszy liktor, co potwierdza fakt, że poprzedniej nocy widziałem, jak się czai pod drzwiami triklinium, kiedy otworzono je nagle, a ja chwilę przedtem mówiłem właśnie cicho i poufnie.

– Doskonale. Zatrzymasz go? Wyświadczyć mi tym uprzejmość.

– Żeby mógł mnie szpiegować?
– Nie, żeby cię utrzymał przy życiu.
– Do tego właśnie są liktorzy, poza innymi rzeczami.
– Tak, ale on utrzyma cię przy życiu ze względu na mnie, ponieważ wybrałam go specjalnie, by nad tobą czuwał.

– Jak to zrobiłaś? O tym, że ruszam na Wschód, dowiedziałem się zaledwie trzy dni przed wyjazdem. Nie było więc czasu, byś otrzymała tę informację, a potem zdążyła jeszcze majstrować przy wyznaczaniu liktorów.

– Zrobiłam to wcześniej.

– Czy to znaczy, że już wcześniej zdecydowałaś, kto stanie na czele naszego poselstwa? – spytał Wespazjan. Nie potrzebował odpowiedzi; wreszcie łuski spadły mu z oczu. – Twój agent wiedział o partyjskich wysłannikach, bo był z nimi, kiedy dotarli do Tyry. Był z nimi, ponieważ... – Rzymianin oniemiał z podziwu.

– No proszę, powiedz to.

– Był z nimi, ponieważ nie wyruszyli z Partii, tylko stąd. – Zrobił wielkie oczy, kiedy Tryfena nie zaprzeczyła. – To było fałszywe poselstwo. Zorganizowałaś wszystko tak, by wydawało się, że Partowie negocjowali z północnymi plemionami, i kazałaś swojemu agentowi powiedzieć to Sabinusowi, który naturalnie mu uwierzył. A potem dopilnowałaś, by informacja o tym, że mu się wymknęli, dotarła do ludzi liczących się w Rzymie. Tymczasem fałszywi wysłannicy wrócili tutaj, a ty zapłaciłaś trierarchowi wracającemu do Rzymu, by przekazał Agarpetosowi informację, z której wynikało, że Partowie podróżowali przez Iberię. To wystarczyło przełożonemu agentów Narcyza, by zwrócić uwagę jego pana na tę sprawę. Zgrałaś w czasie atak Iberii na Armenię z pobytym tego fałszywego poselstwa w tamtym kraju, by wszystko to razem wyglądało na spisek partyjski. Wreszcie, sprawiłaś, że Narcyz zaczął podejrzewać cesarzową o zdradę, pozwalając, by Agarpetos przechwycił fałszywą wiadomość, pochodzącą rzekomo od jednego z jej agentów, z której można było wnioskować, że Agrypina wiedziała o tym poselstwie i usiłowała ukryć to przed tobą. Pallas miał rację: celowo trzymano go w nieświadomości, podczas gdy Narcyza celowo oświecano. Doszłaś też do słusznego wniosku, że Narcyz zobaczy we mnie sojusznika, ponieważ wiem, że kierowana nienawiścią Agrypina skorzysta z każdej okazji, by mi zaszkodzić. Domyślił się również, że mój brat może wiedzieć więcej, niż zdradził, i dlatego mój wuj i ja jesteśmy najlepszymi ludźmi do rozmowy z nim. A co najważniejsze, wiedziałaś, że konsul, któremu właśnie wygasła kadencja, jest najbardziej oczywistym kandydatem na wysłannika do Armenii, jeśli wielkość Rzymu ma być traktowana poważnie, a Pallas, który miał dokonać ostatecznego wyboru, będzie widział we mnie sojusznika w delikatnej sprawie. To ty spowodowałaś, że jestem tutaj.

– I wszystko to kosztem trzech zbytecznych okrętów. – Tryfena wyglądała

na szczerze zadowolona ze zdemaskowania jej dwulicowości. Wzięła Wespazjana pod rękę i poprowadziła do wnętrza. – Okazuje się, że jednak Antonia dobrze cię wyszkoliła. A teraz ja zrobię dobry użytek z tego wyszkolenia.

– A niby dlaczego miałbym służyć twojej sprawie?

– Ponieważ, prokonsulu, byłbyś niemądry, odmawiając, a ja nie uważam cię za głupca. A teraz powiedz mi, jak wygląda u ciebie moc sugestii. Ponieważ kluczem do tego wszystkiego jest Juliusz Pelignus, prokurator Kapadocji.

Północno-wschodni wiatr gnał szare chmury gęstniejące nad masztem triremy, zupełnie jakby celem zbliżającej się burzy był właśnie ten okręt, a o całą resztę zawadziła przypadkiem. Grzmoty huczały groźnie nad morzem i nad górami Pontu. Brzeg wyglądał złowieszczo: wysokie, ciemne klify wynurzały się z niespokojnej wody, poszarpane zęby skał u ich podnóża tylko czekały, by nadziać się na nie kadłub jakiegoś statku zepchniętego tam złościwością Posejdona, kaprysem Fortuny czy po prostu nieudolną nawigacją.

Magnus owinał się mocno płaszczem i spoglądał z niepokojem nad prawą burtą na majaczący w odległości ćwierć mili i z każdą chwilą coraz bliższy brzeg. Jego siwe włosy zmoczył pył wodny. Pokład podskoczył ponownie, wszyscy się zatoczyli, próbując utrzymać równowagę. Wespazjan zerknął przez ramię na trierarchę, stojącego pomiędzy wiosłami sterowymi. Mężczyzna z ponurą twarzą bacznie badał niekończący się korowód nadmorskich skał, podczas gdy sternicy po obu jego stronach ze wszystkich sił starali się utrzymać prosto pióra wiosel sterowych, żeby zapobiec dryfowaniu ku pewnej, czającej się tak blisko śmierci.

– Nie widzi nigdzie bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby zawinąć – powiedział Wespazjan, starając się, by jego głos nie utonął w narastającym ryku sztormu.

– W takim razie powinniśmy płynąć z wiatrem – wycedził przez zęby Magnus.

– Odkąd to jesteś ekspertem od żeglowania?

– Kwestia logiki: jeśli nie możesz z czymś walczyć, dopasuj się do tego.

Najwyraźniej w tym momencie trierarcha doszedł do tego samego wniosku, bo przez tubę popłynął strumień rozkazów i natychmiast kulący się z przerażenia załoganci rozbiegli się po pokładzie. Rozwinięto i pociągnięto liny, pchnięto wiosła sterowe w prawo, a kiedy trirema zmieniła kierunek, tylko mała część żagla dziobowego pozostała jeszcze nierozwinięta. Skóra natychmiast się wydeła, wypełniona wiatrem, który pognał okręt szybciej niż kiedykolwiek w ciągu minionych pięciu dni. To właśnie przed pięcioma dniami zostawili w Bizancjum Sabinusa i Gajusza, a także, pomimo nalegań Tryfeny, pozbyli się niegodnych zaufania liktorów i zaczęli długi rejs wzdłuż wybrzeża Bitynii, Paflagonii i wreszcie Pontu. Podczas tych pięciu dni Wespazjan próbował zmierzyć się z doniosłością zadania, które miał wykonać na prośbę Tryfeny. Nie na prośbę, na

rozkaz. Nie mógł się sprzeciwić, bo to oznaczałoby katastrofę dla niego i jego rodziny. Zniknęła życzliwa królowa, taka pomocna, kiedy był młodym trybunem w Tracji. Teraz już wiedział, że okazywała mu wtedy życzliwość, ponieważ realizował plany Antonii, a tym samym jej własne. To nie groźby kazały mu teraz poddać się jej woli, tylko suche stwierdzenie faktów.

Fakt: jego rodzina nie jest mocno zakorzeniona w systemie i w ciągu dwóch pokoleń może spaść do pozycji wiejskiej biedoty, jeśli tak postanowią obie rodziny Tryfeny. Fakt: niezależnie od tego, czym zakończy się plan Tryfeny, albo Pallas, albo Narcyz straci życie, a ten, który przeżyje, będzie jej dłużnikiem i Wespazjan na tym skorzysta. Fakt: zadanie, które ma wykonać, przyniesie korzyść Rzymowi i chociaż nigdy nie stanie się to wiedzą publiczną, informacja o jego udziale znajdzie drogę do uszu właściwych osób, a zanim to nastąpi, on będzie mógł cieszyć się myślą o służeniu dobru ogólnemu. Był jednak jeszcze jeden powód, dla którego zgodził się spełnić życzenia Tryfeny: tylko przeczucie, które zachował dla siebie.

Nie łudził się, że jest bezpieczny, i dlatego powierzył Gajuszowi list do Cenis. Jeśli coś pójdzie nie tak i zostanie zdemaskowany, straci życie, ona będzie mogła, wbrew woli Tryfeny, ujawnić powody jego działania. Gajusz przeczeka jeden rok z Sabinusem w jego prowincjach i powróci kolejnej wiosny do Rzymu z Wespazjanem, a jeśli siostrzeńcowi się nie powiedzie, to tylko z listem.

Statek sunął coraz szybciej, a Wespazjan poczuł dziwną ulgę, ponieważ wzmagający się wicher przyspieszał wykonanie zadania. Jeśli jego misja się powiedzie, Tryfena go wynagrodzi, a Korbulon otrzyma to upragnione dowództwo.

A wszystko to dlatego, że Wespazjan spieszył ku Armenii, by sprowokować Partię do wojny.

Rozdział siódmy

Czy masz upoważnienie cesarza, by wyrazić takie niesłychane życzenie? – spytał Juliusz Pelignus, prokurator Kapadocji, prostując się na całą wysokość, za sprawą poważnego skrzywienia kręgosłupa mocno ograniczoną. – Bo chcę ci przypomnieć, że jestem bliskim przyjacielem Klaudiusza i nie warto mi się narażać.

– Jestem w pełni świadom twoich stosunków z cesarzem – powiedział Wespazjan, spoglądając w dół na zdeformowanego małego człowieka, starając się ukryć pogardę, jaką odczuwał do prokuratora za jego nieznośne zadufanie w sobie. – To nie jest życzenie, to sugestia. Mam mandat cesarza do działania w sposób, jaki uznam za najlepszy w związku z obecnym kryzysem w Armenii, i sugeruję, by twoje kohorty pomocnicze zabezpieczyły jej granicę z Partią.

– Wszystkie?

– Wszystkie! – Głos Wespazjana rozszedł się echem między marmurowymi kolumnami i ścianami pałacu prokuratora położonego w Melitene, w górzystej prowincji na skraju cesarstwa.

– Nie mogę pozwolić sobie na oddanie ich wszystkich.

– Czy robią w tej chwili coś ważnego?

– Strzegą naszej granicy z Armenią.

– Tej granicy strzeże rzeka Eufrat, granica Armenii z Partią jest tylko niekonkretną linią biegnącą od południowej strony Tigranocerty.

Pelignus zacharczał, spoglądając na Wespazjana wyłupiastymi, przekrwionymi oczyma. Najbardziej w jego mizernej twarzy zwracały uwagę grube, wilgotne wargi.

– Ale to jest *moje* wojsko.

– I ty będziesz nim dowodził, Pelignusie, tak jak wypada, i chociaż ta sugestia wyszła ode mnie, to cały ten pomysł będzie *twój*.

Cienki nos Pelignusa zadrgał. Pomasował go kciukiem i palcem wskazującym; paznokcie miał obgryzione prawie do nasady.

– I mnie przypadnie zasługa za każde ewentualne zwycięstwo?

– Prokuratorze, mnie tutaj nie ma. Widziałeś moje pełnomocnictwo od cesarza i to ci powinno wystarczyć. Nie należy wspominać o mojej obecności w żadnym z oficjalnych pism czy listów ani informować twojego bezpośredniego przełożonego, Ummidiusza Kwadratusa, namiestnika Syrii. Nie tylko będziesz miał prawo do wszelkich łupów, ale również tobie przypadnie chwała za każde zwycięstwo, godny bojowy wyczyn czy udane negocjacje osiągnięte użytymi przez ciebie siłami, podczas *twojego* zabezpieczania południowej armeńskiej granicy w okresie niestabilności tego zależnego od Rzymu królestwa.

Jak i potępienie za każde fiasko, haniebny odwrót czy niejasne

porozumienie, dodał Wespazjan w myślach, uśmiechając się przymilnie do tej puchnącej z dumy karykatury prokuratora. Pelignus zmrużył oczy, przemyślując nad bogactwami i honorami, które tak łatwo mu się trafiły. Wespazjan wcześniej raz tylko go spotkał, przed trzema laty, ostatniego dnia obchodów *ludi Saeculares*, w loży cesarskiej, kiedy ten prawie błagał Klaudiusza o stanowisko prokuratora Kapadocji, by mógł podreperować finanse. Jego komitywa z cesarzem wiązała się z częstą grą w kości oraz koniecznością obstawiania niemal wszystkiego, co się da, a ta Klaudiuszowa pasja do hazardu bardzo mocno nadwerżyła sakiewkę Pelignusa. Wespazjan zaczął się wtedy zastanawiać, dlaczego cesarz przestaje z takim błaznem, ale zrozumiał, że garbus jest właśnie takim człowiekiem, jakiego Klaudiusz chciał mieć przy sobie; w porównaniu z nim śliniący się kuternoga wydawał się mniejszym dziwactwem. Teraz, kiedy Pelignus miał już to swoje upragnione stanowisko, Tryfena uznała, że jego chciwość i sprzedajność dobrze posłużą jej celom. Wespazjan nie był zdziwiony, kiedy prokurator wyraził zgodę.

– Doskonale, prokonsulu – oznajmił pewnym siebie głosem Pelignus, przywołując całe rezerwy godności, by sprawić wrażenie, że kontroluje sytuację. – Wyruszę za dziesięć dni.

– Błąd, Pelignusie. Sednem tu jest pośpiech i cesarz cię za to pochwali. Wyruszysz za trzy dni. Za dziesięć będziesz w Tigranocercie. Tymczasem król Pontu, Polemon, ściągnie armię z północy i zajmie Artaksatę.

Wespazjan wymaszerował z komnaty, zostawiając prokuratora z otwartymi ustami. Nie chciał sprawy opóźniać; teraz, kiedy był bliski celu, pragnął osiągnąć te wątpliwe cele Tryfeny, wrócić do Italii i obserwować, co się będzie dalej działo, ze względnie bezpiecznej odległości, w jednej ze swoich posiadłości. Dwustumilowa podróż z Synopy, siedziby króla Polemona, brata Tryfeny, zajęła mu ponad połowę miesiąca. Wespazjana nie zaskoczyło, że się go tam spodziewano i że starzejący się król przyjął go z najwyższą uprzejmością; dla bezpieczeństwa podczas podróży lądem przydzielono mu jednostkę osobistej konnej gwardii Polemona. Żołnierze uzbrojeni byli we włócznie, na podobieństwo hetajrów Aleksandra Wielkiego; bez tarcz, ale w solidnych skórzanych pancerzach i w hełmach z brązu wyglądali niczym armia z dawno minionych czasów, jednakże Polemon zapewnił go, że jeśli chodzi o umiejętności jeździeckie, nie mają sobie równych. Sama ich obecność odstraszała po drodze wszelkich bandytów i po przyjeździe do Kapadocji Wespazjan zwolnił ich z niejakim żalem, że nie miał okazji zobaczyć, jak walczą.

Rozglądając się za Magnusem, który mościł się w skromnych pokojach gościnnych niezbyt przytulnego, pełnego przeciągów i rzadko używanego pałacu, Wespazjan pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech; miał uczucie, że sprawy wreszcie się zaczęły toczyć. Wziął sobie armię: pięć kohort wojsk pomocniczych, każda licząca ośmiuset ciężkozbrojnych żołnierzy piechoty, wyszkolonych do walki w rozproszaniu, co było idealne w górzystym terenie. Jednakże to nie walka

miała być ich podstawowym zadaniem i dlatego nie mógł się doczekać miny Pelignusa, kiedy się dowie, czego tak naprawdę od nich oczekują.

– Ten wspaniały podbój przyniesie wam chwałę! – zaskrzeczał Pelignus podniesionym głosem, by słyszała go cała ta mała armia, licząca niewiele ponad cztery tysiące żołnierzy piechoty i jazdy. – Cesarz i senat oczekują od nas, że odzyskamy należny nam wpływ na Armenię. Zaatakujemy z zachodu i zajmiemy Tigranocertę, podczas gdy nasi sojusznicy z Pontu wejdą od północy i zajmą Artaksatę. Nadeszła pora, byśmy mogli wpisać Kapadocję w annały historii jako tę prowincję, która ocaliła honor Rzymu na Wschodzie.

Podczas gdy Pelignus nie ustawał w przemowach, wplatając w nie słowa o wielkości i chwale, dalece przesadne w stosunku do tego, co mieli zrobić, żołnierze stali pod sztandarami wyprostowani i patrzyli nieruchomym wzrokiem przed siebie. Słabe światło słoneczne pobłyskiwało na ich kolczugach, grotach włóczni i niczym nieustrojonych hełmach, a czerwień ich tunik i spodni współgrała z malowanymi tarczami, ozdobionymi dwiema krzyżującymi się błyskawicami z polerowanego żelaza. Wszystko to sprawiało wrażenie ciągnących się rzędów z krwi i ze srebra. Obok w zaskakująco równych szeregach stali ludzie obsługujący tabory. Wyglądali różnie, ponieważ nie wydawano im standardowego odzienia. Jedno jednak mieli teraz wspólne z żołnierzami piechoty: na ich twarzach nie było widać najmniejszej reakcji.

– Nie wiem, po co tak się wysila – rzucił Magnus, pociągając energicznie za wodze, by okiełznać narowistego wierzchowca. – Nie sądzę, żeby więcej jak dziesięciu z nich znało łacinę lepiej od przeciętnego pięciolatka.

Wespazjan zachichotał, ściągając swojego konia, przestraszonego przez wierzchowca Magnusa.

– Nawet nie przyszło mu do głowy, że lepiej byłoby przemawiać po grecku. Myśli tylko o tym, by postrzegano go tak jak Cezara, Lukullusa, Pompejusza i wszystkich tych wodzów, którzy działali w tym regionie. Któż może być bardziej ślepy od jakiegoś człowieczka bez żadnego wojskowego doświadczenia, któremu wydaje się, że dostał szansę zostania bohaterem bez żadnego wysiłku.

Uspokoił konia, podjeżdżając do zaprzęzonego w muły wozu, na którym znajdował się ich namiot i rzeczy osobiste. Zauważył, że powożący nim Hormus przygląda się z zachwytem jednemu z całej rzeszy młodych mulników z taboru, w którym miał podróżować. Młodzieniec odwzajemnił mu się uśmiechem, z obietnicą w ciemnych oczach.

– A zatem, żołnierze Rzymu – zawołał falsetem Pelignus, a zazwyczaj blade policzki przybrały barwę tunik jego słuchaczy – podążajcie za mną do Armenii, podążajcie za mną do Tigranocerty, podążajcie za mną do zwycięstwa w imię Rzymu!

Przebił mieczem powietrze i nie doczekawszy się reakcji, powtórzył ten gest

jeszcze parę razy, aż jego publiczność się zorientowała, że nastąpił koniec tej podrywającej ich do czynu mowy, i wreszcie odpowiednio zareagowała. Pelignus przemówił jeszcze do stojących za nim na podwyższeniu pięciu prefektów wojsk pomocniczych, po czym zszedł po drewnianych stopniach przy wtórze nierównych okrzyków żołnierzy. Po możliwie najkrótszym dopuszczalnym czasie wiwatowania na cześć dowodzącego prefekci dali znak najwyższym rangą centurionom; rozkazy bez trudu przebiły się przez hałas, a zaraz potem odezwały się rogi. Żołnierze wszystkich centurii jednocześnie stanęli na baczność i stukając ogromną liczbą podbitych ćwiekami sandałów, wykonali zwrot w lewo, tworząc kolumny o złożonych z ośmiu ludzi szeregach. Po kolejnej serii rozkazów i wielokrotnych fanfarach wygranych na rogach centuria za centurią opuściły plac defiladowy usytuowany przed główną bramą miasta i długą, wijącą się kolumną powędrowały na wschód, ku Eufratowi, za którym leżały pokryte śniegiem góry Armenii.

Wespazjan był pod wrażeniem szybkości, z jaką kolumna posuwała się po Perskiej Drodze Królewskiej zbudowanej przez Dariusza Wielkiego celem połączenia centrum kraju z leżącym na zachodzie morzem. Szeroka i dobrze utrzymana dorównywała każdej z rzymskich dróg, a jej równa nawierzchnia pozwalała żołnierzom maszerować w dobrym tempie.

W istocie szybkość, z jaką zorganizowano całą tę ekspedycję, dobrze świadczyła o wojskowej strukturze prowincji. I dlatego Wespazjan niemal odczuwał wyrzuty sumienia, kiedy obserwował żołnierzy przechodzących przez długi na siedemdziesiąt kroków most na Eufracie. Bo żeby plan Tryfeny się powiódł, nie szli oni po zwycięstwo.

Most był węższy od drogi, co spowodowało pewien zator, i dlatego przerzucenie całości wojska oraz taborów zabrało resztę dnia i sporą część dnia następnego. Kiedy ostatnie wozy staczały się z mostu, na szczycie dalekiego wzgórza dostrzeżono pierwsze maleńkie sylwetki jeźdźców.

– Dość szybko rozeszły się wieści o naszym marszu – zauważył Magnus, wsiadając na konia.

Wespazjan wskoczył na siodło swojego wierzchowca.

– Jestem pewien, że król Polemon już zdążył uprzedzić Radamista i Partów o naszym przybyciu.

– Jasne – zgodził się Magnus. – Na Wschodzie nikomu nie możesz ufać. Za kożę zdradzą własną matkę, jeśli będą z niej mieli większy pożytek. Widzę, że się tym nie przejmujesz. A ja myślałem, że istotą szybkiego uderzenia, takiego jak to, jest element zaskoczenia.

– Na pewno byłby istotny, gdyby to miało być szybkie uderzenie.

Magnus osłonił dłonią oczy i spojrzał w kierunku południowo-zachodnim, gdzie widzieli zwiadowców.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wespazjan obrócił konia ku niemu.

– Nie przyszło ci do głowy, że tak naprawdę nie mamy na kogo uderzać? Radamist jest przecież lojalny wobec Rzymu, a z tego, co wiemy, Partowie jeszcze nie dokonali żadnego najazdu.

– Ale przecież powiedziałeś Pelignusowi, że celem tej misji jest zajęcie Tigranocerty, podczas gdy król Polemon zaatakuję od północy i zajmie Artaksatę, zgodnie z założeniem, że ten, kto kontroluje te dwie królewskie stolice, kontroluje Armenię?

– Rzeczywiście tak mu powiedziałem, ale jest to dalekie od prawdy. Gdybym powiedział prawdę, prawdopodobnie próbowałby mnie aresztować za zdradę. – Wespazjan z przyjemnością zauważył zaskoczoną i zdezorientowaną minę przyjaciela i ruszył z kopyta na spotkanie z Pelignusem.

– Pewno jacyś miejscowi zbójcy – oznajmił Pelignus, kiedy Wespazjan zatrzymał wierzchowca obok niego. – Byłoby niegodne Rzymu wysłać zwiadowców po to tylko, by się uganiali za jakąś hołotę.

– Skoro tak sądzisz, Pelignusie – odparł Wespazjan, rozglądając się po wzgórzu. – Kimkolwiek byli, to już ich tam nie ma.

– Więcej ich nie zobaczymy.

– Skąd ta pewność?

– Armeńczycy nie ośmieliliby się zaatakować rzymskiej kolumny.

– Może tak, może nie. Ale Partowie już tak.

– Partowie? Co oni by robili na tym terenie?

– To samo co my, prokuratorze, dawali wyraz swoim roszczeniom w czasie przemiany. I gdyby jednak przybyli, to sądzę, że nadeszliby z południowego zachodu. – Wskazał ręką wzgórze, na którym pojawili się jeźdźcy. – A sądząc po położeniu słońca, to właśnie jest południowy zachód.

Przez trzy dni kolumna posuwała się na wschód, potem droga skręciła na południe, wijąc się między wzgórzami burego od kurzu, nierównego terenu poprzedzającego łańcuch gór Masius. Jeźdźców już więcej nie widziano i zanim żołnierze dotarli do Amidy nad rzeką Tygrys, prawie nikt o nich nie pamiętał. Dalej droga skręcała na wschód, ku Tigranocercie, znajdującej się po drugiej stronie stumilowego przejścia przez łagodnie pofalowane pogórze. Pelignus prowadził marsz w przyspieszonym tempie, a naśladując dawnych rzymskich wodzów, nie wysyłał przodem zwiadowców, na podstawie niesłusznego przekonania, że szukanie zasadzek urządzonych przez barbarzyńców jest niegodne Rzymu.

Godna Rzymu była natomiast chciwość i dlatego piątego dnia po południu kolumna, przy dźwięku rogów, zatrzymała się powyżej spokojnie wyglądającego miasteczka Amida, rozłożonego po obu stronach drogi. Wysokie i przenikliwe tony rogów *bucinae*, używanych w obozie i podczas marszu, zastąpiły głębokie, grzmiące dźwięki *cornu*, o kształcie litery G, używanych do wydawania sygnałów

bitewnych, i kolumna uformowała się w dwa rzędy.

– Co on robi? – zapytał Magnus, kiedy żołnierze ruszyli na lewo i prawo, a rolnicy orzący świeżo odtajalą ziemię porzucili pługi i pobiegli ku względnemu bezpieczeństwu, jakie dają mury miasta.

– Będzie robić to, czego spodziewała się po nim Tryfena, gwałcić i plądrować. Nigdy nie trafiła mu się taka okazja, bo taki garbus nie nadawał się na trybuna wojskowego w legionie. Nie brał udziału w żadnej kampanii i nie poczuł mocy, jaką daje miecz.

Magnus był zdezorientowany.

– Przecież to miasto należy do Armenii – zauważył. – Jak on sobie wyobraża dbałość o nasze interesy, jeśli będzie burzył wszystko, na co się natknie?

– On niczego sobie nie wyobraża, a przynajmniej nie wybiega myślą dalej niż kombinowanie dla własnego zysku, ale to już jego problem i dlatego właśnie jest taki dla nas odpowiedni.

– Chcemy, żeby zraził do nas Armeńczyków?

– To miejsce znajduje się dokładnie na granicy pomiędzy Armenią i Imperium Partyjskim. Tigranocerta jest miastem granicznym, strzegącym przełęczy Bezabde, prowadzącej przez te góry do Partii. Czy może być lepszy sposób na sprowokowanie Partów, niż spalić bliską granicę Amidę, a potem odbudować i ufortyfikować miasto, z którego faktycznie widać ich ziemie?

Magnus odwrócił się ku południu.

– Chcesz powiedzieć, że za tymi górami leży Partia?

Wespazjan przyjrzał się szczytom.

– Tak, jeśli wejdiesz na jedną z tych gór, wtedy wszystko, co stamtąd zobaczysz i jeszcze wiele mil dalej, będzie Partią. Tryfena pokazała mi mapę i za górami prawie nic na niej nie było, tylko Tygrys i Eufrat, które płyną aż do morza, skąd możesz pożeglować do Indii. Niemal wszystkie miasta leżą nad jedną z tych dwóch rzek, ale pomiędzy nimi rozciąga się pustynia. – Wskazał ręką południowy zachód. – Sto mil w tamtym kierunku pod Karrami straciliśmy siedem Orłów w jednej bitwie z Partami, a pięćdziesiąt mil dalej na zachód znajduje się granica z Syrią. Za górami kończą się wpływy Rzymu. Jeśli Wielki Król zobaczy nas na swojej granicy, wyśle armię, by nas stąd usunąć i odebrać Armenię.

– Pelignus będzie odpowiedzialny za wywołanie wojny, ty natomiast będziesz musiał odpowiedzieć na kilka bardzo niewygodnych pytań.

– Nie, mnie tutaj oficjalnie nie ma, a jeśli ktoś zapyta, to król Polemon gotów jest zaświadczyć, że całe lato spędziłem w Poncie, traktując to miejsce jako bazę dla negocjacji z Radamistem.

– Ale przecież on najeżdża Armenię od północy.

– Nie, wcale nie najeżdża; siedzi tam, gdzie doradziła mu siostra. Powiedziałem tak Pelignusowi, by poczuł się bezpiecznie, i chciałem mieć

pewność, że przyprowadzi tu swoje wojsko. Pelignus zostanie obwiniony za wszczęcie tej wojny, ale ponieważ jest dobrym przyjacielem Klaudiusza, to prawdopodobnie przeżyje.

Przy akompaniamencie dudnienia *cornu* dwie kohorty wojsk pomocniczych ruszyły do przodu i jednocześnie czterdzieści zamontowanych na wozach balist z dwóch stron zarzuciło pociskami słabo obsadzone mury. Z miasta dobiegło rozpaczliwe zawrodożenie tysięcy przerażonych ludzi. Co odważniejsi mieszkańcy miotali strzały z łuków i pociski z proc w kierunku nadchodzących żołnierzy, z marnym zresztą skutkiem. Wielu z obrońców padło, w rozbryzgach krwi, bez głów, które zerwały pociski z machin bojowych.

Żołnierze rzymskich wojsk pomocniczych podnieśli tarcze i ruszyli równym spokojnym krokiem, w milczeniu, ku leżącemu przed nimi bezbronnemu miastu.

Po twarzy Magnusa Wespazjan widział, że jego towarzysz zupełnie nie rozumie celu uzasadniającego tę, według niego, niepotrzebną rzeź.

– Wcześniej czy później musi dojść do walki z Partią – wyjaśnił mu zatem – bo zawsze z nią walczymy, mniej więcej co trzydzieści lat. Zamiast zapobiegać odebraniu nam Syrii i uzyskaniu przez Partów dostępu do Naszego Morza, lepiej prowadzić wojnę na terytorium neutralnym. Będziemy mieli mniej do stracenia, a tyle samo do zyskania.

– Ale przecież zebranie armii może zająć Partii ze dwa lata.

Wespazjan przyglądał się, jak przy murach stają pierwsze drabiny i żołnierze zaczynają się po nich wspinać.

– Nie, pojawią się tutaj za dwa miesiące. To ich zwiadowców widzieliśmy na tamtym wzgórzu zaledwie trzy dni temu. Tryfena poleciła królowi Polemonowi wysłać do Ktezyfontu wiadomość, dokładnie informującą Wielkiego Króla o naszych zamiarach.

Kiedy pierwsi żołnierze znaleźli się na szczycie muru, otwarto bramy, w płonnej nadziei na możliwość poddania się; jednak pokój nie zawitał do tego miasta, tylko śmierć, a drogę wskazywał jej garbaty człowieczek z nieskrwawionym w boju mieczem.

Pelignus pierwszy raz w życiu poczuł smak chwały.

Wespazjan i Magnus wjechali do miasta spowitego dymem i opanowanego przez śmierć. Żołnierze szaleli na wąskich ulicach, polując na łupy, zarówno żywe, jak i martwe. Wszędzie leżały ciała zabitych mężczyzn, pogruchożane, poprzebijane, ociekające krwią. Kobiety krzyczały i błagały o litość, ścigane i poddane brutalnemu losowi, jaki zawsze był ich przeznaczeniem w zdobytym mieście. Uznane za zbyt stare, by mogły wzbudzać cielesne żądze, natychmiast zabijano; małe dzieci i niemowlęta czekało to samo.

Wokół krzyczących ofiar zbierali się rozochoceni żołdacy; zdzierali z leżących ubrania, przytrzymywali i zagrzewali kamratów do działania. Każdy

niecierpliwie czekał na swoją kolej, by gwałcić wrywające się kobiety, które przeklinały i opluwały swoich prześladowców, biły po twarzach, w daremnych próbach przygaszenia ich wrzącego szaleństwa.

Ci, którzy zaspokoiли żądzę, pili bez umiaru wino, z wyciągniętymi mieczami i płonącymi pochodniami wędrowali przez miasto, beztrąsko wzniecali pożary i mordowali, kogo się dało.

– Niełatwo będzie po tym wszystkim uspokoić chłopców – mruknął Magnus, kiedy mijali grupkę pijanych żołnierzy oddających mocz w usta prawie nieprzytomnej kilkunastoletniej dziewczyny, której wcześniejszych męczarni można było się domyślić po siniakach i pręgach na twarzy i nagim ciele, a także po kałuży krwi, jaka spłynęła jej po udach.

Wespazjan zmusił się do obejrzenia ostatniego aktu życia dziewczęcia, kiedy to jeden z jej oprawców wyciągnął miecz i wbił go jej w usta; trysnęła krew, rozcięczona uryną, a roześmiani żołnierze ruszyli dalej w poszukiwaniu kolejnej rozrywki.

– Wystarczy, że jakaś część mieszkańców przeżyje i rozgłosi, co potrafi ta niewielka rzymska armia – mruknął, popędzając konia główną ulicą. – Teraz muszę odnaleźć Pelignusa i pchnąć go do pospiesznego dalszego marszu w tej chwalebnej kampanii wyzwoleniczej, którą dopiero co rozpoczął.

Magnus rzucił ostatnie spojrzenie na martwą dziewczynę i ruszył za nim.

– Teraz, jak już w tym zasmakował, to pewnie trudno będzie go powstrzymać – stwierdził.

– Dam żołnierzom dwa dni odpoczynku – oświadczył Pelignus z za nieprzyzwoicie wielkiego biurka, zwracając się do prefektów i starszych centurionów, kiedy Wespazjana i Magnusa wprowadzano do reprezentacyjnej sali. Wódz zarekwirował dla siebie najbardziej imponujący budynek w mieście. – Po takim wyczerpującym zwycięstwie zasługują na odpoczynek i odzyskanie sił. Nie będzie defilad ani ćwiczeń, daruje się przydzielone za karę prace cywilne i wycofa wszystkie nierozstrzygnięte oskarżenia o łamanie dyscypliny, podwoi racje jedzenia i wina, ograniczy do minimum straże i patrole. – Jeśli Pelignus oczekiwał, że oficerowie z aplauzem przyjmą ten wyrażający wrażliwość stosunek do rozszalałych żołnierzy, to bardzo się pomylił: oświadczenie to bowiem spotkało się z ledwie skrywanym niesmakiem, dotyczącym zarówno jego rozkazów, jak i wyglądu. Nie zauważając drwiących spojrzeń, wstał, oparł na biurku pięści i wysunął brodę w kierunku podkomendnych. – Jakieś pytania? – rzucił.

– Tak, prokuratorze – warknął łysiejący prefekt piechoty, występując przed szereg i stając na baczność.

Pelignus westchnął z irytacją.

– O co chodzi tym razem, Manniuszu?

– W jaki sposób mają moi centurioni i ich zastępcy utrzymać dyscyplinę,

skoro chcesz darować kary i wycofać oskarżenia tylko dlatego, że zajęliśmy to miasto?

– To znakomite zwycięstwo.

Manniusz nie potrafił się dłużej kontrolować.

– Nie, prokuratorze, wcale tak nie jest. Moja babka z grupą innych osiemdziesięcioletnich staruszek mogły zdobyć to miejsce uzbrojone jedynie w kądziele. Gdzie był tu jakiś garnizon obronny? Gdzie są ciała jego żołnierzy, teraz, kiedy już pokonaliśmy mury i wpadliśmy do środka przez bramy? Chyba widzielibyśmy martwych mężczyzn w jakichś mundurach, w zbrojach i hełmach?

– Strzelano do nas z łuków, mężczyźni ciskali oszczepy!

– Straż obywatelska! – ryknął Manniusz. – Hałastra niezdolna do niczego poza rzuceniem kilku patyków i odważną ucieczką, by dać się schwytać i zarznąć w zaułkach. Nawet bramy przed nami otworzyli; ale ty nie odwołałeś żołnierzy. A teraz chcesz zagrozić spoiście naszych kohort, wynagradzając gwałt i rzeź, podczas gdy największym dla nich zagrożeniem było dostać oszczepem w dupę od idącego z tyłu kamrata, który potknął się o spitego do nieprzytomności kolegę. Mam raport o jednym przypadku śmierci w mojej kohorcie i dotyczy on jakiegoś głupka, któremu odgryziono fiuta i wykrwawił się na śmierć.

Przez dłuższą chwilę Pelignus otwierał i zamykał usta w niemej wściekłości na tę przemowę.

– Jak śmiesz na mnie krzyżeć, prefekcie! – wydusił wreszcie. – Jestem przyjacielem cesarza.

– Nie, Pelignusie, jesteś tylko obiektem cesarskich drwin, tak samo jak i naszych.

– Myślę, Pelignusie – odezwał się Wespazjan pojednawczym tonem, wchodząc dalej w głąb sali – że powinniśmy usiąść i spokojnie i logicznie rozważyć sytuację.

Jednak Pelignus jeszcze nie ochłonął.

– A co ci daje prawo wchodzić tutaj bez zaproszenia i mówić mi, co mam robić? – rzucił.

– Wojskowe doświadczenie, Pelignusie. Coś, czego tobie najwyraźniej brakuje, a co Manniusz łagodnie i uprzejmie próbował ci wyjaśnić. A teraz siadaj. – Spiorunował wzrokiem prokuratora, który usiadł wreszcie, starając się zachować godność. – Doskonale. A teraz mnie wysłuchaj: prefekt ma rację. Nie da się dzisiejszej farsy nazwać wspaniałym zwycięstwem, Pelignusie; dlatego też żołnierze nie zasługują na dwa dni odpoczynku ani na całą resztę tych bzdur, jakie wymieniłeś, bez wątpienia ku sporej uciesze słuchaczy. Proponuję, byś natychmiast zdyscyplinował ludzi, wyprowadził ich z miasta, kazał zbudować obóz i dał im tę noc na wytrzeźwienie, zanim rano wyruszą do Tigranocerty. A teraz każ ogołocić ten dom ze wszystkiego, co ma jakąś wartość, załadować to na wozy, żebyś mógł

rozpocząć spłacanie długów, jakimi obciążył cię twój *przyjaciel* cesarz, kiedy starałeś się wkupić w jego łaski, grając z nim w kości.

Na twarz Pelignusa wypełził paskudny szyderczy uśmiech.

– To już się dzieje, Wespazjanie, podobnie zresztą jak i w innych dobrze wyposażonych domach. Dlatego właśnie potrzebuję tych dwóch dni.

– Nie masz dwóch dni. Sugeruję, byś wyruszył jutro.

– To ja tutaj rozkazuję!

– Nie, Pelignusie. Tobie przypada chwała i łupy – oświadczył Wespazjan. Odwrócił się do członków sztabu, którzy patrzyli zdumieni, że człowiek, którego obecność w tej wyprawie ledwie zauważali, posiada taką władzę nad ich dowódcą.

– Wy, panowie, z pewnością również uważacie, że mądrzej jest wyruszyć o świcie, niż pozwolić, by w najbliższe dwa dni wasi ludzie stracili wszelkie poczucie dyscypliny.

– Zgadza się – odparł prefekt piechoty.

Jego koledzy skinęli w milczeniu głowami.

Wespazjan wyszedł na taras, zwracając oczy na północ, ku sercu Armenii.

– Wyślijcie patrole szeroko wzdłuż granicy, żeby poruszały się równoległe z nami, kiedy będziemy szli na wschód. Mają zachować rozsądek i nie wkraczać na terytorium Partii.

– Tak jest – powiedział Manniusz, marszcząc brwi. – Ale z czyjego upoważnienia przejmujesz dowództwo?

– Nie przejmuję dowództwa, prefekcie, nawet mnie tutaj nie ma... oficjalnie. Ja tylko zgłaszam sugestie, które Pelignus bez wątpienia podejmie. Mam rację, Pelignusie?

Prokurator nie zaprzeczył.

– Doskonale. Dopilnujcie, by patrole wyruszyły, i wprowadźcie porządek w szeregach. Dokonajcie kilku egzekucji, żeby otrzeźwić innych. A potrzebujemy ich trzeźwych, panowie; ponieważ, kiedy wieści o tym, co się tu dzisiaj wydarzyło, dotrą do partyjskiej armii, która już maszeruje w naszą stronę, to na pewno zwiększy ona tempo. Musimy znaleźć się w bezpiecznych murach Tigranocerty, kiedy oni tu dotrą, w przeciwnym razie zetkniemy się na polu bitwy z przeważającymi siłami i prawdopodobnie wkrótce będziemy martwi. – Wespazjan uśmiechnął się, widząc konsternację w oczach słuchaczy. – Tak, panowie, wiem. Mury Tigranocerty nie zostały odbudowane od czasu ostatniej wojny partyjskiej, bo taki był warunek traktatu pokojowego. Jednak ten sam traktat stanowił, że Rzym nie wprowadzi żadnego wojska do Armenii. Coś, o czym Pelignus nie pomyślał, bo tak mu się spieszyło, żeby zasłużyć sobie na łaskę cesarza i przywrócić tu rzymskie wpływy.

– Powiedziałeś mi, że mam to zrobić! – wrzasnął garbus, wymierzając oskarżycielsko w Wespazjana trzęsący się palec.

– Nie, Pelignusie, ja jedynie zauważyłem, że skoro w zależnym od nas królestwie Armenii trwa okres destabilizacji, to może byłoby mądrze mieć oko na jej południową granicę z Partią. Nie jestem prokuratorem Kapadocji, nie miałem władzy, by dokonać najazdu, bo właśnie z tym mamy do czynienia, prawda? Ty wydałeś taki rozkaz, ty zebrałeś wojsko i ty je poprowadziłeś. Dlatego proponuję, żebyś, złamawszy traktat z Partią, obsadził wojskiem Tigranocertę i nie pozwolił, by wpadła w ręce naszego starego wroga. Jeśli tego nie zrobisz, pozostanie ci tylko wrócić do Kapadocji po szturchnięciu partyjskiej bestii i podarowaniu jej pretekstu do wkroczenia na teren niebronionej Armenii. Nawet twoje bliskie stosunki z cesarzem nie wyciągną cię z tego bałaganu. – Wespazjan skierował się ku wyjściu. – Radzę, byś wziął się do roboty, Pelignusie – rzucił na pożegnanie.

– Czy kiedyś mi wyjaśnisz, co starasz się osiągnąć? – syknął Wespazjanowi do ucha Magnus, wychodząc za nim z sali.

– Tak – odparł krótko jego towarzysz.

– Kiedy?

Szli w milczeniu korytarzem, mijając grupy niewolników, którzy pod nadzorem kwatermistrzów odzierali budynek ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Wespazjan cmoknął z żalem, widząc, jak łatwo Pelignus się bogaci, wiedział jednak, że taką cenę trzeba zapłacić za szaleństwo prokuratora, które pozwoli zaspokoić ambicje Tryfeny w Armenii. Poza tym nie będzie długo się cieszył świeżo zdobytym bogactwem. Istotne natomiast było to, że chciwość i próżność Pelignusa skłoniły go do złupienia spokojnego miasta, należącego do królestwa pozostającego w sojuszu z Rzymem, czym naruszył traktaty zawarte z Armenią i Partią. Wieści o tej oburzającej zniewadze szybko się rozejdą i ze wszystkich stron przyjdzie potępienie. Jednym pochopnym posunięciem prokurator dał Partii uzasadniony powód do wojny, a jednocześnie dał też Radamistowi powód, żeby odwołał się do cesarza w proteście przeciw bezpodstawnemu atakowi Rzymu.

– Celem Tryfeny jest zapewnić Radamistowi tron Armenii – poinformował przyjaciela Wespazjan.

– W dość dziwny sposób o to się stara, wykorzystując ciebie do przekonania prokuratora rzymskiej prowincji, żeby dokonał najazdu, i to jeszcze z gównianą małą armią.

– Nie przekonałem Pelignusa do żadnego działania, ja tylko sugerowałem. Niemniej ta gówniana mała armia, jak ją nazywasz, uczyniła więcej dla sprawy Tryfeny, niż gdyby ta kobieta miała dziesięć własnych legionów. Kiedy Partia najedzie i zdobędzie Tigranocertę, a potem ruszy, by zająć Artaksatę, Rzym będzie zobowiązany wysłać legiony, bez wątplenia pod dowództwem Korbulona.

– Świetnie, i co z tego?

– Kto wtedy stanie na czele sił oporu Armenii, w sojuszu z naszymi

legionami?

Na twarzy Magnusa zaczęły pojawiać się oznaki zrozumienia.

– Radamist – powiedział powoli. – A kiedy wszystko się skończy, za trzy czy cztery lata, i Partia się wycofa, Radamist pozostanie jako król, ponieważ był naszym sojusznikiem, a o tym, że zamordował Mitrydatesa, dla wygody się zapomni.

– Tak właśnie będzie.

– A Neron, kolejny jej krewny, do tego czasu zostanie już cesarzem i jemu przypadnie chwała za klęskę Partów.

– I bez wątpienia senatorowie, włącznie ze mną, zagłosują za przyznaniem mu imienia *Parthaticus*, po tym jak odbędzie swój triumf.

– A tymczasem mnóstwo ludzi, jak to dziewczę, które widzieliśmy wcześniej, przejdzie męki.

Wespazjan wzruszył ramionami, kiedy szli w dół schodami z bardzo starego dębu.

– Mnie się to też nie podoba, ale co mam zrobić? Jestem w pułapce. Moim zadaniem jest pracować dla Pallasas, by pomóc mu ochronić się przed Agrypiną, i mam też pracować dla Narcyza, by pomóc mu obalić Agrypinę. Ale ostatecznie pracuję dla Tryfeny, która stara się zapewnić bezpieczeństwo Agrypinie, jako matce następnego cesarza, ponieważ jak twierdzi, niezależnie od tego, co Agrypina o mnie myśli, to Neron daje mi największą szansę na rozwój kariery.

– Neron?

– Tak. A wysłuchawszy jej argumentów, musiałem się z nią zgodzić, ale nie z tych powodów, jakie przedstawiła, choć niektóre były całkiem przekonujące.

– Jak niby to, że Neron zostaje cesarzem, miałyby ci pomóc?

Wespazjan pchnął główne drzwi prowadzące na agorę; dym zaszczytał go w oczy i podrapał w gardło. Rzeź wciąż trwała, choć nie dokonywano już jej z taką gorliwością jak wcześniej, ponieważ większość mieszkańców albo zdążyła umknąć, albo nie żyła.

– Trudno to ująć w kategoriach logicznych, bo tak naprawdę to tylko kwestia przecucia... ale bardzo silnego przecucia, opartego na przepowiedniach związanych ze złożonymi przeze mnie ofiarami. Pozwól, że ujmę to w twoim języku: sądząc po tym, na co sobie pozwala z własną matką, przypuszczam, że Neron ma większe od Brytanika szanse na zrobienie burdelu, i to na kurewsko wielką skalę.

Rozdział ósmy

Mimo nadgryzionych murów Tigranocerta, opadająca tarasowato wzdłuż zbocza wysokiego wzgórza, robiła wrażenie. Miasto tworzyły koncentryczne kwadraty, z których każdy kolejny znajdował się wyżej od poprzedniego, a wieńczył królewski pałac o rozmiarach godnych Kaliguli. Z tyłu widniały ośnieżone szczyty gór. Tigranocertę założył król Tigranes Wielki, ponad sto lat wcześniej, kiedy Armenia znajdowała się u szczytu potęgi. Miasto leżało na zachodnim brzegu Tygrysu, naprzeciwko jego zbiegu z jednym z dopływów, zwanym Kentrites. Miało strzec Drogi Królewskiej, biegnącej wschodnim brzegiem Tygrysu, przez Sapphe Bezabde, wąską przełęcz w łańcuchu Masius; następnie przez most na rzece Kentrites, potem skręcała na zachód i prowadziła do Morza Egejskiego. Jednakże armia mogła zejść z tej drogi jeszcze przed mostem i posuwać się z biegiem rzeki na północ, ku sercu Armenii. Aby chronić się przed napadami ze strony większego, ale bardziej podzielonego sąsiada, królestwa Seleucydów, Tigranes zbudował dwa kolejne mosty przez rzekę Tygrys, łączące Tigranocertę z tą drogą. Jeden, ustawiony jeszcze przed ujściem Kentrites i zakrętem Tygrysu o dziewięćdziesiąt stopni na zachód, prowadził na wschodni brzeg, a drugi już za zakolem, na północny. Ze strategicznego punktu widzenia zmuszałoby to Seleucydów do opanowania obydwu mostów, jeśli podążając dalej, chcieliby uniknąć stałego zagrożenia dla swojej jedynej linii dostaw biegnącej przez newralgiczną przełęcz. Nieuniknione długotrwałe oblężenie dawało Tigranesowi czas na zebranie armii i marsz na południe, by odeprzeć najazd Seleucydów. Jednakże ta pozostałość po imperium Aleksandra została rozdarta przez Rzym i Partię, a od czasu powstania tych dwóch potężnych mocarstw Tigranocerta wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk, zajmowana zarówno przez Rzym, jak i Partię, aż do czasu ostatniego porozumienia, kiedy to zwrócono ją Armenii, pod warunkiem że jej mury obronne nie zostaną odbudowane. Teraz właśnie ten warunek łamano, co znacznie przetrzebieni mieszkańcy przyjęli z ulgą.

– Pelignus żalił mi się dziś rano, że jego drogocenne wojsko używane jest, jak to ujął, do „niewolniczej pracy” – powiedział Wespazjan, kiedy wspólnie z Magnusem, piątego dnia po przybyciu, przeprowadzali inspekcję robót przy umocnieniach.

Żołnierze oddziałów posiłkowych pracowali ramię w ramię ze zdolnymi do pracy obywatelami miasta, podczas gdy kobiety i dzieci dostarczały im żywność i wodę.

– Co tylko pokazuje, jak mało wie o żołnierce – stwierdził Magnus, z ustami pełnymi na wpół przeżutej cebuli. – Co mu odpowiedziałeś?

– Zasugerowałem, żeby skierował swoją skargę do oficera dowodzącego, i wskazałem, że kto jak kto, ale on na pewno zostanie wysłuchany.

Magnus parsknął śmiechem, niechcący opluwając kawałkami cebuli łydki klęczącego żołnierza, który starannie dobierał kamienie. Mężczyzna odwrócił się, by obrzucić go wyzwiskami, ale nawet się nie odezwał, kiedy zobaczył, kto jest winowajcą. Od splądrowania Amidy przed dziesięcioma dniami Wespazjan i Magnus wzbudzali ciekawość żołnierzy. Wiedzieli zapewne od jakiegoś gadatliwego centuriona, że to Wespazjan zabronił Pelignusowi dać im dwa dni odpoczynku, że zalecił przeprowadzenie kilku egzekucji, by przywołać resztę ludzi do porządku; ponad dwudziestu straciło w ten sposób życie. To znaczyło, że Wespazjana należy się bać: pozornie nie miał żadnego dowódczego stanowiska, a mimo to mógł nakazać wykonanie egzekucji i cofnąć rozkaz ich dowódcy. Ponieważ byli żołnierzami oddziałów pomocniczych wychowanymi w Kapadocji, żaden nie znał Wespazjana z Rzymu, gdzie kadencja na stanowisku konsula, choć trwająca zaledwie dwa miesiące, sprawiła, że był znany na Forum Romanum, ale nie tutaj, pomiędzy Tygrysem i Eufratem.

Zresztą tożsamość tego człowieka nie była dla żołnierzy najistotniejsza. Dużo bardziej nurtowały ich pytania, po co odbudowują mury obronne miasta i dlaczego mają za nimi czekać na partyjską armię, która według pogłosek zmierza w ich stronę i na pewno znacznie przewyższa liczebnie niewielki rzymski kontyngent, może nawet o dziesięć tysięcy. Nie usłyszeli jednak na nie odpowiedzi, za to centurioni i ich zastępcy zmuszali ich i cywili, by tyrali jeszcze ciężiej, szybciej i dłużej, przeciągając, obrabiając, dźwigając i układając kamienie.

W pięć dni cztery tysiące żołnierzy i mniej więcej tyle samo mieszkańców zdołało całkiem solidnie wypełnić wielkie luki w długich na dwie mile fortyfikacjach, tak że całe miasto znów otaczał dwudziestostopowej wysokości mur. Teraz ludzie pracowali nad mniejszymi uszkodzeniami w nadziei, że zdołają doprowadzić umocnienia do perfekcji, tak by zatrzymały zbliżające się od południa zastępy.

– Potem powiedział – mówił dalej Wespazjan – że powinniśmy przynajmniej zredukować liczbę godzin przeznaczonych na naprawę umocnień z dwunastu do sześciu dziennie.

Magnus podniósł wzrok na górujący nad miastem królewski pałac.

– Więc Pelignus stara się, by żołnierze go lubili? Nie pojmuję, po co sobie zawraca tym głowę. Żaden z nich nigdy nie okaże więcej szacunku temu garbusowi ponad to, co należy mu się z racji stanowiska. I jeszcze ten sposób, w jaki chce zyskać ich sympatię, przez rozluźnienie dyscypliny – prychnął. – To tylko robi z nich słabszych, bardziej niedbałych żołnierzy, a tacy na ogół giną. Komu zależy na popularności wśród martwych?

– Właśnie. Myślę, że gdyby mnie tutaj nie było, Pelignus miałby do obrony Tigranocerty przed Partami cztery tysiące pijanych awanturników.

Magnus zmarszczył brwi.

– O ile dobrze rozumiem, gdyby ciebie tu nie było, nie byłoby nikogo. A ja wciąż próbuję dojść do tego, co my tu w ogóle robimy.

Wespazjan zatrzymał się i osłoniwszy dłonią oczy, spojrział ku południowej stronie. W odległości jakichś trzydziestu mil znajdowała się partyjska satrapia Adiabene, ziemie, które niegdyś należały do Asyrii.

– Jesteśmy tutaj, ponieważ chcemy, żeby Partowie nas zaatakowali. Bo czy słyszano kiedyś o takiej wojnie, w której ktoś kogoś by nie zaatakował?

– Tak, ale dlaczego chcemy, żeby Partowie nas zaatakowali? A jeśli już chcemy, to dlaczego nie sprowadziliśmy tutaj dość żołnierzy, by zrobić z tego porządną walkę?

– Nie chcemy porządnej walki. W takiej walce ginie mnóstwo ludzi.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że mniej naszych chłopców zginie, kiedy przeciwnik będzie miał nad nami przewagę dziesięć do jednego, niż gdybyśmy mieli równe siły?

– Zgadza się.

– W takim razie masz mniejsze pojęcie o żołnierce od Pelignusa.

– To się dopiero okaże – odparł powoli Wespazjan, wyężając wzrok.

Magnus podążył za jego spojrzeniem ku horyzontowi na południu i po chwili sam dostrzegł to, na czym tak był skupiony jego przyjaciel.

– A żeby mnie czyjś fiut popieścił!

– Myślę, że będziemy zbyt zajęci, żeby skorzystać z twojej uprzejmej oferty.

– Wespazjan nie odrywał wzroku od chmury kurzu zamazującej horyzont.

– Chyba masz rację – przyznał Magnus, wpatrując się w burą smugę na czystym błękitnym niebie.

Znieruchomieli i patrzyli w dal, bo chociaż było to jakieś trzydzieści czy czterdzieści mil od nich, to wiedzieli, że tego tumanu nie wzbilo stado bydła czy kupiecka karawana; nie, był na to o wiele za duży, za duży nawet na cały legion czy wręcz dwa. Ten kurz wzbijała nadchodząca wielka armia.

Partowie przybyli, i to wielkimi siłami.

– Powinniśmy natychmiast stąd odejść! – zaskrzeczał Juliusz Pelignus, cofając się gwałtownie, jak uderzony, na widok zbliżającej się hordy.

– Niby dokąd? – spytał Wespazjan. – Mimo że są dwa dni drogi od Tigranocerty, to i tak nas dogonią na terenie otwartym, jeśli tylko zechcą. A jestem pewien, że tak by właśnie było. Ich jazda może się poruszać o wiele szybciej od naszej piechoty. Tutaj jesteśmy bezpieczniejsi. Ciężka jazda im się nie przyda podczas oblężenia, nieważne, ile jej mają, a lekkobrojni konni łucznicy mogą strzelać do nas jedynie z pewnej odległości. Jeśli zaś chodzi o ich piechotę, są to przeważnie ludzie wcieleni siłą, traktowani niewiele lepiej od niewolników, i ci woleliby znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Pelignus podniósł wzrok na Wespazjana. Mrugał szybko, jakby wpadły mu

jakieś pyłki do oczu.

– Ale przecież oni nas tutaj zaleją.

– Niby jak? Mamy dość ludzi na obsadzenie murów, szczególnie że zostały odbudowane. To, że jest ich takie mrowie, nie ma większego znaczenia. Prawdę mówiąc, nawet nam pomoże.

– Pomoże?

– Oczywiście, Pelignusie. Bo jak wykarmią taką wielką armię? Zboże jeszcze nawet nie weszło, nie będą mogli zatrzymać się tutaj na dłużej jak pół miesiąca. W związku z czym sugeruję, byś wykorzystał czas przed ich przybyciem i wysłał grupy zaopatrzeniowe, które zbiorą wszystko, co nadaje się do jedzenia w promieniu dziesięciu mil, i złożą to tutaj, wewnątrz murów. Każ też sprawdzić, czy wszystkie zbiorniki na wodę są pełne.

– I tak wciąż uważam, że powinniśmy się stąd wynosić.

– A ja proponuję, byście zostali... to znaczy jeśli chcecie przeżyć.

Spojrzenie Pelignusa przesunęło się po twarzach jego prefektów, ludzi doświadczonych w walkach na Wschodzie, a każdy z nich skinął głową, potwierdzając przedstawioną przez Wespazjana ocenę sytuacji.

– Doskonale, przygotowujemy się do oblężenia. Prefekci, wyślijcie grupy zaopatrzeniowe. Tyłu ludzi, ile tylko możemy zwolnić od końcowych prac przy murach. I niech rada miejska zatrzyma każdego, kto może być podejrzany o partyjskie czy antyrzymskie przekonania.

– To bardzo mądra decyzja, prokuratorze – powiedział Wespazjan bez odrobiny ironii.

Dwa dni później całą długość przełęczy Sapphe Bezabde wypełnili ludzie i konie; jednakże tym razem te zastępy nie były już ciemną plamą na krajobrazie, tylko różnorodną mozaiką. Ludzie i zwierzęta mienili się wszystkimi możliwymi barwami i odcieniami, zupełnie jakby należeli do armii, w której rażąca jaskrawość koloru równała się waleczności. Powiewały proporce z podobiznami nieznanymi zwierząt, przydając jeszcze więcej kolorytu i sprawiając na Wespazjanie, który już widział stroje wielu stających do walki ludów, wrażenie, że oto ma do czynienia z całkowicie obcą kulturą.

Żołnierze tkwiący na murach Tigranocerty w obowiązkowych rdzawych tunikach i wypolerowanych kolczugach wyglądali bezbarwnie w porównaniu z nadchodzącymi nieprzyjaciółmi. Z posępными, nieruchomymi twarzami patrzyli, jak grupa kilkunastu jeźdźców przejeżdża most ze wschodu na zachód i z gałązką oliwną podąża łagodnym zboczem pod górę, ku głównej bramie. Obok każdego z nich biegł niewolnik, trzymając parasol nad głową jeźdźcy, chociaż słońce nie zdążyło jeszcze się przedrzeć przez chmury.

Wespazjan stał obok Magnusa, z Pelignusem i jego prefektami, na murze obok bramy, kiedy poselstwo ustawiło się w odległości rzutu kamieniem; szereg

brodatych, szlachetnie urodzonych mężczyzn, w bajecznie ozdobionych szatach, na okrytych niewiele skromniejszymi czaprakami wierzchowcach. Wielkiej wartości brosze ze szlachetnych kamieni osadzonych w obrobionym złocie spinały jaskrawe, obszyte srebrną nicią płaszcze jeźdźców. Narzucono je na tuniki zdobione bogatym haftem, którego wykonanie musiało zająć wprawnej niewolnicy wiele miesięcy. Spodnie w kontrastujących kolorach mieli wciśnięte w sięgające prawie do kolan buty z miękkiej czerwonej albo ciemnobrązowej skóry. Ciemne oczy spoglądały poważnie spod farbowanych czy czernionych henną brwi, pasujących do spiczasto zakończonych, misternie fryzowanych bród. Imponującą delegację Partów wieńczyły, w sensie dosłownym, nakrycia głów obsypane perłami i bursztynem, i do tego ozdobione złotą nicią.

– Ten to nie może tak po prostu wyskoczyć sobie rano z łoża – mruknął Magnus, kiedy jeden z mężczyzn, najbardziej wymyślnie odziany, z jaskrawoczerwoną brodą, podjechał bliżej, by przemówić do ludzi na murach.

– Jestem Babak, satrapa Niniwy! – zawołał płynną greką. – Oczy, uszy i głos króla Izatesa bar Monobazusa z Adiabene, podległego Wologazesowi, Wielkiemu Królowi wszystkich królów Imperium Partyjskiego. Do kogo się zwracam?

Pelignus wypiął kurzą klatkę piersiową i ruszył do przodu, przy czym odruchowo zerknął na Wespazjana, który skinął przyzwalająco głową.

– Ja, Juliusz Pelignus, prokurator Kapadocji, tutaj dowodzący! – zawołał żalną greką Pelignus. – Chcesz czego, Babaku, Niniwo satrapy?

Jeśli satrapę zaskoczył niski poziom Pelignusowej greki, to był zbyt dobrze wychowany, by dać to po sobie pokazać; teraz Wespazjan zrozumiał, dlaczego prokurator zwracał się do żołnierzy po łacinie.

Babak wskazał ręką odbudowane mury.

– Wieści, jakie mi przyniesiono, nie były bezpodstawne.

Przez chwilę Pelignus wyglądał niepewnie, próbując sobie przełożyć w głowie to, co usłyszał; potem oczy mu rozblęły.

– Jakie wieści do przyniesienia były ci podstawne? – zapytał.

Babak zmarszczył czoło i podniósł rękę, nakazując ciszę, kiedy towarzyszący mu wielmoże zaczęli szeptać między sobą.

– Nie przynoszę żadnych wieści, Pelignusie, jedynie prośbę. Rozbierzcie to, co wybudowaliście, i zdrowi i cali wracajcie do Kapadocji.

Najwyraźniej ta wypowiedź była dla Pelignusa zbyt skomplikowana i kiedy tak wysiłał się, by coś pojąć, Wespazjan wysunął się do przodu, by przejąć negocjacje, zanim prokurator popełni jakiś katastrofalny błąd w przekładzie.

– Znakomity Babaku, satrapo Niniwy, mogę mówić w imieniu wszystkich bez obawy o nieporozumienie. Jesteśmy tu, by strzec granicy podległej cesarzowi Armenii, w czasie trwającej niepewności.

– Odbudowaliście mury Tigranocerty, co do tego nie ma żadnej niepewności.

Tak jak i do tego, że stoi to jednoznacznie w sprzeczności z zawartym między nami traktatem. Zatem muszę was prosić o usunięcie tego, co zrobiliście, i odejście stąd.

– A jeśli my odejdziemy, Babaku, to czy ty też odejdiesz ze swoją armią, czy pozostaniesz tutaj, by narzucić wolę swojego pana tej krainie i związać ją ściślej z Partią?

– Chociaż mój pan Izates przeszedł niedawno na judaizm, ja pozostaję wyznawcą Assura, prawowitego boga Asyrii, i dalej zwalczam *hitu*, fałsz, za pomocą *kettu*, czyli prawdy. Nie splamię honoru ani Pana Assura, ani własnego, ani twojego, Rzymianinie, kłamstwem. Nie, nie odejdziemy stąd. Obsadzimy Tigranocertę wojskiem, a potem ruszymy do Artaksaty, skąd usuniemy tego Radamista i zastąpimy go Tiridatesem, młodszym bratem Króla Królów Wologazesa, jak on sam nam rozkazał.

Wespazjan uśmiechnął się w duchu, słysząc, jak dokładnie Tryfena przewidziała przebieg wypadków.

– Dziękuję za szczerość, Babaku. Jestem pewien, że zrozumiesz nasze stanowisko. Jeśli ty nie odejdiesz, to my również nie możemy tego zrobić, dopóki honorowi nie stanie się zadość. Natomiast, Babaku, my nie rzucimy pierwszego oszczepu ani nie wypuścimy pierwszej strzały.

Babak kiwnął głową, jakby nie zdziwiła go ta odpowiedź; bawił się skręcaniem czubka brody.

– Niech więc tak będzie, honorowi stanie się zadość. Przebiorę się zatem do bitwy.

Sprawnym szarpnięciem wodzy zawrócił rumaka i ruszył galopem w dół zbocza; jego orszak podążył za nim, pozostawiając z tyłu biegnących truchtem niewolników z parasolami. Towarzyszył im akompaniament szyderczych okrzyków stojących na kamiennych murach Tigranocerty żołnierzy rzymskich oddziałów pomocniczych.

– Cóż, to mu dało niezłego kopa – zauważył Magnus, kiedy ze strony partyjskich zastępów dobiegł ich przenikliwy dźwięk rogów. – Pognał z podwiniętym ogonem, żeby zmienić strój, na pewno już dzisiaj czwarty raz.

– Co to znaczy, że honorowi stanie się zadość, Wespazjanie? Na co nas skazałeś? – zasyczał Pelignus, którego greka najwyraźniej wystarczyła, by zrozumieć ten zwrot.

– Nic, z czym nie potrafimy sobie poradzić, prokuratorze. Sugeruję, byś rozkazał swoim prefektom postawić ludzi w stan gotowości, zebrać straż obywatelską i rozdać jej łuki oraz oszczepy.

– Lepiej zrób to sam, skoro to wszystko są twoje sugestie – odparł Pelignus i oddalił się z podejrzliwym wyrazem twarzy.

Wespazjan przywołał prefektów.

– Panowie, nasz szacowny prokurator mnie pozostawił wydanie dyspozycji,

co w tych okolicznościach wydaje mi się mądrą i dalekowzroczną decyzją.

– Dlatego, że nie ma pojęcia, co trzeba zrobić? – zapytał prefekt Manniusz.

– On sam najlepiej potrafi ocenić własne możliwości – powiedział Wespazjan, powstrzymując uśmiech. – Manniuszu, twoja pierwsza kohorta *Bosporanorum* obsadzi południowy mur. – Popatrzył na pozostałych czterech prefektów. – Skapula wschodni, Bassos zachodni, Kotta północny, a ty, Fregallanosie, zatrzymasz swoich chłopców jako rezerwę. Wszyscy ustawicie na murach balisty, dobrze je tam przymocujcie... nie będzie potrzeby ich rozmontowywać, bo kiedy odejdziemy, nie zabierzemy ich ze sobą.

– Kiedy odejdziemy? – zdziwił się prefekt piechoty.

– Tak, Manniuszu, kiedy odejdziemy. – Ton głosu Wespazjana wykluczał jakąkolwiek dalszą dyskusję na ten temat. – Podzielicie straż obywatelską równo między siebie do czasu, aż się zorientujemy, którym murem Partowie poświęcą szczególną uwagę.

– Przy tak liczebnej armii na pewno wszystkim jednocześnie – zauważył kwaśno Fregallanos, weteran o wyniszczonej twarzy i nosie, który wyglądał, jakby zajmował jej połowę.

Wespazjan obdarzył go łagodnym uśmiechem.

– Zatem przydzielenie ich po równo do wszystkich odcinków murów jest właściwą decyzją – powiedział. Spojrzał na południe, w stronę nieprzyjaciela; panował tam duży ruch, bo jednostki lekkiej i ciężkiej jazdy rozeszły się na boki, a za nimi podążyły dziesiątki krytych wozów. – Proponuję, panowie, byście połowie ludzi kazali odpoczywać, a drugiej pełnić służbę wartowniczą i zmieniać ich co cztery godziny. Niech kobiety ustawią kuchnie co dwieście kroków, podtrzymując ogień przez cały czas, w dzień i w nocy. Nie chcę, by żołnierze narzekali, że muszą walczyć o pustym żołądku. I niech miejscowi chłopcy i starsi mężczyźni będą gotowi do walki z pożarami, bo Babak z pewnością postara się, żeby było nam gorąco. Bylibyśmy gburami, nie odwzajemniając tej uprzejmości, kaźcie zatem rozgrzać jak najwięcej oliwy i piasku, na wypadek gdyby próbowali pokonać mury.

Pięciu prefektów zasalutowało, nieszczególnie entuzjastycznie, ale Wespazjan uznał, że zrobią, co należy. Dołączył do Magnusa, który obserwował ruchy partyjskiej armii. Jazda wciąż rozdzielala się na dwie strony, ale nie próbowała otoczyć miasta pierścieniem. Jedna kolumna przeprowała się przez most na zachodni brzeg, po czym jeźdźcy zsiadli z koni i zaczęli rozstawiać namioty, ustawiając kryte wozy na trawiastym wzgórzu, położonym milę na południe od miasta, podczas gdy druga kolumna skierowała się na północ, mijając Tigranocertę i posuwając się wzdłuż rzeki Kentrites ku przełęczu w następnym paśmie górskim, odległej o jakieś pięćdziesiąt mil, prowadzącej do jeziora Tospitis i serca Armenii.

– Wydaje się, że Babak nie zamierza wykorzystywać konnicy – zauważył

Magnus, kiedy kolejni jeźdźcy znikali na północy.

– Myślę, że wkrótce się dowiemy dlaczego – odparł Wespazjan, wytężając wzrok. – Prawdę mówiąc, już to widzę.

Magnus zmrużył oczy, osłaniając je dłonią. Ostatni jeźdźcy opuszczali już przełęcz, pozostawiając na miejscu piechotę, której liczba była kilkakrotnie wyższa od liczby obrońców, a mieli jeszcze ze sobą tyle samo niewolników.

– A żeby mnie czyjś fiut popieścił! – rzucił.

Tak jak i poprzednio Wespazjan nie skorzystał z propozycji.

Przez resztę dnia partyjska piechota i niewolnicy przechodzili przez most na zachodni brzeg i roili się jak mrówki wokół murów Tigranocerty, w zasięgu strzał z łuku i pocisków balist, które już wczesnym popołudniem znalazły się na murach gotowe do użycia. Jednakże Wespazjan dotrzymał słowa i nie wydał rozkazu strzelania; wiedział, że dla Tryfeny jest niezwykle ważne, by Rzym nie był postrzegany jako agresor, a im więcej myślał o jej planie, tym bardziej mu zależało, żeby doprowadzić go do szczęśliwego końca.

Kiedy ostatnie siły partyjskie przeszły przez most, zniszczono jego dwa ostatnie przęsła.

– Cóż, intencje Babaka są oczywiste – skomentował to Wespazjan. – Nie zamierza dać swoim ludziom szansy ucieczki. Doskonale.

– Trzeba było utrzymać ten most – rzucił Magnus z ponurą miną.

Wespazjan obstawał przy swoim.

– Próbuję wszystko przeprowadzić przy jak najmniejszych stratach w ludziach. Wcześniej czy później ich ciężka jazda przeprawiłaby się przez rzekę, a potem lekka rozniosłaby naszych wycofujących się chłopców, zanim zdołaliby dotrzeć do miasta. Teraz mamy podobną sytuację: oblężenie, ale bez naszych wcześniejszych strat. Bardzo się cieszę, widząc, jak tamci zajmują pozycje.

I tak niezagrożeni Partowie przygotowywali się do oblężenia. Kiedy zapadła noc, rozbłysły tysiące pochodni i dalej prowadzili ciężkie roboty w złocistym kręgu światła otaczającym miasto. Poganiani wrzaskiem swoich oficerów albo biczami nadzorców nieustannie niwelowali teren, kopali rowy i wznosili nasypy, podczas gdy czuwający na murach wartownicy tylko patrzyli, a ich oświetlone migotliwym światłem twarze wyrażały przekonanie, że cała ta praca nieprzyjaciół na nic się nie zda.

Wespazjan poszedł się przespać w komnacie pałacu, wiedząc, że w najbliższych dniach będzie miał bardzo niewiele czasu na sen. Kiedy o świcie następnego dnia Hormus przyniósł mu kielich parującego wina, wstał i włożył zbroję. Czuł się wypoczęty i był gotowy stawić czoło nadchodzącym trudom. Popijając poranny napój, rozsunał zasłony i wyszedł na taras, z którego rozciągał się widok na południe; prześlizgnął się spojrzeniem po płaszczyźnie dachów, przerywanej ulicami i zaułkami, po murach obsadzonych machinami wojennymi

i strażami, i zatrzymał je na rezultacie trwającej dzień i noc nieprzerwanej pracy Partów. Ten widok zaparł mu dech: całe miasto otaczała wyżłobiona w zielonej trawie brązowa bruzda. Jednak zdumiała go nie skala robót ani też szybkość jej wykonania, ani nawet tysiące oczekujących w dole żołnierzy, tylko to, co zobaczył jeszcze dalej. Dziesiątki machin obłęźniczych, rozebranych do transportu, teraz, w narastającym świetle dnia, składali niewolnicy. Nie były to jednak lekkie carobalisty, które mieściły się na zaprzężonych w muły wozach, używanych podczas marszu przez żołnierzy wojsk pomocniczych. Te były o wiele cięższe. Ramiona przysadzistych i masywnych onagerów, wierzgających jak muły, od których wzięły nazwę, miały ogromne kamienie rozbijające mury. Było tam coś więcej, o ile można było wierzyć informacjom Tryfeny, coś o wiele bardziej przerażającego; broń Wschodu, o której Wespazjan słyszał, ale której zastosowania nigdy nie widział. Jedno spojrzenie na sterty glinianych garnków obok stosów zaokrąglonych kamiennych pocisków ułożonych za tymi złowrogimi machinami wystarczyło mu, by wiedzieć, że już wkrótce będzie świadkiem niszczącej siły tej dziwnej substancji nazwanej od Apama Napata, trzeciego i najmniej ważnego bóstwa spośród trójcy występującej w zaratustriańskiej religii Partów; pozostałymi dwoma byli Mitra i Ahura Mazda, niestworzony stwórca.

– Zapakuj wszystkie rzeczy, Hormusie – polecił niewolnikowi Wespazjan, ostrożnie biorąc do ust łyk gorącego wina. – Przy tym, co mają tam na dole, honorowi stanie się zadość wcześniej, niż sądziłem.

– Panie?

– Możliwe, że będziemy opuszczać to miejsce w pośpiechu. – Wespazjan przyjrzał się majestatycznym górą tworzącym naturalną barierę pomiędzy Armenią i partyjskim imperium. – Co za szkoda... to taki piękny kraj, nie uważasz, Hormusie?

Niewolnik pogłodził rzadką brodę, która zakrywała, niezbyt skutecznie, wystający podbródek i przyjrzał się krajobrazowi, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, ponieważ pan rzadko go pytał o opinię dotyczącą estetyki, chyba że za taką uznać kolejność przyjmowania klientów.

– Skoro tak mówisz, panie.

Wespazjan zmarszczył brwi.

– Owszem, tak mówię, ale ty powinieneś mieć własne zdanie na ten temat, a nie wierzyć mi na słowo. – Wyciągnął ramię, wskazując otaczające ich naturalne piękno, którego nie psuła mało istotna i ledwie zauważalna skaza będąca wynikiem wojowniczości człowieka. – To powinno do ciebie przemawiać, Hormusie. Ostatecznie twoja rodzina pochodziła gdzieś stąd... powiedziałaś mi, że z Armenii, prawda?

Hormus uśmiechnął się słabo.

– Skądś *blisko* Armenii, panie, ale nie wiem skąd. Matka nazwała to miejsce

w jej języku, ale kiedy umarła, zapomniałem ten język, bo nie był mi już potrzebny, a razem z nim zapomniałem nazwę swojej ziemi.

– Przypomni ci się, kiedy znowu ją usłyszysz – zapewnił go Wespazjan, mając nadzieję, że się jednak myli; nie chciał, by Hormus miał poczucie przynależności, wolał, by jego niewolnik był uległy i cichy... no może niekoniecznie cichy.

Usłyszeli drapanie do drzwi i niewolnik ruszył przez komnatę, a jego kroki tłumili wspaniałe kobierce w odcieniach głębokiej czerwieni, błękitu i brązu, którymi zarzucono posadzkę.

– Chodź, panie! – zawołał Magnus, kiedy drzwi się otworzyły; miał na sobie kolczugę, jaką nosili żołnierze oddziałów pomocniczych. – Pelignus zobaczył, że Partowie mają kilka solidnych machin oblężniczych, i nie ma już ochoty dłużej się bawić, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Wiem. Gdzie teraz jest?

– Manniusz go przyłapał, kiedy próbował się wyslizgnąć przez bramę, i zabrał do wartowni.

– Nie macie prawa mnie przetrzymywać! – wrzasnął piskliwie Pelignus, kiedy Manniusz wprowadził Wespazjana i Magnusa do małego pomieszczenia, w którym trzymano nominalnego dowódcę wyprawy wojennej.

Bez zwłoki Wespazjan wymierzył mu policzek, jakby karał krnąbrną niewolnicę.

– Posłuchaj mnie teraz, pazerny mały robaku, zrobię z tobą wszystko, co zechcę, jeśli ponownie spróbujesz pójść do nieprzyjaciół. Może nawet powieszę cię na krzyżu i sprawdzę, czy to nie wyprostuje ci pleców.

– Nie możesz tego zrobić! Jestem obywatelem.

– Postaram się zapomnieć o tym, tak jak ty najwyraźniej zapominasz, wobec kogo powinieneś być lojalny. Co takiego próbowałeś osiągnąć?

Pelignus pomasował policzek, na którym pojawiła się czerwona pręga.

– Chciałem nas ratować. Są ich tysiące i mają ogromne maszyny.

– Oczywiście, że mają, ale czy mogą ich użyć?

Wespazjan chwycił prokuratora za ramię i wywlókł go na zewnątrz, obok stojących przy drzwiach wartowników, którzy nie potrafili ukryć rozbawienia tym widokiem, a potem po kamiennych schodkach obok bramy, prowadzących na pomost biegnący wzdłuż zębatego zwieńczenia murów. Magnus i Manniusz ruszyli za nimi, a prefekt zdążył jeszcze zrugać wartowników za nieokazanie należytego szacunku oficerowi.

Wespazjan chwycił brutalnie Pelignusa za podbródek, zmuszając go, by spojrzał przez prześwit pomiędzy zębami zwieńczenia na nieprzyjacielskie linie.

– Widzisz, prokuratorze, rzeczywiście są ich tysiące, wszyscy wcieleni siłą. Nie mają żadnego przygotowania, pokazano im tylko, który koniec strzały czy

oszczepu należy kierować w stronę nieprzyjaciela. Może i robią wrażenie swoim wyglądem, ale są niczym w porównaniu z naszymi chłopcami; to tylko zwykła zbieranina, gnana jak bydło, bez możliwości odwrotu, bo most rozebrano. Najlepsze jednostki tej armii to jazda, z której połowa zniknęła już na północy, a reszta siedzi na tamtym wzgórzu i poza tym, że mogą posyłać w naszą stronę strzały, nie wezmą większego udziału w akcji niż widzowie w Circus Maximus. A jeśli chodzi o ich maszyny, nawet jeśli zrobią w murach wyłom, to kto ruszy tamtędy do ataku? Doborowa partyjska piechota? Elitarne jednostki i gwardia przyboczna są przy swoim Królu Królów. Ten Babak to tylko satrapa podległego tamtemu królikowi, jego piechoty nie musimy się obawiać.

Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, nad partyjską armią poszybowiała w górę pojedyncza strzała, ciągnąc za sobą cienką wstążkę dymu. Z szeregów oblegających miasto rozległ się potężny ryk i tysiące łuczników puściło cięciwy. Kiedy niebo pociemniało od chmury strzał, Wespazjan już wiedział, że za chwilę prawdziwość jego słów zostanie zweryfikowana.

Partowie przypuścili atak na Tigranocertę.

Rozdział dziewiąty

Strzały o żelaznych grotach grzechotały nieprzerwanie i sypały iskrami, uderzając o mur, pomost i brukowaną nawierzchnię uliczek w dole. Ten grad był śmiertelny jedynie dla garstki lekkomyślnych, którym zachciało się obserwować lot pocisków, a na tyle przy tym pechowych, że trafiono ich prosto w oko czy gardło. Dla reszty załogi obecnej na murach te pierwsze serie były jedynie irytujące. Zanim strzały doleciały do miasta, traciły moc i chociaż ich liczba i wydawany po drodze dźwięk mogły wzbudzać trwogę, nie czyniły większych szkód. Mieszkańcom miasta w ogóle nie zagrażały, bo bardzo niewiele z nich docierało dalej niż dziesięć kroków za murem.

Jednakże Babak nie zamierzał siać śmierci strzałami z łuków zagnanych tu brańców, one miały zachować tych ludzi przy życiu do chwili, kiedy uzna, że należy ich wykorzystać. Wypuszczali strzały, od przypadku do przypadku, w swoim własnym rytmie; nieustannie popychano ich, do przodu i tylko ci odważniejsi szli z własnej woli, większość trzeba było poganiać batogami, czubkami oszczepów i oficerskich mieczy. I wtedy też zaczęła ustawiać się jazda, tworząc długie szeregi konnych łuczników i głębokie kolumny ustawionych w bardziej ścisłym szyku włóczników. Wespazjan, bezpieczny na osłoniętym pomoście, wciąż trzymając za kark Pelignusa, wyjrzał przez szczelinę pomiędzy zębami zwieńczenia murów i natychmiast się zorientował, co robią jeźdźcy po opuszczeniu końskich grzbietów. Tak jak i Babak, przebierali się do bitwy. Zniknęły jaskrawe spodnie, haftowane tuniki, wyszukane nakrycia głowy i krzykliwe czapaki, a pojawiły się wypolerowane żelazo i brąz, zbroje płytowe i kolczugi okrywające całe ciała jeźdźców i wierzchy koni, łącznie z łbami. Ponieważ tak opancerzeni daleko by nie ujechali, zbroje transportowano w krytych wozach. Wespazjan słyszał o tych ciężkozbrojnych jeźdźcach, katafraktach, tak obciążonych metalem, że mogli atakować jedynie kłusem, kolano przy kolanie, bez tarcz, spychając wszystkich przed sobą długimi na dwanaście stóp *kontoï*, jednak nie spodziewał się ujrzeć ich tutaj. Co oni mogli osiągnąć na tym wzgórzu, u stóp otoczonego murem miasta?

Już wkrótce miał uzyskać odpowiedź na to pytanie. Teraz przyglądał się, jak tłum brańców pokonuje liczącą dwieście kroków odległość pomiędzy liniami oblężniczymi a murami. Wciąż wyrzucali chmury strzał, jednak ich celność się nie poprawiła; wręcz odwrotnie i teraz jeszcze więcej leciało za wysoko albo trafiało w mury. Łucznicy nie mieli czasu mierzyć do celu, ponieważ teraz nie szli, tylko biegli. Okrzyki wojenne potężniały i nabierały coraz wyższych tonów, wyrażając przerażenie przed czekającym ich losem, które przyćmiło lęk przed pędzącymi ich oficerami.

Wespazjan uniósł głowę i zdążył zerknąć na wschód i na zachód, zanim

zaświstała koło niego przypadkowa strzała, o mało go nie trafiając. Z żadnej z tych stron nie zobaczył żadnego ruchu; atakowany był jedynie mur południowy i szybko zorientował się dlaczego.

– Manniuszu! – zawołał do kryjącego się kilka kroków od niego prefekta. – Tylko my ich interesujemy. Pchnij posłańców na trzy pozostałe odcinki murów, niech przekażą załogom, żeby nie przychodzili nam z pomocą, bo Babak na to właśnie liczy. Mają zostać na miejscu niezależnie od okoliczności. I niech Fregallanos na wszelki wypadek przyprowadzi już na górę połowę swojej rezerwowej kohorty. Na pewno zdążyli podgrzać oliwę i piasek. Aha, i dostarcz nam jakieś tarcze, a nuż się przydadzą – dodał na koniec.

Prefekt uśmiechnął się, słysząc to oględne sformułowanie, i zaczął wydawać rozkazy.

Ulokowani przy południowym murze centurioni i ich zastępcy kazali schylonym za tarczami żołnierzom przygotować się do rzucenia pierwszego z trzech oszczepów. Były lżejsze od wydawanych legionistom *pila*, ale dalekosiężne. Żołnierze zastygli z oszczepami w dłoniach i ponurymi twarzami. Łucznicy straży obywatelskiej, znajdujący się pośród żołnierzy na południowym murze, mierzyli w zbliżającą się zbitą ludzką masę, jednak było ich tak niewiele, że czynili mniej szkód niż tamci, którzy pędzili nieszczęśników do ataku, dźgając mieczami i oszczepami, okładając ich biczami.

Kiedy ta horda znalazła się jakieś sto kroków od muru, katafrakci zaczęli przekraczać linie oblężnicze i rozsypywać się wachlarzem za przymusowymi łucznikami, mając za sobą formującą się lekką jazdę.

– Mają powstrzymać piechotę przed wycofaniem się – domyślił się Wespazjan.

Magnus skierował na niego swoje jedyne oko.

– Że co? Mają zamiar zapędzić ich na mur w nadziei, że go przewalą?

– Nie, widzę tam drabiny, będą próbować się wspinać.

Pelignus zaskowytał, wyrwał się z Wespazjanowego uchwytu i rzucił ku prowadzącym na dół schodkom.

Magnus wykonał ruch, żeby go pochwycić, ale się rozmyślił.

– Akurat na ten właśnie fragment muru? – zapytał.

– Tak, Babak próbuje ściągnąć tutaj naszych żołnierzy z pozostałych odcinków.

– Musi cię brać za głupca.

Wespazjan wysunął *gladius* z pochwy, rozkoszując się jego ciężarem.

– Nie, myśli, że to Pelignus tutaj dowodzi.

Przybiegł młody żołnierz wojsk pomocniczych z trzema tarczami.

– Teraz wystarczą nam dwie, młodzieńcze – oznajmił Magnus, biorąc jedną dla siebie i podając drugą Wespazjanowi. – Prokuratorowi przypomniało się

właśnie, że ma pilną robotę przy biurku.

Wespazjan wyrzął ponownie, kiedy atakujący, już tylko o jakieś pięćdziesiąt kroków od murów, biegli coraz szybciej, a ich okrzyk wojenny brzmiał jak histeryczny wrzask, a nie bojowe wyzwanie. Drabiny były już wyraźnie widoczne, a ostrzał łuczników ustał. Wespazjan naprężył się, wiedząc dobrze, co teraz nastąpi, i zaniósł modlitwę do Marsa, by wziął go pod ochronę i przeprowadził bezpiecznie przez tę pierwszą walkę od powrotu z Brytanii pięć lat wcześniej. Rano, kiedy wkładał zbroję, ze smutkiem zauważył, jak ciasno opinają go jej przednie i tylne płyty, i miał tylko nadzieję, że zwiększona masa ciała go nie spowolni...

– Rzucać! – Krzyk Manniusza przywołał go do rzeczywistości.

Kiedy ten rozkaz powtórzyli centurioni i ich zastępcy ustawieni po obu jego stronach wzdłuż muru, ośmiuset żołnierzy I kohorty *Bosporanorum* wstało i błyskawicznym ruchem cisnęło pierwsze oszczepy w zbitą ciżbę nieposiadających pancerzy i osłoniętych jedynie lekkimi wiklinowymi tarczami Partów. Smukłe pociski o żelaznych czubkach pofrunęły ku łatwemu celowi, jaki stanowili stłoczeni mężczyźni, których zaledwie dwa miesiące wcześniej oderwano od roli i od warsztatów, żeby walczyli za sprawę, której nie rozumieli, przeciwko ludziom, których nie znali. Trafieni ostrym żelazem padali z rozdzierającym krzykiem. Unosili wysoko ramiona, wyginając do tyłu przebite ciała, jakby próbowali wykonać jakąś makabryczną przewrotkę; tryskająca w powietrze krew kreśliła linie naśladujące ruch ich ciał. Z zastygłymi w grymasie bólu twarzami o szeroko rozwartych oczach i obnażonych zębach osuwali się na ziemię i znikali tratowani przez biegnących za nimi stłoczonych ludzi, smaganych i dźganych, których impetu nic nie mogło zatrzymać. Wielu z nich potykało się o drzewce sterczące z ciał rannych i tracąc równowagę, dzieliło los konających na ziemi towarzyszy. Po chwili każdy żołnierz I kohorty po raz drugi odwiódł prawe ramię, w którym trzymał już kolejny oszczep.

Nie zabijali jednak bezkarnie; z oczodołów i gardeł ponad dwudziestu szykujących się do rzutu żołnierzy sterczały pierzaste brzechwy. Jeszcze więcej strzał trafiło w tarcze i tkwiły w nich rozedrgane, podczas gdy inne odbijały się od kolczug, powodując siniaki na ciele. To konni łucznicy przeszli do ataku, a mając wieloletnie doświadczenie z wierzchowcami i bronią, mierzyli celnie. Mimo to ponad siedemset oszczepów uderzyło w zbity tłum brańców dobiegających już do murów. Teraz obrońcy miasta mogli zobaczyć przerożenie wyzierające z twarzy napastników i nabierali otuchy, widząc, jak wdeptywani w ziemię dogorywają w błocie z własnej krwi i uryny. Z bitewnym zapalem żołnierze *Bosporanorum* brali do ręki trzeci i ostatni oszczep.

Tymczasem szybcy konni łucznicy byli już blisko i żołnierze coraz częściej padali jak pociągnięci do tyłu. Niektórzy osuwali się na pomost, inni staczali na ulicę, ze stukotem broni, której nie zdążyli użyć. Jednak większość ich towarzyszy,

cisnąwszy wszystkie oszczepy, wyciągnęła z pochew proste *spathae*. Wtedy uniosły się i oparły o mur dziesiątki drabin. Obrońcy odpychali je pospiesznie, jednak zdawało się, że w miejsce każdej z nich pojawiają się dwie nowe. Jeźdźcy mierzyli z łuków ponad mur i rzadko chybiali. Żołnierze nieustannie kopali i odpychali pojawiające się drabiny, wiedząc, że kiedy obciążą je wielu wspinających się ludzi, ich działanie będzie już nieskuteczne. Coraz więcej obrońców padało z krzykiem trafionych pierzastymi pociskami. Wespazjan i Magnus złączyli siły w rozpaczliwych staraniach zapobieżenia wdarciu się Partów na mury. Chociaż niemal dwa tysiące oszczepów ciśniętych z murów w większości trafiło w cel, liczące kolejne tysiące ludzkie stado parło do przodu, coraz bardziej tłocząc się u podnóża muru, gnane grozą w postaci litej ściany metalu najeżonego grotami włócznie. Ci, którzy mieli katafraktów tuż za plecami, przedzierali się do przodu, ratując przed końskimi kopytami, tak że mężczyźni, którzy byli już u stóp miasta, musieli wybierać pomiędzy pewną śmiercią na dole, kiedy przyparciu do muru zostaną zdruzgotani na miazgę, albo prawdopodobną śmiercią od mieczy żołnierzy znajdujących się dwadzieścia stóp wyżej.

Wybrali to drugie i zaczęli się wspinać po drabinach.

– Gdzie oliwa i piasek? – wrzasnął Wespazjan do Manniusza, próbując zachwiać drabiną, która oparła się z trzaskiem o mur tuż przed nim.

Prefekt ryknął na centuriona, który natychmiast popędził żołnierza schodkami w dół.

Wespazjan zrezygnował z chybotania drabiną, tkwiącą już mocno na murze, obciążoną trzema bezradnymi ludźmi, którzy mogli tylko wdrapywać się wyżej albo spaść; spojrzął w dół na ich przerażone twarze, zacisnął zęby i chwyciwszy mocno rękojeść miecza, cofnął go za tarczę i czekał gotowy. Dwie strzały trafiły w pokryte skórą drewno, gwałtowne uderzenie zmusiło go do napięcia mięśni lewego ramienia; zakołysał barkami, rozluźniając je. Obok siebie usłyszał pomruki Magnusa szykującego się do boju, a jego oczy wpatrzone były w nieprzyjaciół z jednakową intensywnością. Żołnierze z branki parli wyżej i wyżej, naciskani przez napierających z tyłu towarzyszy. Kurczowo zaciskali ręce na szczeblach drabin, które tańczyły rozbujane od nierównomiernych kroków. Na całej długości muru, po obu stronach Wespazjana i Magnusa, mrowie Partów pięło się po niezliczonej liczbie drabin, które wyrastały z ich zbitej masy niczym szczecina porastająca grzbiet rozwścieczonego knura.

– Zatrzymajcie tych drani, chłopcy! – ryknął Wespazjan do ludzi wokół siebie, przekrzykując krzyki i wrzaski.

Kolejna strzała uderzyła w jego tarczę; zaparł się stopami, wysunąwszy lewą nogę do przodu i skuliwszy ramiona, skupił wzrok na szczycie drabiny ledwie wystającej ponad krawędź muru między zębami zwieńczenia. Jego świat skurczył się, kiedy jeszcze bardziej skoncentrował uwagę i po chwili zobaczył nakrycie

głowy pierwszego człowieka na drabinie. Wydając jakiś prymitywny, gardłowy dźwięk, rzucił się do przodu. Czubkiem miecza roztrzaskał zęby brodatego Parta i sięgnął nim aż do gardła. W tej samej chwili, w rozprysku krwi i galaretowatej masy, z prawego oka mężczyzny wyskoczyła strzała. Konni łucznicy nie przejęli się tym, że brańcy dotarli na szczyty drabin.

– Ci kurewscy amatorzy końskich zadów wciąż strzelają! – rzucił wściekle Magnus, kiedy strzała ze świstem przeleciała tuż obok jego ręki z mieczem, którą bez ustanku wykonywał te same dźgające ruchy. – Zabijają własnych ludzi.

– I naszych! – krzyknął Wespazjan i spojrział w lewo, wyciągając miecz z ust martwego Parta i uwalniając ciało, które spadło w dół na byłych już towarzyszy niedoli. Odpychając nieprzyjaciół, żołnierze na murach stawali się widoczni i wielu z nich trafiły strzały. – A mogą sobie pozwolić na stratę dziesięciu swoich, żeby wyeliminować jednego z naszych.

I to była właśnie ta ponura arytmetyka, na której najwyraźniej Babak opierał swój plan; zmusić obrońców do wystawiania się na cel i zasypywać ich gradem ostrego żelaza. Stado brańców potraktowano jako stratę uboczną.

Tarcza Wespazjana dudniła od ciągłych uderzeń, rozbrzmiewała pustym dźwiękiem huczącym mu w uszach. Trzymał ją sztywno i dźgał, i siekł zakrwawionym mieczem Partów, którzy uniknąwszy trafienia strzałą swoich, zdołali dotrzeć do krawędzi muru. Dwadzieścia kroków na prawo od Wespazjana drabiny stały najgęściej; grupie Partów udało się tam utrzymać mały przyczółek i teraz spychali obrońców, tyle że raczej swoją masą, a nie sprawnością czy męstwem. Rykiem wyrażali strach i cięli powstrzymujących ich prawdziwych żołnierzy swoją kiepską bronią, która gięła się albo pękała, natrafiwszy na długie miecze używane w oddziałach pomocniczych. Obrońcy napierali na nich tarczami i ciasna gromada stawała się coraz bardziej zbита, kiedy przybywało Partów na wierzchołkach drabin i pod naciskiem z tyłu mogli tylko z wrzaskiem zeskakiwać w środek zmagania. Zza tarcz obrońców z błyskiem wysuwały się klingi, rozpruwając brzuchy i tnąc tętnice. Stłoczeni Partowie stawali się bezbronni. Wciąż jednak przybywali kolejni. Ginęli zaś w wolniejszym tempie, niż się pojawiali, ich pozycja więc stawała się silniejsza i wkrótce martwi ratowali żywych, ponieważ ich ciała tkwiły w pozycji pionowej, przyciśnięte do tarcz żołnierzy, których miecze nie sięgały już do żywych ludzi. Jakimś cudem gromada Partów posuwała się do przodu i znajdujący się na wprost obrońcy musieli zeskakiwać na bruk, skręcając kostki i łamiąc nogi. Z każdego boku grupy nieprzyjaciół pozostały dwa szeregi po czterech żołnierzy, którzy skuleni napierali na swoje tarcze, starając się powstrzymać wciąż napływającą falę Partów.

– Zostańcie tutaj – rozkazał Wespazjan tym z lewej strony, przekonany, że poradzą sobie z utrzymaniem pozycji. – Magnus, ze mną! – Pognali obaj pomostem, mijając kilkanaście drobnych potyczek, podczas których obrońcy

wyrzucali napastników z powrotem przez szczeliny pomiędzy zębami blanków albo przynajmniej nie pozwalali im się posuwać dalej, i dotarli do miejsca, gdzie pole zmagania stykało się z murem, przez który przelewał się strumień nieprzyjaciół. Strzały przecinały teraz powietrze wyżej, ponieważ dowódcy łuczników zorientowali się, że na tym odcinku muru doszło do największych postępów. Wstrzymano dalsze przetrzebianie stada brańców, żeby nie zmniejszać jego skuteczności, i zaczęto obsypywać miasto strzałami.

– Cofnąć się! – krzyknął Wespazjan do żołnierzy, ciągnąc za barki dwóch z nich. – Cztery kroki do tyłu, żeby mieli trochę przestrzeni.

Żołnierze cofnęli się, choć było to wbrew ich wojskowemu instynktowi, by przeć do przodu, na nieprzyjaciela. Ten nagły brak naporu uwolnił trupy. Osunęły się na ziemię, zostawiając smugi krwi na księżycach i gwiazdach zdobiących tarcze. Odslonięci napastnicy wydali okrzyki radości na widok ustępującego nieprzyjaciela i natychmiast, pchnięci do przodu, potykali się o leżące ciała, padali u stóp żołnierzy i kończyli poszatkwani ich mieczami.

– A teraz naprzód! – ryknął Wespazjan, tak by jego głos nie utonął w mieszaninie rozdzierających krzyków, i wepchnął się do pierwszego szeregu; oczy miał zmrużone, usta rozciągnięte w szaleńczym grymasie. – Magnusie, pozbieraj jak najwięcej ludzi i ruszajcie za nami wypełnić luki!

Wespazjan i jego niewielki oddział przeszli nad trupami i ponieważ nic już ich nie dzieliło od żywych nieprzyjaciół, zamkniętych teraz jak zwierzęta w zagrodzie, rozpoczęli rzeź; tym razem nie naciskali tak mocno, by uniknąć powstania barier ze stojących trupów. Rzymianin raz jeszcze poczuł radość, jaką daje walka mieczem; odbierał życie trzema ruchami, pchnięciem, przekręceniem i wyciągnięciem, stąpał ciężko i walił guzem tarczy. Rozmaite obrzydliwe substancje płynne i półpłynne chlapały mu na nogi, czuł ich ciepło i lepkość pomiędzy palcami stóp. Śmierdziały odrażająco i tworzyły na pomoście niebezpiecznie śliską powierzchnię. Nie ustawali i doprowadzili wielu Partów do tego, że skakali z pomostu. Połamanie kończyn było niczym w porównaniu ze spotkaniem z czterema śmiertelnościami zakrwawionymi klingami, wyskakującymi spomiędzy ciasno ustawionych tarcz. Magnus z kilkoma żołnierzami zajmowali się wyrzucaniem napastników z rozplatanymi gardłami, wykłutymi oczyma i innymi obrażeniami z powrotem na zewnątrz murów. Ich przeraźliwe wycie urywało się dopiero, kiedy opadli na stos ciał.

Żołnierze znajdujący się z przeciwnej strony gromady nieprzyjaciół, nabrawszy otuchy na widok postępu towarzyszy, mocno trzymali tarcze naciskane przez wypatroszone trupy, tworzące barierę niepozwalającą wycofać się nieszczęsnym brańcom, którzy wzywali swoich bogów, obojętnie patrzących, jak życie uchodzi z masakrowanych ciał ich wyznawców.

Wespazjan dyszał wyczerpany, ale zmuszał mięśnie do dalszej pracy, by nie

rezygnować z radości towarzyszącej krwawemu rozprawieniu się z nieprzyjacielem, jakiej dawno nie odczuwał, brodząc w bagnie cesarskiej polityki pośród ludzi, którym nigdy nie zdarzy się żyć tak intensywnie jak on w tej właśnie chwili. Żelazisty zapach krwi, fetor ekskrementów, smród potu i strachu wierciły nozdrza, a szczęk broni, krzyki rannych i konających, zarówno po stronie pokonanych, jak i zwycięzców, dźwięczały w uszach. Uświadomił sobie, że dociera do niego coś więcej: gryzące opary i druzgocące łomoty. Cofnął się, wpuszczając żołnierza z drugiego szeregu na swoje miejsce, i spojrzął w górę. Powietrze przecięło gliniane naczynie, ciągnąc za sobą strumień ognia i smugę czarnego dymu. Podążył za nim wzrokiem i zobaczył, jak uderza w róg dachu na drugim poziomie miasta, wybuchając nawałą płomieni zalewających dachówki i ściany. Kiedy się odwrócił, zobaczył żołnierza wpatzonego w niebo. Niemal w tej samej chwili głowa mężczyzny rozsypała się, rozbryzgując krew, rozsiewając strzępy ciała, mózgu i odłamków kości. Korpus stał prosto przez kilka uderzeń wychlustującego krew serca. Wreszcie wciąż krwawiące, bezgłowe ciało osunęło się na ziemię.

Partyjskie maszyny wojenne włączyły się do bitwy, miotając zarówno ogień, jak i kamienie.

– Co to jest, do kurwy nędzy? – sapnął Magnus, kiedy kolejna płonąca smuga z sykiem przecięła niebo nad ich głowami.

– Olej skalny! – odkrzyknął Wespazjan, wbijając czubek miecza w twarz jednego z ostatnich napastników, jacy jeszcze pozostali na pomoście. Po obu stronach wzdłuż muru walczone w okrutny sposób o powstrzymanie napierającej masy Partów, ale po tak wielkiej dawce przemocy to okrucieństwo wydawało się Wespazjanowi czymś zwyczajnym. – Tryfena mnie przed tym ostrzegała. Powiedziała, że jest to skrzek jakiegoś wschodniego boga słodkiej wody.

– Gówno prawda, skrzek się nie pali, jest składany w wodzie – sprostował Magnus, schylając odruchowo głowę, kiedy poczuł podmuch od przelatującego powyżej dużego pocisku.

Wespazjan zobaczył wreszcie to, na co czekał, i odwrócił się do przyjaciela z uśmiechem na spryskanej krwią twarzy.

– To jest bóg ognia, który mieszka w wodzie, a ta woda nie gasi jego płomieni i dlatego jego skrzek może płonąć.

– Aha, ogień rzeczno boga – powiedział Magnus, obserwując lot kolejnego pocisku. – Znam to, całkiem użyteczny materiał.

Zdumienie Wespazjana, że Magnus słyszał o tej broni, przyćmił widok, na który czekał.

– Ale teraz będziemy zwalczać ich ogień naszym własnym żarem – oznajmił, widząc, że ulicą biegną prowadzeni przez centuriona żołnierze z kohorty Fregallanosa i na obciążonych mokrą skórą drewnianych nosidłach dźwigają

żelazne kotły. Szybko pokonali schody.

Wespazjan nie czekał na raport.

– To już wszystko? – zapytał, doliczywszy się dwunastu kotłów.

– To tylko pierwsza partia, będzie jeszcze co najmniej sześć partii kotłów takiej samej wielkości.

– Doskonale, centurionie, zaczniemy tutaj. – Wskazał ręką miejsce, gdzie dwóch żołnierzy, każdy przykucnięty po jednej ze stron prześwitu, na zmianę spychało kolejnych napastników. Wszędzie wzdłuż muru wyglądało to podobnie, ponieważ obrońcy nie mogli się wychylić zza blnek z obawy przed pociskami z machin bojowych. – Najpierw ten prześwit, a potem co piąty; to powinno im dać do myślenia.

Zasalutowawszy niedbale, centurion, a za nim jego ludzie pochylili się i ruszyli susami. Niebo przecięły płomieniste pasma i smugi czarnego dymu i wybuchły kulami ognistymi w mieście; ciężkie kamienie były w mur, a kiedy prześlizgiwały się pomiędzy zębami zwieńczenia, szczątki ludzkich ciał, atakujących i obrońców, obsypywały pomost.

Chcąc dać przykład, Wespazjan stał wyprostowany, narażony na pocisk, i przyglądał się, jak pierwsza grupa ustawia nosidło z kotłem. Dwóch żołnierzy rękoma chronionymi mokrymi skórzanymi rękawicami podniosło kocioł za łańcuchy przymocowane z obu jego stron, wstawiło w prześwit na murze, gdy tylko żołnierze broniący tego przejścia zrobili im miejsce. Dwóch ludzi w rękawicach, które zaczęły parować, przesunęło go aż na samą krawędź muru, po czym dwóch pozostałych przycisnęło drąg nosidła do brzegu kotła, przechylając go do przodu, podczas gdy ich towarzysze z całych sił trzymali łańcuchy. Gorąca oliwa ciekła najpierw powoli, w miarę jak kocioł się przechylał, wylewała się coraz szybciej, aż wreszcie, gdy zawisł odwrócony do góry dnem, reszta zawartości chlusnęła na wspinających się po drabinie nieszczęśników.

Wrzask oślepionych nagle mężczyzn przedarł się przez zgiełk bitewny, tak jak dźwięk syren ostrzegawczych przebija się przez gniewny huk morskich fal podczas burzy. Kocioł powrócił, a jeden z żołnierzy wychylił się i wciągnął pustą drabinę. Na dole nieprzyjaciele byli zbyt zajęci pozbywaniem się palącego oblepiającego i rozpuszczającego skórę płynu, by to zauważyć. Wtedy rzucono pochodnię i oliwa natychmiast zapłonęła. Ogień swoją intensywnością niemalże dorównywał pożarom wznieconym za pomocą oleju skalnego w mieście, ale prześcignął ją morderczymi skutkami; ludzie stłoczeni u stóp muru, już i tak udręczeni, teraz palili się żywcem. Kolejna fala przeraźliwych krzyków rozniosła się ponad bitewną wrzawą, a potem było ich coraz więcej, kiedy opróżniano kotły z oliwą albo rozprażonym piaskiem, którego niemiłosiernie parzące ziarenka dostawały się pod ubranie i we wszelkie otwory ciała. Jeden z kotłów, trafiony pociskiem wielkości pięści, zachwiał się do tyłu i oliwa ochlapała stojących

w pobliżu żołnierzy, których spotkał ten sam los, jaki zgotowali wielu z tłoczących się pod murem Partów.

Wkrótce dotarła druga partia kotłów z parującą zawartością, a za nią trzecia i czwarta. Za każdym razem nacisk na odcinek muru Wespazjana słabł, wciąganych przez żołnierzy drabin już nie zastępowano i obrońcy, mając mniej punktów do obrony, mogli walczyć jeszcze skuteczniej.

Po wylaniu szóstej i przedostatniej porcji palącego śmiertelnośnego płynu załamała się wola Partów. Los ofiary całopalnej uznali za gorszy od spotkania z tkwiącymi za ich plecami prześladowcami. Odwrócili się i rzucili do ucieczki, jakby się umówili, pozostawiając stos zabitych i konających pod ścianą, a także porzrzucanych na całym przedpolu. Usiłowali się przebić przez cztery szeregi katafraktów, którzy trzymali ich przez cały czas w zamknięciu.

Wyczerpani żołnierze oddziałów pomocniczych wydali tylko krótki okrzyk i przycupnęli na pomoście, podczas gdy nieprzyjacielskie maszyny wciąż miotały kamienie w mury i przerzucały ogień do miasta.

Jednak to również miało się wkrótce skończyć, ponieważ z północy wychynęło nowe zagrożenie. Zatrąbiono w szeregach Partów, a *cornu* w kółko powtarzało czterodźwiękowy sygnał. Obie strony ostrzegały, że zbliża się jakieś wojsko.

Wszyscy zamarli, próbując stwierdzić, komu te nowe siły przybyły z pomocą.

– To Partowie, którzy posuwali się na północ wzdłuż dopływu – wyraził swoją opinię Magnus, przyglądając się długiej kolumnie jazdy na wschodnim brzegu Kentrites, jakąś milę na północ od miejsca, w którym ta rzeka łączyła się z Tygrysem. Zaslaniał ich częściowo kurz, tak że trudno było ocenić liczbę, niemniej przez chmurę pyłu, wzniesioną setkami kopyt, dało się dostrzec proporce i ubiór straży przedniej.

– Babak pewnie ich ponownie wezwał, kiedy zobaczył siłę naszej obrony – oświadczył Manniusz, a w głosie prefekta pobrzmiwała duma z działań jego ludzi.

Wespazjan pokręcił głową i wychylił się przez szczelinę, w miejscu połączenia ściany południowej i wschodniej, zupełnie jakby te kilka dodatkowych stóp miało mu pomóc w identyfikacji przybyłych. Jeśli królowa Tryfena dotrzymała obietnicy, to wiedział, kim oni są; musiał jednak mieć pewność. Przebiwszy spojrzeniem tumany kurzu, pozwolił sobie na uśmiezek; ta jazda była jednak nieco inna.

– Nie, to nie mogą być oni – powiedział. – Popatrzcie na kolor strojów ich lekkiej jazdy. Jeźdźcy partyjscy mieli na sobie jaskrawe tuniki i spodnie, i wymyślne nakrycia głowy, tymczasem ci tutaj w porównaniu z tamtymi wyglądają nijako, niebarwiona wełna i len, skromne tkaniny.

Magnus zmrużył oko i potarł dłonią kark.

– Chyba masz rację, ale niezależnie od tego, kim są, musieli mijać Partów. – Odwrócił się do przyjaciela i Manniusza, unosząc brwi. Wszyscy trzej byli pokryci skorupą zaschniętej krwi, zupełnie jakby spędzili cały dzień na składaniu ofiar wszelkim możliwym krwiożerczym bogom, ale żaden z nich nie zwracał na to uwagi. – W tej dolinie nie ma dość miejsca, żeby jakieś dwa większe oddziały minęły się, nie mówiąc sobie choćby dzień dobry.

Prefekt wskazał grupę jeźdźców przejeżdżających przez most na północny brzeg Tygrysu.

– Tam coś się dzieje – zauważył.

Wespazjan przyglądał się grupie należącej do lekkiej jazdy partyjskiej. Kilkunastu jeźdźców, przedostawszy się drugim mostem na wschodni brzeg Kentrites, zbliżało się do tamtej kolumny, niosąc gałązkę oliwną.

– To powinno potwierdzić, kim są tamci.

– Potwierdzić? – zdziwił się Manniusz.

– Tak, prefekcie. Mam nadzieję, że to są ci, na których czekałem. – Spojrzał z góry na tę okopaną i oblegającą miasto piechotę brańców, po czym skupił uwagę na kilku tysiącach ludzi obsadzających linie oblężnicze od północy, naprzeciw jedynej z tamtej strony bramy miasta. Za ledwie sto kroków za ich tyłami płynął Tygrys, a most spinał brzegi przed zakrętem rzeki na północ.

Ponownie spojrzął na zbliżających się jeźdźców. Zatrzymali się w miejscu, w którym Tygrys łączył się ze swoim dopływem. Wysłannicy Partów stali w niewielkiej od nich odległości. Byli za daleko od murów i Wespazjan nie mógł niczego wywnioskować. Przyglądał się więc temu spotkaniu przez kolejne sto uderzeń serca, które zdawały się przyspieszać, aż wreszcie Partowie zawrócili wierzchowce i popędzili z powrotem tam, skąd przybyli, a nie towarzyszył im żaden posłaniec przybyłych.

– Doskonale, to oni.

– Jacy oni? – zapytał Magnus, nic nie rozumiejąc.

– Oni to reszta naszej armii, a jedyne, co przeszkadza, by połączyli się z nami, to ci partyjscy brańcy, zatem musimy otworzyć północną bramę i zagonić część tego stada do rzeki. – Zwrócił się do pierwszego centuriona prefekta Manniusza, który w pewnej odległości czekał na rozkazy: – Przekaż wiadomość wszystkim pozostałym prefektom. Niech będą gotowi wyjść z miasta północną bramą. Przodem pójdzie kohorta Kotty i to ona ma przełamać linie oblegających. Za nią pójdą kohorty Fregallanosa i Manniusza i ustawią się, jedna od zachodu, druga od wschodu, by ochraniać resztę sił oraz tabory podczas przeprawy przez Tygrys.

Centurion zasalutował energicznie i odwrócił się, by przekazać rozkazy grupie posłańców. Wespazjan uśmiechnął się do Manniusza.

– Czas już zabrać twoich chłopców z murów, prefekcie – powiedział.

Wespazjan i Magnus szli zdecydowanym krokiem wąskimi uliczkami okrążającymi wielkie wzgórze, na którym rozłożyło się miasto. Po drodze mijali jego mieszkańców, tak bardzo zajętych gaszeniem rozlicznych pożarów wywołanych przez ogniste pociski nieprzyjaciela, że nawet nie zauważyli opuszczającego mury rzymskiego wojska ani taboru ustawiającego się na agorze w pobliżu bramy północnej.

– Pojedziesz z Hormusem – zdecydował Wespazjan, kiedy przedzierali się przez gąszcz wozów i mułów zbierających się pospiesznie w tym miejscu. Hormus znajdował się blisko czoła, zajęty uprzężą zwierząt; Wespazjana nie zaskoczyło, że następny w kolumnie był młody mulnik, który wcześniej kusząco uśmiechnął się do jego niewolnika. Był pewien, że to nie przypadek. – I dowiedz się imienia tamtego młodzieńca oraz skąd pochodzi. Wygląda mi na to, że spodobał się Hormusowi. Musimy być pewni, że motywy tamtego są czysto finansowe.

– Chodzi ci o to, czy nie wyciska z twojego niewolnika informacji, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście, że wiem – odparł Wespazjan z uśmiechem i ruszył pospiesznie ku kohorcie Kotty, która ustawiała się w kolumnę przy bramie północnej.

Jedyne, co teraz musiał zrobić, to przetrzeć drogę przybyłym, tak by mogli połączyć się z Rzymianami, a potem już wszyscy razem opuszczą Tigranocertę i zainscenizują bojowy odwrót, wciągając Partów coraz głębiej w zależne od Rzymu królestwo Armenii, i w ten sposób stworzą uzasadniony powód do wojny pomiędzy dwoma imperiami. Tryfena tak to właśnie sobie zaplanowała. Wojna miała zapewnić wnukowi jej brata koronę Armenii, zachwiać władzę zapijaczego, śliniącego się, rządzącego Rzymem głupca i zapewnić, że Neron, syn jej krewnej, Agrypiny, włoży purpurę, zanim syn Klaudiusza, Brytanik, osiągnie pełnoletność. I właśnie taki rozwój wypadków Wespazjan uznał za korzystny dla niego i rodziny. Widział Nerona i Brytanika i było rzeczą oczywistą, nawet dla tego głupca jąkały, że z nich dwóch Brytanik jest lepszym wyborem. Jednak ten lepszy wybór nie odpowiadałby celom Wespazjana, jeśli przeznaczenie, jak podejrzewał, ma się spełnić; lepszy wybór doprowadziłby do wzmocnienia rodu julijsko-klaudyjskiego i być może zapewnił mu władzę na dziesięciolecie. Nie, w interesie Wespazjana leżało, by następcą Klaudiusza został ten gorszy, bardziej próżny i arogancki kandydat, czyli Neron, który jedynie pozornie nadawał się na władcę. Olśniewał jak młody bóg; jednak pod tą urzekającą zewnętrzną powłoką tkwiło, jak sądził Wespazjan, szaleństwo, przy którym zachowanie Tyberiusza w jego późniejszych latach mogło się wydawać zaledwie ekscentrycznością. Rozpoznał to już w chwili, gdy zobaczył, jak Neron kładzie głowę na piersi Agrypiny, a potem Narcyz mu potwierdził kazirodczy związek z matką. Oddanie władzy absolutnej człowiekowi, który nie widział nic zdrożnego w dzieleniu łoża

z własną matką, było w pojęciu Wespazjana gwarantowanym sposobem, by uwolnić u niego szaleństwo nieokiełznanego dogadzania sobie. W porównaniu z czymś takim publiczne wyuzdane pokazy Kaliguli z własną siostrą Druzyllą zostaną zapamiętane najwyżej jako dziwactwo. Takie szaleństwo, w połączeniu z dominującą obecnością Agrypiny, matki i kochanki w jednej osobie, domagającej się uznania, jakiego nigdy wcześniej nie zyskała żadna kobieta, mogło unicestwić linię julijsko-klaudyjską, ponieważ ani senat, ani lud czy nawet gwardia pretoriańska nie znieśliby kolejnego cesarza z rodziny, która staczała się coraz niżej. A jeśli nastąpi koniec tej dynastii, to co się stanie? Może nadejdzie czas nowych ludzi. Może.

Jednak wszystko to wciąż było bardzo odległe i Wespazjan najpierw musiał wprowadzić w życie plan Tryfeny. Etap początkowy został już zakończony: sprowadził armię partyjską na ziemie Armenii. Teraz przyszedł czas na realizację etapu drugiego, bo tak jak obiecała Tryfena, uzurpator przybył, by walczyć u boku Rzymu.

Radamist przyprowadził do Tigranocerty swoją armię.

Rozdział dziesiąty

Szybkość, z jaką Wespazjan wyprowadził z bramy północnej II pomocniczą kohortę Kapadocką Kotty i ustawioną w dwa szeregi po pięć centurii posłał w kierunku linii oblężniczych, wytrąciła z równowagi, na co zresztą liczył, obsadzających je Partów. Kiedy już zamilkli wyrzaskujący rozkazy centurioni i ośmuset żołnierzy maszerowało w milczeniu, ich równy krok był bardziej przerażający od wojennych okrzyków, nieubłagane zbliżanie się bardziej złowieszcze od gwałtownego natarcia, a wyćwiczona precyzja, z jaką unieśli tarcze, odwodząc prawe ramię, z gotowymi do rzutu oszczepami, bardziej miażdżąca dla morale nieprzyjaciela niż sam grad smukłych pocisków. Zanim pierwszy oszczep poleciał z sykiem ku partyjskim liniom, brańcy rzucili się w popłochu do ucieczki, nie zważając na to, że wielu z nich ginęło bezzwłocznie z rąk własnych bezlitosnych oficerów, wkrótce ogarniętych przerażeniem tak jak zaganiane przez nich stado. Rzucili się na północ, przez stanowiska machin bojowych, unosząc ze sobą ich obsady, i gnali ku rzece.

Jednak na moście mieściło się obok siebie tylko ośmiu mężczyzn.

Wbijając, prawie bez zatrzymywania, czubki mieczy w gardła stratowanych w czasie panicznej ucieczki, żołnierze przekroczyli w porządnym szyku linie oblężnicze i pognali nieprzyjaciela nad rzekę. Za ich plecami pozostałe cztery kohorty wychodziły kolumną z północnej bramy. Rzymianie opuszczali Tigranocertę, zostawiając za sobą pożary i bezbronnych mieszkańców.

Było oczywiste, że tylko niektórym z ponad trzech tysięcy przerażonych ludzi uda się przedostać na drugi brzeg rzeki wąskim mostem i wielu z nich uduszono w ścisku. Jeszcze więcej utonęło, rzuciwszy się desperacko w głębiny rzeki, błagając Apam Napata, boga ognia i słodkiej wody, by ich ocalił. Jednak oczy boga były odwrócone, skupione na podsycanych olejem skalnym szalejących w mieście pożarach, i setki nieszczęśników porwała woda, a setki stratowano. Kolejne setki padły na północnym brzegu od strzał iberyjskich i armeńskich konnych i pieszych łuczników z armii Radamista, którzy właśnie przebyli most na rzece Kentrites, a za nimi ciągnęła powoli reszta armii, ciężka jazda, złożona z brańców piechota oraz tabory.

– Niech twoi chłopcy, Kottonie, przejdą mostem i ustawią się po drugiej stronie – rozkazał Wespazjan prefektowi – i utrzymają go, dopóki nie przejdą po nim pozostałe kohorty.

– Przejdą?

– Tak, prefekcie, przejdą. Udajemy się na północ i zostawiamy Tigranocertę Partom.

– Ale...

– Żadnego ale. Macie utrzymać most, żebyśmy mogli połączyć się

z Radamistem.

Zdumiony prefekt zasalutował, a Wespazjan odwrócił się i zobaczył, jak zza wschodniego muru Tigranocerty wyłania się połyskująca w słońcu ściana z żelaza i brązu; partyjscy katafrakci przybyli, by toczyć bitwę z wrogiem, na pewno nie z własnymi ludźmi. Z tyłu skoncentrowali się wspierający ich konni łucznicy. Prowadził ich wszystkich jeździec odziany bardziej bogato niż inni; Wespazjan wiedział, że aby przeżyć ten dzień, musi z nim porozmawiać i podtrzymywać tę rozmowę przez czas jakiś, bo gdyby ta jazda zaatakowała jego żołnierzy z oddziałów pomocniczych, samą swoją masą zmiotłaby ich wszystkich z pola bitwy.

Idąc pod prąd opuszczających miasto centurii, Wespazjan szybko odnalazł Manniusza na czele jego kohorty, która zwrócona frontem ku wschodowi, osłaniała ewakuację.

– Każ swoim centurionom – rozkazał – ustawić ludzi w głębokim szyku, przodem do ciężkiej jazdy, prefecie, a potem dołącz do mnie na czele. Niech Fregallanos również się stawi.

Kiedy żołnierze sformowali szyk głęboki na ośmiu ludzi, ustawiając się tuż obok siebie na całej szerokości pola, od bramy do niedawno opustoszałych linii oblężniczych, Wespazjan podniósł z ziemi uschniętą gałązkę i stanął samotnie przed frontem żołnierzy, czekając na prowadzącego katafraktów Babaka.

Kiedy tak obserwował powolne zbliżanie się ciężkozbrojnej jazdy, oszczędzającej energię, gdyby mieli natychmiast przejść w kłus, dołączyli do niego Manniusz i Fregallanos. Za ich plecami kohorta Manniusza stanęła w szyku i czekała w milczeniu. Kohorta Fregallanosa stała frontem ku zachodowi, zostawiając ścieżkę pomiędzy dwiema jednostkami, po której reszta ich towarzyszy oddalała się pospiesznie od miasta, a za nimi tabory. Najszybciej jak się dało przeszli mostem na północny brzeg Tygrysu.

– Gdzie jest Pelignus? – spytał Wespazjan, nie odrywając oczu od ściany z metalu i końskich cielsk.

Fregallanos, który również wpatrywał się w złowrogi widok, odparł:

– Nie widziałem go od czasu zakończenia ataku na mury. Wtedy był przy północnej bramie i wrzeszczał na niewolników, by zaprzęgali konie do wozu, gdzie załadowano jego wszystkie łupy. Wyglądało na to, że zamierza kupić sobie drogę na wolność.

Wespazjan roześmiał się i podniósł do góry gałązkę pokoju.

– Chciałbym zobaczyć, jak tego próbuje. No cóż, jest już na zewnątrz, ale nie sądzę, by dołączył do naszych pertraktacji o bezpieczne przejście. Ktoś taki jak on nie ma pojęcia, kiedy honorowi staje się zadość. – Odsunął na bok myśli o tchórzliwym małym prokuratorze, kiedy Babak, z odległości pięćdziesięciu kroków, podniósł do góry prawe ramię. Wzdłuż partyjskiej linii popłynął sygnał

rogów i pięć kroków później katafrakci równocześnie stanęli w miejscu.

Po chwili Babak ruszył z miejsca opancerzonego wierzchowca, zatrzymał się na długość włóczni od Wespazjana i podniósł powlekaną srebrem osłonę twarzy, ozdobioną brodą, brwiami i rzęsami z brązu.

– Zapewne zgodzisz się ze mną, że mamy tu ciekawą sytuację?

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Podjęliśmy się obrony miasta w o wiele trudniejszej sytuacji i teraz uważam, że honorowi stało się zadość. Tigranocerta jest wasza.

– I ja tak po prostu mam pozwolić ci odejść razem z twoim wojskiem?

– Jeśli dokonasz masakry na rzymskim garnizonie po tym, jak poddał miasto zgodnie z zasadami wojny, to Rzym się zemści, ścigając cię choćby do samej Partii. Jeśli zaś nas przepuścisz, wojna pomiędzy naszymi imperiami ograniczy się do zmagania o panowanie w Armenii i twoi ludzie nie ucierpią. Doceni to twój król, podobnie jak i jego pan, Król królów w Ktezyfonie.

Satrapa uśmiechnął się. Mimo chłodu pot spływał mu po twarzy.

– Jeśli cię teraz zabiję, to wojna niewątpliwie się skończy – powiedział.

– Mylisz się. – Wespazjan wskazał ręką na północ, w kierunku mostu, przez który pospiesznie przechodzili żołnierze rzymskich wojsk pomocniczych; po drugiej stronie rzeki kohorta Kotty stała już w szyku obronnym. – Już teraz mam dość ludzi na tamtym brzegu, by znacząco wzmocnić armię Radamista. Zanim przedrzesz się przez tę kohortę, większość moich żołnierzy już tam się znajdzie. Nie możesz spodziewać się pomocy z północy, bo Radamist, maszerując tutaj, z pewnością pokonał twoje oddziały, które wysłałeś w górę rzeki.

– Prowadzisz tę rozmowę, by zyskać na czasie. Nie uważam tego za postępowanie godne człowieka honoru.

– Nie, Babaku, rozmawiam, starając się uratować jak najwięcej swoich ludzi.

– Wskazał miasto spowite teraz całunem dymu. – Zabierz swój łup, a mnie pozwól zabrać swoich ludzi.

Satrapa popatrzył na Wespazjana niemal ze smutkiem.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział. – Teraz, kiedy Radamist jest tutaj, muszę z nim walczyć i go pokonać, a żeby to zrobić, on musi mieć jak najmniej żołnierzy. – Zatrzasnął ze szczękiem srebrną maskę i zawrócił w miejscu ogromnego rumaka.

Manniusz spojrział na Wespazjana, a w jego oczach widoczna była determinacja.

– Moi chłopcy powstrzymają ich tak długo, jak tylko to będzie możliwe, dowódco.

Wespazjan położył dłoń na ramieniu prefekta.

– Z przykrością to mówię, ale właśnie to będziecie musieli zrobić. – Odwrócił się i ruszył do szeregów tych pechowych żołnierzy. Obaj prefekci poszli

w jego ślady. Ostatnia z trzech kohort mijała ich właśnie, a tuż za nią ciągnęły tabory. – Fregallanosie, niech twoi ludzie przejdą przez most zaraz za taborem, a ty, Manniuszu, ruszaj za nim. Rozkażę, by Kotta jak najdłużej utrzymywał most. – Kiedy przeszli przez szeregi żołnierzy, obejrzał się przez ramię; Babak już prawie dołączył do swojej jazdy; rozległ się też dźwięk rogu. – Powodzenia, prefekcie. – Uścisnął mocno ramię Manniusza. – Twoi chłopcy dobrze walczyli dzisiaj rano, macie szansę.

– Zawsze mamy szansę. Fortuna się przygląda.

Wespazjan skinął głową i szybko wmieszał się w szeregi ludzi spieszących ku mostowi. Wiele razy posyłał żołnierzy na śmierć i robił to z czystym sumieniem, jeśli poświęcając kogoś, ratował życie większej liczbie ludzi. Pamiętał Basjusza, młodego trybuna, który na czele oddziału jazdy dokonał samobójczego ataku na armię Brytów. To zdarzyło się, kiedy Karatakus zaskoczył Wespazjana w środku nocy, co mogło się skończyć unicestwieniem II legionu *Augusta*. Niełatwo mu było wydać Basjuszowi tamten rozkaz, ale uczynił to bez żalu: znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji podczas niekończącej się wojny i utrata legionu byłaby niepowetowaną stratą dla Rzymu... zakończyłaby również karierę Wespazjana, gdyby miał pecha przeżyć. Jednakże tym razem miał poczucie winy. Stworzył tę sytuację, a ci ludzie mieli poświęcić życie nie tylko po to, by ocalić pozostałe kohorty, ale również by zaspokoić jego osobiste ambicje. Przede wszystkim nie było żadnych wojskowych powodów obrony Tigranocerty; należało natychmiast się wycofać w obliczu tak zdecydowanie przeważających sił wroga. Tymczasem on miasta bronił, bo musiał doprowadzić do starcia z Partią i rozpętania wojny. Teraz porzucił Tigranocertę, żeby połączyć się z Radamistem przeciwko Partom i grając na zwłokę, wycofywać się i wciągać ich w głąb Armenii. Obecność Partów w tym królestwie zagrozi równowadze sił na Wschodzie i wywoła wściekłość w Rzymie, a w umysłach wielu zrodzi się wątpliwość, wygłaszana następnie szeptem, co do kompetencji cesarza, który do tego wszystkiego dopuścił. Wespazjan poczuł, że niewiele się różni od tych, którym zawsze się przeciwstawiał, stając się człowiekiem, który szafuje życiem innych, by jego własne stało się bogatsze. Jednak w taki właśnie sposób ludzie utrzymywali władzę, dlatego więc on sam dla jej osiągnięcia nie miałby tak postępować?

– Pozwolisz, by tu stali i ginęli?

Wespazjan oderwał się od niewesołych rozmyślań i na mijającym go szybko wozie zobaczył Magnusa obok powożącego Hormusa. Puścił się biegiem, żeby ich dogonić.

– A jaki mam wybór? – zapytał, wskakując na wóz. Z tej wysokości zobaczył ponad głowami żołnierzy Manniusza, jak Babak podnosi prawe ramię; zadęto w tyle rogów, że ich dźwięk przebił się przez kakofonię pisków i zgrzytów

dziesiątków wozów, a zza katafraktów wyrósł wielki cień, kiedy łucznicy wypuścili chmurę strzał. – Mógłbym z nimi umrzeć, ale czy to by coś dało?

Magnus popatrzył ze smutkiem na plecy żołnierzy rzymskich oddziałów pomocniczych, którzy unieśli tarcze ponad głowy, pierwszy szereg w pozycji klęczącej; potem ujęli oszczepy, szykując je do użycia jako broni kłującej, kierowanej w małe okrągłe kratki z brązu, chroniące oczy koni, albo w ich nieosłonięte pyski, dolne części nóg i w kopyta.

– To byli dobrzy żołnierze – powiedział.

Spadła pierwsza fal strzał, bębniąc urywanie w podniesione nad głowy tarcze i nie powodując większych szkód w szeregach zdyscyplinowanych żołnierzy. Prawie natychmiast pofrunęła następna. Niektóre strzały przeniosło i opadły na tabor, siejąc tam panikę.

– Ale nie zamierzam tu zostać i podzielić ich losu – oświadczył Magnus, strzelając z bata, żeby zbliżający się do umocnień oblężniczych wóz utrzymał tempo.

Nad polem przetoczył się głuchy odgłos bębna, kilka uderzeń serca po nim drugi, a potem trzeci; partyjscy katafrakci ruszyli powoli, przyspieszając z lekka, zgodnie z podawanym im rytmem. Zaczęło się powolne, ale nieubłagane natarcie, a rzymscy żołnierze stali, wiedząc, że impet ciężkozbrojnych jeźdźców zmiecie ich wkrótce po pierwszym kontakcie. Mimo to stali. Za ich plecami tabor umykał ku bezpieczeństwu, pokonując opuszczone umocnienia oblężnicze, kiedy trzecia kohorta właśnie opuszczała most.

Magnus nie przestawał smagać biczem mułów, przedzierając się przez jedno z dwóch północnych przejść, przecinających rowy i wały, zostawionych tam przez Partów dla ich własnej jazdy; Wespazjan trzymał się mocno, kiedy pojazd podskakiwał na nierównym gruncie. Wokół snuł się dym z ognisk, niosąc zapach spalonych potraw z południowego posiłku, porzuconych w popłochu przez partyjskich brańców, które wciąż tkwiły w kociołkach nad żarzącym się drewnem. Dudnienie bębna wojennego trwało nadal, przyspieszając nieznacznie co kilka uderzeń, a potężne wierzchowce, niosące ogromny ciężar, powoli się rozpędzały, choć na razie szły niewiele szybciej niż stępa; dopiero na ostatnie kilkanaście kroków miały przejść w kłus.

Łucznicy kontynuowali zmasowany, ale bezskuteczny ostrzał i Wespazjan przeniósł wzrok na atakujących katafraktów. Widząc te setki jeźdźców ustawionych w dwóch szeregach, okutych w błyszczące w słońcu zbroje, z powiewającymi im nad głowami proporcami, dziwił się, że coś tak pięknie wyglądającego może być zarazem zabójcze. Oświetlające ich słońce wywoływało wrażenie, że tę sunącą powoli bryłę polerowanego metalu wieńczy złoty płomień.

Płomień...? Ogień...?

Wespazjan poderwał się nagle z miejsca; wóz wyjechał poza umocnienia

obronne i mijał teraz maszyny bojowe, nieliczne po tej stronie miasta. Spojrzał wzdłuż linii ich ustawienia i zobaczył co najmniej dwa onagery.

– Magnus! Zatrzymaj się. Natychmiast!

Magnus zjechał ze szlaku i zwolnił, jakieś dziesięć kroków od mostu; centurion dowodzący obsadzającym go oddziałem dał znak, żeby jechali dalej, ale go zignorowali. Wespazjan zeskoczył z wozu i podbiegł do stojącego najbliżej onagera. I natychmiast je dojrzał: stosy glinianych naczyń, o przekroju jednej stopy, ze szmatami wystającymi spod ich woskowych wierzchów.

Olej skalny.

Dudnienie bębnow przyspieszyło. Obejrzał się za siebie; zaraz za nasypem chroniącym od przodu opuszczone teraz urządzenia oblężnicze, skraj lewej flanki kohorty znajdował się zaledwie pięćdziesiąt kroków od niego. Strzały przestały trafiać w upstrzone już pierzastymi brzechwami tarcze, ponieważ katafrakci przeszli w kłus i dotarli do żołnierzy.

– Magnus! Hormus! Pomóżcie mi z tymi tutaj i ściągnijcie kilku chłopców na most! – zawołał, trzymając naczynie pod każdą pachą; spodziewał się problemów, tymczasem okazały się całkiem lekkie.

Magnus przybiegł z centurionem i ośmioma żołnierzami.

– Niech każdy bierze po dwa! – krzyknął do nich Wespazjan. – A potem biegiem za mną. Hormusie, przynieś płonące gałęzie z ognisk w rowach.

Potężny krzyk wzniósł się ku niebiosom, zagłuszając nawet dudnienie bębna; Wespazjan nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że partyjska jazda zderzyła się z kohortą Manniusza. Teraz to była już tylko kwestia czasu.

Poprowadził swoją niewielką jednostkę podpalaczy w szalonym tempie przez linie oblężnicze do miejsca, obok którego toczyła się nierówna walka katafraktów z piechotą. Gramoląc się z ostatniego rowu, z garnkami w ramionach, walczył o zachowanie równowagi, sypiąc luźną ziemię prosto w twarz podążającego za nim Magnusa. Kiedy jego głowa znalazła się powyżej krawędzi, przesunął wzrokiem po rozciągniętej linii kohorty Manniusza, sięgającej aż do murów miasta, w odległości, jaką pokonuje wystrzelona z łuku strzała. Linia się łamała pod naporem opancerzonych zabójców na opancerzonych wierzchowcach. Ogromne bojowe konie napierały na pierwszy szereg wielkim ciężarem, kładąc żołnierzy pokotem z roztrzaskanymi czaszkami i połamanymi kończynami, jeźdźcy natomiast ostrymi grotami długich włóczni, sięgali do twarzy zdesperowanych żołnierzy drugiego i trzeciego szeregu, nie pozwalając im masą swoich ciał wesprzeć stojących przed nimi towarzyszy. Rozległy się przeraźliwe krzyki żołnierzy, którym wykłuwano oczy i rozcinano gardła; kiedy wydawali ostatnie tchnienie, z ich ust bryzgała krew albo unosiła się czerwona mgiełka. Jeźdźcy swoją masą wbijali się w rzymską piechotę z łatwością. Oszczepy, miecze i sztylety były przeciwko nim bezużyteczne, Wespazjan jednak trzymał w rękach tę

jedyną broń, która mogła ich powstrzymać: ogień.

Ukląkł i postawił na ziemi jeden z garnków.

– Hormusie! Dawaj głównie.

Niewolnik wdrapał się na górę z trzema grubymi polanami, których końce żarzyły się czerwono.

Nie myśląc o zagrożeniu i o tym, czy na pewno robi to tak, jak trzeba, Wespazjan wyciągnął ku niemu naczynie.

– Zapalaj!

Hormus dotknął żarzącym się końcem drewna zwisającej szmaty; tliła się przez chwilę, po czym, strzeliła płomieniem, jakby nasączono ją czymś przyspieszającym zapłon. Przestraszony szybkością, z jaką płonęła, Wespazjan poderwał się i trzymając garnek oburącz, uniósł go nad głowę, pochylił się, zgiął nogi w kolanach, po czym cisnął go przed siebie, wkładając w ten rzut całą moc prostującego się ciała. Naczynie przeleciało wzdłuż linii ataku Partów i wylądowało dwadzieścia kroków dalej, na nieopancerzonym zadzie konia z pierwszego szeregu, i rozpadło się na ostre kawałki, zalewając lepką brązową cieczą pobliskie zwierzęta i jeźdźców; w chaosie bitwy wydarzenie to przeszło niezauważone, ponieważ nie spowodowało niczego więcej.

Wespazjan opadł z powrotem na kolana.

– A niech to! Nic się nie stało.

– To powinno pomóc. Hormusie! – rzucił Magnus, przebijając palcami pokrywę z wosku.

Wespazjan jeszcze nigdy w oczach niewolnika nie widział tyle życia; przyłożył rozżarzone drewno do szmaty, a kiedy zajęła się ogniem, Magnus zerwał się na równe nogi i wyciągając za siebie wyprostowane prawe ramię, lewe zaś trzymając dla zachowania równowagi przed sobą, cisnął naczynie. Ponieważ ramię miał wyprostowane jak u onagera, jego garnek poleciał dobre kilka kroków dalej. Rozbłysł ogniem chwilę przed tym, nim rozbił się o hełm jeźdźca z drugiego szeregu, który wraz z koniem natychmiast stanął w płomieniach. Lepka płonąca breja ochlapała najbliższych katafraktów. Garnek wcześniej rzucony przez Wespazjana wybuchł nagle ze śmiercionośną wściekłością boga ognia. Ludzkie i zwierzęce krzyki bólu i przerażenia zagłuszyły szcęk oręża i na kilka chwil walka zamarła, bo jej uczestnicy patrzyli, jak składane w ofierze konie stają dęba, zrzucają wijących się jeźdźców, a jedni i drudzy żywcem się smażą we wnętrzu metalowych pieców, które miały ich uczynić odpornymi niemal na wszystko.

– Centurionie! – zawołał Wespazjan, przekrzykując niemilkące krzyki. – Już wiesz, jak to działa, zabierz swoich ludzi na tyły i ciśnijcie w tych opancerzonych drani tyle garnków, ile tylko znajdziecie.

Stary weteran zasalutował z uśmiechem i chwyciwszy dwie główne Hormusa, oddalił się ze swoimi ludźmi, by siać ognisty zamęt. Magnus zapalił

sobie drugi garnek i cisnął go w katafraktów znajdujących się najbliżej umocnień oblężniczych, którzy już zaczęli przełamywać słabnący z każdą chwilą opór przytłoczonych żołnierzy. Kiedy kolejnych Partów dosięgnął gniew boga ognia i wyjął z bólu, wzywali swoje obojętne bóstwa, katafrakci w pobliżu tych gorejących kręgów zaczęli się odrywać od przeciwnika. Woleli uniknąć powolnego pieczenia żywcem, śmierci, którą najwyraźniej zsyłały im niebiosy.

I wtedy jeden po drugim, w nieregularnych odstępach, płomienie zaczęły buchać wzdłuż linii Partów, wskazując, jak centurion i jego ludzie przesuwają się za linią piechoty. Poza jednym niecelnym rzutem, który sprowadził bolesną śmierć na kilkunastu Rzymian, ludziom centuriona udało się przerzucić zabójcze pociski ponad własną piechotę, powodując w wielu miejscach rozbitcie zwarte go szyku nieprzyjaciół, u których górę wziął zwierzęcy instynkt ucieczki przed ogniem.

Niektórzy gnali z przyklejonymi płonącymi łatami; inni w zbrojach rozgrzanych od kontaktu z ogarniętym ogniem towarzyszami i ich wierzchowcami; a najliczniejsi byli ci, których nie tknął ogień, ale ogarnął ich lęk przed nim. W kilka uderzeń serca katafrakci zawrócili konie i ruszyli ku konnym łucznikom, którzy wycofali się, by ułatwić odwrót towarzyszom.

Nieobciążone, wypoczęte konie łuczników mknęły lekko i zwinnie. Potężne wierzchowce katafraktów nie mogły biec, bo już od kilku godzin tkwiły w ciężkich zbrojach, a ponadto uczestniczyły w ataku i walce. Szły teraz ociężałe stępa, ich zady stały się łatwym celem i kiedy Manniusz dojrzał okazję, bezlitośnie ją wykorzystał. Na krótkie rozkazy dowódców żołnierze każdej centurii cisnęli włócznie w stronę odstępującej powoli jazdy, potęgując przerażenie koni. Wiele z nich padło, nie wytrzymawszy napięcia i wyczerpania.

Manniusz był jednak doświadczonym dowódcą i panował nad swoimi żołnierzami. Nie pozwolił im pognać za nieprzyjacielem, tylko trzymał ich w miejscu, gdy kohorta Fregallanosa ruszała za taborem po moście przez Tygrys. Prawe skrzydło kohorty Manniusza, sięgające murów miasta, ruszyło śladem towarzyszy w kierunku mostu.

Wespazjan, Magnus i Hormus stali na nasypie, ze zdumieniem patrząc na pole zarzucone metalowymi bryłami w płomieniach, które strzelały, kiedy tłuszcz wytapiał się z uwięzionych ciał. Smugi ciemnego dymu snuły się pomiędzy szeregami rzymskich żołnierzy a wycofującymi się Partami. Krzyków rannych było zaskakująco mało i dochodziły głównie z rzymskiej strony, ponieważ ani katafracki jeździec, ani wierzchowiec nie mógł przeżyć żaru broni podarowanej człowiekowi przez boga ognia, Apama Napatę.

– Właśnie tak należy traktować tych wschodnich drani, co to lubią przesiadywać w metalowych kotłach – zauważył Magnus, którego pokryta skorupą krwi twarz poczerniała od snującego się dymu. – Rzekłbym, że są teraz dobrze wysmażeni, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan nie był w nastroju do żartów.

– Zdaje się, że znasz tę substancję – powiedział.

– Możliwe, że się na nią natknąłem w Rzymie – mruknął wymijająco Magnus. – Wolałbyś nie znać szczegółów.

– Nie wątpię. Chodź, mamy jeszcze coś do zrobienia. – Wespazjan odwrócił się i ześlizgnął z nasypu, akurat gdy centurion wracał z ośmioma żołnierzami z tej ognistej wyprawy. Dalej, za ich plecami, kohorta Fregallanosa weszła już na most. – To była dobra robota, centurionie. A teraz za mną. – Wyszedł po drugiej stronie rowu i ruszył szybkim krokiem w stronę machin bojowych; obok onagera leżał jeszcze stos kilkudziesięciu pełnych garnków. – Załadujcie je na wóz. – Wskazał pojazd Hormusa, który tkwił tam, gdzie porzucił go Magnus.

Kiedy wszyscy ludzie Fregallanosa znaleźli się po drugiej stronie rzeki, a znużona bitwą kohorta Manniusza, niosąc swoich rannych, weszła na most, wóz był już załadowany. Wespazjan odpoczywał, przyglądając się, jak ludzie, których już niemal skazał na pewną śmierć, zdążają ku względnemu bezpieczeństwu północnego brzegu Tygrysu, i ulżyło mu, że nie będzie miał na sumieniu ich gwałtownego końca. Odmówił modlitwę do boga ognia tych ziem, dziękując za to, że natchnął go pomysłem, a także za podarowanie ludziom oleju skalnego.

Kiedy ostatnia centuria kohorty Manniusza znalazła się na drugim brzegu, a tuż za nią przejechał wóz załadowany garnkami, wciąż nie było widać powracających oddziałów partyjskich.

Prefekt czekał na Wespazjana na drugim brzegu; zasalutował znużonym gestem.

– Spisaliście się. Myślałem, że wszyscy zginiecie. – Wespazjan odpowiedział salutem.

– Wiem, wszyscy kiedyś musieliśmy wydawać takie rozkazy i dlatego ci współczuję... cóż mogłeś zrobić? Tymczasem Fortuna miała inne zamiary.

Wespazjan uśmiechnął się blado.

– Dzisiaj działało kilku bogów i podziękujemy im stosownymi ofiarami, kiedy już się połączymy z armią Radamista. Najpierw jednak chcę, by zwalić na most tyle, ile tylko się da, tych porzuconych wozów, martwych zwierząt i wszelkiego śmiecia. Rzucimy tam pozostałe garnki z olejem i wzniciemy ogień, który będzie płonąć przez cały dzień, co spowolni Babaka, kiedy my będziemy podążać na północ. Niech się drań tak wścieknie, żeby naprawdę chcieć nas dopaść.

Rozdział jedenasty

Król Armenii nie ucieka przed nikim i nieważne, czego moja cioteczna babka Tryfena ode mnie oczekuje. – Składając to oświadczenie, Radamist nie patrzył na Wespazjana, tylko prosto przed siebie, na umieszczone przy wejściu do namiotu własne popiersie, przedstawiające go jako Herkulesa. Cały czas siedział sztywno na ciężkim tronie, a jedyną oznaką tego, że zauważa Rzymianina, było lekceważące leniwe machnięcie ręką w jego stronę. Z ostentacyjną wspaniałomyślnością zgodził się udzielić Wespazjanowi audiencji w swoim obozie strzegącym mostu na linii wschód-zachód na Kentritesie, podczas gdy Rzymianie budowali obóz, by ochraniać most na linii północ-południe na rzece Tygrys.

– Nie jesteś królem Armenii, Radamiście – przypomniał mu Wespazjan, kontrolując głos pomimo ogarniającego go coraz większego gniewu. – Nie jesteś nim, dopóki Rzym tak nie powie. A jeśli chcesz, by Rzym zatwierdził cię na tronie, zrobisz to, co Rzym każe ci zrobić, a Rzym mówi, że wycofasz się w głąb tych ziem.

– Czyżby? Bo ja słyszałem, że Rzym mówi inaczej. – Radamist zwrócił oczy, ciemne jak u wilka w bezksiężycową noc, na Rzymianina i pogładził brodę, skręcając jej szpic, jakby pogrążył się w zadumie. – Dlaczego miałbym cofać się przed armią, która już raz została pobita? Byłem gotów wykonać strategiczny odwrót, który doradzała Tryfena, by wciągnąć w głąb mocniejszą armię, gdzie moglibyśmy ją zagłodzić i pokonać, ale obecnie sytuacja się zmieniła. Już zdążyłem pokonać siły, które wysłali do utrzymania północnej drogi, resztę Partów można zatrzymać tutaj. Rzym sobie tego życzył. Słyszałem jego głos tak jak i wtedy, kiedy mówił, że jestem królem.

Od mdląco słodkiego pachnidła, którym obficie były nasączone jego ciasno splecione warkoczyki, przywodzące na myśl ogony wielu czarnych szczurów, żołądek podszedł Wespazjanowi do gardła, cofnął się więc o krok. Radamist niewłaściwie odczytał ten ruch.

– Właśnie tak – oświadczył. – Króla należy się lękać.

– Nie jesteś królem, Radamiście – powtórzył Wespazjan.

– Jestem! I nie pozwolę, by obrażał mnie jakiś niepierworodny syn nic nieznaczącego rodu, twierdząc, że jest inaczej. Twoja bezczelność objawiająca się odmową schylenia przede mną głowy jest rażąca i jeśli dalej będziesz wykazywał podobną zuchwałość, każę ci tę głowę zdjąć z karku.

Wespazjan zastanawiał się, skąd Radamist tak dobrze zna jego pochodzenie.

– Nie próbuj mi grozić, Radamiście, szczególnie czymś, co jak doskonale wiesz, nie jest w twojej mocy.

– Jego Królewska Mość ma prawo wypowiedzieć taką groźbę, Wespazjanie – odezwał się za jego plecami paskudnie znajomy głos.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył małego garbusa w wejściu do namiotu.

– Pelignus! Co tu jeszcze robisz? Armia partyjska jest zaledwie o milę stąd i tylko jedna rzeka oddziela ją od ciebie.

Prokurator uśmiechnął się złośliwie, po czym złożył Radamistowi teatralny ukłon. Widok Rzymianina składającego hołd jakiemuś wschodniemu parweniuszowi jeszcze bardziej zaburzył stan Wespazjanowego żołądka.

– Wasza Królewska Mość! – wyrecytował Pelignus.

Radamist obojętnym skinieniem głowy przyjął to poniżanie się Rzymianina.

– Wyjaśnij sytuację temu wprowadzonemu w błąd człowiekowi, prokuratorze.

– Z przyjemnością, Wasza Królewska Mość. – Pelignus po raz wtóry zupełnie niepotrzebnie złożył głęboki ukłon, przy którym przez jego wygięty grzbiet głowa pozostawała niemal w pionowej pozycji, po czym zwrócił się do Wespazjana. – Jako prokurator Kapadocji, prowincji rzymskiej położonej najbliżej Armenii, potwierdziłem Jego Królewską Mość na stanowisku króla. Napiszę do cesarza, informując go o tym posunięciu, które wiem, że podtrzyma, ponieważ w interesie Rzymu jest mieć silnego władcę w królestwie tak ważnym dla naszego bezpieczeństwa na Wschodzie.

– A co takiego ten *król* dał Rzymowi w zamian, Pelignusie?

– Zobowiązał się przegonić Partów z tego kraju, co zważywszy na moje zwycięstwa nad ich piechotą, a potem nad katafraktami, da się łatwo osiągnąć.

– Twoje zwycięstwa? Nie przypominam sobie, żebym cię oglądał od czasu pojawienia się Partów.

– Ja dowodzę armią i dlatego mnie przypada chwała, zapomniałeś? – powiedział szyderczo Pelignus, szczerząc krzywe zęby. – Jutro nasze połączone armie przekroczą z powrotem Tygrys i u bram Tigranocerty pokonają mocno poturbowaną hołotę Babaka.

– Nie pokonasz Babaka. Większość jego katafraktów przeżyła... o czym byś wiedział, gdybyś rzeczywiście tam był.

– Król Radamist przyprowadził dwa tysiące ciężkiej jazdy armeńskiej i iberyjskiej i cztery tysiące konnych łuczników. No i połowę tego pieszych. Z taką siłą, połączoną z moimi żołnierzami oddziałów pomocniczych, będziemy nie do pokonania. Powiem cesarzowi o tym wspaniałym zwycięstwie, trzecim w ciągu dwóch dni, informując go w liście o moich działaniach dotyczących tronu armeńskiego. Spodziewam się, że zostanie mi przyznana owacja, jak Aulusowi Plaucjuszowi za podobne osiągnięcia w Brytanii.

Wespazjan wpatrywał się w małego garbusa z niemym zdumieniem, jako że nigdy wcześniej nie spotkał takiego bredzącego niestworzone historie fantasty... nie licząc Kaliguli, kiedy miał zły dzień. Ze ściągniętymi brwiami pokręcił głową, po czym obrócił się na pięcie i nie zerknął nawet w stronę Radamista,

zdecydowanym krokiem wyszedł z namiotu.

– Kłopot w tym, że z formalnego punktu widzenia postępuje słusznie, zatwierdzając Radamista na stanowisku w zamian za szybką akcję odpierającą Partów – Wespazjan poinformował Magnusa krótko potem, kiedy siedzieli przy winie we własnym namiocie. – Nie mogę więc go za to krytykować, bo wyglądałoby to podejrzenie.

– To co jest nie tak w tym, co robi?

Wespazjan westchnął, czując, że nie ma już pełnej kontroli nad sytuacją.

– No cóż, pewnie nic takiego prócz narażania, a prawdopodobnie utraty życia dużej liczby żołnierzy. Jeśli on rzeczywiście jutro zaatakuje Babaka, jego ludzie zostaną już mocno pokiereszowani przy przechodzeniu przez most. Konni łucznicy Partów nie dadzą mu spokoju i nie zdąży ustawić wojska w bitewnym szyku przed uderzeniem katafraktów. Zdawałby sobie z tego sprawę, gdyby miał jakiegokolwiek wojskowe doświadczenie.

– A co z Radamistem?

– A niby co ma z nim być? To zwyczajny szukający chwały idiota, mający tyle samo rozumu co jego mały przyjaciel.

Magnus kontemplował zawartość swojego kielicha, przetrawiając nowiny.

– Wygląda na to, że będzie niezły bałagan.

– Będzie zabójczy bałagan, ale rezultat ten sam. Radamist wycofa się na północ z niedobitkami armii, a Babak, zostawiwszy w Tigranocercie garnizon i zabezpieczywszy sobie linie zaopatrzenia, ruszy za nim. Czyli wojna nieunikniona. Próbowałem osiągnąć to samo, tyle że przy minimalnych stratach w ludziach.

Magnus dopił wino, kiedy wszedł Hormus z parującym garnkiem.

– Mam nadzieję, że tym razem wsypałeś odpowiednią porcję łubczyku, Hormusie.

Niewolnik uśmiechnął się i spojrzał Magnusowi niemal prosto w oczy.

– Tak sądzę, Magnusie – odparł. Postawił garnek na stole. – Pół garści na każde cztery garści ciecierzycy i wieprzowiny.

Magnus powąchał zawartość garnka, po czym obdarzył Wespazjanowego niewolnika aprobującym spojrzeniem.

– Całkiem nieźle pachnie, dobra robota, synu.

Uśmiech Hormusa stał się jeszcze szerszy.

– Dziękuję ci, Magnusie – powiedział i wyszedł, by przy ogniu zająć się resztą kolacji.

– Odkąd to on zwraca się do ciebie po imieniu? – zdziwił się Wespazjan.

– Odkąd mu kazałem. To porządny chłopak. Wygląda na to, że młodzian, z którym chodzi do łóżka, jest trochę zbyt dociekliwy i najwyraźniej ktoś przysłał go tutaj, by przeniknął do wnętrza naszego małego kręgu, jeśli wiesz, co mam na

myśli?

Wespazjan wziął pod uwagę tylko jedną osobę.

– Zakładam, że to Pelignus, skoro chłopak pojawił się po tym, jak opuściliśmy Melitene.

– Tak, chełpił się przed Hormusem, że ma przyjaciół na wysokich stanowiskach w Kapadocji.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Przepytyując Hormusa z ich łózkowych pogaduszek, kiedy dzisiaj rano czekaliśmy przed mostem.

– I?

– I Hormus przyznał, że chłopiec wypytywał go natrętnie, czy podsłuchał jakieś ciekawe rozmowy i jakoś zawsze go pytał z pełnymi ustami, jeśli wciąż wiesz, co mam na myśli?

– Nigdy nie powinno się mówić z pełnymi ustami.

– To właśnie powiedziałem Hormusowi i chyba był bardzo przejęty, kiedy pojął, że jego kochanek ma takie złe maniery. Zatem, żeby się na nim odegrać, chętnie podsunie mu wszystkie kłamstwa, jakie tylko zechcemy.

– To może być bardzo pomocne. – Wespazjan miał zamyśloną minę, kiedy ponownie pojawił się Hormus, tym razem z mniejszym garnkiem i chlebem.

Niewolnik postawił resztę kolacji obok gulaszu z wieprzowiny i ciecierzycy, po czym przyniósł talerze, noże i łyżki; nie było tu sof biesiadnych i Wespazjan z Magnusem jedli na siedząco.

– Jak ma twój chłopak na imię, Hormusie? – spytał Wespazjan, nakładając sobie potrawę na talerz.

– Mindos, panie.

– Mindos? – Wespazjan przełamał kawałek chleba i na jedną z połówek zgarnął niewielką porcję gulaszu. – Powiesz Mindosowi, że dzisiejszego wieczoru podsłuchałeś rozmowę pomiędzy mną i prefektami pięciu kohort. Powiedz mu, że nie słyszałeś dokładnie, ale wydaje się, że rankiem zamierzam poprowadzić ich ludzi do Kapadocji, zostawiając Pelignusa z Radamistem. Dodaj, że cała piątka zgodziła się pójść ze mną.

– Tak, panie.

Wespazjan ugryzł kęs i nim go przełknął, przeżuwał jakiś czas w zamyśleniu.

– To naprawdę jest bardzo smaczne, Hormusie – przyznał w końcu.

– A mówiłem, że nauczę go dobrze gotować – odezwał się niewyraźnie Magnus. – I lubczyku jest tu tyle, ile trzeba.

– A ja myślałem, że mówienie z pełnymi ustami uważasz za przejaw złych manier.

– To zależy od rodzaju przeżuwanego mięsa. – Magnus uśmiechnął się

i dalej żuł głośno.

Wespazjan kiwnął głową w stronę odrzuconej poły namiotu.

– Idź teraz, Hormusie, i daj Mindosowi kolację. Można mieć nadzieję, że jego maniery będą równie złe jak Magnusa.

Hormus odszedł ze zdezorientowaną miną.

– Myślisz, że to zrobi? – spytał Wespazjan.

– Jasne.

– Chyba masz rację. Ma o wiele więcej pewności siebie, odkąd przybyliśmy na Wschód. W końcu może być użyteczny.

– Powiedziałbym, że już jest. Czego się spodziewasz, kiedy Pelignus usłyszy to twoje kłamstewko?

– Spodziewam się, że nagle stanie się ono prawdą.

Wespazjana obudziły rogi, ale nie był to sygnał pobudki; trąbiono na alarm.

Wyskoczył z łóżka polowego; w tej samej chwili Hormus wpadł do sypialnej części namiotu. Zaczął wkładać na tunikę przednie i tylne części zbroi, podczas gdy niewolnik zajmował się jego pasem i sandałami. Z przewiązaną w pasie szarfą wskazującą jego rangę, pas z mieczem przerzucił przez ramię i popędził przez namiot, po drodze zawiązując pod brodą pasek hełmu. Magnus czekał już na niego, pozornie nieprzejęty, i spokojnie pałaszował z miski zimny gulasz z wieprzowiny i ciecierzycy.

– Co się dzieje? – spytał Wespazjan i nie zatrzymując się, wyszedł na zewnątrz, gdzie wciąż panowała ciemność.

– Chuj wie. Nerwowi wartownicy?

Rzymski obóz dla niewprawnego oka mógł sprawiać wrażenie ogarniętego chaosem, jednak kiedy Wespazjan rozejrzał się po oblanym światłem pochodni rzędach namiotów, zobaczył jedynie przebiegającą w całkowitym porządku zbiórkę niemal czterech tysięcy żołnierzy z pięciu kohort. Każdy żołnierz, ubrawszy się dwa razy szybciej niż normalnie, udawał się na wyznaczoną pozycję. *Bucinae* zupełnie już niepotrzebnie trąbiły na alarm, podczas gdy centurioni i ich zastępcy rykiem nakazywali ludziom formować szyk przy chorążych; niewolnicy biegali, zapalając kolejne pochodnie, tak że wkrótce teren zajmujący pół mili kwadratowej, otoczony drewnianą palisadą, był dobrze oświetlony migotliwym światłem. Zanim Wespazjan i Magnus zbliżyli się do *praetorium*, kwatery dowódczej pośrodku obozu, zdążyli dojrzeć, że większość centurii tych dwóch kohort, które stawały w szyku wzdłuż *via Praetoria*, miała już praktycznie pełen stan osobowy i tylko garstkę maruderów centurioni zaganiiali na miejsce. Wespazjan nie wiedział, czy wojska armeńskie i iberyjskie w obozie położonym na wschód od rzymskiego są również postawione w stan gotowości, ale miał taką nadzieję, dla ich własnego dobra, tym bardziej że Radamist nie otoczył obozu częstokołem, zgodnie z zasadą, że król Armenii przed nikim się nie ukrywa.

Kiedy już miał wejść do pretorium, przez wrzask oficerów i przenikliwy dźwięk rogów przebił się jeszcze ostrzejszy ton; Wespazjan natychmiast go rozpoznał i teraz już wiedział, że Hormus jest wobec niego bezwzględnie lojalny.

– Nie próbujcie temu zaprzeczać, zdrajcy! Renegaci! Zaprzańcy! Dezerterzy! Tchórze! Zdejmuję was ze stanowisk dowódczych. Straże, brać ich, a potem sprowadzić mi tutaj w łańcuchach Tytusa Flawiusza Wespazjana!

Pelignus dyszał ciężko, a jego wylupiaste oczy były jeszcze bardziej niż zwykle wytrzeszczone. Obdarzył każdego z prefektów wojsk pomocniczych wściekłym spojrzeniem, kiedy Wespazjan, zostawiwszy Magnusa na zewnątrz, wszedł do namiotu. Stojący na warcie żołnierze nawet nie drgnęli, by zastosować się do rozkazu wrzeszczącego Pelignusa.

– Słyszałem, że chciałeś się ze mną widzieć, prokuratorze – powiedział Wespazjan, zupełnie jakby żądanie Pelignusa było najbardziej uprzejmym i zgodnym z najlepszymi manierami zaproszeniem.

Pelignus spiorunował go wzrokiem, oczy coraz bardziej wychodziły mu z orbit.

– Brać go! – zdołał w końcu wykrztusić, z gardłem najwyraźniej ściśniętym furią. Trzęsący się zakrzywiony palec wycelował w Wespazjana, żeby pomóc straży w zidentyfikowaniu zasługującego na areszt szubrawca. I znowu żołnierze nie zareagowali. – Brać go! To rozkaz!

– O co chodzi, prokuratorze? – spytał Wespazjan tonem dorosłego, który chce poznać przyczynę niesfornego zachowania krnąbrnego dziecka.

– Spiskowaliście za moimi plecami, wy wszyscy! Teraz, kiedy pozbawiłem was dowództwa, każę wszystkich uśmiercić.

– Rzeczywiście? Może nam powiesz, dlaczego uważasz takie radykalne posunięcie za niezbędne?

– Chcicie zabrać mi moich żołnierzy.

– Kto ci to powiedział?

– Wiem, że tak jest. Wcześniej wieczorem spotkaliście się w twoim namiocie, Wespazjanie. Prefekci zgodzili się pójść za tobą do Kapadocji, a mnie, ich legalnego dowódcę, zostawić tutaj.

Wespazjan spojrział na prefektów. Mieli miny tak samo zadziwione bredniami prokuratora jak i on.

– Czy któryś z was, panowie, przypomina sobie takie spotkanie?

Fregallanos popatrzył na garbusa z obrzydzeniem.

– Nie przypominam sobie takiego spotkania, Pelignusie – oświadczył – bo niczego takiego nie było. Jesteśmy ludźmi honoru i potraktowalibyśmy spiskowanie przeciwko naszemu dowódcy, niezależnie od tego, co o nim możemy myśleć, jako spisek przeciwko samemu cesarzowi.

Manniusz splunął na ziemię.

– Gdyby doszło do takiego spotkania, nie zgodziłbym się postąpić wbrew twoim rozkazom i nie planowałbym zabrania kohorty do Kapadocji mimo tego, co myślę o twoich wojskowych umiejętnościach, i mimo że zamierzałeś rano ryzykować nasze życie w nieroztropnym ataku. Ale teraz? Nie podoba mi się, kiedy tchórzem nazywa mnie człowiek, którego ani razu nie widziałem na murze, kiedy nas wczoraj atakowano. Nigdy nie służyłem pod rozkazami kogoś tak nienadającego się na dowódcę. Takiego, który, gdyby tylko dano mu wybór, zawsze podjąłby niewłaściwą decyzję. Pozbawiłeś nas wszystkich dowództwa, ty kurduplu, a teraz my z powrotem je obejmujemy. Straże, brać go!

Tym razem żołnierze zareagowali na rozkaz i ruszyli do przodu.

Pelignus zaskomlał i odskoczył od biurka. Wespazjan patrzył z niedowierzaniem, jak ten człowieczek robi uniki i uskakuje, uchyla się i kluczy wokół namiotu, podczas gdy dwaj wartownicy usiłują go schwytać, zupełnie jakby to była gonitwa z komedii teatralnej. Mimo ułomności prokurator był szybki niczym jakiś zwinny gryzoń i wkrótce, przechytrzywszy swoich prześladowców, wymknął się z namiotu.

– Zostawcie go! – rozkazał Wespazjan dwóm zażenowanym własną nieudolnością żołnierzom, po czym zwrócił się do prefektów. – Z pewnością pobiegnie do Radamista – powiedział.

– A niech ten arogancki wschodni śmieć go sobie bierze. – Kotta przemówił w imieniu wszystkich obecnych, sądząc po ich wyrażającym zgodę pomruku. – To co teraz robimy?

Pytanie było skierowane do kolegów, jednak odpowiedzi wszyscy szukali u Wespazjana.

– Wygląda na to, że macie do wyboru wycofać się do Kapadocji albo z Radamistem na północ, do Armenii. Chyba że wolicie stoczyć tutaj bitwę, w której nie możecie zwyciężyć.

Manniusz zadał pytanie, nad którym wszyscy się zastanawiali:

– Co my tu w ogóle robimy? Przecież nie da się utrzymać kraju takiego jak Armenia z pięcioma kohortami wojsk pomocniczych.

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Będziecie musieli spytać o to Pelignusa, to był jego pomysł. Ja jedynie przedstawiałem pewne sugestie, kiedy były potrzebne. – Było to brzydkie kłamstwo, ale przekonujące w świetle zachowania prokuratora. Jednakże teraz, kiedy kohorty spełniły już swoje zadanie, zależało mu bardzo na tym, by powróciły na miejsce stacjonowania bez dalszych strat. – Osobiście uważam, że nie macie już z tym nic wspólnego, odkąd wasz były dowódca okazał się niezrównoważonym kretynem. Jeśli będziecie musieli wycofać się w obliczu przeważających sił, to zamiast udać się na północ, na nieznaną tereny, lepiej byłoby wrócić do domu i wysłać wiadomość do namiestnika Syrii, mając nadzieję, że zjawi się z legionem

czy dwoma, by pomóc w usunięciu Partów.

Kiedy prefekci zaczęli dyskutować między sobą nad różnymi możliwościami, ponownie rozległ się głos rogów; i znowu trąbiono na alarm. Wespazjan ruszył do wyjścia z namiotu, a za nim podążyli wszyscy prefekci.

– O co chodzi, Magnusie?

– Nie mam pojęcia, panie. Jednak jeśli rzeczywiście mamy kłopoty, to dobrze się składa, że chłopcy są już na nogach, przygotowani i ustawieni w tych ślicznych równiutkich szeregach, na których tak zależy centurionom.

Wespazjan przesunął wzrokiem po stojących wzdłuż *via Praetoria* żołnierzach, którzy bez wątpienia, tak jak i on, chcieliby wiedzieć, co się dzieje. Zobaczył, że jakiś jeździec zbliża się cwałem, co było sprzeczne z obowiązującymi przepisami; prawdę mówiąc, krzywiono się na jakąkolwiek jazdę konną na terenie obozu, ponieważ uważano, że przynosi pecha.

– Gdzie jest prokurator? – krzyknął jeździec, osadzając gwałtownie wierzchowca.

– Zniknął – powiedział mu Wespazjan. – Po co ten alarm?

– Partowie zaskoczyli obsadę mostu. Przejęli już nad nim kontrolę i przedostają się na tę stronę dużymi siłami.

– To niemożliwe, strzegło go pół kohorty.

– Nie mówię o naszym moście, tylko o tym drugim, strzeżonym przez Armeńczyków. Partowie go naprawili i przeszli na drugą stronę rzeki, by zająć armię Radamista od tyłu.

Wespazjan starał się ukryć wstrząs, jaki wywołała ta informacja, i zwrócił się do zebranych prefektów.

– No cóż, panowie, proponuję, byście wysłali na wschód stosowne siły, na wypadek gdyby Partowie przebili się przez wojsko Radamista. Niech nas ochraniają, kiedy będziemy w pośpiechu budować obóz. Wygląda na to, że decyzję podjęto za was. Droga na północ jest odcięta.

Wespazjan gnał na koniu najszybciej jak się odważył w bladym świetle brzasku. Słyszał już tumult nieufortyfikowanego obozu Radamista, zagłuszający hałas powstały przy rozbijaniu obozu przez żołnierzy oddziałów pomocniczych, oraz dźwięk rogów kohort rozmieszczonych jako osłona. Jednakże pomimo tysięcy podniesionych głosów jak dotąd nie usłyszał szczęku broni ani krzyków rannych czy zabijanych.

Nikt go nie zatrzymywał, kiedy przekroczył granicę armeńskiego obozu, gdzie bez ładu i składu kłębiła się jazda. Przedarł się przez ten zamęt najszybciej jak mógł i nawet udało mu się nie stratować nikogo z biegających w kółko ludzi, najwyraźniej starających się pokazać, że coś robią. Wreszcie dotarł przed namiot Radamista, gdzie zastał króla, który w wysokiej koronie Armenii, okryty łuskową zbroją, wyglądał olśniewająco. Wsiadał właśnie do okazałego czterokonnego

rydwanu.

– Co robisz, Radamiście? – zawołał, zatrzymując się obok uzurpatora.

Radamist zignorował pytanie, a jego konni gwardziści otoczyli rydwan, odpychając Wespazjana. Wtedy król znieruchomiał na moment i spojrzał na Rzymianina, marszcząc brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. Wykrzyczał coś w swoim języku i z głębi cienia otrzymał odpowiedź, jak się Wespazjanowi zdawało, potwierdzającą. Woźnica strzelił z bata nad kłębami koni i rydwan otoczony przyboczną strażą króla ruszył w kierunku mostu, który armia Radamista miała utrzymać.

– Król zamierza negocjować – powiedział Pelignus, który wyszedł z cienia, trzymając za uzdę wierzchowca. Towarzyszyło mu kilku królewskich gwardzistów.
– Teraz, kiedy moi ludzie mnie opuścili i mamy tylko połowę naszych sił, zostaliśmy otoczeni.

Wespazjan spojrzał w dół na prokuratora.

– Co zamierza zrobić? – spytał. – Poddać się?

Pelignus roześmiał się drwiąco.

– Król Armenii nikomu się nie poddaje – odparł. – W razie potrzeby będzie walczył.

– On nie jest królem.

– Ależ jest, może zauważyłeś koronę, którą ma na głowie. Ja ją tam umieściłem w imieniu Rzymu, żeby potwierdzić jego pozycję. To da mu niezbędny prestiż w negocjacjach z barbarzyńcami.

– Ty skarłały idioto. Musi sobie na to u nas zasłużyć, a nie dostać bez żadnych warunków.

Jeden z członków eskorty Pelignusa splótł dłonie; prokurator stanął na nie i z wielkim trudem, niezdarnie wdrapał się na siodło. Popatrzył na Wespazjana, kiedy jego ochrona dosiadała wierzchowców.

– Jedź ze mną, to zobaczysz, jakie będą wyniki negocjacji. Prawdę mówiąc, Radamist prosił, żebyś przybył. Myślę, że słowa jego przysięgi lojalności wobec Partii zrobią na tobie wrażenie. Oczywiście król Armenii nie musi dotrzymywać przyrzeczenia złożonemu komuś tak nieważnemu jak satrapa Niniwy. Partia się wycofa, król Armenii nie dochowa przysięgi i pozostanie na tronie z koroną przekazaną mu przez Rzym, a ja odniosę największe dyplomatyczne i wojskowe zwycięstwo od czasu, kiedy August wynegocjował zwrot orłów utraconych przez Krassusa pod Karrami. Spodziewam się hojnej nagrody od wdzięcznego cesarza.

– Partia nigdy nie będzie tolerowała złamania umowy. Wrócą miesiąc po tym, jak Radamist się od niej odetnie – odparł Wespazjan i zawrócił konia zadowolony, że w sytuacji, w której Radamist złoży przysięgę lojalności i potem ją złamie, musi dojść do wojny, a tym samym jego misja zostanie wypełniona. – Ale nie, nie dołączę do ciebie mimo uprzejmego zaproszenia Radamista. Wracam do

Kapadocji, już się dość naoglądałem sposobów załatwiania spraw na Wschodzie.

– Och, nie widziałeś wszystkiego, Wespazjanie. Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinieneś zobaczyć. – Pelignus rozciągnął mizerną twarz w coś, co miało być sympatycznym uśmiechem, ale dla Wespazjana wyglądało jak zaawansowane stadium *rigor mortis*. – To nie było zaproszenie króla. – Dał znak eskorcie. – Tylko rozkaz – dodał.

W jednej chwili wycelowało w niego sześć grotów włóczni; był otoczony.

– Zabierzcie mu miecz – rozkazał Pelignus, ruszając za Radamistem – i zwiążcie ręce.

Wespazjan siedział na swoim wierzchowcu, nadgarstki miał mocno związane i przytwierdzone do łąku siodła, tak by nie mógł pokierować koniem i się oddalić. Pelignus co chwilę rzucał mu triumfalne spojrzenia. Dziesięć kroków przed nimi Radamist stał w swoim rydwanie, przodem do Babaka, prowadząc z nim długą rozmowę, w bardzo kwiecistym stylu, jak zakładał Wespazjan, bo każde słowo wypowiedane w niezrozumiałym języku zdawało się trwać w nieskończoność, a wszystko to podkreślano uprzejmymi gestami. Chociaż Pelignus również nie miał pojęcia, o czym rozmawiano, to od czasu do czasu skinieniem głowy wyrażał aprobatę. Po chwili Wespazjan dostrzegł, że stojący z drugiej strony prokuratora członek eskorty tłumaczy mu szeptem treść rozmowy. Za jego plecami armeńska armia ustawiona była w szyku bitewnym, podczas gdy za Babakiem niewielka liczba spieszonych jeźdźców obsadziła most. Nie było ich dość, by zaatakować i pokonać zastępy armeńskie, ale niewątpliwie wystarczyło, by przeszkodzić im w przeprawie przez rzekę.

Wespazjan był przekonany, że Babak zgodzi się na warunki Radamista i pozwoli mu przejść w drodze na północ. Satrapa pozostanie w Tigranocercie, dopóki nie dotrą do niego wieści o zdradzie Radamista; wtedy poprowadzi swoją armię w głąb Armenii i Tryfena będzie miała swoją wojnę.

Wyglądało na to, że negocjacje zbliżają się do końca. Wespazjan szarpnął krępujące go więzy.

– Rozwiąż mnie, Pelignusie – rzucił.

– Już niedługo zostaniesz uwolniony – odparł prokurator.

Ledwo Pelignus skończył mówić, Radamist odwrócił się i dał znak członkowi straży, który trzymał wierzchowca Wespazjana. Mężczyzna poprowadził zwierzę do przodu i nie zatrzymując się przy swoim panu, posuwał się dalej w stronę Babaka, który dał znak jednemu z ludzi swojego orszaku, by przejął wodze.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostrym tonem Wespazjan.

Satrapa dał znać swoim ludziom na moście i ci zaczęli się usuwać, by zrobić miejsce armeńskiej armii.

Przejeżdżając u boku Babaka przez most, Wespazjan powtórzył pytanie.

– W moim kraju jest zwyczaj, by kończyć interesy jakimś zabezpieczeniem – poinformował go Part. – A ty właśnie czymś takim jesteś. Jeśli Radamist złamie dane słowo i Rzym przyśle swoje wojska, by go wesprzeć, wtedy, dopóki ich nie usuniemy, będziesz pędził życie w najciemniejszym lochu w Adiabene.

– Ale przecież ty wiesz, że on nie dotrzyma słowa.

– Czyżby? Przysiągł na Ahurę Mazdę. Dla niego nie istnieje potężniejszy bóg.

– Ale przysiągł tobie, a on uważa, że masz o tyle niższy status od niego, iż nie musi się przejmować złożoną ci przysięgą.

Babak aż szarpnął za uzdę, słysząc tę obelgę.

– Z tego wynika, że sprawy nie przedstawiają się zbyt dobrze dla ciebie jako zakładnika Partii – oświadczył.

CZEŚĆ III

IMPERIUM PARTYJSKIE

ROK 52

Rozdział dwunasty

Co mam z nim zrobić, Ananiaszu?

Wespazjan klęczał na posadzce ze związanymi na plecach rękoma. Czuł w ustach żelazisty smak krwi, a z rozcięcia nad prawym, zapuchniętym okiem na marmurową posadzkę kapąła krew. Jego dręczyciel, potężnie umięśniony brodaty niemowa, odziany jedynie w przepaskę biodrową, stał przed nim, masując zaczerwienione od mnóstwa uderzeń, jakie mu zadał, knykcie.

– Bo chyba nadstawia drugi policzek.

Gdyby Wespazjan nie był tak obolały, uśmiechnąłby się na takie określenie sposobu, w jaki przyjmował ciosy. Podniósł wzrok na mówiącego; mężczyzna siedział na drewnianym tronie, którego złote i srebrne inkrustacje tworzyły dziwnie obce zwierzęce wzory. Miał nieco ponad pięćdziesiąt lat, długą siwą brodę, biały zawój na głowie, płaszcz w czarno-biały wzór na ramionach. Nie wyglądał na króla Adiabene. A przecież nim był, a co więcej, o czym Wespazjan doskonale wiedział, był żydowskim konwertytą. Jednak nie został wyznawcą głównego nurtu tej religii, tylko nowego kultu, propagowanego przez konkurentów Pawła w Jerozolimie.

– Królu Izatesie, nasz mistrz Jozua rzeczywiście nauczał, że sprawiedliwi nadstawiają drugi policzek – odparł mężczyzna zwany Ananiaszem. – Jednak ten człowiek nie jest Żydem, a nauczanie Jozuy dotyczy tylko Żydów, a nie takich nieżydowskich psów jak ten niewierny śmieć. – Ananiasz, mrużąc kaprawe oczy, zajrzał do zwoju, który trzymał w drżących, pokrytych starczymi plamami dłoniach. – Mam tu zapisaną większość tego, co mówił, pozostawioną nam przez jego ucznia Tomasza, który udał się na Wschód, by nauczać tam Żydów i innych bogobojnych ludzi. Wynika z tego jasno, że sprawiedliwymi są jedynie ci, którzy lękają się Boga, czy to jako Żydzi, czy jako ludzie bogobojni, którzy wyznają większość zasad tej religii. Ten człowiek nie może być jednym ze sprawiedliwych.

– Skoro tak mówisz. – Król Izates przyglądał się uważnie Rzymianinowi przez chwilę, po czym zwrócił się do kobiety siedzącej obok niego, na mniejszym tronie. – Symacho, moja miłości, powiedz mi, z głębi swojego kobiecego serca, co zrobiłabyś z tym zakładnikiem, by uhonorować Radamista, króla Armenii? Teraz, kiedy ten iberyjski łgarz wyparł się przysięgi lojalności złożonej mojemu panu, wielkiemu Królowi Wologazesowi, pierwszemu noszącemu to imię, a Umadiusz Kwadratus, namiestnik rzymskiej Syrii, wysłał legion do Armenii, powinno się odebrać życie temu człowiekowi. – Wskazał ręką Wespazjana. – Jednak Babak powiedział mu, że zostanie tylko wrzucony do najgłębszego lochu na resztę swojego życia, jeśli traktat zostanie zerwany.

– Zatem uczyn tak, mój królu. – Kobieta spojrzała na Rzymianina i uśmiechnęła się.

W ciągu dwóch miesięcy, które spędził jako zakładnik w Arbeli, królewskiej

stolicy Adiabene, Wespazjan dzielił wiele posiłków z królewską parą i towarzystwo starzejącej się królowej okazało się o wiele ciekawsze od towarzystwa jej mającego obsesję na punkcie religii małżonka czy któregośkolwiek z jego dwadzieścioro czworga dzieci z różnych matek. Izates wykazywał ciasny fanatyzm, typowy dla konwertyty, nieustannie perorując o swojej nowej religii i próbując stosować jej zasady we wszystkich dziedzinach, ku oczywistemu niezadowoleniu, jak zauważył Wespazjan, sporej liczby jego dworzan, którzy trwali, podobnie jak Babak, przy dawnych bogach Asyrii. Symacho natomiast nie obnosiła się ze swoją nową wiarą i dlatego była o wiele spokojniejsza i bardziej otwarta. Wespazjan niemal jej przebaczył, że zachęcała małżonka, by go uwięził na resztę jego dni; osobiście wolałby szybką śmierć.

Kolejne uderzenie w głowę na chwilę go zamroczyło; najwyraźniej Izates nakazał dalej okładać go pięściami, podczas gdy on sam będzie rozważać ten problem w świetle religii.

Obecna sytuacja diametralnie różniła się od tej, z jaką się spotkał po przybyciu do Arbeli; wtedy, nawet jeśli nie był mile widzianym gościem, traktowano go całkiem uprzejmie.

– Cieszę się, że Pan przysłał cię do mnie – przywitał Wespazjana król Izates w dniu jego przybycia.

Stali na ogromnych murach obronnych wieńczących owalne wzgórze, długie na czterysta pięćdziesiąt i szerokie na trzysta pięćdziesiąt kroków, na którym od ponad sześciu tysięcy lat stała Arbela. Wzgórze wznosiło się stromo na wysokość stu stóp z każdej strony i kończyło niemalże płaskim szczytem, przez co wyglądało jak ogromna podstawa czekająca, aż bogowie wzniosą na niej potężną kolumnę, która sięgnie w górę i podeprze niebiosa.

Od niepamiętnych czasów Arbela górowała nad rozciągającą się we wszystkie strony równiną asyryjską, nawodnioną i żyzną krainą, która dała potęgę asyryjskim królom, zanim podporządkowali ich sobie najpierw Medowie, potem Persowie, a jeszcze później Aleksander Wielki. Jego zwycięstwo nad Dariuszem III pod Guagamelą, odległą zaledwie o osiemdziesiąt mil, zwiastowało niemal trzy stulecia hellenistycznych rządów, podczas których Adiabene udało się zostać autonomicznym królestwem. Teraz to miasto, jedno z najstarszych na świecie, było poddane Partii i właśnie w tamtym kierunku spoglądał wtedy Wespazjan, jednym tylko uchem słuchając królewskiego gospodarza, który, jak się zdawało, potrafił rozmawiać prawie wyłącznie na tematy teologiczne.

– To On pokazał mi sposób rozwiązania problemu – ciągnął Izates.

– Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, uczynię to z przyjemnością – odpowiedział Wespazjan w roztargnieniu, pewien, że jego pozycja jest wyższa niż zwykłego zakładnika. Utwierdził go w tym przekonaniu sposób, w jaki tu go przyjęto po trwającej miesiąc wędrówce na południe z głównymi siłami armii

Babaka. Nie zamknięto go ani nie pilnowano, a monarcha zaprosił go na zwiedzanie murów obronnych. Nudził go śmiertelnie gadaniną o żydowskim bogu i głędzeniem na temat proroka, którego ten zesłał, by ocalił Żydów oraz tych, którzy czuli bojaźń przed owym bogiem, wyzwalając ich od kapłanów i wszelkich pozostałości kontroli człowieka nad tą najczystsza z religii... czy coś w tym sensie. Rzymianin nawet nie próbował zmierzyć się ze szczegółami.

– Możesz, Wespazjanie, dzięki Bożej łasce możesz.

– Jak?

– Czy sądzisz, że Radamist dotrzyma słowa? Ostatecznie przysięgał na Ahurę Mazdę, a taki bóg, co oczywiste, nie istnieje.

Rzymianin w dalszym ciągu spoglądał na przestwór partyjskiego imperium.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo jest tylko jeden bóg, z czego wynika, że pozostali nie istnieją.

– Byłem świadkiem, jak się bogowie objawiają. Widziałem, jak bogini Sullis i bóg Hejlel przejmują ciała zarówno ludzi martwych, jak i żywych.

– Hejlel? Ten, który stracił Bożą łaskę przez swoją arogancję? On nie był bogiem, tylko aniołem.

Wespazjan był znużony tą ciągłą teologiczną dyskusją, w którą król go wciągał.

– To jest to samo. Istota nadprzyrodzona, która ma znacznie większą moc od człowieka, niewątpliwie wymaga czci. Nazywaj Hejlela, jak chcesz, ale ja zwę go bogiem i chyba wiem lepiej, bo go spotkałem.

Izates cmoknął i uśmiechnął się dobrodusznie niczym cierpliwy nauczyciel do utalentowanego, ale niestety wprowadzonego w błąd ucznia.

Wespazjan zignorował to protekcjonalne zachowanie, świadomy, że sam wypowiedział się zbyt ostro jak na zakładnika; powściągnął zatem język.

– Rzecz w tym, że Radamist nie ma zamiaru dotrzymać przyrzeczenia. Nie chodzi o to, czy wierzy, czy nie wierzy w Ahurę Mazdę, tylko o to, że według niego król Armenii nie musi dotrzymywać żadnych umów zawartych z byle satrapą Niniwy.

– Aha! Zatem jesteśmy zgodni co do tego, jak postąpi Radamist?

– Tak, ale nie w tym, dlaczego tak postąpi. – Wespazjan zagryzł wargę, usiłując opanować rosnącą irytację.

– Tak więc mój Pan dał mi sposób, jak mogę pokazać światu, że jestem człowiekiem sprawiedliwym, mogę pokazać wielmożom, takim jak Babak, którzy trzymają się bogów dawnej Asyrii, że potrafię być miłosierny, ale jednocześnie niezłomny w swojej wierze. Dzięki temu, że Bóg dał mi ciebie, pokażę moim wielmożom, że powinni zaprzestać spiskowania i dołączyć do mnie w oddawaniu czci jednemu prawdziwemu bogu i jego prorokowi Joszui.

Wespazjan stał się nagle bardzo czujny; nie podobał mu się kierunek,

w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Niby jak możesz to zrobić ze mną? – zapytał. Głos miał przyciszony, a słowa wypowiadał powoli, patrząc na króla, któremu oczy rozbłysły szczęściem niczym oczy niewinnego dziecka.

– Kiedy Radamist złamie dane słowo, twoje życie dobiegnie kresu. Mogę ze swojego niezadowolenia zrobić publiczny pokaz i wymyślić jakiś bardzo nieprzyjemny i długotrwały proces twojej egzekucji, a w jego połowie okazać ci łaskę, jeśli przyjmiesz chrzest wprowadzający do tej wiary. Ty się oczywiście na to nie zgodzisz, zresztą kto by się zgodził? Kiedy szlachetni panowie o tym usłyszą, popędzą do rzeki, żeby w imię Jozui się w niej zanurzyć. Rozumiesz? To proste.

Wespazjan zagapił się na króla, uzmysławiając sobie, że Izates stracił poczucie rzeczywistości.

– Jestem rzymskim prokonsulem. Nie możesz mi grozić egzekucją, a potem zmuszać mnie do odrzucenia religii przodków, nie wywołując poważnego incydentu.

Izates poklepał go łagodnie po ramieniu.

– Bzdury, Wespazjanie. Kiedy Radamist złamie przysięgę, będę mógł zrobić z tobą, co tylko zechcę.

– Babak powiedział mi, że jeśli do tego dojdzie, to zostanę wrzucony do lochu i trzymany tam dotąd, dopóki Rzym się nie wycofa.

Izates miał zaskoczoną minę.

– Tak powiedział? – zapytał.

– Tak.

– Nie powiedział, że zostaniesz stracony?

– Nie.

– To okropne.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jeśli powiedział, że masz żyć, to musisz żyć. Bóg nigdy by nie pochwałał pouczenia moich wielmożów na podstawie czegoś, co nie jest honorowe. A oni z kolei zwróciliby moją uwagę na to, że nie dotrzymuję obietnic, tak jak przystało na wyznawcę Aszura, dawnego boga Asyrii, który nakazuje walczyć o *kettu*, czyli prawdę. Powiedzieliby, że ten jedyne prawdziwy bóg reprezentuje *hitu*, fałsz. To bardzo smutne, wręcz okropne. Naprawdę powiedział, że masz zachować życie?

Zdumiony Wespazjan otworzył szeroko usta.

– Niestety, tak powiedział – oświadczył.

Izates położył mu dłoń na ramieniu i posłał pełne zrozumienia spojrzenie.

– Nie przepraszaaj, to nie twoja wina. Ty nic w tej sprawie nie możesz uczynić. Toż to w najwyższym stopniu nieznośne i irytujące. – Odszedł, szepcząc coś do siebie, a oniemiały Wespazjan odprowadzał go wzrokiem.

Nagle Rzymianin poczuł przeszywający ból i przed oczyma zamigotały mu jasne punkty. Czuł, że się osuwa na posadzkę, i miał tylko nadzieję, że pozwolą mu tam zostać, podczas gdy zdumiony król będzie zmagał się z problemem, jak uczynić sytuację Wespazjana fałszywym dowodem na jakąś więź z jego własnym bogiem i odciągnąć swoich dworzan od Aszura. Rozczarował się jednak; zamknąwszy oczy, czuł, jak go stawiają na nogi i wymierzają serię szybkich ciosów w brzuch i żebra. Zabrakło mu tchu. Ponownie ugięły się pod nim nogi i kiedy upadał, słyszał jak przez mgłę, że król coś wykrzykuje. Przeszono go bić i zostawiono sam na sam z narastającym bólem złamanych żeber i posiniaczonej, opuchniętej twarzy.

– Nie zyskam nic w oczach Boga, pozwalając temu tutaj wybierać pomiędzy więzienną celą i chrztem – oświadczył Izates. – Bo jak mogę dać mu życie, skoro nie zamierzam mu go odebrać? Co sobie pomyślą wielmoże, którzy nie chcą dołączyć do mnie w tej jedynej prawdziwej wierze? Nie zobaczą u mnie wielkoduszności ani mocy miłości Boga, tylko moją słabość, a także desperację człowieka, który dla odzyskania wolności gotów jest zrobić wszystko. Zabierzcie go i wyślijcie wiadomość do cesarza Klaudiusza, że Tytus Flawiusz Wespazjan nie będzie istniał dla świata do czasu, aż ten kłamliwy uzurpator Radamist zostanie usunięty z armeńskiego tronu, a Umadiusz Kwadratus, namiestnik rzymskiej Syrii, wycofa swoje legiony z tej krainy. Dopóki to się nie stanie, pozostanie on w miejscu odosobnienia, a armia Adiabene będzie bronić honoru Wielkiego Króla Partii przeciwko rzymskiej agresji. W Armenii dojdzie do wojny.

I tak stało się zadość życzeniu Tryfeny, pomyślał Wespazjan, kiedy ciągnięto go po gładkim marmurze posadзки, i nie będzie dążyła do pokoju, by go ratować, nawet gdyby to było w jej mocy. Wiedział, że nikt w Rzymie nie przejmie się jego losem: Agrypina będzie zachwycona, że przy okazji zapewnienia synowi cesarskiego tronu pozbyła się znieawidzonego człowieka. Pallas nie zrobi nic, co mogłoby zagrozić tej sukcesji, a Narcyz prawdopodobnie nie dostrzeże w partyjskiej wojnie subtelności zagrożenia dla swojej pozycji, aż będzie za późno i Neron zostanie cesarzem, a jego samego czeka śmierć.

No cóż, pomyślał już spokojniej Wespazjan, wygląda na to, że jakiś czas tutaj zostaną. Nie mogę się spodziewać, że mnie uratują, dlatego nie będę żył taką nadzieją i przez to się nie rozczaruję. Nie będę miał żadnych nadziei, bo zawiedzione nadzieje rodzą rozpacz.

I kiedy więzienni strażnicy wlekli go w dół, aż do fundamentów starożytnej stolicy Adiabene, w czeluść wydrążoną przed tysiącletkami, gdzie czas miał zupełnie inne znaczenie, Wespazjan ponownie zagłębił się w swój umysł i otoczył kokonem myśli i wspomnień. Głęboko, w trzewiach Arbeli, zamknięto go w celi, która była świadkiem niezliczonych lat cierpień; w miejscu, gdzie panowały szczury i różne nieznanne rzeczy, a czas tylko nękał. Znalazł się w królestwie

rozpaczy, wiedząc, że rozpacz to uczucie, przed którym musi się obronić.

Nie warto było trzymać otwartych oczu, bo rzadko światło rozjaśniało tu ciemność na tyle, żeby mógł coś zobaczyć. Co jakiś czas słyszał zgrzyt klucza w zamku, a potem skrzypienie i trzaśnięcie ciężkich drzwi, poprzedzające pojawienie się blasku dymiącej czarno pochodni, trzymanej wysoko przez jednego z dwóch strażników schodzących po wilgotnych, śliskich schodkach. Wespazjan to wiedział, bo przez zakratowane okienko w drzwiach celi można było zobaczyć kawałek wąskiego korytarza. Nie wiedział natomiast, jak często strażnicy przychodzili; mogło to być dwa razy dziennie, raz dziennie, albo też raz na kilka dni. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ stracił poczucie czasu i nie istniało dla niego pojęcie dnia, nocy, godzin czy miesięcy. W trzewiach Arbeli istniała tylko chwila, a tą chwilą było teraz.

Przybycie więziennych strażników niesło ze sobą nie tylko światło, ale także dźwięk. Oddalaniu się strażników korytarzem zawsze towarzyszyły przeciągłe zawrota czy błagania o przebaczenie, jęki bólu czy tylko zwyczajny szalony bełkot, świadcząc o stanie, w jakim znajdował się więzień za każdymi z tych wielu zamkniętych drzwi. Wespazjan nigdy nie wydał żadnego głosu, nawet wtedy, kiedy odryglowywano i otwierano kratkę w jego drzwiach. Po kilku pierwszych wizytach znał już rutynę i nie miał powodu, by się komunikować. Wysuwał kubek z nieczystościami, który opróżniano do odkrytego, biegnącego wzdłuż korytarza kanału, wpadającego gdzieś dalej, kto tam wie gdzie. Kubek wracał nieopłukany i cuchnący. Potem musiał podać i odebrać dwa pozostałe naczynia. Drewniany dzban napełniano wodą, której, sądząc po smaku, daleko było do czystości, ale nie miał zamiaru się jej przyglądać. Drewniana miska na pożywienie wracała do niego z jakąś breją, czasami z pływającą w niej chrząstką czy kością. Na koniec wrzucano mu do środka czerstwy chleb. Zaciskając dłonie na tym pożywieniu, wycofywał się do ostatniej już swojej własności: koca, w którym było więcej życia niż w zlepionym owłosieniu na jego ciele. Co jakiś czas wrzucano przez otwór trochę wilgotnej słomy, dla uzupełnienia butwiejącej sterty, na której leżała ta jego czwarta własność, ale to było jedynym odstępstwem od rutyny. Nie miał jak tego potwierdzić, ale sądził, że słoma pojawia się nie częściej niż raz w miesiącu, skoro za drugim razem go zaskoczono, bo minęło tyle czasu, że zdążył zapomnieć. Nie miał żadnej pewności, ale zdawało mu się, że pamięta kilka takich dostaw; jakie to jednak miało znaczenie? Pewne natomiast było, że nawet w tym podziemnym lochu, gdzie nie dochodziło światło słoneczne, odgradzone grubą warstwą pradawnego kamienia, zrobiło się zimniej i Wespazjan domyślił się, że na zewnątrz nadchodzi zima... jeśli to na zewnątrz wciąż jeszcze istniało.

I to była tylko jedna z wielu rzeczy, którymi zajmował się jego umysł, tak leniwie, jak to było możliwe. Nie było tam myśli o ucieczce czy o życiu po uwolnieniu, tylko wspomnienia miłych chwil i pytania abstrakcyjne, które nie

miały odpowiedzi albo też miały ich całe mnóstwo. Moczył powoli małe kawałki chleba w brei, mieszał ją z nieskończoną starannością w tym otchłannym mroku, odtwarzając sceny ze swojego życia, żując metodycznie, powoli, jak jakiś otumaniony bawół; wyraz jego twarzy, gdyby można go było zobaczyć, zmieniał się wraz z nastrojem kolejnego epizodu. Wzdrygnął się, przypomniawszy sobie w szczegółach to paskudne zastraszanie i bicie, jakim poddawał go Sabinus, kiedy był jeszcze mały. Ciepłym uśmiechem reagował na wspomnienia o pełnej miłości kurateli Tertulli, babki ze strony ojca, która wychowywała go w swojej posiadłości, kiedy jego rodzice przez siedem lat przebywali w Azji. Na jego twarzy malował się żal, gdy w serii epizodów pamięć ukazywała mu upadek przyjaciela, Kaliguli, który z tryskającego energią młodzieńca zmieniał się w oszalałego, zwyrodniałego despotę. Kiedy oczyma wyobraźni widział troje swoich dzieci, reagował narastającą dumą, której kulminacja następowała przy twarzy Tytusa, tak podobnej do jego własnej, rozjaśnionej uśmiechem, który zniknął wraz z pojawieniem się Flawii z jakimś kolejnym żądaniem. Zadowolenie przychodziło w rytmie rozpalającej go namiętności do Cenis, choć zdawał sobie sprawę z tego, że musi te myśli dawkować, bo masturbacja w takich okolicznościach mogłaby stać się uzależnieniem i wyssać resztki energii, jakie w nim jeszcze pozostały.

Mógł natomiast zupełnie beznamiętnie dokonywać przeglądu lekcji, jakie pobrał od Cenis, która zajmowała uprzywilejowaną pozycję w samym sercu cesarskiej polityki. Pełniąc funkcję sekretarki jego dobrodziejki, Antonii, aż do czasu, kiedy ta, rozczarowana swoim wnukiem Kaligulą, odebrała sobie życie, Cenis nabrała umiejętności zręcznego poruszania się pośród prywaty, jaka przeżarła rządzącą elitę. Rozumiała, że wiążąc się z jednym stronnictwem, nie należy dystansować się od innych. Nigdy nie pozwalała sobie na osobiste uwagi i dla niej to był zawsze tylko interes, dzięki czemu zyskała wpływową pozycję, po tym jak Antonia w testamencie obdarowała ją wolnością. Przetrwiała ostatni okres władzy Kaliguli i zamęt, jaki nastąpił po jego zabójstwie i wyniesieniu do władzy Klaudiusza. W kolejnych latach umiejętność okazania swej użyteczności zarówno dla Pallasa, jak i Narcyza pozwoliła Cenis ignorować ich nieustanne walki między sobą i jako sekretarka obu wyzwoleńców zbiła majątek, sprzedając do nich dostęp. Dostać się do tych faktycznych władców Rzymu można było tylko za jej pośrednictwem. Być może Wespazjan uśmiechnął się w ciemności, przypominając sobie wstrząs, jakiego doznał, kiedy Cenis powiedziała mu, jak wykorzystywała swoją pozycję, żeby się wzbogacić. Może nawet się roześmiał, kiedy policzył okazje, przy których od tamtego czasu sam skorzystał z jej lekcji. Pieniądze miały dla niego nadzwyczajne znaczenie, a dzięki Cenis nauczył się jak... znowu światło... ile czasu mogło minąć od ich ostatniej wizyty?

Tym razem było ich więcej; nie zawracał sobie głowy liczeniem ilu. Kiedy otwarto jego zakratowane okienko, z jednej z cel dobiegły go dzikie krzyki.

Wykonał rutynowe czynności z kubłem, miską i dzbanem i jak przez mgłę usłyszał głucho uderzenie z młaśnięciem, jakby rzeźniczy tasak rozcinał sztukę mięsa. Nie bardzo był świadom zawodzenia i przeszywających wrzasków, jakie nastąpiły; prawie nie poczuł zapachu palonego ciała, jaki im towarzyszył, bo całą uwagę skupił na wciskanej przez okienko słomie. A zatem więcej już czasu upłynęło w świecie zewnętrznym... to znaczy, o ile ten wciąż istniał.

Powstrzymał się od zanurzenia twarzy w słomie, bo choć była wilgotna i stara, to jednak była najświeższą rzeczą, jaką mógł poczuć, i przypominała mu... nie, nie popełni już drugi raz tego błędu. Ostatnim i jedynym razem, kiedy tak się stało, uśmiechnęła się do niego rozpacz, zimna i ponura, fałszywa przyjaciółka, która pojawiła się w pustce celi, i poczuł wtedy łzy napływające do oczu, i gdyby ich nie powstrzymał, wpędziłyby go w zaborcze ramiona tej oszustki.

Pomieszał breję, by zmiękczyć chleb; krzyki ucichły, przechodząc w żalosne jęki, które, jak obojętnie zauważył Wespazjan, teraz zdawały się dobiegać z drugiego końca korytarza. Ugryzł kęs i przeżuwał go powoli. Jakiś inny więzień, w jakiejś innej celi? A może kiedy indziej? To możliwe, bo pojawienie się ostatniej porcji słomy zdawało się odległe; jednak na pewno nie było to jakieś inne miejsce, bo otaczała go ta sama ciemność i strawa wciąż smakowała tak samo. Ale powietrze wydawało się cieplejsze, jakby upał panował w świecie zewnętrznym... jeśli taki wciąż jeszcze istniał.

Pokiwał powoli głową, przypominając sobie, że kiedy przyniesiono jedzenie, on właśnie myślał o reakcji wuja na tę jego szaloną teorię dotyczącą przepowiedni z nim związanej. Był świadom, że nie pierwszy już raz od momentu uwięzienia przywołuje w myślach tę rozmowę i analizuje znaczenie każdego znaku, zapowiedzi i każdego dobrze wróżącego wydarzenia związanego z tym, co być może było kiedyś jego przeznaczeniem. To słowo nic nie znaczyło; jakie przeznaczenie mogło się znaleźć w jednej pojedynczej chwili? Gdzie byłoby tam dla niego miejsce? Był prawie pewien, że kiedy wcześniej myślał o tych sprawach, w innej części tej chwili, którą zamieszkiwał, zebrał razem wszystkie przesłanki, po czym odrzucił wynikający z nich wniosek, bo to oznaczało wybiegnięcie do przodu; a tego ani nie chciał, ani nie mógł zrobić. Niemniej wspomnienie wuja, któremu słowa takie jak „cesarz” czy „purpura” więzły w gardle, bo się obawiał, że mogłyby zwrócić na siebie uwagę, chociaż nikogo nie było w pobliżu, sprawiało mu przyjemność, gdy pogrążony w myślach mieszał w misce breję i niespiesznie pogryzał chleb.

Jego jedynym doznaniem były przewijające się myśli, aż nagle poczuł klepięcie w prawe ramię. Otworzył oczy i wpatrzył się w ciemność z niedowierzaniem. Po chwili to się powtórzyło; tym razem dwa klepięcia. Obrócił powoli głowę, ale nic nie zobaczył; usłyszał natomiast jakiś daleki dźwięk, taki, który zdawał się dobiegać ze świata zewnętrznego... jeśli ten wciąż tam był.

Potem dźwięk ustał, jakby go nigdy nie było. To wszystko zmusiło jednak Wespazjana, by wytężył słuch, stał się świadomy świata, by wydostał się ze stanu wewnętrznego spokoju. Znieruchomiał wobec dziwnej ciszy, jaka nastaje tuż przed nadejściem burzy. Kiedy znów poczuł klepięcie, uświadomił sobie, że sam to robi: jego prawy bark stukał w ścianę, i to dlatego, że ziemia się poruszała. Znowu na zewnątrz rozległ się dźwięk, jednak tym razem nie ucichł, tylko narastał, i to współmiernie do wstrząsów, aż w końcu dźwięk i ruch zlały się w jedno doznanie. A potem z góry zaczęło coś się sypać, rozbijać na kamiennej podłodze wokół niego, on jednak tkwił w miejscu, przykucnięty na kocu, jak zawsze na stercie zbutwiałej słomy, podczas gdy z cel wzdłuż korytarza dochodziły go krzyki, a cały świat trząsał się od grzmiącej wściekłości podziemnych bogów.

Cisza przyszła nagle i przez chwilę panował całkowity spokój, zamilkły nawet rozpaczliwe krzyki więźniów. Nie trwało to jednak długo, a kolejny dźwięk zaskoczył Wespazjana: był to krzyk radości, dobiegający z pobliza. Wtedy przypomniał sobie historię, którą opowiedział mu Sabinus, tę o trzęsieniu ziemi druzgocącym bramy więzienia, w którym uwięziony był Paweł z Tarsu. Niezbyt jasna myśl zaświtała mu w głowie, czy to może jego bóg opiekuńczy, Mars, przyszedł mu z pomocą, tak samo jak bóg Pawła przyszedł go wtedy ratować. Rozejrzał się wokół i zobaczył coś, czego nie widział, od kiedy umieszczono go w tej chwili, której już nie opuścił. Ciemnoszary prostokąt, wyróżniający się w otaczającej go czarnej jak smoła czerni, był niewyraźnym zarysem otworu drzwiowego. Wpatrywał się weń z niedowierzaniem, aż zdołał ułożyć sobie w myślach modlitwę do Marsa z prośbą o wybawienie.

Stał na niepewnych nogach i z wyciągniętymi przed siebie ramionami ruszył ku temu światłu przewodniemu. Przekroczył leżące drzwi i na korytarzu zobaczył kilka niewyraźnych postaci drepzczących w stronę znajdujących się na jego końcu schodów. Obojętni na krzyki tych, którym trzęsienie ziemi nie otworzyło drogi na zewnątrz cel, szczęściarze wspinali się teraz po schodach i znikali za rozbitymi drzwiami.

Wespazjan, powłócząc nogami, szedł zasypczym gruzem korytarzem, nie mając pojęcia, w której stronie znajduje się świat zewnętrzny. Wiedział tylko, skąd się wydostał, i że nie ma ochoty tam wracać.

Pył szczypał go w oczy, leżące kamienie z murów groziły skrzyżowaniem nogi w kostce, jednak ziemia się uspokoiła i Rzymianin pozwolił, by zaświtała mu nadzieja, której sobie do tej pory odmawiał, i ośmielił się wybiec myślami poza obecną chwilę. Pomyślał o ucieczce.

Podejrzewając, że jego towarzysze uciekinierzy mają równie mętne jak on pojęcie o podziemnej topografii Arbeli, nie poszedł za nimi po wąskich kręconych schodach, tylko zdał się na własny instynkt. Skręcił w lewo, potem w prawo i mając nos za przewodnika, wciągał powietrze w poszukiwaniu czystszej,

a kiedy tylko napotkał jakieś niezatarasowane schody, podążał nimi w górę.

A potem już wiedział, że jest tam inne życie, są inni ludzie, i uzmysłowił sobie, że musi ich unikać, bo niejasno czuł, że wygląd i roztaczany smród go zdradzą. Skradał się dalej bardzo ostrożnie, starając się omijać ludzi, pośród chaosu, jaki zapanował po wstrząsach, nieustannie podążając w górę, ku jaśniejszym, ładniej pachnącym poziomom.

Wysilił osłabione mięśnie, ciągnąc za metalowy pierścień przy drzwiach, i uświadomił sobie, że nie ma dalszej drogi. Korytarz kończył się zamkniętymi drzwiami, a on nie miał klucza. Wpadł w panikę. Pozwolił sobie na myśl o ucieczce, a teraz znalazł się w pułapce. Wiedział, że musi się uspokoić; to tylko jedne zamknięte drzwi. Musi pomyśleć, tak, pomyśleć; i co oczywiste: musi zawrócić. I zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł, żeby znaleźć korytarz z drzwiami niezamkniętymi na klucz. Teraz posuwał się pod prąd, ale nie przejmował się tym, wiedział bowiem, że on się oddala od zamkniętych drzwi, a tamci ku nim zdążają. Raz jeszcze skręcił w lewo i poczłapał korytarzem, w którym płonęła migocąca pochodnia; przeszedł w jej świetle, osłaniając oczy, i znalazł się przy kolejnych drzwiach; również były zamknięte na klucz. Ogarnęła go jeszcze większa panika, zawrócił i przeciął oświetlone pochodnią miejsce, kierując się z powrotem tam, skąd przybył. Usiłował myśleć, ale nie mógł; każda rozpoczęta myśl kończyła się zamkniętymi drzwiami. Sprawdził następne i jeszcze jedno; wszystkie były zamknięte na głucho. Coraz bardziej gorączkowo biegał od drzwi do drzwi, w tę i z powrotem korytarzami, a wszystkie one wyglądały znajomo, kiedy nagle przez tę jego trwogę przebił się czyjś krzyk „Tam jest!” i chwilę później w jego stronę wystrzeliła zaciśnięta pięść, a on uzmysłowił sobie, że musiały wyglądać znajomo, ponieważ przez cały ten czas były to te same dwa korytarze.

Wespazjan otworzył oczy, nie całkiem pewien, czy właśnie zwrócono się do niego „prokonsulu”, czy tylko mu się to śniło.

Leżał twarzą do dołu na marmurowej posadzce.

– Prokonsulu?

I znowu to samo, tym razem wydało mu się całkiem rzeczywiste. Podniósł wzrok, mrużąc oczy w jasnym świetle.

– Aha, wróciłeś do nas, prokonsulu.

Wespazjan skupił powoli wzrok i przed jego oczyma zmaterializował się sprawca jego cierpienia. Król Izates uśmiechał się radośnie pomimo zwałonych wokół niego kolumn.

– Cóż za fortunne zdarzenie – ciągnął dalej monarcha, rozglądając się radośnie po zrujnowanej komnacie. – Zapewne sądziłeś, że to trzęsienie ziemi stanowiło część planu twoich rzekomych bogów, którzy zamierzali cię uwolnić?

Wespazjan rzeczywiście tak myślał, ale nie zamierzał się temu człowiekowi

do tego przyznawać; nie chciał, by jego pierwsza rozmowa od nie wiadomo jak długiego czasu była dyskusją religijną. Nie odezwał się.

– Jednak nie uciekłeś, prawda? Strażnik mówił, że natknął się na ciebie, jak biegales w tę i z powrotem dwoma korytarzami. Jednakże ten jedyny prawdziwy Bóg posiada wielką moc i pomaga tym, którzy Go czczą i postępują zgodnie z Jego prawami. Powiedz mu, Ananiaszu, opowiedz mu o Pawle, człowieku, którego ochrzciłeś w Damaszku.

Kątem oka Wespazjan zobaczył drugiego mężczyznę; jęknął, kiedy Ananiasz zaczął opowiadać tę samą historię, którą już słyszał od Sabinusa, o tym, jak to trzęsienie ziemi otworzyło więzienie Pawła, tyle że teraz doszły do tego różne upiększenia i wielka przesada.

– Widzisz zatem, prokonsulu – powiedział Izates, irytująco wesoło – jaką szczęsną rzeczą było to trzęsienie ziemi dla ciebie i dla mnie. Jedyne, co musisz teraz uczynić, to przyjąć chrzest i stać się wyznawcą Joszui, a ja będę mógł powiedzieć swoim wielmożom, że Bóg zesłał to trzęsienie ziemi, bo chciał wyrwać cię z najgłębszego lochu, abyś mógł za Nim podążyć. Tylko pomyśl: moi szlachetni panowie ruszą biegiem do rzeki, po chrzest, wiedząc, że mogą mieć taką moc po swojej stronie. A ty będziesz wolny i zamieszkasz tutaj jako stały świadek potęgi prawdziwego Boga i Jego syna, Joszui. Wolny, prokonsulu, wolny i zbawiony.

Wespazjan zamknął oczy; nie chciał wolności od tego otumanionego króla za cenę wyrzeczenia się Marsa. Jeśli Mars rzeczywiście zdecydował o jego przeznaczeniu, to doprowadzi go do celu, a nie jakiś zazdrosny bóg, który nie toleruje żadnego innego i każe mężczyznom okaleczać sobie penisy. Słyszał, że król na niego krzyczy, ale nie zwracał na to uwagi, tylko osunął się z powrotem w swój spokój, który został tak mocno zakłócony przez gniew bogów podziemnych. Wkrótce poczuł, że go gdzieś wloką, i wiedział doskonale, co zobaczy, kiedy znowu otworzy oczy: ujrzy to samo, co zawsze widział, znalazłszy się w owej chwili.

Dopiero stukanie młotkiem w drzwi jego celi przy wstawianiu ich na miejsce przerwało jego spokój i zmusiło do otwarcia oczu. Znowu był w owej chwili; krótkotrwała nadzieja przepadła. Odrzucił propozycję pocieszenia niesionego przez rozpacz, tej niedoszłej towarzyszkę, która została za naprawionymi drzwiami, na korytarzu, skąd tylko mogła szeptać do niego przez kratę. Wrócił do swojego koca i do brei, odsuwając od siebie wszelkie obrazy tej krótkotrwałej wyprawy do świata zewnętrznego; coraz częściej przywoływał w umyśle sceny z przeszłości. Przeżuwając powoli chleb i wysysając kości, kiwał od czasu do czasu potakująco głową, kiedy jakiś przywołany obraz sprawiał mu przyjemność.

Pojawiła się słoma, a potem jeszcze więcej słomy, a potem, być może, było jej jeszcze więcej. Wychleptał breję do końca. Zadowolony z osiągnięcia, jakim

było przełknięcie tej strawy, zaczął ssać kość, którą zostawił sobie na koniec. I znowu jego dzieci – czy może był to pierwszy raz? – pojawiały się pod zamkniętymi powiekami. Był pewien, że zamierzał kiedyś zrobić coś, co mogłoby zagrozić Tytusowi; miało to jakiś związek z Tryfeną. Tak, chodziło o Nerona... w jakiś sposób pomagał sprawie Nerona, dlatego tu się znalazł. Tak, to było to. To z powodu przyjaźni z Brytanikiem Tytus znalazłby się w niebezpieczeństwie, jeśli... był jednak pewien, że pomyślał o sposobie zabezpieczenia syna, zanim wyruszył w drogę, która doprowadziła go do tej chwili.

Znowu światło.

Ale on jeszcze nie skończył.

Otworzył oczy i położył niejadalne resztki kości na stosie podobnych szczątków w rogu, teraz trochę widocznym w słabym, ale coraz jaśniejszym świetle zbliżającej się pochodni; zauważył z pewnym, ledwie odczuwalnym zaciekawieniem, że był całkiem duży. Czy ten stos był taki zawsze? Nie, to niemożliwe; na pewno urósł, a on musiał go stale powiększać kolejnymi kośćmi.

Wpatrywał się w stos; tyle kości.

Zalała go fala paniki.

Ile?

Nie chciał ich liczyć.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej, kiedy patrzył na namacalny dowód długości tej jednej chwili. Uderzył w stos obiema rękoma, rozrzucając kości po podłodze, pośród tego całego otaczającego go brudu, by nie dało się ich policzyć.

Musiał zaczerpnąć powietrza; próbował odetchnąć, ale nie był w stanie.

A potem usłyszał swój krzyk.

Ten nieopanowany krzyk dobywał się z głębi jego świadomości, którą pogrzebano w najgłębszych zakamarkach tych fundamentów położonych ręką człowieka. Podsycały go tysiąclecia cierpień, którymi przesiąkły te podziemia, wysysając resztki życia z ledwo żywych nieszczęśników.

Był to krzyk żywiołowy.

Ale był jednocześnie potęgowany wrzaskiem na zewnątrz celi; krzykami wściekłości. Strażnik wrzeszczał na niego, a on odpowiadał mu krzykiem. Przez całą ową chwilę, kiedy trzymano go w mroku, nie komunikował się z nikim; w czasie, jaki był potrzebny, by urósł ten stos kości. Nikt się do niego nie odezwał od chwili, kiedy zrobił to Izates, a nawet wtedy nie zareagował, bo odciął od siebie świat zewnętrzny, by zachować spokój. Ale teraz na niego krzyczano, a on odpowiadał krzykiem. Teraz prowadził rozmowę, komunikował się z inną istotą ludzką, krzyczał, a strażnik więzienny wrzeszczał na niego za to, że to robi: strażnik potwierdzał jego istnienie.

Zatem Wespazjan nie przestawał krzyczeć.

Krzyczał i śmiał się. Uniósł twarz ku sklepieniu, krzyczał i śmiał się, i nie

chciał przestać, bo wiedział, że kiedy przestanie, pojawi się przyjaciel, ze swoim pocieszeniem.

A to był fałszywy przyjaciel, bo na imię mu było rozpacz.

Krzyczał więc nieprzerwanie, kiedy otworzono drzwi, i wtedy, kiedy przytrzymano mu ręce; nawet wtedy, kiedy wymierzano mu ciosy w zapadnięty brzuch, a czyjeś ręce brutalnie szarpnęły go za włosy. Krzyczał, kiedy zbierało mu się na wymioty i kiedy zwymiotował na swoich rozmówców – bo oni nie przestawali na niego wrzeszczeć, a on był zadowolony z uwagi, jaką mu poświęcali. Chciał, by ta rozmowa trwała nadal, mimo że głowa pękała mu z bólu, kiedy rozbito na niej kubek z nieczystościami. Krzyczał też, kiedy zobaczył, że podłoga pędzi ku niemu jak przyjaciel, który pragnie go objąć po długiej nieobecności. Krzyczał, kiedy ją pocałował i poczuł, że obejmują go ramiona przyjaciela, a potem wydał krzyk, o którym wiedział, że nikt inny go nie słyszy, dźwięczał bowiem jedynie w jego głowie. Ten krzyk nie należał do żadnej rozmowy, bo nie można było z nikim go dzielić.

Wespazjan wydał krzyk rozpacz.

Rozdział trzynasty

Mimo wszelkich wysiłków, by drzwi do świata zewnętrznego mieć na stałe zamknięte, teraz Wespazjanowi towarzyszył nieproszony gość, którego nie mógł się pozbyć. Nie mógł już dłużej zaprzeczać istnieniu świata zewnętrznego i nie mógł już dłużej powstrzymać się od tęsknoty za dotknięciem go, za istnieniem w nim. Przecież prawie mu się udało do niego wrócić po trzęsieniu ziemi; wtedy jednak nie odezwał się do nikogo jednym choćby słowem, tymczasem teraz usiłował się porozumieć z tymi, którzy go więzili; teraz nie potrafił się już ukryć i zatracić w swoim wewnętrznym spokojnym trwaniu.

I tak oto jego umysł zwrócił się ku jedynym dwóm sprawom, które miały znaczenie: ku ucieczce i zemście.

To drugie nie mogło się wydarzyć bez pierwszego, a ucieczka wydawała się całkowicie niemożliwa; nie spodziewał się kolejnego fortunnego trzęsienia ziemi. Nie wypuszczano go nigdy z celi, która nie miała okna, a jedynie drzwi, i to bardzo solidne, z zakratowanym okienkiem. Tylko to okienko otwierano i chociaż było na tyle duże, że mógłby się przezeń precyzyjnie, trwałoby to tak długo, że strażnicy zdążyliby go obezwładnić; nie miał zatem szansy zaskoczyć ich ucieczką tą drogą. Pozostawały drzwi; strażnicy otworzyli je, kiedy nie przestawał krzyczeć; czy mógłby to powtórzyć, a potem obezwładnić ich, gdy wejdą, by go uspokoić? Jego nowy towarzysz dostarczył odpowiedzi na to pytanie i wytknął mu jego osłabione kończyny i zapadnięty brzuch. Jednak Wespazjan nie godził się, by pokonała go rozpacz, i zamiast chować się w kącie, zastraszonego przez swojego fałszywego przyjaciela, zaczął ćwiczyć, wysilając kto wie jak długo nieużywane mięśnie, i planować odrażające sposoby znęcania się nad Pelignusem i Radamistem. Zatem zamiast siedzieć beczynnym na kocu, zaczął krążyć wokół celi niczym dzikie zwierzę po klatce przed wypuszczeniem na arenę; przerywał to spacerowanie sesjami gimnastycznymi, rozciągając i ćwicząc kark, ramiona i nogi, starając się przy tym ignorować kpiny swojego towarzysza, który obserwował każdy jego ruch.

Stopniowo ciało zaczęło mu twardnieć, natomiast brzuch pozostał zapadnięty, ponieważ reżim ćwiczeń wymagał znacznie więcej energii, niż dostarczała mu jego nędzna strawa. Zrozumiał, że nie zdoła nabrać takiej siły, by pokonać dwóch dobrze odżywionych mężczyzn. I na jakiś czas wpadł ponownie w objęcia rozpacz.

Przez cały okres pomiędzy dwiema kolejnymi dostawami słomy nie myślał o walce, leżał jedynie na kocu ze swoim przyjacielem, dopóki nie uświadomił sobie, że posiada tę jedną rzecz, której nie mają strażnicy, a mianowicie inteligencję.

I wtedy zaczął ich obserwować i analizować ich zachowanie za każdym razem, kiedy zeszli na dół po pokrytych zieloną pleśnią schodach. Ten, który

trzymał pochodnię, był łysy i brodaty, miał byczy kark i ogromne dłonie. Jego towarzysz był delikatniejszej budowy, miał potargane włosy i brodę i wydawało się, że ugina się pod ciężarem worka z chlebem i kubła z breją. Wespazjan doszedł do wniosku, że to niewolnik, bo inaczej nie kazano by mniejszemu i słabszemu wykonywać najcięższej pracy. To był pierwszy powód, dlaczego mógł pozwolić sobie na odrobinę nadziei: jeśli ten mniejszy mężczyzna był niewolnikiem, to możliwe, że nienawidzi swojego pana i palcem nie ruszy w jego obronie. Potem jednak przypomniał sobie, jak ten mniejszy mężczyzna przytrzymał mu rękę; w tym chwycie czuło się gorliwość człowieka z zamiłowaniem do przemocy. Zatem nadzieja zgasła, ale wciąż obserwował ich rutynowe działania, które były zawsze takie same... aż pewnego razu wszystko uległo zmianie.

Dopiero po dłuższej chwili Wespazjan zorientował się, że pojawił się inny niewolnik, ponieważ mężczyzna był tej samej budowy i miał podobnie rozczochrane włosy i brodę. Jednak kiedy ci dwaj zbliżali się korytarzem, opróżniając kubły i rozdzielając strawę, Wespazjan zauważył, że niewolnik robi coś, czego normalnie nie robił: przygląda się przez kratę każdemu więźniowi; wtedy właśnie Rzymianin zorientował się, że musi być tu nowy. Kiedy podeszli bliżej, przyjrzał się bardzo uważnie niewolnikowi, szukając oznak tego, że być może jest słabszy od poprzedniego, a także czegoś, co wskazywałoby, jakim uczuciem darzy swojego pana. Jednak niewolnik był nieodgadniony. Przy każdym drzwiach opuszczał na podłogę worek, stawiał wiadro z breją, po czym, kiedy strażnik otworzył kratę, brał kubek z nieczystościami, opróżniał go do otwartego ścieku i oddawał. I właśnie wtedy, kiedy oddawał przez okienko kubek, mężczyzna schylał się i przyglądał lokatorowi celi. Potem brał dzbanek i szedł do beczki po wodę. Odnosił dzbanek, brał drewnianą miskę, napełniał ją breją, oddawał i zanim jego pan zamknął i zaryglował kratę, wsuwał do środka chleb.

Wreszcie przyszła kolej na Wespazjana. Wystawił kubek z nieczystościami; kiedy go odbierał od niewolnika, ich spojrzenia się spotkały i po chwili uświadomił sobie, co zobaczył, i poczuł się jak uderzony obuchem. Z trudem zdusił okrzyk. Trzęsącymi się rękoma wykonał pozostałe rutynowe czynności, a kiedy chwycił chleb, poczuł, że jest przy nim coś dodatkowego. Po zamknięciu kraty spojrzął na dłoń i zobaczył skrawek papieru. Rozwinął go szybko i zanim pochodnia zbyttno się oddaliła, zdołał przeczytać: „Jesteśmy tu obaj, bądź gotów”. Zmiał paperek i wydał z siebie przeciągłe westchnienie ulgi, które przeszło w serię szlochów. Najpierw starał się je powstrzymać, a potem już nie próbował. Łzy spływały mu po twarzy i nie były to łzy smutku, jako że jego fałszywy przyjaciel, rozpacz, na zawsze już opuścił celę; to były łzy ulgi i nadziei. Płakał nieskrępowanie i zastanawiał się, gdzie jest teraz Magnus i jak Hormusowi udało się zostać niewolnikiem więziennego strażnika.

Od tej chwili Wespazjan zdwoił wysiłki, by wzmocnić ciało, ćwiczył je

niezmordowanie, przełamując zmęczenie. Kiedy był już zbyt wyczerpany, by kontynuować, spał, głęboko i spokojnie, wiedząc, że każdy sen może być już ostatnim w tym podziemnym koszmarze. Za każdym razem, kiedy słyszał zgrzyt klucza w zamku przy drzwiach u szczytu schodów, pełne nadziei serce biło mu mocniej, a on przyciskał twarz do kraty i wyteżał wzrok, by się upewnić, że to naprawdę Hormus towarzyszy strażnikowi.

Za każdym razem był to on i nigdy nic się nie wydarzyło; nie było krzyżowania się spojrzeń, znaku danego dłonią, żadnego skrawka papieru, nie było niczego, nawet ukradkowego skinienia głową, aż pewnego razu Hormus zanurzył rękę w worku z chlebem i wyciągnął stamtąd nóż. Strażnik zobaczył ten nóż w momencie, kiedy wbijano mu go w prawe oko, i było to tylko najkrótsze z mgieł; wyciem zagłuszył wszelkie odgłosy niedoli dochodzące zza drzwi cel, kiedy Hormus przekręcał ostrze tak, że robiło z mózgu miazgę. Wespazjan przyglądał się temu i sam z ochotą zrobiłby taki użytek z tego ostrza. Strażnik osłabł i osunął się na kolana. Hormus wyciągnął nóż z rozoranego oczodołu, a kiedy życie gasło w drugim oku strażnika, przebił je i mężczyzna umarł ślepy. Zawzięcie kręcąc nadgarstkiem w lewo i w prawo, Hormus wrzeszczał nienawistnie i Wespazjan uzmysłowił sobie, że strażnik musiał pastwić się nad niewolnikiem.

Oddychając szybko i głęboko pod wpływem nerwowego napięcia, Hormus puścił ciało, odciągnął rygiel i otworzył drzwi.

– Musimy się spieszyć, panie – powiedział.

Wespazjan zachrypiał; jego umysł utworzył odpowiedź, ale z ust nic się nie wydobyło i uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz się odzywał. Wyszedł z celi, wziął swojego niewolnika w ramiona i po raz pierwszy w tej długiej mrocznej chwili, którą przeżył, poczuł pociechę, jaką niesie obecność drugiego człowieka, takiego, który nie próbuje wyrządzić ci krzywdy. Hormus delikatnie uwolnił się z tych objęć, a zewsząd dochodził nieopisany harmider wywołany przez więźniów, którzy zorientowali się w sytuacji i teraz domagali się uwolnienia; Hormus jednak nie zwracał na to uwagi i ujawszy rękę swojego brudnego, nagiego pana, poprowadził go schodami w górę.

– Jeśli mamy wyjść stąd żywi, musimy zrobić to po cichu – powiedział. – Nie możemy ich wypuścić, bo narobią hałasu.

Rzymianinowi było wszystko jedno; wiedział tylko, że wchodzi po schodach, które, jeśli nie liczyć tamtej krótkiej wyprawy, przez cały okres uwięzienia stanowiły horyzont jego świata. Z każdym krokiem ciężar jego niedoli malał, aż wreszcie dotarli do wyjścia prowadzącego ku zewnętrznemu światu. Kiedy Hormus otworzył drzwi, za którymi ciągnął się długi, ciemny korytarz, Wespazjan przekonał się, że świat wciąż istnieje, i z urywanym szlochem zrobił krok i do niego wrócił.

Hormus ruszył biegiem. Wespazjan, nie puszczając jego ręki, dotrzymywał mu kroku. Na końcu korytarza dotarli do wąskich kręconych schodów; Wespazjan nie przypominał ich sobie z niewyraźnego wspomnienia swojej nieudanej ucieczki. Biegli, przeskakując po dwa stopnie, ale kiedy zbliżyli się do szczytu, niewolnik zwolnił, a potem się zatrzymał. Ostrożnie wystawił głowę, po kilku chwilach dał znak ręką i poprowadził Wespazjana wolno do kolejnego korytarza. Z odległych o dwadzieścia kroków otwartych drzwi po prawej stronie padało światło, a z głębi korytarza zbliżała się ku nim jakaś postać. Wespazjan wciąż trzymał się ręki niewolnika, jego mózg starał się przyzwyczaić do większej przestrzeni i światła. Zbliżająca się do nich postać zatrzymała się tuż przed otwartymi drzwiami. Z głębi pomieszczenia dobiegały ludzkie głosy.

Wespazjan poczuł, jak dłoń Hormusa sztywnieje, i uświadomił sobie, że niewolnik wciąż trzyma w drugiej ręce nóż. Człowiek, którego sylwetkę widzieli, miał miecz. Klinga połyskiwała słabo w świetle i Wespazjan uzmysłowił sobie, że zanim pójda dalej, muszą wpierw pozabijać ludzi w tym pomieszczeniu, bo nie uda im się minąć niezauważenie otwartych drzwi. Hormus puścił jego rękę. Wespazjan zatrzymał się, z poczuciem osamotnienia. Teraz Hormus i mężczyzna z mieczem stali plecami przyklejeni do ściany po obu stronach drzwi. Niewolnik podniósł w górę trzy palce, wskazując liczbę strażników w pomieszczeniu, po czym obaj mężczyźni skinęli jednocześnie głowami i wpadli w krąg światła, wywołując krzyki zaskoczenia, zmieniające się po chwili we wrzaski bólu. Wespazjan rzucił się naprzód, nagle doskonale wiedząc, co ma zrobić. Wpadł przez drzwi w krąg światła, niczym jakiś zlepek brudu i włosów i ze zwierzęcym warknięciem, uwolnionym z samej głębi, rzucił się na trzeciego strażnika, z obnażonymi zębami i palcami zakrzywionymi w szpony. Dając upust wściekłości, jaka nagromadziła się w nim w czasie spędzonym w lochu, zatopił zęby w gardle mężczyzny, palcami sięgając do oczu ofiary. Kiedy poczuł tryskającą mu do ust krew, zacisnął mocno szczęki i potrząsnął głową, rozrywając ciało, a jednocześnie wcisnął kciuki w oczy strażnika. Mężczyzna wymachiwał rękoma, usiłując się bronić, jednak przeciwko takiej zwierzęcej furii zwykły człowiek był bezsilny i Wespazjan powalił go na podłogę. Rzucił się na niego, mając przed oczyma czerwoną mgłę; nie widział nic, niczego nie słyszał, ale czuł wszystko; czuł w sobie pulsującą potęgę, kiedy w zabójczym szale rozszarpywał i rozdrapywał leżące pod sobą ciało.

– Już wystarczy, panie – odezwał się jakiś głos, wydobywając go z tego euforycznego stanu. – Jeśli nie jest trupem, to wątpię, czy w ogóle da się go zabić, i pewnie nie ma sensu tego dalej próbować, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan poczuł na ramieniu silną dłoń, która pociągała go do góry, odrywając od poharatanego ciała. Rozwarł szczęki uwalniając rozszarpane gardło ofiary; krew chlusnęła mu z ust na pozbawioną oczu twarz trupa. Odwrócił się i po kilku chwilach zdołał skupić wzrok i dojrzeć Magnusa. Próbował się z nim

przywitać i mu podziękować, ale wydał z siebie jedynie kilka nieartykułowanych dźwięków.

Magnus uniósł go delikatnie na nogi.

– Trzeba cię ubrać, panie. Nie możesz tak chodzić, bo wystraszysz konie.

Wespazjan opuścił wzrok i przyjrzał się sobie; oblepiony był brudem i umazany krwią. Chciał przeprosić za fetor, ale znowu tylko coś wycharczał.

– Nie przejmuj się, to wróci – zapewnił go Magnus, a Hormus zaczął ściągać ubranie ze strażnika posturą najbliższego Wespazjanowi.

Już po kilku chwilach Wespazjan wkładał tunikę, spodnie i wysokie buty, po czym ruszyli dalej korytarzem. Fakt, że był znowu odziany, choć było to ubranie we wschodnim stylu, dał mu poczucie bezpieczeństwa i nie musiał już czepiać się dłoni Hormusa, kiedy wszyscy trzej ruszyli, zboczywszy w lewo, w szerszy korytarz. Mniej więcej w połowie skręcili w prawo. Jakimś cudem Hormus odnajdywał drogę w tym labiryncie korytarzy i wciąż klucząc, doprowadził ich do kolejnych schodów. Czulo się, że powietrze jest coraz świeższe i cieplejsze i pierwszy raz od bardzo długiego czasu Wespazjan pozwolił sobie wyobrazić słońce na błękitnym niebie. Teraz już wiedział, że wkrótce je zobaczy.

I nagle, kiedy otworzyły się kolejne drzwi i oślepił go jego blask, musiał zamknąć oczy, ale to nic nie znaczyło, bo i tak czuł jego promienie na twarzy i było to najpiękniejsze doznanie, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Osłaniając dłońią oczy, wyszedł za Hormusem i Magnusem na ulicę, po czym wszyscy trzej, trzymając się blisko siebie, wtopili się w tłum. Wtedy Wespazjan poczuł się wolnym człowiekiem.

Miasto wydawało mu się dużo bardziej zatłoczone niż to, co zapamiętał, ale uznał, że po tak długim czasie spędzonym w samotności umysł płata mu figle. Ulice i uliczki wciąż były zasypane gruzem po trzęsieniu ziemi. Cały czas kierując się na południe, szli szybko, ale nie za szybko, nie chcąc przyciągać uwagi. Wespazjan chciał zapytać, jak go odnaleźli, jednak wciąż nie mógł ubrać myśli w słowa.

Magnus jednak wyczuł, o co mu chodzi.

– Tak naprawdę było to proste. Kiedy nie wróciłeś z obozu Radamista, a jego armia znalazła się na moście, stwierdziłem, że cię porwano. Ruszyliśmy z Hormusem za nimi, dołączywszy do taborów. Po kilku dniach udało mi się pewnego wieczoru dopaść Pelignusa, odbyć z nim miłą cichą pogawędkę w cztery oczy.

Wespazjan uniósł brwi na dźwięk imienia prokuratora.

– Pojechał z Radamistem, ponieważ czuł się bezpieczniejszy z nim niż z prefektami, po tym jak pozbawili go dowództwa – wyjaśnił Magnus. – Poza tym podobała mu się rola królotwórcy. W każdym razie nie musiałem go szczególnie naciskać i szybko wyznał, że Radamist oddał cię Babakowi jako gwarancję

dotrzymania przez niego przyrzeczenia. No cóż, ponieważ było oczywiste, że przyrzeczenie Radamista jest tyle samo warte co postanowienie westalki, że nie rozłoży nóg po zakończeniu trzydziestoletniej służby, spytałem Pelignusa, dlaczego jako rzymski prokurator Kapadocji pozwolił na coś takiego. – Tu Magnus zamilkł i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nawet kiedy jego drugi palec spadł na podłogę, nie potrafił podać przyzwoitego wyjaśnienia i wciąż twierdził, że usiłował temu zapobiec. W końcu go puściłem. Pomyślałem sobie, że jeśli cię zdradził, to chętnie go ukatrupisz i nie mam prawa pozbawiać cię tej przyjemności. No a jeśli tego nie zrobił, to cóż, dwa palce to stosowna cena za bezczynność i brak starań o powstrzymanie Radamista.

Wespazjan skinął głową, wdzięczny Magnusowi, że jemu zostawił tego tchórzliwego pokurcza; to będzie słodki dzień, kiedy spotkają się ponownie.

Zatrzymali się przed trzykondygnacyjnym domem, na którym nie było widać śladów większych uszkodzeń, stojącym tuż przy południowym murze; Hormus zapukał trzy razy, po czym powtórzył pukanie. Po kilku chwilach drzwi otworzył urodziwy młodzieniec. Hormus uściśnął go, po czym odezwał się w języku, którego Wespazjan nie rozumiał. Rzucił Magnusowi pytające spojrzenie.

– Następca Mindosa. Rozprawiliśmy się z tamtym, kiedy próbował ostrzec Pelignusa, że podróżujemy razem z armią Radamista. Hormus poznał tego wkrótce po tym, jak przybyliśmy tutaj dwa miesiące temu.

Wespazjan pokręcił głową i wskazał na swoje usta.

– Aha, rozumiem. Chodzi o język? To aramejski – poinformował go Magnus. – Okazało się, że to język ojczysty Hormusa, który zapomniał po śmierci matki. Pamiętasz, jak powiedział, że pochodzi gdzieś z okolic Armenii? W każdym razie to bardzo użyteczna okoliczność, bo możemy się tutaj kręcić i nikt nie będzie brał nas za obcych. Dlatego udało nam się wynająć ten dom i sprzedać Hormusa więziennemu strażnikowi, po tym jak jego poprzedniego niewolnika spotkał w drodze na targ nieszczęśliwy wypadek.

Wespazjan rozejrzał się po przedpokoju; był jasny i porządnie urządzony. Na końcu znajdowały się rozchwiane schody. Magnus ruszył nimi na górę.

– Chodź, panie, musimy cię wykąpać, na dachu jest zbiornik z deszczówką. Kiedy już zmyjesz z siebie to gówno i doprowadzisz się trochę do porządku, to pomyślimy, jak cię wydostać z miasta, jeśli wciąż będzie to możliwe.

Idąc za Magnusem, najpierw dwa piętra schodami, a potem jeszcze wspinając się po drabinie na płaski dach, Wespazjan zastanawiał się, dlaczego jego przyjaciel uważa, że opuszczenie tego miejsca może być trudne. Stanąwszy na dachu, spojrzął na południe; dach wystawał ponad mury, odległe zaledwie o pięć kroków, i Wespazjan miał z niego dobry widok. Daleko na równinie zobaczył powód Magnusowych obaw i wątpliwości. Pod bramami Arbeli stała obozem jakaś armia.

Miasto było obleżone.

– Kurwa! – wykrzyknął Wespazjan, zaskakując siebie i Magnusa.

– Zjawili się dwa dni temu – wyjaśniał Magnus, podczas gdy Hormus mokrą szmatką szorował skórę swojego pana. – To armia Wologazes.

– Wielki Król Partii? – Wespazjanowi własny głos wydawał się dziwny i obco brzmiący, bo już go nie pamiętał.

– Nie kto inny.

– To dlaczego oblega jednego z zależnych od siebie władców?

– No cóż, dwa lata temu, po tym jak Radamist zerwał złożoną Babakowi przysięgę i opowiedział się za Rzymem...

Wespazjan podniósł rękę, przerywając mu.

– Powtórz.

– Który kawałek? Dwa lata?

– Tak, ten kawałek.

– Minęło dwa lata, panie. Tak długo tam byłeś. Nie wiedziałeś?

Wespazjan wpatrywał się w przyjaciela z niedowierzaniem.

– Dwa?

Magnus skinął głową.

Wespazjan próbował pomyśleć; na pewno pamiętał, jak się ochładzało, a potem ocieplało, ale nic więcej. Nie zaskoczyłoby go, gdyby to był rok; ale dwa lata?

– W domu myślą, że nie żyję.

– Nie, Hormus napisał do twojego brata, kiedy dowiedzieliśmy się, gdzie jesteś. Jak już wyciągnęliśmy tę informację od Pelignusa, musieliśmy wrócić do Kapadocji, ponieważ Babak zablokował przełęcz prowadzącą do Adiabene. A potem przybył Wologazes z głównymi partyjskimi siłami. Pobił Radamista, zdobył Artaksatę i osadził na tronie swojego brata Tyrydatesa. Nie dawało się tamtędy przejechać, musieliśmy czekać, a potem przyszła zima i utknęliśmy w Kapadocji. Kiedy nadeszła wiosna, znowu pojawił się Pelignus, wobec czego postanowiliśmy się ulotnić. Przełęcz wcięż były zatarasowane, więc pomyślałem sobie, że najlepiej będzie dotrzeć do Adiabene przez naszą prowincję Syrię. I tak właśnie zrobiliśmy, ale kiedy już tam się znaleźliśmy, musieliśmy poczekać na nadejście zimy, żeby bezpiecznie przebyć pustynię do Eufratu, a potem przez Eufrat do Tygrysu i przez tę rzekę dostać się tutaj, gdzie trafiliśmy w sam środek chaosu spowodowanego trzęsieniem ziemi. No więc jesteśmy tutaj, po dwóch latach.

– Dwa lata? – Wespazjanowi trudno było przyzwycząić się do tej myśli. Wziął od Hormusa szmatkę, zanurzył w wodzie i zaczął pocierać krocze. Spojrzał na stojącą pod miastem armię. – Więc Wologazes osadził swojego brata na tronie Armenii?

– Na to wygląda. Jednak ostatnia zima była bardzo ostra i musiał wycofać swoją armię z Armenii, tak że nie wiadomo, jak długo Tyrydates się tam utrzyma.

Wespazjan pozwolił sobie na lekki uśmieszek; pierwszy od długiego czasu... od dwóch lat.

– To doskonała wiadomość. Albo Radamist, albo armia rzymska będą musieli tu przybyć, żeby go usunąć; wojna się przeciągnie. Po co w takim razie Wologazes tu obozuje?

Magnus wzruszył ramionami.

– Nie wiem i gównu mnie to obchodzi. Może król Izates był niegrzecznym chłopcem. Rzecz w tym, że on tam jest i nie przepuszcza nikogo poza wysłannikami.

Wespazjan popatrzył na linie Partów.

– Nie wygląda na to, żeby się szczególnie wysilał – oświadczył.

– Bo teraz negocjują. A ja myślę, że najlepiej będzie stąd czmychnąć, zanim się pokłóca. Dziesięć mil na południe stąd jest rzeka, dopływ Tygrysu. Jak już do niej dotrzemy, będziemy mogli ruszyć na południe.

– Na południe?

– Tak, panie, na południe. Sami nie zdołamy pokonać pustyni latem, więc pomyślałem, że ruszymy na południe i tam uzyskamy pomoc.

– Pomoc?

– Tak, panie, pomoc.

– Czyją? Jesteśmy w imperium partyjskim. Kto nam pomoże?

– Kiedy się nad tym zastanawiałem, przypomniałem sobie tamtą sprawę w Aleksandrii przed piętnastu laty i uświadomiłem sobie, że pewna partyjska rodzina może mieć wobec ciebie dług wdzięczności.

Dopiero po chwili wypełniła się luka w pamięci Wespazjana.

– Rodzina Atafanesa?

– Właśnie. Wysłałeś całe złoto jego rodzinie w Ktezyfonie.

Wespazjan przypomniał sobie, ile wysiłku kosztowało go wyekspediowanie do rodziny ojcowego wyzwolenca Atafanesa oszczędności jego życia. Zrobił to za pośrednictwem Aleksandra, alabarchy aleksandryjskich Żydów, który umieścił złoto w karawanie jednego ze swoich krewnych.

– Nie wiem nawet, czy dotarło na miejsce.

– No cóż, tylko w jeden sposób możemy się tego dowiedzieć.

– Jego rodzina nie musi być do mnie dobrze nastawiona. Przecież ich syn był własnością moich rodziców i dopiero po piętnastu latach dano mu wolność.

– W takim razie może to być interesujące spotkanie.

Wespazjan miał wątpliwości.

Magnus westchnął, po czym wskazał ręką olbrzymią armię pod murami.

– Jeśli ci tam zaatakują – powiedział – miasto padnie, a każdy z tych drani

będzie chciał nas zabić. Jeśli nie zaatakują, Izates na pewno w poszukiwaniu ciebie przeczese całe miasto, żeby znowu zapakować cię do tej przytulnej celi. Musimy się więc stąd wynosić, a jeśli nie chcemy się wysmażyć na pustyni po zachodniej stronie, to pozostaje nam tylko zwrócić się do jedynych ludzi w całym tym kurewskim imperium, którzy mogą nam pomóc. Nie wiem, czy dostali to złoto, i nie wiem, czy może chcieliby zobaczyć ciebie w roli niewolnika, żeby się zemścić za to, co spotkało ich krewnego. Nie wiem żadnej z tych rzeczy. Wiem tylko, że jedyna droga powrotna do Rzymu wiedzie przez tę pustynię i że to jest rodzina kupiecka, i dlatego posiada karawany. Myślę sobie, że warto zapytać ich bardzo uprzejmie, czy nie zechcieliby dać nam się przejechać w jednej z nich.

Wespazjan się roześmiał. Ten dźwięk zabrzmiał mu dziwnie, ale przyjemnie.

– Masz oczywiście rację, Magnusie, to jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy zrobić. Nie sądzę, by ojciec Atafanesa jeszcze żył, ale pamiętam, że Atafanes miał czterech starszych braci, może więc któryś z nich żyje. Pozostaje pytanie: czy oni nam pomogą?

– Nie, pytanie brzmi: jak ich odnaleźć?

– Jego rodzina to kupcy korzenni, więc trzeba sprawdzić, czy w Ktezyfonie jest jakieś kolegium kupieckie czy coś takiego, a potem spytać, czy ktoś z nich zna rodzinę, która prowadzi interesy z aleksandryjskimi Żydami, a jej piąty, najmłodszy syn, został niewolnikiem w cesarstwie rzymskim.

– To nie jest sprawa, o której mówi się głośno.

– Cóż, w takim razie może należy szukać rodziny, której najmłodszy syn zginął w służbie Wielkiemu Królowi czterdzieści lat temu.

– Hmm, zawsze to jakiś początek. Ale wpierw musimy się tam dostać. Hormusie, przystrzyż swojemu panu brodę i skróć włosy do ramion; wszyscy mamy wyglądać jak wschodni kupcy, żeby nie było problemów z przejściem przez tamtą armię.

Księżyc zaszedł wkrótce po szóstej godzinie nocy i Magnus zabrał ich z powrotem na dach. Ubrani byli w stylu wschodnim, w długie tuniki, pod nimi spodnie, wysokie skórzane buty, zawoje na głowach, a u pasa miecze i sztylety; wyglądali, jak zapewnił ich młody koleżka Hormusa, na szacownych kupców. Ogniska i pochodnie pośród wrogich zastępów świeciły jaśniej i gęściej niż gwiazdy, zupełnie jakby niebiosa opadły na ziemię i otoczyły Arbelę.

– Na dół – syknął Magnus.

Położyli się płasko, czekając, aż patrol przejdzie wzdłuż muru.

– W nocy jest ich pięć na godzinę – szepnął Magnus do Wespazjana, kiedy patrol zniknął, skręciwszy ku zachodniej bramie. – Mamy mnóstwo czasu na wydostanie się stąd.

Obaj z Hormusem wciągnęli z dołu drabinę, a potem, upewniwszy się, że nie ma w pobliżu jakiegoś nieprzewidzianego patrolu, wysunęli ją powoli ku murowi,

tworząc prowizoryczny mostek.

Wespazjan i jego przyjaciel podziwiali piękny widok, celowo nie oglądając się za siebie. Hormus żegnał się z ukochanym i młodzik tonął we łzach.

– Rozumiem, że on z nami nie idzie? – spytał Wespazjan.

– Hormus chciał go zabrać, ale czuł, przytaczając jego słowa, że nie chciałbyś, żeby kochaś twojego niewolnika zagracał ci łódź.

– Tak powiedział?

– Owszem, on jest całkiem bystry.

– Nie przeszkadzałoby mi, gdyby go zabrał.

– No cóż, stało się. Ale zauważ, że Hormus miał też własne, bardziej egoistyczne powody. Jak wszyscy wiedzą, najlepsi kochasie pochodzą z Mezopotamii. Znani są z umiejętności zadowalania na więcej niż jeden sposób, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan doskonale to wiedział, szczególnie że sam był świadkiem, jak Kaligula publicznie wykorzystywał jednego z takich młodzieńców.

– Sądzisz więc, że zamierza sprawdzić prawdziwość takich opinii?

– Tak myślę, zdecydowanie tak. Przez ostatnie dwa lata byłem z nim prawie cały czas i muszę powiedzieć, że naprawdę lubię tego chłopca. Ale ma jedną słabość, lubi mieć chłopczyka, albo i dwóch. Szaleje za nimi. Kiedyś sprowadzi to na niego kłopoty.

Hormus oderwał się od obiektu swojej ostatniej namiętności i dołączył do Wespazjana i Magnusa. Młodzieniec, ze łzami w oczach pobłyskującymi światłem tysięcy ognisk płonących na równinie, trzymał mocno drabinę, po której, bardzo ostrożnie, pierwszy przeszedł Hormus, balansując workiem spoczywającym mu na barkach. Drugi był Magnus, a po nim Wespazjan, który siłą woli powstrzymywał się od spojrzenia w dół, w mroczną pustkę ulicy. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, młody człowiek wciągnął drabinę z powrotem na dach i do ostatniej chwili patrzył za swoim kochankiem znikającym w ciemnościach. Wespazjan zauważył, że Hormus ani razu nie obejrzał się za siebie.

Przeszli spiesznie, nisko schyleni, jakieś dwadzieścia kroków, aż niewolnik zatrzymał się przy żelaznym pierścieniu przymocowanym do muru i zaczął grzebać w torbie. Wyjął z niej długą linę, szybko przywiązał do pierścienia i przerzucił drugi koniec przez mur. Wespazjanowi trudno było uwierzyć, że to jest ten sam bojaźliwy człowiek, który rzadko kiedy potrafił spojrzeć komukolwiek prosto w oczy. Hormus tymczasem pociągnął za linę, sprawdzając węzeł, i ręką dał znak swemu panu.

Kiedy Wespazjan, zaciskając mocno dłonie na linie, przerzucał ciało na drugą stronę, z oddalonego od nich o kilkadziesiąt kroków miejsca, gdzieś w pobliżu południowej bramy, dobiegły ich głosy.

– Pospiesz się, panie – syknął Magnus – to już następny patrol; są wcześniej.

Wespazjan zaklął przez zęby i oparł stopy o zewnętrzną stronę muru, odepchnął się, jednocześnie puszczając linę, by prześlizgnęła mu się w dłoniach, i serią takich skoków opuścił się pięćdziesiąt stóp. Jego płaszcz unosił się i opadał za plecami jak złamane skrzydło ptaka. Niewolnik wisiał już na linie, kiedy Rzymianin zeskoczył u stóp muru. Poczuł wstrząs w kolanach, ale mógł sobie podziękować, że podczas ostatniego okresu uwięzienia zdołał wzmocnić ciało. Stał na wąskim występie i spoglądał w dół stromego stoku wzgórza, na którym zbudowano miasto, ku leżącej sto stóp niżej równinie.

Usłyszał krzyki. Spojrzał w górę i zobaczył, jak Magnus przedostaje się przez mur, podczas gdy Hormus znajdował się jeszcze w połowie drogi na dół. Lina zabujała się niepokojąco pod dodatkowym ciężarem i Hormus miał wielkie kłopoty, by się na niej utrzymać, kiedy Magnus zaczął gwałtownie zjeżdżać w dół. Nagle czepianie się liny stało się bezprzedmiotowe: nie była już do niczego przymocowana. Hormus spadł ostatnie dziesięć stóp, ale wylądował na nogach i potem dopiero się potoczył. Magnus jednak miał dłuższą drogę do przebycia, o wiele dłuższą.

Wespazjan ustawił się bezpośrednio pod nim, kiedy przyjaciel spadał. Wyciągnął ramiona, nie po to, by próbować go łapać, ale by osłabić impet jego upadku. Uderzenie powaliło go na pośladki; Magnus natomiast odbił się od niego i grzmotnął o ziemię z siłą, która zaparła mu dech, po czym zniknął za krawędzią występu. Toczył się w dół, wzbijając tumany kurzu i ciskając przekleństwa. Sprawdziwszy pospiesznie, czy Hormus jest cały, Wespazjan skoczył za przyjacielem w chwili, kiedy pierwszy oszczep wbił się w ziemię tuż obok niego.

Zbocze było luźnym rumowiskiem i raz jeszcze Wespazjan był wdzięczny za spodnie, które chroniły mu nogi przed otarciami i skaleczeniami od ostrych kamieni. Staczał się coraz szybciej, słysząc tuż za sobą Hormusa, ale spowity tumanem kurzu niewiele widział w mroku tej bezksiężycowej nocy. Im niżej, tym zbocze było łagodniejsze i Wespazjan zsuwał się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiał, wpadłszy na przeszkodę, która zareagowała jękiem bólu. Chwilę potem stoczył się na niego Hormus, obsypując go masą drobnych kamieni.

– Na fiuta Jowisza – burknął Magnus, z zaciśniętymi zębami dotykając lewego ramienia – mieliście całe zbocze tego kurewskiego wzgórza i musieliście się zatrzymać akurat na mnie.

Strzała, która wbiła się w ziemię tuż obok nich, przerwała gderanie Magnusa. Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi i popędzili ku odległym o dwieście kroków liniom partyjskim. Wokół nich śmigwały strzały i goniły ich krzyki. Wespazjan obejrzał się przez lewe ramię i zobaczył, że brama południowa jest zamknięta; możliwe, że nie szykowano pogoni.

Magnus stękał z wysiłku i z bólu, przyciskał do siebie lewą rękę i mocno kulał na lewą nogę. Wespazjan zwolnił i podtrzymał go w dalszej wędrówce

przez mrok. Strzały przestały świstać, kiedy pochłonęła ich ciemność, i wkrótce poczuli się na tyle bezpiecznie, żeby się zatrzymać i ocenić szkody. Magnus opadł ciężko na ziemię. Hormus obejrzał jego rękę. Była złamana, o czym świadczył przekreślony nadgarstek.

– To trzeba porządnie nastawić – ocenił niewolnik, ale Magnus go odepchnął, osłaniając rękę obronnym gestem.

– Taa? A niby gdzie to zrobimy? – syknął.

– On ma rację, Magnusie – powiedział Wespazjan. – Bez tego ręka może już nigdy nie być sprawna. Właśnie zamierzamy wmieszać się w armię, a nikt tak nie trzyma się wojska jak dziwki i medycy.

Wespazjan wytężył wzrok; trzech mężczyźni wokół ogniska drzemali z opuszczonymi głowami. To było już czwarte ognisko, jakiemu się przyglądali, ale pierwsze, przy którym wartownicy wyglądali na mniej skrupulatnych w pełnieniu obowiązków.

Magnus cmoknął pomimo bólu.

– Śpią na służbie. W naszej armii koledzy zatłukliby ich na śmierć.

– Cóż, bądźmy wdzięczni losowi, że Partowie mniej rygorystycznie podchodzą do dyscypliny – powiedział Wespazjan. – Hormusie, idź przodem. Jeśli cię zatrzymają, daj im pokaz aramejskiego. – Popatrzył w mroku na Magnusa. – Pamiętaj – powiedział – że jeśli zamierzasz pojękiwać, stękać czy mamrotać pod nosem, masz to robić po grecku. W armii Wielkiego Króla jest wielu mówiących po grecku, ale bardzo niewiele po łacinie.

Magnus w odpowiedzi mruknął coś po grecku, Hormus ruszył przed siebie, okrążając ognisko.

Żaden z wartowników nawet nie drgnął, kiedy niewolnik się zbliżał. Wespazjan i Magnus szli tuż za nim, prawie nie oddychając i w miarę możliwości trzymając się cienia. Hałas dochodzący z obozu mimo późnej nocnej pory zagłuszał ich kroki. Kiedy byli już na wysokości ogniska, jeden z wartowników chrapnął, zacharczał i w rezultacie sam siebie obudził. Otworzył oczy i jego wzrok padł wprost na Magnusa. Hormus krzyknął coś po aramejsku i wartownik odwrócił się w jego stronę. Chłopak dodał coś jeszcze i wtedy Part wybuchnął śmiechem; szturchnął kolegów, powiedział im coś, na co zaspani mężczyźni odpowiedzieli uśmiechami. Wartownik odkrzyknął Hormusowi, machnął ręką, żeby szli dalej, i z szerokim uśmiechem dodał coś, co brzmiało jak żart. Wespazjana i Magnusa nie trzeba było prosić i obaj, szczerząc się do Parta, ruszyli dalej.

– Co im powiedziałaś? – spytał Wespazjan, kiedy minęli już obrzeża obozu i poczuli się nieco pewniej w jego głębi.

Hormus rzucił swojemu panu zawstydzone spojrzenie.

– Powiedziałem, że mój przyjaciel ma złamaną rękę, bo zanadto zbliżył się do zadu muła, i że szukamy medyka. Natychmiast wyciągnął odpowiednie wnioski

i powiedział, że natrafimy na medyków po przeciwnej stronie obozu, jeśli pójdziemy prosto. Potem jeszcze zapytał, czy mułowi też przydałby się medyk.

Wespazjan zdusił śmiech; Magnus wymamrotał, że nie wypada bawić się jego kosztem.

Szli powoli, ale pewnie przez obóz, tak jakby mieli prawo tam być. Po tak długim samotnym pobycie w zapieczętowanym grobowcu Wespazjana przytłaczała różnorodność widoków, dźwięków i zapachów, tak że musiał zwalczać chęć, by uczeplić się dłoni niewolnika, tłumacząc sobie, że to wkrótce minie, kiedy już ponownie poczuje się częścią tego świata.

W tym krótkim czasie, jaki zajęło im przemierzenie obozu, Wespazjan usłyszał kilkanaście różnych języków, zobaczył tyle samo, o ile nie więcej, rodzajów ubioru i wdychał tak nieznanne aromaty ziół i przypraw niesione parą i dymem snującym się od palenisk, że w głowie mu się zakręciło od tej mnogości, nie tylko dlatego, że tego dnia wynurzył się rano z ciemnego lochu.

Zapytawszy kilkakrotnie o drogę, Hormus doprowadził ich wreszcie do tej części obozu, gdzie stały większe, zbytkowne namioty, blisko znajdujących się na samych tyłach stanowisk dla koni.

– To mi wygląda na właściwe miejsce – uznał Wespazjan, zauważywszy wystawione na pokaz srebrne lampy i elegancko rzeźbione meble wokół każdego z namiotów, strzeżonych przez mocno umięśnionych, wyglądających na kosztownych niewolników. – Dawanie umierającym fałszywej nadziei wydaje się tutaj równie zyskownym zajęciem jak u nas w domu. Idź i dowiedz się czegoś, Hormusie.

Niewolnik podszedł do jednego z potężnych strażników i po krótkiej z nim rozmowie wrócił.

– Za dwie drachmy nas przepuści. Najlepszy do tej roboty będzie człowiek zajmujący ten namiot z czerwonymi i niebieskimi obszyciami.

– Drachmy?

– Taa, też się zdziwiłem – powiedział Magnus. – Widocznie wciąż używają drachm od czasu podbojów Aleksandra.

Wespazjan kazał Hormusowi zapłacić i ruszyli w stronę wskazanego namiotu. Hormus wszedł do środka, żeby omówić sprawę.

– Dwadzieścia pięć drachm – powiedział, kiedy wrócił. – I jeszcze dodatkowe dziesięć za późną porę.

Było to jawne zdzierstwo, nawet najbardziej zachłanny medyk w Rzymie tyle by nie zażądał, ale nie mieli wyjścia i weszli do namiotu. Niewolnik z obsługi przywitał ich ukłonem i wziął sakiewkę od Hormusa. Sprawdziwszy, czy zawiera właściwą sumę pieniędzy, zamienił parę słów po aramejsku z Hormusem i przeszedł na grecki.

– Proszę za mną – powiedział. – Mój pan, Lindos, już czeka.

Jak większość medyków, Lindos był Grekiem i jak większość Greków, traktował z pogardą tych, w których żyłach nie płynęła attycka krew, a ich greka, choć znośna, miała obcy akcent.

– Skąd jesteście? – spytał, gdy już Magnus opowiedział mu jakieś bajdy na temat okoliczności złamania ręki. – Twoja greka jest koszmarna.

– Jesteśmy z... – Magnus zamilkł i jęknął z bólu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Z Kolchidy – odpowiedział Wespazjan po gorączkowym, ale trwającym zaledwie dwa uderzenia serca namyśle.

Greki dał im jasno do zrozumienia, co sądzi o moralności i skłonnościach seksualnych mieszkańców tego dalekiego królestwa, położonego na wschodnim brzegu Morza Czarnego. Okazawszy najwyższe niezadowolenie, że musi dotknąć kogoś niewiele lepszego od barbarzyńców, Lindos nadzwyczaj profesjonalnie nastawił kość i włożył rękę w łubki. Sądząc po wyrazie twarzy Magnusa, zaciskającego zęby na kawałku drewna, ból towarzyszący energicznym ruchom medyka musiał być silny.

Lindos uporał się z zadaniem w ćwierć godziny. Zlany potem Magnus, z nastawioną i zabezpieczoną dwoma łubkami ręką, wciąż trzymał zaciśnięte powieki.

– Na fiuta Jowisza, nieźle bolało – wystękał, kiedy niewolnik wyjął mu z ust kawałek drewna. Otworzył oczy i napotkał przerażone spojrzenie Wespazjana.

Na twarzy medyka malowało się podejrzenie. Mało, że Magnus odezwał się po łacinie, to jeszcze przywołał imię najlepszego i najważniejszego boga Rzymu.

Pierwszy zareagował Hormus, który chwycił niewolnika za głowę i przekręcił ją nagłym gwałtownym ruchem, z trzaskiem skręcając mu kark.

Wespazjan zastygł z wrażenia, widząc zabójcze umiejętności swojego do tej pory bojaźliwego niewolnika, i ten moment wystarczył Lindosowi, by odskoczyć, krzyknąć o pomoc i schronić się w głębi namiotu.

– Tędy – rzucił Wespazjan, odzyskując przytomność umysłu i sięgając po miecz. Ruszył biegiem i jednym ruchem rozplatał bok namiotu, kiedy tymczasem zwaliscy uzbrojeni mężczyźni wpadali wejściem do środka. Rozsunął na boki tkaninę i wybiegł w noc, a za nim Magnus i Hormus. Popędzili co sił w nogach, wymykając się kilku strażnikom, którym masywna budowa nie dodawała zwawości. Gonili ich ostrzegawcze okrzyki. Po przebiegnięciu mniej więcej pięćdziesięciu kroków Wespazjan zwolnił, żeby nie przyciągać uwagi; wtedy poczuł koński zapach i skierował się w stronę, z której dochodził.

Konie stały przywiązane w długich szeregach. Tymi setkami zwierząt musiały zajmować się dziesiątki niewolników, którzy je oporzadzali, karmili i ćwiczyli. Wespazjan wiedział, że każdy pościg na pewno bardzo szybko skieruje się w tę stronę.

– Nie ma czasu na subtelności – oświadczył, z nagim mieczem w dłoni

ruszając pewnym krokiem do najbliższych wierzchowców. Błyskawicznym wojskowym pchnięciem wbił czubek broni w gardło usiłującego zadać mu pytanie niewolnika i w kilka chwil uwolnił pierwsze trzy konie z szeregu. – Musimy jechać na oklep – powiedział, wskakując na koński grzbiet.

Hormus podsadził Magnusa i kiedy sam wsiadł na konia, nadbiegali już niewolnicy, krzykami naprowadzając na cel zbliżających się z przeciwnej strony strażników.

Wespazjan zawrócił i spiął konia. Magnus poszedł w jego ślady, kurczowo trzymając się jedną ręką, a kiedy Hormus ciął przez twarz niewolnika usiłującego złapać go za nogę, koń, poczuwszy zapach krwi, rozwarł chrapy i popędził za dwoma wierzchowcami.

Wespazjan nie zwolnił, kiedy jego koń niósł go na spotkanie ze strażnikami. Uskakiwali na boki, otwierając trójce intruzów drogę ucieczki. Popędzili zatem w ciemność, oddalając się od tumultu, jaki spowodowali. Zmierzali ku dopływowi Tygrysu, a potem nurt tej wielkiej rzeki miał ich zabrać na południe, do samego bijącego serca partyjskiego imperium.

Rozdział czternasty

Rzeka była dla nich łaskawa, woda Tygrysu płynęła powoli i dostojnie, miała gładką powierzchnię i niosła ich na południe w tempie biegnącego klusem konia. Wespazjan leżał na dziobie łodzi, spoglądał ponad trójkątnym żaglem na bezchmurne niebo i zastanawiał się, jak mógł przeżyć dwa lata bez oglądania tego cudownego koloru; jaskrawość błękitu porażała i z trudem powstrzymywał wzbierające łzy. Teraz, kiedy miał czas na rozmyślenia, całym sobą czuł ulgę, że skończyła się ta mroczna udręka i że jest pośród bliźnich.

Przez dwa dni, jakie minęły od chwili, kiedy trafili nad rzeką na ukrytą pośród roślinności łódź i pożeglowali z prądem na spotkanie z Tygrysem, leżał na dziobie, rozciągnięty na wznak. Czasami włączał się do rozmowy Magnusa z Hormusem, ale było to dla niego wysiłkiem i częściej pozwalał myślom błądzić, radując się widokiem otwartego nieba.

Wysłuchał szczegółowej relacji swoich towarzyszy o tym, jak to Magnus zaprzyjaźnił się ze strażnikiem więziennym i sprzedał mu Hormusa po okazyjnej cenie, zamordowawszy wcześniej jego poprzedniego niewolnika; i o molestowaniu, jakiego Hormus doznawał od tego człowieka przez sześć dni, nim doszło do ich ucieczki. Wdzięczność Wespazjana dla niewolnika za poświęcenie, z jakim go ratował, była ogromna. Widząc to wielkie oddanie Hormusa, zrozumiał, że można mu bezgranicznie ufać. Niewolnik siedział na rufie przy wiosle sterowym, podczas gdy nurt oraz wydęty wiatrem niewielki żagiel prowadziły ich ku Ktezyfontowi; spojrzenie miał skupione na rzece, zaciśnięte usta, schowane częściowo w brodzie maskującej jego wystający podbródek. Wespazjan przyglądał mu się i zastanawiał, czym sobie zasłużył na takie ślepe, zwierzęce wręcz przywiązanie; poprzysiągł sobie, że się odwdzięczy za tę lojalność, wyzwalaając go najwcześniej, jak tylko prawo pozwala, to znaczy kiedy za kilka lat przekroczy trzydziestkę.

Magnus siedział pod masztem z głową opuszczoną na piersi i chrapał; rękę w łubkach trzymał na kolanach. Wespazjan uśmiechnął się. W tamtych mrocznych dniach nigdy nie odważył się rozbudzić w sobie nadziei, że przyjaciel go odnajdzie i uratuje; jednak zawsze, gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu, tliła się maleńka isierka świadcząca o tym, że taka możliwość istnieje. Teraz, kiedy był już wolny, mógł sobie pozwolić na to, by w duchu przyznać, że wyszedł z opresji bez większego uszczerbku, ponieważ czepiał się tej odrobiny nadziei, pielęgnował ją, ale na niej nie polegał. Wiedział, że ma wyjątkowe szczęście, jeśli chodzi o towarzyszy, i teraz, kiedy płynęli na południe, odmówił modlitwę dziękczynną do Marsa za to, że ochrania go swoimi dłońmi, i obiecał, że natychmiast po powrocie do cesarstwa złoży mu w ofierze najlepszego byka.

Trzymali się środka rzeki, jakieś sto pięćdziesiąt kroków od obydwu brzegów, usianych gospodarstwami rolnymi, osadami i większymi miastami.

Ziemia tam była urodzajna, większość zajęta pod uprawy, a społeczność lokalna wyglądała na zamożną. Od czasu do czasu, kiedy minęli jakieś skupisko, przybijali do brzegu i Hormus cofał się, by kupić jedzenie. Nie budzili podejrzeń, a ludzie w łodziach mijanych na wodzie pozdrawiali ich wesoło.

Dni zlewały się ze sobą, rzeka stawała się coraz szersza i robiło się coraz goręcej. Stopniowo Wespazjan uwalniał się od ciężaru przeżytej niewoli; zasypiał bez lęku, że obudzi się w celi, i dzięki temu pierwszy raz od dwóch lat poczuł się wypoczęty i silny, gotów do mozolnej podróży karawaną przez pustynię albo do Judei, albo do Syrii. Wraz z siłami powróciła ambicja. Przeszedł tak ciężką próbę, po której wielu byłoby już tylko strzępami ludzkimi, i dokonał tego dzięki sile woli i – z czego sobie doskonale zdawał sprawę – dzięki pomocy bogów. Teraz był już pewien, że mówienie o znakach towarzyszących jego narodzinom, jak i późniejsze proroctwa i wróżby to nie czcza gadanina. Mars go ocalił; bo jak inaczej zdołałby przeżyć o zdrowych zmysłach?

– Wkrótce powinniśmy tam dopłynąć – zauważył Magnus, osłaniając dłonią oczy i wyteżając wzrok. – Kiedy w Syrii oglądałem mapę, z tego, co zdołałem z niej odczytać, wynikało, że z Arbeli do Ktezyfontu jest jakieś dwieście do trzystu mil. A płyniemy już piąty dzień.

– Skąd będziemy wiedzieli, że dotarliśmy na miejsce? – spytał Hormus.

Wespazjan usiadł i spojrział na południe.

– Bo to będzie największe miasto, jakie w życiu widziałeś, poza Rzymem i Aleksandrią. Jest nawet jeszcze większe w połączeniu z Seleucją, greckim miastem na zachodnim brzegu Tygrysu.

– Chcesz powiedzieć, że w środku partyjskiego imperium znajduje się miasto pełne Greków? – zdziwił się Magnus.

– Tak, poza tym większość miast zamieszkuje spora grecka albo macedońska społeczność. Tysiące kolonistów dotarło tu w ślad za Aleksandrem i większość została na stałe. Na całej trasie do Indii są ludzie mówiący po grecku. Partia nie jest imperium zamieszkanym tylko przez Persów, Medów i Asyryjczyków; jest tu wiele innych ludów i wszystkie są lojalne wobec Króla Królów, który, notabene, jest synem poprzedniego władcy, Wononesa, i jego greckiej konkubiny.

– Oni rozłazą się wszędzie, ci Grecy – powiedział Magnus, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Co masz przeciwko Grekom?

– Poza tym, że są złodziejami i oszustami, że lubią być posuwani i chętnie sypiają z bliskimi krewnymi?

– Tak, poza tym wszystkim.

– No cóż, pewnie nic, oprócz tego, że Pallas i Narcyz są Grekami i zobacz tylko, ile kłopotów na nas zwalili. Tryfena okazuje się Greczynką i właśnie ona jest odpowiedzialna za to, że znajdujemy się bez żadnych sojuszników w samym

środku imperium partyjskiego, rządzonego przez jakiegoś drania, który przypadkiem jest pół-Grekiem. Mam mówić dalej?

– Nie, nie, wystarczy, kurewscy Grecy, he? Tak czy owak, musimy pamiętać, że większość Greków jest lojalna wobec władzy...

– To znaczy są o tyle lojalni, o ile Grek w ogóle potrafi być lojalny?

– Tak, i dlatego najlepiej byłoby nie ujawniać, że jesteśmy Rzymianami, nawet Grekowi.

– Szczególnie Grekowi, bo sprzedałby tę informację szybciej niż własną siostrę, kiedy już jej odebrał dziewictwo. Czy słyszałeś o tym Greku, który odprowadził swoją świeżo poślubioną małżonkę do jej rodziny, ponieważ w noc poślubną odkrył, że jest dziewicą?

– Nie – odparł Wespazjan, marszcząc brwi.

– No cóż, tak właśnie zrobił i powiedział im, że skoro nie odpowiadała swoim braciom, to nie jest też wystarczająco dobra dla niego.

Wespazjan wybuchnął śmiechem i śmiał się długo i głośno; najpierw z dowcipu, a potem już tylko spontanicznie rozkoszował się wolnością.

Było naprawdę wspaniałe. Mury z kamienia, pomalowane na niebiesko i żółto, udekorowane motywami zwierzęcymi i naszpikowane strzelistymi wieżami, otaczały miasto wielkości Rzymu; a była to jedynie część leżąca na wschodnim brzegu Tygrysu. Na zachodnim brzegu, tuż przed miejscem, gdzie rzeka się rozwidlała, opływając z dwóch stron ufortyfikowaną wyspę, znajdowało się drugie, młodsze miasto, którego ulice tworzyły siatkę prostopadłych linii: Seleucję, dawną stolicę macedońskiego królestwa Seleukidów, założono zaledwie trzy stulecia wcześniej. Imponowała wielkością, ale nie było tam kolorowych murów i wszystkie ulice były proste, co czyniło wrażenie, że została zbudowana według planu, podczas gdy płatanina ulic Ktezyfontu wskazywała, że miasto rozrastało się powoli przez całe stulecia. Te dwa pomniki ludzkich osiągnięć, odległe od siebie o pół mili, leżały po obu stronach Tygrysu i tętniły życiem, czerpiąc korzyści z rzeki, która jednocześnie łączyła je i dzieliła. Jednostki pływające wszelkich rozmiarów przeorywały w poprzek łagodny nurt brunatnej od ścieków wody, wędrując w tę i z powrotem pomiędzy dwoma ośrodkami, tworząc symbiotyczne relacje handlowe.

I właśnie ze względu na handel Wespazjan, Magnus i Hormus tutaj przybyli, a przynajmniej po to, by podążyć pewnym śladem związanym z handlem. Kiedy wpływali łodzią do przystani położonej przy południowych murach Ktezyfontu, Wespazjan uświadomił sobie, że odnalezienie rodziny Atafanesa będzie zadaniem niemal beznadziejnym; nawet w Ostii nie widział tylu statków handlowych. Na nabrzeżu kłębił się tłum kupców i niewolników; kupcy targowali się i pertraktowali, niewolnicy przynosili towary w workach, torbach, skrzyniach, koszach, amforach i belach z kilkudziesięciu egzotycznych krain. Ładowano je na

statki i wyładowywano, w niekończącym się handlowym kołowrocie napędzanym chciwością i pieniędzem.

– Od czego tu zacząć poszukiwania? – zastanawiał się Wespazjan, kiedy Hormus zacumował na wolnym stanowisku.

– Kupcy korzenni muszą się gdzieś gromadzić – zauważył Magnus, rzucając linkę cumowniczą wyrostkowi, który rwał się do pomocy.

– Wciągnij tylko powietrze, jest przesycone przyprawami korzennymi. Muszą tutaj być tysiące tych kupców.

– Taa, ale ilu z nich handluje z Żydami aleksandryjskimi? – Magnus przyjrzał się panującemu na nabrzeżu ruchowi, szczególnie zaś rządкови niewolników przenoszących wiklinowe kosze ze statku wprost do jednego z kilkudziesięciu magazynów stojących wzdłuż portu. – Wydaje mi się, że to wszystko pochodzi ze Wschodu, bo z tamtej mapy pamiętam, że Tygrys wpływa do morza i tą drogą można dotrzeć aż do Indii. Musimy znaleźć kupców prowadzących handel w odwrotną stronę, którzy zabierają towary z magazynów i posyłają je karawanami na zachód.

Gramolącemu się z łodzi Wespazjanowi wydawało się to sensowne i uznał, że równie dobrze można od tego zacząć. Hormus ruszył za nim, ochoczo korzystając z pomocy chłopca, któremu nie przeszkadzało, że ręce niewolnika trafiały w miejsca na jego ciele odległe i niezbyt przydatne jako wsparcie przy wysiadaniu z łodzi.

– Czy on mówi po aramejsku? – spytał Wespazjan, kiedy chłopiec wytrzeszczył oczy na widok srebrnej monety, którą Hormus wyjął z sakiewki przy pasie.

Po krótkiej wymianie zdań Hormus z radosną miną potwierdził, że jego nowy przyjaciel mówi po aramejsku.

– Zapytaj go, czy kupcy korzenni wysyłający towary na zachód mają jakiś swój związek, jakieś stałe miejsce spotkań czy cokolwiek.

Podczas tej rozmowy Hormus podkreślał wagę tematu, gładząc ramię perskiego chłopca. Po chwili spojrział na swojego pana.

– Bagoas mówi, że zarówno w tym mieście, jak i w Seleucji jest wiele związków kupieckich.

– Wydaje mi się – rzekł Wespazjan po chwili zastanowienia – że Atafanes był Persem, nie Medem, Babilończykiem czy Asyryjczykiem, czy kimś tam jeszcze. Zapytaj go, gdzie mam zacząć szukać perskich kupców korzennych.

Kolejnej pogawędce towarzyszyły spotykające się spojrzenia, wstydlive uśmiechy i zupełnie niepotrzebne, zdaniem Rzymian, głaskanie.

– Musimy udać się na agorę w pobliżu królewskiego pałacu – oświadczył Hormus, na moment tylko odwracając wzrok od swojego informatora.

– Dobrze, powiedz mu, że dostanie drachmę, jeśli wskaże nam drogę

i posłuży za przewodnika przez resztę dnia. – Wespazjan zrobił przerwę i dodał z uśmiechem: – I nocy.

– Nie powinienes go zachęcać – burknął Magnus, kiedy Hormus przetłumaczył chłopcu życzenia Wespazjana. – To właśnie miałem na myśli, on po prostu nie potrafi się powstrzymać. Gdziekolwiek poszliśmy, zawsze było to samo. Nie przeszkadzałyby mi to tak bardzo, gdyby nie fakt, że to całe stękanie i pojękiwanie przez wiele nocy nie dawało mi spać.

Bagoas zagwizdał i z tłumu na nabrzeżu wyłoniło się dwóch chłopców; obaj byli młodsi od niego o rok czy dwa i sądząc po wyglądzie, byli jego braćmi albo kuzynami.

Hormus z ciekawością przyglądał się chłopcom, podczas gdy Bagoas wyjaśniał ich obecność.

– Mówi, że przypilnuje łodzi za drachmę dla każdego teraz i po waszym powrocie rano.

Wespazjan pokręcił głową.

– Powiedz mu, że jeśli pomoże nam odnaleźć ludzi, których szukamy, łódź nam się nie przyda i będą mogli we trójkę ją sobie zatrzymać.

Po nieuniknionym uregulowaniu należności urzędnikowi portowemu oraz niewielkiego datku bezpośrednio do własnej sakiewki, którego wielkość zależała od liczby osób przybywających w łodzi i – jak się zdawało – zastępowała kradzież ich własności, Bagoas poprowadził przybyszów w stronę miasta.

Jedno spojrzenie na rząd budowli stojących po obu stronach szerokiej ulicy, prostej jak lot strzały z łuku, która wychodziła z portu i przecinając na pół labirynt mniejszych ulic, prowadziła do serca miasta, wystarczyło każdemu, by zrozumieć, że Ktezyfont to centrum władzy. Tylko arystokraci lub nieśmiertelni mogli zamieszkać w tak doskonałym miejscu; ciągnęły się tam dwa rzędy jaskrawo pomalowanych pałaców i świątyń przedzielonych wypielęgowanymi ogrodami, które przewyższały pięknem słynne ogrody Lukullusa. Szeroką, wspaniałą i bogatą, obsadzoną różnorodnymi rodzajami drzew i kwitnących krzewów aleję zaprojektowano tak, by zamaskować chaotyczny układ ulic i brak systemu kanalizacji w pozostałej części starożytnego miasta. Wielki Król widział jedynie piękno i wspaniałość, a oddychał wyłącznie świeżym powietrzem, kiedy zmierzał do swojego głównego pałacu w centrum Ktezyfontu. Tego dnia jednak władca nie korzystał ze swojej drogi prowadzącej do miasta i z miasta i zwykłym ludziom łaskawie zezwolono przechadzać się tędy i przyglądać wszystkiemu z podziwem.

Choć przyzwyczajeni do wspaniałości wielkich cywilizacji – przecież przybyli z Rzymu, a odwiedzili kiedyś Aleksandrię – Wespazjan i Magnus podziwiali architekturę, rozmach budowli i ogrom ludzkiego wysiłku włożony w stworzenie tej alei.

– To przecież stajnia! – wykrzyknął Magnus, spoglądając na

trzykondygnacyjny pałac, z trzech stron otaczający dziedziniec, na którym właśnie ćwiczone konie. Pochylnia prowadziła na szeroki balkon, biegnący wokół pierwszego piętra, umożliwiając dostęp do kilkadziesiątu pojedynczych boksów; kolejna sięgała drugiego, takiego samego piętra. Natomiast boksy na parterze były dwa razy większe od położonych wyżej. – Te konie mają więcej miejsca niż większość rodzin w Rzymie czy, szczerze mówiąc, gdziekolwiek indziej.

– Ludzie Wschodu zawsze kochali konie – zauważył Wespazjan – a poza tym sami widzieliśmy, jak gnają na pewną śmierć swoich siłą wcielonych żołnierzy. Nie powinno cię dziwić, że konie Wielkiego Króla mają dla niego większą wartość niż poddani.

– Rzeczywiście, ma dość ludzi, by sobie zastąpić tych, których straci, i to jakich różnorodnych.

– To oględnie powiedziane.

Bagoas właśnie prowadził ich w tłum ludzi odzianych w większości w stroje perskie i medyjskie, choć widać było też całe mnóstwo innych ubiorów, odzwierciedlających różnorodność ludów tego ogromnego imperium, w którego punkcie centralnym się znaleźli. Byli tam mieszkańcy rozciągającej się na południu pustyni noszący zwiewne szaty i zawoje na głowach, jeźdźcy z północnych bezkresnych stepów w skórzanym odzieniu, ciemnoskórzy Hindusi ze Wschodu, w tunikach z długimi rękawami i luźnych spodniach, Baktryjczycy i Sogdyjczycy w kozuszkach, wyszywanych spodniach i skórzanych czapkach, Grecy, Żydzi, Scytowie, Albańczycy i inni; jednak wśród całej tej wielorakości strojów nie widać było ani jednej togi. Choć Wespazjan wiedział, że w swoich wschodnich szatach całkiem nieźle wtapiają się w otoczenie, to jednak czuł się widoczny i odmienny. Zastanawiał się, co też musiał myśleć brytański król Karatakus, kiedy sprowadzony do Rzymu w łańcuchach, znalazł się w obcym dla niego miejscu, pośród obco wyglądających ludzi. Teraz Wespazjan zdał sobie sprawę, że przybył do imperium, które można nazwać Rzymem, podporządkowało sobie bowiem tyle samo, a może nawet więcej ludów. Przypomniał sobie skierowane do Klaudiusza słowa Karatakusa: „Jeśli wy, Rzymianie, którzy mieszkacie w marmurowych rezydencjach i posiadacie tak wiele, chcecie być panami świata, czy ma z tego wynikać, że my, w naszych chatkach z gliny, którzy posiadamy niewiele w porównaniu z wami, mamy godzić się na niewolę?”. W sposób oczywisty odnosiło się to zarówno do ludów Wschodu, jak i Zachodu. I dlatego właśnie tutaj znajdowała się przeciwwaga dla Rzymu; tutaj było mocarstwo, które zawsze będzie jego rywalem, będzie z nim walczyć, ale nigdy nie przeważą, bo żadne imperium nie jest w stanie zawrzeć w sobie zarówno Wschodu, jak i Zachodu. Oba pozostaną silne obawą przed drugim; oba potrzebują wojny, by podbite przez nich ludy mogły o tym zapomnieć; oba wiedzą, że unicestwienie tego drugiego oznaczałoby śmierć, ponieważ supermocarstwo, które nie ma się czego bać, zawali się pod własnym

ciężarem.

Armenia była naturalnym polem bitwy, gdzie Rzym i Partia mniej więcej co pokolenie mogły prężyć swoje wojskowe muskuły świadome, że nie będzie to coś ostatecznego i zgubnego dla którejś ze stron. Tryfena dobrze wybrała tę swoją wojnę. Uśmiechnął się w duchu. Partia nie była zagrożeniem, ale raczej czymś, co należało przyjąć; konflikt z tym mocarstwem był sprawą naturalną, sztuka polegała na tym, jak na nim skorzystać.

Poczuł się lepiej i nawet mniej obco, kiedy zrozumiał, że to imperium było niezbędnym elementem istnienia Rzymu; splecione w symbiotycznym tańcu wojennym – tak jak Ktezyfont, i Seleucja w handlowym – oba imperia nawzajem się wzmacniały.

Tak błędził myślami, że ledwo zauważył, kiedy mijali pałac królewski wraz z jego bajecznym otoczeniem, ogrodzony wysokim murem. Z szerokiej alei skręcili w prawo i cuchnącymi ściekami, krętymi uliczkami doszli do agory, przy której Forum Romanum wyglądało jak prowincjonalny rynek gdzieś na krańcach imperium. Co najmniej dwa razy większa od rzymskiego forum była tak samo zatłoczona. Kwitł tu handel i tysiące ludzi kupowało, sprzedawało, dokonywało wymiany, targując się zawzięcie dla jak największego zysku przy byle drobiazgu.

Wespazjan rzucił na to kłębowisko jedno spojrzenie i stracił wszelką nadzieję.

– Jak można odnaleźć kogokolwiek pośród tego tłumu? – jęknął.

– Wydaje mi się, że należałoby złożyć ofiarę Fortunie – odpowiedział mu z równie posepną miną Magnus.

Hormus postawił na ziemi swój worek i roześmiał się, a potem powiedział coś do Bagoasa, który nie podzielał jego rozbawienia i miał niewyraźną minę.

– I co? – spytał Wespazjan. – Czy on wie, od czego zacząć szukanie, Hormusie?

Kolejna pogawędka po aramejsku skończyła się tym, że Hormus pokręcił głową.

– Mówi, że jedyny sposób na odnalezienie kupców korzennych to krążyć po agorze i wypytywać przypadkowych ludzi, bo jeśli ci, których szukamy, wysyłają karawany na zachód, to właśnie tutaj handlują.

Wespazjan wciągnął powietrze nosem.

– No cóż – powiedział – przynajmniej zapach przypraw korzennych łagodzi nieco smród ścieków.

Sprawa była beznadziejna.

Kłęli, kiedy spoceni przepychali się przez wirującą cizbę handlarzy, podczas gdy Hormus co kilka kroków zadawał to samo pytanie o rodzinę, w której najmłodszy syn miał na imię Atafanes. I za każdym razem pytany, widząc, że Hormus nie zamierza nic kupić czy sprzedać, odprawiał go lekceważącymi

słowami i gestami.

Słońce chyliło się ku zachodowi, handel zamierał i tłumy znacznie się przerzedziły, a mimo to nikt nie kwapił się pomóc trzem obcokrajowcom i tutejszemu chłopcu w odnalezieniu rodziny na podstawie tej jedynej informacji, dotyczącej dawno nieżyjącego najmłodszego syna, i w końcu, kiedy zaczęło się ściemniać, dalsze przebywanie na agorze straciło sens.

– Spytaj Bagoasa, czy zna w pobliżu jakąś czystą gospodę – polecił Hormusowi Wespazjan.

Oczy niewolnika rozbłysły na perspektywę łóżka.

– Mówi, że jego kuzyn ma kilka ulic stąd takie miejsce – powiedział, zamieniwszy kilka słów z nowym przyjacielem. – Dostaniemy tam nocleg i jedzenie. Mówi, że zapłacimy specjalną cenę.

– Nie wątpię – mruknął Magnus – specjalnie wysoką.

– Na to nie ma rady – powiedział Wespazjan i dał znak perskiemu chłopcu. – To lepsze niż chodzenie w kółko, nie mając pojęcia, gdzie szukać. Przynajmniej jeśli to jest krewny Bagoasa, to może okazać się bardziej godny zaufania niż ktoś całkowicie obcy.

– W czym? W tym, że każe nam zapłacić podwójną stawkę, da najmniejsze pokoje i cienką zupę z twardymi chrząstkami?

Wespazjan miał nieprzyjemne uczucie, że jego przyjaciel nie jest daleki od prawdy.

Stukot butów na schodach i trzask pękającego drewna wyrwały Wespazjana z niespokojnego snu; usiadł i rozejrzał się w panującym wokół mroku, zastanawiając przez chwilę, gdzie się znajduje. Dobiegające z izby obok krzyki Hormusa przypomniały mu natychmiast, że są w gospodzie kuzyna Bagoasa, gdzie przyjęto ich nieszczerze przyjaźnie i gdzie potwierdziły się wszystkie domysły Magnusa. Sięgnął po miecz, po czym przypomniał sobie, że ukrył go w worku Hormusa; z przekleństwem na ustach wyskoczył z łóżka w momencie, gdy drzwi rozwarły się z trzaskiem i w środku zamajaczyły jakieś trzy niewyraźne postaci.

Nie mając dokąd się wycofać, Wespazjan zaatakował barkiem pierwszego z mężczyzn, obalając go na podłogę i pozbawiając tchu, pięścią walnął w krocze napastnika z lewej strony, który ze zduszonym jękiem zgiął się wpół. Zaskoczenie zaciekłością kontrataku ofiary, która nawet jeśli nie spała, to nie powinna niczego się spodziewać, spowodowało, że trzeci napastnik cofnął się o krok i zawołał o pomoc; właśnie taki moment niezdecydowania był Wespazjanowi potrzebny. Kantem dłoni uderzył od dołu w podbródek mężczyzny, zatrzaskując mu szczęki, tak że głowa odskoczyła do tyłu, a z ust chlusnęła krew, kiedy zęby przerwały jego krzyk, odcinając czubek języka. Upadł, bulgocząc i przyciskając dłonie do ust. Wespazjan minął go i wypadł na słabo oświetlony podest.

Kątem oka zobaczył po lewej, jak Hormusa wloką w dół po schodach, a z

prawej wyciągają z pokoju Magnusa, któremu ręka unieruchomiona w łubkach utrudniała obronę. Nie zatrzymując się, Wespazjan wbił kolano w udo najbliższego z napastników Magnusa z taką siłą, że mężczyzna potknął się i rozluźnił uchwyt. Magnus uwolnioną ręką sięgnął do gardła drugiego z napastników, a Wespazjan z wściekłym zwierzęcym rykiem rzucił się na kulejącego mężczyznę. Okładał go razami z taką szybkością, że tamten tylko krzyczał, nie próbując się bronić. Magnus bezlitośnie dusił drugiego z napastników. Niczym kleszcze zaciskał mu coraz silniej palce na szyi, kłął i spluwał raz za razem w coraz bardziej purpurową twarz umierającego mężczyzny, któremu po nogach spływał mocz, a w powietrzu rozszedł się smród opróżnianych trzewi.

– Wystarczy! – krzyknął Wespazjan, rzucając się ku schodom.

Pokonując po trzy stopnie naraz, zbiegli do dużej sali na parterze. Przerażony właściciel gospody kulił się za ladą, ale nigdzie nie było widać ani Hormusa, ani Bagoasa. Nie zastanawiając się, czy ten za ladą miał coś wspólnego z napadem, Wespazjan popędził do drzwi wyjściowych, odpychając na boki stoły i krzesła. Myśląc jedynie o uwolnieniu swojego niewolnika, zanim ten zniknie w mieście zdolnym pochłonąć cały legion, szarpnął drzwi i wybiegł prosto na ustawionych w półkole, uzbrojonych w pałki mężczyzn.

Jak przez mgłę usłyszał krzyk Magnusa, kiedy ciemny kształt zbliżył się do jego głowy, przynosząc przeszywający ból i błysk światła, po którym zapadł się w nicość.

Kiedy Wespazjan oprzytomniał, czuł silne pulsowanie w głowie przy każdym uderzeniu serca.

Leżał na zimnym kamieniu.

Otworzył oczy i na początku nie widział nic w panującej ciemności. Potem, kiedy przyzwyczaił wzrok do mroku, niecałe dwa kroki od siebie dostrzegł słabutkie światło. Sączyło się przez małe kwadratowe okienko.

Wyteżył wzrok i zobaczył, że to zakratowany otwór w drzwiach.

Był w celi.

Był znowu w celi.

Podciągnął kolana pod brodę i przycisnął do siebie kurczowo.

Zawodzący dźwięk, który powstał w jego dołku, narastał, aż w końcu targał nim całym; był przeciągły, głuchy, daremny i rozpaczliwy.

Nie miał pojęcia, jak długo tam leżał, w końcu jednak drzwi się otworzyły i postawiono go na nogi. Jęknął, a ściślej mówiąc, zakwilił. Nie opierał się, kiedy ciągnięto go kolejnymi mrocznymi korytarzami, mijając od czasu do czasu płonąca pochodnię, a potem po schodach w górę; w końcu odsunięto rygiel przy solidnych drzwiach i rzucono na stertę cuchnącej słomy.

– Miło, że do nas dołączyłeś, panie, choć nie wątpię, że życzylibyśmy sobie wszyscy spotkać się w mniej ograniczonych okolicznościach, jeśli wiesz, co mam

na myśli?

Wespazjan podniósł wzrok i zobaczył siedzących pod ścianą Magnusa i Hormusa. Przez zakratowane okno nad nimi wpadało jasne światło dnia.

– Od jak dawna tu jesteście?

– Od dwóch dni.

– Jak do tego doszło?

Nagle Hormus się rozszlochał.

Magnus popatrzył oskarżycielsko na niewolnika, po czym zwrócił się do Wespazjana.

– Pozwolę sobie wyrazić satysfakcję i powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Wespazjan natychmiast zrozumiał.

– Bagoas?

– Na to wygląda. Powiedziałem, że kiedyś ta namiętność do chłopców ściągnie na niego kłopoty. Nie sądziłem, że wszyscy będziemy się babrać w tym gównie z wychędożonych tyłków.

– Bardzo przepraszam, panie – jęknął Hormus, klękając i wyciągając ręce. – Błagam o wybaczenie.

– Cóżże ty zrobił?

Hormus załkał jeszcze kilka razy, po czym wreszcie się opanował.

– Po tym jak żeśmy... no tak, zasnąłem. Kiedy się obudziłem, wyłamywali drzwi i Bagoasa już tam nie było, ani naszego worka.

Magnus pokręcił głową.

– Domyślałem się, że go ukradł, a kiedy znalazł rzymskie miecze i inne rzeczy, bardzo szybko sobie wykombinował co trzeba i razem z kuzynem postanowili zarobić nieco więcej, poza łodzią i naszymi pieniędzmi, i donieśli na nas odpowiednim władzom.

Hormus załamywał ręce.

– To wszystko moja wina, panie. Bo przetłumaczyłem Bagoasowi tę uwagę Magnusa o Fortunie.

– I nabrał podejrzeń, kiedy usłyszał, że czcimy rzymską boginię. Szczególnie że tylko ty mówiłeś po aramejsku. To był naprawdę głupi błąd, Hormusie.

Niewolnik skinął żałośnie głową, z oczami wciąż wlepionymi w podłogę.

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedział Wespazjan i poklepał pocieszająco ramię Hormusa, spojrzał na Magnusa. – No więc, jakie mają wobec nas plany? – zapytał.

– Miałem nadzieję, że tobie to powiedzieli, panie.

– Niestety nie. – Wstał i podszedł do drzwi. – Ale skoro już i tak wiedzą, że jesteśmy Rzymianami, to może jak im powiemy o mojej randze konsula, nasze życie okaże się cenniejsze.

– Możemy też okazać się bardziej kłopotliwi, a to zmusi naszych

gospodarzy, żeby się nas jak najszybciej pozbyć, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Wiem, ale czy masz jakieś lepsze propozycje?

Magnus pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, lubują się tu w nabijaniu ludzi na pal.

Wespazjan zaczął walić w drzwi i domagać się przyjścia strażników.

W końcu okienko odsłonięto i pojawiła się w nim zaskakująco porządnie ogolona twarz.

– Macie tu jakiś problem? – zapytał mężczyzna płynną łaciną.

– Owszem. Jestem prokonsulem i przetrzymywanie mnie tutaj może wywołać incydent dyplomatyczny.

– Wiemy doskonale, kim jesteś, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie. Znaleźliśmy twoje cesarskie pełnomocnictwo wśród innych rzeczy w worku, razem z tymi mieczami, którymi zamierzałeś uśmiercić naszego Wielkiego Króla.

Wespazjan popatrzył na niego zdumiony.

– Uśmiercić Wielkiego Króla?

– Oczywiście. Bo niby dlaczego przybylibyście w przebraniu do Ktezyfontu na dzień przed powrotem Wologazesa?

– Mieliśmy tutaj własne sprawy do załatwienia.

– To się okaże. Sam Wielki Król to ustali.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że to on ustali, jaki był cel waszego przybycia i jaki będzie wasz los. Jutro bowiem staniecie przed nim, by was osądził.

Rozdział piętnasty

Sklepienie kolebkowe w wielkiej sali audiencyjnej królewskiego pałacu było częściowo zasnuwane mgiełką dymu. Przez umieszczone wysoko w długim rzędzie łukowe okna wpadały jasne snopy światła, w których widać było unoszące się w powietrzu pyłki. Mimo to w olbrzymim długim wnętrzu paliły się tysiące lamp. Była to sala światła, zarówno naturalnego, jak i sztucznego, jakiej nigdy wcześniej Wespazjan nie oglądał. Światło rozjaśniało barwy marmurów posadzki i kolumn, farby pokrywającej rzeźby, podkreślało kolorystykę strojów zebranych tu osób, wydobywało wszystkie odcienie z wypalanych lśniących kafli pokrywających ściany i strop, idealnie dopasowanych, przedstawiających sceny myśliwskie i bitewne, a także inne bohaterskie czyny członków królewskiej dynastii Arsacydów.

Tyle kolorów i tak bogaty wystrój w jednej wspaniałej sali. Nie to jednak uderzyło Wespazjana, kiedy razem z Magnusem i Hormusem wprowadzano go przez przytłaczająco ogromne cedrowe odrzwia, tylko moc emanująca od człowieka, którego zobaczył na podwyższeniu w drugim końcu sali.

Wologazesowi, pierwszemu o tym imieniu Królowi Królów imperium Partów, towarzyszyły setki dworzan, elita pochodząca z wielu krain, a wszyscy wierni i posłuszni temu człowiekowi, który był panem życia i śmierci milionów poddanych i teraz miał osądzić Wespazjana.

Z obfitością światła i barw kontrastował brak dźwięku i kiedy Wespazjana wraz z jego towarzyszami rzucono twarzą na posadzkę i syknięciem nakazano leżeć bez ruchu, w tej ogromnej sali zapanowała absolutna cisza. Nikt się nie poruszył ani nie szepnął jednego słowa i w tym milczeniu Wespazjan czuł wrogość promieniującą z setek par oczu wpatrzonych w trzy leżące postaci, takie małe pośród tego całego ogromu.

Zdawało się, że leżą tam cały wiek, przygnieceni ciężarem ciszy nie niosącej spokoju, tylko budzącej grozę.

Nagle wdarł się w nią wykrzyczany po grecku rozkaz czołgania się do przodu.

Z oczyma tuż nad posadzką Wespazjan zbliżał się do Wielkiego Króla upokorzony, ale wciąż żywy. Z każdym kolejnym ruchem narastało jego oburzenie na takie traktowanie byłego konsula rzymskiego, tak że kiedy kazano mu się zatrzymać, wprost kipiał z wściekłości.

– Co robisz w moim królestwie, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie? Odpowiedz samą prawdą. Mówienie nieprawdy Królowi Królów obraża nie tylko jego, ale również znieważa Ahurę Mazdę.

Wespazjan uświadomił sobie, że to sam Wologazes mówi językiem greckiej konkubiny, która była jego matką. Starając się opanować gniew i ograniczyć słowa

– wiedział już, jaką wagę Partowie przywiązują do szczerości – trzymał się prawdy. Pokrótce opowiedział Królowi Królów wszystko, co mu się przydarzyło od momentu, w którym Radamist przekazał go Babakowi jako zabezpieczenie fałszywej przysięgi, aż do przybycia do Ktezyfontu, i wyjaśnił, dlaczego tutaj szuka rodziny Atafanesa.

– Zatem nie zamierzałeś mnie skrytobójczo zamordować?

– Skąd taki pomysł, Wielki Królu?

Na drugim końcu sali ktoś krzyknął i Wespazjan usłyszał, jak kogoś ciągną po posadzce przed oblicze władcy.

– Ten chłopiec przysiągł, że podsłuchał, jak ty i twoi towarzysze planujecie na mnie zamach, kiedy będę wjeżdżał do miasta, co nastąpiło wczoraj.

Wespazjan nie odwrócił oczu od posadzki, ale domyślił się, że właśnie przywleczono Bagoasa.

– Skąd mógłby to wiedzieć? Nie mówi po grecku, a tylko jeden z moich towarzyszy zna aramejski. Domyślam się, że skłamał, by okazać się ważniejszym, niż jest, i otrzymać większą nagrodę.

Wielki Król przez chwilę w ciszy rozważał słowa Wespazjana.

– Czy ktoś z obecnych może poręczyć za tego Rzymianina? – Głos Wologazesza rozbrzmiał echem po sali i zaniknął.

Zapadła cisza i trwała niezmacona, martwa.

A potem zakłócił ją głos z końca sali.

– Ja mogę, Światłości Słońca.

Wespazjan nie rozpoznał tego głosu, a leżąc z nosem przy podłodze, nie mógł też mówiącego zobaczyć. Słyszał tylko czyjeś kroki przemierzające całą długość sali. Gdzieś za nim pochlipujący Bagoas został uciszony uderzeniem otwartą dłonią.

Kroki ucichły i kątem oka Rzymianin zobaczył obok siebie ubranego w perskim stylu mężczyznę, który zgiął się w pokłonie, następnie osunął na kolana, czołem dotykając posadzki. Na tym jednakże nie skończył i niezwykle płynnym ruchem położył się, rozprostowując na całą długość. Ułożył dłonie płasko po obu stronach głowy i ucałował podłogę przed swoim Wielkim Królem.

– Twoje imię? – W głosie Wologazesza można było usłyszeć lekkie zaskoczenie.

– Gobrias, Światłości Słońca.

– Możesz mówić na klęczkach.

Mężczyzna uniósł się z gracją.

– Jestem zaszczycony, Światłości Słońca. – Zamilkł, by się przygotować, i odetchnął głęboko, opanowując zdenerwowanie. – Nieco ponad czternaście lat temu z Aleksandrii przybyła karawana. Przywiozła towary, jakich należało się spodziewać z rzymskiej prowincji Egiptu. Jednakże był tam również jeden

przedmiot powierzony właścicielowi karawany przez jego kuzyna, alabarchę aleksandryjskich Żydów. Szkatuła przeznaczona dla mojego ojca, którego imię noszę, zawierała złoto, mnóstwo złota. W dołączonym liście podano informację dotyczącą najmłodszego syna, mojego brata Atafanesa. Był on przez piętnaście lat niewolnikiem u rzymskiej rodziny, a potem przez niemal taki sam okres wyzwoleniem na ich służbie. W tym czasie zgromadził spory majątek. Kiedy umierał, poprosił swoich patronów, by odesłali zgromadzone mienie jego rodzinie, mieszkającej tutaj, w Ktezyfoncie. Ta rzymska rodzina musi być bardzo prawa, ponieważ mimo oczywistych pokus, żeby zatrzymać złoto, oddała je.

Ze wszystkich stron rozległ się szmer aprobaty.

Wespazjan leżał i wstrzymując oddech, słuchał głosu obcego mężczyzny, który ratował mu życie.

– Wczoraj rano – mówił Gobrias – do moich uszu dotarła pogłoska, że jacyś cudzoziemcy szukają na wielkim targu rodziny kupców korzennych, w której najmłodszy syn, Atafanes, zginął w służbie jednego z twoich poprzedników. Najpierw pomyślałem sobie, że tym ludziom nie może chodzić o mnie, ponieważ mojego brata nie zabito, tylko pojmano. Potem jednak uświadomiłem sobie, że przed nadejściem tamtego listu nie mieliśmy pojęcia o tym, że Atafanes znalazł się w niewoli, myśleliśmy, że nie żyje. Nie wyjawiliśmy nikomu tej wstydlivej prawdy, kiedy już ją poznaliśmy... kto chciałby się przyznać, że ma w rodzinie niewolnika? Teraz przyznaję to tylko dlatego, że chcę bronić człowieka, którego jestem dłużnikiem. Ci obcokrajowcy byli bardzo taktowni, nie wymieniali słowa „niewolnik”, rozumieli naszą wrażliwość. Kiedy usłyszałem, że zatrzymano jakichś obcych, ponieważ chcieli wyrządzić krzywdę osobie Wielkiego Króla, i że jeden z nich jest Rzymianinem noszącym imiona Tytus Flawiusz Wespazjan, wiedziałem, że to są ci sami ludzie, dlatego postanowiłem skorzystać ze swojego prawa jako naczelnika Ktezyfońskiego Związku Kupców Korzennych, wziąć udział w tym procesie i zwalczyć kłamstwo prawdą.

Umysł Wespazjana wypełniły dziękczynne modlitwy do Marsa i do głównego boga zaratustriańskiej religii, Ahury Mazdy, który nie toleruje kłamstwa.

– Wstawiasz się tak zdecydowanie za tym człowiekiem, Gobriasi – oświadczył Wologazes po chwili namysłu. – Ale skąd możesz być pewien, czy przez ten długi czas nie doszło do jakiegoś błędu lub nieporozumienia?

– Ponieważ, Światłości Słońca, wciąż mam ten list, który przybył razem ze złotem mojego brata. Oto on, i jest podpisany Tytus Flawiusz Wespazjan.

Kątem oka Rzymianin zobaczył jakiegoś człowieka zbliżającego się od strony podwyższenia. Wziął on od Gobriasa zwinięty list i z najwyższym szacunkiem wręczył władcy.

Zapanowała absolutna cisza, w której słyhać było jedynie szelest listu w dłoniach Wologazesa.

– Tytusie Flawiuszu Wespazjanie – odezwał się Wielki Król po krótkiej chwili – możesz powstać, jednakże twoi towarzysze mają pozostać tam, gdzie są.

Wespazjan wstał powoli i podniósł wzrok na mężczyznę zasiadającego na wysoko ustawionym tronie. Wologazes był młody, miał trzydzieści kilka lat, poważne ciemne oczy i wąski, haczykowany nos. Głowę zdobił mu wysadzany klejnotami złoty diadem, spod którego spływały długie do ramion, zakręcone w ciasne loki czarne włosy. Brodę miał podobnie ufryzowaną, a każdy lok był natłuszczony i błyszczał niczym pióra kruka, kontrastując z bladą cerą, która najwyraźniej była rzadko wystawiana na słońce.

Wologazes, nieruchomy i wyprostowany, przyjrzał się Wespazjanowi.

– Czy to rzeczywiście ty posłałeś to złoto rodzinie Gobriasa?

Teraz, kiedy już stał, wściekłość na doznane upokorzenie przygasła.

– Tak, Światłości Słońca.

Cień rozbawienia przemknął przez twarz Wielkiego Króla, kiedy Rzymianin wymówił jego tytuł.

– Jesteś zatem wyznawcą prawdy – powiedział, po czym skierował spojrzenie na koniec sali. – Przeprowadzić ich tutaj! – rozkazał.

Wespazjan obejrzał się i zobaczył Bagoasa i jego kuzyna, właściciela karczmy, z załzawionymi z przerażenia oczyma. Każdy z nich, prowadzony przez dwóch strażników, został rzucony na posadzkę.

Wologazes popatrzył na tę parę z odrazą.

– Który powiedział kłamstwo? – zapytał.

Jeden ze strażników odpowiedział, unosząc za włosy głowę Bagoasa.

– Odjąć mu język, nos, uszy i jedno oko; drugie pozwolę mu zachować, żeby zawsze w odbiciu mógł zobaczyć swoje okaleczenie.

Bagoas nie rozumiał greckiego i dlatego raczej z powodu zaskoczenia, a nie bólu, wrzasnął, kiedy strażnik wyjął z pochwy nóż i obciął mu lewe ucho. Po chwili na podłodze leżało również prawe, a wrzask Bagoasa przybrał na sile. Strażnik przyłożył mu nóż do twarzy i energicznym pociągnięciem pozbawił chłopca nosa, zostawiając na środku twarzy tryskającą krwią jamę. Drugi mężczyzna jedną ręką ścisnął mu z boków szczęki, zmuszając do otwarcia ust, a trzymanym w drugiej ręce nożem zahaczył o język i wyciągnął go na zewnątrz; jego towarzysz błyskawicznie opuścił nadgarstek i Bagoas z charczącym zawodzeniem patrzył, jak strażnik, szczerząc się w opętańczym uśmiechu, zabiera jego drgający na czubku noża język. Wtedy połowa obrazu zniknęła, ale on już prawie nie czuł bólu towarzyszącego wydłubywaniu mu lewego oka, jako że całe jego ciało i umysł skamieniały pod wpływem doznanego wstrząsu.

– Zabierzcie go i oznajmijcie wszystkim, że ci, którzy przyjdą do Wielkiego Króla z kłamstwem, nie będą mogli liczyć na litość – rozkazał władca. Kiedy krwawiącego, szybko i głęboko oddychającego chłopca odciągano, pozostawiając

na posadzce smugę krwi, Wologazes skierował swoją uwagę na karczmarza, który trzęsąc się, leżał z twarzą we własnych wymiocinach. – Jemu przeznaczam śmierć – oświadczył. – Na palu.

Wijącego się i wrzeszczącego mężczyznę zabrano, a król obdarzył Wespazjana ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Dlaczego chciałeś odszukać Gobriasa? – zapytał.

– Miałem nadzieję, że jeśli złoto do niego dotarło, to odpłaci przysługą, pomagając mnie i moim towarzyszom dostać się z powrotem do Judei albo do Syrii w jednej z jego karawan.

– Co ty na to, Gobriasie?

– Światłości Słońca, jestem dłużnikiem tego człowieka, bo chociaż jego rodzina przez tak długi czas trzymała mojego brata jako niewolnika, nie czyniła tego w złych zamiarach. Wszyscy mamy niewolników i ci niewolnicy mają rodziny. Nie było ich winą, że kupili akurat Atafanesa. Było wolą Ahury Mazdy, że go oszczędzono i uczyniono niewolnikiem. Pod każdym względem rodzina tego człowieka zachowała się właściwie. Odwdzięczę mu się za to i jeśli zezwolisz, wyślę go na zachód w mojej karawanie, która wyrusza przy najbliższej pełni księżyca.

– Zezwalam, Gobriasie. A zanim wyruszą, okaż im wszelką gościnność w swoim domu.

– Stanie się wedle twojej woli, Światłości Słońca. – Mężczyzna złożył ukłon i powoli się wycofał.

Wologazes skłonił leciutko głowę.

– Zabierz swoich towarzyszy, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, i niech cię prowadzi światło Ahury Mazdy.

– Wielkie dzięki, Światłości Słońca – powiedział Wespazjan i wypowiedział te słowa z głębi serca. Ukłonił się i powoli wycofał, naśladując swojego świeżo poznanego i mającego go podejmować gospodarza.

Magnus i Hormus również wstali i szli tyłem, aż znaleźli się za drzwiami, gdzie karczmarz ze związanymi rękoma, stojąc na czubkach palców, usiłował nie dopuścić, by zaostrzony pał, na który go nabito, zagłębiał się jeszcze dalej w jego ciało. Kiedy drzwi do sali audiencyjnej zamknęły się za nimi, odwrócili się i popatrzyli po sobie, a potem na człowieka, który ich zdradził, a teraz ginął w męczarniach.

– Na zadek, fiuta i jaja Jowisza, niewiele brakowało – szepnął Magnus.

– Tak – zgodził się z nim Gobrias – jeszcze nie słyszałem, by Wielki Król okazał aż takie miłosierdzie.

W ogrodzie Gobriasa było chłodno i spokojnie, łagodnie pluskały fontanny i śpiewały ptaki. Tylko część tych obsypanych kwiatami roślin była Wespazjanowi znajoma. Słodki zapach pozwolił mu poczuć się lepiej. Przez ostatnie dziesięć dni,

jakie minęły od spotkania z Wologazesem, chronił się w tym małym rajku, starając się otrząsnąć po miesiącach spędzonych w ciemności, przypomnianych ostatnim krótkim pobytem w lochu.

W tym czasie odbył wiele rozmów ze swoim gospodarzem i jego dwoma braćmi. Wszyscy okazali się uprzejmi i zaskakująco wolni od urazy i chętnie odpowiadał na wszystkie pytania dotyczące życia Atafanesa w *Aquae Cutillae*, posiadłości Flawiuszów nieopodal Reate, pięćdziesiąt mil na północny wschód od Rzymu. Opowiedział im o wielkiej przyjaźni Atafanesa z innym wyzwoleniec, Baseosem z ludu Scytów, który również był mistrzem w posługiwaniu się łukiem; opowiadał o ich strzeleckich zawodach i zabójczej celności przy użyciu tej broni, kiedy trzeba było bronić posiadłości przed złodziejami mułów i zbiegłymi niewolnikami. Wspomniał też o braku zainteresowania Baseosa złotem i o tym, że wszystko, co zarobił, przekazał Atafanesowi. Ponieważ sądził, że Baseos wciąż żyje, obiecał przekazać staremu Scytowi zaproszenie, by ich odwiedził i doświadczył szacunku należnego takiemu dobremu przyjacielowi zmarłego już najmłodszego brata.

Rozmowa o *Aquae Cutillae* i o zajęciach wyzwolenców wywołała pragnienie powrotu do domu i cieszenia się czas jakiś wiejskim życiem, hodowlą mułów, produkcją wina i tłoczeniem oliwy. Zaczął tęsknić za spokojem tej posiadłości, jak i tej drugiej, w Kosie, którą pozostawiła mu babka Tertulla. Wiedział, że nie jest mu dany powrót do wiejskiego życia, przynajmniej na razie, póki jeszcze nie zrobił wszystkiego, by podążyć wytyczoną dlań ścieżką. Był jednak zmęczony i obiecał sobie, że po powrocie do Rzymu spędzi sześć miesięcy, a może cały rok, w spokoju. Byłby to czas odpoczynku, a on mógłby obserwować z daleka, jak toczy się bitwa o sukcesję po Klaudiuszu, i zobaczyć, czy powiodł się ten wspaniały plan Tryfeny, mający zapewnić władzę obu gałęziom jej rodziny. A potem, jeśli Tryfena dopnie swego, będzie mógł się zastanowić, jak najlepiej wykorzystać nieunikniony zamęt i katastrofę, do jakich doprowadzi oparta na kazirodczym związku władza Nerona i jego matki Agrypiny. Kiedy rozważał te sprawy, przyszło mu na myśl, że najlepiej będzie przez jakiś czas nie rzucać się w oczy i spędzić kilka lat w posiadłościach.

I kiedy popołudniową porą w przeddzień wyruszenia karawany dumał sobie w cieniu migdałowca, stanął przed nim Gobrias ze zmartwioną miną. Towarzyszył mu siwobrody mężczyzna o wilgotnych oczach.

– Wespazjanie, to jest Fraotes – powiedział Gobrias, okazując nowo przybyłemu szacunek.

Mężczyzna zbliżył się i złożył na ustach Rzymianina powitalny pocałunek człowieka równego mu statusem.

– Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, Światło Słońca, Król Królów, życzę sobie, byś towarzyszył mi w rozrywce, jakiej dostarcza trzymana w jego rajku

zwierzyna łowna.

Wespazjan lewą ręką trzymał się kurczowo boku dwukonnego rydwanu, którego woźnica okrążał majestatyczny cedr libański; prawą trzymał uniesiony nad barkiem lekki myśliwski oszczep, oceniając nieustannie zmieniającą się odległość pomiędzy sobą i łanią daniela perskiego, którą ścigał razem z Wologazesem. Oba rydwany prowadzone były z ogromnym kunsztem po gładko wystrzyżonych i wypielęgowanych trawnikach tego królewskiego myśliwskiego raję; pędzili z tak oszałamiającą prędkością, że Wespazjanowi udało się zapomnieć o dwóch konnych łucznicach za plecami, gotowych go zabić, gdyby podejrzewali, że może zagrozić swoją bronią królowi. Prokonsul nie miał najmniejszego zamiaru wyrządzać Wologazesowi krzywdy, ale rozumiał potrzebę podejmowania takich środków ostrożności; Wologazes okazywał mu, jako Rzymianinowi, duże zaufanie, pozwalając w swojej obecności używać łuku i oszczepu.

Łania zboczyła w lewo i Wespazjan usztywnił nogi w kolanach, kiedy pojazd skręcił gwałtownie, by łowca wciąż miał ofiarę po prawej stronie. Czuł, jak wiatr rozwiewa jego długą brodę, i uśmiechnął się mimowolnie, bo gonitwa z taką szybkością była emocjonującym przeżyciem. Kiedy rydwan wyrównał, zerknął w przód, ku rydwanowi Wologazesa; Wielki Król stał wyprostowany, z oszczepem gotowym do rzutu. Mimo to obejrzał się na Rzymianina i lekkim ruchem głowy zachęcił go, by rzucił pierwszy.

Wespazjan odciągnął do tyłu prawe ramię, nie spuszczać wzroku z odległego zaledwie o trzydzieści kroków zwierzęcia, i stęknąwszy potężnie, cisnął oszczep, celując w punkt tuż przed łanią. Rzut był precyzyjny i łania pędziła prosto, jednak w ostatniej chwili wierzgnęła. Oszczep otarł się o jej brzuch i zaplątał między tylnymi nogami, zwierzę padło na grzbiet, wymachując kończynami w powietrzu. Woźnica Wologazesa ściągnął wodze, zaprzęg zwolnił tak, by Wielki Król mógł zeskoczyć na ziemię. Wespazjan dołączył do niego, kiedy już klęczał przy ogłuszonym stworzeniu. Łania leżała na boku. Oddychała szybko i regularnie.

Wologazes przesunął ręką po nogach zwierzęcia.

– Wydaje mi się, że żadna nie jest złamana. Wszystko powinno być dobrze, musi tylko dojść do siebie po upadku. Zapoluję na tę piękność innego dnia i przyniosę jej śmierć, na jaką zasługuje, a nie nadzianie na szpikulec, kiedy leży bezradna na ziemi. – Król wstał; był o głowę wyższy od Wespazjana. – Chodź, zjemy coś.

Jako danie główne podano przyprawiony szafranem ryż z rodzynkami, migdałami i kurczakiem. Potrawa była wyśmienita, a towarzyszące jej pieczone mięsa i pachnące przyprawami warzywa okazały się nie mniej smaczne. Wespazjan popijał chłodzone wino, siedząc wygodnie na sofie w przewiewnym pawilonie, ustawionym na trawniku, który opadał łagodnie ku rojącemu się od wodnego

ptactwa jezioru z porośniętym trzcina brzegiem.

Rzymianin i król Partów jedli sami; reszta towarzystwa siedziała na kocach, w stosownej odległości. Cienie się wydłużyły, a kiedy słońce zniknęło na zachodzie, zapalono pochodnie i trudno było uwierzyć, że znajdują się w samym sercu jednego z tych wielkich miast Wschodu, a nie w jakiejś leżącej na uboczu wiejskiej posiadłości.

Rozmowa był uprzejma i nie zahaczała o jakieś kontrowersyjne tematy. Dlatego też nie zdziwiło specjalnie Wespazjana, kiedy król odprawił dwóch obsługujących ich eunuchów i ujawnił prawdziwy powód kryjący się za tym zaproszeniem.

– Mój wymuszony odwrót z Armenii, spowodowany brakiem dostaw po dwóch srogich zimach, i wybuch tego lata na wschodzie rebelii, która wymaga mojej uwagi, miały swoje oczywiste konsekwencje – powiedział.

Wespazjan odstawił puchar z winem; nie musiał się długo zastanawiać, by wiedzieć, o jakie konsekwencje chodzi.

– Przypuszczam, że Radamist ponownie dokonał najazdu – odparł.

– Oczywiście, ale niespodziewanie okazało się to wyjątkowo pomyślne. – Wologazes uniósł brew. – Szczeniaczki takie jak on nie mają pojęcia, jak rządzić. Kazał stracić każdego wielmożę, jakiego udało się schwytać, oskarżywszy go o zdradę. Chyba przyznasz, że to na rękę nam obu.

Rzymianin wlepił w Wologazesa zdumione spojrzenie.

Wielki Król zachichotał cicho i upił łyk wina.

– Czy sądzisz, że nie widzę, iż ten kryzys w Armenii został sfingowany? Sprowokowano nas do niepotrzebnej wojny. Ale dlaczego? Jedno spojrzenie na wiek i stan zdrowia Klaudiusza i na walkę o sukcesję po nim wyjaśniają mi prawdziwy powód tej próby odwrócenia naszej uwagi. Nie wiem dokładnie, kto za tym stoi, myślę jednak, że ty to wiesz, bo jakimś dziwnym przypadkiem zawsze znajdujesz się we właściwym miejscu o właściwej porze. Ty, były konsul, z cesarskim pełnomocnictwem, pozwalającym ci działać jako wysłannik w Armenii, przybywasz z Kapadocji, z armią prowadzoną przez kalekiego idiotę bez żadnego wojskowego doświadczenia, plądrujesz spokojne miasto, a potem zrywasz traktat pomiędzy nami, odbudowując mury Tigranocerty? Chyba nawet niezbyt rozgarnięty władca zorientowałby się, że jest w tym wszystkim coś więcej, niż się wydaje; szczególnie że król Pontu, Polemon, i jego siostra, była królowa Tracji, oboje wysłali Babakowi z Niniwy dokładne informacje na temat tego, co się miało wydarzyć. Skąd to wiedzieli?

Wespazjan wycofał się do bezpiecznej przystani, jaką był puchar z winem.

Wologazes pochylił głowę, rozumiejąc, że jego gość woli milczeć, niż odpowiedzieć mu kłamstwem.

– Co interesujące, Babak powiedział to wszystko swojemu królowi, jednak

Izates nie przekazał mi tych informacji. Zupełnie jakby uważał, że kampania Babaka w Armenii dotyczyła usunięcia Radamista, co posłużyłoby jego własnym celom. Może sądził, że zostanie królem również tej krainy? Na szczęście Tryfena przysłała mi list bogaty w informacje dotyczące tego podległego mi króla i w dwa miesiące od przybycia Babaka wysłałem przeciwko Radamistowi królewską armię. Poprzedni satrapa Niniwy spędził bardzo niewygodnie swoje ostatnie godziny.

Wespazjana przeszedł dreszcz, bo wiedział, co to oznaczało.

– A Izates? – zapytał z nadzieją, że człowiek, który ukradł mu dwa lata życia, także wylądował na zaostrzonym końcu pała.

– Kulił się i czołgał, i całował ziemię pod moimi stopami, ale pozostawiłem go na tronie, tyle że nie pozwoliłem mu go oglądać. Na szczęście ma dwudziestu czterech synów i dwadzieścia cztery córki, więc jestem pewien, że któreś poprowadzi go za rękę.

Wespazjan poczuł przyływ gorzkiej satysfakcji na myśl o sprawiedliwości, jaka dosięgła Izatesa.

– Miło mi to słyszeć – powiedział.

– Sądziłem, że taka będzie twoja reakcja – stwierdził Wologazes. Przez chwilę przyglądał się Rzymianinowi. – Nie proszę cię, byś przyznał, dla kogo pracujesz, chociaż mogę się tego domyślić. Natomiast proszę cię, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, byś po powrocie do Rzymu powiedział komu należy, że ta niepotrzebna, dogodna dla obu stron wojna prowadzona będzie z minimalnym zaangażowaniem.

– Dogodna dla obu stron?

– W rzeczy samej. Przekaż odpowiednim osobom, że powody, które zmusiły mnie do chwilowego wycofania się z Armenii, wkrótce będą usunięte i w przyszłym roku tam powrócę, i podejmemy igraszki na nowo. U mnie, podobnie jak u nich, też istnieje polityczna potrzeba odwracania uwagi.

– By powstrzymać podległe ludy od rozważania ich sytuacji?

– Owszem, między innymi. Pozwala mi to również sprawiać wrażenie, że bronię honoru swojego ludu, a także utrzymać sprawność armii. Wojna z Rzymem jest koniecznością, a nie luksusem.

– Tak, ja również doszedłem do tego wniosku, tyle że z przeciwnej pozycji.

– Nie dziwota, że siły stojące za rzymskim tronem pozwoliły ci na sprawowanie urzędu konsula przez najkrótszy możliwy okres. Zbyt dobre rozumienie polityki na wysokim poziomie stanowi zagrożenie.

Wespazjan nie skomentował tych słów; jeśli Wielki Król Partii mógł wyciągnąć wnioski z jego trwającej dwa miesiące kadencji, to znaczyło, że miał rację, odbierając wtedy tę sytuację jako zniewagę.

– A zatem, mój przyjacielu – ciągnął Wologazes – mogę się tak do ciebie zwracać, prawda?

– Będę zaszczycony.

– Zachowanie Radamista doprowadziło do tego, że kiedy w przyszłym roku wejdę do Armenii, będę miał arystokrację po swojej stronie. Przepędzę Radamista z kraju, przywrócę tron mojemu młodszemu bratu. Ponowne jego usunięcie będzie wymagać sporej armii i kilku kampanii. Pozwoli to na odwrócenie uwagi od problemów w Rzymie podczas zmiany rządów i niewątpliwie da młodemu cesarzowi Neronowi pierwsze zwycięstwo, a tym samym umocni jego władzę. Z tego, co mówią moi agenci, ma możliwości, które pozwolą Kaligulę uznać za zdrowego na umyśle i rozsądnego człowieka. Ktoś, kto dzieli łożę z własną matką, bez wątplenia dopuści się wszelkiej deprawacji i stoczy na dno w poszukiwaniu wciąż to nowych podniet.

Wespazjan skinął głową, uśmiechając się lekko.

– Myślisz, królu, to samo co ja?

– Myślę, że on będzie ostatnim z tej linii, i dlatego Partia zrobi wszystko, co w jej mocy, by zapewnić mu tron. Pozwolimy, by wojna w Armenii się ciągnęła, po czym doprowadzimy do jakiegoś dyplomatycznego rozwiązania. Wtedy Neron skoncentruje się na gloryfikowaniu samego siebie i trwonieniu pieniędzy. W następstwie tej sytuacji dojdzie do zabójstwa cesarza, co wywoła wojnę domową, która jeszcze bardziej nadweręży finanse Rzymu i ten, kto ostatecznie wygra, zostanie ogołocony skarbiec, co uniemożliwi mu obronę granic cesarstwa. Wtedy, jeśli Ahura Mazda zachowa mnie przy życiu, zdecyduję, w jaki sposób prowadzić rozmowy z nowym cesarzem, z pozycji siły.

– Po co mi to mówisz?

– Po prostu byłem ciekaw, dlaczego popierasz Nerona przy takich oczywistych konsekwencjach?

– Żeby raz na zawsze pozbyć się z Rzymu dynastii julijsko-klaudyjskiej.

Wologazes wstał.

– A kim byś tych ludzi zastąpił? Powiadam ci, przyjacielu, gdybyś był moim poddanym, to twoje ciało miałyby już wiele braków. – Uśmiechnął się przyjaźnie, kiedy Wespazjan się podniósł. – Życzę ci bezpiecznej podróży. Kazałem oddziałowi królewskich łuczników towarzyszyć karawanie. Nie będzie ich zbyt wielu, bo mogliby przyciągać uwagę, ale wystarczająca liczba, by odprowadzić cię bezpiecznie do twojego cesarstwa. Życzę ci powodzenia. Nie sądzę, by nasze ścieżki jeszcze się kiedyś przecięły.

Rozdział szesnasty

To chyba jakieś żarty – obruszył się Magnus, spoglądając przerażonym wzrokiem na klęczącego osiodłanego wielbłąda; uśmiechnięty poganiacz trzymał zwierzę za uzdę.

– A jak inaczej zamierzasz przemierzyć pustynię? – zapytał Wespazjan, przyglądając się zwierzęciu, na którym sam miał jechać.

Wielbłąd, przezuwając coś metodycznie, odpowiedział mu wyniosłym spojrzeniem.

– Mieliśmy konie, kiedy jechaliśmy z Syrii.

– To było bardziej na północ i podróż nie trwała długo. Mehbazu twierdzi, że konie mogą dotrzeć do Judei tylko zimą.

– Mehbazu wie, co mówi. Przejechał tym szlakiem kilkanaście razy – oświadczył Gobrias. – Po przepłynięciu promem na drugą stronę Eufratu dalsza podróż może wam zabrać i piętnaście dni.

Znajdowali się na zachodnim brzegu Tygrysu, który o świcie przepłynęli jedną z łodzi Gobriasa. Karawana była już gotowa, czekała na nich razem z osiemdziesięcioma królewskimi łucznikami na wielbłądach, których obiecał im Wologazes. Mehbazu, naczelnik karawany, powitał Wespazjana z respektem należnym człowiekowi, któremu Wielki Król Partii uczynił tak wielki zaszczyt, przydzielając mu ludzi ze swojej gwardii przybocznej.

Siedmiu kupców podróżujących karawaną dotknęło palcami czoła i skłoniło mu się nisko, ponieważ ich władca okazał mu wielką łaskawość. Rzymianin podchodził do wielbłąda, w którego nozdrzach zdawała się ucztować cała populacja much po tej stronie Tygrysu, z gorącym pragnieniem, by publicznie nie zrobić z siebie głupca.

Nieopodal głośny ryk zwierzęcia oznaczał, że Hormusowi udało się go dosiąść. Wielbłąd podniósł się, prostując najpierw tylne kończyny i o mało nie pozbywając się z grzbietu niedoświadczonego jeźdźca. Pomagający Hormusowi wielbłądnik dosiadł własnego wierzchowca, pokazał, że nogi należy trzymać z jednej strony, i zademonstrował, jak używać ostro zakończony kija, by przekonać zwierzę do ruszenia z miejsca.

Wespazjan i Magnus obserwowali tę lekcję, którą, jak się zdawało, Hormus dobrze i szybko sobie przyswoił.

– Wróciła mu pewność siebie, kiedy czuje, że wybaczyłeś mu nasze uwięzienie – zauważył Magnus, kiedy Hormusowi udało się namówić swojego wierzchowca, by poszedł w lewo.

Wespazjan uniósł brew.

– Ale go ostrzegłem, że skończy jak Bagoas, jeśli jeszcze kiedyś narazi moje bezpieczeństwo z powodu ochoty na tyłek jakiegoś młodzieniaszka.

– To powinno nauczyć go trzymać język za zębami, a fiuta w przepasce biodrowej.

Lekcja dobiegła końca, Wespazjan i Magnus popatrzyli po sobie, wzruszyli ramionami i niezbyt pewnie wdrapali się na siodła sterczące na garbach wielbłądów.

Wespazjan poczuł lęk o całość swojego karku, kiedy wielbłąd szarpnął nim, gwałtownie prostując tylne, a potem przednie nogi. Kupcy oraz osiemdziesięciu królewskich łuczników czekali cierpliwie, podczas gdy Magnus i Hormus ćwiczyli ruszanie, kierowanie i zatrzymywanie nieznanych dotąd wierzchowców, aż poczuli się na tyle pewnie, by wyruszyć w pięciusetmilową podróż do granic imperium rzymskiego.

– Niech Ahura Mazda cię prowadzi, Wespazjanie – powiedział na pożegnanie Gobrias.

Rzymianin spojrział na niego z wysoka.

– Dziękuję, przyjacielu. I dziękuję ci za uratowanie życia.

– To była zapłata za dług. Teraz jesteśmy kwita.

Wespazjan skinął głową z uśmiechem i ruszył naprzód, ostatni raz machając ręką swojemu wybawcy.

– Co miał ci do powiedzenia Wielki Król? – spytał Magnus, zrównując się z Wespazjanem, podczas gdy za nimi, przy wtórce porykiwania i parskania, przekonywano jakieś sto mocno obciążonych towarem wielbłądów, że powinny się podnieść i ruszyć w drogę.

– Och, po prostu udowodnił, jak dobrze potrafi czytać w czyichś myślach – odparł Wespazjan, próbując przystosować się do rytmu poruszania wielbłąda.

– Co masz na myśli?

– Powiedział mi, że gdybym był jednym z jego poddanych, kazałby mnie stracić lub okaleczyć za zdradzieckie zamiary.

– A miałeś takie?

– Nie bezpośrednio, Magnusie, ale wczoraj Wologazes nauczył mnie dwóch rzeczy. Po pierwsze, że władca musi być zdolny do okazywania miłosierdzia, bo w przeciwnym razie jego kary nic nie znaczą. I po drugie, że nie należy zakładać prawdziwości niczego, zwłaszcza jeśli sprawa dotyczy motywacji nieprzyjaciela. Zawsze należy zadać sobie pytanie „dlaczego?”.

– Jak na przykład, dlaczego siedzę na tym wielbłądzie?

Wespazjan roześmiał się.

– Nie, nie to miałem na myśli. W tym przypadku właściwe pytanie brzmi: dlaczego dałeś się namówić na dosiadanie wielbłąda?

Jeźdźcy, którzy pojawili się od południowej strony, niczym zjawy w drgającym żarem powietrzu, podążali za karawaną przez kilka ostatnich godzin. Za każdym razem, kiedy dowódca łuczników wysyłał patrol, żeby sprawdzić, co to

za jedni, jeźdźcy umykali; kiedy tylko patrol odwoływano, powracali na swoje miejsce, zawsze w odległości jakichś dwu czy trzech mil. Oni też dosiadali wielbłądów, jednak w przeciwieństwie do karawany szybkości nie ograniczały im obładowane juczne zwierzęta.

Oślaniając dłonią oczy przed palącym słońcem, Wespazjan spojrział na południe.

– Wciąż mogę się doliczyć tylko jakichś dwudziestu. Byliby głupi, gdyby chcieli zaatakować cztery razy większą siłę. – Skierował wzrok z powrotem na karawanę; ciągnęła się na ćwierć mili. Składało się na nią niemal sto wielbłądów obładowanych towarami albo bukłakami z wodą. Ustawiono je w rzędach po pięć sztuk i każdą piątkę prowadził niewolnik na wielbłądzie. Mebhazu oraz siedmiu kupców, do których należały wielbłądy i towary, podróżowali razem z Wespazjanem, Magnusem i Hormusem na przedzie, podczas gdy boków karawany strzegli łucznicy Wologazesa. Nie była to wielka siła, ale na pewno mogła robić wrażenie pośród tej spalonej martwej pustyni, gdzie ludzie ze swymi zwierzętami mogą przeżyć tylko pod warunkiem, że mają ze sobą wodę i znają położenie kilku studni i oaz rozproszonych po tej ziemi niczyjej pomiędzy dwoma imperiami, partyjskim i rzymskim. Nie było tu nikogo poza tamtymi jeźdźcami.

– Zatem tylko bogowie wiedzą, jakie są ich zamiary.

– Kurewskie Araby! – wyraził swoją opinię Magnus, próbując znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję na siodle; od jedenastu dni mu się to nie udało.

– Nabatejczycy – poprawił go Wespazjan.

– Powiedziałaś mi, że nazywają ich Arabami nabatejskimi.

– Zgadza się.

– No to szkoda strzepić sobie język na coś takiego. Dla mnie to kurewskie Araby.

– Mów sobie, jak chcesz. – Wespazjan poprawił opadający mu na oczy biały lniany zawój i ponownie obejrzał się za siebie. – Chciałbym wiedzieć, czego chcą.

– Może chcą pohandlować? – zasugerował z nadzieją w głosie Wahumisa, jeden z kupców. Ponieważ reprezentował w tej karawanie Gobriasa, jej finansowy sukces leżał mu na sercu.

– W takim razie dlaczego się nie zbliżą i nie zapytają?

– Może nie uważają zbliżenia się do osiemdziesięciu łuczników za najlepszy pomysł – powiedział Magnus, któremu głowa kiwała się w przód i w tył, zupełnie nie w rytm człapania wierzchowca. Nie opanował sztuki jazdy na wielbłądzie i nie zanosilo się na to, mimo że rękę miał już zdrową.

– Całkiem możliwe. Co o tym sądzisz, Mehbazu?

Naczelnik karawany spojrział na południe i pokręcił głową, jakby tamci jeźdźcy byli bez znaczenia.

– Chcą tego samego co wszyscy: pieniędzy. Po prostu usiłują wymyślić

najlepszy sposób, żeby je od nas wyciągnąć.

– I uda im się?

– To nieuniknione. Nabatejczycy to notoryczni złodzieje, szantażyści, oszuści i mordercy. W jakiś sposób się na nas wzbogacą i nic na to nie poradzimy.

Wespazjan postanowił nie zawracać sobie głowy Nabatejczykami, dopóki nie okażą się bardziej bezpośrednim zagrożeniem; ponownie zaczął rozważać problem, który nurtował go przez ostatnie jedenaście dni, odkąd tylko opuścili Ktezyfont: w jaki sposób ma doprowadzić do tego, by Pallas chronił go przed Agrypiną? Czy w ogóle może mieć pewność, że wyzwoleniec wciąż będzie w stanie go chronić? Wiele mogło się zmienić w polityce podczas jego nieobecności i być może Pallas zdążył wypaść z łask cesarzowej. Wespazjan wiedział tylko, że tuż przed jego wyjazdem na Wschód wyzwoleniec zdołał zapewnić swojemu młodszemu bratu, Feliksowi, stanowisko prokuratora Judei. Marek Antoniusz Feliks był niegdyś zarządcą rozległej posiadłości Antonii w Aleksandrii; w swoim testamencie dała mu wolność, a on po jej śmierci pozostał na miejscu, pilnując przypadłej jej synowi, Klaudiuszowi, spuścizny. To właśnie Feliks pomógł kiedyś Wespazjanowi i Magnusowi ukraść pancierz Aleksandra Wielkiego z jego zmumifikowanego ciała w mauzoleum. Jeśli ktoś znał obecną sytuację w Rzymie, to był to właśnie Feliks. Wespazjan postanowił, że kiedy za kilka dni przekroczą granicę, skieruje się wprost do Cezarei, administracyjnej stolicy Judei. Tam mógł się skonsultować z Feliksem; jeśli ten wciąż był prokuratorem, co już samo świadczyłoby o pozycji Pallasza w Rzymie.

Gdyby natomiast stanowisko to piastował już ktoś inny, Wespazjan mógł się od niego dowiedzieć, czy Narcyz odzyskał pozycję ulubionego wyzwolenca Klaudiusza. Dopóki którykolwiek z nich będzie miał wpływy, powinno mu się udać wykorzystać swoją wiedzę, przekazując ją Pallasowi, i w ten sposób chronić się przed Agrypiną, albo Narcyzowi, by pomóc mu ją obalić.

Pewny był bowiem jednego: jeśli Pallas i Narcyz są wciąż nieświadomi tego, do czego i jakim sposobem dąży Tryfena, to jego informacje będą miały dla jednego z nich ogromną wartość. Co więcej, rozmowa, którą odbył z Wologazesem w przeddzień opuszczenia Ktezyfontu, zainteresowałaby obu greckich wyzwolenców; przynajmniej jej fragment o chęci kontynuowania sfingowanej wojny mającej pomóc Neronowi, kiedy już będzie cesarzem. Nie zamierzał wspominać o prawdziwym motywie Wielkiego Króla, który pokrywał się z jego zamiarem. Obu zależało na zniknięciu dynastii julijsko-klaudyjskiej.

Takie to myśli kołatały mu się w głowie, a słońce w tym czasie gasło i karawana zatrzymała się na noc na kamiennym wzniesieniu pośrodku bezkresnego pustkowia.

Wespazjan leżał z rękoma pod głową i patrzył w gwiazdy. Choć była to już dwunasta noc, którą spędzali pod gołym niebem, wciąż nie mógł się nadziwić

bezmiarowi nieba i mnogości maleńkich punkcików świetlnych; tutaj, na pustyni, niebo wydawało się o wiele większe i bogatsze niż gdziekolwiek indziej.

– Jak sądzisz, Magnusie, ilu ludzi leżało na wznak i spoglądało w nocne, porywające wspaniałością niebo?

Jego przyjaciel rozważał przez jakiś czas pytanie.

– Nie tylu, ile jeszcze będzie – odpowiedział w końcu.

– To wyjątkowo filozoficzna uwaga jak na ciebie – nie krył zaskoczenia Wespazjan.

– Co to znaczy „jak na ciebie”? I dlaczego w ogóle zarzucasz mi myślenie filozoficzne? Ja po prostu myślę logicznie.

– Logicznie?

– No właśnie. Wyciągam wnioski wyłącznie w oparciu o znane nam fakty, a pomijam wpływ sentymentów, uczuć, pobożnych życzeń czy przesady.

– O, widzę, że rzeczywiście jest to dla ciebie wieczór głębokich przemyśleń. Bądź zatem uprzejmy podzielić się ze mną swoją logiką.

– No cóż, to chyba zrozumiałe. Jeśli pomimo naszych wysiłków, by ludzi było mniej, dzieci ciągle się rodzą i dorastają, to wynika z tego, że nieważne, ile się dotąd urodziło, liczba tych, którzy dopiero przyjdą na świat, będzie większa.

Wespazjana zdumiała wnikliwość przyjaciela.

– Oczywiście przy założeniu, że nie nastąpi koniec świata.

– Nie widzę takiej możliwości.

– Żydzi wierzą, że tak się stanie, a zwolennicy Pawła czy tej konkurencyjnej sekty, która czci Jozuę, wierzą w rychły koniec świata. Pamiętasz, jak opowiadał o Końcu Dni, który jest tuż-tuż, czy coś w tym sensie? Zatem jeśli on ma rację, to twoja teoria, nieważne jak przemyślana, jest błędna.

– Tak, ale kto by mu wierzył? On twierdzi, że matka Jozui była dziewicą. – Magnus zachichotał. – Niby jak? Dziewica w Judei po tym, jak nasi chłopcy przemaszerowali tamtą ziemię w tę i z powrotem w ciągu kilku dziesięcioleci od czasu, kiedy Pompejusz zdobył Jerozolimę?

– Stała się zależnym od nas królestwem mniej więcej wtedy, kiedy urodził się Jozua, zatem nasi chłopcy tam wtedy nie stacjonowali.

– No taa, cóż, jedyne ciężarne dziewice, o jakich słyszałem, to były westalki, ale te kończyły zazwyczaj zakopane żywcem z dzbanem wody i chlebem.

Wespazjan usiadł i zwrócił się do Hormusa, który piekł kawałki mięsa nad dymiącym ogniskiem z wielbłądzich odchodów.

– Ty jesteś ekspertem w tych sprawach, Hormusie. Słyszałeś kiedyś, by ktoś mówił, że matka Jozui była dziewicą?

Hormus spojrział w jego stronę od ognia i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie, panie. Nikt by czegoś takiego nie powiedział, jeśli chciał, by uwierzono w tę całą resztę, jaką mówiono o Jozui.

Wespazjan odwzajemnił uśmiech.

– Widzę, że dzisiejszego wieczoru wszyscy mamy głębokie przemyślenia. Najwyraźniej ogrom sklepienia niebieskiego inspirowane nas do rzeczy wielkich.

Położył się z powrotem i wrócił do kontemplowania firmamentu. Już miał poczynić uwagę na temat miejsca bogów pośród tego mrowia gwiazd, kiedy panujący w obozowisku spokój przerwały jakieś krzyki. Ludzie skupieni wokół ognisk, przy których przygotowywali sobie stawę, zerwali się i sięgnęli po broń. Nie było jednak słyhać żadnych odgłosów zmagania. Wespazjan wyjął z pochwy miecz i skupiony patrzył w stronę źródła niepokoju. Z otaczającej ich czerni pustyni wyłonił się jakiś jeszcze ciemniejszy cień; żaden z królewskich gwardzistów nie wykonał najmniejszego gestu... wszyscy się cofnęli. Kiedy cień znalazł się w zasięgu blasku ognisk, okazał się grupą mężczyzn, mniej więcej dwudziestu, jak ocenił to Wespazjan. Byli nieuzbrojeni i nie zagrażali nikomu. Otaczali dwóch królewskich łuczników, którzy tej nocy stali w ciemności na warcie; nie ponieśli najmniejszego uszczerbku i teraz nowo przybyli uwolnili ich na oczach wszystkich, pokazując, że nie mają złych intencji.

Grupa obcych zatrzymała się. Wystąpił z niej jeden człowiek i rozejrzał się wokół. W końcu jego spojrzenie spoczęło na Wespazjanie i mężczyzna uśmiechnął się, tak jakby właśnie jego podejrzenia się potwierdziły.

– Witaj, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, były konsulu Rzymu. Jestem Malichus, drugi o tym imieniu władca królestwa Nabatejczyków. Przybyłem cię poinformować, że wtargnąłeś na moją ziemię. – Uniósł do góry wypełniony bukłak z koziej skóry, a jego brodatą twarz rozjaśnił jeszcze szerszy uśmiech. – Chętnie jednak na razie o tym zapomnę i podzielę się z tobą winem.

– Prawda jest taka, że potrzebuję przysługi – wyznał Wespazjanowi Malichus z ustami pełnymi pieczonego mięsa.

– A skąd wiedziałeś, że będę akurat tutaj, na tym pustkowiu? – spytał Wespazjan, mimowolnie nabierając sympatii do tego człowieka.

Malichus machnął lekceważąco ręką, jakby w tym swoim rozległym i pustym królestwie codziennie wpadał na jakiegoś prokonsula.

– Karawany regularnie przechodzą przez moje ziemie, Wespazjanie. Jeśli się na nie natknę, uiszczają opłatę, w pieniądzu, towarach albo w informacji. – Przerwał, wypluł dobrze przeżute chrząstki, otarł tłuszcz z brody, po czym uśmiechnął się do Wespazjana, a jego zęby błysnęły w świetle ogniska. – Kiedy usłyszałem, że za kilka dni ty będziesz tędy przejeżdżał, podziękowałem bogom swoich przodków i złożyłem w ofierze dwa wielbłądy oraz niewolnika za to, że wysłuchali moich modłów i tak szybko na nie odpowiedzieli.

– Cieszę się, że pozostajesz w tak bliskich stosunkach ze swoimi bogami.

Malichus przyjrzał się swojemu rozmówcy niepewny, czy w tej uwadze nie usłyszał nuty sarkazmu. Rzymianin zachował obojętny wyraz twarzy, nie

pokazując, co myśli na temat ofiar z ludzi.

Król wybuchnął śmiechem i przechyliwszy się ku Wespazjanowi, poklepał go po kolanie.

– Wszyscy wielcy ludzie mają bliskie relacje ze swoimi bogami. Jakżeby mogło być inaczej?

– W rzeczy samej, Malichusie. Jaka to zatem ma być ta przysługa, dla której wyświadczenia sprowadzili mnie tutaj twoi bogowie?

Malichus się zadumał i pokręcił głową na myśl o wadze problemu.

– Jestem człowiekiem potężnym, wielkim człowiekiem, rozumiesz, Wespazjanie. Niezależnym zarówno od Partii, jak i od Rzymu. Władam swoim królestwem sprawiedliwie i pamiętając o swoich sąsiadach. Ale czy moi sąsiedzi się ze mną się liczą? Fe! Traktują mnie gorzej niż ja swoje kobiety!

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Wespazjan, uświadomiwszy sobie, że Malichus spodziewa się komentarza. – Co takiego uczynił Rzym, że czujesz się gorszy od swoich kobiet?

Raz jeszcze mężczyzna popatrzył podejrzliwie na Rzymianina, szukając oznak drwiny, ale twarz Wespazjana wyrażała jedynie szczere zatroskanie. Król znowu wybuchnął śmiechem i klepnął rozmówcę w kolano.

– Siedemnaście lat temu, za czasów mojego ojca, cesarz Gajusz Kaligula oddał Damazek pod zwierzchnictwo królestwa nabatejskiego jako dar przyjaźni dla potężnego sąsiada w pierwszym roku jego panowania.

Dla Wespazjana była to całkiem nowa informacja, co nie przeszkodziło mu wydać stosownych dźwięków, mających świadczyć o jego aprobacie.

– A mój ojciec podarował mu cztery wspaniałe arabskie ogiery – dodał król.

– Tak, przypominam to sobie. Kaligula szczególnie lubił jednego z nich, nazwał go Incitatus. Wielokrotnie miałem okazję ucztować z tym zwierzęciem – powiedział Wespazjan, pamiętając, że Kaligula zapraszał swojego ulubionego konia na wieczerzę.

Malichus najwyraźniej nie uważał ucztowania z koniem za coś niezwykłego.

– A potem, kiedy trzy lata później mój ojciec zmarł, Kaligula potwierdził tamten dar, przekazując mi Damazek z okazji mojej koronacji.

– I postąpił bardzo słusznie – oświadczył uroczystym głosem Wespazjan, rozbawiony tym, że bezczelny młody cesarz dwukrotnie użył tego samego daru.

– W istocie, przyjacielu... wymiana darów między równymi sobie.

– Otóż to.

– Wtedy ja posłałem mu kolejną czwórkę ogierów. Tymczasem on, ee... zmarł wiosną następnego roku, zanim konie do niego dotarły.

– Ale Klaudiusz chyba je przyjął?

– Owszem, przyjął i potwierdził Damazek jako dar dla mnie, upamiętniający jego objęcie władzy.

Wespazjan ukrył podziw dla tak oszczędnego wykorzystania pojedynczego daru.

– I znowu był to słuszny gest.

– Tak, mój przyjacielu, i teraz, kiedy już dano mi ten sam dar trzykrotnie, można by sądzić, że jest mój i mogę go sobie zatrzymać.

– A nie jest tak?

– Nie! Dwa miesiące temu ten jadowity był niewolnik, Feliks, prokurator Judei, człowiek o tyle niższej pozycji niż ja, że samo zerknięcie na list od niego uwłacza mojej godności, poinformował mnie, że Klaudiusz postanowił znowu wziąć Damaszek pod panowanie Rzymu, jako część prowincji Syria. Fe! Fe!

Wespazjan skłonił tylko głowę.

– Damaszek to główne źródło moich dochodów! – perorował Malichus. – Podatki stamtąd są wyższe od tych z Petry i Bostry razem wziętych. Moi pustynni bracia naturalnie nie płacą podatków, więc jeśli chodzi o dochody, muszę polegać na osiadłej ludności żydowskiej i greckiej w moich trzech miastach. Jeśli Klaudiusz zabierze mi Damaszek, jak będę mógł rozdzielać bogactwo wśród moich pustynnych braci i pozwalać sobie na najlepsze rzeczy dla moich koni i synów?

– Może zredukujesz to, co wydajesz na żony i córki? – zasugerował Wespazjan, od razu jednak żalując tej niepoważnej uwagi.

Na szczęście okazało się, że Malichus uznał ten pomysł za wart rozważenia.

– Myślałem o tym, ale te oszczędności by nie wystarczyły. Muszę zapewnić stosowne posagi córkom, jak przystoi człowiekowi o tak wysokiej pozycji. Tylko w tym roku wydałem cztery z nich za męża, co kosztowało mnie wiele koni, wielbłądów i kóz, nie mówiąc o złocie. Jeśli chodzi o moje małżonki i mniej ważne kobiety, to już teraz zapewniam im tylko to, co konieczne, by siedziały cicho i nie doprowadzały do zbyt wielkich tarć między sobą. Nie, mój przyjacielu, obecny budżet jest już mocno napięty... muszę zachować Damaszek.

– W takim razie zwróć się z prośbą do cesarza.

Malichus uśmiechnął się promiennie do Rzymianina, oczy rozbłyły mu w świetle ogniska.

– Przyjacielu, jak ty dobrze rozumiesz moją trudną sytuację. Właśnie to muszę zrobić. Jednakże ja nie jestem obywatelem Rzymu i dlatego nie przysługuje mi automatycznie prawo do takiej prośby.

Wespazjan domyślał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Zatem chcesz mnie prosić, abym jako były konsul zwrócił się do cesarza w twoim imieniu?

– Nie, Wespazjanie. Chcę cię poprosić, abyś uzyskał dla mnie obywatelstwo.

– Obywatelstwo?

Malichus skinął z entuzjazmem głową.

– Tak, przyjacielu. Jako obywatel mogę udać się do Rzymu, wiedząc, że

jestem bezpieczny, i już tam, na miejscu, mogę zwrócić się do cesarza bezpośrednio, jak mężczyzna do mężczyzny. Będzie to rozmowa dwóch władców. A poza tym, gdybym był obywatelem, Klaudiusz miałby mniejsze prawo odbierać mi moją własność.

I dlatego właśnie, pomyślał Wespazjan, jest rzeczą mało prawdopodobną, by cesarz uczynił zadość prośbie, która mogłaby mu zaszkodzić. Nie podzielił się jednak tą myślą z Malichusem.

– Jako były konsul – rzekł – rzeczywiście mam pewne wpływy u cesarza. Zobaczę, co się da zrobić. Powiedz mi, czy wiesz, dlaczego postanowił odebrać Damaszek.

– Żeby sfinansować najazd na Armenię. Fe! Gajusz Umidiusz Kwadratus, namiestnik Syrii, i Gajusz Domicjusz Korbulon, namiestnik Azji, otrzymali rozkaz ponownego przejścia tego królestwa. Nie dostali jednak wystarczających finansów na kampanię, więc Kwadratus zasugerował, że gdyby Damaszek został dołączony do jego prowincji, to udałoby się pokryć niedobory. Cesarz wyraził zgodę i tym samym oczekuje się ode mnie, że to ja sfinansuję wojnę przeciwko Partom w Armenii. Fe!

Wespazjan dumiał przez chwilę nad tym, jak dalekosiężne i różnorakie są konsekwencje egoistycznej intrygi Tryfeny. Cóż... władza i majątek nigdy nie będą rozłożone równo i jeśli nie ucierpi Malichus, dotknie to kogoś innego; Wespazjanowi było obojętne, kto to będzie, byle nie on sam czy jego rodzina.

– A zatem, jeśli spróbuję zdobyć dla ciebie obywatelstwo, jaką przysługę wyświadczysz mi w zamian?

– Oprócz tego, że nie policzę za przejście karawany?

– Tak, oprócz tego, bo to nie jest moja karawana.

Malichus uśmiechnął się.

– Przyślę ci coś w darze, zanim wyruszysz w drogę powrotną do Rzymu.

Marek Antoniusz Feliks powitał Wespazjana bardzo oficjalnie u szczytu schodów prowadzących do pałacu Heroda Wielkiego w Cezarei, nowoczesnym mieście portowym. Fanfary oznajmiły przybycie znamienitego gościa i kiedy ucichły, Feliks w imieniu cesarza wyrecytował rytualne powitanie należne człowiekowi w randze konsula. Wespazjan odpowiedział prokuratorowi równie uroczyście, dziękując mu za jego słowa i zapewniając o swojej lojalności wobec cesarza. Z ogłuszającym łoskotem ustawieni na agorze przed pałacem, osłonięci kolczugami żołnierze kohorty pomocniczej stanęli na baczność, po czym wydali okrzyk na cześć cesarza, prokuratora i w końcu Wespazjana. Wiejący od morza wiatr trzepotał sztandarami. Po zakończeniu formalności Feliks wprowadził gościa do królewskiego pałacu, który obecnie był siedzibą przedstawiciela Rzymu w tej prowincji.

– Przybywasz w niespokojnych czasach, przyjacielu – powiedział Feliks,

kiedy znaleźli się w chłodnym wnętrzu.

– Tak też sobie pomyślałem, widząc te wszystkie krzyże przed bramą miasta – odparł Wespazjan, zsuwając z lewego ramienia pożyczoną w pośpiechu togę. Wreszcie uwolnił nieco zgromadzonego pod nią żaru. Toga nie była najbardziej odpowiednim strojem na środek lata w Judei.

– Przed bramami Jerozolimy jest ich jeszcze więcej.

– Ominęliśmy to miasto. Sabinus sprawował tam urząd kwestora i to, co opowiadał, odstręczyło mnie od tego miejsca.

– I słusznie. Nie znoszę tam bywać. Dosłownie zalewa mnie wyrachowana bigoteria tych wszystkich stronnictw religijnych. Nie da się tam o niczym wyrokować, nie obrażając śmiertelnie co najmniej połowy ludności. Odkryłem, że najlepszą taktyką jest nie okazywać im litości. Każdy występki przeciwko władzy Rzymu karzemy śmiercią, a karę tę uchylam jedynie po wniesieniu wysokiej opłaty.

Wespazjan zerknął z ukosa na prokuratora; pierwszy raz widział go bez brody. Feliks, w przeciwieństwie do starszego brata, Pallasa, najwyraźniej postanowił zromanizować swój wygląd, kiedy już osiągnął takie wysokie stanowisko.

– Pewnie doskonale na tym wychodzisz, Feliksie?

Prokurator uśmiechnął się; był to sympatyczny uśmiech, sięgający jego oczu.

– Coś musi mi wynagradzać przestawanie z tymi ludźmi. Nie powinienem jednak zbyt narzekać, to i tak było najlepsze z tego, co mój brat mógł dla mnie zrobić. Nigdy wcześniej żaden wyzwolenc nie został prokuratorem, zatem nie ma się co dziwić, że dostałem takie zadupie, jakiego nikt inny nie chciał.

– A jak się miewa Pallas?

– Dobrze. Wciąż pozostaje w łaskach zarówno Klaudiusza, jak i Agrypiny, a i dla Nerona okazał się bardzo użyteczny. Myślę, że jest świetnie przygotowany.

– Przygotowany do czego?

– Wystarczy powiedzieć, że na początku tego miesiąca Neron poślubił Julię Oktawię, córkę Klaudiusza.

Wespazjan natychmiast zrozumiał, co to oznacza: Agrypina i Pallas wreszcie dopięli swego.

– Co daje mu większe prawo do tronu niż Brytanikowi. Trudno byłoby temu zaprzeczyć, Pallas musi być bardzo zadowolony.

– Owszem, jest zadowolony. Mam ci przekazać, żebyś po powrocie do Rzymu koniecznie się z nim zobaczył, zanim jeszcze spotkasz się z Narcyzem czy z kimkolwiek innym, z Cenis włącznie. To bardzo ważne.

Wespazjan był szczerze zdumiony.

– Skąd mógł wiedzieć, że tu przybędę? – zapytał. – Przecież przez ostatnie dwa lata więziono mnie w Partii.

Feliks wzruszył ramionami.

– Będziesz musiał jego o to zapytać. Wiem tylko, że wyglądałem cię przez ostatnie dwa miesiące.

– Cały Wschód kipi od buntów, ale najgorzej jest tutaj, w Judei – powiedział Feliks, kiedy razem z Wespazjanem spoglądali na wspaniały port Cezarei.

Jakaś trirema, z szeroko rozstawionymi wiosłami, których końce zanurzały się w takt cichego gwizdu piszczałki, manewrowała z gracją łabędzia po kanale pomiędzy dwoma wielkimi falochronami osłaniającymi port przed szaleństwem otwartego morza. Jednak tego wieczoru morze było spokojne i gładką taflę wody ożywiały tylko rażący w oczy złocisty odblask zachodzącego słońca, malujący ciepłymi barwami brzuchy rozkrzyczanych mew. Wespazjanowi przez chwilę zdawało się niemożliwe, by w obliczu takiej harmonii między człowiekiem i przyrodą gdziekolwiek kipiało od buntów.

– Jak sądzisz, Feliksie, ile jeszcze upłynie czasu do momentu, kiedy będziemy musieli walczyć, żeby to powstrzymać?

– Kilka lat, być może. Wojna w Armenii nic nie da. Jeśli się przeciągnie, sprawy nabiorą szybszego tempa.

– Co masz na myśli?

– No cóż, ja to rozumiem tak: jeśli w przyszłym roku Partowie znowu zaatakują, to w następnym my rozpoczniemy operację na szeroką skalę. Kwadratus zagrozi ich granicom, podczas gdy Korbulon poprowadzi do Armenii co najmniej dwa legiony oraz odpowiednią liczbę żołnierzy oddziałów pomocniczych. A skąd mają pochodzić te oddziały?

– Aha, rozumiem.

– No właśnie. Mam tutaj siedem kohort wojsk pomocniczych i prawdopodobnie co najmniej trzy z nich stracę. Co robić? Nie mogę pofolgować tutejszym ludziom, bo oni biorą łagodność i wyrozumiałość za słabość i mnożą swoje żądania dotyczące ulg dla tej ich paskudnej religii. Czy wiesz, że są zwolnieni z obowiązku dostarczania nam oddziałów pomocniczych?

– Owszem.

– W tej sytuacji ten niedostatek mogę zastąpić tylko, zmuszając żołnierzy, których posiadam, do brutalniejszych akcji.

– Co jedynie będzie sprzyjać niezadowoleniu i prowokować miejscowych do buntu.

– Ten sam efekt wywołam, dobrze ich traktując, bo uznają to za osłabienie kontroli Rzymu nad Judeą.

– Rozumiem ten problem.

– Jedynym człowiekiem, który może rządzić Żydami, jest ich mesjasz, a ostatnim, który się za takiego podawał, był Herod Agrypa.

– Naprawdę? Myślałem, że był po prostu ich królem.

– Nie, uważał się za coś więcej. To było rok po tym, jak udałeś się do Brytanii. – Feliks wskazał gestem taras, na którym stali. – Dokładnie w tym miejscu. Pojawił się w srebrnym płaszczu, mniej więcej o tej właśnie porze. Słońce ozłociło płaszcz, tak jak teraz wodę, i Herod świecił niczym jakiś bóg, a tłum wiwatował na jego cześć, jakby nim rzeczywiście był, pomimo że w oczach Żydów było to bluźnierstwo. Zobaczyli w nim mesjasza, który oderwie ich od Rzymu, a on się na to zgodził. Zdradził swojego przyjaciela, Klaudiusza. A kiedy ogłosił swoją boskość, sowa, ptak śmierci, przysiadła nad jego głową i on natychmiast zachorował. Pięć dni później już nie żył, zjedzony od środka przez robactwo, jak powiadają. Wtedy Klaudiusz przywrócił w Judei bezpośrednie rządy Rzymu i Żydzi, zamiast zyskać swojego mesjasza, dostali rzymskiego prokuratora. Większość wciąż oczekuje mesjasza, króla Żydów, pogromcy Rzymu, jak wierzą niektórzy, albo, jak utrzymują inni, króla Judei, który będzie rządził w Rzymie. Tak czy owak, wszystko to jest oczywistą bzdurą.

– Myślałem, że Joszua jest ich mesjaszem?

– Tylko dla garstki fanatyków, którzy nie potrafili nawet dojść do zgody między sobą i zajmowali się podburzaniem jednej części ludności przeciwko drugiej. Teraz jednak ich wpływy rosną. Nim zostałem mianowany na to stanowisko, mieli najwyraźniej jakieś swoje spotkanie w Jerozolimie. Słyszałeś o Pawle z Tarsu?

– Spotkałem osobiście tego drania.

– No cóż, szkoda, że go nie zabiłeś.

– Wiem.

– W każdym razie w Koryncie, w Achai, gdzie zatruwał umysły i obrażał miejscowych Żydów, oni go w końcu zatrzymali w jakiejś szarpaninie i poprosili namiestnika, by go osądził.

– Gallona?

– Tak. Tyle że on nie znalazł nic złego w irytowaniu ludności żydowskiej, wydał wyrok na korzyść Pawła i puścił go wolno.

– Idiota.

– Wiem. Paweł przybył tutaj, do Judei, i spotkał się z innymi zwolennikami Joszui. Wygląda na to, że się dogadali w pewnych sprawach. Tak przynajmniej twierdzą moi agenci tkwiący w tym ruchu. Bracia Joszui i prawie wszyscy jego najbliżsi zwolennicy zgodzili się, żeby Paweł poniósł przesłanie do nieobrzezanych, jak ich nazywają. Nie porozumieli się natomiast w kwestii, czy mogą spożywać posiłki z nie-Żydami albo przynajmniej z tymi, którzy nie przestrzegają ich praw dotyczących żywności.

– Skoro masz agentów wewnątrz tego ruchu, to dlaczego ich nie wykorzystasz do aresztowania przywódców? Zatrzymaj przynajmniej Pawła.

Feliks popatrzył na Wespazjana z głębokim smutkiem.

– Raz już dotarłem blisko niego i nie przestanę próbować. Kłopot w tym, że oni są w ciągłym ruchu i spotykają się potajemnie, ale parę sukcesów odnieśliśmy. Rezultat jednego z nich minąłeś, wjeżdżając do miasta. Jednak przez cały czas rosłą w siłę i zaczynają roznosić tę zarazę coraz dalej. Teraz widać już wyraźnie, że nie chodzi im tylko o samych Żydów.

– Tak, wiem. Sabinus ma z tym kłopoty w Macedonii i Tracji, a wygląda na to, że Izates, król Adiabene, też przyjął ich wiarę.

Feliks nie wyglądał na zaskoczonego.

– Wierzę – powiedział. – Ten kult się przez cały czas rozprzestrzenia, a my nie mamy dość sił, by to powstrzymać, ponieważ oni mogą szeptać te swoje kłamstwa i przekabacać ludzi szybciej, niż my jesteśmy w stanie ich zabijać.

– To już dotarło do Rzymu. Mój niewolnik usłyszał rozmowy niewolników. W tak ludnym mieście to się będzie przenosić jak ogień.

– I tak się już dzieje, jak wynika z raportów moich agentów. Paweł napisał do wciąż rosnącej liczby swoich zwolenników, że zamierza ich odwiedzić w drodze do Hiszpanii.

– Hiszpanii?

– Wiem, przez całe cesarstwo. Ich ambicje sięgają tak daleko. – Feliks uchwycił ramię Wespazjana i spojrzał mu prosto w oczy. – Próbowałem ostrzec brata w listach, jakie to poważne zagrożenie i jak ślepy jest ich fanatyzm. Na przykład kilka lat temu, w Filipi, zdjęli skazańca z krzyża.

– Tak, pamiętam, byłem tam, kiedy to się wydarzyło. Musiał być już bliski śmierci.

– To może cię zaskoczy, że zwolennicy Pawła utrzymują, jakoby tamten człowiek nie tylko przeżył, ale jeszcze całkowicie wyzdobywał.

– To niemożliwe.

– Tak? Ci ludzie sądzą inaczej.

– Jakie mają dowody?

Feliks zacisnął mocniej dłoń na ramieniu Wespazjana.

– Dowód? A na co komu dowód, przecież wystarczy wiara. Jeśli to się rozleje po cesarstwie, będzie miało siłę, by zniszczyć wszystko, co dobre. Znam tych ludzi, osądziłem i skazałem ich setki. Nie zależy im na życiu, a ludzie, którym nie zależy na życiu, są groźnymi fanatykami. Kiedy zobaczysz Pallasa, uświadom mu, że musi potraktować to zagrożenie poważnie, zanim będzie za późno.

Wespazjana zdziwiła gwałtowność tej prośby oraz gorączkowy niepokój widoczny w jego oczach.

– Dobrze, Feliksie. Dostatecznie już dużo tego widziałem i podzielał twoje obawy. Postaram się, by zrozumiał powagę sytuacji.

– Dziękuję, przyjacielu, to wszystko dla naszego dobra. Im wcześniej podejmiemy działania, tym lepiej.

– Im wcześniej dotrę do Rzymu, tym lepiej. – Wespazjan patrzył, jak słońce dotyka powierzchni morza. Spojrzał na port, podziwiając różnorodność statków. – Jak sądzisz, kiedy będę mógł odpłynąć? – zapytał.

– Już wydałem rozkazy, by przygotowano odpowiedni statek.

– Och, nie potrzebuję nic wyszukanego, byle był zdatny do żeglugi i szybki.

– Nie myślałem o tobie. Sądziłem, że zechcesz zabrać podarunek, który Malichus, ten pustynny łotr, ci przysłał.

Wespazjan prawie już zapomniał o obiecany darze w zamian za pomoc w sprawie obywatelstwa.

– Tak, wezmę go. Tylko dlaczego potrzebny do tego specjalny statek?

– Bo na pewno nie chcesz, by coś im się stało. W życiu nie widziałem piękniejszych arabskich ogierów.

CZEŚĆ IV

RZYM

PAŹDZIERNIK 54 ROKU

Rozdział siedemnasty

I gdzie zamierzasz je trzymać? – spytał Magnus, kiedy o świcie przyglądali się z Wespazjanem pięciu ogierom sprowadzanym po trapie statku handlowego o pękatym kadłubie, którym przybyli z Cezarei do nowego portu Klaudiusza.

Port wybudowano przy ujściu Tybru, nad lewym ramieniem rzeki, wokół sztucznego półwyspu, na którym stała największa – po Faros w Aleksandrii – latarnia morska na świecie. Ten nowoczesny port mógł pomieścić dwa razy więcej statków niż jego starszy, bardziej cuchnący konkurent, Ostia, leżący nad prawym ramieniem Tybru. Najeżone wysokimi dźwigami i obstawione magazynami nabrzeże tętniło życiem; ze statków przybyłych z całego cesarstwa wyładowywano żywność, która miała trafić do rzymskiego plebsu i zapewnić jego uległość, oraz artykuły luksusowe, które sprawiały, że elity były zadowolone.

Statek stał przez noc u wybrzeża i wpłynął do wspaniałego kolistego portu tuż przed świtem. Mimo że Wespazjan zawitał tu po raz pierwszy, to kiedy wzeszło słońce, i tak nie widział niczego poza swoimi końmi.

– Ciągle mnie o to pytasz – odparł, podziwiając doskonały stan zwierząt po dwudziestu dniach na morzu.

– A ty ciągle unikasz odpowiedzi.

– To dlatego, że ty z kolei bez przerwy starasz się mnie przekonać, bym je oddał twoim ukochanym Zielonym. Popatrz na nie, są takie wspaniałe.

Musiał to przyznać i każdy, kto choć trochę znał się na koniach. Pięć arabów o siwej maści, wklęsłych bokach, wygiętych w łuk szyjach, równych zadach i uniesionych wysoko ogonach przyciągało wzrok i wywoływało pełne podziwu komentarze tych wszystkich na zatłoczonym nabrzeżu, którzy widzieli, jak opuszczają statek. Ogiery zdawały się wiedzieć, że znajdują się w centrum uwagi, i reagowały potrząsaniem głową i parsaniem, spoglądając na ludzi inteligentnymi ciemnymi oczyma. Słysząc było stukot ich kopyt, kiedy szły stępą po kamiennym nabrzeżu, wzdłuż którego stały niedawno wzniesione ceglane magazyny.

– Malichus dlatego dał ci ich pięć – ciągnął z coraz większym przejęciem Magnus – żebyś zawsze mógł mieć jednego w rezerwie.

– Nie uprawiam hazardu, Magnusie – powiedział stanowczym głosem Wespazjan.

Jego przyjaciel zniecierpliwiony skrzywił twarz i zacisnął pięści.

– Ile razy mam ci powtarzać: to nie jest hazard! Nie musisz ich obstawiać, wystarczy, że będziesz się przyglądał, jak wygrywają.

– I co będę z tego miał?

– Już ci powiedziałem, możemy wszystko ustalić z Zielonymi. Mój kamrat, Lucjusz, jeden z twoich klientów, no wiesz, on teraz sporo u nich znaczy. Możesz mu kazać zorganizować spotkanie z przywódcą faksji, żeby omówić sprawy

finansowe. Wtedy konie zamieszkają w stajni Zielonych na Polu Marsowym, gdzie będziesz je sobie odwiedzał, kiedy zechcesz, brał od czasu do czasu na przejażdżkę wokół cyrku Flaminiusza, jeśli weźmie cię ochota, a przez cały czas fakcja będzie płacić za ich kosztowne utrzymanie i jeszcze otrzymasz swoją część nagrody, kiedy wygrają. Że nie wspomnę o wartości rozplodowej pięciu czempionów. Zarobisz na tym fortunę. Zupełnie nie rozumiem, w czym problem. – Magnus wzniosł rękę, wyrażając bezsilność, tak jak to już wielokrotnie robił w czasie rejsu; był to codzienny temat ich rozmów, kiedy obserwowali, jak dwaj niewolnicy, których dołączono do podarunku, zajmują się swoimi podopiecznymi.

Wespazjan zachował powagę, choć śmiać mu się chciało, dawno już bowiem postanowił porozmawiać z Lucjuszem podczas swojego pierwszego po powrocie rannego *salutio*. Kiedy tylko Magnus zasugerował, by wypożyczył konie Zielonym, zapalił się do tego pomysłu, choćby dlatego, że ktoś inny miałby przejąć koszty utrzymania i doglądania pięciu tak cennych stworzeń. Mimo to z przekory i dla zabicia czasu podczas podróży nie zgadzał się z Magnusem i z dnia na dzień jego przyjaciel był coraz bardziej zdesperowany. Kiedy Wespazjan z niewinną miną wspominał, że dobrze byłoby popytać Białych, Czerwonych i Niebieskich, czy nie są zainteresowani, bo to poprawiłoby jego pozycję przy negocjacjach – gdyby jednak zgodził się na udział koni w wyścigach – jego przyjaciel omal nie zawył ze zgrozy, a jego sprawne oko miało podobnie nierozumiejący wyraz jak to szklane.

– Zastanowię się – powiedział Wespazjan, używając tej zamykającej rozmowę formułki, która tak dobrze mu służyła podczas całej podróży. – Zobaczmy się później.

Naciągnął kaptur podróżnego płaszcza częściowo na twarz i zszedł za koźmi po trapie, a Magnus patrzył tęsknie na pięć ogierów i kręcił głową. Wespazjan przypuszczał, że już sobie liczył, ile to pieniędzy mógłby wygrać, stawiając na nie przed ich pierwszym wyścigiem.

Z opuszczoną głową, by nie dać się rozpoznać, Wespazjan wtopił się w tłum. Zostawił Magnusa i Hormusa, żeby zajęli się bagażami i końmi, a sam ruszył przed siebie, incognito, by wiadomość o jego powrocie do Rzymu nie rozeszła się, dopóki nie porozmawia z wujem.

– Wespazjan! – wykrzyknęła zdumiona Flawia, kiedy w połowie trzeciej godziny dnia jej małżonek wkroczył do atrium ich domu przy ulicy Granatów na Kwirynale. Zakryła dłońmi otwarte usta, po czym podbiegła i w zupełnie nierzymskim stylu rzuciła się na mężczyznę, którego nie widziała prawie trzy lata. – Myślałam, że nie żyjesz, wszyscy tak myśleliśmy i dopiero jakieś dwa miesiące temu Pallas nam powiedział, że jesteś w Ktezyfonie.

Wespazjan przytulił żonę, dziwiąc się jednocześnie, że tak bardzo go cieszy jej widok. Ruchem głowy nakazał dwóm niewolnikom wyjść z atrium.

– Był taki czas, kiedy ja też myślałem, że nie żyję. Jak się masz, Flawio?

Flawia odsunęła się od niego i podniosła wzrok. Jej oczy były wypełnione łzami; nagle stwardniały i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– A jak mogę się mieć po takiej długiej twojej nieobecności? Nawet nie napisałeś!

Policzek zaszczytał go po kolejnym uderzeniu i Wespazjan chwycił obie ręce małżonki, by ją powstrzymać.

– Uspokój się, kobieto. Oczywiście, że nie napisałem. Przez dwa lata tkwiłem w celi, która nie była wyposażona w materiały piśmienne. – Przyciągnął ją powtórnie do siebie i poczuł, jak jej ciałem wstrząsa gwałtowny szloch. Pogładził ją po włosach i szeptał do ucha krzepiące słowa, podczas gdy Flawia uwalniała się od udręki ostatnich lat, zalewając łzami jego tunikę.

– Czy zostawisz mnie jeszcze samą na długie lata, mężu? – spytała, biorąc się w garść.

Nie mając zdolności przewidywania, Wespazjan się nie odezwał, ale sądził, że odpowiedź byłaby twierdząca.

– Jak się mają dzieci? – spytał, chcąc zmienić temat.

Flawia osuszyła oczy jego już i tak zmoczoną łzami tuniką, pozostawiając na niej ciemne smugi proszku antymonowego z powiek, i spróbowała się uśmiechnąć.

– Domicylla jest taka jak wszystkie małe dziewczynki: psotna i posłuszna, po równo. Nie będzie chciała puścić twojej ręki. Domicjan być może cię zauważy, kiedy mu coś dasz; tylko musi to być coś wyłącznie dla niego, bo ten trzylatek nie zna pojęcia dzielenia się z innymi. Tytus bardzo się ucieszy na twój widok. W ubiegłym roku, kiedy już stracił nadzieję, że żyjesz... no cóż, nie było mu łatwo. Brytanik bardzo się starał dodać mu otuchy i Tytus większość czasu spędzał z nim w pałacu. Teraz też tam jest, pošlę mu wiadomość, że ma się tu zjawić.

– Powiedz mu, że będę u wuja.

Flawia pocałowała go w usta, przy okazji gryząc w dolną wargę.

– Zamierzasz zostać tu na noc?

– Wrócę później, bo muszę z nim odbyć dłuższą rozmowę, zanim cokolwiek zrobię. – Uśmiechnął się do żony. – Ale jakąś godzinkę jeszcze mam, do czasu przyścia Magnusa. – Rewanżując się pocałunkiem, sugerującym kolejne, bardziej od tego namiętne, wziął małżonkę za rękę i poprowadził do sypialni.

– Posłałem wiadomość mojemu kamratowi Lucjuszowi, do stajni Zielonych, że wróciłeś – oznajmił Magnus, jakby mówił o czymś oczywistym.

– Ach tak? – zareagował obojętnym głosem Wespazjan, kiedy po dwóch godzinach pokonywali te kilkaset kroków dzielące ich od domu Gajusza.

– Taa, uważałem, że powinien wiedzieć o powrocie patrona i nie przegapić swojego *salutio* jutro rano.

– To bardzo ładnie z twojej strony, Magnusie. Choć nie było to konieczne,

ponieważ moi klienci chodzili do wuja, kiedy mnie nie było.

Magnus zerknął z ukosa na Wespazjana, chrząknął i dalej szedł w milczeniu.

– W stajni za twoim domem nie ma już miejsca – odezwał się nagle po kilku następnych krokach. – W każdym razie nie dla wszystkich pięciu, jak powiedzieli mi niewolnicy.

Wespazjan dobrze o tym wiedział, bo zajrzał do stajni, kiedy już opuścił sypialnię.

– Na pewno będzie im tam dobrze. Jeśli okaże się za ciasno, to zawsze mogę przenieść ze dwa do stajni wuja, albo nawet do Cenis.

Magnus spojrział na niego tym razem bardziej nerwowo. Wespazjan udał, że tego nie zauważył. Właśnie dotarli do frontowych drzwi domu Gajusza i zapukał głośno. Klapka okienka odskoczyła, a chwilę potem drzwi otworzył młodzieniec wybitnej urody, z długimi blond włosami i oczywiście odziany w bardzo krótką tunikę.

Wespazjan, który jeszcze nie widział tego niewolnika u Gajusza, podał swoje imię i posłał go po pana domu.

– Wujowi Gajuszowi musi się nie najgorzej powodzić, skoro stać go na coś tak urodziwego – mrucał pod nosem, kiedy szli za odźwiernym przez westybul do atrium.

– Zawsze miał niezłe oko, jeśli chodzi o chłopców – przyznał Magnus, patrząc na poruszające się pod tuniką pośladki, tylko od czasu do czasu całkowicie przez nią zasłonięte.

– Dobrze, że Hormus nie należy do jego służby, bo musiałby się nimi dzielić.

Chłopiec zapukał do drzwi gabinetu, otworzył je i oznajmił przybycie Wespazjana.

– Drogi chłopcze – rozległ się tubalny głos Gajusza, który wytoczył się z gabinetu. – Tak się cieszę, że cię widzę, już niemal straciliśmy nadzieję. – Odwrócił się do odźwiernego. – Powiedz kucharzowi, że będziemy mieli dwóch gości, każ też wynieść do ogrodu wino i ciasteczka miodowe.

– Dwóch gości, wuju? – spytał Wespazjan, poddając się mdłemu uściskowi Gajusza. – Kto jeszcze?

– Tylko ja – odpowiedział mu Pallas, wychodząc z gabinetu Gajusza. – Kiedy usłyszałem, że jesteś w Rzymie, domyśliłem się, że tu przyjdiesz najpierw, chociaż mój brat napisał, że przekazał ci wiadomość ode mnie.

– Bardzo się cieszę, Wespazjanie, że jesteś cały i zdrowy – powiedział Pallas, kiedy wszyscy czterej zasiedli w ostatnim już zacienionym miejscu ogrodu wewnętrznego.

– Nie przypuszczam, by Agrypina podzielała twój entuzjazm – odparł Wespazjan, wciąż rozzłoszczony obecnością wyzwolénca, która zniweczyła jego plany: miał zamiar wcześniej dowiedzieć się od wuja szczegółów dotyczących

stanu rzymskiej polityki. Ani delikatny plusk fontanny stojącej w basenie z minogami, ani ptasi śpiew nie poprawiały mu samopoczucia.

Pallas wziął ciastko.

– Ona jeszcze nie wie, że wróciłeś – powiedział. – Wątpię jednak, by ją to szczególnie obchodziło, ponieważ jej pozycja jest obecnie całkowicie pewna.

– Nigdy nie widziałem, by w Rzymie cokolwiek było pewne – zauważył Gajusz z ustami pełnymi okruchów ciastka – a już najmniej czyjaś pozycja.

– Klaudiusz dziś po południu zwróci się do senatu, gdy zakończy obchody Meditrinaliów po tegorocznym winobranii. Agrypina i ja spodziewamy się, że zatwierdzi Nerona jako swojego jedynego dziedzica, ponieważ, skoro ten poślubił swoją przybraną siostrę, to jest teraz kimś więcej niż tylko adoptowanym synem cesarza. Może to mieć niezbyt miłe konsekwencje dla jego rodzonego syna, jako że Neron aż do dnia poprzedzającego idy lutowe w przyszłym roku pozostanie jedynym możliwym następcą Klaudiusza.

Wespazjan zmarszczył brwi.

– Dlaczego jesteś taki dokładny?

– Bo w tym dniu Brytanik skończy czternaście lat, osiągnie pełnoletność i stanie się realnym zagrożeniem dla ambicji Agrypiny.

– I chyba twoich, Pallasie?

Pallas skinął lekko głową.

– Zatem, co oczywiście, ma... mamy pewien harmonogram.

– Czy to oznacza to, co myślę?

– Nie sądzę, byśmy chcieli dokładnie wiedzieć, co to oznacza – wtrącił szybko Gajusz, spoglądając na siostrzeńca z niepokojem, po czym wzmocnił nerwy kolejnym ciastkiem.

Pallas upił łyk wina i ponad brzegiem kielicha przyglądał się bacznie Wespazjanowi.

– Myślę, że tak – odpowiedział w końcu, odstawiając kielich z powrotem na stół. Potem znacząco przeniósł wzrok na Magnusa i uniósł brwi.

– Ja tego, ee... posiedzę sobie w środku – powiedział przyjaciel Wespazjana, wstając.

– Dziękuję, Magnusie. – Pallas poczekał, aż mężczyzna w pośpiechu się oddali. – Wszystko to robimy dla dobra Rzymu.

– Wierz sobie, w co chcesz, Pallasie – powiedział Wespazjan, bardziej lapidarnie, niż zamierzał, ponieważ wiedział, że popierając stronnictwo Nerona, udziela cichego przyzwolenia na morderstwo.

– Naprawdę w to wierzę.

– Ale skrytobójstwo to też morderstwo.

– A kim ty jesteś, by potępiać morderstwo?

Wespazjan uśmiechnął się krzywo.

– Nigdy mi nie będzie dane zapomnieć zabójstwa Poppeusza.

– Morderstwo zostaje z człowiekiem na całe życie. Nie chodziło mi jednak o Poppeusza, tylko o śmierć Kaliguli. Pomogłeś zatuszować udział w tym morderstwie twojego brata. Nie potępiłeś go za zabicie cesarza, zatem dlaczego miałbyś potępić mnie? Szczególnie że cesarz, o którym mowa, jest teraz nieustannie pijany, tak że nawet nie można dotrzeć do jego umysłu.

Nagle Wespazjan zrozumiał, że to nie Klaudiuszowego syna Pallas i Agrypina planują zamordować, tylko cesarza.

Gajusza też właśnie olśniło i zerwał się wzburzony.

– Muszę iść do gabinetu załatwić pilną korespondencję.

– Usiądź, senatorze Pollonie, już jesteś w to zamieszany – osadził go Pallas. Jego głos, normalnie zrównoważony i spokojny, zabrzmiał szorstko i Gajusz opadł z powrotem na wiklinowy fotel. – Wybacz mój ton, Gajuszu, ale ostatnio mam nadszarpnięte nerwy.

Wespazjan dostrzegał napięty wyraz twarzy wyzwolenca; dotąd była to zawsze niewzruszona maska, teraz jednak zdawała się zsuwać.

– Jak zamierzasz to osiągnąć?

– Agrypina się tym zajmie.

– Trucizna?

Pallas skinął głową i dopił wino; maska powróciła i nie pozwoliła wyjawić, co wyzwoleniec myśli na temat tej kobiecej broni.

– Zajmie to jakiś czas przy użyciu niewielkich dawek, ale koniec nastąpi przed czternastymi urodzinami Brytanika. Śmierć będzie wyglądała na naturalną i nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Od obu panów oczekuję, byście dopilnowali, żeby tym razem senat nie zwlekał z ogłoszeniem Nerona nowym cesarzem. Kiedy tylko usłyszycie o śmierci Klaudiusza, musicie nalegać na posiedzenie całego senatu, a potem obaj przemówić za Neronem.

Gajusz nie był zachwycony tą perspektywą.

– Zwrócimy tym na siebie uwagę.

– Ale usunie to zajadłą wrogość Agrypiny do Wespazjana, Gajuszu. Obiecałem mu, kiedy na moją prośbę jechał na Wschód, że go przed nią ochronię. Teraz tej obietnicy dotrzymuję. Powierzam wam obu tę wiedzę o rychłej śmierci cesarza, byście mogli być pierwszymi, którzy obwołają Nerona jego następcą. Takie zwrócenie na siebie uwagi będzie korzyścią, a nie przekleństwem.

Gajusz wymamrotał jakieś podziękowania i przeprosiny, po czym usiłował pokryć zażenowanie, wkładając do ust ostatnie ciasteczko.

Pallas wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Zanim jednak udzielę pełnego i jednoznacznego poparcia Agrypinie i Neronowi, muszę wiedzieć, czy cesarzowa popełniła zdradę, zmawiając się z wrogami Rzymu, co mogłoby zostać użyte przeciwko niej i tym samym

przeciwko mnie. – Zwrócił spojrzenie na Wespazjana i czekał.

Wespazjan niemal godzinę relacjonował rozmowy, jakie odbył z Sabinusem, Tryfeną, Pelignusem, Wologazesem i Feliksem. Kiedy skończył, Pallas się zadumał.

– Tryfena? – odezwał się po chwili. – Zatem to wcale nie byli wysłannicy partyjscy, tylko jej ludzie ich udawali. Podejrzewam, że naczelnicy północnych plemion nie potrafią odróżnić prawdziwego Parta od fałszywego. Prawdopodobnie spędzili kilka dni na niemających znaczenia rozmowach z rzekomymi wysłannikami, nie mając pojęcia, że się ich oszukuje. Wystarczyło to jednak, by wzbudzić naszą podejrzliwość. – Uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. – Narcyz się mylił, Agrypina nie miała z tym nic wspólnego. To polegało na odpowiednim zgraniu działań w czasie. Teraz wszystko jest jasne. – Uśmiechał się coraz szerzej. – Kamień spadł mi z serca. Jeśli nie ma podstaw, by oskarżyć ją o zdradę, mogę realizować to, co ustaliliśmy. Trzeba przyznać, że Tryfena świetnie przygotowała nam grunt, jest nawet teraz w Rzymie armeńska delegacja, by błagać cesarza o przysłanie większej liczby żołnierzy. Wciągnięcie Partii w wojnę z Rzymem spowodowało to wszystko, na co liczyła. Ludzie winią teraz otwarcie Klaudiusza za brak stabilności na Wschodzie. Zaledwie dwa dni temu wielu senatorów przemawiało przeciwko niemu w senacie... co prawda bardzo powściągliwie, ale jednak przeciwko.

Gajusz skinął głową, nie przestając zlizywać okruszków z palców.

– Byłem tam. Poczuję się dość nieswojo. Czy można sobie wyobrazić, żeby ktoś odważył się na coś takiego w stosunku do Kaliguli?

– Albo na początku rządów Klaudiusza? – Pallas zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Nie, to go osłabiło. To i pijaństwo, i jeszcze te wszystkie wieści rozpuszczane przez Senekę i Burrusa, wyolbrzymiające możliwości i inteligencję Nerona. Ludzie są gotowi na zmianę. Szczególnie od czasu, kiedy Pelignus wrócił do Rzymu, chełpiąc się, jak to utracił dwa palce, rozkwasiwszy partyjski nos, ale musiał się wycofać z powodu braku posiłków.

– Pelignus wrócił? – spytał Wespazjan, czując, jak zalewa go nienawiść do tego obrzydliwego pokracznego prokuratora, który obrabował go z dwóch lat życia.

– Tak, i głupiec nie krył, jak bardzo się znowu wzbogacił dzięki przywiezionym łupom i spadkowi po zmarłym w ubiegłym roku ojcu. Teraz, kiedy przekroczył wymagany próg finansowy, Klaudiusz uczynił go senatorem i kiedy tylko jest trzeźwy, oskubuje go z tego nowego majątku przy stole hazardowym.

– Ja chciałbym oskubać go z czegoś więcej. Zdradził mnie i wydał Partom w Armenii.

– Naprawdę? On inaczej to przedstawia. – Pallas wytrzymał spojrzenie Wespazjana. – Będziesz miał doskonałą okazję, żeby się zemścić za to, co ci zrobił w Armenii, podczas czystki, do jakiej dojdzie po objęciu władzy przez Nerona.

– A dużo krwi popłynie?

– Mam nadzieję, że nie. Jeśli wspólnie z Seneką i Burrusem zdołamy powściągnąć Nerona, to będzie on dobrym cesarzem, przynajmniej na początku.

Wespazjan inaczej odczytywał charakter Nerona.

– A potem?

– Zobaczymy, co się wydarzy, kiedy władza przestanie już być dla niego czymś nowym. Ważne jest, by nie sądził, że senat jest przeciwko niemu, tak jak na początku swoich rządów uważał Klaudiusz. A to już będzie zadanie dla was obu. Podkreście w swoich mowach, że Neron od razu okaże siłę, prowadząc w Armenii wojnę, którą Wologazes tak uprzejmie ciągnie dla dobra nas obu.

Wespazjana nagle olśniło.

– Skoro chce okazać siłę, to powinien też zrobić coś konkretnego tutaj, do czego zarówno senat, jak i lud odniosą się z szacunkiem.

– Co sugerujesz? – spytał z nagłym zainteresowaniem Pallas.

– Mam na myśli ostrzeżenia twojego brata dotyczące żydowskiego kultu. Spowoduj, żeby Neron zaangażował się osobiście w wyplenienie tego w Rzymie.

– Jakies dwa lata temu, kiedy cię tutaj nie było, Klaudiusz wygnał sporo ludzi, Żydów i innych, za czczenie kogoś o imieniu Chrestus. Czy o to właśnie chodzi?

– Prawdopodobnie, ale czy to ważne? Chodzi o to, by zjednoczyć większość ludzi stojących za nowym cesarzem, dyskredytując pewną niebezpieczną mniejszość i ją eksterminując.

Wyzwoleniec wstał.

– Tak, to powinno spowodować przyływ dobrego samopoczucia w społeczeństwie. Szczególnie kiedy wśród wyznawców tego kultu znajdziemy kilka ważnych osób. Obawiam się, Gajuszu, że nie mogę przyjąć twojego zaproszenia na poczęstunek, muszę wracać na Palatyn i odprowadzić Klaudiusza do senatu. Nie musicie wstawać, panowie. Ufam, że się pojawicie, by wysłuchać wystąpienia cesarza po południu?

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Gajusz siedział spocony, przerażony wiedzą, której wolałby w ogóle nie posiadać. Wespazjan natomiast rozmyślał nad sposobem zemsty na Pelignusie.

– Ojczy! – zawołał Tytus, wchodząc do ogrodu z Magnusem, wkrótce po wyjściu Pallas. Nie przejmując się zasadami, podbiegł do Wespazjana, który wstał i równie serdecznie uściskał syna.

Świadomie powstrzymując się od uwag na temat tego, jak wyrósł, i podobnych stereotypowych zwrotów towarzyszących spotkaniu z dzieckiem po dłuższym czasie, Wespazjan położył synowi dłonie na barkach i odsunawszy go na długość ramion, przyglądał mu się z podziwem.

– Aż mnie zatkało, kiedy go wpuścili – powiedział Magnus. – Myślałem, że

to ty, w wieku, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy.

– Twoje ojcostwo jest niezaprzeczalne, Wespazjanie – dodał Gajusz zadowolony, że może wtrącić jakąś sympatyczną, dotyczącą rodziny uwagę i przestać na chwilę myśleć o tym, co wyjawiał im Pallas.

Tytus był rzeczywiście młodszą kopią ojca: krępy, z okrągłą twarzą, wydatnym nosem i wesołymi oczyma; jedyną różnicą był brak tego wyrazu wytężonego skupienia, który charakteryzował Wespazjana od czasu, kiedy dowodził II legionem *Augusta*.

– Myślałem, że cię straciliśmy, ojcze – powiedział Tytus po kilku chwilach wzajemnego wpatrywania się w siebie.

Wespazjan dotknął Tytusowej togi przetykanej z purpurowym szlaczkiem, noszonej przez urzędników oraz niedorośłych chłopców.

– W grudniu skończysz piętnaście lat, prawda, Tytusie?

– Tak, ojcze.

– W takim razie powinniśmy coś zrobić w tej sprawie. Jutro złożę oświadczenie, że jesteś dorosły.

Tytus się rozpromienił.

– Dzięki, ojcze. Czy mogę zaprosić Brytanika, żeby był świadkiem?

– Posilek czeka, panie – odezwał się od drzwi zarządca.

– Nareszcie, Ewaldzie, jestem głodny jak wilk – ucieszył się Gajusz.

Wespazjan otoczył ramieniem syna i poprowadził go w stronę domu.

– Muszę cię prosić, byś przez jakiś czas nie spotykał się z Brytanikiem, Tytusie – powiedział.

– A co z naszymi wspólnymi lekcjami, z naszą konną jazdą i szermierką?

– Zostaną zawieszane.

Tytus zatrzymał się i patrzył na ojca, podczas gdy Gajusz i Magnus szli dalej.

– Chcesz mi powiedzieć, że Neron wkrótce zostanie cesarzem? – spytał.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ wiem, co się wydarzy, Brytanik mi powiedział. Klaudiusza zabiją, Neron zostanie cesarzem i jego życie dobiegnie końca. Brytanik nie jest głupcem. Wie, że Klaudiusz musi umrzeć, zanim on sam osiągnie pełnoletność, żeby Neron mógł zostać cesarzem bez niczyjego sprzeciwu. Zatem jest rzeczą oczywistą, że zostanie zabity gdzieś na początku nowego roku. Przypuszczam, że każesz mi odsunąć się od Brytanika, bo wiesz o planowanym zabójstwie. Obecność Pallasa tutaj świadczy o tym, że ci to powiedział, abyś był gotów działać na jego rzecz w senacie, popierając Nerona.

Wespazjan był szczerze zdumiony.

– Sam do tego wszystkiego doszedłeś? – zapytał syna.

– Ta część dotycząca obecności Pallasa tutaj, owszem, jest moja, ale reszta to

razem z Brytanikiem.

– Powiedział o tym swojemu ojcu?

– Oczywiście. Ale Klaudiusz nie słucha, wyśmiewa taką sugestię i mówi „życzę ci powodzenia, mój synu”, zupełnie jakby Fortuna mogła odsunąć to, co nieuniknione. Powiedział Brytanikowi, że kiedy skończy czternaście lat, to on zmieni testament i uczyni swoim następcą jego zamiast Nerona. – Tytus zaśmiał się blado. – Klaudiusz jest tak głupi, jak Brytanik mądry, i jeśli jego wolą jest palcem nie kiwnąć w tej sprawie, to śmierć ich obu jest nieunikniona. Brytanik czerpie pewną pociechę z tego, że jego zidiociały ojciec umrze przed nim. Natomiast ja sam nie czerpię żadnej pociechy z utraty przyjaciela, który starał się, bym nie myślał stale o tobie, kiedy sądziliśmy, że ciebie... – Tytus nie dokończył zdania, najwyraźniej zawstydzony taką wylewnością.

– Nie wolno ci pisać o tym słówka, Tytusie.

– Wiem, ojczu. W przeciwieństwie do Klaudiusza bogowie obdarzyli mnie rozumem.

Wespazjan spojrział synowi w oczy, pierwszy raz oceniając go jak dorosłego, a nie dziecko.

– Tak, widzę to i dlatego ci zaufam. Masz rację. Pallas planuje śmierć Klaudiusza i przejęcie władzy przez Nerona. Pomogę mu w tym z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mam wyboru, a po drugie, nawet gdybym miał wybór, to uważam, że tak będzie najlepiej dla naszej rodziny. Zatem, niestety, życie twojego przyjaciela dobiega końca.

Na chwilę oczy Tytusa zapłonęły gniewem, a mięśnie szczęk zadrgały. Wziął głęboki oddech.

– Rozumiesz teraz, ojczu, jakie znaczenie dla Brytanika ma moja uroczystość? Swojej nie doczeka i dlatego będzie bardzo chciał uczestniczyć w mojej.

Wespazjan zastanawiał się chwilę i ostatecznie ten jeden raz uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Zgoda, Tytusie, możesz go zaprosić. Powiedz, by przybył do naszego domu jutro rano, gdy skończę przyjmować klientów.

– Oczywiście nie wszyscy twoi klienci pozostali lojalni – powiedział Gajusz, ocierając usta, mokre od soku gruszki, którą zakończył lekki południowy posiłek złożony z chleba, zimnych mięs i owoców. – Po moim powrocie mniej więcej przez pół roku wszyscy zjawiali się u mnie, ale potem, kiedy dłuższy czas nie było o tobie żadnych wieści, kilku zaczęło chodzić do innych senatorów.

Wespazjan spuścił nogi z sofy, aby jeden z Gajuszowych chłopców mógł włożyć mu z powrotem czerwone senatorskie buty.

– Kogo masz na myśli, wuju?

– Ogólnie rzecz biorąc, urzędujących konsulów i pretorów.

– Pytałem o moich klientów.

– Aha, rozumiem. Nie mogę ci podać z głowy, ale Ewald ma ich listę. Zaraz ci ją przyniesie.

Zarządca natychmiast ruszył po dokument.

Wespazjan wstał, a chłopiec zaczął drapować na nim togę.

– Dziękuję, wuju. Niewdzięczność to coś, czego nie znoszę.

– To zupełnie jak ja, drogi chłopcze, dlatego właśnie kazałem Ewaldowi sporządzić tę listę – wyznał Gajusz, porządkując zakręcone w loki włosy i przeglądając się w lustrze z brązu trzymanym przez kolejnego chłopca. – Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy być w senacie, zanim Klaudiusz przemówi, o ile zbyt hucznie nie obchodził Meditrinaliów. Jeśli Pallas ma rację, to cesarz doczeka się największej i najbardziej zgubnej w skutkach niewdzięczności.

Rozdział osiemnasty

Mieszkańcy Rzymu oderwali się od swoich zajęć i przyszli wiwatować na cześć cesarza, który poprzedzany przez dwunastu liktorów i niesiony w lektyce, przemierzał via Sacra z Palatynu na Forum Romanum. Wznosili okrzyki, machali i klaskali, a kiedy minął ich ostatni z tragarzy, biegli z powrotem do ważniejszych i pilniejszych spraw. Pozdrawianie cesarza przejmowali kolejni ludzie, do których lektyka się zbliżała, tak że wiwaty płynęły niczym fala, były jednak zdawkowe i wyraźnie pozbawione entuzjazmu, z jakim witano Klaudiusza na początku jego panowania.

Cesarz albo nie zauważał, albo udawał, że nie dostrzega braku zapалу; leżał w lektyce i pozdrawiał tłum ręką drżącą z powodu zbyt dużej ilości wypitego wina, a także wrodzonych przypadłości; jak zwykle, głowa drgała mu nieregularnie, a ze zwiotczałych ust ciekła ślina, którą od czasu do czasu wycierał chusteczką.

Otoczają go dwie centurie germańskiej gwardii cesarskiej. Gwardziści byli wysocy i muskularni, mieli długie, ale zadbane włosy i brody; prawe dłonie trzymali zaciśnięte na rękojeściach mieczy, w każdej chwili gotowi do działania. Stawiali długie kroki, a ich barbarzyńskie spodnie i dziwne obce tatuaże przypominały mieszkańcom Rzymu, jak bardzo ich cesarz jest oddalony od swojego ludu. Mimo to wiwatowali na jego cześć, tyle ile trzeba, by mieć pewność, że Klaudiusz się nie obrazi i nie pożałuje pieniędzy na dziesięciodniowe igrzyska z okazji święta Augustalia, ustanowionego dla uczczenia osiągnięć pierwszego cesarza. Przypadało ono na następny dzień, trzy dni przed idami październikowymi.

Wespazjan stał obok Gajusza na stopniach Kurii, pośród mniej więcej pięciuset senatorów przebywających w tym czasie w Rzymie i gotowych powitać swojego cesarza. Szare chmury zasnuły niebo i zaczęło mżyć, a z wilgotnych wełnianych tog uniósł się zapach uryny, w której je prano.

Orszak cesarski skręcił na Forum i transakcje, jakich dokonywano pod arkadami, oraz odbywający się pod otwartym niebem w siąpiącym deszczu proces sądowy kurtuazyjnie na chwilę przerwano.

– Rzeczywiście wygląda na swój wiek – zauważył cicho Wespazjan, kiedy Klaudiuszową lektykę postawiono u stóp schodów.

Cesarzowi towarzyszyli Pallas i Narcyz; drugi z wyzwoleńców miał opuchnięte kostki nóg i wspierał się ciężko na lasce.

– Dużo gorzej – szepnął Gajusz. – Jest w tym samym wieku co ja i Magnus, a wygląda tak, że mógłby być naszym ojcem. Wszystko dlatego, że zbyt sobie folguje.

Wespazjan obrzucił znaczącym spojrzeniem postać otyłego krewnego.

– A ty sobie nie dogadzasz, wuju?

Gajusz pogłaskał pieszczotliwie wydatny brzuch, którego nie mogły zamaskować liczne fałdy togi.

– Korpulentna sylwetka niekoniecznie jest oznaką braku umiaru. Natomiast przekrwione, podpuchnięte, rozbiegane oczy i rumiana, najdelikatniej mówiąc, cera rzeczywiście wskazują na nadmierną konsumpcję owocu Bachusa. To wszystko, razem z łysą głową, obwisłym tyłkiem i piersiami, powoduje, że wygląda dwadzieścia lat starzej ode mnie. Dlatego mam bardzo dobre samopoczucie.

Wespazjan nie zamierzał zaprzeczać, tym bardziej że ta charakterystyka cesarza była bardzo trafna. Klaudiusz wyglądał na bardziej wyniszczonego nawet od siedemdziesięcioletniego Tyberiusza, kiedy to wcześniej Wespazjan widział go w jego ulubionej samotni na Capri.

– Co więcej – ciągnął szeptem Gajusz, kiedy lektyka zatrzymała się przed siedzibą senatu – dotknęło to jego umysłu. Znacznie osłabiło zdolność postrzegania szczegółów, a jego literackie wypociny są teraz tak rozwlekłe, że prawie niezrozumiałe.

Pallas pomógł Klaudiuszowi wsiąść i stanąć na niepewnych nogach. Cesarz powiódł po senatorach zażawionymi oczyma, których kąciki opadały, podobnie jak kąciki ust. Pokonywał schody nerwowymi, chybotliwymi szarpnięciami, narzucając w ten sposób liktorom niepasujące do ich godności szybkie tempo.

Kiedy obaj wyzwoleńcy mijali Wespazjana, spojrzenia jego i Narcyza się skrzyżowały. Twarz Greka, co rzadko mu się zdarzało, wyrażała lekkie zaskoczenie. Właśnie zauważył, że człowiek, którego wysłał na Wschód, by zbadał słuszność jego podejrzeń dotyczących wysłanników partyjskich, nie pofatygował się, by go zawiadomić o swoim powrocie.

– Senatorze? – odezwał się łagodnym głosem, przystając obok Wespazjana.
– Przyjdiesz oczywiście zobaczyć się ze mną przy pierwszej nadarzącej się okazji?

– Oczywiście, cesarski sekretarzu – odparł Wespazjan, nie mogąc sobie wyobrazić takiej okazji.

Narczyż skinął głową i pokuśtykał za Klaudiuszem, a senatorowie ruszyli tłumnie w ich ślady, głośno rozprawiając o tym, jak to nie mogą się doczekać mowy cesarza, po cichu zaś zastanawiając się, co zrobić, by nie zasnąć podczas trwającej zazwyczaj godzinę lub dwie przeraźliwie nudnej, naszpikowanej drobiazgami tyrazy.

– Z wróżb towarzyszących złożeniu ofiary wynika, że czas jest pomyślny dla zajmowania się sprawami Rzymu. Senat zwraca się do naszego umiłowanego cesarza, Tyberiusza Klaudiusza Cezara Augusta Germanika, by przemówił do zgromadzenia – wyrecytował stojący obok siedzącego Klaudiusza młodszy konsul, Marek Azyniusz Marcellus.

Za cesarzem, co było oburzające, a stało się tak zwyczajne, że nikt już tego

nie komentował, siedzieli Pallas i Narcyz.

– Jestem w-w-wdzięczny, konszulu – powiedział Klaudiusz i nie ruszając się z kurulnego krzesła, rozwinął niezwykle gruby zwój.

Morale nawet najbardziej gorliwych pochlebców upadło na ten widok, ponieważ długa wyjąkana mowa nie była przeznaczona dla ludzi małego ducha, szczególnie że cesarz był najwyraźniej pijany.

– *P-p-patres conscripti*, przybyłem tutaj, by p-p-p-przemówić d-d-d-do was w sz-sz-szprawie sz-sz-szukcesji.

Mina Wespazjana wyrażała niezwykle zainteresowanie, podczas gdy jego umysł odsiewał strumień prawnych precedensów, rozwlekłej pedanterii i odniesień do zwyczajów przodków, przerywanych jedynie po to, by wytrzeć ślinę zbierającą się w kącikach ust i wydzielinę spływającą nieustannie z nosa.

Prokonsul wodził wzrokiem po senatorach usadowionych na składanych stołkach w czterech rzędach po drugiej stronie sali. Zobaczył sporo nowych twarzy, ponieważ Klaudiusz nieustannie majstrował przy listach senatorów, ale było też wiele znajomych: zięć Sabinusa, Lucjusz Juniusz Petus, siedział obok Gajusza Licyniusza Mucjana, byłego trybuna Wespazjanowego II legionu *Augusta*; obaj mężczyźni skłonili głowy, kiedy zauważyli jego spojrzenie. Nie zdziwiło go, że siedzą razem, zaskakujący był natomiast widok mężczyzny z drugiej strony Petusa: Marka Waleriusza Messali Korwinusa, brata nieżyjącej cesarzowej Messaliny. Korwinus usilnie starał się nie patrzeć w jego stronę; ten jego stary nieprzyjaciel nie zapomniał obietnicy, że zawsze w obecności Wespazjana będzie się zachowywał tak, jakby był martwy, co miało stanowić cenę za darowanie mu życia po upadku jego siostry. Wespazjan wydawał pomruki aprobaty i potakiwał, a jednocześnie zastanawiał się, co takiego mogło zbliżyć dwóch senatorów, którzy sporo mu zawdzięczali, do jego zaprzysięgłego wroga. Senatora bowiem zawsze sądziło się po jego sąsiedztwie w sali senatu. Kiedy tak sobie dumał, zauważył inną niezwykłą trójkę: Serwiusz Sulpicjusz Galba siedział pomiędzy dwoma braćmi Witeliuszami, Lucjuszem i Aulusem. Aulus skinął głową Wespazjanowi z wystudiowaną obojętną miną. Ich drogi pierwszy raz się przecięły na Capri, kiedy ojciec Aulusa stręczył swojego syna Tyberiuszowi, który bardzo sobie cenił chłopca za jego oralne umiejętności. Po smukłym nastolatku nie było śladu; Aulus roztył się w ostatnich kilku latach, podobnie jak jego brat Lucjusz. Galba miał wzrok utkwiony w jakiś punkt pośrodku sali i na jego szczupłej patrycjuszowskiej twarzy widać było, że stara się ukryć obrzydzenie, jakie najwyraźniej odczuwał na widok członków senatu, instytucji o wielowiekowej tradycji, wysłuchujących mowy jakającego się i zaślinionego głupca.

Przestał się głowić, co Galba może mieć wspólnego z Witeliuszami, kiedy jego wzrok padł na sprawcę swojej dwuletniej izolacji od świata i upodlenia. Karłowaty prokurator o mało nie wrzasnął ze zdumienia, kiedy ich spojrzenia się

spotkały. Nie spodziewał się, że Wespazjan może przeżyć i co więcej, wrócić do Rzymu. Nerwowo rozglądał się po sali, jakby szukał najbliższego wyjścia, czym rozśmieszył byłego konsula. Skinął Pelignusowi uprzejmie głową, uśmiechnął się jeszcze szerzej i kilkakrotnie pogroził mu palcem, jakby upominał niegrzeczne dziecko. Postanowił się zabawić i podręczyć go, zanim zabije.

Jeden wspólny stłumiony okrzyk zdumienia kazał Wespazjanowi skierować uwagę z powrotem na Klaudiusza. Cesarz właśnie przerwał mowę i te kilka osób, które jej słuchało, wpatrywało się teraz w niego z niedowierzaniem, podczas gdy większość usiłowała dowiedzieć się od sąsiadów, jaki jest powód tej konsternacji.

– Co on takiego powiedział? – spytał Wespazjan wuja.

– Nie mam pojęcia, drogi chłopcze, ale jedno spojrzenie na Pallasa i Narcyza wystarczy, byś się dowiedział, kto zyskał na jego słowach.

W jednym z kącików ust Narcyza Wespazjan dostrzegł coś, co mogło być cieniem uśmiechu, podczas gdy prawie oko Pallasa drgało nieregularnie.

– Ja jednak p-p-pójdę jeszcze dalej – Klaudiusz podjął wątek. – P-p-publicznie podziękuję mojemu adoptowanemu synowi Neronowi za g-g-gotowość wzięcia na sz-sz-szwoje barki odpowiedzialności mojego urzędu, gdybym został wezwany do p-p-przewoźnika; natomiast terasz, w sytuacji, kiedy mój rodzony szyn, Brytanik, wkrótce wdzieje togę męską, Neron nie musi już myśleć o konieczności brania na siebie uciążliwych obowiązków pr-pr-princepsa. Z wyrazami wdzięczności zwalniam go z tego zadania i wiem, że będąc moim adoptowanym szynem i jednocześnie zięciem, udzieli poparcia Brytanikowi, kiedy przyjdzie na to pora, i będzie mu służył ramieniem, na którym mój następcą się wesprze.

Klaudiusz znów zamilkł, najwyraźniej spodziewając się entuzjastycznej reakcji na uczciwość i sprawiedliwość decyzji, jakie właśnie przedstawił. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło i słychać było jedynie ściszone mamrotanie, kiedy senatorowie pytali się wzajemnie, czy ich uszy nie mylą.

– Myślę, że ta pora przyjdzie już bardzo niedługo – szepnął Gajusz.

Wespazjan przyglądał się w milczeniu głupcowi siedzącemu na kurulnym krześle, który uparcie przybliżał dzień swojej zguby bezsensownym pijackim bredzeniem; Gajusz nie przesadzał, kiedy mówił o postępującym przytępieniu zdolności umysłowych Klaudiusza.

– A sz-sz-szkoro tak, to uważam, że właściwym p-p-posunięciem będzie rozwieść się z moją małżonką Agrypiną i zastąpić ją osobą mniej sztronniczą, która po moim odejściu będzie dla Brytanika przewodniczką, dlatego też, proszę was, *patres conscripti*, byście zastanowili się nad odpowiednią kandydatką, wyszoko urodzoną, inteligentną, posiadającą kobiece umiejętności i p-p-piękną.

– Prawie słyszę, jak Agrypina miesza swoje mikstury – szepnął Wespazjan.

– To chyba najdłuższy w historii list pożegnalny samobójcy – odważył się

stwierdzić Gajusz, patrząc na Klaudiusza z ledwo maskowanym niedowierzaniem.

– P-p-proszę wasz również, *patres conscripti*, o rozważenie, jak nagrodzić Nerona i Agrypinę za ich służbę cesarstwu. Może poszagi z b-b-brązu na Forum? A może dar w postaci ziemi w jednej z prowincji. Może jedno i drugie. Pozostawiam to wam. Tymczasem dopóki Brytanik nie skończy czternastu lat, powinniście traktować Nerona jako mojego następcę i szanować go tak jak mnie. *Patres conscripti*, dziękuję wam za waszą up-p-przejmą uwagę i szpodziewam się wkrótce poznać wynik waszych rozważań. – Skończył mówić i ze zwojem w ręku potoczył wzrokiem po senatorach, jakby należały mu się burzliwe oklaski za jedno z najbardziej zręcznych i dalekowzrocznych politycznych posunięć, jakie przedstawiono temu szacownemu rządzącemu organowi od początku jego istnienia.

Odpowiedziało mu milczenie oniemiałych słuchaczy.

A potem jeden z senatorów, mniej oniemiały od reszty, zaczął klaskać, ale zaraz przestał, uświadomiwszy sobie, że okazując poparcie dla oświadczenia Klaudiusza, prosi się o wyrok śmierci od Nerona, który będzie cesarzem jeśli nie za kilka godzin, to na pewno w ciągu kilku najbliższych dni.

Wszyscy obecni byli o tym przekonani; nawet Narcyz, który patrzył teraz na swojego patrona z nieukrywaniem przerażeniem. Natomiast Pallas miał zdecydowany wyraz twarzy; jego sprawy znacznie posunęły się do przodu.

Popatrzawszy po sobie, obaj wyzwoleńcy zerwali się z krzeseł i ruszyli, jeden lewą, a drugi prawą stroną sali, tak że wyszli z Kurii jednocześnie, ale nie razem. Klaudiusz patrzył za nimi, podrygując zdezorientowany, po czym wstał, oparł się na poręczy krzesła, oddychając głęboko, żeby się nieco uspokoić, i wreszcie pokuśtykał za nimi.

Senatorowie, zadowoleni, że wreszcie mogą robić coś, co nie będzie postępowaniem za albo przeciwko oświadczeniu cesarza, wstali z miejsc i pożegnali go, skandując głośno „Ave Caesar”, przy czym każdy z nich był przekonany, że już ostatni raz widzi Klaudiusza w Kurii.

Kiedy cesarz opuścił budynek senatu, młodszy konsul zamknął sesję. Tego dnia nie dałoby się zajmować już żadnymi sprawami, ponieważ najważniejsze dla senatorów stało się teraz zabezpieczenie własnej pozycji w okresie zmiany władzy.

– Przedziwne – stwierdził Gajusz, składając stołek. – Musiał wypić więcej tego młodego wina, niż wylał go na ziemię podczas ofiary libacyjnej. Jedyne to tłumaczy takie samobójcze działanie.

– Nawet w swoich najlepszych czasach nie był politykiem, wuju, a co dopiero po pijanemu – zauważył Wespazjan. – Uświadomi sobie, co zrobił, dopiero kiedy trucizna zacznie palić go w gardle. A my chyba powinniśmy poświęcić resztę dnia na pisanie mów wychwalających Nerona.

Dołączyli do strumienia idących ku wyjściom senatorów i podobnie jak wszyscy inni z zapalem zaczęli rozprawiać o drobnostkach, zupełnie jakby tego

dnia w senacie nie wydarzyło się nic istotnego.

– Sądzę, że wiesz, dlaczego chciałem z tobą porozmawiać, Lucjuszu – powiedział Wespazjan następnego ranka, siedząc za biurkiem w swoim tablinum.

Hormus, jak zwykle, stał tuż obok i robił notatki.

– Tak, patronie. Magnus powiedział mi wszystko o tych koniach i wiem na pewno, że przywódca Zielonych bardzo chciałby je zobaczyć. Jeśli mu się spodobają, to z radością przyjmie całą piątkę do stajni. Ma podobny układ z kilkoma innymi indywidualnymi właścicielami.

– Za jaką cenę?

– Niestety nic nie wiem o finansowym aspekcie tego układu, panie, ja tylko dbam o bezpieczeństwo stajni.

Wespazjan przyglądał się przez dłuższą chwilę starszemu kilka lat od niego klientowi. Lucjusz odsłużył dwadzieścia pięć lat w IV legionie *Scythica*, a następnie najął się u Zielonych: twarz miał wyniszczoną, głowę łysą, ale wciąż był krzepki. Zawdzięczał życie obecnemu patronowi, który był wtedy trybunem wojskowym w IV *Scythica* i podsunął dowódcy honorowe rozwiązanie polegające na ukaraniu śmiercią tylko jednego z dwóch żołnierzy oskarżonych o uderzenie wyższego oficera podczas niepokojów w obozie. Lucjusz był tym szczęśliwcem, który wyciągnął wtedy dłuższą słomkę.

– Kto obecnie stoi na czele Zielonych?

Na twarzy Lucjusza odmalowało się zdziwienie.

– Euzebiusz, panie – odparł.

– Nie interesuję się wyścigami – powiedział Wespazjan, tłumacząc się ze swojej niewiedzy. – Zaniesiesz Euzebiuszowi wiadomość. Powiedz mu, że chciałbym się spotkać w dogodnym dla niego czasie.

– Tak, patronie; przyniosę odpowiedź jutro na poranne *salutio*.

– Dziękuję, Lucjuszu. Zostaniesz na ceremonii z okazji wejścia mojego syna w wiek męski?

– Będę zaszczycony, panie. Niech mi wolno będzie powiedzieć, jak dobrze jest cię widzieć z powrotem w Rzymie. Nigdy nie wątpiłem, że wrócisz.

Wespazjan pochylił głowę, tym jednym gestem dziękując mu i odprawiając.

– On przynajmniej nie przestaje okazywać wdzięczności. Kiedy mnie nie było, przychodził do wuja niemal codziennie. Pozwól, że raz jeszcze rzucę okiem na listę Ewalda.

Hormus podał mu listę klientów, którzy znikali stopniowo podczas jego pobytu na Wschodzie.

Wespazjan przejrzał ją i oddał niewolnikowi.

– Siedmiu z nich zjawilo się dzisiaj rano, błagając, żebym im wybaczył, co z chęcią uczyniłem. Zostaje zatem tylko jeden: Leliusz. Nie mogę tolerować niewdzięczności, Hormusie.

– Szczególnie niewdzięczności okazywanej człowiekowi tak wspaniałomyślnemu jak ty, panie – odparł Hormus ze szczerym przekonaniem w głosie.

– Ułóż list do mojego brata, przedstaw mu sytuację i powiedz, żeby unieważnił kontrakt na dostawę ciecierzycy zawartą z tym niewdzięcznym sukinsynem. Nadto, jeśli jego syn dalej służy jako trybun wojskowy w jednym z legionów Sabinusa, poproś, by natychmiast odesłał go do domu, bez podania powodów; to powinna być dla Leliusza lekcja z wdzięczności.

– Tak, to powinno go nauczyć – potwierdził Hormus z ponurym uśmiechem.

– Podpiszę list po zakończeniu ceremonii Tytusa. I jeszcze napisz do Cenis, że będę u niej o zmierzchu – powiedział Wespazjan i wstał. – I dowiedz się, komu teraz Leliusz przysiągł swoją wątpliwą lojalność.

Hormus machnął listą Ewalda.

– Tu jest to napisane, panie. – Przesunął palcem po imionach. – Marek Waleriusz Messalla Korwinus – odczytał.

Wespazjan nasunął fałdę togi na głowę i pokłonił się przed lararium, ołtarzem, na którym trzymano figurki bóstw domowych, po czym obrócił twarz ku stojącemu obok niego synowi.

– To już ostatni raz, kiedy będziemy się do ciebie zwracać jak do chłopca. – Uniósł nad głowę syna rzemyk bulli, medalionu zawierającego odpędzający zły urok amulet, który jak każdy rzymski chłopiec Tytus nosił od urodzenia. – Oświadczam, że od tej chwili ty, mój synu Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, jesteś mężczyzną. Podejmij obowiązki mężczyzny z godnością i honorem, idź w świat i odnoś sukcesy przynoszące chlubę tobie i rodowi Flawiuszów.

Tytus przyjął słowa ojca, pochylając głowę.

Wespazjan położył medalion na ołtarzu i ustawił wokół niego pięć figurek, które wyjął ze stojącej obok szafki. Wyciągnął przed siebie rozpostarte dłonie, odmówił szeptem krótką modlitwę, po czym ze stojącego na ołtarzyku dzbanka napełnił płytką miseczkę winem. Trzymając miseczkę w prawej ręce, polał winem ołtarz w miejscu przed największą z figur, *lar familiaris*, reprezentującą założyciela rodu. Potem przywołał syna, dał mu łyk wina, sam wypił resztę i odstawił naczynie.

Zsunąwszy togę z głowy, odwrócił się do obserwujących uroczystość klientów, wśród których znajdował się również Gajusz oraz Magnus z dwoma niegdysiejszymi członkami bractwa, Tigranem Sekstusem i Kasandrosem. Flawia siedziała przed nimi, w oczach miała łzy i ramieniem obejmowała córkę. (Domicjana uważano za zbyt niesfornego, by mógł brać udział w tej uroczystości). Brytanik stał obok.

– Biorę was wszystkich na świadków przyznania mojemu starszemu synowi

statusu dorosłego.

Rozległ się chór potwierdzających głosów.

Wtedy przyszła kolej na Hormusa, który wystąpił z białą togą, *toga virilis*, przysługującą dorosłemu obywatelowi rzymskiemu, i odpowiednio owinął nią młodzieńca. Tytus nakrył głowę fałdą swojej nowej togi i stojąc w pozycji modlitewnej, z wyciągniętymi przed siebie otwartymi dłońmi, zaprzysiął wierność rodowi Flawiuszów i jego bóstwu opiekuńczemu, Marsowi.

Wespazjan rzucił okiem na Brytanika; po twarzy chłopca, pociągłej jak u ojca, spływały łzy, kiedy przyglądał się, jak jego przyjaciel kończy ceremonię, której z powodów politycznych jemu samemu nie będzie dane przeżywać. Mimo młodego wieku nie brakowało mu dojrzałości i doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji.

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę, jakim cesarzem mógłby być ten skazany na zgubę chłopiec, po czym pomyślał, że jest przecież synem głupca i oszalałej na punkcie władzy dziwki. Brytanik najwyraźniej nie był głupcem i dlatego – chyba że natura zostanie poskromiona, kiedy dojrzeje fizycznie – odezwie się w nim rozwiązłość matki, Messaliny; może nawet ma możliwości, przy których Kaligula wydałby się mężczyzną o nieco tylko wzmożonym popędzie.

Kiedy Tytus skończył modlitwę, Wespazjan uznał swoje myśli za nieistotne; nikt nigdy się nie dowie, jakim cesarzem byłby Brytanik.

W Rzymie panował świąteczny nastrój; miasto było gotowe do obchodów Augustaliów. Wieńce z kwiatów i wawrzynu ozdabiały posągi Augusta, a licznie zgromadzeni lojalni poddani julijsko-klaudyjskiej dynastii czekali, by podziękować za zwycięski powrót jej założyciela z wojny domowej na wschodzie, co działo się sześćdziesiąt trzy lata wcześniej. Wszyscy zdążali do bramy Kapeńskiej, wychodzącej na *via Appia*. Tam właśnie, w świątyni Fortuny Redux, bogini Szczęśliwego Powrotu, na zboczu Celiusa, tuż ponad bramą i w cieniu akweduktu Appijskiego, mieli oglądać, jak ich cesarz w roli kapłana służącego kultowi cesarza Augusta poprowadzi modły i składanie ofiar ubóstwionemu poprzednikowi. Jednak to miało być tylko wstępem do głównych wydarzeń tego dnia: wyścigów i uctowania.

– Nie musisz się już martwić, Wespazjanie – odezwał się Brytanik, kiedy schodzili z Kwirynału, z towarzyszącymi im klientami Wespazjana i Gajusza. – Teraz, kiedy Tytus jest mężczyzną, nic mu nie grozi za przyjaźnienie się ze mną.

Wespazjan nie bardzo rozumiał, dlaczego ten fakt miałby chronić idącego obok niego syna, wyprostowanego i dumnego ze swojej białej togi.

– Agrypina jest mściwą kobietą.

– Owszem, ale Seneka, nauczyciel Domicjusza i mój, nie jest mściwy. – Brytanik najwyraźniej wciąż nie potrafił mówić o Neronie, używając jego przyjętego imienia.

– Ale jakąż to on posiada władzę? – spytał Gajusz, kiedy Magnus i jego byli podwładni, siłą torujący im drogę w świątecznej ciżbie, zwolnili, dotarłszy do wejścia na Forum, zapchanego przez obywateli składających drobne podarki u stóp posągu Augusta.

Brytanik spojrział na Gajusza.

– Rzecz nie w tym, ile posiada władzy, a w tym, że ma wpływy i że używa ich, by jak najdłużej zachować luksusy. Seneka doskonale zna charakter Domicjusza. Kto zresztą mógłby nie zauważyć jego wybryków?

– Na przykład twój ojciec – zauważył Tytus.

– Mój ojciec jest idiotą i dlatego jutro o tej porze będzie już martwy. – Głos Brytanika nie wyrażał żadnych uczuć. – Natomiast Seneka zdołał przekonać Domicjusza, że jeśli chce rządzić aż do naturalnej śmierci, a nie przez pięć lat, jak Kaligula, to musi się pohamować, jeśli chodzi o życie jego poddanych, kolejne żony i dobra materialne. Dzięki temu będzie mógł wieść próżniacze życie artysty, skoro już teraz sobie wmówił, że posiada niezwykle uzdolnienia artystyczne, którym nikt nie dorówna. A Seneka, Pallas i Burrus będą podejmować najważniejsze decyzje, ludzie o wiele bardziej kompetentni niż siedemnastolatek, którego matka wodzi na sznurku, bo to jedyny polityczny atut, jaki jej pozostał, i jeszcze są związani kazirodztwem.

Cała grupa posunęła się do przodu, kiedy rozluźniło się przy wejściu na Forum Augusta; wszyscy wokół wznosili okrzyki na cześć człowieka, któremu Rzym zawdzięczał najdłuższy okres wolny od wojen domowych, ciągnących się wcześniej z górą sto pięćdziesiąt lat.

– Kiedy Domicjusz każe mnie zamordować – ciągnął niewzruszenie Brytanik – ten czyn będzie możliwy do przyjęcia, jeżeli zostanie uznany za taki, którego dokonano dla dobra Rzymu. Jeśli natomiast na dodatek zgładzi Tytusa czy któregośkolwiek z synów Rzymu, wtedy zobaczą w nim człowieka mściwego, jak jego matka, a nie takiego, który niechętnie działał z konieczności. Seneka dopilnuje, żeby Domicjusz to zrozumiał. Tytus jest bezpieczny.

– Kiedy tak rzecz przedstawiasz, to być może masz rację, drogi chłopcze – powiedział Gajusz, najwyraźniej zapominając, do kogo mówi. – Skąd jednak mamy mieć pewność, że Agrypina wykaże się podobną powściągliwością?

– Stąd, że ma władzę jedynie za pośrednictwem Domicjusza i choć będzie ją to mierzić, ona też zrozumie konieczność umiaru. Po mojej śmierci, kiedy już zapewni synowi władzę, przestanie być Domicjuszowi potrzebna; zatem będzie musiała postępować bardzo ostrożnie. Jeśli spróbuje dominować, Domicjusz może zechcieć się jej pozbyć.

Wespazjan odczuwał podziw dla tego młodego człowieka, który potrafił z taką obojętnością mówić o swojej nieuchronnej śmierci i nie wydawał się przerażony jej perspektywą.

– Dlaczego nie uciekasz? – zapytał.

– Dokąd? Do jakiegoś cuchnącego plemienia poza granicami cesarstwa? Czy może do Partii? Każdy, kto by odkrył moją tożsamość, sprzedałby mnie Domicjuszowi, a wtedy, zresztą zgodnie z prawem, zostałbym skazany na śmierć za zdradę. – Brytanik wzruszył ramionami. Wyglądał na zrezygnowanego. – Przekornie przyjmę z własnej woli los zgotowany mi przez durnia, jakim jest mój ojciec. Pociesza mnie świadomość, że on umrze przede mną i że również Narcyz, który wydał rozkaz egzekucji mojej matki, będzie już czekał na drugim brzegu Styksu, kiedy ja tam przybędę.

Wespazjan rozumiał tę przygnębiającą logikę rozumowania Brytanika: jakkolwiek na to patrzeć, dla tego chłopca nie było ratunku. Ale być może miał rację w sprawie Tytusa. Doszedł do wniosku, że teraz, kiedy już wrócił do Rzymu, człowiekiem, o którego względy musi zabiegać, jest ten, kto będzie trzymał na wodzy następnego cesarza.

– Czy sądzisz, wuju, że byłoby poniżej godności naszej rodziny, gdybym został klientem Seneki?

– Bez wątplenia, drogi chłopcze. Czy jednak kiedykolwiek powstrzymało to kogoś, kiedy starał się zapewnić sobie stosowną pozycję?

Wespazjan po raz pierwszy z niejaką przyjemnością oglądał wyścigi rydwanów na piaszczystym torze Circus Maximus; w pewnym momencie stwierdził nawet, że jest za Zielonymi... choć w jego przypadku nie przełożyło się to na żadne okrzyki. Doczekał niecierpliwie dnia, kiedy jego piękne araby pozostawią za sobą wszystkie inne zaprzęgi i zdobędą zwycięstwo. Nade wszystko wyczekiwał chwili, kiedy wieczorem spotka się z Cenis. Wyobraził sobie jej nagie ciało i uśmiech obiecujący wyczerpująco żywiołową noc w sypialni. Jego sny na jawie przerwały groteskowe wydarzenia w cesarskiej łoży, położonej zaledwie dziesięć kroków na prawo do niego.

Wcześniej Klaudiusz przybył do świątyni Fortuny w lektyce i powodem nie była wyłącznie słabość jego nóg; kiedy z niej wysiadał, dla wszystkich było oczywiste, że wciąż jest pijany... jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. Wszyscy widzieli zażenowanie współtowarzyszących mu kapłanów – a w szczególności Galby – kiedy cesarz mamrotał konieczne modlitwy, a potem spartaczył składanie ofiary, tak że krew bluznęła na jego togę, co – wszyscy wiedzieli – było najgorszym ze znaków. Jednakże senatorowie, którzy byli w siedzibie senatu dzień wcześniej, byli świadomi, że to właśnie jego dotyczy ta zapowiedź śmierci. Neron, już niemal dorosły, z włosami barwy zachodzącego słońca, teraz z towarzyszącym im meszkiem brody, stał na schodach świątyni, wykonując przesadne gesty mające świadczyć o trosce i zaniepokojeniu względem przybranego ojca. Ostentacyjnie bezgłośnie poruszał ustami podczas wszystkich modlitw, jakby wspomagał Klaudiusza; za każdym razem, kiedy cesarzowi udawało się wypowiedzieć cały

wers zrozumiale czy bez jąkania, młodzieniec teatralnie wzdychał z ulgą, co naiwny tłum – w przeważającej większości – brał za szczerą reakcję.

Kiedy obrzędy dobiegły końca, Pallas z Burrusem niemal dosłownie zagarnęli Klaudiusza, wsadzili do lektyki, zaopatrzywszy w wystarczającą ilość soku Bachusa na te czterysta kroków, jakie dzieliły ich od Circus Maximus. Kiedy tam dotarli, dzban był pusty, jednakże Agrypina, która czekała w cesarskiej łoży, zadbała, by natychmiast pojawiły się kolejne dzbany, i do końca raczyła już i tak zalanego małżonka mocnym, nierozcieńczonym wodą winem.

Agrypina, Neron, Pallas i Burrus zachowywali się tak, jakby wszystko było w porządku, mimo że Klaudiusz, wezwawszy do łoży Pelignusa, by pomiędzy biegami grać z nim w kości, zsuwał się z siedziska, a rzucanie kośćmi sprawiało mu wielką trudność.

Publiczność nie zwracała uwagi na upojonego winem mężczyznę w cesarskiej łoży, zajęta zagrzewaniem do wysiłku koni w zaprzęgach, okrążających siedmiokrotnie spinę – podmurowanie wzniesione niemal pośrodku areny, równoległe do jej długich boków. Przy każdym okrążeniu kolejno przechylano wiszące nad spiną delfiny z brązu. Tego popołudnia oglądano dwanaście biegów dwunastu zespołów, po trzy z każdej faksji, a na cześć zwycięzców wiwatowano żywołowo; a już szczególnie ogłuszająco na cześć Niebieskich, kiedy to zarówno osoby neutralne, jak i pochlebcy dołączyli do Księcia Młodzieńców, wyrażając nadzwyczajną radość przy czterech okazjach, gdy rydwany jego ukochanej faksji spowodowały przechylenie siódmego delfina.

Z teatralną pewnością siebie dziarski spadkobierca purpury wręczył ogromne nagrody zwycięskim woźnicom rydwanów Niebieskich, pławiąc się w ich chwale, jakby to on sam powoził zwycięskim zaprzęgiem. Z głębi łoży chłopiec, którym Klaudiusz w swoim zamroczonym umyśle planował zastąpić tego uroczonego pozera, niezauważony przez tłumy patrzył, jak ktoś inny bezwstydnie zajmuje należną mu pozycję.

Kiedy Neron przekazywał ostatnią nagrodę dnia zwycięskim Niebieskim, jego matka i Pallas odbyli naradę z nim. Młodzieniec zerknął na Klaudiusza, potem spojrzął w stronę senatorów i wystudiowanym, melodramatycznym gestem nakazał ciszę; blisko ćwierć miliona widzów zamilkło.

– Ludu Rzymu – zaczął chropawym głosem, któremu daleko było do mocnego. – Mój ojciec – tu przerwał i zamaszystym gestem wskazał oszołomionego opoja, który nie mając pojęcia, co się dzieje, usiłował dojrzeć kropki na rzuconej przez siebie kostce – wydaje dla was wszystkich dzisiejszego wieczora ucztę, na swój koszt. Stoły zostaną rozstawione w całym mieście i przez cztery godziny będą zapełniane jadłem i winem. Życzy wam też wiele radości z okazji Augustaliów! – Ustawiony bokiem do areny Neron położył jedną rękę na sercu, a drugą wyciągnął do góry i wolno obracał się w miejscu, ogarniając

wszystkich rozwrzeszczanych widzów. Uciszył ich zamaszystym ruchem nadgarstka i opuszczeniem ramienia, po czym zwrócił się w stronę senatorów. – Mój ojciec prosi wszystkich senatorów w randze pretorów czy konsulów o uprzejme towarzyszenie mu podczas wieczerzy w pałacu. Oczekuje was tam w najwcześniejszej dogodnej dla was porze.

Wespazjan zaklął w duchu, zirytowany, że musi odłożyć na później swoje pierwsze po prawie trzech latach spotkanie z Cenis.

Neron odwrócił się ponownie do tłumu i przyjął bohaterską postawę. Ujął się pod boki, jedną nogę wysunął do przodu i z wysoko uniesioną głową spoglądał śmiało w dal. W tym samym czasie jego przybranemu ojcu pomagano dobrnąć do wyjścia. Przynajmniej ten jeden raz Pelignus pozostał wpatrzony w dwa duże stopy wygranych, jeden srebrny, drugi złoty.

– Nie sędzę, by on sam był w stanie wymyślić to zaproszenie – zauważył Gajusz, przyglądając się, jak Klaudiusza powstrzymują, kiedy mijając swojego rodzzonego syna, zataczał się i usiłował go objąć.

– Zgadza się, wuju – odparł Wespazjan – to robota Pallasa i Agrypiny.

Gajusz spojrział na małżonkę cesarza, która uniosła wysoko ramię syna, jakby to on wygrał jakiś wyścig.

– Ach, mój drogi chłopcze.

Rozdział dziewiętnasty

Ż-Ż-ŻADEN Ż WASZ mnie nie p-p-poparł! – mamrotał Klaudiusz, wracając do swojego ulubionego tematu tego wieczoru i przesuając drżący palec wokół przestronnego triklinium wybudowanego przez Kaligulę. – Ż-ż-żaden ż wasz nie chciał mieć k-k-kalekiego cesarza.

Ani jeden z jakichś stu obecnych w pałacu senatorów nie zamierzał zaprzeczać; w pełnym zażenowania milczeniu sięgali po smakołyki ustawione przed nimi na stołach i starali się nie zauważać, że ich cesarz się zmoczył.

Agrypina uspokajającym gestem położyła dłoń na ramieniu Klaudiusza i uraczyła go kolejnym kielichem wina. Niewolnicy krążyli wokół, przynosząc świeże potrawy i zabierając opróżnione półmiski oraz te z resztkami, które zdążyły wystygnąć.

Neron, zajmujący łożę po prawej ręce Klaudiusza, nie zwracał nań uwagi, zajęty karmieniem swojej małżonki smakowitymi kąskami, sam karmiony przez niewiele starszego od niego przyjaciela, Marka Salwiusza Otona.

Wespazjan i Gajusz spoczywali po lewej stronie cesarza, dzieląc łożę z Pallasem; obaj głowili się nad tematem do pogawędki, by przerwać krępującą niemal zupełną ciszę, w której słychać było powolne metodyczne sączenie wina przez Klaudiusza aż do opróżnienia kolejnego kielicha. Mijała czwarta godzina uczyty i nikt, poza Neronem, nie mógłby twierdzić, że się dobrze bawi.

– Gdzie jest Narcyz? – zapytał w końcu Wespazjan.

– Udał się do swojej posiadłości w pobliżu Wejów, żeby złagodzić bóle podagryczne.

– Dobrowolnie?

– Agrypina rzeczywiście zasugerowała, że może wyjść mu na zdrowie, jeśli wiesz, co mam na myśli, jak by to ujął Magnus.

– Rzeczywiście on tak by to ujął, a ja wiem.

Wespazjan rozejrzył się po tym ponurym zgromadzeniu rzymskiej elity, podczas gdy Klaudiusz dalej mamrotał, staczając się w analizy własnych przeżyć i użalanie nad sobą, jak to zwykle robią ludzie pijani. Znowu zauważył Galbę obok braci Witeliuszów, a wszyscy trzej nie ukrywali zde gustowania wyglądem Klaudiusza. Kiedy znowu zaczął się zastanawiać, co łączy tę trójkę, jego wzrok napotkał parę jasnych oczu, które wydawały mu się znajome; należały do ogromnego mężczyzny, leżącego na łożu sąsiadującym z łożem Galby. Mężczyzna wznosił kielich, wciąż patrząc na Wespazjana, który nie chcąc okazać się nieuprzejmy, odwzajemnił ten niemy toast, mimo że wciąż nie potrafił umiejscowić tej twarzy. Przycięte krótko włosy i gładko ogolone policzki podkreślały wielkość kościstej głowy, osadzonej na byczym karku, który z kolei wyrastał z potężnego torsu.

– Kto to taki? – zapytał kątem ust Pallasa, opuszczając kielich.

– Hmm? – Pallas podniósł wzrok. – O, nie poznajesz go? Dodaj sobie długie włosy i wąsy.

Zajął to Wespazjanowi kilka chwil.

– Karatakus?

– Tyberiusz Klaudiusz Karatakus, obywatel Rzymu, w niedawno przyznanej randze pretora i obecnie nieróżniący się wyglądem od innych zromanizowanych barbarzyńców.

Karatakus uśmiechnął się do Wespazjana, kiedy zauważył, że Rzymianin rozpoznał w nim swojego dawnego wroga.

– Jest ulubieńcem Nerona – wyjaśnił szeptem Pallas. – A ten lubi mieć go w pobliżu, by przypominać wszystkim o wielkoduszności, jaką wykazał, doradzając jego ułaskawienie. Karatakus jest też...

Wniesienie kolejnego dania przerwało Grekowi, ponieważ Klaudiusz wyrwany z melancholijnego nastroju zapachem potrawy wybełkotał:

– O, grzyby! W końcu coś, czemu mogę zaufać. – Wychylił zawartość kielicha, by uczcić tę okazję, i podsunął go Agrypinie do ponownego napełnienia.

Biesiadnicy roześmieli się pochlebco, słysząc tę kiepską próbę żartowania, po czym zaczęli wydawać pomruki aprobaty w oczekiwaniu na smakowitą potrawę. Rozmowy znacznie się ożywiły, kiedy podjęto bezpieczny temat grzybów i sposobów ich przygotowania.

Niewolnica w starszym wieku ostrożnie umieściła dużą misę na stole przed cesarzem i cesarzową, poprawiając potem nieco jej ustawienie. Klaudiusz patrzył na potrawę, a z ust spływała mu zabarwiona winem ślina. Agrypina sięgnęła do misy ze swojej strony, wzięła w palce mały grzybek i przez chwilę delektowała się jego zapachem.

– Muszą być dobre, mój drogi – powiedziała i włożyła smakołyk do ust.

Klaudiusz usiłował skupić wzrok na jedzącej małżonce.

Agrypina przełknęła i uśmiechnęła się do męża.

– Wyśmienite.

Cesarz wyciągnął najbliższy znajdujący się grzybek i przeżuwał go z apetytem, Agrypina sięgnęła po kolejny i wszyscy wokół też zajęli się potrawą, a ponieważ Klaudiusz wyglądał teraz na zadowolonego, atmosfera zdecydowanie zelżała.

Klaudiusz beknął głośno, pociągnął kilka razy z kielicha, po czym wybrał największy i najbardziej soczysty z grzybów znajdujących się po jego stronie naczynia i wyciągnawszy go w stronę Agrypiny, wybełkotał coś, co – sądząc po obowiązkowo wstydlivej reakcji cesarzowej – musiało być jakimś sprośnym dowcipem. Klaudiusz przyłożył kapelusz grzyba do warg i sugestywnie polizał, włożył powoli do ust i zaraz wyjął. Zupełnie nietypowo Agrypina zaczęła się

wdzięczyć, jednak jej oczy pozostały twarde, skupione na grzybie. Pogładziła Klaudiusza po udzie i szepnęła mu coś do ucha; potem wydeła wargi i przechyleniem głowy potwierdziła obietnicę czekających go przyjemności.

Cesarz przegryzł grzyb na pół, delektując się jego soczystością. Przełknął i włożył do ust resztę, a w tym czasie Agrypina znów napełniła mu kielich, choć wcale jeszcze nie był pusty. Donośne beknięcie oznajmiło zniknięcie ostatniego kęsa smakołyku, natychmiast popitego całą zawartością kielicha. Agrypina znów go napełniła, rozlewając nieco na drżącą rękę Klaudiusza; w całej sali rozmowy się ożywiły.

Wespazjan sączył wino i pogryzał grzyb, podczas gdy tuż obok Gajusz pałaszował potrawę z ich wspólnej misy. Nagle spoczywający z drugiej strony Pallas zeszywniał, zaciskając dłoń o zbieleńskie kostki na krawędzi łoża. Wespazjan podniósł wzrok, żeby zobaczyć, co go tak przestraszyło.

Ciałem Klaudiusza wstrząsnęły drgawki, na powalanej twarzy zastygł grymas; wino z kielicha, trzymanego trzęsącą się ręką, chlusnęło na Agrypinę, która uspokajająco położyła dłoń na policzku małżonka. Drgawki ustały, mięśnie twarzy się rozluźniły i cesarz, dysząc, opadł na łoże.

W sali zapanowała kompletna cisza, kiedy obecni uświadomili sobie, że cesarz zemdlął. Neron wstał i patrzył przerażony, z szeroko rozwartymi oczyma, otwartymi ustami, przykładając prawą dłoń do czoła, niczym jakiś aktor tragiczny spoglądający na martwe ciało kochanki.

– Mój małżonek napił się wreszcie do syta! – oznajmiła Agrypina, spoglądając na rozciągniętego na brzuchu cesarza. – Ostatecznie przez kilka ostatnich dni wypił tyle wina, że mógłby utopić w nim samego Neptuna.

Nerwowy śmiech był reakcją na to suche stwierdzenie faktu, wskazującą, że nikt z obecnych nie wierzył, by ten przypadek miał jakiś związek z winem; niemniej wszyscy wiedzieli, że będą mogli potwierdzić pod przysięgą taką właśnie wersję wydarzeń.

– Przynieś miskę i ręcznik – zwróciła się Agrypina do starszej niewolnicy, tej samej, która, jak zauważył Wespazjan, przyniosła parze cesarskiej grzyby. Niewolnica odeszła bezszelestnie, a cesarzowa, obraz niezmaconego spokoju, wstała z miejsca. – Każę mojemu osobistemu medykowi, by się nim zajął i podał mu środek wymiotny. – Zaklaskała w dłonie i z półcienia na skraju sali wyłoniło się czterech roślących niewolników, którzy po chwili otoczyli łoże Klaudiusza. – Myślę, że skończymy już naszą hulankę, dobranoc.

Nikt nie protestował, choć wszyscy mieli poczucie, że hulanka jest zbyt mocnym słowem na określenie tego wieczoru.

– Wy dwaj zostajecie – oznajmił Pallas, kiedy Wespazjan i Gajusz szykowali się do wyjścia. – Muszą być świadkowie nagłego i tragicznego pogorszenia stanu zdrowia cesarza. Zostańcie tutaj i ułóżcie sobie mowy na jutrzejsze posiedzenie

senatu.

Wespazjan przysiadł na krawędzi łoża i rozejrzał się po sali; wszyscy senatorowie już wyszli, poza sześcioma: Petusem, Mucjanusem, Korwinusem, Galbą i braćmi Witeliuszami. Zrozumiał teraz, dlaczego dano im miejsca obok siebie; Pallas oparł się na reprezentatywnej grupie senatu, by zapewnić Neronowi władzę; konsensualny spisek, mający poparcie wszystkich stron, będzie najbardziej wiarygodnym świadkiem „smutnej i przedwczesnej śmierci” Klaudiusza.

– Och, drogi chłopcze – jęknął Gajusz, który najwyraźniej również to sobie uzmysłowił.

– Cesarz bez wątpienia za dużo zjadł, co wytworzyło nadmierną ilość flegmy w jego płynach ustrojowych. Musi jeszcze trochę wymiotować – oświadczył brodaty Grek, odrywając wzrok od pacjenta, zadowolony ze swojej diagnozy.

Klaudiusz leżał na łożu i dyszał; obok jego twarzy o zwiotczałych ustach piętrzył się stosik wymiocin.

– Co mu podasz, Ksenofonie? – spytała Agrypina nader zatroskanym głosem.

– Nic. Najlepiej będzie połaskotać go w gardle. – Grek pogrzebał w swojej skrzyneczce i wyjął gęsie pióro, po czym odsunął głowę Klaudiusza od wymiocin.

– Sprzątnij to – rozkazała Agrypina niewolnicy.

Kobieta podeszła z ręcznikiem i miską; postawiła miskę na łożu i ręcznikiem zaczęła zbierać nieczystości.

Grek czekał i bawił się swoim piórem, przesuwając jego czubkiem po krawędzi miski. Po chwili kobieta skończyła sprzątać, włożyła brudny ręcznik do miski i zabrawszy ją, odeszła.

Medyk przechylił głowę Klaudiusza w swoją stronę i rozwarł mu szczęki. Bardzo delikatnie włożył pióro głęboko do gardła i pokręcił nim; ciałem Klaudiusza raptownie wstrząsnęło, ale Grek nie cofnął pióra. Przy drugim wstrząsie na zewnątrz wypadło i pióro, i wymiociny. Neron wrzasnął, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie widział, jak ktoś wymiotuje; opiekuńczym gestem objął małżonkę, a Oton z kolei jego otoczył ramieniem. Wydawało się, że Klaudiusz oddycha teraz swobodniej.

Ksenofon powtórzył tę procedurę i doprowadził cesarza do kolejnych torsji; Neron znowu wrzasnął.

– To powinno wystarczyć – oświadczył Grek. – Teraz trzeba przenieść cesarza do jego własnego łoża.

– Dziękuję, medyku – powiedziała Agrypina z wielką ulgą.

Dała znak niewolnikom, którzy podnieśli Klaudiusza. Kiedy z nim odchodzili, cesarz nagle zadygotał raz za razem, wydał z siebie zduszony krzyk, a potem jego ręce opadły bezwładnie, sięgając podłogi.

Agrypina krzyknęła i podbiegła do męża; Ksenofon ruszył za nią, podczas

gdy Wespazjan i pozostali senatorowie przyglądali się temu przedstawieniu. Neron przyzywał bogów na pomoc, błagalnie wznosząc do nich prawą rękę. Medyk chwycił nadgarstek Klaudiusza, sprawdził puls, po czym przyłożył palce z boku jego szyi. Przeniósł wzrok na cesarzową i powoli pokręcił głową.

Agrypina wyprostowała się i z monarszym wyrazem twarzy zwróciła do świadków wydarzeń.

– Cesarz nie żyje – oznajmiła. – Przygotujmy się do sukcesji.

Neron stał bez ruchu, z rękoma na wpół uniesionymi, a jego szeroko otwarte pod wygiętymi w łuk brwiami oczy miały wyrażać wstrząs.

– Ależ matko, nie jestem gotowy na takie brzemię – wyrzucił z siebie.

Na twarzy niewolnicy stojącej w cieniu, za Agrypiną, pojawił się cień uśmiechu, który zniknął natychmiast, kiedy przyszedł Burrus z Seneką wraz z eskortą żołnierzy gwardii pretoriańskiej.

– Pójdź, princepsie – zwrócił się Burrus do Nerona.

Przez twarz Agrypiny przemknął triumfalny półuśmiech.

Neron padł na kolana, dłonie ścisnął udami.

– Och, żeby być godnym tego tytułu. Dokąd mnie zabieracie?

Seneka wyciągnął rękę i pomógł mu wstać.

– Zabierzemy cię do obozu pretorianów, tam poczekaś na zatwierdzenie twojej władzy przez senat – powiedział. Potem zwrócił się do Pallasasa. – Czy wszystko gotowe? – zapytał.

Pallas spojrzał na Wespazjana i pozostałych senatorów, którzy właśnie byli świadkami jawnego zabójstwa, o którego dokonanie nie dałoby się nikogo oskarżyć.

– Tak, Seneko. Galba zwoła senatorów tuż po świcie, a Wespazjan zapoczątkuje ich apel do Nerona, by przyjął to ciężkie brzemię, jakim jest purpura.

Wespazjan rozstał się z Gajuszem przed frontowymi drzwiami domu wuja i mimo późnej pory udał się do Cenis. Do domu wpuścił go odźwierny, ogromny Nubijczyk, i idąc przez westybul, Wespazjan ze zdumieniem zobaczył, że lampy wciąż płoną, a domownicy nie udali się jeszcze na spoczynek.

– Pani jest w gabinecie – poinformował go zarządca z ukłonem. – Powiedziała, byś tam przyszedł.

Wespazjan podziękował mu i podszedł do ostatnich drzwi po prawej stronie atrium. Kiedy je otworzył, z pokoju wylało się jasne światło.

Cenis uniosła głowę znad zarzuconego zwojami biurka. Pomieszczenie było obstawione stosami skrzynek ze zwojami i woskowymi tabliczkami. Bez słowa zerwała się z miejsca i podbiegła do niego; zarzuciła mu ramiona na szyję, a on ją podniósł do góry. Nie odrywając ust od jej ust, zaniósł ją z powrotem do biurka i na nim położył, rozrzucając na boki leżące tam zwoje. Nadal bez słowa zaczęli zdzierać z siebie wzajemnie ubranie, aż pozbywszy się wreszcie wszelkich

przeszkód, nie tracąc czasu na zawile subtelności, przeszli od razu do sedna sprawy, czyli niecierpiącego zwłoki wzajemnego zaspokajania swoich pragnień.

– Narcyz przysłał je tuż przed swoim wyjazdem z Rzymu – powiedziała Cenis, odpowiadając na pytanie Wespazjana dotyczące zwojów, z których teraz już ani jeden nie pozostał na blacie. – Są tam wszystkie informacje o senatorach i ekwitach, a także korespondencja ze wszystkimi jego agentami w cesarstwie.

Wespazjan ukląkł na biurku i rozejrzył się po gabinecie, który przypominał jakiś często odwiedzany magazyn.

– Toż to bezcenne! Dlaczego powierzył to tobie?

Cenis uniosła się i go pocałowała.

– Ponieważ, mój ukochany, własnoręcznie napisałam wiele z tego, co tu widzisz, kiedy byłam jego sekretarką. Narcyz musiał dojść do wniosku, że zdradzi mniej tajemnic, jeśli ja mu ich popilnuję, a nie ktoś inny.

– Popilnujesz?

– Tak. Wiedział, że na pewno je ukradną, jeśli zostaną w jego pokojach w pałacu, po tym jak Agrypina poradziła mu, żeby wyjechał z Rzymu. Nie miał czasu, żeby je gdzieś schować, więc po kryjomu przesłał je tutaj. Poprosił, bym przechowała to wszystko do jego powrotu albo do jego egzekucji, przy czym w tym drugim przypadku miałam je spalić, żeby nie wpadły w ręce Nerona czy Agrypiny.

– Czy Pallasą?

Cenis uniosła porozumiewawczo brew.

– To już podlegałoby negocjacji.

– Zatem ich nie spalisz?

– Spalę większość, zatrzymywanie wszystkich byłoby niebezpieczne. Ale ty zakładasz, że Narcyz zostanie stracony.

– Agrypina nie zostawi go przy życiu, skoro zamordowała Klaudiusza.

Cenis właśnie jęła doprowadzać do porządku strój i fryzurę.

– Już? To szybko – powiedziała spokojnie. – Narcyz sądził, że cesarz ma przed sobą jeszcze jakieś pół miesiąca.

– Nic z tego. Zrobiła to nieco ponad godzinę temu; najpierw zatruty grzyb, żeby wyglądało na jakiś atak po przejedzeniu i przepiciu, a potem zatrute piórko, wsadzone do gardła tego durnia przez medyka, który udawał, że go leczy. Idealnie dopracowane, wyglądało na śmierć spowodowaną nadmierną konsumpcją. Sam mógłbym przysiąc, że tak było.

– W takim razie bierzmy się do pracy – powiedziała Cenis, wskazując na tajne informacje Narcyza. – Zanim jednak rozpalimy ognisko, trzeba wyszukać jakieś materiały warte zachowania.

Wespazjan, chociaż bardzo zmęczony, wiedział już, że warto było zarwać noc na odnalezienie wiele mówiących dokumentów, których spalenie, jak uznali

z Cenis, byłoby pochopne i bardzo nierozsądne. Zwinął zwój, który dotyczył ogromnej łapówki wpłaconej przez ojca braci Witeliuszów, Lucjusza Witeliusza Starszego, za odstąpienie od oskarżenia o zdradę, tuż przed jego śmiercią w wyniku udaru trzy lata wcześniej.

Ziewając, włożył go z powrotem do skrzynki.

– Powiniennem iść, ukochana. Muszę się odświeżyć, zanim pojawią się pierwsi klienci.

Cenis uniosła zmęczone oczy znad woskowej tabliczki.

– Wiedziałaś, że Narcyz planował egzekucję twoją i Sabinusa, gdybyście nie zdołali odnaleźć orła Siedemnastego legionu w Germanii?

– Nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Nie będę go oplakiwał, zbyt go cieszyło nadużywanie władzy i wielokrotnie bardzo utrudnił mi życie. – Pochylił się i pocałował ją w usta; jeszcze chwilę ociągali się z rozstaniem. – Zobaczymy się później, jak już z Gajuszem przekonamy senatorów, by przypieczętowali los dynastii julijsko-klaudyjskiej.

Wespazjan i jego wuj, eskortowani przez swoich klientów, szli w dół Kwirynału w panującej wilgoci bladego październikowego świtu, dwa dni przed idami. Wszystkich ich poprzedzali członkowie bractwa rozstajnych dróg południowego Kwirynału, uzbrojeni w pałki, gotowi siłą torować im drogę w tych bardziej zatłoczonych częściach miasta.

– Chłopcy odzyskali kontrolę nad dawną okolicą – poinformował Wespazjana Magnus. – Tigran powiedział mi, że nie trwało to długo. Normalnie bractwu nie jest łatwo utrzymać jednocześnie dwa tereny, bo miejscowi nie wierzą, że uszanują lary ich rozstajnych dróg, i stają się zaczepni.

Wespazjan chrząknął, żeby wykazać jakieś zainteresowanie działalnością rzymskiego półświatka, jednak jego zmęczony umysł zajęty był mową, którą musiał wkrótce wygłosić, i to uwzględniając kolejność i cele wszystkich innych wystąpień, jak to wyjaśnił mu poprzedniego wieczoru Pallas.

– Ale co dziwne, tamci nie zrobili nic, żeby zachować swoją pozycję – ciągnął niezmaczenie Magnus. – Po kilku dniach nie mogli już bezpiecznie poruszać się po zmroku i wystarczyło kilka dobrze wybranych morderstw, a po nich atak bardzo podobny do tego, jaki przeprowadzili przeciwko nam, żeby wynieśli się tam, skąd przyszli.

– A skąd przyszli? – zainteresował się Gajusz.

– O, to akurat jest dość ciekawe. Nie są z przyległego terenu, jak myślałem na początku. Przyszli aż ze wschodniego krańca Awentynu.

Zaczęło jednostajnie siąpić i nastrój Wespazjana jeszcze się pogorszył.

– Co w tym takiego ciekawego poza tym, że Sabinus tam mieszka?

Magnus spojrział na niego jak na miłe, ale niezbyt rozgarnięte dziecko.

– To, mój panie, że potwierdza się możliwość, którą rozważaliśmy. Dlaczego

bractwo z dalszych okolic Awentynu miałoby próbować przejąć inny teren po drugiej stronie miasta, na Kwirynale? To nie ma sensu, chyba że ich celem wcale nie było przejście. Dlaczego zaatakowali dokładnie w chwili, kiedy cesarski sekretarz i młodszy konsul mieli *potajemne* spotkanie? Skoro więc prawdziwym celem byłś ty albo Narcyz, albo byliście nim obaj, to musiano popchnąć do tego chłopców ze wschodniego Awentynu.

– Oczywiście, że ktoś ich do tego popchnął, tylko kto? – rzucił Wespazjan ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Jego przyjaciel poczuł się dotknięty.

– Tylko dlatego, że całą noc nie spałeś, czy powinienem raczej rzec, nie pozwoliłeś spać Cenis, nie oznacza, że musisz się na mnie wyżywać.

– Przepraszam, Magnusie.

– Taa, dobrze. W każdym razie możesz o tym nie wiedzieć, ale odkąd Palatyn stał się dzielnicą mieszkalną elity, nie ma tam bractw w tym nowoczesnym znaczeniu tego słowa, ponieważ nie ma tam ludzi, którym potrzebna jest nasza... ee... pomoc, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Chodzi ci o to, że nie ma tam ubogich ludzi, których można terroryzować?

– To niesprawiedliwe słowa, panie. W każdym razie tamtejsi mieszkańcy sami dbają o lary rozstajnych dróg, dlatego najbliższe Palatynu bractwa, godne tego miana, będą przy via Sacra albo...

– Na Awentynie!

– Właśnie. Tuż po drugiej stronie Circus Maximus. Nie znaczy to, że twierdę, jakoby wschodniemu Awentynowi na pewno zapłacił za to ktoś z Palatynu, ale domyślam się, że tamci chłopcy są w całkiem bliskich stosunkach z tymi lepszymi od siebie, mieszkającymi na przeciwległym wzgórzu, przynajmniej z tymi bardziej pozbawionymi skrupułów.

– A to oznacza większość z nich. Myślę, że możesz mieć rację, przyjacielu. Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

Magnus zachichotał.

– Ja? Nic. Nie jestem już związany z bractwem. Jednak, jak wiesz, mój kamrat Tigran jest teraz patronem, a on potrafi słuchać rad starszych i mądrzejszych od siebie.

– Jakiej to zatem rady mu udzieliłeś?

– Zasugerowałem, że mógłby pochwycić jednego z tych awentynskich chłopców i namówić go, by odpowiedział na kilka pytań.

– To bardzo dobra rada.

– Też tak uważałem, a skoro już o dobrej radzie mowa, to tam jest Lucjusz. – Magnus wskazał rękę tłumek klientów ciągnących za nimi w dół zbocza. – Ponieważ dzisiaj rano nie było *salutio*, to on nie miał okazji ci powiedzieć, że Euzebiusz przyśle dzisiaj kogoś, żeby obejrzał te araby, i że będzie zaszczycony,

jeśli zechcesz się z nim spotkać, by o nich porozmawiać. Powiedz tylko gdzie i kiedy.

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę, a tymczasem dotarli do Kurii. Dziesiątki senatorów wchodziły już po schodach. Chmary klientów mrowiły się na dole w oczekiwaniu na wiadomości o tym, co dzieje się w siedzibie senatu.

– Powiedz mu, że przyjdę jutro do stajni Zielonych. Chcę się upewnić, że są wystarczająco dobre dla moich rumaków.

Magnus przewrócił oczyma.

– Stajnie Zielonych niewystarczająco dobre? Też coś!

Gwar ożywionych rozmów wypełniał wnętrze Kurii, kiedy czekano na przybycie młodszego konsula i rozpoczęcie posiedzenia. Na fali obaw rozchodziły się sprzeczne pogłoski, kiedy ci, którzy byli obecni przy nagłym zaśląbnięciu Klaudiusza, informowali innych o okolicznościach, w jakich do tego doszło. Nie potwierdzono jego śmierci i wszyscy bali się reagować w taki czy inny sposób, z lęku przed obrażeniem Klaudiusza rozmową o sukcesji czy obrażeniem jego następcy, wyrażając nadzieję, że cesarz żyje. Dlatego odetchnęli z wielką ulgą, kiedy przybył konsul i uciszywszy rozmowy, rozpoczął procedurę sprawdzania, czy ten dzień jest pomyślny dla spraw Rzymu. Dwie gęsie wątroby dały odpowiedź twierdzącą.

Wespazjan powtarzał sobie w myślach swoją mowę, podczas gdy odmawiano modlitwy dziękczynne do Jowisza Najlepszego Największego i sprzątno resztki po składaniu ofiar.

– Serwiuszu Sulpicjuszu Galbo – zaczął Marek Azyniusz Marcellus, kiedy już zasiadł w krześle kurulnym – z jakiego powodu wezwałeś tu senat w dniu, który nie był przewidziany na nasze posiedzenie?

Galba, mężczyzna łysy i muskularny, wstał, powiódł po obecnych piorunującym spojrzeniem, wysunął do przodu podbródek i zastygł, zupełnie jakby zamierzał zwrócić się do żołnierzy, którzy mu się czymś narazili.

– Tyberiusz Klaudiusz Cezar August Germanik – ryknął, aż siedzący w pobliżu wzdrygnęli się nerwowo – zmarł we wczesnych godzinach dzisiejszego ranka. – Wypowiedziawszy to, usiadł, zupełnie jakby właśnie wymienił imię i stanowisko najpodrzędniejszego z urzędników na nadchodzący rok.

W sali zawrzało, bo każdy chciał jak najgłośniej wyrazić swój żal z powodu śmierci cesarza. Przygotowany na tę właśnie chwilę Wespazjan wyszedł na środek i zażądał od konsula, by umożliwił mu przemówienie do senatorów.

Marcellus wstał i rozłożywszy ramiona, nakazał spokój. Stopniowo senatorowie skupili spojrzenia na Wespazjanie.

– Przemówi teraz – oświadczył Marcellus, głosem nieco ochryłym od krzyku – Tytus Flawiusz Wespazjan.

Wespazjan przybrał posępny wyraz twarzy.

– *Patres conscripti*, boleję razem z wami – zaczął. Rozejrzał się, celowo spoglądając w oczy wielu obecnych, by mogli zobaczyć, jak głębokie są jego uczucia. – Jednak dla dobra Rzymu czas żalu trzeba odłożyć. Rzym potrzebuje kogoś, kto go poprowadzi w tej żałobie. Zanim poddamy się głębokiemu smutkowi, jaki wszyscy odczuwamy, wypełnijmy wpierw nasz obowiązek wobec Rzymu jako członkowie jego odpowiedzialnego senatu. Pamiętajmy o niezdecydowaniu i bierności, które towarzyszyły nam, czego powinniśmy się wstydzić, po śmierci ostatniego cesarza. Nasze wykręty spowodowały, że to gwardia pretoriańska, a nie zgromadzenie o wielowiekowej tradycji, obrała wtedy Klaudiusza. – Wykonał pełny obrót, wyciągniętym ramieniem ogarniając cały senat. – Wszyscyśmy winni. Zatem przy tej okazji, *patres conscripti*, umocnijmy nasz autorytet zdecydowanym działaniem, takim, którego nikt z obecnych nie uzna za niewłaściwe, ponieważ takie życzenie wyraził zmarły cesarz, zaledwie trzy dni temu, wobec tego zgromadzenia. Zwróćmy się zatem do cesarskiego syna, który zgodnie z wolą Klaudiusza pozostaje jego następcą. – Wespazjan przerwał, myśląc o konsekwencjach swoich kolejnych słów dla przyjaciela Tytusa. – Brytanik nie osiągnął jeszcze wieku męskiego! Zatem zaapelujmy do Nerona Cezara Druzusa Germanika, by najszybciej jak to możliwe przybył do senatu. Tutaj, *patres conscripti*, będziemy go prosić, nie, będziemy go błagać, by włożył purpurę, w tak smutnych okolicznościach pozostawioną przez jego ojca. Jeśli zdołamy przekonać Nerona, by poniósł ten ciężar, będzie to oznaczało, że spełniliśmy swój obowiązek. Wtedy dopiero, *patres conscripti*, uzyskamy prawo do obchodzenia żałoby.

Wespazjan wracał do swojego stołka, wywoławszy głośny powszechny aplauz. Tymczasem na środek sali wytoczył się Gajusz. Kropelki potu na górnej wardze zdradzały jego nerwowość, ponieważ wiedział, że zwraca na siebie uwagę.

– *Patres conscripti*, mój siostrzeniec przypomniał o dwóch cechach, które uczyniły nas, Rzymian, wielkimi. Bezinteresowne poświęcenie się obowiązkowi oraz umiejętność tłumienia targających nami uczuć, by jak najlepiej służyć senatowi i ludowi Rzymu. Popieram jego wniosek, ale dodam coś więcej. Jeśli Neron łaskawie spełni nasze prośby, powinniśmy mu podziękować, przyznając wszystkie zaszczyty i tytuły, które przyznaliśmy Klaudiuszowi podczas całego jego panowania, tak żeby na początku swoich rządów posiadał nie mniej godności niż jego ojciec na końcu swoich. – Gajusz machnął teatralnie ręką nad głową i wrócił na swoje miejsce obok siostrzeńca.

Wszyscy senatorowie głośno wyrażali swoje poparcie, a każdy w duchu żałował, że sam nie wystąpił z tym pochlebczym wnioskiem.

– To ich ruszyło, drogi chłopcze – zauważył Gajusz, poklepywany po plecach i głośno popierany przez kolegów senatorów.

– Wykonywaliśmy tylko swój obowiązek – odparł Wespazjan, z trudem utrzymując poważny wyraz twarzy.

Następnie wraz z resztą senatorów obaj kiwali potakująco głowami, szeptali, wiwatowali albo, kiedy należało, wykrzykiwali swoją zgodę, kiedy najpierw dwaj bracia Witeliusze wygłosili pochwałę wszystkich cnót Nerona oraz prawdopodobieństwo wprowadzenia przez niego cesarstwa w złoty wiek, a potem Gajusz Licyniusz Mucjanus rozwodził się na temat konieczności podjęcia jak najszybszej decyzji. Po nim Lucjusz Juniusz Petus, popisując się krasomówstwem, błagał Marcellusa, by zarządził natychmiastowe głosowanie. Zanim jednak konsul mógł to uczynić, głos zabrał Marek Waleriusz Messala Korwinus.

– *Patres conscripti* – powiedział, kiedy uzyskał pozwolenie na zwrócenie się do zgromadzenia – jeśli już osiągniemy zgodę w tej sprawie, to sugeruję, byśmy zastanowili się nad sposobem przekazania naszej prośby Neronowi. Nie możemy wysłać na Palatyn zbyt wielu delegatów, bo zostałyby nas tutaj zbyt niewielu, by powitać Nerona, kiedy zaszczyli senat swoją obecnością. – Przerwał na chwilę, podczas gdy senatorowie rozważali trudności związane z zapewnieniem takiej równowagi. – Dlatego proponuję, byśmy rozwiązali ten problem, wysyłając tylko jednego człowieka. Naturalnie oczywistym wyborem powinien być młodszy konsul, który przy braku swojego kolegi współkonsula jest tutaj najwyższym urzędnikiem. Z drugiej wszakże strony, *patres conscripti*, czy najwyższy urzędnik nie powinien czekać tutaj, u stóp schodów, by powitać Nerona i wprowadzić go do wnętrza Kurii? – Korwinus zawiesił głos.

Rozległy się potakujące pomruki i jednocześnie głosy zatroskania o to, by relacje z człowiekiem, którego planowali uczynić cesarzem, zaczęły się pomyślnie.

– Pallas powiedział, że Korwinus miał doprowadzić do wysłania po Nerona Marcellusa, a nie udaremniać to – syknął Wespazjan. – Co on wyprawia?

– Buduje swoją karierę, jak sędzę – odpowiedział mu szeptem Gajusz. – Nie awansował od tamtego czasu po śmierci Messaliny, kiedy to spowodowałeś, że Pallas uratował mu życie, bo Agrypina nie zapomniała, że jest bratem tej harpii.

– Aha! Ale jeśli on będzie tym, który przyjdzie w imieniu senatu, to być może zapomni. O to chodzi?

– Mniej więcej.

Korwinus rozłożył ramiona, jakby obejmował nimi cały senat.

– Zatem kogo powinniśmy wybrać, *patres conscripti*?

Kiedy Korwinus tak bezwstydnie wzywał senat do podjęcia decyzji, Wespazjan przyglądał się swojemu dawnemu wrogowi, wyliczając w myślach krzywdy, jakie tamten wyrządził jemu samemu i jego rodzinie, po czym, kiedy senatorowie zaczęli wzywać Korwinusa, by wziął na siebie to zadanie, przypomniał mu się pewien szczegół sprzed lat, o którym wspomniał Sabinus.

– Szybko, wuju, niech wyznaczą mnie.

Gajusz wytrzeszczył na niego oczy.

– Już!

Wzruszywszy ramionami, Gajusz wstał z miejsca.

– Konsulu! – zawołał.

– Głos ma Gajusz Wespazjusz Pollo.

Gajusz poczłapał na środek sali, odprowadzany wściekłym spojrzeniem Korwinusa.

– Senator Korwinus bardzo słusznie podniósł ten problem i powinniśmy być mu wdzięczni za przytomność umysłu. Jednakże nie uważam, by to on był odpowiednią osobą do wykonania tego zadania. Sądzę, że mamy wśród nas człowieka, który się idealnie do tego nadaje. W przeciwieństwie do Korwinusa posiada rangę konsula, a co więcej, przez niemal trzy lata nie było go w Rzymie i dlatego można powiedzieć, że jest daleki od wszelkich sporów i politycznych posunięć dotyczących sukcesji. Proponuję Tytusa Flawiusza Wespazjana.

Kiedy Petus poparł ten wniosek, zarządzono i przeprowadzono głosowanie, z niemal jednomyślnym wynikiem. Wespazjan poczuł na sobie świdrujące spojrzenie Korwinusa i zło, jakim było ono nasycone; nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna łamie przysięgę, w której zobowiązał się zachowywać w obecności Wespazjana, jakby nie istniał. Nie zdziwiło go to jednak, bo o ile dobrze się domyślał, nie był to pierwszy raz, kiedy Korwinus tę przysięgę złamał.

Rozdział dwudziesty

Neron, wsparty na ramieniu Otona, próbował chwycić oddech. Odrzucił do tyłu głowę, aż jego płomieniste loki zafalowały. Trzymał się za skronie kciukiem i palcem serdecznym jednej ręki. W końcu zaczął łapać powietrze, a Wespazjan zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie udawał człowieka obezwładnionego zdumieniem.

Rozejrzył się po atrium kwatery prefekta pretorianów w położonym za bramą Wiminalską obozie gwardii. Agrypina, Pallas, Seneka i Burrus czekali cierpliwie, zupełnie jakby ta koszmarna przesada, zdolna wzbudzić zazdrość najbardziej melodramatycznego z aktorów, była normalną reakcją na coś, czego wszyscy się spodziewali; mimo że wszyscy z obecnych unikali spojrzenia w oczy Wespazjanowi.

– Muszę ułożyć mowę. – Głos Nerona, z natury ochryply, stał się jeszcze bardziej chropawy pod wpływem emocji.

Seneka postąpił krok do przodu i z zanadrza togi wyciągnął zwój.

– Już to zrobiłeś, princepsie.

Neron podniósł ręce z kciukami złączonymi z opuszkami środkowych palców, a jego twarz się rozpromieniła.

– Aha! Rzeczywiście.

Seneka podał mu dokument.

– Jestem pewien, że to arcydzieło, princepsie.

– O tak, o tak – potwierdził Neron, spoglądając na tekst.

– Twoja zręczność w doborze słów jest niezrównana.

– Poza talentem muzycznym oczywiście. A gdybym tak połączył jedno z drugim... – Neron wzniósł tęsknie oczy w kierunku sufitu, po chwili jednak ponownie skupił uwagę na zwoju.

Wszyscy stali w milczeniu, podczas gdy młodzieniec kończył przeglądać mowę.

– Odpowiem na apel senatu i przybędę bezzwłocznie, senatorze Wespazjanie.

– Czynisz nam zaszczyt, princepsie.

– Ale w co mam się ubrać? Co włożyć, matko?

Agrypina uśmiechnęła się do syna i pogładziła spływające mu po policzku włosy.

– Twój zarządca przygotował szeroki wybór stosownych strojów. Czekają gotowe w twoich pokojach.

– Matko, ty myślisz o wszystkim. – Neron pocałował Agrypinę w usta, po czym ponownie chwycił ramię Otona. – Chodź, Otonie, pomożesz mi podjąć decyzję. Nie pozwolimy, by senat czekał.

Wespazjan patrzył, jak wybrany cesarz niemal w podskokach opuszcza atrium, i zastanawiał się, jak długo jego błazeństwa będą tolerowane. Przypuszczał jednak, że pochlebcy z natury senatorowie i ekwici pozwolą, by jego poczynania sięgnęły poziomu zachowania Kaliguli, zanim w ogóle zaczną szeptać po kątach. Po chwili poznał przedsmak tego, co miało przyjść, kiedy Agrypina zwróciła się do Burrusa i ze złośliwym błyskiem w ciemnych oczach powiedziała miękkim głosem:

– Wyślij turmę jazdy pretorianów i niech sprowadzą Narcyza z powrotem do Rzymu.

Kiedy Burrus zasalutował i odwrócił się, by odejść, dodała:

– I usuń Kallistosa ze stanowiska sekretarza do spraw sądownictwa, na stałe. Nadchodził czas zabijania.

Cztery godziny później, gdy Wespazjan kilkakrotnie wysłał kolejne wiadomości do senatu, zapewniając zgromadzenie, że Neron przybędzie natychmiast, jak tylko się przebierze, senatorowie podnieśli się z miejsc i zgotowali Złotemu Księżu owację. Wcześniej, nie szczędząc słów i wielokrotnie ostentacyjnie się ociągając, uczynił zadość ich prośbom. W wielu oczach widać było łzy wdzięczności, odzwierciedlające te spływające po policzkach Nerona, kiedy obracał się powoli z rękoma przyciśniętymi do serca, żeby wszyscy obecni zrozumieli, jak bardzo tę sytuację przeżywa. Wyglądał olśniewająco w złocistych pantoflach, purpurowej tunice haftowanej złotą nicią, wieńcu laurowym z cienkiej złotej blachy na głowie i bransoletami wysadzanych przeróżnymi klejnotami na rękach. Swoją skromność okazał natomiast, zarzucając na siebie zwykłą białą togę obywatela. Wszyscy mogli się przekonać o jego pokorze, kiedy podszedł do konsula i przyklękając przed nim, poprosił, by pozwolono mu ponownie przemówić do senatu.

Starając się nie okazywać konsternacji, Marcellus oddał głos nowemu cesarzowi. Neron wyprostował się na całą wysokość, a był wzrostu średniego, przesunął bladoniebieskimi oczyma po zebranych, po czym przybrał pozę oratora. Lewą, zgiętą w łokciu ręką podtrzymywał fałdy togi, prawą, ze zwojem zaciśniętym w dłoni, opuścił wzdłuż boku. Kiedy był już zadowolony z ułożenia ciała, zaszlochał kilkakrotnie, odchrząknął, by pozbyć się chryпки po przeżyciu tej głębokiej emocji, po czym rozpoczął mowę, której treść zaskoczyła wszystkich bezstronnością i konserwatyzyzmem. Słuchacze spostrzegli, że jest niezgodna z jego charakterem, mimo to wszyscy chcieli wierzyć w to, co usłyszeli.

Neron potwierdził władzę senatu, wyraził nadzieję na jednomyślność armii, zapewnił, że nie żywi do nikogo urazy, nie wymaga naprawiania żadnych krzywd ani nie ma w nim pragnienia zemsty, i obiecał, że nie będzie sędzią we wszystkich rozprawach, a także że w jego najbliższym otoczeniu nie będzie przekupstwa. Podczas gdy Neron ciągnął to przemówienie aż do godzin popołudniowych, myśli

Wespazjana zajęła sprawa zemsty. Przesuwał wzrokiem po rzędach senatorów, z których każdy miał taką minę, jakby ten skierowany do nich słaby, ochrypły głos był najpiękniejszym dźwiękiem na świecie. Wkrótce natrafił na obiekt swojej nienawiści. Raz jeszcze Pelignus o mało nie spadł ze stołka, kiedy poczuł na sobie wzrok Wespazjana, ale przygwoździła go jadowitość tego spojrzenia. Kiedy Neron sięgał szczytów krasomówstwa, często korzystając przy tym ze zwoju, Wespazjan rozkoszował się myślami o upokorzeniu Pelignusa, a potem o jego śmierci. Na zakończenie mówca poinformował obecnych, że następnego dnia, po pogrzebie Klaudiusza, przyjmie oczekującą w mieście delegację armeńską i jednym posunięciem dokona stabilizacji rzymskiego Wschodu. Senatorowie wstali z miejsc i wiwatowali na cześć Złotego Księcia, który teraz był ich cesarzem.

Młodszy konsul wstał i gestem poprosił o ciszę.

– Princepsie – powiedział – wszystkich nas poruszyły twoje słowa, które tak wybornie wyraziły zasady naszych rządów. Proponuję, by twoja mowa została zapisana na srebrnych tablicach i by czytano ją za każdym razem, kiedy nowi konsulowie obejmują urząd, jako przykład dla wszystkich. Co na to powie zgromadzenie?

Senat jednomyślnie gromkim okrzykiem przyjął ten natchniony pomysł uhonorowania takiego arcydzieła retoryki. Neron przyjmował z wdziękiem niekończące się wiwaty, nie szczędząc gestów i innych wyrazów skromności, aż wreszcie, bez wątpienia w trosce o świeżość wieczerzy, młodszy konsul zakończył posiedzenie słowami:

– Nie możemy się doczekać jutrzejszego dnia, kiedy złożymy ci przysięgę, po pogrzebie twojego ojca. Teraz dziękujemy za poświęcony nam czas i wnosimy modlitwy do wszystkich bogów tego miasta, by mieli cię w opiece.

Neron, zbyt wzruszony, by na to odpowiedzieć, szedł z drgającą dolną wargą ku otwartym drzwiom siedziby senatu. Tam, na progu, stała jego matka; kobietom nie wolno było wchodzić do środka. Za nią czekał Burrus z eskortą pretorianów. Neron rzucił się w ramiona Agrypiny i spleł się w uścisku, jakby rozpierała ich radość.

– Jak brzmi hasło na dzisiaj, princepsie? – zapytał Burrus, kiedy się rozłączyli.

– Jedyne możliwe, Burrusie – odparł Neron, spoglądając na Agrypinę. – Doskonała matka.

Burrus zsalutował i dał znak pretorianom, by zrobili przejście. Neron ruszył przed siebie, a towarzyszyła mu burzliwa owacja mieszkańców Rzymu, których tysiące zebrały się na Forum. Senatorowie wyszli za nim, by również pławić się w tym uznaniu. Wespazjan i Gajusz obserwowali z tego orszaku przesadne oznaki niezasłużonej miłości ze strony ludu, zastanawiając się, jak długo słowa, które Seneka włożył Neronowi w usta, tam pozostaną.

– Nie powinieneś był tego robić, kmiocie – usłyszał Wespazjan przy uchu. Nie odwrócił się.

– Myślałem, że miałeś dla mnie być jak martwy, Korwinusie – odparł.

– Fakt, że zauważyłeś moje istnienie w siedzibie senatu, unieważnia tamtą przysięgę.

Wespazjan wciąż nie odwracał się do mężczyzny.

– Skoro już zauważyłem, jak w cudowny sposób powstałeś z martwych, to powiedz mi, Korwinusie, gdzie mieszkasz w tym obecnym życiu. Zdaje się, że w poprzednim mieszkałeś blisko mojego brata. Dzięki temu podstępnie zdobyłeś jego zaufanie i dowiedziałeś się o miejscu pobytu Klementyny, żeby zabrać ją do Kaliguli. Wciąż tam mieszkasz?

– Na Awentynie? Tak. A co to ma...

– Wschodnim Awentynie?

– Tak.

Wespazjan obrócił się szybko i wbił w Korwinusa nienawistne spojrzenie.

– Wcale nie przestałeś dla mnie istnieć, prawda, Korwinusie? Próbowaleś doprowadzić do mojej śmierci i postarałeś się, by wyglądało na to, że padłem ofiarą porachunków między bractwami. Po tym, jak namówiłem Pallasa, by cię oszczędził, wydaje się to postępkami wyjątkowo niegodziwym.

– Pozostawanie dłużnikiem kogoś tak nisko urodzonego jak ty jest dla mnie upokarzające.

– Skąd wiedziałeś, że będę w tym czasie w tawernie Magnusa?

Korwinus uśmiechnął się szyderczo, obrócił na pięcie i odszedł.

– O co w tym wszystkim chodziło, drogi chłopcze? – spytał Gajusz, krzycząc niemalże, żeby siostrzeniec mógł go usłyszeć w coraz większym rwetesie.

– Chodziło, wuju, o drania, który nie chce pozostać martwy. Chyba będzie potrzebował drobnej pomocy.

Następnego ranka Wespazjan przyglądał się, jak zapłakany cesarz, z towarzyszącymi mu Brytanikiem i Oktawią Klaudią, niesie urnę z prochami Klaudiusza do mauzoleum Augusta. Pomyślał, że dzięki Neronowi wkrótce wszyscy Rzymianie będą nieustannie zalewać się łzami. Stojąca blisko brzegu Tybru, w północnej części Pola Marsowego, okrągła marmurowa budowla, ze stożkowym dachem zwieńczonym posągami tego wielkiego człowieka, który kazał ją wznieść, była miejscem ostatecznego spoczynku wszystkich cesarzy Rzymu i większości członków ich rodzin. Neron przeszedł pod otaczającymi budowlę cyprysami i znalazł się przed bramą strzeżoną przez dwa obeliski z różowego granitu. Wespazjan myślał o tym, że już kolejnemu członkowi rodu julijsko-klaudyjskiego nie udało się umrzeć śmiercią naturalną; nawet w przypadku Augusta mówiono, że otruła go małżonka, Liwia, która miała w ten sposób zapewnić sukcesję swojemu synowi, Tyberiuszowi, a tutaj historia się powtarzała,

choć tym razem to piórko, a nie figa, miało trucicielską moc.

Orszak pogrzebowy zniknął w mroku wnętrza i ludzie zaczęli głośno wyrażać swój żal, tyle że nie z powodu śmierci Klaudiusza, ale z powodu straty, jaką poniósł nowy cesarz. Nie obchodził ich Brytanik ani Oktawia Klaudia; widzieli wyłącznie olśniewającego Złocistego Cesarza, jakim stał się Neron w ich umysłach. Boleli teraz razem z nim, tak jak czynili to przez cały ranek, kiedy wygłaszał mowę pogrzebową z podium ustawionego obok stosu pogrzebowego. Otoczony przez aktorów w maskach pogrzebowych rodziny cesarskiej wychwalał Klaudiusza za jego naukową wiedzę, za powiększenie cesarstwa, za znajomość prawa, a wszystko to w sposób na tyle mglisty, by za chwilę nie zabrakło słów na jeszcze mocniejsze podkreślenie zasług. Wady i przywary zostały zapomniane, podobnie jak jego rodzone dzieci, poprzednie żony, władcza matka Antonia oraz babka Liwia. Nie powiedziano nic, co mogłoby przyćmić czy ukazać w niekorzystnym świetle Nerona i jego matkę. Agrypina siedziała z boku, na podwyższeniu, a za nią kobiety z rzymskich elit, z Flawią i Cenis na czele.

Lud kochał Nerona; kochał go, bo nowy cesarz ich do tego zmusił otwartym sposobem bycia i umiejętnością wyrażania uczuć. Jednakże ci, którzy go znali, i ci, którzy widzieli go z bliska, wiedzieli, tak jak i Wespazjan, że to tylko gra pozorów.

Senat i lud Rzymu składał przysięgę nowemu cesarzowi, kiedy ten wynurzył się z mauzoleum, spełniwszy swój obowiązek wobec poprzednika, ale ci, którzy znali prawdę, powtarzali rytualną formułę z obawą, zastanawiając się, co takiego kryje ta fałszywa zewnętrzna powłoka, i z nadzieją, że cokolwiek to jest, im samym nie zagrozi. Natomiast niektórzy, wśród nich Wespazjan, pamiętali, co rodzony ojciec Nerona, Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus, powiedział, kiedy gratulowano mu narodzin syna: że dziecko jego i Agrypiny musi mieć paskudny charakter i będzie stanowić publiczne zagrożenie. Z tą wiedzą oraz przekonaniem, że cesarstwo nie zniesie kolejnego członka rodu julijsko-klaudyjskiego, który odpowiada takiemu opisowi, po zakończeniu ceremonii i pożegnalnych owacjach na cześć nowego cesarza Wespazjan ruszył ku stajniom Zielonych, na spotkanie z Magnusem i Lucjuszem. Uśmiechał się w duchu i zastanawiał nad sposobami, które zapewnią mu bezpieczeństwo podczas nieprzewidywalnego panowania nowego cesarza.

– No cóż, wydaje mi się, że poszło bardzo dobrze – powiedział Magnus, gdy szli wraz z Lucjuszem i Wespazjanem przez położony w sercu kompleksu stajni Zielonych prostokątny dziedziniec otoczony boksami i warsztatami. Patrzył z podziwem na konie, ćwiczone pojedynczo albo w grupach. – Euzebiusz wydaje się bardzo rozsądny.

Wespazjan nie do końca zgadzał się z taką oceną.

– Dość przyzwoita cena – przyznał niechętnie.

– Dość przyzwoita? Zieloni płacą za utrzymanie i trening pięciu koni, a ty

otrzymujesz sześćdziesiąt procent ich wygranych. Rzekłbym, że to coś więcej niż przyzwoicie.

– Chciałem siedemdziesiąt pięć.

– Chciałeś dziewięćdziesiąt, kiedy tu się zjawileś, i gdybyśmy z Lucjuszem ci nie wytłumaczyli, że podając taką sumę, wyszedłbyś na durnia, wywalono by cię na zbity pysk za marnowanie ludziom czasu. Oczywiście w najbardziej uprzejmy sposób, w jaki można wywalić na zbity pysk senatora.

– Oczywiście. Ale teraz już umowa stoi i sędzę, że będę miał z tego przyjemność.

– To lepiej dotrzymaj obietnicy danej Malichusowi – przypomniał mu Magnus – bo w przeciwnym razie twój zaprzęg będzie miał stale pecha. Zazwyczaj przystosowanie się koni zajmuje trzy do czterech miesięcy, więc wcześniej niż w lutym nie pobiegną w wyścigu. – Zacisnął palce prawej dłoni na kciuku i splunął, żeby odegnać zły urok od zaprzęgu, który, jak miał nadzieję, już w pierwszym swoim występie zapewni mu majątek.

– Zrobię to w najbliższych dniach, kiedy jeszcze Pallas jest ze mnie zadowolony i Neron znajduje się w wielkodusznym nastroju. Najpierw jednak muszę udać się na Forum i zobaczyć, jak nasz nowy cesarz próbuje swoich umiejętności w dyplomacji dotyczącej spraw wschodnich.

Wychodząc za bramę, wręczył Lucjuszowi mały dowód wdzięczności i razem z Magnusem ruszył przez Pole Marsowe. Minawszy cyrk Flaminiusza, dotarli do znajdującej się w cieniu wzgórza Kapitolińskiego *porta Fontinalis*, gdzie *via Flaminia* docierała do miasta.

– Jak śmiesz stawać mi na drodze?!

Wespazjan natychmiast rozpoznał głos dobiegający z tłumu tworzącego zator w bramie.

– Wezwwała mnie tutaj Agrypina, bym złożył wyrazy szacunku nowemu cesarzowi.

Wespazjan nie dojrzał Narcyza, ale tego władczego, nawykłego do wydawania rozkazów głosu nie pomyliłby z żadnym innym.

– A ja mam rozkazy, by cię tutaj zatrzymać, Narcyzie, aż do przybycia prefekta pretorianów.

Wespazjan domyślał się, że to głos centuriona kohorty miejskiej, dowodzącego strażą przy bramie. Przecisnął się przez tłum, żeby z bliska przyjrzeć się zaistniałej sytuacji.

– Powinieneś tytułować mnie cesarskim sekretarzem, centurionie – powiedział Narcyz, zniżając głos, co, jak Wespazjan dobrze wiedział, oznaczało śmiertelnie poważną groźbę.

Jednak centurion nie dał się zastraszyć.

– Mam rozkaz zatrzymać cię tutaj i wysłać wiadomość prefektowi

Burrusowi, i nie wolno mi używać twojego byłego już tytułu.

Na twarzy siedzącego w jednoosobowej lektyce Narcyza przez chwilę widoczny był strach, ale kiedy Wespazjanowi udało się wreszcie przedostać do wyzwolenca, ten rozjaśnił się nieco na jego widok.

– Musisz mi pomóc przejść przez tę bramę, Wespazjanie. – Wskazał czterech pretorianów towarzyszących jego lektyce, którzy najwyraźniej nigdzie się nie wybierali, tylko wygrzewali leniwie na słońcu, oparci plecami o jeden z grobowców ciągnących się rzędem przy drodze Flaminiusza. – Moja eskorta odmawia postąpienia wbrew temu... temu... – Usiłował znaleźć odpowiednie słowo na określenie centuriona. – Sługusowi – dokończył.

Wespazjan zauważył narastającą panikę wszechwładnego do niedawna wyzwolenca i pomimo wszystkich szkód, jakie cesarski sekretarz wyrządził jemu samemu i jego rodzinie, poczuł dla niego pewne współczucie w związku z kłopotliwym położeniem, w jakim się znalazł. Wiedział jednak, że nie może nic zrobić bez narażenia własnego bezpieczeństwa.

– Czy pamiętasz, Narcyzie, jak po zabójstwie Kaliguli negocjowaliśmy sprawę życia mojego brata?

Greki zmarszczył brwi, zaskoczony tą zmianą tematu.

– Bo co?

– Spytałeś mnie, ile warte jest życie, a ja odparłem, że to zależy od tego, kto kupuje i kto sprzedaje.

– Tak, a ja powiedziałem, że mechanizmy rynkowe zawsze mają na to wpływ. O co ci chodzi?

– Sądzę, że to oczywiste. W twoim wypadku mechanizmy rynkowe przestały działać, nie masz za co kupować. Twoje życie nie ma teraz żadnej wartości, Narcyzie.

– Chyba że spróbuję je kupić za informacje. Moje archiwum, Cenis je ma, o czym, jestem przekonany, na pewno już wiesz. Mógłbyś spróbować negocjować z Pallasem i Agrypiną w moim imieniu, oczywiście po usunięciu najpierw wszystkiego, co dotyczy ciebie i twojej rodziny. – Oczy Narcyza rozbłysły nadzieją. – Jest tam dość informacji, by na ich podstawie uśmiercić prawie wszystkich senatorów i wielu ekwitów.

Współczucie Wespazjana uleciało w chwili, w której Grek rozważał kupienie swojego życia w zamian za życie setek innych ludzi.

– Myślałem, że oddałeś to wszystko pod opiekę Cenis, żeby nie wpadło w ręce Pallasa i Agrypiny?

– Owszem, właśnie po to, bym mógł tego użyć w takiej chwili jak ta. Widzisz zatem, Wespazjanie, mechanizmy rynkowe wciąż jeszcze działają. Pomożesz mi?

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę.

– Co masz na Pelignusa i Korwinusa? – zapytał.

Narczyz rzucił mu konspiracyjne spojrzenie.

– Aha, rozumiem... kwestia przyzwoitej ceny. Na Korwinusa niewiele, ale na Pelignusa dość, by go to uśmierciło. Kiedy w zeszłym roku zmarł jego ojciec, zostawił połowę majątku Klaudiuszowi, co, jak wiesz, było rozsądnym posunięciem. Jednak Pelignus zafałszował wartość posiadłości i Klaudiusz dostał niecałe ćwierć tego, co powinien. Jest to w moich dokumentach.

– Świetnie. Wyciągnę, co trzeba, zanim z Cenis spalimy resztę.

Narczyz zbladł z przerażenia.

– Spalicie? A co będzie ze mną?

– Narcyzie, czy przez chwilę sądziłeś, że pomogę Agrypinie zyskać władzę życia i śmierci nad więcej niż połową mężczyzn mających jakieś znaczenie w tym mieście? I bez tego kilka następnych lat będzie bardzo trudnych, nie dodam do tego kolejnych morderstw. A tak przy okazji, myliłeś się, jeśli chodzi o nią. To Tryfena stała za tamtym poselstwem i dlatego Pallas nic o tym nie wiedział.

– Skąd wiesz, że Pallas nic nie wiedział?

– Ponieważ tak samo jak ty był ciekaw, co odkryłem na Wschodzie.

– Przez cały czas pracowałeś dla niego?

– Wziąłem zlecenia od was obu, ale pracowałem wyłącznie dla siebie. Tak się tylko składa, że korzystniej dla mnie było podzielić się po powrocie swoją wiedzą z nim, a nie z tobą.

– Ty zdradziecki draniu!

– Uczylem się od najlepszych, Narcyzie.

Tę wymianę zdań przerwał czyjś donośny głos:

– Tyberiusz Klaudiusz Narczyz!

Wespazjan odwrócił się i zobaczył kroczącego od bramy Burrusa, któremu towarzyszył pretorianin z workiem w rękę. Narczyz cofnął się jak uderzony.

Prefekt stanął przed lektyką.

– Wsiadaj! – rzucił.

– Jestem obywatelem Rzymu i mam prawo odwołać się do cesarza.

– Neron to wie i kazał mi powiedzieć, że zachęca cię, byś z tego prawa skorzystał, a on z wielką radością zamieni wyrok ze ścięcia głowy na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta. Wybór należy do ciebie. – Burrus wyciągnął miecz. – Centurionie!

Centurion pretorianów zanurzył rękę w worku i wyciągnął za ucho odciętą głowę.

– Twój były kolega postanowił nie skorzystać z prawa odwołania się do cesarza – poinformował prefekt Narczyza, który patrzył z przerażeniem na bezkrwistą twarz Kallistosa. – Jeśli będzie to dla ciebie pociechą, to Neron wyraził żal, że umie pisać, kiedy podpisywał twój wyrok śmierci.

Narczyz zeszywniał; jakby znalazł jakieś nowe źródło siły w swojej bezsilności.

– Więc mogę co najwyżej liczyć na przepisową śmierć – stwierdził. Wsiadł z lektyki, spokojnie przyjmując swój los.

– Spalimy je dokładnie i do końca – zapewnił go Wespazjan.

– Masz rację, tak będzie najlepiej. Gdybym lubił się zakładać, postawiłbym pieniądze na to, że ty przeżyjesz, Wespazjanie. A kto wie, do czego człowieka może zaprowadzić długie życie. – Ruszył przed siebie i ukląkł przed Burrusem, wyciągnął szyję. – Nie ma już nic więcej do dodania, moje życie dobiegło kresu.

Odbyło się to szybko i przepisowo. Miecz załśnił w słońcu, kiedy Burrus go uniósł, i błysnął, gdy go opuścił. Gapie wciągnęli powietrze, Narczyz chrząknął krótko, kiedy miecz w rozbryzgach krwi przeciął skórę, ciało i kość, a tak był naostrzony, że ramię Burrusa prawie nie zadrżało, kiedy oddzielał głowę Greka od barków. Potoczyła się pod stopy czterech pretorianów wspartych leniwie o grobowiec. Ciało natomiast jeszcze tkwiło sztywno na kolanach, tryskając krwią wciąż pompowaną bijącym coraz słabiej sercem. Mięśnie ud wkrótce zwiotczały i martwa cielesna powłoka niegdyś najpotężniejszego człowieka cesarstwa osunęła się na ziemię, u wejścia do miasta, które kiedyś dało byłemu niewolnikowi wolność, bogactwo, wpływy, a teraz krwawą egzekucję.

– Zabrać go! – rozkazał Burrus czterem pretorianom.

Wespazjan patrzył na twarz Narczyza, z wciąż otwartymi oczyma. Pamiętał, jak Grek zmusił Sabinusa, by osobiście wykonał wyrok śmierci na swoim szwagrze, Klemensie, co stanowiło część transakcji ratującej jego własne życie. Uśmiechnął się na myśl o trafności kary, po czym, kiedy zabrano głowę, jego wzrok spoczął na grobowcu, do tej pory zasłoniętym przez pretorianów. Przyglądał mu się przez chwilę i wybuchnął śmiechem.

– Co, do kurwy nędzy, tak cię rozbawiło? – zdziwił się Magnus.

Wespazjan wskazał na grób i odczytał napis:

– Waleriusz Messala.

– I co z tego?

– Nawet zza grobu ta harpia mści się na Narczyzie za to, że kazał ją zgładzić.

Agrypina nie pozwoliła pochować jej w mauzoleum Augusta, więc umieszczono ciało w grobowcu rodzinnym. Narczyza uśmiercono obok miejsca ostatniego spoczynku Messaliny.

Magnus gwizdnął przez zęby.

– Trzeba to bogom oddać, miewają poczucie humoru.

– Sądzę, że to jest sposób Pallasa, by zrobić dla Nerona coś takiego, co za sprawą inwazji na Brytanię razem z Narczyzem zrobili dla Klaudiusza, drogi chłopcze – wnioskował Gajusz. Obaj przyglądali się, jak delegacja z Armenii zbliża się do podwyższenia na Forum Romanum. Tam bowiem, siedząc na

kurulnym krześle, czekał Neron, by wydać pierwszy za swojego panowania publiczny werdykt; Pallas, Seneka i Burrus stali nieopodal, by służyć radą młodemu cesarzowi. – Zdecydowany atak na Armenię zamiast tych dotychczasowych, prowadzonych bez przekonania.

– To właśnie planowała Tryfena – zgodził się Wespazjan. – Tyle że wątpię, by Radamistowi udało się utrzymać przy władzy, jeśli Wologazes zrobił to, co zamierzał.

Kiedy delegacja dziesięciu brodatych Armeńczyków, niosąc bogate dary, zbliżyła się do Nerona, w tłumie nastąpiło poruszenie. Z przeciwnego krańca Forum, otoczona przez westalki, zbliżała się Agrypina. Z ust tych, którzy ją dojrzeli, wyrwały się stłumione okrzyki zdumienia. Włosy, błyszczące i skrzące się od klejnotów, miała upięte wysoko; purpurowa stola spływała jej do kostek i połyskiwała, jakby uszyto ją z jedwabiu. Jednak to nie te szczegóły wzbudziły sensację. Jej palla była śnieżnobiała i miała szeroki purpurowy szlak, podobnie jak senatorska toga. W prawej ręce matka cesarza trzymała zwój, jakby zamierzała wygłosić mowę. Za nią szedł niewolnik niosący krzesło kurulne.

– Chce zasiąść obok cesarza i przyjmować tę delegację, jakby była mężczyzną – powiedział Wespazjan, kiedy ogrom ambicji Agrypiny stał się oczywisty.

– Och, drogi chłopcze. – Policzki i podbródki Gajusza zatrzęśły się z oburzenia na samą myśl, że kobieta może być tak zuchwała. – To byłby już koniec. Kobiety publicznie podejmujące decyzje... wprost niewyobrażalne.

Seneka i Burrus najwyraźniej byli tego samego zdania, bo zaczęli pospiesznie doradzać Neronowi. Agrypina była coraz bliżej, a do dwóch doradców dołączył Pallas, z przeciwną, jak się zdawało, opinią i po krótkiej, ale gorącej dyskusji został odtrącony przez cesarza, który wstał i skinął głową w stronę Seneki i Burrusa.

Kiedy Agrypina zbliżyła się do podwyższenia, Neron zszedł po stopniach i przywitał ją na dole.

– Matko! Jak to miło, że przybyłaś, by mnie wesprzeć – oświadczył. Objął ją i pocałował, teatralnie okazując synowskie uczucia, by trafić do serc obywateli. – Stąd najlepiej będziesz wszystko widziała.

Ujął ją mocno za łokieć i odprowadził od schodków, podczas gdy Seneka gestem wskazał niewolnikowi, by postawił krzesło obok niego, z boku podwyższenia. Agrypina miała przyklejony do twarzy uśmiech, kiedy Burrus, okazując wielki szacunek, pomagał jej usiąść. Pallas postąpił dwa kroki do tyłu, odcinając się od całej tej walki o pierwszeństwo. Kobieta obrzuciła gniewnym spojrzeniem najpierw syna wchodzącego z powrotem na podwyższenie, a następnie Senekę i Burrusa.

– Myślę, że Agrypina wypowiedziała właśnie wojnę swojemu synowi i jego

dwóm doradcom – powiedział Wespazjan do wuja.

– Też widziałem to spojrzenie, drogi chłopcze, ale jest to walka, której kobieta wygrać nie może, nawet ta kobieta. Sądzę, że dni Pallasa są policzone.

Wespazjan skinął powoli głową.

– Tak, teraz rzeczywiście nastał czas Seneki.

– Cieszę się, że mamy wreszcie okazję się spotkać – odezwał się męski głos, kiedy Wespazjan zaczął obmyślać sposób, by zbliżyć się do Seneki.

Odwrócił się i zobaczył stojącego obok niego ogromnego mężczyznę.

– Karatakus!

– Nie ośmieliłem się zaprosić cię na wieczerzę, Tytusie Flawiuszu Wespazjanie, będąc jedynie skromnym pretorem, podczas gdy ty masz rangę konsula.

Wespazjan uściśnął wyciągniętą ku niemu prawicę dawnego przeciwnika; miał przy tym uczucie, jakby uchwycił konar dębu.

– Muszę cię przeprosić, Tyberiuszu Klaudiuszu Karatakusie, za to, że nie złożyłem uszanowania, ale jak zapewne wiesz...

– Wróciłeś zaledwie przed kilkoma dniami i dni te były pełne ważnych wydarzeń. Smutny to czas dla nas wszystkich.

Wespazjana zdziwiło to stwierdzenie; nie wiedział, czy Karatakus odnosi się do śmierci Klaudiusza czy do objęcia rządów przez Nerona, wobec czego wolał nie reagować na te słowa.

– Jestem przekonany, że mamy dużo do omówienia na temat podboju Brytanii – powiedział.

– Podboju, którego końca nie widać.

– Rzeczywiście. Byłby to ciekawy temat do rozmowy przy wieczerzy.

Neron właśnie wstał, by oficjalnie powitać delegację, i Wespazjan zniżył głos.

– Wkrótce ruszę w objazd posiadłości swoich i brata. Powiniennem być z powrotem po Saturnaliach, pod koniec grudnia, wtedy się spotkajmy.

Karatakus pochylił głowę.

– Z wielką przyjemnością, Wespazjanie – powiedział i zniknął w tłumie.

Przemowy były długie i miały charakter oficjalny. Kiedy słońce zaszło, zainteresowanie ludzi osłabło i tłum się przerzedził. Widząc, że może do reszty stracić słuchaczy, Neron przerwał ostatniemu z szeregu armeńskich delegatów w środku płomiennego przemówienia o miłości jego kraju do Rzymu i do jego nowego cesarza oraz nienawiści do wszystkiego, co partyjskie, a to ostatnie, zważywszy na jego wschodni strój, u niejednego z obecnych wywołało grymas zdumienia.

Kiedy stało się jasne, że Neron przemówi, natychmiast ucichł gwar pogaduszek, przez który cały czas musieli się przebijać armeńscy wysłannicy.

Złoty Cesarz wstał i łaskawie pokazał Armeńczykom, żeby się podnieśli, jako że – z własnej woli – przedstawiali swoje racje, leżąc przed nim plackiem. Przez dłuższą chwilę Neron udawał, że zastanawia się nad tym, co usłyszał, gładząc pokrywający mu brodę puszek, pocierając kark ze zboloną miną, a potem spoglądając gdzieś w dal, ponad głowami kochających go słuchaczy, tam szukając natchnienia.

– Podjąłem decyzję – oświadczył w końcu. – Ten złoty wiek będzie czasem pokoju i wkrótce już będę mógł zamknąć drzwi świątyni Janusa. Zanim jednak to się stanie, będziemy mieć wojnę! – Stał z jedną ręką wysoko uniesioną i drugą wspartą na biodrze, w postawie dowódcy zwracającego się do swoich żołnierzy, a tłum wznosił okrzyki aprobaty. Uciszył ludzi zamaszystym ruchem uniesionej ręki. – Przeprowadzę tę wojnę w sposób zdecydowany i z pozytywnym skutkiem, a nie chaotycznie i bez przekonania, jak mój ojciec, który mimo jego wielu zalet nie był typem wojownika. – Kiedy tłum rykiem potwierdził tę opinię, Neron dał znak Burrusowi, by podał mu swój miecz. Podniósł go wysoko. – Przekażę Gnejuszowi Domicjuszowi Korbulonowi, naszemu najbardziej kompetentnemu dowódcy na Wschodzie, całkowite pełnomocnictwa konieczne do rozwiązania kwestii armeńskiej i wygnania Partów z powrotem do ich ojczystej ziemi. Będzie odpowiadał wyłącznie przede mną i będzie mógł korzystać z moich rad. I tak rozwiążę nasze problemy zewnętrzne, strzegąc świętości rzymskich granic. Jednocześnie jednak zajmę się zarazą toczącą imperium od wewnątrz: powiedziano mi, że dzisiaj rano znalazła się garstka takich, którzy odmówili złożenia przysięgi mnie, waszemu cesarzowi. Ludzie ci, jak poinformował mnie Lucjusz Anneusz Seneka, za najwyższą władzę w cesarstwie nie uznają mnie, tylko jakiegoś ukrzyżowanego przestępcę nazywanego Chrestos. Odnajdźcie ich, obywatele Rzymu, i sprowadźcie do mnie, dla osądzenia i skazania. Razem, mój ludu, razem pokonamy naszych wrogów, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, i razem odniesiemy zwycięstwo.

Wespazjan spojrzął na Gajusza, podczas gdy ludzie krzykiem potwierdzali swoją miłość do Złotego Cesarza.

– Teraz, wuju – powiedział z uśmiechem – zjednoczył ich przeciwko wspólnym wrogom tutaj i poza granicami. Umocni swoją pozycję, a potem dopiero zobaczymy, jak będzie sobie poczynał, mając już władzę absolutną.

– Zobaczymy, drogi chłopcze; módlmy się do naszych bóstw domowych, byśmy nie musieli oglądać tego z bliska.

– Znalazłam! – zawołała Cenis, podając Wespazjanowi przez ogrodowy stół rozłożony zwój. – Jest tutaj wszystko: i ta klauzula, i wysokość zapisu, i pierwotne oszacowanie posiadłości ojca Pelignusa, tak jak zapisano to wszystko w testamencie złożonym w domu westalek. Podana jest jej cała wartość, z uwzględnieniem nieruchomości, majątku ruchomego i gotówki. Narcyz na pewno

kazał go ukraść.

– Albo zapłacił za niego westalkom. – Wespazjan przeczytał zwój, choć dym z ogniska szczypał go chwilami w oczy. – To nam jednak nie mówi, ile wpłynęło do cesarskiej szkatuły.

– Nic nie szkodzi. Wszystkie zapisy są dokładnie rejestrowane i przechowywane. Wystarczy, że Pallas porówna to, co wpłynęło od Pelignusa, z tym, co zapisano w dokumentach skarbowych.

Wespazjan popatrzył na sumy, dokonał w myślach kilku obliczeń i aż zagwizdał.

– Ogólna suma sięga około dwudziestu milionów denarów – oświadczył – co oznacza, że Klaudiusz powinien dostać dziesięć, tymczasem dostał tylko ćwierć tej sumy. Pelignus oszukał cesarza na siedem i pół miliona. To mi całkowicie wystarczy. – Cisnął zwój na stół.

Cenis wskazała na pozostałe dokumenty Narcyza, których nie przeczytali.

– Chcesz je przejrzeć? – spytała.

Wespazjan rzucił na nie okiem, a potem na ognisko, w którym płonęła już ich część.

– Spal całą resztę. Ja już mam to, co trzeba, na Pelignusa. Znaleźliśmy też trochę innych użytecznych materiałów. Jeśli zatrzymamy zbyt wiele, ktoś mógłby się domyślić, co Narcyz zrobił ze swoimi zapiskami.

Cenis dała znak zarządcy, by podtrzymywał ogień.

– Jak wytłumaczysz Pallasowi, skąd miałeś pierwotną wycenę majątku, którą przecież złożono u westalek?

– Nie będę mu nic wyjaśniał, zresztą nie dam tego Pallasowi, bo wygląda na to, że jego czas się kończy. Wykorzystam to, co mam, by wkupić się w łaski Seneki. Za coś takiego z przyjemnością namówi Nerona, by przyznał Malichusowi obywatelstwo, i wtedy, jak sądzę, dogada się z Pelignusem, żeby ten pokurcz zapłacił mu za milczenie zaległą sumę.

– Myślałam, że chcesz jego śmierci.

– Owszem, chcę, ale wcześniejsze doprowadzenie go do finansowej ruiny może być całkiem zabawne. Miło będzie zobaczyć, jak sobie radzi, przez dwa lata nie mając nic, tak jak ja nie miałem. – Wespazjan wstał, uśmiechając się na samą myśl o takim rozwiązaniu. – Każ swoim ludziom zapakować bagaże. Jutro, po spotkaniu z Seneką, wyjeżdżamy do mojej posiadłości w Kosie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wróciłem do Rzymu tuż przed idami październikowymi – powiedział bez żadnych wstępów Wespazjan, kiedy Hormus wprowadził Leliusza do tablinum – i proszę, oto już mamy dwa dni do id lutowych. Dlaczego zatem przyjdzie tutaj i złożenie mi wyrazów uszanowania zajęło ci, Leliuszu, cztery miesiące?

Mężczyzna stał przed biurkiem z niepewną miną i pocił się mimo chłodu. Przesunął dłoń po całkowicie już łysej czaszce i próbował przywołać na twarz przypochlebny uśmiech.

– Dopiero się dowiedziałem o twoim powrocie, patronie. Byłem poza Rzymem, w interesach. – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie dało się tego uniknąć.

– Przez cztery zimowe miesiące, Leliuszu? Brednie! Wiem, że byłeś w mieście.

– Ale ty objeżdżałeś swoje posiadłości.

– Aha! By się przekonać, że ty na pewno jesteś tutaj. Tak czy owak, wróciłem z objazdu na Nowy Rok. Powiem ci, dlaczego przyjdzie do mnie zajęło ci cztery miesiące. Ponieważ z powodu ciężkiej zimy w Mezji tyle właśnie czasu szedł mój list do brata, a potem wieści do ciebie, że unieważnił on kontrakt na dostawę ciecierzycy i karnie zwolnił twojego syna. Czy to nie jest bliższe prawdy, Leliuszu?

Klient kulił się i załamywał ręce.

– I przez cały czas mojej nieobecności nie płaciłeś tych dwunastu procent od zysków, które mi obiecałeś, choć ja dotrzymałem swojej części umowy i doprowadziłem do przywrócenia ci statusu ekwity, a twojemu synowi załatwiłem stanowisko wojskowego trybuna.

Leliusz spuścił głowę.

– Wybacz, patronie, ale myślałem, że nie żyjesz. Zapłacę wszystko, co ci jestem winien, i podniosę wysokość procent do piętnastu, jeśli będziesz mógł spowodować, by twój brat przywrócił ze mną tę umowę.

Wespazjan zwrócił się do Hormusa.

– Czy Magnus wciąż tu jest? – zapytał.

– Tak, panie.

– Powiedz, żeby tu przyszedł.

Kiedy niewolnik wyszedł z pokoju, obdarzył Leliusza nieco przyjaźniejszym uśmiechem.

– W tej chwili chcę z tobą omówić coś innego, nie tę umowę i kwestię pieniędzy – oznajmił.

– Czego sobie życzysz, patronie?

– Ilu ludzi nazywasz patronem, Leliuszu?

– Nie rozumiem.

– Czyżby? – Wespazjan zadumał się, aż Hormus wrócił z Magnusem.

– Magnusie, Leliusz ma jakiś problem ze zrozumieniem tego, co mówię. Pomożesz mu się skupić? – zwrócił się do przyjaciela.

– Z przyjemnością, panie. – Magnus chwycił prawe ramię Leliusza, wykręcił je do tyłu i uniósł.

– Czy teraz poświęcisz mi całą swoją uwagę, Leliuszu?

Magnus podciągnął ramię wyżej i Leliusz, krzywiąc się z bólu, zaczął energicznie potakiwać.

– Doskonale. Ostatni raz widziałem cię wtedy, kiedy obiecałem ci przysługę, zgadza się?

Leliusz skinął energicznie głową.

– A mimo to, kiedy przysługa została już wyświadczona, ty przy najbliższej okazji znalazłeś sobie nowego patrona. Jak to on miał na imię, Leliuszu? – Wespazjan uniósł brwi i Magnus nacisnął mocniej.

– Korwinus!

– Korwinus – powtórzył Wespazjan spokojnym tonem. Bawiła go ta sytuacja. – I jak długo nadskakiwałeś Korwinusowi?

– Nie rozumiem, patronie.

Spojrzenie Wespazjana stwardniało i wskazał bark Leliusza. Magnus przycisnął go i poderwał ramię mężczyzny; trzasnęło. Leliusz wrzasnął.

– Życzysz sobie, by Magnus wybił ci drugi? – spytał Wespazjan uprzejmie. – Bo to robi, jeśli mi nie powiesz, od kiedy jesteś opłacany przez Korwinusa.

– Od pięciu lat, patronie.

– Myślę, że możesz już przestać udawać i nazywać mnie patronem, nie sądzisz? Wracając do rzeczy, kiedy ostatni raz wyszedłeś z tego pokoju, bezpośrednio po tobie wszedł tu ktoś inny. Pamiętasz go?

Leliusz jęczał, trzymając się za zwichnięte w barku ramię.

– Nie, patronie.

– Drugie, Magnusie, już!

Magnus zareagował błyskawicznie i po chwili Leliusz opadł z wrzaskiem na klęczki z wiszącymi bezwładnie po bokach rękoma.

– Teraz kolej na łokcie, Leliuszu. Pamiętasz, kto wszedł po tobie?

– Tak, ale nie pamiętam jego imienia.

– Agarpetos. Był wyzwolencem Narcyza, który przyszedł tutaj, żeby umówić spotkanie pomiędzy mną a jego patronem. A ty słuchałeś zza kotary, prawda?

– Tak – zaszlochał Leliusz.

Wyraz twarzy Magnusa zmienił się, kiedy zrozumiał, o co chodzi; w jego jedynym oku pojawił się morderczy błysk.

Wespazjan podniósł dłoń, by powstrzymać przyjaciela.

– Co zrobiłeś z tym, co usłyszałeś, Leliuszu?

– Powiedziałem Korwinusowi.

– Powiedziałaś Korwinusowi? Niby dlaczego?

Leliusz spojrział na Wespazjana, w jego oczach było błaganie o życie.

– Bo mi zapłacił za przekazanie czegokolwiek interesującego, co usłyszę, kiedy będę w twoim domu.

– Czy wiesz, co on zrobił z tą informacją?

Leliusz pokręcił głową.

– Powiedz mu, Magnusie.

– Doprowadził do tego, że bractwo wschodniego Awentynu zaatakowało bractwo Kwirynału Południowego.

– Tak właśnie zrobił – potwierdził Wespazjan. – Chciał zabić mnie, tymczasem życie straciło wielu współbraci Magnusa. Domyślam się, że ci z Kwirynału Południowego pragną, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Jak najbardziej. Jednak im nie zależy na tym, by stało się to szybko, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Ależ oczywiście, że wiem. – Gdy Wespazjan domyślił się, skąd Korwinus wiedział, kiedy on będzie w tawernie Magnusa, nie przypuszczał, że rozmowa z Leliuszem tak go ubawi. Wpadł na to jakiś miesiąc wcześniej i od tego czasu napawała go radością myśl, że pewnego dnia Leliusz się pojawi, by błagać o przywrócenie umowy na dostawę ciecierzycy. – Ale ty już nie jesteś członkiem tego bractwa, więc tak naprawdę nie jest to twój problem. Nie zależy nam na tym, żeby doszło do morderstwa bez żadnego powodu, prawda, Leliuszu?

Iskierka nadziei błysnęła w oku mężczyzny.

– Prawda, patronie.

– Zatem kiedy w najbliższym czasie będziesz się widział ze swoimi dawnymi współbraćmi, Magnusie?

– W Circus Maximus za jakąś godzinę, żeby zobaczyć, jak twoje konie pierwszy raz biegną dla Zielonych.

– O, to się dobrze składa. Leliusz mieszka przy ulicy Czerwonego Konia, w bok od Alta Semita.

– Dobrze znam to miejsce, panie, podobnie jak Tigran i chłopcy.

– A kiedy powiesz Tigranowi i chłopcom, że to Leliusz był odpowiedzialny za śmierć ich współbraci i za chwilowe usunięcie bractwa z własnej tawerny, to jak sądzisz, ile czasu im zajmie odnalezienie domu Leliusza?

– Sądzę, że dla możliwości zemsty za coś takiego zrezygnują z wyścigów i znajdą się tam w pół godziny.

Wespazjan uśmiechnął się, że coś sobie oblicza.

– Wygląda na to, że masz dokładnie półtorej godziny, by wynieść się z Rzymu, Leliuszu. Żegnam.

Leliusz spoglądał na Wespazjana szeroko rozwartymi oczyma i po chwili uświadomił sobie, że prokonsul rzeczywiście pozwala mu odejść. Wstał, krzywiąc się z bólu, i wybiegł z pokoju ze zwisającymi bezużytecznie rękoma.

– Idź za nim, Hormusie, i przypilnuj, by nikt nie otworzył mu drzwi; niech sobie wykombinuje, jak ma to zrobić.

– Naprawdę zamierzasz dać mu tę szansę, panie?

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Myślisz, że chłopcy go nie dopadną?

– Oczywiście, że dopadną, nawet jeśli uciekną do Korwinusa.

– No cóż, po tym, co zrobił, zasłużył sobie na to, żeby przeżyć swoje ostatnie godziny czy dni w przerażeniu przed tym, co nieuniknione.

– Co chcesz zrobić w sprawie Korwinusa? Mógłbym kazać chłopcom spalić mu dom.

Wespazjan zastanawiał się chwilę.

– Nie, dziękuję ci, Magnusie – odparł – to miła propozycja, ale on jest tak bogaty, że wcale by tego nie odczuł. W odpowiednim czasie pomyślę o czymś stosownym.

– Nie wątpię – powiedział z uśmiechem Magnus. – W takim razie myślę, że już czas, byśmy udali się do cyrku.

– Ja też tak uważam. A teraz, kiedy już Seneka przekonał Nerona, by przyznał Malichusowi obywatelstwo, sądzę, że bogowie spojrzą łaskawym okiem na moje konie. Mam przecucie, że to nasz szczęśliwy dzień.

Magnus się uśmiechnął.

– Chyba masz rację, przecież już się zaczął bardzo przyjemnie.

Kiedy Wespazjan zobaczył Karatakusa wchodzącego do cesarskiej łoży, przypomniało mu się, że chciał przy wieczerzy powspominać z Brytem cztery lata walk między nimi. Kiedy jednak Neron przywitał brytańskiego wodza entuzjastycznymi opiniami na temat modelu Circus Maximus, porównując jego szczegóły z prawdziwą budowlą, powrócił do wewnętrznych zmagania i spoglądał na swoją sakiewkę. Walczył ze sobą, starając się pokonać trudność w rozstaniu się z pieniędzmi.

– Postawiłem na nie dziesięć aureusów, drogi chłopcze – pochwalił się siedzący z jego prawej strony Gajusz, pokazując mu drewniany żeton, który właśnie dostał od niewolnika należącego do człowieka przyjmującego zakłady.

Wespazjan był wstrząśnięty.

– To przecież pięciokrotność rocznego żołdu legionisty, wuju. A jeśli przegram?

– Wtedy obarczę winą ciebie, bo to twoje konie. Natomiast jeśli wygram, dostanę ośmiokrotność swojego zakładu, ponieważ nikt nie wyobraża sobie porażki trzeciego rydwanu Zielonych z zaprzęgiem, który nigdy wcześniej się nie ścigał.

Wespazjan opuścił wzrok na sakiewkę, ważąc ją w dłoni. Mimo że kilkakrotnie osobiście poprowadził swój zaprzęg w cyrku Flaminiusza i wiedział, że jest w wyśmienitej formie, wciąż wzdragał się przed postawieniem swojego pierwszego w życiu zakładu.

Siedząca z jego lewej strony Flawia prychnęła drwiąco.

– Masz taką samą szansę namówić go, żeby postawił na własne konie, Gajuszu, jaką by miała kobieta na zmuszenie go, by ją utrzymywał, gdyby popełniła błąd, poślubiając go bez posagu. Na szczęście ja tego błędu nie popełniłam. – Uśmiechnęła się prowokująco i machnęła żetonem. – Piętnaście denarów *moich* pieniędzy na *twoje* konie, drogi mężu.

Wespazjana uderzyło, że małżonka coraz bardziej przypomina jego matkę; jeszcze kilka lat, jak przypuszczał, i będzie tak samo swarliwa. Poczul ulgę, że pod pozorem jej słabości i panującego zimna nie pozwolił, by Wespazja Polla towarzyszyła jemu i Flawii, kiedy wracali do Rzymu, po wizycie w *Aquae Cutillae* z okazji Saturnaliów. W rzeczywistości chodziło mu o nieznośne charaktery obu pań. Przebywanie z dwiema takimi kobietami na co dzień było nie do zniesienia; natomiast miesiąc, jaki spędził w Kosie z Cenis, okazał się *bardzo* miły.

Tytus wychylił się zza pleców matki i dotknął ramienia ojca, sprowadzając go z powrotem do rzeczywistości i do jego obecnego dylematu.

– Proszę, ojcze, to tylko rozrywka. Ja sam postawiłem pięć denarów.

– Pięć! Skąd ty je wzięłeś?

– To część tego, co dostaję na wydatki. – Tytus uniósł brew i dodał: – I to całkiem znaczna część, zważywszy, że to ty określasz, ile dostaję.

Wespazjan nie obraził się na tę uwagę syna; wiedział, że choć jest przesadna, zawiera w sobie sporą dozę prawdy. Westchnął, wyciągnął z sakiewki monetę i podał ją czekającemu niewolnikowi.

– Jedna sestercja na rydwan numer trzy Zielonych. Ile dostanę, jeśli wygram?

– Dwa denary plus sumę pierwotną – odparł niewolnik, biorąc monetę z brązu. Ceremonialnie włożył ją do torby, po czym zapisał zakład w księdze i podał Wespazjanowi numerowany żeton.

Kiedy niewolnik już miał się oddalić na tyły sektora senatorów, gdzie zgromadzili się przyjmujący zakłady, Tytus wręczył mu srebrnego denara.

– A to za to, że udało ci się zachować powagę – oświadczył.

Wespazjan machał rękoma i wrzeszczał coś niezrozumiale, kiedy trzy prowadzące rydwany w tumanach kurzu niemal jednocześnie wypadły zza zakrętu, wchodząc w ostatnie z siedmiu okrążeń. Jedynie stronnicy Czerwonych nie ruszyli się z miejsc, ponieważ z ich trzech rydwanów pozostały tylko porozrzucane szczątki. Natomiast zwolennicy Niebieskich, Białych i Zielonych zerwali się z miejsc, by zachęcać swoje zespoły do ostatniego, największego wysiłku. Jednak

najgłośniej krzyczeli ludzie, którzy postawili pieniądze na niewiadomą: nieznany zaprzęg Zielonych. Wywołał już poruszenie w cyrku podczas parady przed wyścigiem; zwolennicy wszystkich stronnictw podziwiali urodę tych arabów. Nawet cesarz, który znał się dobrze na koniach, był pod wrażeniem. Przerwał demonstrowanie swojego nowego zestawu rydwanów pięknie wyrzeźbionych z kości słoniowej siedzącemu obok niego Karatakusowi i wezwał do łoży Euzebiusza, przywódcę faksji Zielonych. Wespazjan kilkakrotnie poczuł na sobie wzrok Nerona, kiedy ci dwaj rozmawiali na temat jego koni.

Teraz jednak, kiedy trzy rydwany pędziły prosto po drugiej stronie spiny, przy ryku ćwierci miliona rozentuzjasmowanych widzów, Wespazjana też ogarnęło szalone podniecenie. *Hortatores*, pojedynczy jeźdźcy, którzy prowadzili każdy z rydwanów pośród szczątków innych pojazdów, ostatni już raz znaleźli się przed zakrętem przy drugim końcu spiny i gorączkowo dawali znaki niewolnikom porządkującym tor, którzy próbowali wyciągnąć uwięzionego w resztkach rydwanu woźnicę Czerwonych, by schronili się za wierzgającymi końmi i stosem połamanego drewna, po czym, za zakrętem, sami jeźdźcy usunęli się na bok. Rydwanom została do pokonania ostatnia prosta.

Zaprzęg Białych biegł po wewnętrznej i tym samym wolniej brał ostry zakręt, za to woźnice Niebieskich i Zielonych przyspieszyli i pokonali zakręt po zewnętrznej z największą prędkością, przez co Biali stracili wynikającą z krótszej drogi przewagę. Kiedy wszystkie trzy rydwany okrążyły koniec spiny, konie biegły niemal łeb w łeb, a ponieważ nie było już więcej zakrętów, wszystko zależało już tylko od kondycji zwierząt oraz ich szybkości. I kiedy okrzyki stronników Zielonych, siedzących w większości na lewo od głównej bramy, stały się ogłuszające jak grom, było już jasne, który z zaprzęgów ma więcej tych cech, jakie Wespazjan zdążył już poznać podczas amatorskich prób z tymi ogierami.

Ale teraz konie były w rękach zawodowca.

Z widoczną łatwością cztery araby o siwym umaszczeniu wydłużyły krok i niemal popłynęły do przodu, podczas gdy woźnice Białych i Niebieskich, których obwiązane lejcami klatki piersiowe podnosiły się i opadały coraz szybciej, bezskutecznie smagali końskie kłęby. Zwolennicy Zielonych zawyli z radości, kiedy przechylił się siódmy delfin i woźnica zwycięskiego rydwanu triumfalnie uniósł ramię.

– Pod koniec nawet się nie musiały wysilać! – wrzasnął Gajusz w ucho Wespazjana. – W tej chwili to jest zapewne najlepsza drużyna koni w Rzymie.

Rozpromieniony Wespazjan spojrział na wuja, choć myśli miał skupione na znacznej nagrodzie pieniężnej, która teraz stała się realna. Tymczasem jakiś pretorianin przepchał się do nich i zasalutował niedbale.

– Zgodnie z rozkazem cesarza ty i twój syn, zaraz po ostatnim biegu, macie się pojawić u niego na wieczery – wyrecytował i nie czekając na odpowiedź,

odwrócił się i odszedł.

– Ojej, drogi chłopcze – jęknął Gajusz, a widoczna na jego twarzy radość z wygranej przygasła. – Mam bardzo niemiłe uczucie, że nie jestem jedynym, który tak myśli.

Wespazjan spojrział w stronę Nerona i ogarnęło go podejrzenie, że wuj ma rację.

– Musisz zrozumieć, Wespazjanie – powiedział Seneka, przechodząc od razu do sedna sprawy, kiedy tylko zobaczył Wespazjana i Tytusa w pałacowym atrium – że aby cesarza... jak by to ująć...? Ułagodzić? Tak, ułagodzić, to jest właśnie to słowo. Aby go *ułagodzić*, musimy mu dać to, czego chce. – Po ojcowsku otoczył Wespazjana ramieniem. – Zauważyliśmy, że jeśli dostanie to, czego chce, znacznie chętniej postępuje rozważnie i powściągliwie.

– Zauważyliśmy? – spytał znacząco Wespazjan.

Niegdyjszy wychowawca Nerona prowadził go pospiesznie przez tę wspianą niegdyś komnatę, która w założeniu Augusta miała onieśmielać wysłanników innych władców majestatem Rzymu, a nie jego bogactwem, co najwyraźniej stało się celem Nerona. Wszędzie poustawiano kosztowne dzieła sztuki; nie prostackie i krzykliwe, jak za czasów Kaliguli; wręcz doskonałe, jeśli chodzi o piękno i wykonanie. Wulgarnie było natomiast ich przesadne nagromadzenie.

– Tak, ja i Burrus.

– A co z Pallasem?

– Obawiam się, że twój przyjaciel zbyt liczył na wsparcie Agrypiny. Choć być może „wsparcie” jest tutaj słowem niewłaściwym, zważywszy na to wszystko, co ona mu daje. – Przerwał i zachichotał, a jego oczy prawie zniknęły w nalanej twarzy; Wespazjan powstrzymał się od zapytania, jakiego wsparcia Agrypina udziela obecnie Neronowi. – Sądzę jednak, że ty już podejrzewałeś, jak się sprawy mają, skoro właśnie mnie przekazałeś prośbę Malichusa o przyznanie mu obywatelstwa.

– W rzeczy samej. I świadomie zostałem twoim dłużnikiem. Mam nadzieję, że przydała ci się informacja, którą ci dostarczyłem.

– Jak najbardziej. I pewnie ucieszysz się, kiedy ci powiem, że Pelignus jest ekhm... finansowo wycieńczony, tak najlepiej określiłbym jego sytuację. – Filozof znów zachichotał i spojrział na Tytusa. – Ucz się od ojca, młodzieńcze, bo ma polityczny... jak by to nazwać? A tak, to dobre słowo: rozum. Tak, on niewątpliwie ma rozum polityczny. – Poklepał Wespazjana po ramieniu, po czym je po przyjacielsku ścisnął. – Teraz, Wespazjanie, będę z tobą szczery.

– Chcesz, żebym dał cesarzowi swoje konie.

– Tego nie powiedziałem. Nie, nie, nie, absolutnie nie. Wcale tego nie powiedziałem.

- Powiedziałeś, że musimy dać Neronowi to, czego chce.
- Tak, ale tylko jeśli poprosi. Zatem jeśli poprosi, daj mu swoje konie.
- A co dostanę w zamian?

– No cóż, to trudne pytanie. To jest... jak by to najlepiej oddać? A tak, to wielka zagadka. Właśnie... zagadka. Może to być wszystko albo nic, albo nawet twoje życie. Tak się mają sprawy z Neronem. Jest bardzo niewielka... ekhm... płaszczyzna porozumienia... by tak rzec. Ale kto wie, może zapomni o twoich koniach, jeśli tylko obiad będzie wystawny, muzyk grający na lirze utalentowany, a rozmowa skoncentruje się na jego osobie, czego postaram się dopilnować.

Kiedy weszli do triklinium, gdzie płynęła łagodna muzyka i toczono ciche rozmowy, Wespazjan zdążył się już pogodzić z utratą swoich koni bez żadnej za to rekompensaty. Bo niby po co innego tutaj się znalazł?

– Musimy odłożyć nasze wspominki na bardziej intymną okazję, Wespazjanie – oświadczył Karatakus, przerwawszy rozmowę z jednym spośród kilkunastu gości i podchodząc do Wespazjana.

– Teraz, kiedy już tu jestem na dobre, musimy to zorganizować – odparł Wespazjan. Ręką wskazał Tytusa. – A to jest mój pierworodny syn.

Bryt ujął ramię chłopca.

– Dobrze uczynisz, idąc w ślady ojca – powiedział.

– Postaram się osiągnąć więcej.

Karatakus odchylił głowę i roześmiał się serdecznie.

– To właśnie jest radość z posiadania synów. Dobrze uczyniłeś, Wespazjanie, rozwijając w młodzieńcu taką ambicję. Jakież jednak zwycięstwa miałby odnieść, żeby były wspanialsze od twoich?

– Rzym zawsze będzie potrzebował zwycięstw.

– Owszem, dopóki będzie się rozrastał. Ale teraz już chodźcie, napijemy się razem, a ja spróbuję zapomnieć o tym, że moi synowie osiągną więcej ode mnie, jeśli uda im się nie stracić tego, co już mają.

Wespazjan zdziwił się, że nie słyszy w głosie Bryta goryczy. Wziął z tacy usługującego niewolnika kielich wina i kątem oka dostrzegł wśród gości Pallasa. Grek podszedł do niego, a Karatakus uprzejmie zostawił ich samych.

– Myślałem... – zaczął Wespazjan, ale Pallas mu przerwał.

– Wiem, co myślałeś. – Wyraz twarzy wyzwolenca, jak zwykle, był nieprzenikniony. – Dlatego dbasz o stosunki z Seneką. To mądre, nawet jeśli niewdzięczne z twojej strony posunięcie. Szczególnie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Choć nie wiem, czy to ochroni cię przed Agrypiną albo da ci namiestnictwo jakiejś prowincji. Pomimo wszystkiego, co Seneka i Burrus zrobili, by zatruć umysł Nerona przeciwko matce, a także przeciwko mnie, zdołałem zachować swoje stanowisko głównego zarządcy skarbu, nie wiem tylko, na jak długo. Ufam, że przez wzgląd na dawne czasy, nie stracę twojej przyjaźni.

Nagle rozmowy ucichły i rozległy się oklaski, tak więc Wespazjan nie odpowiedział. Neron, w otoczeniu barwnej świty, wszedł do komnaty. Za nim kroczyła Agrypina z dwiema służącymi. Wszyscy obecni wykrzykiwali chóralnie „Ave Cezar!”.

Neron był pod wrażeniem tego powitania. Wsparł rękę na ramieniu wyzwolenca, muskularnego, ale o zniewieściałej twarzy, a drugą machał ospale do wiwatujących na jego cześć. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach i Wespazjan zastanawiał się, czy rzeczywiście tak łatwo się wzrusza, czy też nauczył się płakać na zawołanie, czy też może, co najbardziej prawdopodobne, opanował sztukę wykorzystywania cebuli.

– Przyjaciele, przyjaciele – niemal wyśpiewał swoim ochryplym głosem. – Wystarczy, jesteśmy tu wszyscy wśród przyjaciół. – Odwrócił się do swojej świty. – Proszę cię tutaj, mój drogi.

Brytanik, prowadzony przez okrutnie wyglądającego mężczyznę w stroju prefekta wigilów, wyłonił się z tłumu, płonąc ze wstydu i gniewu, czemu trudno było się dziwić. Na głowę włożono mu blond perukę, z wplecionymi kwiatami; oczy, policzki i usta miał grubo pomalowane, natomiast uszyta z cieniutkiego lnu tunika była nieskromnie krótka.

Tytus zareagował, jakby go uderzono, i natychmiast ruszył przed siebie, jednak Wespazjan i Pallas wspólnie go powstrzymali.

– Zostań, głupcze – syknął Pallas.

– Mamy dzisiaj wigilię czternastych urodzin mojego drogiego brata, a zatem dziś wieczorem jest ostatnia okazja, kiedy można go traktować tak, jak się traktuje chłopca. To czas świętowania, czas ostatnich chłopięcych zabaw przed przyjęciem obowiązków dorosłego człowieka i zanim poczuje się to straszne brzemie odpowiedzialności, które przychodzi razem z togą męską. – Neron otoczył ramieniem barki Brytanika.

Wespazjan czuł się, jakby otrzymał cios w brzuch, nim zdążył napiąć mięśnie: zupełnie zapomniał o tej dacie; ten wieczór nie miał żadnego związku z wyścigiem i jego końmi. Zerknął na Senekę, ale oczy mężczyzny ostrzegły go, że nie wolno im się wtrącać w przebieg zdarzeń.

– Masz szczęście, kochany bracie, że jeszcze nie musisz podejmować trudnych decyzji związanych z wiekiem męskim – powiedział Neron i zwrócił bladoniebieskie oczy na Pallasa. W ich głębi Wespazjan dojrzał czającą się twardość i okrucieństwo. – Ten człowiek chędoży matkę, wiedziałeś o tym, skarbie?

Pallas mimowolnie zerknął na kochankę.

Agrypina zeszywniała wstrząśnięta, jej twarz zastygła.

Wszyscy obecni wstrzymali oddech.

– On chędoży matkę po tym, jak ja ją chędożyłem, i czasami, jak

zauważyłem, robił to nawet przede mną. Ty też chędożysz matkę, Brytaniku?

Chłopiec nie odpowiedział, tylko patrzył przed siebie i trząsał się z wściekłości.

– Zamierzam ukarać Pallasę za chędożenie matki.

– Nie zrobisz tego! – krzyknęła Agrypina, która doszła do siebie po nagłym wstrząsie. – Ty potworze! Jak śmiesz zwracać się przeciwko mnie i przeciwko Pallasowi, teraz, kiedy doprowadziliśmy cię tam, gdzie jesteś? – Ruszyła w stronę syna, ale Burrus ją zatrzymał. – Puść mnie, ty bydlaku – prychnęła.

Neron wymierzył jej dwa policzki, jeden wierzchem, drugi wnętrzem dłoni.

– Uspokój się, matko, przeszkadzasz mi w zabawie.

– Zabawie?! – Kobieta próbowała wyrwać się Burrusowi, ale prefekt trzymał ją mocno. – Myślałam, że będziesz mi wdzięczny, ale nie, nie jesteś lepszy od swojego ojca.

– I nie gorszy od swojej matki. Ale ja przynajmniej wiem, jaki jestem, i mam na tyle przyzwoitości, by przez większość czasu to ukrywać.

Agrypina syczała i pluła niczym rozsierdzona kotka, niemal dusząc się wściekłością.

– Udam się do obozu pretorianów i przyznam do zamordowania Klaudiusza.

– Ręką wskazała Brytanika. – Osadzą na tronie to chuchro, a ty będziesz skończony.

– A ty będziesz martwa, matko, jeśli to zrobisz. Zresztą – przesunął dłonią po blond peruce – mały Brytanik jest wciąż jeszcze chłopcem i jako takiego trzeba go traktować. Tygellinie! Na sofę z nim.

Prefekt wigilów przyłożył Brytanikowi do gardła nóż, którym dotąd powstrzymywał go od wyrwania się, i zmusił chłopca, by ukląkł na sofie. Tunika zadarła się do góry i wszyscy zobaczyli, że Brytanik nie ma przepaski biodrowej. Neron podziwiał przez kilka chwil ten widok, po czym się oblizał.

– Cóż za smakowitości. Doryforosie, zajmij się mną, a potem przygotuj jego.

Muskularny, zniewieściały wyzwoleniec opadł na kolana i dzięki umiejętności wynikającej z długotrwałej praktyki bardzo szybko doprowadził swojego pana do erekcji. Neron popatrzył z lubością na swój członek.

– Och, gdyby on nie był mój, ale należał do innego, mógłbym wtedy osiąść takie cudo.

Tytus szarpnął się, ale Wespazjan mocno trzymał syna. Doryforos polizał odbył Brytanika, by go nawilżyć, zanim Neron, z zaskakującą delikatnością, wszedł w chłopca; Brytanik nie wydał żadnego dźwięku.

Wszyscy obecni stali osłupiali i patrzyli ze zgrozą, jak Neron gwałci swojego przybranego brata w coraz szybszym rytmie i z narastającą rozkoszą. Prawowitego spadkobiercę rodu Augusta ujeżdżano publicznie, jakby był portową męską dziwką. Spocony Tygellin trzymał chłopca, wpatrując się w jego twarz, od czasu

do czasu zerkał też w górę, na Nerona, szczerząc się z sadystycznym zadowoleniem.

Zaledwie chrząknięcie i delikatny dreszcz towarzyszyły orgazmowi Nerona. Potem zadowolony cesarz westchnął głęboko, uwolnił członek, klepiąc jednocześnie jeden z pośladków Brytanika, i rozejrzał się wokół rozpromieniony.

– Oto jak należy traktować chłopca – oznajmił. – A teraz jedźmy.

Neron oblizwał palce, po czym spojrział na Pallasa, marszcząc brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Oczywiście! Właśnie byłem w trakcie karania cię za chędożenie matki. – Wziął z półmiska kolejną przepiórkę i urwał nóżkę. Zwrócił się do Seneki, spoczywającego po jego prawej stronie: – Twierdzisz, że masz wycucie sprawiedliwości... jaka zatem według ciebie powinna spotkać go kara?

Seneka odchrząknął i wytarł usta, by dać sobie kilka chwil do namysłu.

– Princepsie, w czasie długich godzin naszych wspólnych studiów przez minione lata starałem się skierować cię na ścieżkę sprawiedliwości zamiast ekhm... powiedzmy, chaosu? Tak, chaos idealnie pasuje. Nie możemy pozwolić na chaos, a ten bierze się z niesprawiedliwości. Obecny tu Pallas dobrze służył tobie i twojemu ojcu i za to zasługuje na nagrodę. Jednakże również, jak by to ująć...? Sprzeniewierzył się, to właśnie to słowo, sprzeniewierzył się zasadom z twoją matką i za to należy mu się kara. Jak zatem możemy znaleźć sprawiedliwość, opierając się na przeciwstawnych przesłankach?

Kiedy Seneka rozwijał ten temat, zdumiony Wespazjan odkrył, że Neron słucha zachwycony, ale wcale nie próbuje koncentrować się na treści, jak reszta obecnych. Jedynie spoczywający obok niego Pallas był skupiony na tej przemowie, ponieważ ważyły się jego losy. Twarz Greka pozostała niewzruszona, tylko delikatne pocieranie palcem wskazującym o brzeg kielicha zdradzało głęboki niepokój u tego zazwyczaj spokojnego człowieka.

Po drugiej stronie Wespazjana Karatakus sączył wino i nie zwracał uwagi na wygłaszaną mowę, podczas gdy Tytus i Brytanik jedli automatycznie i bez przyjemności, żeby tylko czymś się zająć w oczekiwaniu, aż cała ta udręka dobiegnie końca. Po lewej ręce Nerona jego matka, pałając gniewem, rzucała na mowę jadowne spojrzeń.

– I tak, mając w pamięci te wszystkie argumenty i kontrargumenty – ciągnął Seneka, zbliżając się do konkluzji – włącznie z faktem, że to sam Pallas w podobnych okolicznościach doradzał uśmiercenie Narcyza, sugeruję, princepsie, byś okazał nieco miłosierdzia. Skaż go na wygnanie, każ wsadzić...

– Sam zdecyduję o karze – przerwał mu ostro Neron, podnosząc ostrzegawczo palec. – Jeśli przekona mnie twój wywód. – Przybrał ponownie swoją starą pozę, którą odrzucił, kiedy pozwolił, by wrodzona porywczosć wzięła górę. Przez dłuższy czas udawał człowieka zatopionego w myślach, w końcu

powrócił do rzeczywistości. – Okażę miłosierdzie, Pallasie – obwieścił.

Wespazjan zobaczył, że Grek się odprężył; jego palec wskazujący znieruchomiał.

– Do Rzymu wstępu mieć nie będziesz, ale możesz zamieszkać w jednej ze swoich posiadłości w pobliżu miasta. Możesz też zachować majątek jako nagrodę za dobrą służbę mojemu ojcu, gdybym jednak potrzebował pieniędzy, zawsze mi je pożyczysz, bez odsetek. Natomiast za zbrodnię, której się dopuściłeś z moją matką, przez połowę każdego miesiąca będziesz ją gościł u siebie. Innymi słowy, przez pół roku nie będzie mnie tu irytować, bo będzie z tobą.

Wespazjan mało nie parsknął śmiechem, słysząc szaloną logikę tego zdania, a tymczasem Pallas podniósł się z miejsca.

– Princepsie, jesteś sprawiedliwy i miłosierny i poddaję się twojej woli. – Skłoniwszy się przed Neronem, całkowicie ignorując Agrypinę, która wciąż patrzyła z przerażeniem na syna, wyzwoleniec, którego kariera w Rzymie dobiegła końca, opuścił salę.

Wtedy Neron się rozpromienił.

– Aha, gdzie to ja byłem? A tak, świętowałem wejście w dorosłość mojego brata. Wypijemy toast. Nappełnić kielichy!

Niewolnice wynurzyły się z cienia i dopilnowały, by wszyscy goście mieli dość wina, po czym wycofały się w mrok.

– Za jutrzejsze urodziny mojego brata! – zawołał cesarz.

Wszyscy goście, mniej lub bardziej ochoczo, poszli za jego przykładem. Brytanik, z oczyma wciąż szklącymi się wspomnieniem dokonanego na oczach wszystkich gwałtu, przełknął zaledwie jeden łyk.

To jednak całkowicie wystarczyło, by przywołać uśmiech na twarz cesarza.

– Których nie doczeka – dodał, wpatrując się w chłopca.

Wespazjan poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, i spojrzał na Brytanika, który przyjął słowa Nerona z zimnym uśmiechem. Z oczyma pełnymi wyzwania i nienawiści wbitymi w cesarza wypił kolejny łyk wina. Zza jego pleców niewolnica przyglądała mu się tak bacznie, jak wtedy, kiedy patrzyła na umierającego Klaudiusza. Nagle ciałem chłopca wstrząsnęły drgawki. Tytus wyrwał kielich z rąk Brytanika, kiedy paroksyzm się powtórzył, zdezorientowany zachowaniem przyjaciela, który bez skutku usiłował złapać powietrze, a z jego ściśniętego gardła dobiegało rżenie. Na twarzy Tytusa pojawiło się przerażenie, kiedy zrozumiał, co się dzieje. Pięć, dziesięć, piętnaście uderzeń serca ciągnęła się ta straszliwa męka; oczy Brytanika wyszły z orbit, zsiniałe wargi układały się w jakieś słowo; dłonią chwycił nadgarstek Tytusa, chcąc przyciągnąć kielich z trucizną do ust. Skrzywił usta w uśmiechu i jego twarz zastygła.

Raz jeszcze rydwan czasu zwolnił. Wespazjan, patrząc, jak Brytanik puszcza rękę jego syna i powoli się osuwa do tyłu, czuł, że sam się podnosi. Serce wali mu

w uszach głuchym basem, w zwolnionym rytmie, i widzi, jak Tytus wpatruje się w zawartość kielicha, potem w martwe, zwrócone ku niemu oczy przyjaciela, i przenosi pełne nieskrywanej odrazy spojrzenie na Nerona. Wespazjan krzyczy niezrozumiale, starając się przebiec przez komnatę i patrząc, jak Tytus podnosi rękę coraz wyżej i powoli zbliża kielich do warg. Widzi, jak kielich się przechyla i wino dociera do jego brzegu tuż przy otwartych ustach chłopca. Kielich dotyka dolnej wargi i trucizna zaczyna spływać na język; Wespazjan jest pewien, że widzi ruch mięśni przetyku syna w chwili, kiedy prawą ręką uderza w kielich, odrywając go od ust Tytusa. I wtedy czas powraca do swojego stałego, nieubłaganego tempa, niemal drwiąco przybliżając chwilę śmierci Tytusa.

– Antidotum! – ryknął Wespazjan do niewolnicy, ledwo świadom czyjegoś śmiechu za plecami. – Jakie jest antidotum, kobieto? – Chwycił Tytusa, wciąż wpatrującego się w zmienione bólem, martwe oczy Brytanika.

Kobieta stała bez ruchu, patrząc na Nerona.

– Dwóch za jednym zamachem, Lokusto – wykrztusił cesarz, nie mogąc przestać się śmiać – bardzo dobrze.

Wespazjan wciąż krzykiem domagał się antidotum. Niespodziewanie Karatakus chwycił Lokustę za gardło i podniósł piszczącą niewolnicę do góry. Dzbanek wypadł jej z rąk, roztrzaskując się o posadzkę.

– Dobrze ci radzę, słuchaj mnie i nikogo innego, bo w moich rękach jest teraz twoje nędzne życie. Antidotum – zażądał Bryt.

Lokusta sięgnęła do torby wiszącej przy pasie i wyjęła z niej flakonik; Karatakus wziął go, a kobietę cisnął na mozaikową posadzkę. Rozległ się trzask kości.

Ciałem Tytusa wstrząsały drgawki, kiedy Wespazjan chwycił flakonik i zębami wyrwał korek. Opuścił głowę syna na klatkę piersiową Brytanika i wlał mu do gardła całą zawartość. Odrzucił pusty flakonik, ścisnął palcami nozdrza Tytusa i zakrył mu dłonią usta; młodzieniec raz jeszcze zadygotał, po czym przełknął płyn. Wespazjan wpatrywał się w oczy syna, siłą woli nakazując mu żyć. Cały czas słyszał rechot Nerona; nikt więcej nie wydawał żadnego dźwięku, nie licząc Lokusty, pojękującej nad swoją złamaną ręką. Z oczu Tytusa wyzierał ból, źrenice nienaturalnie się rozszerzyły, zniknęły tęczęwki i pozostała jedynie czerń i biel. Nastąpił kolejny paroksyzm, tym razem słabszy, i mięśnie twarzy młodego człowieka się rozluźniły.

Karatakus pomógł Wespazjanowi wstać z klęczek.

– Musimy go stąd zabrać – powiedział.

Wespazjan instynktownie wiedział, że to jedyne właściwe posunięcie.

– Ojczy? – wymamrotał Tytus.

– Nic ci nie będzie, wytrąciłem ci ten kielich, zanim wypijeś zbyt dużo, i dostałeś całą porcję antidotum.

– Kto powiedział, że możecie odejść? – zawołał Neron, wreszcie przestając się śmiać.

– Za twoim pozwoleniem, biorę ich pod swoją opiekę, princepsie – powiedział Karatakus, pomagając Wespazjanowi podnieść Tytusa. – Okazałeś mi już kiedyś miłosierdzie, a teraz błagam cię, byś okazał miłosierdzie temu synowi Rzymu. Dzisiaj Rzym już stracił jednego syna. Nie pozwól, by stracił drugiego.

Nie czekając na odpowiedź, Wespazjan postawił Tytusa na nogi i z pomocą dawnego śmiertelnego wroga zabrał syna, byle dalej od Złotego Cesarza.

Od Autora

Nie wiemy nic o Wespazjanie w okresie pomiędzy jego konsulatem w ostatnich dwu miesiącach 51 roku a objęciem namiestnictwa w Afryce, w roku 63. Dlatego też miałem następujący wybór: pominąć te dwanaście lat – co było moim pierwotnym zamiarem, kiedy planowałem tę serię – czy też domyślać się, jak mogło wyglądać jego życie w czasie, kiedy wycofał się do swoich posiadłości – co okazałoby się wyjątkowo nudne – albo rzucić go w wir ówczesnych wydarzeń. Wybrawszy trzecią możliwość, raz jeszcze oparłem się na pismach Tacyta, Swetoniusza, Kasjusza Diona, Józefa Flawiusza i na Biblii.

W tym czasie Sabinus był namiestnikiem Mezji, Macedonii i Tracji.

Na początku biografii Domicjana Swetoniusz pisze, że późniejszy cesarz urodził się przy ulicy Granatów na Kwirynale.

Tacyt w swojej historii dotyczącej roku 50 pisze, że Karatakusa pojmano i wysłano do Rzymu oraz że brytański król opierał się Rzymowi przez osiem lat, co by znaczyło, że pochwycono go w 51 roku. Fakt, że Tacyt często opisywał wydarzenia z dala od Rzymu w jednym obejmującym dwa lata kawałku tekstu, uprawdopodobnia przybycie Karatakusa do Rzymu i wygłoszenie jego słynnej mowy właśnie za konsulatu Wespazjana. Jeśli chodzi o samą mowę, połączyłem elementy z wersji Tacyta z krótszą jej wersją Kasjusza Diona.

Tacyt wspominał o tym, że Brytanik obraził Nerona, mówiąc o nim per „Domicjusz”, i że doprowadziło to do egzekucji Sosibiosa.

Korbulon zapewne był w Rzymie podczas opisanych przeze mnie wydarzeń w związku z przeniesieniem go ze stanowiska namiestnika Germanii Mniejszej do Azji.

Wziąłem trzy przykłady ze Swetoniusza dotyczące zachowania Klaudiusza w sądzie i połączyłem w jedną scenę, której świadkiem są Wespazjan z Korbulonem, i dlatego, niestety, nie odbiega ona zbyt od rzeczywistości.

Lidia z Tiatyry była pierwszą osobą, którą święty Paweł ochrzcił w Europie; ceremonia odbyła się w rzece Gangites, nieopodal Filippi. Natomiast sąd nad nią, pod przewodnictwem Sabinusa, jest literacką fikcją.

Jezus mówiący o nie-Żydach jako psach pojawia się zarówno u Marka (7,24-30), jak i u Mateusza (15,21-28). U tego drugiego mówi także: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela”^{*}. Interpretujcie to, jak tylko sobie chcecie.

Opowieść o Pawle wypędzającym demona z niewolnicy w Filippi i drażniącym jej właściciela wzięta jest z Dziejów Apostolskich, podobnie jak trzęsienie ziemi i domaganie się przez Pawła przeprosin za sposób, w jaki go potraktowano.

Tryfena abdykowała na życzenie Kaliguli i przeniosła się do Kyzikos, gdzie

pośród tamtejszej społeczności była osobą majątną i wpływową. Król Polemon z Pontu był jej bratem, a Radamist ciotecznym wnukiem; była także krewną Agrypiny i Nerona. Jej zainteresowanie uzyskaniem władzy dla Radamista i Nerona, choć historycznie prawdopodobne, jest wytworem mojej wyobraźni. Wojna rzymsko-partyjska rzeczywiście zaczęła się od najazdu Radamista i od przywłaszczenia sobie przezeń tronu. Skończył zamordowany podobnie jak Mitrydates, jego teść, oraz synowie. Juliusz Pelignus był w tym czasie prokuratorem Kapadocji. Tacyt przedstawił go jako „żałosnego z powodu ciasnego umysłu i fizycznej ułomności”, dodając, że był przyjacielem Klaudiusza, który „dla rozrywki bratał się z błaznami”. Rzeczywiście najechał Armenię z oddziałami wojsk pomocniczych, ale „chętniej grabił sprzymierzeńców niż nieprzyjaciół”. Przeniósł też swoją lojalność na Radamista i umacniał go w królewskich ambicjach.

Konflikt Rzymu z Partią stał się nieunikniony i w jego wyniku Korbulon zyskał sławę, pomimo jednoczesnych porywczych i nieprzemyślanych działań drugiego dowódcy, Lucjusza Juniusza Petusa.

Pozwoliłem sobie na umieszczenie Tigranocerty w tym akurat miejscu, bo pasowało to do mojej narracji. Istnieją co najmniej cztery miejsca, gdzie to miasto mogło leżeć, więc po prostu wybrałem najbardziej dla mnie wygodne, co, jak sądzę, jest przywilejem autora beletrystyki.

Arbela, współczesne Irbil w Iraku, uważana jest za jedno z najstarszych miast na świecie, zamieszkiwane nieprzerwanie od ponad ośmiu tysięcy lat. Królem Adiabene był w tym czasie Izates bar Monobazes, według Józefa świeżo nawrócony na judaizm przez Ananiasza. Jednakże Robert Eisenman w swojej *James the Brother of Jesus* twierdzi, że to ten sam Ananiasz, który w Damaszku ochrzcił świętego Pawła. Skoro tak, to Józef się myli i Izates nie był tak naprawdę Żydem, ale został ochrzczony w ramach tej wczesnej postaci chrześcijaństwa, jakiej nauczali żydowscy uczniowie Jezusa.

Opisując wygląd sali audiencyjnej w Ktezyfoncie, opierałem się na ruinach późniejszej budowli z czasów dynastii Sasanidów; niemniej wyobrażam sobie, że Król królów zasiadał, by załatwiać ważne sprawy, w równie imponującym pomieszczeniu.

Malichus, król Arabów nabatejskich, rzeczywiście znalazł się finansowych kłopotach, kiedy Klaudiusz włączył Damazek z powrotem do cesarstwa, po tym jak wcześniej Kaligula podarował go poprzedniemu władcy.

Feliks był prokuratorem Judei w tym czasie i słynął z surowego traktowania miejscowej ludności.

Klaudiusz rzeczywiście kilka dni przed śmiercią przemówił do senatu na temat uznania Brytanika za swojego następcę; zdarzało mu się również, kiedy był pijany, rzucać uwagi o tym, że los każe mu najpierw znieść bezecne wybryki

swoich kolejnych małżonek, a potem je karać. Ta kombinacja doprowadziła zapewne do jego śmierci, którą, według Tacyta, spowodowano, podsuwając mu zatruty grzyb, a następnie medyk Ksenofon dokończył dzieła za pomocą zatrutego piórka.

Mowa Nerona do senatu wzięta jest ze Swetoniusza, a według Kasjusza Diona napisał ją Seneka.

Tacyt pisał, że Neron zgwałcił Brytanika i otruił go, używając mikstur Lokusty. Swetoniusz w biografii Tytusa wspomina, że syn Wespazjana był obok swojego przyjaciela, kiedy się to wydarzyło, i że próbował odebrać sobie życie, pijąc z tego samego kielicha co Brytanik, jednak nie umarł, tylko przez jakiś czas ciężko chorował. Być może to właśnie wyjaśnia, dlaczego przeżył tylko 41 lat. Brytanika zamordowano w przeddzień jego czternastych urodzin.

Narczyz faktycznie cierpiał w tym czasie na podagrę. Jego egzekucji dokonano wkrótce po zabójstwie Klaudiusza. Opóźniłem ją dla dobra narracji. Nie wiemy, co działo się z Kallistosem, ale nie żył już na początku panowania Nerona.

Tacyt podał pierwsze hasło Nerona dla straży: „Doskonała matka”. Kasjusz Dion relacjonował epizod, kiedy Agrypina próbowała zasiąść na podwyższeniu obok Nerona, żeby przyjmować poselstwo armeńskie, jakby była mu równa. Jego odmowa stanowiła prawdopodobnie początek rozłamu między nimi.

Jak zawsze dziękuję swojemu agentowi, Ianowi Drury'emu z Sheil Land Associates, za działanie w moim imieniu, oraz Gai Banks i Marice Lysandrou z działu zagranicznych praw autorskich. Jestem wdzięczny wszystkim z Corvus/Atlantic za wielki wysiłek włożony w promocję moich książek. Dziękuję redaktorce Maddie West i adiustatorce Tamsin Shelton za ich ciężką pracę przy maszynopisie, która zamieniła moją chaotyczną pisaninę w zrozumiały tekst. Sarze O'Keeffe składam gratulacje z okazji narodzin córeczki Ethne. I na koniec dziękuję Toby'emu Mundy'emu, któremu jestem niezmiernie wdzięczny za pokładaną we mnie wiarę i jednocześnie go żegnam, życząc wszystkiego najlepszego. Witam Willa Atkinsona, który przejmuje pracę Toby'ego w Atlantic.

Dalszy ciąg historii Wespazjana w *The Furies of Rome*.

* Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 1983.

